



# IDIOTA SKOŃCZONY

— ANTOLOGIA —

*Abrahamowski, Atamaniczuk, Białołęcka, Biedrzycki,  
Gołkowski, Haladyn, Jadłowska, Kołodziejczak, Komuda,  
Olkowski, Podlewski, Szmidt*

# IDIOTA SKOŃCZONY

— ANTOLOGIA —

*Abramowski, Atamańczuk, Białolecka, Biedrzycki,  
Golkowski, Haladyn, Jadowska, Kołodziejczak, Komuda,  
Olkowski, Porlenski, Sznidt*

Ilustracje  
Paweł Zaręba

**fabryka słów**<sup>®</sup>

Lublin – Warszawa

**Idiota skończony © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2018**

Ostatni dzień służby © by Krzysztof Abramowski  
Ptasi sąd © by Adrian Atamańczuk  
Garażowy © by Ewa Białołęcka  
Noc na Dużej Ziemi © by Bartek Biedrzycki  
Wyklęci © by Michał Gołkowski  
Krew na śniegu © by Krzysztof Haladyn  
Idiota skończony © by Aneta Jadowska  
Zmierch nad Weroną © by Tomasz Kołodziejczak  
Przez kraj ludzi, zwierząt i biesów © by Jacek Komuda  
Tajemnica miasteczka N. © by Hubert Olkowski  
Głębia. Ciałek © by Marcin Podlewski  
Cisza © by Robert J. Szmidt

Wydanie I

ISBN 978-83-7964-288-5

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski Robert Łakuta  
ILUSTRACJE, GRAFIKA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT OKŁADKI black gear

Paweł Zaręba

REDAKCJA OPOWIADAŃ Ewa Białołęcka

REDAKCJA OPOWIADANIA „CISZA”

Urszula Gardner

KOREKTA

Agnieszka Pawlikowska,

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

WYDAWNICTWO Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 2519

Dla Magdy Babińskiej,  
biegłej w komiksomancji

# IDIOTA SKOŃCZONY

Aneta Jadowska



Idiota skończony! – mamrotałam pod nosem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z taką siłą, że witraż zagrzechotał. Zrzuciłam buty, ciskając nimi w kąt korytarza, zbyt wściekła, by robić cokolwiek wolno czy powściągliwie. Miałam ochotę coś zniszczyć.

Ale najpierw musiałam pozbyć się smrodu.

Co mnie podkusiło, by właśnie te cholerne buty założyć na dzisiejszą randkę? Może wysłałam mieszane sygnały? Gdybym była w trampkach, jak zwykle, nie pomyślałabym sobie zbyt wiele, prawda? Co złego może cię spotkać, kiedy masz na stopach trampki z Iron Manem? Nic, to doskonale znany fakt. Ale nie, musiałam założyć cholerne dziesięciocentymetrowe szpilki, po prostu musiałam.

Zwykle potępiałam całe to gadanie o prowokowaniu faceta strojem do robienia głupstw, bo każdy ma swój rozum i nie może zrzucić odpowiedzialności na czyjąś sukienkę czy buty... Ale kto wie, pomyślałam, patrząc z nienawiścią na czerwony zamsz nieprzyzwoicie drogich i seksownych butów.

Włożyłam je tylko dlatego, że za mniej niż miesiąc miałam w nich iść na wesele kuzynki i uznałam, że trzeba je rozchodzić, przywyknąć do wysokości, by na imprezie nie chwiać się jak nowo narodzony źrebak. Skąd mogłam wiedzieć, że ten pacan...

Choć diabli wiedzą, może winna była sukienka? Mama mówiła, że jest za krótka... Może rzeczywiście? Ściągnęłam przez głowę elastyczny czarny materiał i rzuciłam w kąt obok butów. Lepkość na

dłoniach i niezaprzeczalny odór siarki kazały mi wątpić, czy da się ją uratować. Ciekawe, czy cokolwiek z tego, co miałam dziś na sobie, będzie się jeszcze nadawało do noszenia. Nawet gdybym zdołała zapomnieć o żenujących chwilach, jakie spędziłam w tych szmatkach.

Gdybym mogła to przewidzieć, gdybym zdołała zajrzeć w przyszłość... Ciocia Minerwa zawsze powtarzała, by nie zanedbywać codziennego tarota, ale moja relacja z kartami jest dość chłodna. Miałam wrażenie, że nie tyle oszukują, ile drocą się ze mną, pokazując tylko ułamek tego, co powinnam widzieć. Dopiero później byłam w stanie jakoś skojarzyć przepowiednię z wydarzeniami. Tarot był jak prasowanie, całkiem retro. Kto miał na to czas? I miejsce? Na moim łóżku nie zmieściłyby się nawet wszystkie arkana. Powinni opracować jakąś aplikację na smartfona. Kupiłabym natychmiast. Może wtedy zobaczyłabym, że błazen na trójce mieczy to mój głupi chłopak (od niespełna trzech miesięcy), który zrobi coś tak bezdennie głupiego, że popchnie mnie do czegoś jeszcze głupszego.

Każdy sąd powinien mnie uniewinnić. Pod warunkiem, że zasiądą w nim inteligentne i obdarzone empatią kobiety. Dobre sobie, doskonale wiedziałam, że zasiądzie w nim moja matka i jej siostry, moja babka i jej siostry. Cała rodzina Koźlaków. Wszystkie, które zdołają ściągnąć na szybko. Cały mój kowen i sabat – jego zarząd. Byłam zgubiona.

Wanna powoli napełniała się wodą. Wsypałam dwie garści pachnących soli kąpielowych i wlałam pół butelki lawendowego preparatu odmagiczniającego. Po chwili dolałam jeszcze dwie nakrętki płynu do kąpieli – z bąbelkami wszystko jest łatwiejsze do zniesienia.

Zmyłam makijaż, bo preparat odmagiczniający w połączeniu z kosmetykami kończył się tragiczną cerą. Zdjęłam pierścionki,

kolczyki i łańcuszek z wisiorkiem z różowego kwarcu. Zostawiłam tylko bransoletkę z charmsami, bo one akurat potrzebowały tej kąpieli równie mocno jak ja.

– Malina! Jesteś? – usłyszałam zza drzwi do łazienki wołanie mamy.

– Daj mi chwilę! Będę za pięć minut! – odkrzyknęłam.

Może nieco dłużej, bo smród dosłownie przykleił się do mojej skóry. Może za dobę albo dwie będę gotowa, by stawić się na rozmowę.

– Dlaczego w domu śmierdzi siarką i bagnem? – zawołała mama.

Wrzuciłam bieliznę do wiklinowego kosza na pranie i nie zwlekając dłużej, zanurzyłam się w kąpiel. Skóra mnie piekła, woda była gorąca, a mieszanka soli i preparatu wgrzyzała się dodatkowym ciepłem. Sapnęłam z frustracją.

– Malina! – powtórzyła mama groźniejszym tonem, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Aronia Koźlak nie przywykła do uników.

– Nie chcę o tym mówić! – odkrzyknęłam, zjeżdżając po dnie wanny, aż zanurzyłam w wodzie włosy. Gęsty odór siarki i błota unosił się wciąż nade mną jak zielonkawa, mięsista mgła.

Szansę na to, że zdołam zatrzeć dowody zbrodni, zanim wróci mama albo zanim dotrą do niej nowiny, były niewielkie, ale uznałam, że warto spróbować. Nawet jeśli pół miasta i większość mojej rodziny widzieli na własne oczy, jak robiłam z siebie totalną idiotkę. Poprawka. Mój chłopak zrobił ze mnie totalną idiotkę, a ja udowodniłam, że niewiele się pomylił. Jeśli w ogóle.

Kiedy zaczęłam się umawiać z Klonem Juniorem, synem Jesiona Drzewieckiego, a co gorsza – wnukiem Klona Seniora, moja rodzina nie kryła sceptycyzmu. Moja babka była wściekła. Ona i senior Drzewieckich mieli jakieś zaszłości. Ale przecież nie mogłam pozwolić, by stare spory wpływały na moje życie uczuciowe, prawda?

Wmasowywałam we włosy szampon, jedną porcję za drugą, by

ostatecznie usunąć z nich zapaszek, który był niezbitym dowodem, że użyłam zaklęcia lub uroku z zakazanej części grimuaru. Kontrola rodzicielska zadziałała bez zarzutu.

Miałam trzy lata, kiedy mama pokazała mi rodzinny grimuar. Był wielki, stary i nieporęczny – ledwie potrafiłam wtedy unieść ciężką okładkę z deski obciążonej skórą – ale przepelniała go wiedza, którą moja rodzina gromadziła od piętnastu pokoleń. Wiedzmy z babki prababki. A ja miałam się z niego uczyć. Każda wiedźma miała swój prywatny grimuar, bardziej poręczny i osobisty, ale ta prastara księga miała zgromadzić całą rodzinną wiedzę i magię. Tylko dlatego, że byłam spokrewniona z rodziną Koźlaków, mogłam do niego zaglądać, przepisywać do mojego zeszytu zaklęcia, nad którymi chciałam popracować. Jeśli będę zdolną wiedźmą i wymyślę jakieś wyjątkowe zaklęcia, będę mogła je wpisać wiecznym piórem na nowej, czystej stronie, a któregoś dnia będą się ich uczyły moje wnuczki. Wciąż pamiętam siebie trzyletnią, całkowicie oszołomioną w obliczu księgi niewiele mniejszej ode mnie, a nieskończenie starszej. Poczułam się wtedy wyjątkowa. Byłam częścią potężnej tradycji, ze wszystkimi przywilejami i ograniczeniami, z jakimi się to wiązało.

Już kilka lat wcześniej, kiedy naukę zaczynała moja siostra, Jagoda, mama oznaczyła rozdziały w grimuarze, naklejając na nich kolorowe kropki: zielona – ćwicz śmiało, żółta – tylko pod opieką dorosłej wiedźmy, czerwona – do trzydziestki zapomnij, że istnieją. A być może dłużej. Czerwone kropki powiązane były z zaklęciem zapachowym. Gdy tylko użyłam czegoś z czerwonej strefy, rozchodził się smród. Tym razem była siarka i bagno, ale mogła to być też woń zgnitych jajek, amoniaku, płonących opon czy wymiotów. Aronia Koźlak była bardzo kreatywną wiedźmą. Jak bardzo, dowiadywałam się na własnej skórze, bo Jagody nigdy nie podkusiło.



Najgorsze, że nawet jeśli danego zaklęcia w grimuarze nie było, ale to, czego użyłam, przypominało choćby w minimalnym stopniu zaklęcie z czerwoną kropką, księga sama interpretowała, czy zasady kontroli rodzicielskiej zostały naruszone. Odwołań nie przewidziano. I dziś stanowczo wręczyła mi czerwoną kartkę. Czy też kropkę. Na jedno wychodziło. Wyleciałam z boiska na pysk. I było to coś więcej niż piłkarska metafora, biorąc pod uwagę okoliczności.

Gdybym, przyparta przez tego bęcwała do muru, użyła czegoś niegroźnego... Czegoś jak to złośliwe i bezwzględne zaklęcie, którym ciocia Lila zaklinała babeczki swoich nieprzyjaciółek ze szkoły baletowej, przez co kalorie mnożyły się do dwóch tysięcy na kęs. Podłe, zdecydowanie żółta strefa, ale damy z ławy sędziowskiej za bardzo śmiały się z perfidii młodej wiedźmy, by ją solidnie ukarać. Lila mogła zresztą przedstawić dowody, że jej koleżanki dręczyły ją od miesięcy, więc poniekąd same ściągnęły na siebie zemstę. Zaklęcie Lili trafiło do rodzinnego grimuaru i tylko wzmocniło jej pozycję w rodzinnej hierarchii. Miałam więcej niż przecucie, że mnie to nie spotka.

Klon Junior przed dzisiejszym wieczorem był w porządku. Przystojniak z poczuciem humoru. Nie nudziłam się z nim. Był opiekuńczy, ale bez przesady. Lubiłam go, naprawdę go lubiłam. I jakaś część mnie, ta, której już przeszła złość na jego wybryk, żałowała, że w tamtym momencie sięgnęłam po armaty, zamiast odplącić mu czymś upokarzającym, ale zabawnym.

Plązy i rogacizna nie są zabawne. Gdybym pomyślała choć chwilę, nie sięgnęłabym po taką kombinację. Nie przy tysiącu świadków. I kamerach. Z tym cholernym telebimem, pokazującym wszystko, ze szczegółami, tysiącom widzów... Może lepiej się utopić? Będzie mniej bolało niż to, co wymyślą mama i ciotki. Zanurzyłam się pod wodę i przez kilkadziesiąt sekund wstrzymywałam powietrze.

– Malino, nie myśl, że nie będę czekać na wyjaśnienia, gdy już skończysz – powiedziała mama po drugiej stronie drzwi.

Otworzyłam usta, a pęcherzyki powietrza wypłynęły na powierzchnię wody. Gdybym nie była w jednej szesnastej selkie, może by się nawet udało. Taki ułamek w genetycznej układance nie wystarczył, bym nauczyła się przyzwoicie pływać, ale też nie miałam szans się utopić. Mieszanka soli kąpielowych i preparatu odmagiczniającego smakowała za to obrzydliwie.



Ruch w kawiarni od samego ranka bił rekordy. Mój szef, Barnaba, podwinął rękawy – czysto metaforycznie, bo z zasady nie zbliżał się do klientów. Od tego miał mnie i dwie inne pracownice. Podejrzewałam, że sporą część gości przygnała tu nie potrzeba kawy z dodatkową porcją charyzmy czy posypki wzmacniającej pamięć, ale zwykła ciekawość. Miasto było za małe, by plotka stugębna nie obiegrała go w ciągu nocy, a o tym, że pracowałam w StarBunny, wiedziało mnóstwo osób. Każda z nich kupi przynajmniej kawę ze specjalnej oferty promocyjnej, by mieć pretekst do przesiadywania w kawiarni, ale raczej nie powinnam liczyć na wysokie napiwki.

Przy stoliku naprzeciw kontuaru, zza którego obsługiwałam klientów, usiadły trzy wiedźmy, od lat niekwestionowane królowe gorących ploteczek. Ledwie się opanowałam, by nie dorzucić im do kawy zaklęcia moczopędnego, ale użycie w takim momencie nawet najbardziej zielonego zaklęcia przeciwko przypadkowym osobom kłóciło się radykalnie z tym, co obiecałam sabatowi. Zaraz po tym, jak przysięgałam, że jeśli tylko nie odeślą mnie na obóz dla młodocianych przestępców magicznych, naprawię wszystko, co sknociłam. Potrzyzymały mnie w niepewności pół nocy, zanim łaskawie i warunkowo zgodziły się dać mi szansę, nim zamienią

moje życie w koszarowe piekło.

Miałam dwanaście godzin na zdjęcie z Klona zaklęcia ALBO... Nie bardzo wiedziałam, co miało oznaczać to „albo”, ale babcia Delfina była tak kategoryczna, że domyślałam się, że to nie będzie nic miłego. Przy jej kreatywności jeszcze będę się modliła o to, by dostać bilet w jedną stronę na kolonie resocjalizacyjne. Miałam czas do siedemnastej. ALBO.

– Marieta! Jadwiga! – wykrzyczałam imiona klientek, których zamówienie było już gotowe.

Dwie młode kobiety podeszły do kontuaru i dosypały do kawy po torebeczce słodziku. Szeptały między sobą równie dyskretnie jak teatralny sufler, a że stały na wyciągnięcie ręki, obgadując akurat mnie, było dość niezręcznie. Jeśli nie przestanę zgrzytać zębami, na kolonie karne pojadę bezzębna. To na pewno zbuduje mi reputację wśród magicznych recydywistów. Będę sepleniąco grypsowała.

– Tak, to ona, wszystko było widać na telebimie, w kozła, wyobrażasz sobie? Jak można tak bardzo nie panować nad swoją magią? – szeptała ta, która mieszała patyczkiem zawartość kubka podpisanego „Marieta”. Wiedziałam doskonale, że kobieta ma na imię Marianna, ale z przekręcania imion klientów zrobiliśmy w StarBunny małą tradycję.

– Cóż, wszyscy mu powtarzali, że wiązanie się z wiedźmą z Koźlaków nie jest najmądrzejsze. Ale był taki uparty. Może to od początku był urok? Jak myślisz? – szeptała Joanna, która dzierżyła kubek z imieniem „Jadwiga”, wypisanym czarnym flamastrem na różowym tle.

Oj, dorzuciłabym zaklęcie krost na języku albo rozdławających się końcówek, gdybym akurat nie była na cenzurowanym.

– Życzą panie sobie coś jeszcze? – zapytałam ze słodkim uśmiechem, gdyż mój szef wychylił się ze swojego biura na zapleczu i czułam na karku jego świdrujące spojrzenie.

– Nie sędzę – powiedziała Marianna.

Z uśmiezkiem ociekającym poczuciem wyższości oddaliła się do ostatniego wolnego stolika, postukując wysokimi obcasami. Joanna podreptała za nią. Pewnie przywykła, robiła to nieprzerwanie przez całe liceum. Może nie zauważyła, że nauka się skończyła, a do niedawna najpopularniejsza dziewczyna w szkole straciła większość wielbicieli, status królowej balu i dziś była tylko sprzedawczynią w butiku z bielizną? Ale skoro ja od trzech lat byłam baristką i kelnerką w StarBunny, nie zamierzałam rzucać kamieniem. Zaczęłam w maturalnej klasie i utknęłam. Być może będę tu pracowała za czterdzieści lat. Barnaba zaś wprowadzi pasujące do różowych fartuszków wrotki, by usprawnić emerycką wydajność. Dawno powinnam znaleźć sobie coś lepszego, coś bardziej ambitnego, w czym się zrealizuję, a nie tylko zarobię trochę grosza. Zwłaszcza że jako kawowy króliczek zarabiałam za mało, by nazwać to poważną pensją, a byłam za stara, by określenie „kieszonkowe” nie brzmiało obciachowo.

Nudziłam się. Każdy dzień w StarBunny wyglądał tak samo. Od siódmej trzydzieści do szesnastej, o ile nie miałam akurat drugiej zmiany, krzątałam się po kawiarni w intensywnie różowym fartuszkuz wyhaftowanym na piersi imieniem, marząc o tym, że któregoś dnia wydarzy się coś, co popchnie moje życie w zupełnie innym kierunku.

Wszystkie pracownice kawiarni snuły fantazje tego typu. Większość śniła o księciu na białym koniu, który pewnego dnia przekroczy próg, podejdzie do nich i padając na kolano, zapewni, że całe życie ich szukał i będzie im służył do kresu swych dni. Nie podzielałam tej fantazji. Ba, dobrze dla księcia, że jednak się u mnie nie pojawił, bo pewnie zamieniłabym go w kozła. Albo żabę. Cholera.

W moich fantazjach przychodziła do kawiarni starsza kobieta, obdarzona wielką mocą, która patrzyła na mnie przenikliwie,

dostrzegła we mnie coś, czego nie miał nikt inny, i mówiła, że mam podążać za swoim sercem. I tak, rysowanie komiksów jest doskonałym zajęciem dla młodej wiedźmy, niezależnie od tego, co wielu o tym sądzi. Przeczytałam w życiu wystarczająco dużo poradników psychologicznych, by zorientować się, co moja fantazja ujawnia o moim strachu przed tym, że zawiodę te wszystkie wspaniałe wiedźmy z mojego drzewa genealogicznego, nie wykazując w ciągu żywota talentów poza tym, jaki wierzyłam, że mam do rysowania. I najwyraźniej – do łączenia dwóch paskudnych zaklęć w jedno, wyjątkowo pokręcone, ale za to pewnie nie dostałabym kciuka aprobaty od przodkiń. Może poza ciotką Lilą, ale wszyscy wiedzieli, że ona jest troszeczkę szurnięta.

Wycierałam właśnie kawowe kółeczka odcisnięte na kontuarze, kiedy dzwonek nad drzwiami obwieścił kolejnego klienta. Mój szef będzie zachwycony dzisiejszym utargiem. Zanim uniosłam wzrok, poczułam nacisk potężnej magii. Powietrze zgęstniało, zaiskrzyło od przeskakujących między ludźmi i rzeczami ładunków elektrostatycznych. Rozmowy wygasły, jakby nagle obecnym zabrakło słów. Czułam ich oczekiwanie na to, co miało się wydarzyć. Gwałtownie uniosłam głowę i spojrzałam prosto w jasne, jakby pokryte białą mgłą oczy starej kobiety, którą otaczała aura tak naładowana energią, że kilkoro z klientów poczuło nagłą potrzebę opuszczenia lokalu albo zanurkowania pod blaty stolików.

Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt. Całkiem siwy warkocz oplatał jej głowę trzy razy, więc rozpuszczone włosy sięgały pewnie poniżej kolan. Naprawdę, właśnie to pomyślałam, patrząc na pomarszczoną jak suszona śliwka twarz i suchotnicze ciało otulone czarną wełnianą sukienką za kolano i grubą czarną chustą zrobioną na szydełku. Na zewnątrz było dobrze powyżej dwudziestu stopni, ale widać czasami osobowość przekłada się na odczuwanie temperatury, a babcia Antonia miała opinię zimnej suki. Zwykle

ludzie mówili to z dużo większym szacunkiem i dodawali kilka ozdobników: „podpora magicznej społeczności, z którą liczy się każdy, kto nie chce skończyć z klątwą na karku”, „uosobienie tradycji sięgającej bardziej brutalnych czasów” czy – po kilku głębszych – „szalona wiedźma, ale mając taką moc, można sobie na to pozwolić”.

Spotkałam ją dwa razy w życiu. Za pierwszym mnie uszczypnęła, a ja, pięcioletnia, rozryczałam się. Za drugim powiedziała prosto w oczy, że nie nadaję się na dziewczynę dla jej ukochanego wnuka, bo jestem za chuda, za głupia i mam za wąskie biodra do rodzenia dzieci. To złagodzony cytat. Zakwestionowała też prowadzenie się mojej rodziny na trzy pokolenia wstecz. Klon Junior powiedział po wszystkim, że chyba mnie polubiła, bo była całkiem miła, prawie powściągliwa.

Miałam wielką ochotę się ukryć. Albo wyemigrować. Najlepiej na Barbados. Dużo słonej wody między mną i Antonią Drzewiecką mogło być dobrym rozwiązaniem.

Kobieta, spowita ciemną aurą, podeszła do kontuaru. Wwiercała we mnie spojrzenie źrenic zwężonych jak dwie czarne główki od szpilek. Było w niej coś ptasiego. Z tych drapieżnych ptaków, które spadają gwałtownie z nieba i porywają twojego szczeniaka na kolację.

Ludzie w kawiarni wciąż wstrzymywali oddech. Cisza dawała się już kroić lepiej niż nieco zbyt wilgotny sernik z brzoskwiniami, który był dziś w ofercie specjalnej. Jeśli to potrwa chwilę dłużej, zaczną mdleć z niedotlenienia. Możliwe, że właśnie zaczynali sinieć. Nie mogłam tego sprawdzić, bo przykuły mnie świdrujące koraliki oczu babci Antonii, ale takie wstrzymywanie oddechu mogło być niebezpieczne. Udar u klienta w moim miejscu pracy, zaledwie dzień po wpadce na stadionie, mógł podlegać bardzo niesprawiedliwej interpretacji, a już z pewnością odbiłby się na

moich napiwkach.

– Witamy w StarBunny! Polecamy dziś cynamonową mocę z sojową pianką! – wyrecytowałam piskliwie, bo gardło ściśnięte miałam ze strachu.

– Zrobiłaś krzywdę mojemu wnukowi – oświadczyła ponura staruszka. – Jeśli tego nie naprawisz, zginiesz. Masz czas do zmroku. A to, żeby nic cię nie rozpraszało – dodała ze złośliwym uśmiechem i ułożyła palce w znak uroku.

Usłyszałam zbiorowy jęk od strony widzów i mój pisk, kiedy padłam na kolana, chowając się za osłoną kontuaru, ale było za późno. Czułam, jak zakłęcie przykleja mi się do skóry, przenika pod nią. Ręce zaczęły mi się trząść, gdy rozmyślałam gorączkowo, co zgotowała dla mnie seniorka rodu Drzewieckich, o której sam Klon Junior mówił z powściągliwym szacunkiem, że jest szalona jak kapelusznik.

– To tylko przystawka, dziewczyno – oświadczyła głośno. – Nie myśl, że to najgorsze, co dla ciebie mam. Daję ci szansę, nie spierdol tego – dorzuciła twardo.

Usłyszałam oddalające się kroki w ciężkich, przedpotopowych trzewikach. Po trzydziestu bardzo długich sekundach rozbrzmiał dzwonek nad drzwiami. Świst wypuszczanego powietrza nastąpił sekundę później.

Policzyłam palce i kończyny, obmacałam twarz i przejechałam dłońmi po ciele – wyglądało na to, że wszystko było na miejscu, nie wyrosły mi rogi ani ogon... Odetchnęłam z pewną ulgą, ale wciąż nie wiedziałam, co mi zafundowała. Wstałam z podłogi. Kolana mi się trzęsły.

Szalona seniorka zerknęła na mnie zza przeszklonych drzwi. Zadowolony z siebie uśmieszek nie schodził jej z wąskich, białych ust. Nie miała w tym dużej praktyki, więc wyglądała jak wilk szykujący się do zjedzenia Czerwonego Kapturka. I odeszła, tak po

prostu. Przejrzałam się w metalicznej obudowie ekspresu do kawy, spodziewając się, że zamiast nosa mam świński ryjek albo zaczynam pokrywać się niebieskimi kropkami. Moja twarz wyglądała jednak zupełnie normalnie. Garbek na nosie mógłby być nieco mniejszy, ale mogłam za to winić wyłącznie mojego ojca, a nie Antonię.

Rozejrzałam się po kawiarni, usiłując sprawdzić, czy cokolwiek rzuciła we mnie stara wiedźma, nie rykoszetowało w jednego z klientów, ale wyglądali całkiem normalnie. Tych kilku, którzy odbiegali od normy ogólnej, wciąż mieściło się we własnej, więc nie ponosiłam za to odpowiedzialności. Za to, nie bez zaskoczenia, zauważyłam, że plotkary i ciekawskie Jasie, którzy od rana nie mogli przestać się na mnie gapić, teraz nagle czuli przemożny przymus oglądania tapet, a nawet białych papierowych serwetek.

A co, jeśli oni już się domyślili, co mi zrobiła, i wiedzą, że za chwilę nie będę przedstawiać miłego widoku, więc na zaś unikają obrzydzenia? Byłam całkiem spiętrana i pewna, że malutki głosik w głowie babci Antonii chichotał z tego powodu nieustannie.

Zajęło mi dziesięć minut odkrycie, jaką klątwę rzuciła. Stare, przewrotne babsko...

– Ta kawa jest kwaśna – oświadczyła pani Bronowiec, odstawiając na kontuar dużą, białą filiżankę.

– Cukier, słodziki i miód mamy tutaj. – Wskazałam jej tacę ze wszystkimi możliwymi specjałami do zamieniania kawy w ulepek, choć pamiętałam, że nie dalej niż cztery minuty temu widziałam ją w tym miejscu, jak wsypywała trzy torebki stewii do filiżanki.

– A co mam zrobić z kwaśnym mlekiem, które się zwarzyło w mojej kawie? – zapytała złośliwie, podpierając się pod boki dla mocniejszego efektu.

Zajrzałam do jej filiżanki i poruszyłam płyn łyżeczką. Grube skrzepy kluskowatego mleka wypłynęły na wierzch w ułamku sekundy. Pachniało jak coś, co zostało na czas urlopu na stole i



dołożyło starań, by wykształcić prawdziwą kulturę oraz życie osobiste.

– Przepraszam, oczywiście już wymieniam na nową. – Zapewnienie okrasiałam „firmowym uśmiechem StarBunny”, szerokim i ociekającym życzliwością. Całkiem uzasadnioną, gdyż klienci płacili u nas za kawę naprawdę dużo i ich zadowolenie było gwarancją, że przyjdą znów i zostawią swoje pieniądze nie tylko w kasie, ale także w słoiku na napiwki.

Szybko zajęłam się przygotowaniem jej nowej filiżanki cappuccino. Pianka z mleka wypełniła puszystą chmurką białą porcelaną, a ciemny strumyczek aromatycznej kawy dopełnił ją do idealnych czterech piątych, dokładnie wedle wytycznych sieci. Oprószyłam całość posypką witalności gratis, by wyrównać jej poziom niezadowolenia. Przesunęłam filiżankę w kierunku pani Bronowiec, życząc jej smacznego, a ona tylko prychnęła i długim, kościstym palcem, zwieńczonym różowiutkim jak truskawkowe landrynki paznokciem, wskazała na swoje cappuccino. Wymknęło mi się cichutkie przekleństwo. Na powierzchni płynu unosił się nieapetyczny skrzep zsiadłego, żółtawego mleka.

– Musiało skwaśnieć w maszynie, zaraz ją wyczyszczę, a pani zrobię w drugiej – zapewniłam.

– Zapomnij, dziewczyno. To nie maszynę przekleła pani Antonia – powiedziała głośno.

Rozmowy w kawiarni ucichły. Znowu. Powietrze zgęstniało. Słyszałam muchę, która obijała się o szklany klosz lampy nad moją głową. Dzwonek przy drzwiach rozbrzmiał w tej naglej ciszy donośnie, niczym z kościelnej dzwonnicy. Z trudem zwalczyłam odruch, by znów paść na kolana i ukryć się za kontuarem, jak mała myszka w najciemniejszym kąciku.

– O moja Pani, łaski pełna – jęknęłam, widząc moją matkę wkraczającą do kawiarni.

Moją matkę prowadzącą na czerwonym sznurze do podwiązywania zasłon koziołka, który jako żywo musiał być Klonem Juniorem, skoro nie biegało po ziemi wiele koziołków pokrytych zielonkawą łuską. Dobijcie mnie, proszę! Gdzie szalona babcia Antonia z morderczą klątwą, kiedy jej potrzebuję?

Matka, energiczna jak zawsze, niemal tanecznym krokiem przemierzyła przestrzeń między drzwiami i kontuarem, a długa sukienka łopotała jej wokół stóp. Jeśli kiedykolwiek dorosnę, chciałabym mieć jej grację i pewność siebie. I tę, być może zdobywaną zaraz po wypchnięciu dziecięcia z łona, zdolność wprawiania go w zawstydzenie i przerażenie jednocześnie.

– Mamo... co tu robisz? To znaczy co tu robisz z NIM? – zapytałam cicho, choć każde ucho w kawiarni doskonale wylapywało mój szept.

Od zakłęk wyostrzających słuch powietrze drgało jak membrana bębna.

– Rodzice Juniora zadzwonili do mnie. Mieszkanie w bloku to nie miejsce dla koziołka. Męczył się biedaczek. A my mamy ogródek – odparła, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Mamo, nie możemy go wziąć, to nie jest psiak ze schroniska – zaprotestowałam.

Jej niebieskie oczy nagle zrobiły się chłodne, zmarszczki w kącikach pogłębiły się, rysy wyostrzyły. Skurczyłam się w sobie, bo w tej chwili nie rozmawiałam już z moją mamą, lecz z pierwszą wiedźmą mojego sabatu.

– Tylko do czasu, aż go odczarujesz. Jeśli zrobisz to w tej sekundzie, nie było tematu. A jeśli nie, może zmotywuje cię świadomość, że jesteś za niego odpowiedzialna, dopóki jest w tej formie – oświadczyła i rzuciła koniec sznurka w moją stronę, zaklinając go w locie. Obwiązał mi nadgarstek trwałym węzłem w ułamku sekundy.

– Nie możesz, mamo! – jęknęłam.

– Wszystko mogę. – Nagle straciła mną zainteresowanie i uśmiechnęła się szeroko. – Dzień dobry, Barnabo! – powiedziała radośnie.

– Aronio! Cudownie cię widzieć, jak zawsze – zapewnił mój szef, który nieoczekiwanie pojawił się po mojej stronie kontuaru. Jeśli nie będzie uważał, jeszcze ktoś pomyśli, że zamierza obsługiwać klientów. – Malino, daję ci dziś wolne. Wróć, jak uporasz się z tym bałaganem, nie wcześniej. Albo nie wracaj, jeśli to nie minie – oświadczył.

– Co nie minie? – zapytałam przygnębiona, bo nagle StarBunny wydało mi się tak miłym i spokojnym miejscem, że chciałam spędzić tu cały dzień.

– Klątwa. Skisło całe mleko w kawiarni. Nawet sojowe i migdałowe. Nie tylko to tutaj – wskazał maszynę i mleczniki – ale cały zapas na zapleczu. To się musi skończyć, za drogo mnie kosztuje ta cała klątwa, więc zmykaj – powiedział i zawiązał sobie w taliu różowy fartuszek, stanowczo za mały na jego masywną sylwetkę. Wyglądał jak różowy listek figowy i trzymałam kciuki, by miał pod ręką coś więcej, gdyby kiedyś zniknęło z niego ubranie. Takie rzeczy się zdarzają w miejscach, gdzie bywają magiczni przed pierwszą kawą.

– Babcia Antonia tu była? – zapytała mama, przysłaniając usta. Kryła uśmiech, nie przerażenie tym, co spotkało jej najmłodszą pociechę. Wyrodna mać.

Przytaknęłam smętnie, zdejmując fartuszek. Sznurek obwiązujący lewy nadgarstek nie ułatwiał sprawy.

– No tak, jej popisowa klątwa. Zawsze była starej daty, nawet jako młoda dziewczyna – powiedziała mama.

– Mamo, odwiąż ten sznurek. – Pomachałam nadgarstkiem. – Przecież go nie wepchnę pod samochód ani nie porzucę w schronisku.

– Ale tak masz znacznie lepszą motywację, by pracować nad

antidotum. Małe koziołki są bardzo żarłoczne i ciekawskie. – Uśmiechnęła się złośliwie i tak po prostu, w łopocie sukienki, w chmurze jaśminowych perfum, opuściła kawiarnię.

Barnaba jęknął rozdzierająco. Od dawna wpatrywał się w nią jak szczeniak, ale widać jej władcze wcielenie działało na niego nawet bardziej. Czasami zastanawiałam się, czy nie zatrudnił mnie, niepełnoletniej (bez żadnego doświadczenia i z CV napisanym na papeterii z Harrym Potterem), tylko po to, by co jakiś czas pogapić się na moją matkę, która za kawą nie przepadała, ale lubiła mieć oko na swoją nieco mniej udaną córeczkę.

Opuściłam kawiarnię niewiele później niż ona, bo Barnaba dosłownie wypchnął mnie za próg, kiedy klienci zaczęli się skarżyć na kwaśnienie mleka nawet w zamówieniach, które już dopijali. Jedna z królowych plotki stopniowo zieleniała i zaczęłam się zastanawiać, jak żołądki klientów zareagują, jeśli mleko skisnie już po wypiciu? Zwiąłam, zanim mnie zlinczowali.

Pokryty łuską koziołek przeżuwał sznurek, na którym próbowałam go prowadzić, kiedy akurat nie zapierał się kopytkami, nie szarpał za rąbek spódniczki przechodzącej obok kobiety, nie zatrzymywał się przy kwietniku, by wtykać nos w anemony. Święci pańscy i kardynałowie żywiołów, wszyscy się na nas gapili. Jeśli dotąd żył ktoś, kto nie miał pojęcia, co się wydarzyło dzień wcześniej na meczu, teraz już wiedział.



Myślałam, że nie może być gorzej. W godzinę później zrozumiałam, że myśląc tak, rzucałam losowi wyzwanie.

Siedziałam na łóżku w moim pokoju i przeglądałam notatki w grimuarze, próbując znaleźć rozwiązanie na jednej z kartek zapisanych kolorowym, pachnącym atramentem. Byłam

zdesperowana i próbowałam już nawet czarowania automatycznego. Otworzyłam notes na czystej stronie, trzymałam wilgotną od różowego atramentu stalówkę przy papierze, czekałam na inspirację, duchy przodkiń popychające moją rękę, cokolwiek. Zdołałam tylko narysować kwiatek, napisać: „Klon to idiota skończony” i naszkicować szubieniczkę z dyndającym trupkiem, czyli mną. Idiota skończony w tym czasie korzystał z całej swobody, jaką dawały mu trzy metry sznurka, co chwila szarpiąc mnie za nadgarstek, naciągając improwizowaną smycz do oporu, wtykając nos w szuflady, pod łóżko, wyciągając spod niego spodnie od pizamy w wisienki i napisy „cherry bomb!”, pożerając lśniące od kolorowych fotografii strony „Cosmopolitan”, które na pewno nie wyjdą mu na zdrowie, jeśli nie zdąży ich strawić jeszcze jako koziołek. Ludzie nie trawią papieru zbyt dobrze. Kozy trawią wszystko, jak widać. Wyszarpnęłam mu z pyska trampek z Iron Manem i próbowałam wychować w ułamku minuty, skoro byłam skazana na jego obecność, zanim nie rozwikłałam problemu. A nie mogłam go rozwikłać, skoro co chwila coś rozwalał, zrzucał lampkę ze stolika nocnego, próbując zjeść przewód, albo zaczynał skakać w miejscu, ścigając się z własnym cieniem na ścianie.

Przeglądałam podręcznik transmutacji, kiedy kozioł zakrztusił się i usłyszałam dziwnie ludzki kaszel. Zerknęłam pod łóżko, skąd dochodziły dźwięki. Gałgan próbował zjeść frędzle mojej szaty ceremonialnej. Nieużywanej i zakurzonej. To nie był kompatybilny ze mną rodzaj magii. Tak, moja siostra była kapłanką magii ceremonialnej, symetrycznej, poukładanej, sformalizowanej, wymagającej kunsztownych rytuałów i pełnych gracji gestów. Ja w czasie każdego z nich czułam się jak przebieraniec, figurant, który ubrał się w zasłonę z salonu prababki i udaje, że wie, o co w tym wszystkim chodzi. A moje wyniki, cóż, odbiegały od oczekiwań, całkiem jak wtedy, kiedy w chwili intelektualnego zaćmienia

porywasz się na domową trwałą. Oczami wyobraźni widzisz ten wspaniały efekt końcowy – miękkie i sprężyste loki. Tymczasem kończysz jako pudel z lat osiemdziesiątych na zdjęciu z policyjnej kartoteki, zrobionym tuż po napadzie na fabrykę lakieru do włosów.

Tego, jak czułam magię, nie potrafiłam zamknąć w żadnej formie. Dlatego miałam teraz taki kłopot z Klonem. Gdybym chciała ceremonialnie zakląć go w kozła, potrzebowałabym dłuższych przygotowań, ołtarza, kielicha, noża, świec, szaty, ułożenia inkantacji. Miałabym czas pomyśleć. Tymczasem moja magia nie zawracała sobie głowy myśleniem. Jest gorącym uczuciem, sierpniowym dniem nad rzeką, musującym żarem, wypływa ze mnie jak woda z syfonu po świeżym nabiciu naboju z dwutlenkiem węgla. Próbowałam ją powściągać. Naprawdę.

Przeszłam pełne szkolenie ceremonialne, skoro moja rodzina w tym właśnie typie magii celowała. Ale głosik w głowie szeptał mi, że jestem uszkodzona, niedoskonała i zawiodę wszystkie nadzieje, jakie we mnie pokładają. O ile po kilku spektakularnych porażkach ktoś z rodziny jeszcze je miał.

Wyszarpywałam akurat obślinione frędzle z zaciśniętych zębów Klona, kiedy zadzwonił telefon. Widząc na wyświetlaczu numer mojej siostry, zamknęłam oczy i zażyczyłam sobie szybkiej śmierci. Na przykład samozapłonu. Albo pioruna z jasnego nieba. Albo pożarcia przez kozę. Cokolwiek. Telefon umilkł po ósmym odegraniu melodyjki z „Doktora Who”, którą przypisałam numerowi Jagody. Przez chwilę myślałam, że mi się upiekło i zostanie mi oszczędzony wykład o nieodpowiedzialności i braku opanowania autorstwa mojej doskonałej i jedynej w swoim rodzaju starszej siostry. Jej Wysokość Jagoda nigdy nie zrobiła czegoś, co wymagałoby zwołania sabatu. Poza zdaniem egzaminów z wyróżnieniem, kiedy zebrały się, by świętować. W moim wieku miała już doskonałą pracę, idealnego narzeczonego, który rok

później był jej idealnym mężem. Wkrótce dochowają się idealnych dzieci, córek, jak przystało na ród Koźlaków. A była ode mnie starsza tylko o cztery lata.

Dźwięk esemesa zabrzmiał jak wystrzał. Schowałam głowę pod poduszkę, a wścibskie koźlątko zaczęło żuć moje włosy i szturchać kopytkiem w zębra.

– Nie denerwuj mnie, Klon, to wszystko twoja wina. Naprawdę nie mogłeś się oprzeć, nie?

Moje marudzenie tłumiała poduszka, ale zrozumiał dość, by zabczeć z oburzoną niewinnością. Po czym popchnął komórkę po narzucie, aż znalazła się pod moją dłońią.

– Naprawdę myślisz, że to jest to, czego potrzebuję w tym momencie? Dostać zjeby od mojej perfekcyjnej siostry? Myślisz, że to pobudzi moją kreatywność i podbuduje wiarę w siebie na tyle, że rozwiążę problem z lekkością baleriny?

Zabczał przeciągle. Wyrzut i upór. Tak, powinnam wpaść na to, że moja podświadomość nie wybrała koziółka przypadkowo, kiedy rzucałam zaklęcie.

Przeczytałam tę cholerną wiadomość. „Zajrzyj na Facebooka, wysłałam ci link”. Tylko tyle, żadnego komentarza ociekającego średnio zakamuflowanym poczuciem wyższości. Wszystko przede mną, pomyślałam, uruchamiając komputer. Przy okazji mogłam popytać na wiedznych forach, czy ktoś wie, jak odwrócić klątwę, jaką rzuciłam na Klona.

Mój profil zasypany był wiadomościami. Bez czytania domyśliłam się, że większość z nich napisali moi krewni. Miałam bardzo rozległą siatkę kuzynów, cioć i wujów, trzy pokolenia białych owieczek, którym wczoraj dostarczyłam dowodu na czarne inklinacje. Dotąd tylko to podejrzewali, teraz mieli pewność.

Odszukałam wiadomość od Jagody, która na profilowym zdjęciu pozowała z mężem i szczeniakiem, co pasowało doskonale do całej

treści jej profilu. W wiadomości od niej był tylko link do YouTube. W sekundzie, w której weń kliknęłam, pożałowałam tego sromotnie.

Nagle wszystko wróciło. Trybuny lokalnego stadionu. Mecz półfinałów. Ja w czarnej, dopasowanej sukience. Całkiem ładnie wyglądałam, musiałam przyznać. Klon opadający na kolano i wyciągający w moją stronę pierścionek zaręczynowy. Szalejący tłum. Ja w panice rzucam zaklęcie, Klon się zmienia, tłum szalejący już w mniej przychylny sposób. Uciekam, przeciskam się między ludźmi, dopóki nie wzmocni się wokół mnie zielonkawy smród siarki i bagna – wtedy sami się rozstępują, bylebym była jak najdalej od nich. Wszystko w jakości HD, bo ten jełop postanowił nie tylko oświadczyć mi się na stadionie pełnym ludzi, ale również na oczach kamery – KissCam wyświetlał każdy nasz ruch na wielkich telebimach. Żadnej presji, mała! To nie tak, że szantażuję cię emocjonalnie, żebyś przyjęła mój pierścionek na oczach dwóch tysięcy ludzi, choć nigdy wcześniej nawet nie rozmawialiśmy o małżeństwie i spotykamy się dopiero od dziesięciu tygodni!

Filmik miał dwadzieścia siedem tysięcy wyświetleń. Bogowie rzek i fauny leśne, wszyscy to widzieli... Przynajmniej wszyscy magiczni. Algorytm, który magiczni hakerzy nałożyli na stronach takich jak te, sprawiał, że normalny człowiek prawie na pewno nie trafi na film demonstrujący prawdziwą magię, o ile udało się takowy nagrać. Tyle że filtr nie działał na magicznych. Dwadzieścia siedem tysięcy wyświetleń, a licznik wciąż bije... Moje upokorzenie było sprawą publiczną. Ocierałam wierzchem dłoni łyzy z policzków, a one nie przestawały płynąć.

Koziołek zaglądał mi przez ramię, tuptając kopytkami po kołdrze. Wydawał się zdezorientowany i jakby zawstydzony.

– Naprawdę myślałeś, że to dobry pomysł? Odstawienie tej publicznej szopki? – zapytałam cicho. – Nie pomyślałeś, że mogę odmówić i będzie ci głupio? Czy myślałeś, że nie odważę się



odmówić, z tą całą presją oświadczyn w miejscu publicznym?

Musiałam mu przyznać, że miał dość przyzwoitości, by wyglądać na nieco zawstydzonego. A potem uniósł główkę i zabeczał, zatupał, jakby próbował się ze mną klócić. Westchnęłam. Byłam wiedźmą powietrza, nie ziemi, nie potrafiłam się z nim porozumieć. Nie w tej formie. Możliwe, że nawet w formie ludzkiej mnie to przerastało, skoro doszło do tej całej sytuacji.

– Skoro i tak już jesteś pod wpływem uroku, co nam szkodzi rzucić jeszcze jeden, co? – powiedziałam.

Przez chwilę wydawał się nieufny, a potem skoczył dziarsko w moją stronę i tryknął mnie rogatym łebkiem w ramię.

– Głupiś czy odważny? – zapytałam i odnalazłam odpowiednią stronę w moim grimuarze. Kremowy papier zeszytu był w tym miejscu lekko przybrudzony plamą z herbaty, ale zielony atrament nie ucierpiał i wciąż pachniał cytryną. Odczytałam zaklęcie i zrobiłam znak na koźlim łebku, między rogami.

Przez chwilę myślałam, że nie zadziało, bo w głowie brzęczała mi tylko cisza, a potem usłyszałam cichutki chichocik. To małe bydlę się śmiało.

– Co cię tak bawi? – zapytałam.

„Łaskoczesz mnie włosami w nos” – pomyślał koziołek.

Złapałam końcówki jasnych włosów, które faktycznie majtały się na wysokości jego nozdrzy.

„Ale wdepnęłaś, nie?” Odskoczył na łóżku, widząc, że chcę go pacnąć między uszy.

– Ja? To nie ja jestem kozłem. I nie mam łusek – dodałam mściwie.

„To nie mnie dopadnie sabat”.

– Ale zanim to zrobi, zdążę cię oddać w ręce Alego i przekonam go, że kebab z koźliny to jest właśnie to, co wzbogaci menu w jego knajpie! – zagroziłam.

„To byłby kanibalizm”.

– Tylko gdyby zjadły cię kozy.

Wywalił język i udał, że się krztusi.

„No dobra, odczaruj mnie, już skumałem, że nie chcesz za mnie wychodzić” – pomyślał po chwili. „Swoją drogą, wystarczyło powiedzieć »nie«, wiesz? Nie musiałaś robić tego całego »pow wow tss« i zmieniać mnie w dziwadło”.

Opadłam plecami na łóżko i przytrzymałam pięściami skronie, które zaczęły pulsować tak, jakby miały wybuchnąć. Od wczoraj zastanawiałam się, dlaczego właściwie zareagowałam w ten sposób. Bo przecież to nie tak, że go nie lubiłam. Klon Drzewiecki był fajnym chłopakiem. Sympatycznym, przystojnym, bystrym, poza wiadomą sytuacją... Co było ze mną nie tak? Moja siostra przyjęła oświadczyzny Kamena w tym samym wieku. Nie zamieniła go publicznie w kozę.

Poczułam ciepły podmuch na moim policzku i uniosłam powieki. Wielkie, wilgotne ślepka z poziomymi, prostokątnymi źrenicami wgapiały się we mnie. Tęczówki wciąż miały zielonkawy kolor, pozostałość z ludzkiej formy Klona.

– Dlaczego mi się oświadczyłeś? – zapytałam cicho.

„Myślałem, że tego chcesz. Byłaś coraz bardziej spięta. W kółko mówiłaś o ślubie kuzynki. Lubię cię, fajnie nam razem. Myślałem, że zerwiesz ze mną, jeśli tego nie zrobisz” – pomyślał nagle całkiem poważny.

Zakłęłam. Owszem, byłam spięta. Dobrze rozpoznał emocje, tyle że nie znał ich źródła. Zbliżał się ślub mojej kuzynki, a ja doskonale wiedziałam, co to dla mnie oznacza. Maja miała dwadzieścia lat. Rok mniej niż ja. W mojej rodzinie kobiety wychodziły za mąż młodo. Szybko zakładały rodziny. Wydawały się z tego cieszyć i realizować na tej ścieżce całkiem dobrze. Mnie na samą myśl o ślubie, teraz czy w najbliższej przyszłości, robiło się niedobrze. To prawdziwy cud, że na nagraniu zamieniam Klona w koziołka, a nie

rzygam mu na buty, serio. Wesele kuzynki miało być kolejną okazją, by cała żeńska linia mojej rodziny wsiadła na mnie i zadreczęła mnie pytaniami, kiedy mój ślub, czemu nie mam poważnego chłopaka, na co czekam, nie robię się młodsza, tik-tak, zegar biologiczny nie zwalnia, kiedy obdarzę moją matkę wnukami, kiedy wyprowadzę się z rodzinnego domu, kiedy zrobię wszystko to, co powinna zrobić dziewczyna w moim wieku. Jakby dwadzieścia jeden lat było jakimś poważnym wiekiem.

Na zewnątrz, w normalnych rodzinach, w ludzkim świecie dwudziestojednolatka, która planuje ślub, wywołuje u rodziców nerwowe drgawki. Pewnie próbowaliby jej to wyperswadować, przepowiadając rychły rozwód.

U Koźlaków powołaniem kobiety było wyjść za mąż, urodzić dzieci. Rozwody zdarzały się dość często, bo mężowie nie byli gotowi na to, że biorąc jedną Koźlakównę na głowę, dostają całą resztę rodziny w komplecie. Ale tak już było i nikt się tym nie przejmował, bo były dzieci, ród był przedłużony. Z tym nie należało zwlekać, zdaniem moich ciotek, ciotecznych babek i kuzynek.

W wieku dwudziestu jeden lat mam podjąć decyzję na resztę mojego życia. Na miłość boską, nie mogę się zdecydować, co chcę w życiu robić, na jakie iść studia, o ile mnie na jakiegokolwiek przyjmą! Nie mogę się zdecydować nawet na rozesłanie CV do innych miejsc, w których lubiłabym pracować bardziej niż w StarBunny! To nie ma sensu!

„Czemu znów przeciekasz?” – usłyszałam i szorstki, gorący język polizał mnie po policzku.

– To jest obrzydliwe – powiedziałam.

„Gdybym nie miał kopyt i rogów, nie mówiłabyś tak”.

Westchnęłam. Zaczęłam się z nim spotykać, bo czułam nieznośną presję posiadania miłego chłopaka, którego raz w tygodniu mogę przyprowadzić na rodzinną kolację, a kilka razy w tygodniu

mogliśmy wyskoczyć na jakąś niezobowiązującą randkę. Czasami mogliśmy się pomigdać w jego samochodzie albo pokoju, bo w jego mieszkaniu zwykle nikogo nie było – rodzice spędzali większość dnia w centrum ogrodniczym, które było ich oczkiem w głowie. Naprawdę go lubiłam. A mama i ciotki przestały wypytywać, czy jestem lesbijką, takim tonem, jakby pytały mnie, czy dosypuję proszku ze zmielonych niemowląt do porannej kawy. Nie uważałam, by bycie lesbijką klasyfikowało się jako zło. Ciotki pewnie wołałyby, żebym parała się czarną magią, niż odeszła od doskonałego wzorca, który moi krewni realizowali od pokoleń.

– Nie, mam, nie jestem lesbijką – powiedziałam do siebie. – Gorzej, jestem artystką – dodałam tonem rozsądnego i opanowanego coming outu, który ćwiczyłam od lat. I nigdy nie odważyłam się zacząć tematu.

„Jesteś artystką?” – zapytał Klon i zaczął mnie trącać łebkiem, kiedy nie odpowiedziałam od razu.

– Tak, jestem – westchnęłam ciężko.

„Taką od nagich performance’ów?” – zapytał z nadzieją.

Parsknęłam śmiechem.

– Rysuję. Komiksy – dodałam. Byłam zła na ten rumieniec, który wypełził mi na twarz, jakbym przyznawała się do dziwnego fetyszu. Na przykład dochodzenia podczas toczenia po podłodze jajek na twardo. Bogowie...

„Nigdy o tym nie mówiłaś”.

– Nikomu o tym nie mówiłam.

„Jesteś dobra?”

Patrzyłam przez chwilę na koziołka. Z przekrzywioną główką czekał na odpowiedź, której nie miałam. Nie wiedziałam, czy jestem dobra. Nikomu nie pokazywałam swoich prac. Wierzyłam, że jestem, ale to nie to samo, co wiedzieć.

„Jesteś dobra?” – powtórzył pytanie.

Wzruszyłam ramionami.

– Zajmijmy się lepiej szukaniem rozwiązania naszego problemu – wykręciłam się od odpowiedzi. Zostało mi niewiele czasu. Spojrzałam na zegarek, miałam mniej niż dwie godziny do końca terminu, jaki wyznaczył mi sabat. Niewiele później przebiegała granica cierpliwości babci Antonii. – Masz jakiś pomysł?

Podskoczył dwa razy i pokręcił głową.

„Może zrobisz to samo, co wtedy, kiedy mnie zakłętaś, ale w odwrotnym kierunku?” – podpowiedział.

– Niezła myśl, tyle że ja nie pamiętam, co zrobiłam! – jęknęłam sfrustrowana. – Samo przyszło. Pamiętam tylko gorąco i pulsowanie ciemności. Nie pamiętam słów...

Pocierałam czoło tak mocno, jakbym wciąż miała nadzieję, że wyskoczy mi z głowy Atena, znająca odpowiedzi na wszystkie pytania.

„Mało precyzyjne, ale przecież mamy film”.

To naganne, ale naprawdę cieszyłam się, że rzuciłam na niego urok. Ten drugi, dzięki któremu mogłam czerpać otuchę z uspokajającego tonu, tak typowego dla Klona. Wydawał się mieć pewność, że rozwiązanie czeka tuż za rogiem i niemożliwe, by coś poszło nie tak. To jedna z tych rzeczy, za które polubiłam go na samym początku. Oaza spokoju, kotwica w czasie burzy. Nie licząc dowcipów z seksualnym podtekstem, ale i te wrosły w moje poczucie humoru całkiem szybko, gdy zrozumiałam, że ten idiota tak oswaja sytuacje, które bez tego mogłyby być zbyt napięte. Jak mi wyjaśnił, porządny szaman ziemi denerwuje się naprawdę tylko wtedy, gdy ziemia drży mu pod nogami.

Obejrzałam nagranie jeszcze z piętnaście razy, próbując wymyślić, jak właściwie rzuciłam ten urok. Zamknęłam oczy, to na pewno. Widziałam jakiś ruch prawej dłoni, ale niezbyt wyraźnie, bo między mną i kamerą był jeszcze Klon. Cholera! Puszczalam filmik raz za

razem, próbując nie stresować się tym, że liczba wyświetleń przekroczyła już trzydzieści tysięcy.

Sprawdzałam właśnie, czy na forach, na których zostawiłam pytanie o antidotum, ktoś nie wpadł na jakiś sensowny pomysł, kiedy zastanowiła mnie cisza. Żadnego beczenia, podskakiwania, trykania mnie, gadania mi w myślach, a urok wciąż jeszcze powinien działać. Pod pewnymi względami koźleta są jak małe dzieci. Cisza jest bardziej niepokojąca niż brzdęk tłuczonego szkła. W amerykańskich filmach nastolatki uczą się o trudach macierzyństwa na lalkach. Kozy byłyby znacznie bardziej realistyczne.

Odwróciłam się gwałtownie, pociągając sznurek wciąż przywiązany do mojego nadgarstka, szukając koziółka. Drzwi do pokoju były zamknięte, więc musiał gdzieś tu być!

Stał na krześle, opierając się przednimi kopytkami o biurko, i pochylał głowę nad czymś, co leżało na blacie. Dostrzegalny ruch zuchwy sprawił mnie w panikę.

– Zostaw to! Nie jedz! – krzyknęłam i jednym skokiem byłam przy nim, gotowa wyciągnąć moje rysunki z gardła żarłocznej kozy.

„Jesteś dobra” – powiedział spokojnie, nie odrywając oczu od rysunków, które wyciągnął z teczki i rozrzucił po całym blacie.

Zaczęłam je zbierać, ręce mi drżały, a kula w gardle prawie odebrała możliwość złapania oddechu.

„Jesteś dobra, słyszałaś? Słyszysz mnie jeszcze?” Podskoczył niespokojnie na krześle.

– Słyszę – mruknęłam. – Nie miałaś prawa tego oglądać – dodałam szeptem.

„Chciałem zrozumieć”.

– I co, rozumiesz choć trochę?

„Całkiem dużo” – powiedział. „Dlaczego nikomu tego nie pokazałaś?”

– Wiedzmy nie rysują komiksów.

„Ta jedna rysuje i jest w tym całkiem niezła”. Tryknął mnie w biodro.

A gdy nie reagowałam, zaczął opowiadać:

„Mój wujek Antoni śpiewa, kumasz? W rodzinie zielonych wiedźm urodził się ktoś bez zielonego kciuka, olaboga, za to śpiewa genialnie. Bluesa, mówię ci, serce się łamie”. Odstawił całą pantomimę ze złamanym sercem i zgonem w drgawkach. Nie było mu łatwo złapać się za serce, gdy zamiast dłoni miał kopytka, ale dał radę. „Rodzina była zaszokowana, totalnie oszołomiona. Zebrali się całą kupą na rodzinną interwencję”.

– I jak się to skończyło? – zapytałam cicho.

„Normalnie. Wujek dalej śpiewa, nagrał dwie płyty. A familia puszcza jego muzykę w szklarniach, by pobudzić rośliny do wzrostu. W ten sposób mogą wierzyć, że wciąż jest jednym z nich, magicznych ludzi z zielonym kciukiem, którzy zaklinają rośliny. Wujkowi to nie przeszkadza. Twierdzi, że gwarantowana pełna sala słuchaczy to nie jest coś, co można lekko odrzucić. Nie przestał być naszym krewniakiem tylko dlatego, że nie potrafiłby wyhodować rzeżuchy na wacie”.

Zaczęłam ryczeć. Tak po prostu. Ścisnęłam teczkę z moimi rysunkami i wyłam, łzy spływały mi po twarzy i nie było to ładne, kobiece uronienie łezki, ale wycie z zasmarkanym nosem i fontanną z oczu czerwonych jak u królika. Cholera.

„No już, przestań” – usłyszałam w głowie, a koźle zęby zaczęły przeżuwać rąbek mojej koszulki. „Zróbmy coś konstruktywnego, sam nie wiem, odczarujmy mnie, co ty na to?”

Podeszłam do łóżka, wciąż roztrzęsiona.

– Nie rozumiesz. Ja nie wiem, jak to zrobić! Próbowałam wszystkiego! Nie znalazłam żadnego zaklęcia, które mogłoby mieć takie działanie! Nawet gdybyś nażarł się jakichś dziwnych ziół przed

randką, nie powinnam zamienić cię w coś, co nie istnieje! W tym podręczniku – pomachałam tomiszczem o transmutacji – stoi jak byk, że tak to nie działa! By zamienić człowieka w zwierzę, trzeba skomplikowanego rytuału, wywaru przyrządzanego prawie trzy tygodnie, użycia twojego DNA i DNA stworzenia, w jakie chciałabym cię zmienić... Niemożliwe, by biegało po świecie łuskowate koźlątko, którego kropla krwi przypadkiem zaplątała się z twoją do mojego kociołka, kiedy akurat gotowałam wywar na rozjaśnienie piegów, a przez sklezione kartki w grimuarze zamiast tego zrobiłam piętrowy wywar transmutacji, który całkiem przypadkiem podałam tobie, myśląc, że to lemoniada... To jest idiotyczne, ale jest najbliższe wytłumaczeniu tego, co zaszło! – krzyczałam i wymachiwałam rękoma, szarpiąc czerwony sznurek.

„Czyli możemy założyć, że to nie tak zaszło, prawda?” – pomyślał całkiem spokojnie. „Teraz tylko rozgryziemy szczegóły. W tej formie jestem bardzo dobry w gryzieniu”.

– Jesteś bardzo głupiutkim koźlikiem – szepnęłam.

„Niech cię nie zwiodą moje oceny z matematyki!” Hopsnął energicznie na łóżku. „Dobrze! Wiemy już, że nie stworzyłaś naparu i nie użyłaś magii ceremonialnej, musimy tylko zrozumieć, jakiej magii użyłaś. A wtedy to odkręcimy, jak trudne to może być?”

– Jak coś, co po dwudziestu dwóch godzinach kminienia wciąż jest niewiadomą? – zapytałam.

„No tak, ale wcześniej nie miałaś mnie do pomocy”.

Słowo daję, posłał mi koźli uśmiech. W całej tej sytuacji ten idiota się uśmiechał. A ja nie mogłam się powstrzymać i odpowiadałam mu tym samym.

„Dobra, zrobimy regresję”. Kontrast między bardzo poważnym tonem a skocznością koźlęcia był uderzający. „Połóż się wygodnie i zamknij oczy” – zakomenderował.

– Już to kiedyś słyszałam – mruknęłam.



„W tej formie nie zdołałbym nabroić, a zapięcie stanika masz na plecach”.

Posłuchałam, bo co miałam do stracenia? Za mniej niż dwie godziny mój czas się skończy. Bałam się sabatu i tego, co mnie czeka z ich rąk, ale bałam się też o Klona. Musiałam się zmierzyć z trudną prawdą. Jeśli nie zrozumie, jaki rodzaj magii odpowiada za przemianę, szanse na to, że ktoś inny zdoła go odczarować, są nikłe. I mógł w tej formie ugrzęznąć po kres swych dni. Wuj Norman w ciele żółwia dożył setki. Jak długo żyją koziołki?

I choć wciąż byłam wkurzona na Klona, musiałam przyznać, że wcale nie chcę, by jego życiowe wybory zredukowały się do tego, co przekąsić: mleczyk czy gazetę. Przesadziłam. Niechcący, ale przesadziłam. I musiał być jakiś sposób, by to naprawić. Moje pomysły się skończyły, więc jeśli koziołek każe mi się położyć i zamknąć oczy, robię to.

„Dobra, skup się. Pomyśl o wczorajszym dniu, jest osiemnasta, zaczyna się mecz, jeszcze nic się nie wydarzyło. O czym myślisz?”

– O konkursie – odpowiedziałam odruchowo.

„W sensie o meczu?”

– Mecz mam w nosie. To ty chciałeś go oglądać, a ja nie miałam nic lepszego do roboty. Ale tuż przed wyjściem z domu znalazłam w sieci informację o konkursie. Termin nadsyłania zgłoszeń wypada pojutrze. Mało czasu, ale do zrobienia, jeśli wpadnę na sensowny pomysł.

„Co to za konkurs?”

– Pasek komiksowy w duchu superbohaterskim, nawiązujący do historii Krakowa.

„O, to wyjaśnia łuski. Nie otwieraj oczu! Co się dalej działo? Przypomnij sobie!” Poczułam jego kopytko na ramieniu, gdy dociskał mnie do materaca. Skupiłam się, przywołując to, co zapamiętałam z tamtej chwili.

– Żuraw... ta kamera, czemu ona podjeżdża tak blisko? Co się... o cholera! Zabiję cię, Klon! Nie rób tego! Idiota skończony! Pow wow!

„Czemu »pow wow«? Wtedy też to powiedziałaś, to jakies zaklęcie?” – wydawał się zaintrygowany.

– Nie! To dymki z komiksów, rozumiesz, zapis dźwięków uderzenia... – Nagle umilkłam. Niemożliwe.

„Hmmm... Możesz mi właściwie wytłumaczyć, jak działa twoja magia?” – zapytał koziołek telepatycznie.

To nie jest pytanie, które zadaje się lekko. Nawet w długotrwałych i stabilnych związkach. Nawet w rodzinie bardzo rzadko się o tym rozmawia. To jest prywatne, intymne.

– Jak u każdego, tylko nieźbornie? – burknęłam.

„Nie ma czegoś takiego, jak »u każdego«”. Zabeczał i brzmiało to całkiem jak śmiech albo ja już za bardzo oswoiłam się z obecnością kozy w mojej sypialni. „Widzisz płonące litery, nici magii, sięgasz do magicznych linii, układasz równanie, przesuwasz cegiełki? Jak to widzisz?”

– Nie wiem, nie myślałam nad tym... w grimuarze był opis płonących liter, ale szczerze mówiąc, nigdy ich nie widziałam. – Zasłoniłam twarz ze wstydu. Gdyby potrzebował więcej dowodów na to, że jestem magicznie upośledzona...

„Też ich nigdy nie widziałem” – pomyślał całkiem spokojnie. „Ja widzę złote wstążki, którymi muszę opleść roślinę, by nasycić ją energią, pozwolić jej się po tej wstążce wspinać w górę. A ty?”

– Obrazy – wyrzuciłam z siebie, zaskoczona, bo gdy się nad tym zastanowiłam, to było oczywiste. – Rysunki, ramki komiksowe, następujące po sobie.

„A wtedy? Widziałaś jakiś z »pow wow«?”

O jasna Anielka! Wskoczyłam z łóżka i płacząc się w zwoje czerwonego postronka, podbiegłam do biurka. Rozłożyłam arkusz czystego papieru i starannie podzieliłam go na ramki za pomocą

czarnego markera. Normalnie sięgnęłabym najpierw po ołówek, a potem poprawiała, ale teraz napięcie rozsadzało mi tętnice, bo jeśli to było to...

Rysowałam szybko, z trudem koncentrując się na utrwaleniu niezbędnych szczegółów i detali, które mogły okazać się śmiertelnie istotne. Czarny tusz odbijał się od bieli kartki – zamaszyste linie, miękkie łuki. On na kolanie u jej stóp, pierścionek, setki twarzy rozmytych jak światła wielkiego miasta, żuraw z kamerą, lustrzane odbicie w telebimie. Zbliżenie jej twarzy, przy niej dłoń jak spłoszone ptaszęta, absurdalnie kręcone włosy, kropla potu spływająca po skroni, otwarte usta i terror w oczach. Rozbłysk i „pow wow” w gwiazdkach. Koziołek z łuskami, odbłask flesza w jego poziomych źrenicach. Ucieczka, wzburzony tłum, gniewne okrzyki i lincz w powietrzu. Miałam to. Oddychałam szybko. Palce na flamastrze zaciskałam tak mocno, że zaczynał drżeć. Odłożyłam go na chwilę, tylko po to, by wyprostować palce, pozbyć się skurczu w śródreżcu, rozluźnić nadgarstek.

Miałam to. Miałam to. Miałam to. Mogę to zrobić. Czułam, że jestem coraz bliżej, że jest na wyciągnięcie ręki.

Kolejna klatka. Moja sypialnia. Szata z obgryzionymi frędzlami. Koziołek na łóżku. Czerwony sznurek biegnący od jego szyi przez podłogę, znikający w bocznej linii kadru. Kolejna – ja tyłem, przy biurku, zgarbiona, widać rozrzucone kartki, słycać skrzypienie flamastra. Zbliżenie na kartkę, a na niej koziołek otoczony poświatą, „wow pow”. Kolejne okienko – na łóżku siedzi nagi Klon, zasłaniający się poduszką, z szerokim uśmiechem, dymek: „Czy naprawdę nie umiesz rysować męskich ubrań?”

Poczułam to, zanim jeszcze skończyłam miękkimi liniami rysować włosy Klona. Gwałtowne uderzenie energii, gorącej, ale mniej chaotycznej niż dotąd. Magia rozedrgała powietrze i wdychając je, wdychałam czyste światło.

Bałam się odwrócić od biurka. Zgarbiona jeszcze bardziej, zaciskałam palce na flamastrze, plastik trzeszczał, w każdej chwili mógł roztrzaskać się w drzazgi, a czarny tusz splami wszystko...

– Naprawdę nie umiesz rysować męskich ubrań? – usłyszałam za sobą i zaczęłam się śmiać tak bardzo, że z trudem utrzymałam się na krześle.

– Udało się – powiedziałam wreszcie. Ocierając twarz, odwróciłam się w stronę łóżka. Klon, dokładnie jak na rysunku, zasłaniał się poniżej pasa poduszką. Tyle że ta na rysunku była stanowczo większa. Ale uśmiech Klona był równie oślepiający. Serio, widziałam odbłaski promieni słonecznych na jego zębach.

– Najwyraźniej. Choć mam wrażenie, że wcześniej miałem nieco większe bicepsy. – Napiął ramię. – Martwi mnie tylko, czy właściwie narysowałaś coś, czego wcześniej nie widziałaś. – Zerknął pod poduszkę. – Może warto byłoby jeszcze machnąć piórkiem tu czy tam?

– Nie kuś losu – powiedziałam.

– W sumie magia nie zależy od wielkości różdżki. – Poruszył brwiami, a ja się zaśmiałam. – Czujesz ciasto? – zapytał nagle.

Czułam. Powietrze pachniało wanilią, gorącymi jabłkami i świeżo upieczonym ciastem. Mogłam się założyć, że mama dopilnowała, by zapach rozszedł się po całym mieście i do wszystkich dotarło, że już po wszystkim, czar został złamany.

Wyciągnęłam z szafy wielki T-shirt, w którym zwykle spałam, i moje najbardziej rozciągnięte dresy – fioletowe z napisem „supergirl” na pośladkach. Rzuciłam je Klonowi, by się ubrał. Nawet nie podglądałam, kiedy to robił.

– Gustownie. Uprzedzam, że możesz się nie oprzeć mojemu urokowi i przyjmiesz zaproszenie na randkę – powiedział.

Wyglądał jak skończony idiota w dresach, które na mnie wisały, a na nim wyglądały raczej jak przykrótkie getry. Jego blade i kosmate

stopy były jak wcielenie absurdu. Mógłby przebierać się za hobbita, gdyby nie miał sporo powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu.

– Musiałbyś być skończonym idiotą, by po tym wszystkim chcieć się ze mną umawiać – oświadczyłam.

– Nie poddam się lekko – wyszczerzył się. – Poza tym teraz już wiesz, jak mnie odczarować, jakby co. I chyba chcesz mieć pewnego partnera na wesele kuzynki. Dobrze tańczę.

Tu mnie miał. Od zmierzenia się z całą moją rodziną na weselu Majki gorsze byłoby tylko zmierzenie się z nimi bez chłopaka u boku. I przyda się dowód, że jednak cofnęłam zaklęcie, zanim mnie wyklną na amen.

– Żadnych oświadczeń.

– Z tym skończyłem. Teraz to ty musiałabyś mi się oświadczyć. I dla porządku, czułem, że ten stadion to nie jest dobry pomysł... Ale mój brat tyle mi opowiadał o zaręczynach, jakie odstawił Kamen dla Jagody, że czułem presję.

– Oni tak działają na ludzi.

– To co, randka?

Wahałam się, a wtedy dorzucił:

– Żadnych szpilek. Dżinsy i trampki.

Zgodziłam się.

– I jeszcze jedno, mała. To twoje niezbywalne prawo, być sobą i realizować to, co dostałaś od Przadek i Pani Żywota. Czy jesteś gotowa na zawsze pozostawić w ukryciu to, co czyni cię wyjątkową? Co czyni cię tym, kim jesteś? – zapytał całkiem poważnie.

– Czy ty radzisz mi wyjść z szafy?

– Przez co byś tam nie siedziała, ciasno i jedzie sportowymi butami, nie?

Przez chwilę patrzyłam na niego, zbyt wzruszona, by powiedzieć cokolwiek. Idiota skończony.

– Gdybym знаła cię od tej strony...

– Nie zamieniłabyś mnie w kozła? – Poruszył komicznie brwiami.

– Nie przesadzajmy. Ale pewnie oszczędziłabym ci tych wszystkich łusek.

Podszedł do biurka i przez dłuższą chwilę oglądał komiks. Kciukiem potarł wielkie oczy zastygłe w niemym terrorze. I uśmiechnął się, widząc ostatnią klatkę. Cóż, naprawdę nieźle wyglądał w tej pozycji.

– Mogę to zatrzymać na pamiątkę? – zapytał.

– Zrobię ci kopię, już bez nasycania magią. To wyląduje w rodzinnym grimuarze.

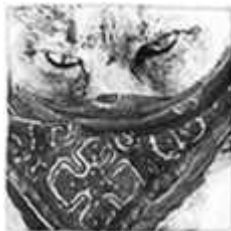
– Zawsze lubiłem książki z obrazkami. Same litery są nudne, nie?

Był skończonym idiotą, ale zaczynałam się do niego przywiązywać. Może to syndrom sztokholmski, w końcu obcowanie z żarłocznym koźlęciem było poważniejszym stresem niż wiszący mi nad głową sabat, babcia Antonia i moja matka.

Poczułam się naprawdę głodna. Ciekawe, czy klątwa babci Antonii też minęła automatycznie? Bo przez ten zapach ciasta w powietrzu naprawdę miałam ochotę na mleko i ciasteczka.

# GARAŻOWY

## Ewa Białołęcka



Siedział na korytarzu FPPB i po raz kolejny przeglądał broszurkę, wyławiając kluczowe (znane już na pamięć) informacje. „Karmienie: śmietana 30%, w miarę możliwości ekologiczna... warzywa gotowane, w miarę możliwości ekologiczne... w zależności od gatunku mięso białe, w miarę możliwości...” Ogólnie słowa „ekologia” lub „niemodyfikowane” powtarzały się niczym mantra. Poza tym należało przygotować koszyk wysłany sianem, kocyk z naturalnej wełny i dodatkowy komplet naczyń, w żadnym wypadku nie plastikowych! Zabronione były odświeżacze powietrza (poza naturalnymi ziołowymi), stosowanie agresywnych środków chemicznych i znoszenie do domu pewnych roślin – pełen spis dostępny na stronie Fundacji.

Właściwie były to zupełnie sensowne i uzasadnione warunki, jakie powinien spełnić dom tymczasowy lub dom stały. Krzysztof Baczyński wahał się na razie między jednym i drugim. Zasadniczo był już zdecydowany, że spróbuje. Wyżywienie jakoś ogarnie, posłanie nie stanowiło problemu i nawet siano bez trudu można było kupić w Tesco, jednak „kocyk z naturalnej wełny” budził jego głębokie wątpliwości. Od wieków nie widział na oczy wełnianego koca. Czy w ogóle je jeszcze produkowano?

Wyciągnął z kieszeni komórkę, odpalił Allegro i wpisał w okienko

„koc wełniany”, a po sekundzie namysłu dodał „ekologiczny”. Po kolejnych pięciu sekundach miał już wgląd w asortyment oraz, niestety, ceny, które wycisnęły mu powietrze z płuc i oczy z głowy. Postanowił zaryzykować dziecięcy kocyk polarowy (akurat poprzedniego dnia widział takie w Biedronce) i z góry się za to rozgrzeszył. Ostatecznie niemowlęta jakoś wytrzymują, prawda?

Szczęknęła klamka, rozległ się szczebiot w tonie pożegnalnym i na korytarz wyszła dziarska blondyna w dżinsach i sportowej kurtce. Wręcz na czole miała wypisane „karmicielka bezdomnych kotów”. Z promiennym i jednocześnie rzewnym uśmiechem wpatrywała się w tekturowe pudełko z dziurkami, piastowane w dłoniach.

– Zapraszam, proszę wejść! – zachęciła Krzysztofa pracownica Fundacji, wystylizowana na hożą wiejską dziewczynę (brakowało jej tylko wianka z polnych kwiatów i krasnych koralików).

Raz kozie śmierć, pomyślał, wstając z krzeselka.



– Jak rozumiem, jest pan zdecydowany, panie... Baczyński? – Ostatnie słowo zabrzmiało z nutą niepewnego zdumienia.

– Inny Baczyński. Tamten Baczyński nie żyje – wyjaśnił Krzysztof z zimną krwią. Miał całe trzydzieści lat, żeby się przyzwyczaić.

– Ach tak... rozumiem... – Dziewoja przeglądała wypełnioną ankietę. – Jest pan samotny?

– W jakim sensie? – Krzysztof poczuł ciarki. Stanowczo nie gustował w dziewczynach aż tak... ekologicznych.

– W najprostszym. Żona? Partnerka? Współlokator?

– N-nie, mieszkam sam. To nie w porządku?

– Ależ skąd, większość osób, które się z nami kontaktują, to single. Całkowicie zrozumiałe, potrzebują towarzystwa. Chodzi o to, czy jakiś domownik mógłby oprotestować adopcję. Bardzo nie lubimy,



kiedy podopieczni do nas wracają. Dla nich to zawsze wielkie rozczarowanie i trauma.

– Nie. Własnościowa kawalerka z balkonem, nikogo prócz mnie, a ja mógłbym spróbować... jako tymczasowy, a potem się zobaczy.

– O, tu są luki. – Dziewoja pstryknęła długopisem. – Znak zodiaku?

– Eee... Rak.

– Bardzo dobrze. Płeć?

– Męska. To chyba widać?

– Nie zawsze – odparła dziewoja pogodnie, podnosząc oczy na rozmówcę. – Nie ma pan pojęcia, kto się nam tutaj czasem trafia.



W końcu, po dobrych trzydziestu minutach odpowiadania na dziwne pytania, wysłuchaniu całej litanii wskazówek, zastrzeżeń i ostrzeżeń, Krzysztof wyszedł z biura z dziurkowanym pudełkiem niemal identycznym jak to, które widział u poprzedniej interesantki. Z tym że on swoje niósł za uchwyt i usiłował udawać, że zawiera drugie śniadanie, wiertarkę, zestaw klocków Lego – w każdym razie nic żywego, do czego należałoby szczebiotać czułym głosikiem. Zawartość pudełka w milczeniu zgodziła się udawać przedmiot nieożywiony.

Oboje – Krzysztof i zawartość – do tego stopnia przejęli się rolą, że świeżo upieczony opiekun musiał zawrócić od kasy do działu warzywnego, gdzie przez roztargnienie zostawił tekturowy kontener na pudle z ziemniakami.



Krzysztof sprawdził listę.

– Koszyk – jest. Siano – jest. Naczynia – są. Żarcie – jest.

Pozostało tylko jedno. Postawił pudełko na podłodze, odchylił

zamykające skrzydełka, odstąpił na dwa kroki. Przewrócił kartkę w notesie, odchrząknął i odruchowo wpadając w ton starocerkiewny, wyrecytował:

– Gospodarny skrzacie, witaj w mojej chacie, pilnuj majątności, a pan cię ugości! Witam ze szczerego serca!

Kontenerek podskoczył, rozwarł tekturową gardziel, coś stuknęło, pufnęło, z wnętrza wystrzelił obłok ciemnego kurzu niczym z gigantycznej purchawki. Krzysztof nerwowo zasłonił się rękami, zaciskając powieki. Kiedy ponownie otworzył oczy, równie nerwowo odskoczył jak daleko się dało, wprasowując się w ścianę.

Przed nim stało człekokształtne zjawisko – kudłate, wąsate, brodate, odziane w czarne skóry, połyskujące sprzączkami, nitami i sznytami... Oczy w kolorze chaber bławatek #0066ff patrzyły z wysokości około dwóch metrów. Spomiędzy wąsów i brody sterczała wykałaczką.

– Pa-an jest skrz-szksz-ksz-ksz... – Krzysztof nie mógł wydostać się z pułapki językowej.

– Skrzat – uzupełniło zjawisko aksamitnym basem i wyciągnęło wielką łapę. – Świeca jestem, ale mów mi Chopper.

Krzysztof jak zahipnotyzowany podał mu rękę. W ostatniej chwili załapała go fala strachu, już niemal słyszał trzask łamanych kości, lecz niespodziewanie uścisk okazał się wyważony, wręcz delikatny. No tak, żaden skrzat domowy nie mógł skrzywdzić gospodarza – miały to zakodowane na poziomie genetycznym, o ile te istoty w ogóle miały jakieś geny.

– Nikt mnie nie uprzedził... – jęknął Krzysztof, przenosząc wzrok ze skrzata na wiklinowy koszyczek wysłany ekologicznym sianem (dwa czterdzieści dziewięć za paczkę) i puszystym, żółciutkim kocykiem w różowe niedźwiadki. – Spodziewałem się czegoś... czegoś...

– Czegoś? – mruknął Świeca. Jego brwi zbiegły się niczym kosmate

gąsienice w zderzeniu czołowym, wykałaczką powędrowała w drugi kącik ust.

– ...kogoś bardziej... tradycyjnego – wystękał Krzysztof. – No wie pan, małe, w czerwonej czapeczce...

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, kolo.

– Nie mam drugiego łóżka...

– Spoko. – Dwumetrowy skrzat raptem jak gdyby zwinął się w powietrzu, a na podłogę opadł już jako spory, chudy i długołapy kot. Oczywiście czarny jak smoła. Z poprzedniej postaci pozostały tylko jaskrawoniebieskie ślepia.

Leniwie, kołysząc ogonem, podszedł do koszyka, zlustrował go, następnie włożył do środka i zaczął metodycznie udeptywać różowe niedźwiadki. W końcu położył się i przeciągnął, prostując wszystkie cztery łapy.

– Dobrrrrra, może być.

Krzysztof odniósł wrażenie, że zamiast mózgu ma rzadki budyń, który lada chwila zacznie mu wyciekać uszami. Na stronie Fundacji Pomocy Pomrokom Bezdomnym oglądał zdjęcia szczęśliwych udomowionych skrzatów i zadowolonych uskrzaconych właścicieli domów, ale skrzaty zwykle były niewielkimi facecikami z wąsami à la Piast Kołodziej oraz drobnymi kobietkami z płowymi warkoczami. Oczywiście była też cała masa fotografii kotów, psów, szczurów i myszy, łasic, królików, a nawet jeży i wydr. Zarówno w ludzkiej, jak i zwierzęcej postaci skrzaty domowe zawsze miały oczy wyraziście zielone lub miodowe. Nosiły imiona typu Kalina, Ogarek, Kociuba lub Kierzanka, więc Świeca nie był w tej materii wyjątkiem, ale przydomek Chopper? Niebieskie oczy? Coś z nim było nie tak, Krzysztof czuł to przez skórę.

– O kuwecie też nic nie mówili... – powiedział bezmyślnie, ni to do siebie, ni to do ściany.

Z koszyka dobiegło wzgardliwe prychnięcie, domowik spojrzął na

niego jak na zawartość wspomnianej kuwety.

– A ty, kolo, też stawiasz klocki do pudełka? Uzupełnij zapas srajtaśmy i będzie git.



Upłynęły dwa dni. Świeca-Chopper włóczył się po kawalerce, zaglądał we wszystkie kąty, przesiadywał na balkonie lub gapił się w telewizor. Poza tym nie robił zupełnie nic. No, jeszcze jadł. Przy czym było mu zupełnie wszystko jedno, czy w skrzaciej miseczce pojawi się ekologiczna śmietana, pobłogosławione przez dietetyków marchewki, czy pizza albo parówki, których skład pozostaje pilnie strzeżoną tajemnicą państwową. Parówki nawet preferował.

Gdyby nie to, że Krzysztof za każdym razem musiał mu jedzenie własnoręcznie nakładać – skrzaty bez pozwolenia gospodarza nie mogły naruszać zawartości spiżarni – zaczęłyby podejrzewać, że zamiast domowika wepchnięto mu w Fundacji jakiś rodzaj chowańca lub trolla. Krzysztof nie miał dużych wymagań, chciał mieć w domu zwyczajnego skrzata domowego, który zgodnie ze swoją gospodarną naturą zająłby się praniem, umył naczynia i pamiętał o podlaniu kwiatów. Tymczasem w zlewie piętrzyły się gary, mikrofalówka wyglądała, jakby wybuchł w niej zombie, a gospodarz nie mógł znaleźć dwóch jednakowych skarpetek. Zirytowany Krzysztof, rano wychodząc do pracy, w końcu burknął:

– Ogarnąłbyś chociaż zmywarkę, skoro już tu mieszkasz!

Rozumiał, że domowik może potrzebować nieco czasu na aklimatyzację, no ale ileż można!

Kiedy wrócił późnym popołudniem, w otoczeniu nie było żadnych zmian, a Chopper siedział przed telewizorem, gapiąc się jak urzeczony na dwóch brodatych facetów grzebiących w bebeczach jakiegoś auta.

– Cześć! Ogarnąłem zmywarkę, jak prosiłeś – odezwał się domownik, nie odrywając oczu od ekranu. – Kupiłeś piwo?

Krzysztof zajrzał do małej kuchenki – ze zlewozmywaka nadal sterczała rączka patelni, nieruszona ani o centymetr, na szafce tłoczyły się brudne kubki po kawie, a podłoga była nawet brudniejsza niż rano. Na wielbłądzi bagaż upadło piórko i wielbłąd stracił równowagę. Oraz ryknął.

– Nie zrobiłeś absolutnie nic!!! – Krzysztof w dwóch susach dopadł pilota i wyłączył telepułdo. – Syf w całym domu! Haruję jak wół! Wychodzę o ósmej, wracam o szóstej wieczorem złachany jak pies! Chciałbym odpocząć i zjeść ciepłą kolację, a nie zasuwać na mopie!!!

Błękitne oczy Choppera wypełniły się bezbrzeżną urazą, wykałaczką trzasnęła w zębach.

– Miałem ogarnąć zmywarkę – ogarnąłem. Wyczyściłem, odkamieniłem, przejrzałem styki i przedmuchałem dysze. Powinna chodzić jak ta lala. Nie mówiłeś, że mam SPRZĄTAĆ!

Ostatnie słowo zostało podkreślone z takim wstrętem, że Krzysztofowi odebrało mowę. Bez słowa wrócił do kuchni, obejrzał lśniące wnętrza zmywarki, załadował ją i włączył program. Przetarł stół i szafki, umył podłogę, potem, nadal milcząc, wyciągnął z torby i zaniósł Chopperowi puszkę żubra.



W ciągu kolejnych dni ustalił się pewien rodzaj status quo. Chopper jeszcze się dąsał i zwracał do opiekuna oficjalnym zwrotem „gospodarzu” zamiast zwykłego „kolo” lub „Krzychu”. Za to błyskawicznie opanował sztukę ładowania zmywarki i nastawiania odpowiedniego programu (i tak na co dzień używali tylko dwóch). Wycierał, kiedy się coś rozlało, a w kociej postaci z zapalem polował na rybiki. Zajął się dychawiczną pralką, która po jego interwencji

zaczęła śmigać jak nówka. Niestety, sortowanie prania przekraczało jego możliwości. O ile jeszcze odróżniał „ciemne” od „białych”, to czerwone, zielone i wzorki wprawiały go w głuchą rozpacz i męki niezdecydowania. Krzysztof podejrzewał, że Chopper cierpi na jakąś formę daltonizmu.

W zakresie czynności kuchennych skrzat umiał parzyć kawę i robić kanapki. Do programów motoryzacyjnych dołączyły kulinarne. Chopper oglądał je z wyrazem twarzy, który zdawał się mówić: „Na Welesa i Swaroga, TO się je?!”. Samodzielne eksperymenty skończyły się spektakularnym fiaskiem, o co Krzysztof nie miał najmniejszych pretensji, bo dla niego samego blanszowanie brokułów było abrakadabrą. Po prostu zdjął z półki starą „Kuchnię polską” i pozaznaczał co łatwiejsze przepisy.

Wtedy na odmianę okazało się, że Chopper z trudem sylabizuje i o ile słowo „zupa” jeszcze nie sprawiało mu kłopotu, to „szczawiowa” było nie do pokonania. Osobliwość, nie skrzat! Rad nierad, Krzysztof objaśnił na przykładach, schematach i za pomocą odręcznych rysunków sekrety kartoflanki, kotleta schabowego i jajecznicy z cebulką.

Rano razem z Chopperem jedli szybkie śniadanie, Krzysztof zostawiał mu lunch na talerzu, a wieczorem wracał do domu, gdzie domowik serwował mu parówki z keczupem, smażony chleb utapłany w mleku, smażoną kielbasę, smażone jajka, smażone ziemniaczki z boczkiem lub smażone... cokolwiek. Między Chopperem a patelnią zapanowała obopólna zgoda i miłość.

Poza tym skrzat z lubością grzebał we wszelkich urządzeniach. Naprawiał, konserwował, usprawniał, a kiedy w domu już wszystko działało na tip-top i Chopper zaczął się nudzić, Krzysztof najspokojniej wywiesił na drzwiach wejściowych bloku ogłoszenie: „Naprawa drobnego AGD i elektroniki. Tylko koszt części zamiennych. Baczyński, lok. nr 9, po godz. 18.00”.

Wieczorem pojawiła się ucieszona sąsiadka z zepsutym dzbankiem elektrycznym, a zaraz potem druga, z mikserem. Słuchy poszły na pół osiedla, więc Chopper miał zapewniony stały dopływ zabawek i promieniał. Mieszkańcy szybko się zorientowali, że napraw dokonuje domowy skrzat, więc zamiast zapłaty znosili pod numer dziewiąty a to parę jaj „prosto od kury”, a to nietkniętą pestycydem kalarepkę czy kilo ziemniaków, a to znów wielką torbę pełną pachnącego siana („wyborowe, mucha nie siada, szwagier sam pod lasem kosił!”).

I tak mir domowy trwał bez chmur na horyzoncie, aż do pamiętnej środy.



Krzysztof ślęczał nad monotonnym procesem debugowania, za oknem panoszył się słoneczny wrzesień. Przy sąsiednim stanowisku kolega dyskutował z kimś w trybie wideokonferencji. Brzęczała mucha do wtóru klimatyzacji. W senne popołudnie nagle wdarł się dziarski motyw z „Indiany Jonesa” i Krzysztof obojętnie zerknął na ekran komórki, skąd szczyrzyła się do niego przyjazna gęba kolegi.

– Cześć, Heniek.

– Cześć. Krzysiek, słuchaj, ja tu przed chwilą jechałem przez Łąkową i twoja chałupa się pali.

– Co?!!

– No mówię, na sto promili. Pełno dymu, kupa ludzi dokoła i akurat straż zajeżdżała. Może ty się weź zwol...

– Dzięki! – krzyknął Krzysztof, nie słuchając dalej i zrywając się z fotela.

Rzucił się do drzwi, zawrócił, kliknął save, znów pobiegł do wyjścia, po drodze zdzierając kurtkę z wieszaka.

– Czarek, mam pożar w domu! Powiedz szefowi, że... – reszta

utonęła w tupocie, rykoszetującym od ścian korytarza.

Programista patrzył w osłupieniu na kiwające się oszklone drzwi.

– O kurwa... Co...? A nie, przepraszam, to nie do pana.



Heniek nie przesadził. Kiedy Krzysztof po dziesięciu minutach szaleńczej jazdy dotarł na miejsce, strażacy już dogaszali mieszkanie na parterze. Do drugiego płomienie nie dotarły, jednak gęsty czarny dym walił do góry klatką schodową, która działała jak komin. Przesączał się przez drzwi i co gorsza, pionowy wentylacyjny. Z okien wywieszali się kaszlący ludzie, szukający tlenu na zewnątrz. Na szczęście większość lokatorów była w pracy lub w szkole. Na pierwszym kobieta z małym dzieckiem na rękach krzyczała o pomoc. Nie mogła się wydostać z mieszkania, bo klamka parzyła, na korytarzu było aż czarno, a gorące powietrze zesmażało farbę na ścianach. Operator właśnie zaczął wysuwać drabinę ewakuacyjną. Na najwyższym piętrze ktoś otworzył okno w korytarzu i dym zaczął się powoli ulatniać.

Krzysztof rzucił się w stronę klatki, ale silne szarpnięcie za kołnierz zatrzymało go w miejscu niczym smycz nieposłusznego psa.

– Gdzie mi się pchasz, lebiego?! Chcesz się tam, kurwa, upiec?!

Krzysztof z rozpaczą popatrzył na swój balkon – pusty – a potem na rozgniewanego strażaka.

– Zostawiłem skrzata w mieszkaniu! On sam się nie wydostanie!  
On się tam udusi!

– Które? – zapytał strażak rzeczowo.

– Drugie, pod dziewiątką!

– Ech, te domowe zwierzaki...

W ciągu pół minuty Krzysztof miał na sobie kask, maskę, grubą kurtkę i rękawice.



– Leć pan, tylko ostrożnie. Jakby co, to łeb urwę przy samej dupie!

W klatce schodowej widoczność była niemal zerowa, lecz nogi same niosły go znajomą trasą. Żeby wyciągnąć klucze z kieszeni, musiał zdjąć rękawicę. Cholera jasna, który to?! Drzwi parzyły. Wpadł do środka – tu również było zadymione.

– Chopper!! Chopper!! – wrzeszczał, miotając się po skromnym metrażu.

Nareszcie usłyszał zduszone miauknięcie, padł na brzuch koło łóżka i zobaczył pod nim dwie błękitne latareczki. Wywłókł opierającego się, drapiącego w panice kota i wpakował go pod kurtkę, otworzył jeszcze drzwi balkonowe, po czym ruszył biegiem z powrotem na zewnątrz.



Poszkodowani wylewali swoje zdenerwowanie na wszystko i wszystkich, gapie wyrażali ubolewanie. Straż zwijała wąż, policja wałkowała lokatora z parteru, u którego pożarnicy odkryli przy okazji jakieś podejrzane terraria. Kto wie, co tam hodował, może żywiołaki?

Krzysztof stał nieco z boku od tej całej kołomyi. Bolała go głowa, w ustach miał kawał Sahary, a Chopper u niego za pazuchą dygotał jak w febrze i skarżył się histerycznie:

– Palilo się, a ja nie mogłem wyjść! Nie mogłem wyjść! Dlaczego ja nie mogę uciekać, jak się takie złe dzieje? Krzychu, no dlaczego?

– Dobra, dobra, już po wszystkim – powtarzał Krzysztof mechanicznie, głaszcząc kota po łbie i drapiąc za uszami. – Już po wszystkim. Już wszystko dobrze.

Strasznie chciał łyknąć końską dawkę ibupromu i się położyć, ale nie bardzo miał gdzie. Mogło jeszcze potrwać, zanim dym ulotni się naturalnymi drogami.

W końcu przypomniał sobie, że ma przecież samochód.

Położył wciąż pojękującego Choppera na przednim siedzeniu i przykrył go swoją kurtką. Przeparkował wóz, następnie poszedł do pobliskiego sklepiku po tabletki i mineralną.

Kiedy wrócił, Chopper już nie jęczał. Wysunął się spod przykrycia i rozglądał nieco mętnie po kabinie. Na oczach właściciela zupełnie po kociemu pocierał się o fotel, obwąchał deskę i również ją „oznaczył”. Krzysztof połknął tabletkę, popił i skrzywił się.

– Stary, weź zmień postać, dobra? Nie mam tu miski, żeby ci nalać.

W ułamku sekundy na siedzeniu obok już siedział znajomy brodacz w czarnej skórze i bandanie. Zgarbiony, smutny i jakiś taki sponiewierany. Przyjął butelkę, napił się, pogłaskał rączkę biegów.

– Dobry wóz. Sumienny.

– Mój.

– Wiem. Inaczej bym tu nie mógł siedzieć.

– No tak, brednie gadam.

Krzysztof czuł się średnio parszywie. Właśnie dotarło do niego w całej pełni, że ten wielki, silny, czasem gburowaty facet nie jest człowiekiem ani też żadnym kotem. W rzeczywistości jest istotą z wieloma ograniczeniami, właściwie całkiem bezbronną wobec „gospodarza”, a stosunek między człowiekiem a skrzatem domowym paskudnie przypominał niewolnictwo. Jeśli właściciel zechce go bić lub głodzić, domowik mu nie odda ani nie zdoła uciec; mógłby tylko stosować opór bierny, zmieniając stan skupienia i chowając się po zakamarkach, póki nie umarłby z wycieńczenia lub nie zwariował. Złośliwe niszczenie przedmiotów też odpadało, domowiki to nie poltergeisty. Właśnie dlatego FPPB surowo selekcjonowała chętnych na adopcję pomroki i maniakalnie pilnowała, w jakich warunkach przebywają podopieczni. Coś nie tak i nieodpowiednio traktowany domowik, pokuć, kotołak czy inna „siła nieczysta” wracała do schroniska, a nierzetelny opiekun

dostawał wilczy bilet w całej Polsce.

Zresztą jaka tam „nieczysta”? Już w latach osiemdziesiątych zrewidowano to określenie i ukuto bardziej neutralne „pomroka”. Znakomita większość pomroki miała bardzo mętne pojęcie o chrześcijańskim panteonie, niechrześcijański zaś był postrzegany nie jako bóstwa, a raczej szefostwo. Kłobuk na przykład miał poczucie moralności na poziomie autystycznego pięciolatka, czarty i biesy namawianie do bliżej nieokreślonego „grzechu” zaliczały do kategorii świetnych dowcipów. Duszę określały jako „taką waszą magię, nic nam do tego”, a teorię piekła wszystkie bez wyjątku uznawały za bezsensowną bzdurę: „Kto by chciał siedzieć w takim obrzydliwym miejscu?”. Nawet osławione bazyliuszki, obdarzone szczątkową zdolnością hipnozy i gruczołami jadowymi, miały rozumu tyle, co ich krewna – kura. Były płochliwe i ktoś musiałby się specjalnie starać, żeby zrobiły mu krzywdę.

Najgorsze w tym wszystkim było, że całe to tałatajstwo nie pojawiło się na świecie samo z siebie i na własne życzenie. Ktoś wymyślił sobie Peruna, kto inny planetnika, minęło parę lat, legenda okrzepła, wiara wzrosła (dziś już chyba nikt nie umie wierzyć tak mocno jak nasi pradziadowie), a stałe tło magiczne zrobiło swoje. Chcieliście wilkołaka? Macie wilkołaka. Wampir? Nie ma sprawy, proszę, wampir w menu. Gospodyni marzy, żeby jej ktoś to cholerne masło ubił – siup i mamy przyjaznego domowika. Zbiorowa fascynacja umarłymi – pojawiają się zombie. Jak zwykle napaprali ludzie, a potem mają pretensje do wszystkich, tylko nie do siebie.

Krzysztof wynurzył się z niewesołych rozmyślań. Popatrzył na Choppera, jakby widział go po raz pierwszy.

– Wiesz co? Ja ci kupię komórkę, taką na kartę, żebyś w razie czego mógł do mnie zawsze zadzwonić.

Chopper rozpromienił się jak małe... to znaczy wielkie i kudłate słoneczko.



Kontrola z FPPB przysłała zniecka. To znaczy zniecka się zapowiedziała na „dziś osiemnasta trzydzieści”, więc Krzysztof z wywalonym językiem jechał z pracy najszybciej, jak tylko pozwalały przepisy drogowe, i modlił się do nieokreślonych bóstw, żeby Chopper nie miał żadnego odkurzacza rozbebeszonego na środku kuchennego stołu oraz pamiętał, by załadować do zmywarki brudne naczynia ze śniadania i poprzedniej kolacji. Myślał też o tym, że nie zdołali po pożarze domycić ścian z tłustej sadzy, wręcz prosiły się o malowanie... A zresztą nieważne, przecież widać, że na klatce trwa remont... Siła wyższa!

– Chopper – jęczał do słuchawki, prowadząc jedną ręką – facetka z Fundacji zaraz przyjdzie, ogarnij chatę przynajmniej z wierzchu. Akumulator zabierz z łazienki! I oponę! Gdzie? A skąd mam wiedzieć, pod łóżko wepchnij! Chopper...? Halo! Halo!!! Wyjmij parówkę ze swojej michy, ona mnie zabije, jak zobaczy, czym cię karmię!

Wpadł do domu zziębnięty niecałe dziesięć minut przed srogim gościem. Na wierzchu nie było żadnych kompromitujących rzeczy, a Chopper wyglądał jak świeżo wypucowany członek Hells Angels z dobrego domu – widocznie zdążył wziąć błyskawiczny prysznic.

Jednak kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, domownik spieszył się nagle i umknął do kuchni.

Działaczka nie była znaną już Krzysztofowi hożą dziewczyną z pszenicznym warkoczem i ustami jak kalina. Jagoda Wołajko prezentowała bardziej umiarkowany typ w garsonce, z teczuszką. Gdyby nie przypięty do kłapy maleńki bukiet z wrzosa i ostrokrzewu, mogłaby uchodzić za prawniczkę. Zresztą leszy ją wie, może nią była.

Krzysztof traktował ją z atencją godną królowej, szarmancko zaproponował wygodne krzesło (przyjęła) i kawę (odmówiła).

– I jak sobie pan radzi z... – szybkie zerknięcie w dokumentację – ze Świecą? Jak się zaaklimatyzowała?

– Eee... Chopper, to znaczy Świeca, dobrze sobie radzi. Ja też się już przyzwyczailem. Chociaż mam pewne uwagi.

– Tak?

– Otóż Chopper nie umie czytać. Składa litery jak przedszkolak. I na początku w ogóle nie umiał gotować, co prawda po instruktażu jakoś...

Pani Wołłejko przerwała Krzysztofowi gestem. Wstała, rozejrzała się uważnie, zgarnęła palcem kurz z półki i trąciła czubkiem pantofla skarpetkę wyglądającą spod łóżka. Krzysztof spąsowiał.

– No widzi pani, miałem starokawalerskie gospodarstwo, a teraz zrobiło się podwójnie starokawalerskie... – zaczął się niezgrabnie tłumaczyć.

– To nienormalne – powiedziała Wołłejko.

– To normalne u zapracowanego samotnego mężczyzny – odparował Krzysztof z nutą złości. Przyłazła wypicowana dziunia i lustruje mu kąty jak skwaszona teściowa.

– To nienormalne u kogoś, kto przyjął pod dach skrzata domowego – uzupełniła Wołłejko. – One porządkują. Zawsze. Nie są w stanie się powstrzymać, zupełnie jak przy nerwicy natręctw. – Popatrzyła na zgrabny koszyk, zasłany kocem, który w poprzednim wcieleniu był zapewne stosem plastikowych butelek, mimochodem zajrzała do doniczki z nieco podeschniętą pelargonią. – Jeśli Świeca nie sprząta, to bardzo niepokojący objaw. I w ogóle dlaczego pan mówi o niej w rodzaju męskim?

– A dlaczego pani w żeńskim? – zdziwił się Krzysztof.

Wołłejko odetchnęła głęboko. – Świeco, pozwól tu do nas!

Drzwi kuchni uchyliły się bezgłośnie, przez szparę przesączył się

czarny kot. Urzędniczka patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy mógłbyś przyjąć swoją zwykłą postać ludzką?

Chopper zrobił zrezygnowaną minę i przyjął.

– O mój Borze dębowy! – krzyknęła kobieta. Nogi się pod nią ugięły i gdyby nie refleks Krzysztofa, usiadłaby na podłodze.

– Tak, na mnie też zrobił w pierwszej chwili duże wrażenie – uśmiechnął się.

Wołfejko przez chwilę z osłupieniem wpatrywała się w barczystego giganta.

– Coś takiego... – wymamrotała, sięgając po teczkę i wyciągając z niej odpowiednią kartę. – Świeca, skrzat domowy, płęć żeńska... Ładna mi żeńska! Data urodzenia: tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa, chyba październik. Chyba?! Postać animalna – kot; postać humanoidalna – pusta rubryka. Brak dołączonych zdjęć. Zabiję...

– Kogo? – zaniepokoił się Krzysztof.

– Stażystę! – Jagoda Wołfejko wykonała klasyczny, międzynarodowy gest facepalmu. – Najmocniej pana przepraszam – podjęła po chwili. – Zaszło fatalne nieporozumienie. Ma pan tu wspaniały... okaz, ale skrzata garażowego. Zupełnie inny habitat, inne nawyki, zdolności, wymagania żywieniowe w końcu! Borze szumiący, to mniej więcej tak, jakby pan chciał adoptować kota, a dostał zamiast niego lamparta!

– Garażowy? Nawet nie wiedziałem, że jest taki podgatunek.

– Skrzat domowy to określenie potoczne, w rzeczywistości dzieli się na domowe właściwe, domowe oborowe, stodołne, coraz rzadsze łąziebne... Istnieje też cała gromada technicznych, zamieszkujących sklepy (świetnie się czują w dzisiejszych marketach), różnorodne warsztaty, garaże i zakłady samochodowe, hangary na lotniskach i same samoloty... Niedawno wyróżniono koczołnicze budowlane... Ogólnie techniczne są bardziej powiązane z pojazdami i

maszynami, co daje im większą swobodę przemieszczania. A Świeca jest właśnie techniczny, to widać na pierwszy rzut oka. No i właściwie skąd imię Świeca? – urzędniczka zwróciła się do skrzata, który tymczasem skromnie przysiadł na brzeжку łóżka.

– Zapłonowa – zadudnił ponuro Chopper.

– No tak. Gdybyś miał na imię Gaźnik, oszczędziłoby to nam kłopotów. Panie Baczyński, jeszcze raz składam przeprosiny w imieniu Fundacji. Jak rozumiem, wołałby pan, żebym zabrała Świecę z powrotem do...

Krzysztof poczuł się tak, jakby uderzono go w twarz wielkim workiem pierza – jednocześnie wstrząśnięty, oślepiiony i podduszony. Parokrotnie otworzył usta jak karp, popatrzył na Choppera, którego niebieskie ślepie zaczęły podejrzanie błyszczeć.

– Ale dla-dlaczego?

– Mam tu wypełniony przez pana kwestionariusz. Wyraził pan chęć tymczasowej adopcji skrzata domowego.

– Tak, ale...

– Płci żeńskiej.

– Nie oznaczyłem sztywnych preferencji w tej kwestii! Pamiętam, że napisałem „chętnie”, a nie „wyłącznie”!

– Świeca z pewnością znacznie lepiej czułby się w jakimś warsztacie samochodowym.

– A czy nie powinniśmy zapytać samego Świecy, co by wołał? – Krzysztof odzyskał rezon. – Bo my tu dyskutujemy w jego obecności, jakby był... no nie wiem, krzesłem!

Dwie pary oczu skierowały się na nieszczęsnego, zmieszanego Choppera.

– Nie chcę do warsztatu. Tu jest miło. I jest telewizja.

– Sama pani widzi, jest mu dobrze. Ogląda sobie „Wysypisko” na Discovery i naprawia sąsiadom blendery. A jeśli kiedyś zechce mnie opuścić, to zadzwoni do pani ze SWOJEJ WŁASNEJ komórki. Co do

naszego gospodarstwa... – Jakaś wewnętrzna część Krzysztofa podskakiwała, wrzeszcząc i w panice rwąc włosy z głowy, lecz zewnętrzna kłapała językiem, nie mogąc się opanować. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy tu próbnie zaprosili jakąś miłą skrzatkę, jeśli tylko da radę z nami wytrzymać. Zarabiam wystarczająco dużo, a dodatkowy koszyk dla nowego kota czy jakiej myszy to żaden problem.

Jagoda Wołłejko gapiła się na niego oczami jak spodki, wstała i uroczyście podała mu rękę.

– Proszę pana, jestem pod wielkim wrażeniem. To po prostu wspaniałe! Gdyby wszyscy byli tak szlachetni...! Serdecznie zapraszam do nas na oględziny. Tym razem osobiście zadbam, żeby nie było żadnych zakłóceń. A panu jeszcze dziś prześlę mailem materiały dotyczące technicznych.

Kiedy nareszcie wyszła, raz po raz zapewniając, że jest zachwycona i zarazem bardzo jej przykro, Krzysztof z wielką ulgą odetchnął. Słusznie, bo w następnej chwili został pozbawiony tchu, zgnieciony, rozwałkowany i niemal sprowadzony do dwóch wymiarów. Chopper ścisnął go jak dziecko najukochańszego pluszowego misia, mrużąc przy tym całkiem po kociemu, tylko ogłuszająco.

– Kolo, normalnie jesteś... niesamowity! – Chopper promieniał niczym reaktor, świeciły mu nawet włosy. – Będziemy tu mieli laskę! W dechę! Weź blondynkę, co? Albo nie, blondyny są głupawe. Czarną! Albo rudą! Nie, rude wredne...

– Nie będę się kierował kolorem, tylko charakterem – wyzionął Krzysztof, kiedy wielkolud rozluźnił objęcia.

– Ale żeby była ładna! Nie jakiś kaszalot!

– Masz jeszcze jakieś życzenia?

Chopper zamyślił się, patrząc w przestrzeń i lekko zezując. Chyba jeszcze nie do końca otrząsnął się po stresie.

– No, mógłbyś mi kupić drapak.





Kiedy Krzysztof ponownie przekroczył progi FPPB, tym razem nie zatrzymano go w pokoju biurowym, lecz zaproszono na zaplecze. Przypominało trochę lecznicę weterynaryjną skrzyżowaną z przedszkolem – na ścianach wisiało mnóstwo rysunków. Większość w optymistycznych kolorach, z kwiatkami i zwierzątkami, lecz po dokładniejszym przyjrzeniu się wiele z nich, nawet tych najbardziej kolorowych, zdradzało ponurą treść: przewracające się drzewa, lisy w pułapkach, płonące łąki. Jeden z rysunków przedstawiał oszczędnie naszkicowane okno, a za nim wielki czarny okrąg. Krzysztof aż przystanął, próbując ustalić, co go w tej grafice zaniepokoiło. Zwykły prostokąt przekreślony paroma kreskami i ta plama z tyłu...

– To kula burząca – odezwała się za jego ramieniem Jagoda Wołlejko.

Mózg Krzysztofa potrzebował paru sekund, żeby dotarła do niego cała pełnia informacji. Zagłada zmierzająca nieubłaganie prosto w jego kierunku – to widział skrzat dosłownie sekundy przed tym, jak umarł jego dom.

Krzysztof poczuł, że ściska go w gardle.

– Horror – wykrztusił.

Co przytrafiło się technicznemu Chopperowi, zanim trafił do Fundacji? Czyżby coś związanego z ogniem, skoro wpadł w ślepa panikę podczas pożaru? I jaki bagaż przyniesie ze sobą wybrana skrzatka? Bo że jakiś będzie miała, Krzysztof nie wątpił.

Jagoda weszła do salki obok, gdzie stały dwa szpitalne łóżka. Na jednym pod namiotem tlenowym leżało coś przypominającego rozpląszonego bobra; na drugim siedziała mumia z koca, przez szparkę sterczał jej tylko nos. Mumia trzymała na kolanach doniczkę

z zielonym pędem. Jagoda sprawdziła namiot, pogładziła mumię po plecach i wyszła.

– To była driada? – zapytał Krzysztof.

– Buczyna – odpowiedziała szeptem jego przewodniczka. – Jedyne ocalała z masakry białowieskiej. A obok leszy.

– Trafił pod ciężarówkę?

– Pod opryski. Zatrucie, obrzęk płuc. Lesze to twardy naród, wyciągniemy go z tego. Tutaj jest sala rekreacyjna. – Pchnęła jasnozielone drzwi z kolorowymi szybkami.

Za nimi ukazał się obszerny pokój, w którym roilo się od zwierząt i ludzi, a w każdym razie istot, które wyglądały jak ludzie. Stały tu niewielkie stoliki, krzesła, na zielonej wykładzinie porozrzucano mnóstwo miękkich poduszek. Po ścianach pięły się skomplikowane drabinki i „kocie półki”, pod sufitem zwisały mostki sznurowe – wszystko opanowane przez plejadę kotów najróżniejszych ras, rozmiarów i maści. Przed Krzysztofem przeszedł kolebiącym się krokiem opasy bóbr, niosący kubek kawy. W kolistej bieżni na rollkach zasuwiał szop pracz. Na regale pod jedną ze ścian piętrzyły się kolorowe pudełka i książki. Ktoś czytał, rozwalony na poduchach, dwaj chłopcy przy stoliku grali w planszówkę. Krzysztof pomyślał, że właściwie mógłby od czasu do czasu zagrać z Chopperem choćby w warcaby albo jeszcze lepiej – podłączyć do telepułda dwie konsole.

W kącie chichotało kilka młodziutkich dziewcząt z włosami w odcieniach od zielonego groszku do butelkowej zieleni. Wyglądały na miłe i wesołe.

– To rusalki – wyjaśniła zagadnięta Wołlejko. – Musiałby pan mieć ogród i sadzawkę albo chociaż basen. Poza tym zupełnie, ale to zupełnie nie potrafią gotować. – Uśmiechnęła się. – To łatwe przypadki. Błyskawicznie się aklimatyzują w niemal każdej wodzie. Jezioro, stawy rybne, nawet odkryty basen. Wybrałam dla pana trzy przypadki. Proszę usiąść. – Wskazała najbliższy stolik.

Pensjonariusze dokoła udawali, że nie zwracają na nich uwagi, ale w powietrzu iskrzyło napięcie.

Skoroszyt numer jeden przedstawiał Przydróżkę – na fotografiach poważną myszowatą kobietę po trzydziestce (choć w rzeczywistości miała ponad setkę) i równie poważną szaro-białą kotkę. Całe życie spędziła w starej, ponemieckiej kamienicy, aż przyszła pora, by ją wyburzyć. Umiejętności specjalne: pieczenie ciast, szycie, haftowanie, robienie koronek. Wymagania: standardowe. Zastrzeżenia: agorafobia, niedostosowanie do obecnych norm obyczajowych.

– Agorafobia jej u mnie nie grozi, ale co właściwie znaczy to „niedostosowanie”? – spytał Krzysztof, podnosząc wzrok nad dokumentu.

– Mdleje na widok mężczyzny bez koszuli, robi awantury dziewczynom w mini, pluje na ekran, kiedy w telewizji idzie jakiś film z golizną – wyjaśniła Jagoda spokojnie.

– Umrze na sam widok Choppera – zawyrokował Krzysztof, odkładając skoroszyt na bok.

Numer dwa miał na imię Migelitka i wyglądał wypisz wymaluj jak disnejowska księżniczka z filmu, który niebawem miał wejść na ekrany – wielgachne jaskrawozielone oczy, piegi i masa jasnych włosów. Jako zwierzę – bardzo ładna fretka piaskowego koloru. Wychowana w bloku z wielkiej płyty. W Peerelu nauczyła się gotować z niczego. Zastrzeżenia: brak. Fobie: brak. Powód opuszczenia poprzedniego lokum: konflikt z gospodarzem.

Krzysztof nie miałby nic przeciwko Migelitce. Wyglądała na bardzo sympatyczną i ogarniętą, Chopper byłby pewnie zachwycony, ale z drugiej strony mieszkające z dwoma facetami dziewczę na oko piętnastoletnie? Sąsiedzi by tego nie wybaczyli. Krzysztof czuł się jak skazany pedofil tylko z tego powodu, że w ogóle na to zdjęcie patrzył!

Kiedy odkładał skoroszyt, z góry rozległo się pełne rozczarowania piśnięcie. Odruchowo spojrzął – spod sufitu przyglądała mu się beżowa fretka. Wybacz, mała.

Numer trzy: Lusia. Sympatyczna krótkowłosa blondynka, ani przesadnie piękna, ani szpetna. Oczy ni to zielone, ni to niebieskie – zdaje się, że ten kolor nazywano morskim.

– Techniczna półkrwi – powiedziała Jagoda i uniosła palec. – Uwaga, żadnej alergii na syntetyki!

– Ale prace domowe ogarnia? Gotować umie? – zapytał Krzysztof podejrzliwie.

– W trzygwiazdkowej restauracji by jej nie zatrudnili, ale w zakresie zwykłych potraw domowych jest bardzo dobra.

– Tu jest napisane, że... cierpi na... nierównowagę tożsamości?

– Po prostu kiedy tylko może, woli być królikiem, czyli praktycznie niemal ciągle. Jak będzie już „na swoim” – Jagoda zrobiła umowny znak cudzysłówów – powinna się ustabilizować.

– Jakież traumy?

– Nie. Trochę wyobcowana. Z tego, co opowiadała o sobie, wynika, że wyrosła na ziemi niczyjej między kuźnią ojca a domem matki i nigdy nie czuła się dopasowana ani tu, ani tam. W dodatku rodzicom przytrafiło się jeszcze kilkoro dzieci, wszystkie ściśle przynależące do jednej lub drugiej kategorii, więc Lusia czuła się tym bardziej wyrzutkiem.

– Hm... Powinna się jakoś dogadać z Chopperem.

Jagoda rozpromieniła się.

– Lusi! Lusiuuuu! Gdzież ta dziewczyna? Luśkaaa!!

Przez kłapkę w dole drzwi wkiął sporych rozmiarów biały królik.

– Chodź, Lusi, siadaj z nami. To jest pan Krzysztof Baczyński, który chciałby...

Krzysztof rejestrował słowa Jagody Wołłejko jedną dziesiątą świadomości, pochłonięty obserwacją Lusi. Była najśłodszym

królikiem, jakiego widział kiedykolwiek w życiu. Biorąc pod uwagę, że króliki z natury i tak są słodkie, idąc łeb w łeb z kociećkami, było to niemałe osiągnięcie. Ten wrażliwy nosek, futerko z leciutkim złocistym połyskiem, wilgotne przepastne oczy z antracytowym kręgiem źrenicy... Na międzynarodowych mistrzostwach słodkości Lusiu zgarnęłyby złoty medal. Całkiem jakby na ludzki padół zstąpił króliczek z najbardziej polukrowanego Disneya... Nie! Z japońskiego anime!

– I to jest prawdziwy garażowy? Taki cudowny brutal? – Lusiu zachichotała, kokieteryjnie zasłaniając pyszczek łapką. Krzysztof doznał samoistnego skurczu ślinianek. – Ma pan może zdjęcie?

– Eee... Niestety nie. – Do licha, właściwie dlaczego nigdy mu nie przyszło do głowy, żeby Choppera pstryknąć choćby komórką? – Ale to porządny chłopak, pełen dobrych chęci, bardzo się cieszył, że cię pozna. Brunet, bardzo wysoki, zamienia się w kota – plóć chaotycznie.

– Przecież on mnie wcale nie zna – zauważyła Lusiu głosem cukrowej wróżki.

– To znaczy bardzo się cieszył na nową koleżankę! Tak w ogóle.

Króliczka zasłoniła nosek obiema łapkami i gdyby mogła, spłonęłyby rumieńcem.

– Lusiu, czy chcesz się jeszcze zastanowić? – zapytała Jagoda łagodnie. – To poważna decyzja. Mieszkanie jest małe, ale ładnie położone. Oczywiście obowiązuje okres próbny i po czterech tygodniach będziesz mogła tu wrócić.

– Spróbuję. Pan Krzysztof jest taki miły, no i będę miała towarzystwo. A tu i tak ma pani przepełnienie... Dostanę własny domek?! – zwróciła się do Krzysztofa z dziecięcym entuzjazmem.

– Jeśli nie będzie zbyt duży, to powinien się zmieścić obok koszyka Choppera.



Po wypowiedzeniu tradycyjnej formuły Krzysztof odstąpił krok do tyłu. Chopper, spięty jak kot przy mysiej norze, wpatrywał się w pudełko, z którego po chwili wynurzyła się para białych uszek i ostrożnie wężący nos.

– Jaka śliczna!!! – nie wytrzymał.

Lusia na widok dwumetrowego draba szczerzącego maniakalnie zęby kwiknęła ze strachu i uszy natychmiast znikły. Chopper zacukał się, rzucił niepewne spojrzenie na Krzysztofa (który zrobił minę „a co ja mogę?” i rozłożył ręce), a potem w mgnieniu oka przemorfował się w kota.

– Ja was tutaj zostawię, a sam pojedę po wyprawkę dla Lusi. Szczotka do zębów, do włosów...

– I do futerka! – rozległo się z kartonu.

– Ja też chcę szczotkę do futra! – dodał Chopper natychmiast.

Krzysztof zapisał w notesie.

– Rozejrzę się za domkami dla królików...



Kiedy wrócił, już na progu przywitał go boski zapach placków ziemniaczanych i głośny śpiew donoszący się z kuchni.

– *It's raining men, hallelulah! It's raining men, amen! It's raining men, hallelulah...!*

A więc pełna zgoda, uśmiechnął się Krzysztof.

– *Hear the thunder, don't you lose your head, rip off the roof and stay in bed...!*

Stanął w drzwiach, obserwując na pół odwróconą Lusię, podrygującą przy kuchence z łopatką w ręku. Króliczek okazał się szczupłą młodą kobietą w typie bardziej sportowym niż

stereotypowej seksbomby. Jasne włosy otaczały jej głowę wesołą aureolą. Miała na sobie pstrokatą bluzkę i wysoko obcięte postrzępione džinsy, na bosych stopach klapki na sznurkowej podeszwie. Bardzo duże klapki. I bardzo duże stopy. Krzysztof popatrzył na swoje pumy numer czterdzieści trzy i na dolne kończyny Lusi. Poczul, że coś się w nim zagotowuje.

– Lusi...

Lusia odwróciła się uśmiechnięta, nadal dyrygując łopatką w takt przeboju. Krzysztof zobaczył jej łuki brwiowe, usta i linię szczęki, spuścił wzrok niżej, odkrywając ABC, czyli Absolutny Brak Cycków.

– Lusia? A może raczej Lucjan?!!

Stworzenie płci deczko nieokreślonej rzuciło łopatkę i znienacka wybuchnęło fontanną łez.

– Mówiłam ci! Mówiłam! On mnie dyskryminujeeee...

Biały królik, buksując pazurami po panelach, rzucił się między stopami gospodarza do pokoju, wciąż wyjąc rozpaczliwie. Skołowany Krzysztof odruchowo próbował go złapać, lecz zwierzę jak rakieta wbiło się w mrok pod łóżkiem i już stamtąd kontynuowało koncert na: yyyyy... chlip... smark... hyyyyyyy... hyk!... smark... yyyyy...

– Uspokój się, wyjdź stamtąd, przecież nie będę cię bił! – przekonywał Krzysztof, tkwiąc na czworakach z uchem przy podłodze. – No Lucek, bądź rozsądny!

– Nie jestem Luceeeeek! Płeć to jest konstrukt społecznyyyyy...

– Daj jej spokój, Krzychu – odezwał się Chopper. – Lepiej chodź na placki. Bez twojego pozwolenia nie mogę ich ruszyć. Mnie już skręca, a ty się tu żołądkujesz.

– Możesz zjeść wszystkie! I się nie żołądkuję, tylko zostałem zrobiony w konia. Znowu!

Przy plackach ziemniaczanych z cukrem Krzysztof uspokoił się na tyle, by podjąć temat ponownie.

- A tobie, Chopper, to zupełnie nie przeszkadza?
- Affolufnie – odpowiedział skrzat z pełnymi ustami i wyrazem błogości na tych kawałkach twarzy, których nie przykrywał zarost. – Fajna dziewczyna, sympatyczna. I śpiewać umie.
- Ale w tym sęk, że nie dziewczyna.
- No to co? Chcieliśmy domowego, mamy domowego. Gotuje, kurze wyciera...
- Pod łóżkiem.
- Od czegoś musi zacząć.



Powiadomiona przez telefon Jagoda Wołlejko milczała przez pół minuty, a potem powiedziała:

- Wie pan, ja w tej branży widywałam różne rzeczy i musiałam rozwiązywać różne sytuacje, ale skrzat z zaburzeniami tożsamości płciowej trafia mi się po raz pierwszy.
- Kamuflował się, skubany. Ale jakim sposobem wy się tam nie zorientowaliście, że po przytułku kica wam królik samiec, a nie królicza?
- Sęk w tym, że postać animalna jest generowana według wewnętrznych wyobrażeń samej pomroki, a Lusia jest przekonana... przekonany, że jest dziewczynką. W humanoidalnej pokazywał się nam wyjątkowo rzadko i na bardzo krótko. Zawsze jeszcze pozostaje Migelitka, ale...
- Ale jeśli odeślę Luškę, to ostatecznie złamię mu psychikę – zakończył Krzysztof. – Na razie niech zostanie, jak jest, tylko drania trochę przeczolgam. Zdaje się, że jest przyzwyczajony do tego, żeby łąć jak z nut. Dyscyplina w domu musi być!





Straszliwa kara sprowadziła się do tego, że Luśka nie dostał obiecane domku dla królików, tylko musiał spać w kartonie wysłanym sianem. Chopper szlachetnie odstąpił koledze koc w misie, zamawiając u Krzysztofa „coś bardziej męskiego”, czyli koc w kolorowe samochodziki. Luśka z początku się boczył, ale nieustanne pochwały za wspaniałe obiadowe kolacje i nieskazitelny porządek w domu spowodowały, że powoli wylazł ze skorupy.

Mijały dni, zamieniały się w tygodnie. Chopper z takim uporem mówił o Luśce w rodzaju żeńskim, że Krzysztof w końcu do tego przywykł. Baba jak baba, tyle że płaska.

On jeździł do firmy informatycznej, Chopper malował ściany i mozolnie walczył z dysleksją, a Luśka żelazną ręką rządził w kuchni. Czasami grali w karty albo całą trójką oglądali filmy, choć mieli zupełnie odmienne gusta. „Titanic” jednak okazał się pełnym sukcesem. Luśka łkał nad śmiercią pięknego Leonardo DiCaprio, Krzysztof podziwiał efekty komputerowe, a Chopper rozpaczał, że taki piękny statek poszedł na dno. Szybko doszli do konsensusu, że wszystkim podobają się kreskówki, więc przedsięwzięli wyprawę na premierę „Zaplątanych” – Chopper i Luśka w starej torbie sportowej, na bilet dziecienny. Cały seans przerechotali, siedząc Krzysztofowi na ramionach i głowie, co mu nawet nie bardzo przeszkadzało. Chopper miał jedno jedyne zastrzeżenie: za mało samochodów.

Czterotygodniowy okres próbny dobiegł końca, ale zmieniło się tylko to, że Krzysztof zamówił na Allegro wypasiony koci domek z sypialnią na dole i tarasem na górze. W łazience przybyło kobiecych mazideł i odżywek do włosów kręconych. Chopper za namową Luśki zadbał o brodę i fryzurę, upodabniając się do modela Benettona. Siłą rzeczy Krzysztof nie mógł wyglądać gorzej od swoich skrzatów domowych, więc wybrał się do fryzjera i na ciuchy.

Luśka czasem dzwonił do koleżanek z azylu FPPB – stąd się dowiedzieli, że Migelitkę jeszcze w październiku przygarnęła

właścicielka cukierni. Skrzatka dostała nie tylko tradycyjny koszyk, ale nawet cały pokój do dyspozycji, kelnerowała i odkryła w sobie wielki talent, jeśli chodzi o zdobienie tortów. Luśka paplał o tym wszystkim jak nakręcony, a „własny pokój” wypowiadał z błyskiem w oku, tonem wielkiego nabożeństwa.

Kłopotliwej Przydróżki nie chciał nikt prywatny, ale Fundacja umieściła ją w żeńskim klasztorze. Miejsce spokojne, bez dwóch zdań przyzwoite, a do tego nie groziło mu wyburzenie przez najbliższe kilka stuleci, z powodu ogólnej zabytkowości.

Driada Buczyna wylazła z koca, ale nie rozstaje się z siewką swojego zmarłego drzewa i jeszcze nic nie mówi.



Krzysztof leżał pod kołdrą, wolno zapadając w stan przedśnu. Chopper w kociej postaci zaległ mu za plecami, a Luśka łaskotał wąsami w łokieć. Nagle Baczyński poczuł, że między nim a ścianą wyrasta potężna masa, wypychając go z wyrka. Szturchnął na oślep do tyłu.

– Chopper, bez wygłupów, łóżko się załame!

Chichot z przodu, śmiech z tyłu, napór znikł. Właściwie Krzysztof mógłby kupić większe łóżko, podwójne, żeby wszyscy wygodnie się mieścili. Ale to jeszcze bardziej zagrabi kawalerkę, która choć prawie czterdziestometrowa, robiła się coraz ciasniejsza. Listopadowe słoty, drapak Choppera wywędrował z balkonu do środka, wymarzony domek Luśki też zajmuje miejsce...

Może czas zamienić mieszkanie na coś większego? Dwa pokoje? Biedny Chopper nie ma miejsca na narzędzia. Trzy? Luśka oszalałaby ze szczęścia, mając swój własny kąt. Kredyt dobrać... A właściwie dlaczego nie zaszaleć i nie rozejrzeć się od razu za jakimś małym domkiem na przedmieściach? Mógłby być nawet do remontu, byle

miał kawałek ogrodu – skrzaty mogłyby wychodzić na zewnątrz, bo ogrody, sady i działki zaliczają się do własności gospodarza.

Tak, trzeba się tym zająć. Krzysztof miał przecież teraz – może cudaczną, patchworkową i odrobinę dysfunkcyjną – ale jednak rodzinę.



# CISZA

Robert J. Szmidt



Doskonale pamiętam tamten dzień, noc właściwie.

Jak miliony innych ludzi, stałem się naocznym świadkiem Kontaktu – tak bowiem nazwano ten moment w światowych mediach.

Późnym wieczorem siedziałem na tarasie za domem, zastanawiając się nad ważnym wyborem, który mnie czekał nazajutrz rano i od którego miała zależeć nie tylko moja przyszłość, ale także losy moich bliskich. Czasem życie stawia człowieka w parszywym położeniu; ja czułem się w tamtej chwili jak Indiana Jones, który gna na oślep tunelami zapomnianej przez bogów i ludzi świątyni, uciekając przed ścigającą go gigantyczną kamienną kulą, i nagle... trafia na rozwidlenie, lecz oba wyjścia z matni są równie mroczne i strome. Co gorsza, nie ma czasu na przemyślenia. Trzeba dokonać wyboru tu i teraz, ze świadomością, że żadne z rozwiązań nie jest dobre.

Dopiłem kolejną, piątą już chyba, szklaneczkę rumu – przyjaciela, który tym razem nie sprostął zadaniu, nie rozjaśnił umysłu i nie pomógł mi w podjęciu decyzji – a gdy odstawiałem pachnące wciąż alkoholem szkło na stół, zrobiłem coś, co mnie samego zdumiało. Zwróciłem się do Wszechmogącego, błagając Go o znak, ponieważ wiedziałem, że na siebie i innych ludzi nie mogę już liczyć.

„Proście, a będziecie wam dane” – tak mówi Pismo... I tego wieczora, kiedy wzniosłem oczy ku bezchmurnemu niebu, doznałem olśnienia. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, gdy znienacka pośród ławic migoczących leniwie gwiazd rozlał się oślepiający blask, a otaczające mnie bezkształtne masy mroku ustąpiły na okamgnienie, odsłaniając upiorny krajobraz, tak inny od tego, który można zobaczyć w księżycowej poświacie albo lśnieniu wijących się splotów zorzy polarnej. To światło było białe i zimne, przygasając zaś, nabierało stopniowo barwy krwi.

Na firmamencie kilkanaście stopni nad horyzontem, tuż nad dyszlem Wielkiego Wozu, pojawił się świetlisty kwadrat, ogromny tak, że aż przytłaczający. Rozbłysnął na krótką chwilę, trwał nie dłużej niż paręnaście sekund, by zaraz na powrót ustąpić bezmiarowi mroku, lecz to wystarczyło, żebym zapomniał o dręczących mnie problemach. Znacznie większy lęk zdusił niedawny strach przed przyszłością.

Nie przesadzam. Dla mnie było to chyba bardziej intensywne przeżycie niż dla większości ludzi, ponieważ miałem niezachwianą pewność, że widzę Znak, że otrzymałem odpowiedź od milczącego zazwyczaj Boga. Niemniej jednak każdy, kto tamtego wieczora spoglądał w niebo, musiał poczuć co najmniej ukłucie niepokoju, choćby najlżejszą obawę, że oto stajemy w obliczu wydarzenia nadzwyczajnego, całkowicie bez precedensu. Nawet jeśli nie miało ono religijnego wymiaru.

Gdy niebo stało się znów atramentowe, zrobiłem to, co zapewne każdy w tamtej chwili. Pognałem do salonu i włączyłem telewizor. Zdążyłem przelecieć z tuzin kanałów informacyjnych, zanim dotarło do mnie, że nawet w erze cywilizacji informatycznej trzeba czasu, by media mogły zareagować. I nie myliłem się; wystarczyło usiąść, otrzeć pot z czoła, uspokoić oddech... Nagłówki na dole ekranu zmieniły kolor na czerwony. Nie zobaczyłem na nich jednak tego,

czego się spodziewałem. Wiadomość była zwięzła.

Otrzymaliśmy sygnał od obcej cywilizacji. Rozbłysk na niebie stanowił jego część, ale znacznie ważniejszy był komunikat przekazany na wszystkich częstotliwościach. Kwadrans później poznaliśmy jego treść. Dwa krótkie zdania, które odmieniły świat:

*Przybывamy jako obserwatorzy. Po zakończeniu testu poznacie werdykt.*

•••

Następnego ranka obudziliśmy się w nowej rzeczywistości. Z najdalszych zakątków świata docierały doniesienia o pojawieniu się sond Obcych. Jeśli wierzyć mediom, były ich miliony. Oplotły gęstą siecią wszystkie metropolie i mniejsze miejscowości. Zawisły wysoko na ścianach domów, na masztach telekomunikacyjnych, na kominach – wszędzie tam, skąd był dobry widok. Obce, kuliste, połyskujące metalicznie, złowieszczo ciche. Nie wszystkim się to podobało. Zdjęci strachem ludzie strzelali do nich z czego tylko mogli, ale szybko stało się jasne, że żadna konwencjonalna broń nie może uszkodzić tych urządzeń. Kimkolwiek byli przybysze, ich technologia wyprzedzała naszą o lata świetlne. Każdą z sond Obserwatorów, jak nazywano ich nie tylko w Internecie, chroniły bowiem pola siłowe, znane nam do tej pory tylko z książek i filmów science fiction. Niewidzialne ekrany energetyczne powstrzymujące śrut, pociski karabinowe, odłamki granatów i fale uderzeniowe potężniejszych eksplozji.

Naukowcy i politycy zareagowali z podziwu godną szybkością. Apelowali w mediach i Sieci, by powstrzymać się od aktów wrogości. Przekonywali, że każdy taki atak może zostać źle odebrany przez cywilizację, która przybyła na Ziemię, by nas obserwować, ale też ocenić, co wynikało niezbitcie – przynajmniej zdaniem jajogłowych – z drugiego zdania przekazu. Ta ocena, w opinii wszystkich ekspertów, mogła mieć tylko jeden cel: uznanie nas za godnych

oświecenia, dopuszczenia do większej, kosmicznej rodziny. Groźba eliminacji prędko zesłała na plan dalszy.

Większość ludzi posłuchała głosu rozsądku. Świat stał się przyjaźniejszym i bezpieczniejszym miejscem. Trochę to trwało, nie tak długo jednak, jak można by się spodziewać na podstawie historii naszej cywilizacji. W ciągu kilku pierwszych tygodni od pojawienia się Obserwatorów wygasła spora część konfliktów zbrojnych. Walczące armie i frakcje podpisywały naprędce wynegocjowane porozumienia o przerwaniu ognia, przyjmowały mediacje ONZ i innych organizacji międzynarodowych, spadła też znacznie przestępczość. O tym wszystkim przekonaliśmy się nieco później, gdy nadszedł czas podsumowań.

Co najważniejsze, staliśmy się dla siebie uprzejmiejsi i przyjaźniejsi także na co dzień. Na początku zachowywaliśmy się lepiej niejako z przymusu, zerkając podejrzliwie na wiszące wysoko nad naszymi głowami sondy, z czasem jednak bardziej szczerze, jakby przybycie Obcych obudziło drzemiące w nas poczucie przyzwoitości. Moje problemy nie zniknęły, lecz wewnętrzny Indiana Jones w świetle tego rozbłysku zobaczył trzeci tunel, o wiele mniej stromy i ciemny od pozostałych.

Ludzie, którzy wcześniej mieli mnie gdzieś, dla których byłem tylko kolejną liczbą w statystykach, nagle dostrzegli we mnie bratnią duszę, kogoś, nad kim warto się pochylić. Kogoś, komu można, a nawet trzeba pomóc.

Brzmi to jak bajka, prawda? Ale tak właśnie było.

Przez całe trzy miesiące.

...

Ten dzień także pamiętam. Najpierw pojawiły się plotki, potem rozpowszechniane głównie w Internecie teorie spiskowe, potwierdzone dość szybko przez znanego magnata prasowego,

niekoronowanego króla brukowców. Wreszcie wybuchła bomba, która zburzyła piękny sen o przyszłości.

Poniedziałkowy ranek. Krzykliwe tytuły na całe strony. Same litery, żadnych zdjęć: „Największe oszustwo w dziejach świata”.

Śmiałem się, widząc kilometrowe kolejki ludzi przed stoiskami z prasą. Śmiałem się, gdy po powrocie do domu zasiadłem przed telewizorem i zobaczyłem miny zatroskanych prezenterów oraz zapraszanych przez nich komentatorów, którzy z całą powagą analizowali treść artykułów w najpodlejszych tabloidach. Przestałem się śmiać dopiero przy wywiadzie transmitowanym przez CNN.

Żaden finał NFL nie miał takiej oglądalności jak przekaz ze studia w Atlancie. Dla stacji było to na tyle ważne wydarzenie, że ani razu nie przerwano go reklamami, co mówi samo za siebie.

Za szerokim biurkiem zasiadł sam cesarz mainstreamowej publicystyki, najdonośniejszy głos Ameryki i Wolnego Świata, człowiek, któremu nigdy nie odmówili komentarza najpotężniejsi nawet władcy i politycy. Człowiek, którego ściągnięto z zasłużonej emerytury, by przeprowadził tę niezwykle ważną rozmowę. Tym razem jego gościem – wirtualnym, rzecz jasna – był numer siedem na liście najbogatszych ludzi świata. Bran Lammer, najmłodszy i najbardziej przebojowy multimiliarder z pierwszej setki „Forbesa”. Każdy, kto nie spędził całego życia w amazońskich lasach deszczowych, z dala od cywilizacji, znał tę twarz, ten pewny siebie uśmiech, to pełne wyższości spojrzenie. Musiał też słyszeć o kontrowersyjnych, choć i innowacyjnych pomysłach Lammera, którymi rewolucjonizował on kolejne gałęzie gospodarki, zostawiając daleko w tyle bogaczy takich, jak Branson czy Musk.

– Czy to prawda? – zapytał bez ogródek dziennikarz, podnosząc z biurka egzemplarz „The Truth”.

Spoglądający na niego z wielkiego ekranu miliarder uśmiechnął się.



– Tak, Larry – odparł nonszalancko. – To wszystko prawda.

Zaskoczył tym wyznaniem legendę telewizyjnych debat, ale miał naprzeciw siebie prawdziwego zawodowca, którego niełatwo zbić z pantafelku.

– Wszystko? – Kolejne, niezbyt składne pytanie padło po dwu-, najwyżej trzysiekundowej pauzie, której stary prezenter potrzebował, aby wziąć się w garść.

Musiał opracować nową strategię, skoro gość postanowił grać w otwarte karty, co ostatnimi czasy było naprawdę rzadkie.

– Tak. Brukowce żerujące na najbardziej bzdurnych wymysłach, uznawane za symbol moralnego dna tym razem napisały prawdę.

– Jak udało się... panu tego wszystkiego dokonać?

– Panu? – Lammer nie krył zniesmaczenia. – Do dzisiaj byliśmy na ty, Larry.

– Myślę, że widzowie są bardziej zainteresowani tym, w jaki sposób człowiek, jeden z nas, zdołał dokonać tak niesamowitego pokazu – szybko skontrował prowadzący, któremu (z niewiadomych dla mnie wtedy względów) nie spodobała się ta uwaga. – Weźmy ten przedziwny błysk na niebie...

– Larry, Larry... – Miliarder rozparł się wygodniej w fotelu. – Umieściłem w przestrzeni lustro zmontowane z płytek grafinu, które w momencie nadania sygnału ustawiło się pod odpowiednim kątem do Słońca, by odbić jego światło i skierować na pograżoną w mroku półkulę. Sztuczka stara jak świat. Natychmiast po wykonaniu zadania konstrukcja rozpadła się na miliony części, dzięki czemu w przestrzeni nie pozostał żaden ślad, który moglibyście namierzyć albo wykryć.

– Grafinu? – powtórzył prowadzący.

– Tak. Wiem, że ta nazwa niewiele ci mówi, przyjacielu. To substancja podobna do grafenu, tylko dziesięć razy bardziej zaawansowana. Jeden z moich... z naszych – poprawił się szybko –

ostatnich wynalazków.

– To lustro musiało mieć ogromne wymiary – drążył prezenter. – Jakim cudem tyle grafenu...

– Grafinu.

– ...tyle grafenu znalazło się na orbicie?

Lammer się zaśmiał.

– Dwuwymiarowe polimery mają grubość atomu, przyjacielu. Można ich napakować do członu transportowego największej z moich rakiet tyle, że wystarczyłoby na trzy podobne lustra. A w ostatnich latach wysłałem takich statków w kosmos ponad trzysta, jeśli dobrze pamiętasz.

– To musiało kosztować fortunę.

– Na biednego nie trafiło.

Kolejna salwa perlistego śmiechu.

– To prawda. A co z sondami?

– One też kosztowały mnie fortunę.

– Nie pytam o pieniądze, tylko o zastosowane w nich technologie. Osłony siłowe? Tego typu rozwiązania znaleźliśmy do tej pory tylko z literatury i filmów science fiction.

– Powodzenie planu wymagało stworzenia sprzętu, który będzie wyglądał tak futurystycznie, że podtrzyma iluzję kontaktu z Obcymi. Zespół moich najlepszych naukowców pracował nad tymi rozwiązaniami od niemal dziesięciu lat, ale efekty, przynasz, przeszły najśmielsze oczekiwania. Ilekroć spoglądałeś na obserwujące cię sondy, musiałeś odnieść wrażenie, że nie pochodzą one z Ziemi.

– Tak było – przyznał prowadzący. – Wyglądały naprawdę... obco.

– To głównie zasługa człowieka, który jest powodem naszej rozmowy.

– Powodem naszej rozmowy jest... mistyfikacja, której pan się dopuścił.

– Raczej jej ujawnienie, za które odpowiada...

– Do tego też dojdziemy. – Larry powstrzymał rozmówcę, unosząc dłoń. – Trzymajmy się tematu. Sondi. Jakim cudem udało się panu stworzyć urządzenia wyprzedzające inne dokonania ludzkości o całe dekady?

Miliarder przetarł twarz obiema dłońmi, pozostawiając je, złączone jak do modlitwy, przy ustach.

– Ten sprzęt nie jest aż tak zaawansowany, jak ci się wydaje, przyjacielu. Jego jedynym zadaniem miało być generowanie energii potrzebnej do wytworzenia pola siłowego odpowiedniej mocy. To tylko ładnie opakowane baterie o wielkiej wydajności.

– A nagrania? – zdziwił się Larry.

– Jakie nagrania? Nie musieliśmy niczego nagrywać, sondy były katalizatorem zmian. Dane zbieraliśmy tradycyjnymi metodami.

– No dobrze, a co z przekazem od obcej cywilizacji? Według astrofizyków i analityków armii sygnał dotarł do Ziemi z głębi kosmosu.

– Kolejna iluzja – zaśmiał się tryumfalnie Lammer. – Zadałem sobie wiele trudu, by mój eksperyment wypadł przekonująco.

– Eksperyment? Nazywa pan to gigantyczne oszustwo eksperymentem?

Bran spowaźniał momentalnie, gdy padło przedostatnie słowo.

– Czyli dla ciebie, przyjacielu, także jestem oszustem? – zapytał.

– Nie feruję wyroków, póki nie poznam całej prawdy. Dlatego dzisiaj rozmawiamy.

– Ale nie przeszkadza ci to twierdzić z całym przekonaniem, że dokonałem gigantycznego oszustwa.

– To określenie zaczerpnięte z artykułu w „The Truth” – bronił się prowadzący.

– Które powtarzasz ze świętym oburzeniem na antenie, przyjacielu.

Larry milczał dłużej, niż powinien; na tyle długo, że z pewnością nie umknęło to uwadze nawet mniej rozgarniętych widzów.

– Przepraszam – odezwał się w końcu. – Chyba rzeczywiście mnie poniosło. Powinienem był powiedzieć: „ta gigantyczna mistyfikacja”.

– Tak lepiej, aczkolwiek pozwól, że nadal będę twierdził, iż przeprowadzałem eksperyment socjologiczny.

– Poproszę w imieniu widzów o rozwinięcie tego tematu. – Larry skorzystał z okazji, by przenieść uwagę oglądających na rozmówcę.

Nieustanne, celowe wytykanie mu przyjaznych związków z przepytywanym było na tyle denerwujące, że niepotrzebnie opuścił gardę. Potrzebował chwili, by przemyśleć sytuację i znaleźć rozwiązanie. Skłonienie Lammera do dłuższego wywodu mogło dać mu potrzebny czas.

– Znasz na pewno pojęcie efektu obserwatora, choć w tym wypadku chodzi nie o jego znaczenie fizyczne, lecz socjologiczne. Mówię o zmianie zachowań obserwowanych obiektów wynikającej z presji wywieranej na nie, zresztą nieświadomie, przez badacza.

Larry pokiwał głową.

– Wiem, czym jest efekt obserwatora.

– Świetnie. Domyślam się zatem, że nie będziesz miał najmniejszego problemu ze zrozumieniem, co chciałem osiągnąć poprzez postawienie ludzkości w świetle fleszy obcej inteligencji.

– Problem w tym, że ma pan to wyjaśnić naszym widzom, nie mnie – przypomniał prowadzący.

– Tak... – Lammer znów pochylił się w kierunku kamery. – Wyjaśnię to więc w najprzystępniejszy możliwy sposób. Ktoś kiedyś zauważył, że ludzie zachowują się inaczej, jeśli wiedzą, że są obserwowani. Najprostszy przykład z możliwych: piłkarze dadzą z siebie wszystko, gdy tylko zostaną poinformowani, że podczas meczu na trybunach zasiądzie łowca talentów drużyny z wyższej

ligi. Albo weźmy twoich gości, przyjacielu. Jako stary wyga na pewno zauważyłeś zmianę w zachowaniu zapraszanych osób, to charakterystyczne dla wielu usztywnienie, gdy tylko włączacie kamery...

– Rozumiem, ale wracajmy do tematu. Czemu miał służyć ten... eksperyment?

– To także powinienem wyłożyć jak krowie na miedzy? – odpowiedział pytaniem na pytanie miliardera.

– Myślę, że na to właśnie liczą nasi widzowie. A oglądają nas setki milionów ludzi z całego globu.

– Dobrze, ujmę to tak. Świat, nie tylko moim zdaniem, zaczął schodzić na psy. Potrzebowaliśmy... my, ludzkość... silnego bodźca, który skieruje nas ponownie na właściwe tory rozwoju.

– Czyli?

– Po tym jak zniszczyliśmy wszystkie autorytety, które mogły nam przemówić do rozsądku, łącznie z przywódcami największych państw i religii, nie pozostało nic innego, jak sięgnąć dalej, wyżej. Uznałem, że kontakt z obcą cywilizacją może być czynnikiem, który powstrzyma marsz ku samozagładzie, i sądząc po obserwowanych w ostatnich miesiącach zmianach, chyba się nie myliłem. Weźmy Koreę Północną. Jeszcze pół roku temu nikt by nie uwierzył, że porozumienie z tamtejszym reżimem jest możliwe. A tu proszę. Rosja i Chiny nie zawetowały żadnej rezolucji ONZ dotyczącej ukarania tego kraju za ataki na sondy Obcych. Co więcej, sam Pjongjang, widząc, że może stanąć na straconej pozycji, nagle zaczął wykazywać dobrą wolę. Wystarczyły dwa miesiące obserwacji, by zaświeciło światło w tunelu.

– Naprawdę uważa pan, że to zasługa pańskiej mistyfikacji?

– To chyba oczywiste. W ciągu minionych dziewięćdziesięciu pięciu dni udało się doprowadzić do niemal całkowitego przerwania ognia w czterdziestu trzech poważnych konfliktach zbrojnych.

Nagle okazało się, że mierzone dekadami właśnie i spory można rozwiązać bez potrzeby posuwania się do ludobójstwa. Zegar atomowy cofnięto o trzy minuty. Najbardziej skorumpowane rządy Trzeciego Świata prześcigają się w ustanawianiu praw, które mają służyć poprawie bytu obywateli. Nawet przestępcy i szaleńcy dziwnie przycichli. Zdajesz sobie sprawę z tego, że od siedemdziesięciu czterech dni nie mieliśmy ani jednej masowej strzelaniny? Świat dzięki mojemu eksperymentowi stawał się powoli naprawdę przyjaznym miejscem.

– Przyjmijmy na potrzeby tej rozmowy, że ma pan rację.

– Ależ ja mam rację! – obruszył się Lammer.

– Proszę pozwolić mi dokończyć... – Larry zawiesił głos, a po chwili dodał: – Rozumiem, że chciał pan zmusić ludzi do zmiany zachowań na takie, jakie są pana zdaniem lepsze. Ten eksperyment nie mógł jednak trwać w nieskończoność. Co dokładnie przewidywał pański plan? Jak długo te sondy miały wymuszać na nas zmiany?

– Założyłem, na podstawie zleconych analiz i badań, że osiągniemy cel po około dwudziestu czterech miesiącach obserwacji, ale gdyby zaszła taka potrzeba, byliśmy gotowi kontynuować operację nawet kilkakrotnie dłużej. Sondy zostały tak skonstruowane, by mogły działać nieprzerwanie nawet przez dziesięć lat.

– No dobrze. Mamy więc taką oto sytuację. Po kilku latach eksperyment dobiega końca, świat jest pana zdaniem uleczony, i co dalej? Ujawnia pan ludziom prawdę?

– Nie.

– Nie?

– Ujawnienie prawdy mogłoby przynieść podobne skutki jak dzisiejsza afera. Odwrócić osiągnięte efekty.

– Jak zatem zamierzał pan zakończyć swój eksperyment?

– Tak. – W polu widzenia kamery pojawiło się niewielkie urządzenie z czerwonym przyciskiem, przypominające detonator.

Kciuk Lammera opadł na czerwony przycisk. Larry poruszył się niespokojnie, za jego plecami ktoś przebiegł. W tle słychać było szum, jakby ludzie rozmawiali podniesionymi głosami.

– Sondy... – Prowadzący skierował wzrok w górę.

– ...przystały właśnie istnieć – dokończył za niego rozbawiony miliarder. – Ale bez obaw, pył, w który się zamieniają podczas procesu dezintegracji, nie jest szkodliwy dla ludzi. Tak właśnie miał się zakończyć eksperyment. Po aktywacji kolejnego lustra z przestrzeni nadszedłby drugi komunikat, w którym powiadomiłbym ludzkość, że obserwacja dobiegła końca, dałbym też znać, że teraz pozostaje nam już tylko czekać na prawdziwy Kontakt.

– Sprytne – przyznał Larry po chwili zastanowienia.

– Mądre – poprawił go Lammer. – Dzięki temu efekt eksperymentu uległby utrwaleniu. Nikt przecież nie wie, ile czasu potrzebują Obcy, aby do nas dotrzeć. Wszechświat jest ogromny, niektórzy mówią, że nieskończony.

– Przyznaję, że pański plan, przynajmniej w teorii, ma sens. Ale czy ta mistyfikacja naprawdę była konieczna? Czy nasz świat naprawdę był tak złym miejscem, że należało to zmienić?

– Odpowiedź na twoje pytanie, przyjacielu, będzie wymagała pewnej kontrowersyjnej dygresji... Istnieje teoria mówiąca o tym, że inteligencja jest ślepy m zaułkiem ewolucji. Jej wyznawcy, do których się zaliczam, głoszą, że wszechświat tętni życiem, ale ta cisza, która nas otacza, ma bardzo ważny powód: gatunki zyskujące samoświadomość bardzo szybko doprowadzają do własnego wyginięcia.

– Myślę, że to bardzo naciągana teoria.

– Czyżby? – Lammer znów się roześmiał. – Pozwól, że podam ci kilka liczb, które zilustrują problem. Gdyby w każdej galaktyce rozwinęła się tylko jedna rozumna rasa, mielibyśmy ich we wszechświecie sto miliardów. Gdyby wokół jednej gwiazdy na

milion krążyła planeta, na której mogłoby rozwinąć się życie, w Drodze Mlecznej mielibyśmy ich ponad czterysta tysięcy, a w skali wszechświata tryliony. To czysta matematyka. Dlaczego więc otacza nas grobowa cisza? Dlaczego nigdy nie odebraliśmy jednego sygnału Obcych?

– Domyślam się, że zna pan odpowiedź.

– Owszem, znam i dlatego próbowałem coś zrobić, zanim będzie za późno. Pozwól, że posłużę się naszym przykładem. Otóż dzieje się tak dlatego, że zwykli ludzie już w minionym tysiącleciu przestali nadażać intelektualnie za rozwojem cywilizacji. Dla nich intelekt jest obciążeniem, nie darem. Nie radzą sobie z nim, za co zresztą trudno ich winić, ponieważ jak my wszyscy są tylko zwierzętami... obdarzonymi rozumem, ale koniec końców tylko zwierzętami – powtórzył dla wzmocnienia efektu. – Teorie i twierdzenia współczesnych naukowców są dla nich czarną magią. A to, czego nie rozumiesz, budzi w tobie zazwyczaj strach. Stąd masowy denializm, mnożące się niczym króliki teorie spiskowe, wszystkie te ruchy antyszczepionkowe, miłośnicy reptilian, channelingu, płaskiej albo wydrążonej Ziemi. Za naszym przyzwoleniem, mówię tu o elitach intelektualnych, półanalfabeci kreują rzeczywistość, niszcząc przy okazji wszystko, co wyrasta ponad ich poziom. Nadto rozwój cywilizacji informatycznej uświadomił najmniej inteligentnym jednostkom, że są ich miliony. Ci ludzie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak łatwo nimi manipulować, uwierzyli, że mogą kształtować świat według własnych wyobrażeń, i robią to, dokonując pod wpływem zwykłych szumowin i głupców najbardziej bzdurnych wyborów, które prędzej niż później muszą doprowadzić do załamania struktur cywilizacyjnych, a co za tym idzie do masowej zagłady. Nie mów, że tego nie zauważasz...

– Szczerze powiedziawszy, dostrzegam problem, ale nie zgodzę się co do oceny jego skali.



– Tym się różnimy, przyjacielu.

– Historia pokazuje, że na gruzach jednych imperiów powstawały następne, wyżej rozwinięte.

– Historia uczy też, że nigdy wcześniej nie dysponowaliśmy bronią zdolną do zniszczenia całego życia na Ziemi.

– Którą to bronią dysponują najrozsądniejsi z ludzi.

– Jak długo jeszcze? – zapytał z drwiącym uśmiechem na ustach Lammer. – Nie zauważyłeś, że zorganizowani głupcy coraz częściej sięgają po władzę? Przypomnij sobie, co jeszcze niedawno mówiłeś w prywatnych rozmowach o naszych przywódcach. Nie oszukujmy się, dzisiejsza afera jest dowodem na to, że nie mamy szans na uniknięcie zagłady. Ukrzyżujecie mnie za próbę uratowania świata w bezbolesny sposób, kreując jednocześnie na bohatera człowieka, który ujawnił prawdę o eksperymencie, chociaż jego zdrada doprowadzi w najbliższym czasie do niewyobrażalnych okrucieństw. Wiesz, przyjacielu, dlaczego mnie sprzedał?

– Znam jego stronę tej opowieści.

– Prawda jest taka, że nie zaspokoilem jego ambicji, oddając kierownictwo projektu innemu naukowcowi, z którym rywalizował. Miał wszystko, nieograniczone fundusze, pełną swobodę, ale nie dostał władzy nad rywalem i to wystarczyło, by zniszczył efekt dziesięciu lat pracy.

– Jego wersja o woli zachowania czystego sumienia wydaje się równie wiarygodna.

– I zrozumiał to nagle, po tylu latach pracy nad eksperymentem? Trzy dni po usłyszeniu o awansie kontrkandydata? Nie żartujmy, proszę. To zbyt poważny temat.

– Nasza rozmowa za moment dobiegnie końca... – Larry przytrzymał słuchawkę w uchu, by lepiej słyszeć słowa realizatora.

– Owszem – odparł Lammer – ale nie dlatego, że FBI wkracza właśnie do rezydencji, z której otrzymujecie ten przekaz. –

Uśmiechnął się, widząc zaskoczenie na twarzy prowadzącego. – Tak, przyjacielu, nie znajdą mnie tam. Tak samo jak nie dostaną nigdy choćby strzępka dokumentacji dotyczącej najnowszych technologii, które opracowywaliśmy w naszych tajnych laboratoriach. Naciskając ten przycisk, aktywowałem bowiem coś więcej niż tylko systemy samozniszczenia sond.

– Prędzej czy później trafi pan w ręce organów ścigania. Nie ma na Ziemi miejsca, które udzieliłoby panu schronienia. Nie teraz, gdy pańskie aktywa zostały zamrożone.

– Larry, przyjacielu, jakie aktywa? Wydałem wszystko, co miałem, na realizację tego projektu. Więcej nawet, gdyż jak już podliczycie sumę wziętych przez moje firmy kredytów, może się okazać, że finansowaliście eksperyment w większym stopniu niż ja. A co do miejsca na Ziemi... – Zniknął na moment z ekranu, a gdy pojawił się znowu w polu widzenia kamery, trzymał w dłoni niewielki przedmiot. Kulistą, metalicznie połyskującą sondę. – Zostawiłem sobie jedną na pamiątkę – dodał tonem wyjaśnienia. – Spójrz tylko. – Podrzucił ją, a ona nie opadła, jak powinna, lecz poszybowała wolno w górę, by kilka sekund później opuścić pole widzenia. – Pozwól, że na pożegnanie złożę pewną obietnicę. Z miejsca, w którym się znajduję, będę spokojnie obserwował rozwój sytuacji. Jeśli wyjdzie na to, że nie miałem racji, wrócę i oddam się w ręce władz. Powiedzmy, za rok.

• • •

Miał rację.

Niecały miesiąc później nie było po co wracać. Zrobiliśmy to, co od zarania dziejów wychodzi nam najlepiej. Spieprzyliśmy wszystko koncertowo, tak jak to przewidział Bran Lammer.

Konflikty, które dzięki eksperymentowi udało się stłumić, wybuchły ze zdwojoną mocą zaraz po ujawnieniu prawdy. Przed

upływem tygodnia ludzie, którzy po latach walk z uśmiechem na ustach ściskali sobie dłonie, znów sięgnęli po broń. Każdy dzień przynosił więcej doniesień o wojnach, zamachach i bezsensownych zabójstwach. Stoczyliśmy się w otchłań szybciej, niż można by przypuszczać w najgorszych koszmarach.

Z tego, co wiem, jestem jednym z ostatnich ludzi w tym oceanie kraterów i ruin. Co mnie trzyma przy życiu? Pojęcia nie mam. Wiem tylko jedno: dostaliśmy szansę, ale byliśmy zbyt głupi w swojej mądrości, by z niej skorzystać.

Nie my pierwsi i nie ostatni.

Cisza wszechświata zdaje się to potwierdzać.

# ZMIERZCH NAD WERONĄ

## Tomasz Kołodziejczak

### 1.



Vittorio Bernardin podniósł do ust kieliszek wina. Powstrzymał się jednak przed wypiciem, chwilę obracał szkło, spojrzął na zawartość pod światło. Powoli się uspokajał.

A wkurzyli go dziś po kolei: Irene, ta głupia suka; Dimachaerus, który znowu okazał swą pychę; bezpośredni przełożony Mario Gambino, stary złamas czepiający się przy byle okazji.

Najbardziej chyba jednak dopiekl mu Dimachaerus, zwany Okiem. Tak, gladiator był na fali, wygrał kilka walk z rzędu w pięknym stylu, przy pełnej widowni Areny. Turystki całymi dniami stały przed jego willą, marząc, by choć na chwilę wyszedł i podpisał się na ich małych piersiach i płaskich brzuchach, a może, kto wie, zaprosił do środka.

Z samego rana bezczelny gladiator wtargnął do biura Vittoria, ostentacyjnie ubrany w nieprzepisowy strój, za którego noszenie w urzędzie państwowym zwykłemu obywatelowi groziłoby pouczenie, a może i kara. Sandały, dzinsy i koszula opinająca muskularne ciało, wszystko od Prady, ale jednak całkowicie sprzeczne jeśli nawet nie z prawem, to na pewno z obyczajem. Dłonie o zaskakująco delikatnych, jak na sportowca, pomalowanych błyszczącym lakierem paznokciach. Ogolona na łyso głowa, mocna szczęka, naznaczona bliznami czaszka, zasłonięte czarną opaską prawe oko, jedno ucho odcięte w połowie. Na twarzy zmęczenie nieprzespaną nocą, w

oddechu wino. To dla tych znamion, pamiątek po zaciętych, ale zawsze zwycięskich pojedynkach, to dla tego niepomahowanego na arenie i w łóżku ciała zjeżdżały do Werony turystki ze wszystkich prowincji Ludowego Cesarstwa. I dla balkonu Julii, oczywiście.

Dimachaerus cisnął na biurko Vittoria papier – kremowy i gruby, pachnący herbatą – na którym starannym ręcznym pismem wykaligrafowano żądania gildii, ani skomplikowane, ani wyrafinowane. Gladiatorzy po prostu chcieli więcej pieniędzy. Nie domagali się żadnych innych przywilejów. Nie potrzebowali lepszej opieki medycznej, nie chcieli zabezpieczeń na wypadek kalectwa, nie występowali o prawo do wyjazdu z Werony. Wiedzieli, że wszystko, co da się zdobyć w Prowincji, mogą mieć tutaj, najlepsze i najgorętsze. Nie marzyli zaś o niemożliwym, czyli występach w miastach Ludowego Cesarstwa. Doskonale wiedzieli, czego mogą żądać od lokalnych urzędników, a jakimi sprawami nigdy nie powinni niepokoić prawdziwych władców Prowincji. Dimachaerus był przekonany – słusznie zresztą – że to nie Vittorio będzie ostatecznie decydował o pieniądzach, lecz jego przełożeni. Dlatego lekcewał urzędnika. Ale zgodnie z regulaminem musiał przedłożyć petycję właśnie jemu; wiedział też, że władcy lubią procedury, a każdy papier nabiera urzędowej mocy po przejściu kilku poziomów urzędniczej hierarchii i kilkunastu biur ratusza. Jednak niedbałym strojem, nieogoloną twarzą, wystudiowanym brakiem uniżenia jawnie okazywał Vittoriowi, jak mało poważa jego stanowisko i jego samego osobiście.

Dimachaerus był bogiem Areny, kochankiem lokalnych dam i najbogatszych turystek, choć formalnie pozostawał niewolnikiem miasta Werona. Vittorio Bernardin, urzędnik siódmej rangi, yuahyang, całkiem wysokiej, jak na tak młodego tubylca, musiał okazywać mu swoją podległość.

Yuahyang oznacza kaczkę mandarynkę.

Zirytowała go też Irene, którą wygonił z domu dwa dni temu. Miał już dość jej kościstego ciała i zbyt małych piersi, choć kiedy poznał kobietę niemal rok temu, podobała mu się właśnie taka: śniada i szczupła, z daleka przypominająca chińskie turystki. Szczególnie gdy starając się do nich upodobnić, zakładała krótką spódniczkę, przetykaną złotymi nitkami koszulkę i białe kozaczki. Chyba to właśnie go kręciło – kiedy ją pieprzył, wyobrażał sobie, że ma pod sobą jedną z tamtych. Ale po kilku miesiącach to przestało działać i kazał jej się wynosić. Kiedy płakała i zapewniała go o swojej miłości dziecięcym, piskliwym głosem, znowu się nakręcił. Zdarł z niej ubranie i wziął w salonie, przy otwartych drzwiach wyjściowych, w których stała już walizeczka z ciuchami i resztą dobytku. Jęczała głośno i tarła go, jakby od tego zależało jej życie, a nie jedynie większy metraż, ale nie uratowała się. Potem i tak ją pogonił, niech wraca do swojego bloku, do starej mamuśki, do pracy w hurtowni. Już się nałapała życia. Nie to go irytowało. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie poinformował kadr o zakończeniu związku i nie wymeldował Irene. Zgodnie z przepisami powinien był to zrobić najpóźniej w dwadzieścia cztery godziny po zdarzeniu. Ale miał tyle roboty, że zapomniał. Groził mu wpis do akt, niby nic wielkiego, ale Vittoria złościło, że zarobi naganę przez własne gapiostwo, a nie jakiś prawdziwy błąd. Trudno, jutro napisze meldunek i przeprosiny.

I pieprzyć tego starego dziada Maria! Vittorio jeszcze kiedyś się na nim odegra!

Mężczyzna znów spojrział na kieliszek wypełniony wspaniałym tokańskim winem, jednym z kilku powodów, dla których ten kawałek Europy został obroniony przed dżihadem. A potem, zapominając, że powinien delektować się szlachetnym trunkiem, wypił je jednym haustem.

Dopiero wtedy poczuł spokój.

## 2.

– Obudź się! Wstawaj! – Ze snu wyrwał Vittoria krzyk i potrząsanie za ramię. Natychmiast otworzył oczy, ale w półmroku sypialni dostrzegł tylko kontury pochylającego się nad łóżkiem człowieka. Nie drgnął nawet, jakby okrywające go prześcieradło mogło stać się zbroją przeciwko nadciągającemu dniu. Zrozumiał bowiem od razu, że to będzie zły dzień. O świcie do jego domu mogli wejść tylko złodzieje lub funkcjonariusze gonganbu. Ale zwykli rabusie po prostu daliby mu w łeb albo uśpili gazem, a nie budzili, czyniąc przy okazji tyle hałasu.

Zadrzał. Strach narodził się w głębi brzucha i, niczym kłębek zmrożonego drutu, powoli się rozwijał, wyciągając końce ku sercu i umysłowi, dłoniom i stopom, paraliżując każdą próbę ruchu.

– Wstawaj!

Nigdy w życiu nie myślał tak szybko.

Czy chodzi o Irene? Czy to przez tę sukę będzie miał teraz kłopoty? Czy może to efekt knowań gnojka Dimachaerusa? Niechże w końcu ktoś poderżnie mu gardło i wypatroszy! A może jednak kontrola dopatrzyła się zbyt wysokich kosztów własnych w czasie podróży służbowych do obozów filtracyjnych? Albo ktoś doniósł, że oprócz wyszukiwania rekrutów na gladiatorów osobiście testował nowe kandydatki do pracy w lupanarach? Przeklęty Howard, to jego sprawka, na pewno, a tyle razy zapewniał o swojej przyjaźni, gdy dzięki protekcji Vittoria otrzymał stanowisko intendenta obozu!

– Już, już! Ale jestem nieubrany! – zdołał wymamrotać, udając, że teraz dopiero się wybudził.

– Szybko! – Mężczyzna odstąpił dwa kroki i wreszcie Vittorio zdołał dostrzec, że nie ma na sobie munduru, tylko urzędniczy, granatowy garnitur. Więc może jednak nie będzie tak źle...

W końcu odrzucił prześcieradło i usiadł na łóżku.

– Masz minutę, żeby zjawić się na dole. Masz wyglądać. Czeka! – powiedział mężczyzna i wyszedł. Nie tłumaczył, kto „czeka”. To było jasne. Vittorio zrzucił piżamę i wsunął spodnie na gołe ciało, nie chcąc tracić czasu na wyjmowanie z szuflady majtek, za to ściągnął z wieszaka białą, ledwie wczoraj uprasowaną koszulę. Starannie pozapinał guziki, sprawdził w lustrze, czy kołnierzyk równo stoi. Boso ruszył ku schodom. Chciał, aby przybysze zauważyli, że się bardzo śpieszył, ale też – że zadbał o swój wygląd, by okazać szacunek.

Schodził szybko, równym rytmem, lecz stopy stawiał delikatnie, bez tupania. Próbował uspokoić oddech. Poprawił jeszcze zawinięty mankiet koszuli. To sztuka formy. Zachowania. Postawy i kontroli. Gdyby jej nie posiadał, nie awansowałby tak wysoko w hierarchii Prowincji ze swoim marnym pochodzeniem. Prowadzące z piętka do salonu na parterze schody były wąskie, obudowane, tak więc z każdym krokiem zwiększał się fragment widocznego pokoju, a wraz z nim – objawiały całe sylwetki przybyszów. Wciąż nie rozumiał.

Władca stał nieco z tyłu: niski, w granatowym garniturze, z drobnymi, wypiełgnowanymi dłońmi i czarnymi, krótko przyciętymi, lśniącymi włosami. Vittorio nie znał go, co mogło być faktem groźnym, ale równie dobrze – pozytywnym. Mężczyzna, który obudził Vittoria, miał wysportowaną sylwetkę i ciemną cerę prawdziwego Włocha. Co prawda lekko już łysiał, ale jego oczy błyszczały młodzieńczą energią. Spod rękawa marynarki pobłyskiwał złotem duży zegarek, a na palcu lśnił sygnet.

Tuż przy nodze mężczyzny stała dziewczynka, drobna, szczupła, sześć-, ale równie dobrze ośmioletnia. Na nogach miała kolorowe tenisówki, chude łydki opięte jasnozielonymi rajstopami, a na sobie bez wątpienia modną i drogą pomarańczową sukienkę, pewnie od Benettona. Vittorio od razu zwrócił uwagę na twarz dziecka, bladą,



wątlą, o zaciśniętych ustach i oczach wbitych w ziemię. Dziewczynka była krótko ostrzyżona, zgodnie z ostatnią modą wśród zamożnych nobilew, ale najwyraźniej tego ranka nikt nie zadbał o to, by ją uczesać, więc kosmyki włosów sterczały w każdą stronę.

Dopiero po chwili dostrzegł stojącą za dzieckiem małą walizkę.

– *Ninhao*. – Vittorio lekko pochylił głowę i spuścił wzrok, zwracając się do białego mężczyzny. – Jestem Vittorio Bernardin, urzędnik *uahyang*. Co sprowadza panów do mojego domu?

Odpowiedź padła dopiero po chwili.

– Pan Hi-min wybrał cię do wypełnienia ważnego zadania, którego prawidłowa realizacja zostanie wpisana do akt twoich oraz mieszkającej tutaj Irene Tocco.

– Ale... – zaczął Vittorio, lecz Chińczyk przerwał mu gestem dłoni. Po angielsku, ale cicho i niewyraźnie, tak, że ledwie dało się go zrozumieć, sam wypowiedział słowa powitania, okazując więcej grzeczności, niż był zobowiązany. Vittorio znów skłonił głowę, ale jednocześnie poczuł ulgę. Może jednak nie chodzi o jego własne przewiny, może... Uważnie spojrział na dziewczynkę, wciąż stojącą w ciszy i bezruchu, jakby nie oddychała. Jedyną oznakę życia stanowiły rzadkie mrugnięcia. To dziecko zostało wychowane w domu o wysokim statusie społecznym, od urodzenia uczone powściągliwości i form. Mała honestiorka.

Po co ją tu przyprowadzili?

– Panie, dziękuję za przybycie i zaufanie wobec mojej osoby. – Uznał, że to nie najlepsza pora na meldowanie, że wyrzucił Irene z domu. Jakoś to załatwi później, jak tylko dowie się, o co im naprawdę chodzi.

Odpowiedź przysła od razu.

– Zaopiekujesz się tym dzieckiem. Nie krócej niż przez osiem miesięcy. Teraz nazywa się Pia Bernardin. Nie możesz używać jej

dawnego imienia. Nie możesz pytać jej o dawne nazwisko i życie. Urodziła się dziś rano i wraz z Irene Tocco będziecie jej opiekunami prawnymi, dopóki nie zostanie zdecydowane inaczej. Twoje konto zostało doładowane specjalną kwotą na ten cel. Nie wydasz tych pieniędzy na nic innego. Kiedy kupisz jej nowe ubrania, zniszczysz te, w których przyszła.

Biały mężczyzna wyrecytował formułę jednym ciągiem, bez chwili zawahania. Najwyraźniej nie robił tego pierwszy raz w życiu. Zapewne mógł załatwić wszystko sam. Wtedy zachowywałby się inaczej. Przedstawiłby się, usiadł z Vittorioem do stołu, opowiedział nieco więcej, wyjaśnił, co i jak, a może nawet udzielił kilku porad. Obecność władcy formalizowała całą procedurę, ale też nadała jej szczególną rangę. To musiała być ważna sprawa, skoro chiński urzędnik osobiście pofatygował się do domu Vittoria.

To szansa. Okazano mu zaufanie i – jeśli nie zawiedzie – dostanie nagrodę. Jeśli skrewi – nie minie go kara. Dlaczego jednak miałby nie dać sobie rady? Teraz dopiero Vittorio poczuł, że z jego umysłu wynoszą się ostatnie mrówki strachu i ogarnia go ekscytacja – tak, wreszcie dostał swoją szansę! Da radę, ściągnie tu tę cholerną Irene, przywlecze za kudły, każe siedzieć w domu i zajmować się gówniarą. Trudno, zniesie jej zbyt głośny śmiech i małe cycki. Wytrzyma przez ten rok, a potem skoczy wyżej.

– Oczywiście, panie. – Choć do niego samego mówił białas, on zwracał się bezpośrednio do Chińczyka, zgodnie z obyczajem i protokołem. – Wszystko zostanie zrobione zgodnie z oczekiwaniami.

– Zapoznaj się z tym. Opis obiektu, jego karta zdrowia. – Mężczyzna podał mu szarą, niezbyt grubą kopertę. – Przydział do szkoły i zajęć. Zalecenia. Moje dane kontaktowe. Na razie będziesz się meldował codziennie.

– Oczywiście. – Vittorio kiwnął głową.

Chińczyk bez słowa odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych. Przyłożył do zamka swój uniwersalny klucz i opuścił dom Vittoria. Biały urzędnik spojrział jeszcze na dziecko.

– Pilnuj jej, radzę ci – powiedziała, po czym szybkim ruchem chwycił walizkę dziewczynki i też ruszył ku wyjściu.

– Ale jej rzeczy... – zaczął Vittorio.

– Wszystko kupisz. Pamiętaj: zniszcz to, co ma na sobie. – Urzędnik nawet się nie odwrócił. – Jeszcze dziś.

Vittorio skoczył za nim, by otworzyć i przytrzymać drzwi.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Kiedy podszedł do Pii, nadal stała nieruchomo, w bezdechu i ciszy.

Czuł chłód podłogi pod bosymi stopami, ale gorąco wciąż oblewało jego twarz.

– Nie popłaczesz sobie? – spytał, wsadzając ręce w kieszenie spodni. Widziała, jak okazywał podległość obu przybyszom, teraz on musiał jej zademonstrować swoją władzę.

Podniosła wzrok na mężczyznę. Miała jasnobłękitne, niemal przezroczyste tęczaówki, z którymi dziwnie kontrastowały ciemne brwi.

– Płacz nie jest dla nas – odpowiedziała powoli cienkim głosem i teraz dopiero, gdy na dodatek zobaczył jej usta wyszczerbione brakiem licznych mleczaków, uświadomił sobie, z jak małym dzieckiem ma do czynienia. Parsknął śmiechem. – Nie śmiej się ze mnie – zaprotestowała piskliwie. – To niegrzeczne.

Nie mógł się jednak powstrzymać. Patrząc na tę gówniarę, która próbowała zachowywać się jak dobrze ułożony dorosły i która chyba nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje, rechotał, jakby usłyszał nowy świński dowcip. Wtedy powiedziała:

– Uprowadzono mnie, że znajdę się wśród humiliorów.

Zamilkł w jednej chwili i znów ogarnął go strach.

### 3.

Przed gabinetem dyrektora departamentu, Maria Gambina, nie było krzeseł. Petent musiał stać, czasami dość długo. Nie mógł się nawet oprzeć plecami o ściany, bo obwieszono je, niemal rama w ramę, doskonałymi kopiami Tycjana. Bez wątplenia – specjalnie. Petent wchodzący do gabinetu miał być zmęczony.

A przecież Vittorio już przyszedł do biura niewyspany. Najpierw przez godzinę organizował dziecku nocleg w swoim gabinecie na piętrze. Musiał wynieść komputer i drukarkę, wypakować z szafy marynarki, zabrać z biurka i półek wszystkie ważne papiery, rozłożyć i pościelić łóżko, stojące tam tak naprawdę tylko na wypadek nocowania gościa, który zbyt zabalował na którejś z urządzanych przez Vittoria imprez. Przez cały ten czas dziewczynka siedziała niemal w bezruchu na obrotowym krześle, na czas porządków odsuniętym w kąt. Jej bezbarwne oczy śledziły ruchy mężczyzny, a regularny oddech wyznaczał rytm każdej czynności.

Potem musiał odczekać, aż Pia się umyje, przekonać ją do założenia za dużej koszuli nocnej pozostałej po Irene i dopilnować, by usnęła. Sam poszedł do łazienki, szorował zęby dwa razy dłużej niż zwykle, z głową nisko pochyloną nad umywalką tak, że piana wyciekała mu z ust na biały porcelit. Wtedy właśnie wstrząsnęła nim kolejna fala paniki. Upuścił szczoteczkę, ciężko usiadł na krawędzi wanny, spojrzął w zajmującą całą ścianę lustro.

Był w pułapce. Nie wiedział, co ma robić.

Szybkimi ruchami zdarł z siebie ubranie, wskoczył do kabiny pachnącej jeszcze kobiecym mydłem, kolejną pozostałością po Irene, której użyła mała. Puścił ostry strumień zimnej wody. Teraz nie potrafiłby powiedzieć, czy trzęsie się z lęku, czy z chłodu. O to chodziło.

Pierwszy krok do ocalenia. Przestań myśleć o własnym strachu. Wtedy może przestaniesz się bać.

Powoli układał sobie wszystko w głowie, nie bacząc na lodowate strumienie tnące skórę. Dziewczynka pochodziła z honestiorów, białych o najwyższym statusie we włoskich prowincjach. Mogła być córką kogoś z urzędników najwyższego kręgu zarządzania, wysokiego funkcjonariusza lokalnej policji czy potężnego przedsiębiorcy. Albo też nieślubnym dzieckiem gwiazdy San Remo, projektanta mody lub popularnego gladiatora. Jej rodzice zapewne zostali odsunięci, zgładzeni, a w najlepszym wypadku wysłani do któregoś z obozów laogai. Może popełnili zwykłe przestępstwo, może źle rozegrali partię w walce o władzę i wpływy albo po prostu służyli Chińczykowi, który stracił poparcie Pekinu. Możliwa była też jeszcze jedna opcja – wpływowi rodzice po prostu uznali, że nie chcą dłużej wychowywać dziecka. Może się rozwiedli, któreś zmarło albo rozdzielono ich, kierując do pracy w różnych włoskich prowincjach.

Oddawanie niechcianego już potomstwa na wychowanie obcym zdarzało się bardzo często. Również władze mogły w każdej chwili zabrać dowolne dziecko i przekazać je komuś innemu, nigdy nie wiadomo, na jak długo. Zwykle wysyłano je do innej niż rodzima prowincji, a przynajmniej do jakiegoś odległego miasta, by na co dzień nie mogło spotykać swoich dawnych krewnych i znajomych. Chińczycy nazywali to w swoich propagandowych broszurach „polityką jednego umysłu”. Umysłem był zarząd rezerwatu, to na jego rzecz miał posłusznie pracować każdy biały człowiek, któremu pozwolono tu żyć.

Vittorio znał ludzi, do których przyprowadzano dzieci na wychowanie, i takich, którym je odbierano, nie mówiąc ani słowa, co się z nimi później będzie działo.

To nic nadzwyczajnego, myślał, stojąc w kałuży lodowatej wody. Musi tylko zrobić to, czego się od niego oczekuje, i tyle.

Może to próba? Jeśli dobrze wypełni zadanie, otrzyma promocję? Z humiliora, człowieka pośledniejszego, który wygryzł sobie status – stanowisko i majątek – ale osiągnął w zasadzie najwyższą pozycję dostępną dla swojej kasty, stanie się honestiorem, lepszym członkiem białego społeczeństwa rezerwatu. Kto wie, kto wie...

Rano odprowadzi dziecko do szkoły, której adres przekazano mu w kopercie. Potem pójdzie do pracy, objaśni szefowi sytuację, poprosi o przedłużenie sjesty, w tym czasie zrobi niezbędne zakupy dla dziewczynki – dane o jej wzroście i tuszy też otrzymał w dokumentach. Po dziewiętnastej odbierze ją ze świetlicy, pójdą na pizzę i tak minie pierwszy dzień. A potem jakoś się ułoży.

Wycierał się szorstkim ręcznikiem, szorując zmrożoną skórę, by przywrócić obieg krwi, i już sobie niemal wszystko pięknie poukładał w głowie, gdy nagle ogarnęła go kolejna fala niepokoju. A jeśli ta dziewczynka będzie się źle zachowywać? Nie znał się za bardzo na dzieciach. Miał wprawdzie w życiu kilka kochanek, które były matkami, ale przecież zajmował się ich pieprzeniem, a nie wychowywaniem bachorów. Swojego starszego brata właściwie nie pamiętał – Gracjan zmarł, kiedy Vittorio miał ledwie pięć lat. Sam wychowywał się w internacie, w czystości i dyscyplinie, które pomogły mu – chłopakowi z biednego przedmieścia – dostać się na uniwersytet, a potem do służby urzędniczej.

Z łazienki wyszedł nagi, jak to miał we zwyczaju, by założyć piżamę już w pokoju. Dopiero na korytarzu uświadomił sobie, że nie powinien tego robić, bo dziecko może w szkole złożyć donos. O wielu rzeczach będzie teraz musiał myśleć i pamiętać. Gdyby była tu Irene...

Już w piżamie zajrzał do gabinetu. Padające z korytarza światło pozwalało przyjrzeć się wnętrzu pomieszczenia. Dziewczynka spała na plecach, zrzuciwszy z siebie prześcieradło, z prawą nogą zgiętą i podciągniętą niemal pod brodę. Chwilę patrzył na nią, potem

tknięty nagłą myślą rozejrzał się po pokoju, by sprawdzić, czy na wierzchu nie znajdują się żadne przedmioty, którymi można zrobić sobie krzywdę – nożyczki, szklane naczynie czy odsłonięte gniazdko elektryczne. Oderwanemu od rodziców dziecku, nawet wychowanemu według kształtujących wolę twardych reguł honestiorów, mogą przyjść do głowy różne głupie pomysły. Na szczęście nie dostrzegł żadnego niebezpiecznego przedmiotu, a może po prostu było zbyt ciemno. Wrócił więc do łóżka, nastawił budzik na wpół do szóstej, a nie siódmą jak zazwyczaj. Rano przed pracą musiał dać dziecku śniadanie, a potem odprowadzić do szkoły, więc potrzebował więcej czasu.

Nie mógł usnąć, miotał się w pościeli, coraz bardziej zmęczony. Kiedy ostatni raz spojrzął na zegarek, było grubo po pierwszej. Za to obudził się przed dzwonkiem budzika, półprzytomny, ale już niezdolny do dalszej drzemki.

Śnili mu się brat i matka.

Teraz, w biurze, od dobrych dwudziestu minut sterczał przed drzwiami dyrektora Gambina, słaniając się na nogach i przecierając podkrążone oczy. Nie pomogło nawet kilka espresso, pitych od rana niemal co godzina.

W końcu drzwi uchyliły się i stanęła w nich Crystia, sekretarka szefa, niemłoda już, ale wciąż zgrabna, mocno opalona i wyszminekowana, bardziej nawet, niż wypadało na tym stanowisku. Dyrektor Gambino, mąż cichej, skromnej i bez wątplenia cnotliwej żony, lubił zatrudniać i, równie niewątpliwie, posuwać takie właśnie asystentki.

Wpuściła Vittoria do sekretariatu, nie odsuwając się, by mógł z bliska poczuć zapach jej Fendi i otrzeć się o ukryte pod kostiumem od Versacego duże piersi. Wiedział, że Crystia leci na niego, ale też – że nie powinien sobie pozwolić na nic więcej, dopóki Gambino nie da sygnału, że kobieta jest do wzięcia, bo i tak będzie ją wymieniał

na nową, choć niekoniecznie młodszą.

– Masz cztery minuty – powiedziała cicho, odsłaniając białe zęby, i Vittorio poczuł podniecenie. Kiedyś to się stanie, na pewno.

Przeszedł wzdłuż wąskiego sekretariatu i pomimo wcześniejszego zaproszenia zapukał do drzwi gabinetu szefa. Zgodnie z obyczajem odczekał trzy spokojne oddechy i nacisnął klamkę.

Mario Gambino, urzędnik czwartego stopnia, siedział za wielkim biurkiem w wysokim, wygodnym fotelu na kółkach. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, białą koszulę tak gładką, jakby przed chwilą skończył ją prasować, ciemnogrnatowy krawat, a w mankietach złote spinki z symbolem jego rangi – dziką gęsią. Nie podniósł się na widok podwładnego ani nie zaproponował, by ten usiadł na krześle naprzeciwko.

– Co cię sprowadza, Vittorio? – spytał przyjaznym głosem, choć na jego twarzy nie pojawił się choćby cień uśmiechu.

– Dostałem dziecko do wychowania.

– Wiem, dziś rano powiadomiono mnie o tym. Dam ci dwie dodatkowe godziny sjesty, żebyś zrobił zakupy. – Gambino spojrział na monitor komputera, stuknął palcem w kilka klawiszy, dając znać, że sprawę uważa za załatwioną i chce wrócić do pracy.

– Dziękuję panu... – Vittorio zawiesił głos. – Ale...

– Co jeszcze? – W głosie szefa pojawiło się zdziwienie, a na twarzy gniewny grymas.

– Jest problem, panie Gambino. Nie mam już kobiety.

Teraz dyrektor najwyraźniej zaciekawiał się sprawą, spojrział na komputer, przewinął obraz, sapnął.

– W twoim kwestionariuszu osobowym jest zapisane, że żyjesz z kobietą. Irene Tocco, lat trzydzieści dwa. – Kliknięcie. – No... całkiem ładna, brawo, Vittorio.

– Odprawiłem ją przedwczoraj. Zapomniałem zameldować...

Gambino przeniósł wzrok z monitora na twarz podwładnego.



Milczał.

– Zawsze zgłaszałem w terminie, ale teraz tak jakoś... Mieliśmy te negocjacje z gladiatorami, siedziałem w pracy do nocy...

– Narzekasz czy się tłumaczysz, Vittorio? – Głos Gambina stężał. – Nie dopełniłeś obowiązku.

– To pierwszy raz, przecież... – Już wypowiadając te słowa, wiedział, że popełnia błąd.

Przełożony milczał. Patrzył na Vittoria uważnie, skrzywiony z niesmakiem, jakby wypatrzył na jego garniturze tłustą plamę.

– Obywatel natychmiast informuje władze o wszystkich ważnych faktach ze swojego życia.

– Tak, wiem, panie Gambino. – Vittorio skurczył się. – Właśnie dlatego, jak wczoraj przyszli...

– Nie powiedziałaś im?!

– No... nie.

– Ty idioto! Twoje zachowanie naraża na kłopoty nie tylko ciebie, ale i cały wydział. Rozumiesz to?! – Gambino podniósł głos, ale wciąż tkwił w fotelu niemal w bezruchu.

– Tak, panie dyrektorze.

– Jak tylko stąd wyjdiesz, masz natychmiast złożyć stosowne oświadczenie do magistratu. Ja powiadomię urząd. O twojej nonszalancji.

– A może...

– Może co?

– Może... zadzwonię do Irene i ona do mnie wróci. Wtedy... wtedy niczego nie będzie trzeba zgłaszać.

Umilkł, znowu czując, jak nerwy i zmęczenie niemal paraliżują jego ciało.

– Chcesz oszukać władze? – Gambino zmrużył oczy.

– Nie, nie, oczywiście, że nie...

– Przed chwilą powiedziałeś, że chcesz oszukać.

– Źle mnie pan zrozumiał ... Ja tylko... Irene chciała zostać, więc wróci, jak tylko do niej... – Vittorio zawiesił głos, ale zaraz dodał: – Tak, oczywiście, przepraszam, to mogło tak zabrzmieć, ale nie miałem złych zamiarów, chodziło tylko... Przepraszam, źle się wyraziłem, natychmiast złożę meldunek.

Ruszył ku drzwiom, ale powstrzymał go ostry głos:

– Masz dwa dni na ściągnięcie tej dupy z powrotem. Dwa!

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję!

– Won! – odpowiedział Gambino, a kiedy Vittorio zamknął za sobą drzwi, podniósł do ucha słuchawkę telefonu.

#### 4.

Tuż przed dziewiętnastą poszedł do domu ostatni kolega pracujący z Vittorioem w pokoju. Mężczyzna wyłączył komputer, sprawdził, czy nikt nie kręci się po korytarzu, starannie zamknął drzwi, po czym podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer do matki Irene, Cristiny. Nigdy nie lubił tej baby – z wzajemnością. Uważała, że krzywdzi jej córeczkę, która – jakżeby inaczej – zasługuje na związek co najmniej z aktorem telewizyjnego serialu. Sama zasuwała w sklepie z drogimi butami przy ulicy Mazziniego, ale kiedyś była gwiazdą lokalnej drużyny siatkówki i tam otarła się o wielki świat. Vittorio podejrzewał, że dość mocno i chętnie ocierała się także o wielkich tego świata, a przynajmniej o średniaków. Trzydzieści lat później była już tylko wysuszoną babą z pretensjami do dawnej urody, zbyt mocno umalowaną, z licznymi kolczykami i pierścionkami sprawiającymi, że wyglądała, jakby porosły ją złote kurczaki, z rozedrganym głosem, który wciąż sygnalizował kosmosowi, że jest gotowa na wielką przygodę. Jednak od lat zdarzały jej się przygody co najwyżej jednonocne. Ale ze zdjęć, którymi obwieszane były ściany mieszkania, patrzyła młoda

dziewczyna w stroju sportowym; wysoka, smukła, ładna tą ostrą, kanciastą włoską urodą, z gęstymi czarnymi włosami z mnóstwem kolorowych spinek. Często towarzyszyli jej mężczyźni, zwykle starsi, w eleganckich garniturach i z drogimi zegarkami na nadgarstkach. Na zdjęciach nie było żadnego Chińczyka, co nic nie oznaczało, bo władcy i opiekunowie Prowincji po prostu nie lubili się fotografować z laowai. Trzydzieści lat temu większość młodych mężczyzn była na froncie, dlatego Marmi Lanza Werona stał się klubem żeńskim, a Cristina jego najlepszą atakującą. Irene odziedziczyła po matce urodę, choć obecnie, w wieku ponad trzydziestu lat, zaczął się już u niej powolny proces schnięcia. Vittoriovi zbytnio to nie przeszkadzało, lubił kobiety szczupłe, a nawet chude. Jednak Irene zaczynała się upodobniać do matki także w sposobie ubierania, a w tembr jej głosu zbyt często wkradały się nieprzyjemne dla ucha rejestry. Pracowała w dużej hurtowni wina, w dziale logistyki, wokół całej czas kręciło się wielu mężczyzn i to wprowadzało ją w mylne przekonanie, że czekolada życia wciąż czeka na nią zawinięta w sreberko. Błąd w ocenie sytuacji, uważał Vittorio.

Dwa dni temu też nie poszło o nic ważnego. Chciała zjeść kolację w restauracji, a on był zmęczony, więc zaczęła dziamgotać, że ma na ten wieczór ciekawe propozycje i jeśli on nie okaże się prawdziwym mężczyzną, to wyjdzie sama.

Strzelił ją w pysk, dla zasady, a potem kazał wynosić się z domu.

Teraz musiał namówić Irene do powrotu.

– Cześć, tu Vittorio – powiedział, gdy usłyszał chrapliwy głos Cristiny w słuchawce. – Jest Irene?

– Ty fiucie! – wyraziła swój pogład Cristina.

– Z tobą nie chcę gadać. Daj Irene!

– Nie ma jej – odpowiedziała, ale nie odłożyła słuchawki.

– Muszę z nią pogadać – powtórzył.

– Irene już nie ma dla ciebie czasu, palancie. – Cristina zawiesiła

głos, bez wątpienia czekając na awanturę. Szykowała się do tego od dawna, gromadziła złość jak niedźwiedź sadło na zimę.

– Muszę z nią pogadać.

– Za to ona już nie musi z tobą gadać. – Zachichotała, najwyraźniej zachwycona błyskotliwością swojej riposty.

– Daj ją do telefonu!

– Nie ma jej, mówiłam ci! – A potem triumfalnie, jakby przez całą rozmowę czekała na przekazanie tej informacji, niemal krzyknęła: – Ona ma już innego faceta!

Zaklął bezgłośnie.

– I na pewno nie ma jej w domu?

– Spadaj, frajerze! – usłyszał jeszcze, nim szczęknęła odkładana słuchawka.

## 5.

Vittorio szedł szybkim krokiem, wcisnąwszy dłonie w kieszenie płaszcza. Kilka kroków za nim, dźwigając plecak pełen podręczników, dreptała Pia. Po całym dniu pracy był zmęczony i marzył tylko o tym, by się przebrać w domowy strój i usiąść przed telewizorem z kieliszkiem wina. Nawet perspektywa zajmowania się dzieckiem jakoś go specjalnie nie martwiła. Mała pewnie zamknie się w sypialni, będzie coś czytać albo grać na komputerze. Już widział ten wieczór oczyma wyobraźni – przyćmione światło, słodkie d'asti w kieliszku i dwa odcinki serialu z Sylwią Coletti, najgorętszą według Vittoria młodą aktorką.

– Witam sąsiada! – Do terażniejszości sprowadził go dziarski głos dobiegający z za wysokiego płotu.

Kurważeż mać, tylko tego gnoja brakowało!

– Pogoda całkiem dobra, sąsiedzie. A jak tam życie leci? – Nad płotem pojawiła się twarz niemłodego już, ale niezłe utrwalonego

mężczyzny, o włosach i wąsach mocno zafarbowanych na czarno.

– Wszystko w porządku, Stefano. – Vittorio zatrzymał się, uchylił kapelusza.

– No, słyszałem, że masz małe zamieszanie w domu? – Sąsiad znacząco spojrział na Pię.

– Nic się przed tobą nie ukryje, Stefano, jak widzę – powiedział Vittorio spokojnie, a w myślach dodał: cholerny kapusiu! O tym, że Stefano jest donosicielem gonganbu, wiedzieli wszyscy na ulicy. Nie stał się przez to mniej niebezpieczny niż współpracownicy tajni. Ponieważ zdawał sobie sprawę, że wszyscy się go boją, często bywał bezczelny i wścibski.

– Jak to na emeryturze, sąsiedzie, widzi się niejedno.

– Czasem ci tej emerytury zazdrozczę.

– Ale Irene z tobą już nie mieszka?

– Wyjechała, bo się musiała zaopiekować chorą ciotką.

– Chorą ciotką, powiadasz... – Stefano uśmiechnął się. – No, skoro tak mówisz. Może bym wpadł do ciebie na winko i karty? Dawno nie graliśmy.

– Z wielką przyjemnością, Stefano, ale dziś nie mogę. Muszę się zająć dzieckiem.

– No tak, no tak...

– Idę już. – Teraz Vittorio się uśmiechnął. – Obowiązki wzywają. Mam swoje zadania.

– Oczywiście, sąsiedzie, rzecz jasna, obowiązków nie należy lekceważyć. To do widzenia, sąsiedzie. – Stefano był wyraźnie rozczarowany, że nie udało mu się wprosić z wizytą, dzięki której zaserwowano by mu darmową kolację i wino. Sam nie miał w zwyczaju przynosić choćby butelczyny podłego sikacza. Vittorio zapraszał go jednak raz na kilka tygodni, karmił, poił, pozwalał na sprośne uwagi o tyłku Irene, a czasem i dawał wygrać kilkadziesiąt liruanów. Miał nadzieję, że to zapewni mu lepszą opinię w

raportach Stefana. Nikomu jeszcze nie zaszkodziło, że żył dobrze z kapusiem.

– Do widzenia, Stefano – odpowiedział Vittorio niemal radośnie i rażno ruszył w stronę domu.

– Sąsiedzie! – usłyszał za plecami, więc zatrzymał się i gwałtownie odwrócił.

– No, co tam, Stefano? – tym razem pozwolił sobie nawet na nieco irytacji w głosie.

– To ważne zadanie, wiesz o tym. – W głosie mężczyzny zabręczał metal. Starcze, wyblakłe oczy beznamiętnie patrzyły na Vittoria niemal bez mrugania, usta zacięły się w wąską kreskę.

Vittorio zadał sobie kiedyś trud i korzystając ze znajomości w dziale personalnym ratusza, sprawdził teczkę Stefana. Stary sąsiad, całymi dniami grzejący się na leżaku ustawionym w małym ogródku przed domem, w młodości służył w wydziale politycznym. Potem przez kilka lat był strażnikiem w laogai pod Sieną, funkcjonariuszem bardzo dobrze ocenianym przez przełożonych.

– Oczywiście, Stefano.

– Gdybyś potrzebował pomocy, sąsiedzie, daj znać.

– Dam, oczywiście.

– No, to do widzenia. – Nie czekając na odpowiedź, starszy mężczyzna odwrócił się i poczłapał na swój leżak.

Vittorio chwilę odprowadzał go wzrokiem. To nie wyglądało dobrze. Stefano jasno dał mu do zrozumienia, że dostał zadanie obserwowania, jak Vittorio radzi sobie z dzieckiem. Ale nie to było najgorsze. Przy okazji będzie, kapuś cholerny, zbierał i notował wszystkie inne sprawy – co robi Vittorio w czasie wolnym, z kim się spotyka, jakie panny bzyka, po jakich barach się włóczy. Dziesiątki drobnych obserwacji i spostrzeżeń, od którychteczka personalna Vittoria napuchnie jak noga od gangreny. A wiedział przecież, bo tak toczyło się życie w Prowincji Veneto, że im mniej służby wiedzą

o człowieku, tym lepiej dla niego. Spuchnięte gangreną nogi zazwyczaj po prostu się odcina.

Postanowił jednak, że tym będzie się martwić jutro. Dziś miał ochotę na film i wino, a że możliwość samotnego wieczoru zawdzięczał małej, to kiedy już przygotował sobie wszystko, wywołał ją z pokoju i zaproponował lody.

– Nałóż sobie z kubelka do miski i możesz zabrać na górę – poinstruował, żeby przypadkiem nie przyszło jej do głowy, że będzie jadła w jego towarzystwie. Precyzyjnie i w milczeniu – jak zazwyczaj – wypełniła polecenia, ale kiedy już szła po schodach do swojego pokoju, wymruczała cicho, jakby niepewna, czy chce, żeby Vittorio to usłyszał: „Dziękuję”.

Uświadomił sobie nagle, że to było pierwsze miłe słowo, jakie wypowiedziała, odkąd tu się pojawiła. I że ta wdzięczność za miskę pełną śmietankowych lodów sprawiła mu przyjemność.

## 6.

Następnego dnia jeszcze dwa razy zadzwonił do matki Irene, ale rozmowy kończyły się tak samo jak pierwsza.

Przegadał też całą rzecz z jednym ze znajomych z ratusza, nie wątpiąc, że stosowna notatka z tego spotkania zostanie przekazana komu trzeba. Dowiedział się, że w normalnej sytuacji nie popełniłby wielkiego wykroczenia, po prostu powinien napisać podanie, przyznać się do opóźnienia i tyle. Wiadomo, nie za dobrze jest mieć w teczce papiery, które dokumentują zaniedbania względem Prowincji, ale w zwykłych okolicznościach byłyby to jedynie mały błąd. Tak powiedział znajomek. Oczywiście Vittorio nie przekazał mu żadnych szczegółów o swoim realnym położeniu.

Musiał załatwić tę sprawę osobiście.

Udało mu się tak poprzestawiać spotkania, żeby przedłużyć sobie

przerwę obiadową. Szarpnął się na taksówkę i pojechał do biura, w którym pracowała Irene. Biurowiec stał w Cadidavid, na południowych przedmieściach, gdzie zamieszkało i przeniosło swoje biznesy wielu werończyków wysiedlonych z centrum dwadzieścia lat temu. Na frontowej ścianie, przy drzwiach, które przed laty zapewne otwierały się automatycznie, a teraz mocno się trzeba było naszarpać, żeby je rozsunąć i wejść do środka, umieszczono spis firm zajmujących cztery piętra budynku. Prywatnym biznesem w Prowincji mogły się zajmować tylko małe przedsiębiorstwa zatrudniające nie więcej niż pięćdziesięciu pracowników. Większe firmy, nawet jeśli formalnie miały status prywatnych, praktycznie były w pełni kontrolowane przez państwo. W biurowcu działały głównie agencje handlowe, specjalizujące się w winie i kasztanach, marmurze i drewnie, ale też sprzęcie medycznym i farmaceutykach.

Chwilę pokręcił się przed wejściem, jeszcze raz rozważając, co właściwie chce uzyskać od Irene, i w końcu wszedł do lobby. Budynek okres świetności miał dawno za sobą, meble i wystrój holu już dekadę temu uznano by za oldskulowe, ale było tu czysto, panował porządek, a właściciel zadbał o to, żeby za blatem recepcji siedziała naprawdę ładna dziewczyna. Nowa, Vittorio wcześniej jej tu nie widział.

Podał swoje dane, dostał przypinkę gościa i poszedł do windy, nie czekając, aż panienka dodzwoni się do Irene.

Coś za nim krzyknęła, ale bez przekonania – wszak miała jego personalia, jakby co. A skoro nie czekał na potwierdzenie spotkania, to najwyraźniej nie musiał. Po co zaczepiać takich ludzi?

Wjechał na trzecie piętro i niemal natychmiast natknął się na Irene. Parzyła kawę w stojącym na korytarzu ekspresie.

Stała bokiem do windy, wyprostowana, nerwowo postukując palcami o urządzenie, które syczało i pluło do filizanki czarnym



płynem. Ciemne, sięgające ramion włosy przesłaniały profil jej twarzy. Miała na sobie szary kostium dobrze podkreślający szczupłość ciała i smukłość nóg. Piersi, opakowane w markowy i jeden rozmiar za duży stanik, wyglądały na całkiem spore.

Znów mu się spodobała. Może ten powrót nie będzie taki nieprzyjemny?

Ale kiedy odwróciła się z filiżanką w dłoni i dostrzegła Vittoria, zrobiła taką minę, jakby zobaczyła żebraka, i to mocno śmierzącego.

– Czego chcesz? – syknęła, rozglądając się na boki.

– Musimy pogadać.

– Musiałeś tu przyłazić? – Znowu się rozejrzała. Nie chciała skandalu w pracy.

– Twoja matka nie dawała cię do telefonu. Dzwoniłem wiele razy.

Otworzyły się obite srebrną blachą drzwi i na korytarz wyszedł facet w średnim wieku, z teczką w ręku. Minął ich bez słowa, ale nie omieszkał uważnie przyjrzeć się tyłkowi Irene. Staął przed windą.

– Nie tutaj! – Ruszyła szybkim krokiem w stronę innych drzwi. Vittorio poszedł za nią. Znaleźli się w małej, ciasnej salce konferencyjnej, gdzie stół zawalony był papierami, a na poręczach krzeseł wisiały marynarki. Nie usiadła.

– Mamy pięć minut! – powiedziała i siorbnęła kawę z filiżanki.

– Możesz do mnie wrócić. – Uważnie patrzył na jej twarz. Mrugnęła, wargi przez chwilę wyginały się, jakby dostawały z mózgu sprzeczne komunikaty. W końcu pojawił się uśmiech. Triumfalny.

– Spadaj, Vittorio! Nie potrzebuję cię!

Zrobił krok w jej stronę, ale nie przestraszyła się.

– Tylko spróbuj... Tylko spróbuj...

– Wróć do mnie – powtórzył. – Będzie lepiej.

– Nie złożyłeś jeszcze papierów?

– Nie.

Znowu upiła kawy.

– Posłuchaj, Vittorio. Kiedyś chciałam być z tobą mimo gadania matki. Ale okazałeś się chujkiem i teraz już nie chcę. Mam faceta. Świetnego faceta. Ja zgłosiłam co trzeba.

– Zgłosiłaś?

– Tak, spieprzaj już, Vittorio, mam pracę.

Wyszedł bez słowa. Tak naprawdę kiedyś lubił w Irene to, że nie była sentymentalna.

To, niestety, nie był jeszcze koniec tego dnia.

Kiedy wrócił do biura, natknął się w poczekalni na elegancko ubraną, piękną młodą Chinkę. Siedziała w fotelu zarezerwowanym dla ważnych gości, założywszy jedną szczupłą nogę na drugą, powoli poruszając stopą w lśniącym czerwonym, ozdobionym szklanymi paciorkami buciku. Włosy miała krótko ostrzyżone i pofarbowane na blond, na twarzy mocny makijaż, a paznokcie jeszcze jaskrawsze niż obuwie. Popijała aromatyczne latte i patrzyła przed siebie ze znużeniem.

– Dzień dobry pani – powiedział, ale nie raczyła odpowiedzieć czy choćby zaszczycić go spojrzeniem.

Ruszył do swojego pokoju, ale po drodze złapała go Agnese, recepcjonistka.

– Pan Gambino ma gościa. – Uśmiechnęła się, jakby oczekując podziękowania za zdradzenie tej tajemnicy.

– Kogo?

– To Dimachaerus... – zaczęła, a Vittorio zaklął przez zęby. – Przyniósł panu Gambino zaproszenia do loży honorowej na jutrzejszą animację. Osobiście.

– A ta to kto?

– To pani Xianmei, córka ministra...

– Tak, wiem, wiem. – Ruszył do gabinetu, ale zatrzymał się nagle i

odwrócił. – Dziękuję, Agnese.

Do końca dnia nie wychylał nosa z pokoju. Znów liczył swoje tabelki, ale jego umysł cały czas rozważał, co może oznaczać wizyta gladiatora. Jeśli szefowie zgodzą się na warunki gildii ponad głowę Vittoria, on sam znajdzie się w nader kłopotliwej sytuacji. Ale równie dobrze mogą brać kolejne prezenty, a winę za niepowodzenie rozmów zwałą na swojego podwładnego. Skoro Dimachaerus prowadzał się właśnie z córką jednego z najważniejszych urzędników Prowincji, był nie do ruszenia.

Vittorio wymknął się z biura tuż po osiemnastej. Pięknej Chinki oczywiście w poczekalni nie było już od dawna.

Wrócił do domu zmęczony i wściekły. Sprawdził tylko, czy Pia jest u siebie w pokoju, wziął szybki prysznic i zwałił się do łóżka.

## 7.

Śniły mu się koszmary, lecz raniem nie potrafiły opowiedzieć choćby fragmentu jednego z nich. Ale budził się w nocy kilkakrotnie, spocony i ciężko oddychający. Nie przejmował się tym, wiedział przecież, że ma kłopoty – z gladiatorami, szefem, tą dziwką Irene i opieką nad małą – i że to wszystko kotłuje się w jego mózgu. Nerwy zawsze go wykańczały – w szkole, gdy nie dawał sobie rady na zajęciach, w pracy, gdy podpadał przełożonym, w życiu prywatnym, kiedy znów dawał się komuś wykiwać.

Teraz, jak już wcześniej kilka razy w życiu, czuł się zapędzony w pułapkę. Wiedział, że albo da się zagryźć, albo podejmie wyzwanie i się postawi, nie bacząc, ile nerwów i zdrowia będzie to kosztować.

Opieka nad Pią mogła stanowić szansę na gwałtowny skok kariery, o ile jego starania i zaangażowanie zostaną docenione. Ale równie dobrze może prowadzić na dno, jeśli popełni błąd. A nawet jeśli nie popełni, a ktoś ważny uzna, że chce się Vittoria pozbyć, bo wie zbyt

dużo albo domaga się nagrody, albo przeciwnie – nie artykułuje takich oczekiwań. W Prowincji każde zachowanie mogło być ocenione jako lojalne albo wrogie, to zależało jedynie od aktualnych, nieznanych białasom dyrektyw z Pekinu albo po prostu widzimi się lokalnego sekretarza.

Vittorio wybudzał się więc niemal co pół godziny, a potem znów zapadał w drzemkę, pełną obrazów i dźwięków, tajemniczych i znajomych, strasznych i zwykłych, ale żadnych, które by zapamiętał. Raz tylko wstał i poszedł do łazienki. Zauważył blask na górze schodów, widocznie Pia znów usnęła przy zapalanej lampce, ale nie chciało mu się wchodzić. Załatwił, co miał załatwić, i nawet nie umywszy rąk, wrócił do łóżka.

Kiedy obudził się rano, miał wrażenie, że jest bardziej zmęczony, niż był wieczorem. Spojrzał na zegarek – dopiero dochodziła szósta. Teoretycznie mógł jeszcze się trochę powylegiwać, ale postanowił wziąć nowy dzień na ostro. Zrzucił z siebie prześcieradło, jednym wyrzutem ciała poderwał się na nogi. Dzięki nocnemu sikaniu nie goniło go do łazienki, więc porzucił się, zrobił kilka skłonów i przysiadów, strzelił trzydzieści pompek. To pobudziło go ostatecznie i wypchnęło z umysłu wszystkie nocne zmary.

Był silny, był naprężony, był gotów. Stawi czoła temu dniowi, tym sukinsynom, temu życiu!

Tak będzie. Od dziś.

Przeszedł przez kuchnię, by włączyć ekspres do kawy. Zapach mocnej stuprocentowej arabiki pobudził nozdrza i ślinianki, dodatkowo wzmocnił postanowienie działania.

Wciągnął spodnie od dresu i na bosaka ruszył ku schodom.

– Pobudka! – krzyknął.

Wtedy jego wzrok padł na mały błękitny kapeć leżący na stopniu. Był niemal pewien, że wczoraj go tu nie było. Podniósł kapeć, oparł się o poręcz.

– Pia! Wstałaś już?! – Spojrzał do góry. W dziennym świetle nie od razu dostrzegł, że lampka w pokoju małej wciąż się świeci. Nikt nie odpowiedział, nie usłyszał żadnego ruchu.

Ruszył po schodach, głośno płaszcząc bosymi stopami o drewniane stopnie. Pchnął uchylone drzwi do pokoju dziewczynki. Wszedł do środka. Lampka rzeczywiście się paliła, prześcieradło leżało koło łóżka, a żaluzja w oknie była odsłonięta, choć miał pewność, że jak zawsze wieczorem zaciemnił pokój. Małej nie było.

– Pia!

Zajrzał do drugiej sypialni znajdującej się na piętrze, potem wrócił do pokoju dziecka.

– Co to za żarty?! – Sprawdził pod łóżkiem i otworzył szafę, choć właściwie nawet tak drobna dziewczynka jak Pia nie zmieściłaby się w przestrzeni między półkami.

Zbiegł na dół i wykonał ciąg absurdalnych działań, wchodząc po kilka razy do kuchni, do swojego pokoju, do łazienki i rozglądając się, jakby ktoś mógł realnie ukryć się w tych pomieszczeniach. Kilka sekund stał przed otwartą szafą w korytarzu i choć doskonale widział, że nikogo tam nie ma, przesuwiał wieszaki z płaszcami i marynarkami z boku na bok.

Nie zważając na to, że jest bosy, otworzył drzwi domu i wybiegł na zewnątrz. Wtedy ją zobaczył. Siedziała skulona na plastikowym fotelu w kącie mikroskopijnego trawniczka, z zamkniętymi oczami, otulając ramionami podciągnięte pod brodę nogi. Palce obu stóp wepchnęła w błękitny kapeć, broniąc się przed porannym chłodem. I kapeć, i pięty miała brudne – musiała przejść dłuższą trasę niż od drzwi domu do fotela w ogródku.

Na moment ogarnęło go skrajne przerażenie, ale po chwili dostrzegł, że Pia oddycha.

Już chciał na nią krzyknąć, gdy uświadomił sobie, że nie powinien zwracać niczyjej uwagi. Rozejrzał się powoli. Wejścia do domków,

rozdzielonych niskimi płotami, czasem przesłoniętych krzakami czy drzewami, ciągnęły się w obie strony wąskiej, na szczęście pustej uliczki. Pia siedziała w kącie ogródka, więc z zewnątrz nikt raczej nie mógł jej zobaczyć. Uff...

Cicho podszedł do dziewczynki, potem jedną ręką zatkał jej usta, a drugą zagarnął ku sobie drobne ciało. Obudziła się niemal natychmiast, chyba chciała coś krzyknąć, ale tylko zaśliniła mu wnętrze dłoni. Szarpnęła się, wyprężyła, wierzgnęła nogami tak, że kapeć poleciał pod płot.

– Cicho! To ja! – syknął, ściskając ją mocniej, niż potrzeba.

Zakwiliła z bólu, ale go rozpoznała, bo przestała się rzucać. W kilku skokach znalazł się przy wejściu, wpadł do środka mieszkania, niemal rzucił Pię na podłogę.

– Coś ty tam robiła, gówniarno?! – wrzasnął na nią, pozwalając ulać się narastającej wściekłości. – Coś ty...

Wstała, spojrzała mu prosto w oczy. Wydało mu się nawet, że przez jej twarz przemknął uśmiech.

– Musiałam wyjść! Drzwi się zatrzęsły...

– Ty gnojówko, ty... – Podniósł rękę.

Skuliła się, osłaniając głowę. Trafił ją w przedramię, dziewczynka zatoczyła się, ale ustała na nogach. Dосkoczył do niej, chcąc uderzyć ponownie, ale ostatecznie zdołał się powstrzymać. Jeśli nauczyciele dostrzegą ślady bicia, złożą raport. A nie wiedział, jakie to może mieć konsekwencje.

– Idź na górę! – wrzasnął. – Szykuj się do szkoły.

Cofała się powoli, tyłem, tak żeby móc kontrolować jego ruchy. Dostrzegł lzy płynące po jej policzku, ale miał też wrażenie, że Pia się uśmiecha.

## 8.

Przez całą tę sytuację wychodził do pracy mocno spóźniony. Na szczęście rzadko mu się to zdarzało, więc mógł sprzedać sekretarce dowolną wymówkę. Wybrał cieknący kran i konieczność czekania na hydraulika. Zadzwoił do firmy przed ósmą, wyrecytował swoją bajeczkę. Pamiętał, że Agnese sama miała z tym problem kilka miesięcy temu, więc teraz jego wyjaśnień wysłuchała ze zrozumieniem.

– Jesteś skarbem – powiedział na koniec i odłożył słuchawkę. O dziewczynach z Werony mówi się, że trudno je poderwać i że mają mocne głowy. Agnese najwyraźniej nie pochodziła stąd. Była brzydka jak muł i łąpczywie reagowała na każde zdanie, które choćby sygnalizowało, że stanowi próbę flirtu. Tęskniła za miłością jak suchy piasek za morską falą i pracownicy departamentu nie omieszkali z tego korzystać. Miał ją niemal każdy, a na pewno każdy, kto chciał. Vittorio nawet mile wspominał te kilka razy na firmowych imprezach, gdy podanie dwóch cienkich drinków pozwalało zaciągnąć ją do pustego gabinetu.

Oczywiście podejrzewał też, że Agnese jest stukaczem i sypianie z pracownikami uważa za doskonały sposób na pozyskiwanie nieoficjalnych informacji i opinii. A przy okazji – kompromatów.

Pomimo spóźnienia starannie się ogolił, wyprasował koszulę, wyglancował buty. Szykował się do konfrontacji, a odpowiednio dobrany strój to pancierz urzędnika.

Wyszedł przed dom i jeszcze raz rozejrzał się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów nocnej eskapady Pii. W trzech krokach przeszedł do furtki i w chwili, gdy ją otwierał, usłyszał szum samochodowego silnika. Duży ciemnogramatowy maserati powoli podtoczył się ulicą i zatrzymał tuż przed Vittoriem. Obie pary drzwi otworzyły się powoli.

Z przodu siedział Chińczyk, chyba ten sam, który przywiózł Pię do Vittoria. Za nim majaczyła sylwetka kierowcy, potężnego mężczyzny w ciemnych okularach. Tylne siedzenie było puste.

– Niech pan wsiada, obywatelu Bernardin – powiedział Chińczyk idealnym włoskim, bez śladu akcentu.

Vittorio zawahał się.

– Proszę się nie obawiać.

Pewnie mówią tak każdemu. Ale... co właściwie innego mógł zrobić.

– Oczywiście – odpowiedział i wskoczył do auta. Chciał zamknąć drzwi, ale zatrzasnęły się automatycznie, uderzając go w wyciągniętą rękę.

Samochód powoli ruszył, a po chwili Vittorio zorientował się, że nie jest w stanie niczego zobaczyć przez szyby. Szkło było niemal czarne. Jak kierowca cokolwiek przez nie widział?

– Okulary. – Chińczyk zapewne nie pierwszy raz znajdował się w takiej sytuacji. Kierowca na chwilę odwrócił się w stronę Vittoria i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Oprawki jego okularów szczelnie przylegały do twarzy, na szklach tańczyły tęcze błyśki. – Jest pan zdziwiony, obywatelu Bernardin?

– Nigdy jeszcze nie zostałem... tak zaproszony. Jestem zwykłym urzędnikiem... – szukał właściwych sformułowań. Wnętrze auta oszołomiło go tak, że na chwilę nawet zapomniał o strachu. Podziwiał skórzaną tapicerkę, stalowo lśniące wykończenia, rozjarzoną tablicę rozdzielczą, przeznaczenia niektórych wskaźników mógł się jedynie domyślać. Od przednich foteli oddzielała go pionowa ścianka, sięgająca połowy ich wysokości. Na suficie dostrzegł znajdującą się idealnie nad nią dość grubą belkę czy też szynę. Domyślił się, że to rozkładana żaluzja, za pomocą której można odciąć tył samochodu i znajdujących się tam pasażerów.



– Dwie dziesiąte sekundy. – Chińczyk ponownie okazał się telepatą. – Tyle czasu się opuszcza. Można stracić palce.

Wnętrze samochodu pachniało nowością, a właściwie – z czego Vittorio zdał sobie sprawę dopiero po chwili – nie nowością, lecz czystością. Jakby ktoś wypucował je z użyciem dobrych, ale i ostrych środków dezynfekcyjnych. Takich do czyszczenia nie kibla, lecz szpitalnej sali.

– Jesteście tu, obywatelu, bo uznałem, że muszę coś wyjaśnić. Proszę to potraktować jako uprzejmość. To ważne, żeby obywatel dobrze wszystko rozumiał. – Ostatnie zdanie zabrzmiało bardziej jak pytanie niż stwierdzenie i Vittorio zareagował.

– Tak jest.

– Wybrano cię do opieki nad dziewczynką – Chińczyk przeszedł na ty, mówił spokojnym, monotonnym głosem, ani na moment nie odwracając się do tyłu – bo jesteś nikim.

Odczekał chwilę, chcąc, aby Vittorio przetrawił jego słowa i w pełni uświadomił sobie ich znaczenie. Silnik samochodu pracował miarowo, chyba głośniejszy, niż powinien w maszynie tej klasy. Być może po to, by dodatkowo zagłuszyć dźwięki dobiegające z zewnątrz. W środku nie dało się usłyszeć nic, co mogłoby wskazać, gdzie się znajdują – okrzyków turystów, nawoływań ulicznych szczekaczek, silników innych pojazdów. Auto czasem stawało, czasem przyśpieszało, ale pokonało też bez zwalniania parę dłuższych odcinków i kilka razy zakręciło o sto osiemdziesiąt stopni. Tak więc Vittorio nie miał pojęcia, dokąd jada.

– Jeśli coś się nie uda, znikniesz i nikt o ciebie nie zapyta. Jeśli ci się uda, to nadal będziesz nikim, ale na wyższym stanowisku. Uzyskasz lepsze perspektywy. I lepszą perspektywę, bo będziesz wyżej. – W mechanicznym głosie Chińczyka zabrzmiała nuta satysfakcji, że udało mu się skonstruować taką grę słów.

– Co ma mi się udać? – spytał Vittorio spokojnie.

– Masz przechować dziecko. O jego losach jeszcze nie zdecydowano. Jego rodzice, jak zapewne się domyślasz, byli dość ważni.

– Ważni? Biali ludzie ważni?

– Nie oceniaj pochopnie. Spójrz na Emanuela. Jest biały, a jest ważny.

Kierowca ponownie zaszczycił Vittoria uśmiechem równych białych zębów.

– Masz o nią dbać.

– Kim ona jest? – zdobył się na odwagę.

– Och, prawdę mówią o was, werończykach. Jesteście wariaci! – Chińczyk zachichotał. – Naprawdę uważasz, że powinieneś to wiedzieć? Że to dla ciebie korzystne?

– Ja... Robię coś ważnego. Bardzo się cieszę z tego, że obdarzono mnie takim zaufaniem. Jestem dumny. Chciałbym... – Vittorio zawahał się. – Tak, chciałbym, żeby obdarzono mnie jeszcze większym zaufaniem, żeby przekonano się, że na nie zasługuję.

Chińczyk nie odpowiedział od razu. Może rozważał słowa Vittoria, a może tylko udawał, że je analizuje. W końcu zdecydował.

– Są różne opinie. Komitet jeszcze nie zdecydował. O nich, o rodzicach dziecka. Więc na razie będzie żyć. Normalnie żyć. Przekazano ją komuś, jak by to właściwie ująć w waszym języku, neutralnemu. Zachowano równowagę. Nie wierz w to, co o nas piszą. Równowaga nie jest najwyższą wartością naszej kultury. Jest tylko sposobem na uzyskanie przewagi. Ale na razie chcemy, by wszystkie możliwości były otwarte. Na razie nic jej się nie może stać.

Na razie... Odruchowo zbyt głośno przełknął ślinę.

– Dlatego właśnie jesteś nikim – powiedział spokojnie Chińczyk.

Milczał do końca podróży, czyli przez kolejne kilka minut. W końcu auto zatrzymało się.

– Panie. – Vittorio nagle zdecydował się na coś, co jeszcze pół

godziny temu nie przysłoby mu do głowy. – A jaka jest twoja opinia w sprawie jej rodziców? Chciałbym lepiej zrozumieć, czego ode mnie oczekujesz.

– Komitet jeszcze nie zdecydował, obywatelu – odpowiedział Chińczyk i w tym momencie tylne drzwi samochodu otworzyły się z cichym pyknięciem. Do środka wtargnęło światło, hałas i ciepłe powietrze. – Ja oczekuję od ciebie, że jeśli zdarzy się coś dziwnego, to masz zawiadomić mnie. Nikogo innego. Tylko mnie.

– Ale co dziwnego może się zdarzyć?

– Na pewno się zorientujesz, aż tak mało bystry to nie jesteś. Zadzwoń. – Kiedy Chińczyk mówił, kierowca odwrócił się i podał Vittoriovi wizytówkę, na której oprócz numeru telefonu nie było żadnego napisu. – Idź już!

– Do widzenia, panie – powiedział, wysiadając. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zorientował się, gdzie stoi. Róg Via degli Alpini i Via Ponte Cittadella, idealnie naprzeciwko ratusza. Auto ruszyło szybko. To dziwne, z zewnątrz jego silnika nie było w ogóle słychać.

Vittorio poprawił marynarkę i szybkim krokiem ruszył do pracy.

## 9.

Opieka nad małą zajmowała mniej czasu, niż pierwotnie przypuszczał. Wystarczyło odprowadzić ją do szkoły na wpół do ósmej i właściwie do wieczora miał spokój. Dziecko zaliczało po siedem lekcji dziennie, do tego przerwy na obiad i drugie śniadanie, a po południu zajęcia polityczne i prace społeczne. Odbierał ją po pracy i do domu wracali przed dwudziestą. Mała kolacja, jakiś program w telewizji – Pia lubiła teleturnieje i piosenkarskie reality show – mycie i spanie. Rzadko zadawano dzieciom zadania do domu. Miały się nauczyć czytać i pisać, opanować podstawy matematyki, a przede wszystkim – poznać i przyjąć za swoje prawa i

obyczaje Prowincji Północnej Italii, zwanej potocznie Prowincją Wenecką. Dwunastolatki zdawały testy kwalifikujące do stosownej grupy pracowniczej. Teoretycznie, zgodnie z tysiącletnią chińską tradycją, na egzaminach nie liczyło się urodzenie, a jedynie kompetencje i zdolności. W praktyce dzieci z rodzin o wysokiej pozycji społecznej były lepiej przygotowane do egzaminów i to one trafiały do szkół średnich, kształcących do zajęć bardziej odpowiedzialnych niż praca w winnicach czy szycie markowych butów. Jednocześnie władcy rezerwatu bacznie pilnowali, by nikt z tubylców nie poczuł się za pewnie i by cały czas zasilać elity nowymi ludźmi, humiliorami, którzy swój sukces zawdzięczali własnym talentom i pracowitości. Oraz wsparciu władz Prowincji, oczywiście. To w naturalny sposób dzieliło białasów i utrudniało jakikolwiek zorganizowany opór przeciw chińskiej dominacji.

Pia i Vittorio wieczorami nie spędzali ze sobą zbyt wiele czasu. Nawet jeśli zdarzyło się, że razem oglądali coś w telewizji, to raczej w milczeniu. On zwykle siadał na sofie, dziewczynka wybierała duży fotel, w którym mogła niemal się położyć, a którego wygięte poręcze osłaniały ją przed wzrokiem opiekuna.

Musiał przyznać, że mała trzymała fason. Kiedy pytał ją o szkołę, zbywała go krótkim „wszystko OK” albo „nic się nie dzieje”. Nauczycielki – a miał obowiązek kontaktowania się z wychowawczynią co dwa dni – Pię chwaliły. Schludna, cicha, ułożona, ale zdecydowana. Bez oporów krytykuje kolegów w czasie zebrań wychowawczych. Jest lojalna wobec państwa i we właściwy sposób oddaje szacunek portretowi Pierwszego Sekretarza Prowincji. Ma ogromne szanse zakwalifikować się do szkoły średniej, o ile pozostanie skupiona na nauce i wypełnianiu obowiązków dziecka.

Na początku przyjmował te pochwały z obojętnością, ale szybko uświadomił sobie, że taka postawa dziewczynki była korzystna i dla

niego. Raporty ze szkoły szły wszak wyżej i na pewno trafiały na biurka osób, które zdecydowały o przyznaniu mu opieki nad dzieckiem. Dobra opinia mogła pomóc, zła – zaszkodziłaby na pewno. Ale po kilku rozmowach odczuł coś jeszcze – komplementy dotyczące Pii zaczęły sprawiać mu najzwyczajszą przyjemność. Kiedy pojawiał się w szkole na odprawach, czuł się pomiędzy innymi rodzicami niemal jak gwiazdor. To jego podopieczna była doceniana, to do jego akt wpisywano pochwały, to jego osobiście wskazywano na zebraniu jako opiekuna świetnie wypełniającego obowiązki. Oczywiście, ani nauczyciele, ani wychowawca społeczno-polityczny, ani inni rodzice nie pytali o jego realne pokrewieństwo z Pią.

Po pierwszej odprawie był tak zadowolony, że postanowił nagrodzić dziewczynkę i w niedzielę rano zabrał ją na spacer. Poszli na Stare Miasto, dostępne na co dzień tylko dla turystów i obsługujących ich białasów. Jednak w związku z trwającymi przez cały weekend przedstawieniami gladiatorów Vittorio dysponował czasową przepustką i miał swobodny dostęp do strefy zakazanej dla tubylców.

Do Piazza Bra dojechali autobusem, w którym odbyła się też kontrola paszportów. Przystanek końcowy znajdował się tuż pod ratuszem – tu jeszcze raz sprawdzono papiery i zezwolono na trzygodzinny spacer.

Na największym placu Werony panował zwykły harmider. Chińskie wycieczki, obsługiwane przez miejscowych przewodników, nieliczni biali turyści z Ameryki i Związku Rosyjskiego, ale też kilka małych grup z Euarabii. Muzułmanie w zasadzie nie byli wpuszczani do europejskich prowincji Chin, nowi władcy nie chcieli w kontrolowanych przez siebie enklawach dżihadu, jaki ogarnął resztę kontynentu. Wyjątki czyniono dla biznesmenów lub przedstawicieli rządów, a wtedy zazwyczaj

organizowano dla nich wizyty w najbardziej interesujących miejscach. Weronia z jej odnowioną Areną i gladiatorским show była jednym z najbardziej pożądanym.

Prześli zadrzewiony skwer naprzeciw ratusza, minęli pomnik króla Vittoria Emanuela i ruszyli ku wylotowi Via Leoncino. W tłumie słycać było kantoński i angielski, zdarzały się zdania po niemiecku i rosyjsku. A może to nie był niemiecki, tylko duński? – Vittorio nigdy nie potrafił rozróżnić. Pomiędzy turystami przepychali się straganiarze dźwigający na plecach wielkie toboły, a przed sobą pchający małe wózki z towarem. Sprzedawali pizzę i tanie wino na szklanki, jagnięce szaszłyki i lody, mrożoną herbatę i bardzo drogą butelkowaną wodę. Turyści mogli tu też zaopatrzyć się w gadżety od najsłynniejszych włoskich projektantów, drobną biżuterię ze szkła z Murano i miniaturowe reprodukcje włoskiego renesansowego malarstwa. Zapach potu mieszał się z wonią potraw i dymu, a ponad ogólną wrzawę czasem wzbijał się pomruk widzów zgromadzonych na Arenie – znak, że rozgrywała się szczególnie interesująca animacja.

– Tu pracujesz? – spytała Pia, wskazując palcem Arenę. – W teatrze?

– Tak.

– I są tam przedstawienia?

– Tak, wielkie widowiska.

– Chciałabym zobaczyć – powiedziała i zamilkła na kolejny kwadrans.

– Może kiedyś cię tam zabiorę – mruknął, nie przypuszczając, jak szybko spełni tę obietnicę.

Na Via Leoncino roilo się od ludzi, ale można było iść w miarę normalnie. Jednak październik to nie lipiec czy sierpień, gdy ulice turystycznych miast Prowincji – Werony, Wenecji czy Padwy – bardziej przypominały wnętrze zatłoczonego autobusu niż żyjące

miasto.

Skręcili na lewo w Via Leoni i tu jednak zderzyli się z tłumem, czekającym na wejście pod balkon Julii. Przeważały młode Chinki, gustownie ubrane zgodnie z najnowszymi trendami mody: torebki od Vuittona, sukienki od Dolcegabbany, buty od Prady. Wszystko nowe, kupione pewnie dziś albo wczoraj w najdroższych butikach w mieście. Włoska moda, obok wina i zabytków, stanowiła trzeci powód, dla którego Ludowe Cesarstwo Chin objęło fragmenty Italii swoim protektoratem i zakazało džihadowi ich atakowania.

Lekcja udzielona czwartemu Isisowi piętnaście lat temu, podczas ostatniej próby inwazji, była prosta i krótka. Mianowicie – trzy taktyczne pociski jądrowe zmiotły czwarty Isis z powierzchni ziemi, przy okazji niszcząc wszelkie życie w okolicach Marsylii.

Hałaśliwe chińskie dziewczyny musiały być córkami, żonami lub kochankami ważnych urzędników bądź zamożnych biznesmenów – sama wiza do Prowincji Weneckiej kosztowała majątek, nie wspominając o cenach przelotu, pobytu i zakupów. W sklepie znajdującym się przy wejściu na dziedziniec Julii za pamiątkowy kubek do kawy trzeba było zapłacić równowartość miesięcznej pensji sprzedającego tę pamiątkę tubylca.

Vittorio wziął Pię za rękę i precyzyjnie przeszedł przez bramę. Turystki robiły sobie zdjęcia na tle czarnych, pomazanych kolorowymi napisami ścian, tłoczyły się przed pomnikiem Julii, żeby koniecznie dotknąć jej biustu, a potem ustawiały się w kolejce do wejścia na balkon.

– Po co one tu przyszły?

– Do domu Julii, najpiękniejszej kobiety świata. – Nie był pewien, czy dobrze zna całą historię, ale sądził, że to miejsce spodoba się Pii, była przecież dziewczynką. – Słyszałaś o niej?

– Nie. – Jeśli cokolwiek robiło wrażenie na malej, to hałaśliwy tłum wokół, a nie stare legendy. – Ale dlaczego tu są?

– Ona była nieszczęśliwie zakochana, wiesz? Codziennie wychodziła na ten balkon, a jej ukochany Romeo stał na dole i podziwiał ją przez długie godziny.

– Nie mieli nic innego do roboty? – Jej umysł nie potrafił przyswoić informacji, że ktoś ma tak dużo wolnego czasu.

Nie odpowiedział, bo kilkanaście dziewczyn w kącie podwórka, zapewne koło dwudziestki – na ile był w stanie oszacować urodę Chinek – podniosło piskliwy krzyk. Większość miała już na nosach specjalne okulary, inne odbierały je dopiero od swojego przewodnika. Na balkonie stała zaś ich koleżanka, prężąc się i machając dłonią.

– Co ona robi?

– Jest Julią. To znaczy chce być Julią. Chce być piękna. Jej przyjaciółki mają specjalne okulary, które współpracują z ich mózgami, widzisz?

Rzeczywiście, dziewczyny cichły jedna po drugiej. Wyciągając mocno szyje, wspinając się na palcach, wpatrywały się w stojącą na balkonie koleżankę. Niektóre biły brawo, inne machały do niej, kilka patrzyło w milczeniu, z półotwartymi ustami, napiętymi ciałami, zaciśniętymi dłońmi.

– Okulary tak zmieniają prawdziwy obraz tej dziewczyny na balkonie, że wydaje im się piękna, najpiękniejsza na świecie. W ich mózgach, wiesz...

– Też mogłabym być najpiękniejsza na świecie?

– Jasne – uśmiechnął się. – Tylko że to jest bardzo drogie. Im bardziej okulary muszą zmienić obraz w mózgach koleżanek, tym więcej musi za to zapłacić ta dziewczyna na balkonie. Dlatego nie wszystkie tam idą.

– Nie są bogate? Tata mówił... – zamilkła nagle, a Vittorio drgnął przerażony. To było zakazane. Całkowicie zakazane. Mógł mieć tylko nadzieję, że w panującym na podwórku Julii harmidrze nie



usłyszał tego kapuś ani nie zarejestrował mikrofon. Ale i Pia się zreflektowała. O tak! pochwały nauczycielek nie wzięły się znikąd. – Słyszałam, że do naszej prowincji przyjeżdżają tylko bardzo bogaci turyści.

– To prawda – potwierdził Vittorio. – Ale nawet dla wielu z nich balkon Julii to zbyt droga rozrywka.

– To dłączego za to płacą?

– Nie wiem... – zawahał się. – Chyba każda dziewczyna chce być najpiękniejsza na świecie. Przynajmniej przez chwilę. Ty byś nie chciała?

Nie zawahała się ani przez sekundę.

– Ja chcę być najmądrzejsza i najlepiej służyć mojej prowincji – odpowiedziała powolnym, wystudiowanym tonem. – Chodźmy stąd.

Nie odzywała się podczas całej podróży do domu i Vittorio nie miał w końcu pojęcia, czy tą wycieczką sprawił jej choć odrobinę przyjemności.

## 10.

– Siadaj, Vittorio. – Grzeczność szefa mogła oznaczać coś miłego, ale równie dobrze stanowić wstęp do bardzo nieprzyjemnej rozmowy. Sam tkwił po drugiej stronie biurka, zanurzony w swoim wielkim skórzanym fotelu, z dłońmi płasko położonymi na podłokietnikach.

– Dziękuję, panie Gambino.

Chwilę milczeli, wreszcie przełożony pochylił się i podniósł z biurka arkusz papieru.

– Jak idą rozmowy z gildią?

– Stoimy w miejscu.

– I to cię zadowala?

– Nie, panie Gambino, ale żądania gladiatorów są za wysokie, ten

pieprzony Oko...

– Pan Dimachaerus – przerwał mu przełożony – rozmawiał dziś ze mną przez telefon.

Znów zapadła cisza.

– Dzwonił.

– Rozumiem, panie Gambino.

– Nie, kurwa, Vittorio, chyba nie rozumiesz! – Mężczyzna gwałtownie poderwał się z fotela, pochylił nad biurkiem. – Wiesz, kto jeszcze do mnie dzwonił?! Wiesz?!

– Nie, panie Gambino, ale się domyślam.

– Szlag by to... – Szef uspokoił się tak nagle, jak przed chwilą wściekł. – Wiem, że nie masz na to budżetu. Ale musisz się z nimi dogadać. Załatw to.

– To co mam zrobić? Nie dostałem zgody na wzrost wydatków.

– Vittorio, Vittorio... Ja cię mam uczyć, jak cięć koszty? Najprostsza sprawa: zatrudniaj mniej aktorów, a więcej... wolontariuszy.

– Były dyspozycje, żeby ograniczać...

– Były i masz ich przestrzegać. A jak ci brakuje kasy na statystów, zmień koncept animacji. Mniej walk między gladiatorami, a więcej tych tam... no, Galów. Najwyżej paru ludzi nie wyślemy na pola. Pogadaj z komisarzem Bierettą. Ostatnio robił kilka nalotów, zgarnął jakąś hołotę.

– Dobrze, panie Gambino.

– Nie wiem czemu, ale pan Dimachaerus chyba cię osobiście nie lubi. Wyzywał cię, mówiąc szczerze. Ciekawe, kogo jeszcze informował o swoich opiniach. Widziałeś, z kim on teraz się prowadzi?

– Ja tylko wykonuję swoje obowiązki.

– Powiedział, że jesteś arogancki. Nie zadzieraj z nim. Nie teraz.

– Ja po prostu robię...

Gambino spojrzał na niego uważnie.

– Wiem, ale koniec dyskusji. Przebudzetuj wydatki. Szanowni goście naszej Prowincji chcą mieć Rzym w Weronie i my damy im ten Rzym, kurwa mać.

– Dobrze, panie Gambino. Mam jeszcze jedną kwestię, jeśli można, przy okazji.

– No co tam? – Szef uznał, że główny problem został już załatwiony, i to wprawiło go w dobry nastrój.

– W moim domu cały czas mieszka ta dziewczynka, może gdyby...

Głos Gambina stężał w jednej chwili.

– To twoja sprawa.

– Ale jej obecność utrudnia mi pracę...

– To tylko i wyłącznie TWOJA sprawa – powtórzył szef, mocno akcentując słowo „twoja”.

– Ale ja nie chcę tego dziecka!

– Nie bądź krnąbrny, bądź posłuszny! Tylko tyle mogę ci poradzić.

– Tak, rozumiem, panie Gambino.

– To wszystko. – Dłonie przełożonego znów ułożyły się równo na poręczach fotela.

Vittorio wstał z krzesła i ukłoniwszy się, ruszył w stronę drzwi. Nim wyszedł, usłyszał jeszcze:

– Jak będziesz miał szczęście, to za kilka miesięcy przekażą dziecko dalej. I pamiętaj: chcą Rzymu, to damy im Rzym.

– Tak, panie Gambino, do widzenia.

Chińczycy mieli do dziedzictwa starożytnego Rzymu stosunek dualny. Z jednej strony doceniali jego dorobek, podziwiali tysiącletnią dominację w basenie Morza Śródziemnego, uznawali wpływ na kulturę i cywilizację Zachodu, który rządził światem przez kolejne milenium. Z drugiej – było w tym jedynie coś z szacunku, jakim, dziewiętnastowieczny Europejczyk mógł obdarzać dokonania Inków, starożytnych Egipcjan czy wręcz samych Chińczyków. No cóż, może i była to kiedyś wspaniała cywilizacja, ale

jednak upadła. I jej potomkowie też. Było, minęło, teraz nadszedł nasz czas i to my będziemy rządzić wiecznie... a przynajmniej przez najbliższe tysiąc lat.

Szkolne podręczniki wskazywały, że w czasie, gdy jeden z największych rzymskich władców, Oktawian August, budował prymitywną administrację imperium w oparciu o krewniaków i domowych niewolników, w Cesarstwie Chin od setek lat istniał już system szkół i egzaminów państwowych, funkcjonowała hierarchiczna, wykształcona kadra urzędnicza, działały złożone systemy podatkowe. Nawet w szczytowym momencie rozwoju Rzym ustępował potędze Chin – pod względem kultury, złożoności i wyrafinowania cywilizacji, poziomu życia elit, nowoczesnych technologii. Kiedy Kan Jing w roku dziewięćdziesiątym siódmym naszej ery odwiedził cesarstwo rzymskie, było ono w porównaniu z Państwem Środka ledwie zorganizowaną, biedną barbarią.

Podręczniki przyznawały uczciwie: tak, rzeczywiście, później rozwój Chin zatrzymał się, nasze imperium nie wykorzystało szansy dokonania skoku industrialnego w pierwszej połowie drugiego tysiąclecia, na pięćset lat przed Europą. Choć już w jedenastym wieku działały u nas huty, które rocznie zużywały czterdzieści tysięcy ton węgla i przetapiały niemal tyle samo ton rudy. Choć w czternastym wieku pracowały wielkie maszyny tkackie napędzane siłą wody, przemysłowo produkujące tkaniny. Choć sto lat później zbudowaliśmy najpotężniejszą i najnowocześniejszą flotę świata, która opłynęła cały Pacyfik i dotarła do Ameryki Południowej. Niestety, ograniczenia geograficzne, obce najazdy, konserwatyzm władców wstrzymały rozwój państwa. Ale Chiny są wieczne, cóż to dla nich pół tysiąclecia! Wielkim wysiłkiem partii i narodu nadrobiły zaległości i znów są największą zorganizowaną wspólnotą na świecie – tak jak było i trzy tysiące lat temu, i dwa, i tysiąc. A Zachód? Gaśnie – skurczony do kawałka dawnych Stanów

Zjednoczonych, Kanady i Australii, do rozpaczliwie broniących się przed dżihadem ostatnich fragmentów Skandynawii i Niemiec, zbombardowanej rosyjskimi atomówkami, zdziczałej Europy Wschodniej oraz utrzymywanych przez Ludowe Cesarstwo Chin rezerwatów we Włoszech, Katalonii, Grecji czy Francji.

Pociąg dziejów wrócił na prawidłowe tory, z których ledwie na kilkaset lat wyprowadziły go brytyjskie wynalazki epoki węgla i pary – w tym, nomen omen, lokomotywy.

Chiny to najpotężniejsze imperium świata, które na resztkach Włoch urządziło skansen.

## II.

Tym razem spał czujnie i usłyszał skrzypienie schodów. Pia schodziła powoli, ostrożnie, po każdym kroku zatrzymując się i nasłuchując.

Vittorio trwał w bezruchu. Kątem oka zdołał spojrzeć na zegarek. Była trzecia dwadzieścia trzy.

Dziewczynka zatrzymała się obok jego sypialni, wahała się, ale w końcu pokonała strach i szybko przemknęła do wyjścia.

Cicho szcęknęła zasuwka, drzwi uchyliły się i zamknęły.

Poderwał się z łóżka, wciągnął spodnie od dresu. Ostrożnie wyjrzał przez okno. Pia właśnie przecinała ulicę. Na zewnątrz było ciemno, być może nikt jej jeszcze nie dostrzegł. Skoczył do przedpokoju, wzuł sandały i uchylił drzwi.

Jego dom mógł być obserwowany, bezpośrednio przez kapusiów albo przez kamery.

Trudno. Na razie nie robi niczego złego. Dziewczynka wyszła, on to zauważył i ruszył za nią. Prawidłowo. Chyba...

Noc była ciepła, niebo czyste, wiał lekki wiatr, raczej przyjemnie chłodzący niżli mrozący skórę.

Stracił Pię z pola widzenia, więc nie czekał dłużej, tylko pobiegł jej tropem. Minął kilka budynków, w tym dom Stefana. Doszedł do przecznicy i ostrożnie wychylił się zza rogu. Nie dostrzegł dziewczynki, a nie sądził, żeby oddaliła się zbyt daleko, w nocny cień poza światłem latarni... Musiała więc przeciąć jezdnię i wejść do parku, znajdującego się po drugiej stronie. Tam panował niemal zupełny mrok.

Przeskoczył ulicę i zagłębił się między drzewa. Szum poruszanych wiatrem gałęzi zagłuszał kroki – i jego, i uciekinierki. Ciemne kształty ławek, ogrodowych zabawek i żywopłotów nakładały się na siebie, mieszały, tworzyły dla wzroku złudną, nieregularną mozaikę plam i cieni, jakby czarna burzowa chmura pokryła ziemię.

Czy mogła pójść gdzie indziej? A jeśli wstąpiła do któregoś z domów? Czyżby miała tu jeszcze jednego opiekuna? Kim mógł być? Nagle ogarnęła go fala gorąca.

Szybkim krokiem, niemal półbiegiem przemierzał kolejne alejki. Kilka razy zatrzymał się, nasłuchując uważnie. Bez skutku. Park nie był taki duży, można się tu było ukryć, ale nie na długo.

Znów wybiegł na ulicę i bezradnie kręcił się wokół, próbując wypatrzeć kontury małej sylwetki w ciemności asfaltu zlewającego się w oddali z nocą.

Zaklął, machnął bezradnie rękoma, jeszcze raz zakręcił się, po czym pognął do domu. Skoro uciekła, to musi natychmiast zawiadomić...

Kogo?! Policję? Czy anonimowego Chińczyka, dzwoniąc na telefon z wizytówki? Co ma robić?!

Kątem oka dostrzegł błysk. Spojrzał w bok i odruchowo skulił się ze strachu. W oknie Stefana zaświeciło się, a starszy mężczyzna stał tuż przy szybie, bacznie lustrując ulicę.

Czy zauważył Vittoria? Czy go rozpoznał?

Wpadł na ganek swojego domu, szarpnął drzwi, wskoczył do

środku. Zamarł.

Pia stała w korytarzu, jakby na niego czekając. Ubrana w piżamę i płaszcz, w sznurowanych bucikach na nogach. Nagle zza jej pleców wychyła się ciemna sylwetka. Cofnął się odruchowo, ale po chwili zorientował się, że naprzeciwko stoi starsza kobieta: siwowłosa, o zmęczonym spojrzeniu, kącikach ust wykrzywionych w grymasie smutku, a może fizycznego bólu. Posapywała z każdym oddechem, co mogło być oznaką przewlekłej choroby lub zmęczenia biegiem. Albo jednego i drugiego. Na przekór temu tworzyła jednak wokół siebie aurę pewności i stanowczości – może sprawiał to krój jej płaszcza i spodni, eleganckich i ewidentnie kosztownych, choć już nie najmodniejszych. A może ślad niewątpliwej dawnej urody w pokrytej zmarszczkami twarzy? Zdecydowane ruchy i pewność głosu, nawykłego raczej do wydawania rozkazów niż proszenia?

– Zanim wezwiesz policję, a powinieneś ją wezwać szybko, bo już mnie widziano, musimy porozmawiać. Mamy mało czasu – mówiła cicho, niemal szeptem, ale ze zdecydowaniem i mocą.

– Kim... – zaczął, ale przerwała mu machnięciem dłoni.

– Jestem babcią Elviry... to znaczy Pii. Elvira to jej prawdziwe imię. Dziecko, idź do siebie. Natychmiast! I nie wychodź z pokoju! – Ku zdziwieniu Vittoria mała nie zaprotestowała, tylko odwróciła się jak fryga i pobiegła na górę, tupiąc butami na drewnianych stopniach. – Masz we wszystkim słuchać pana Vittoria! – krzyknęła jeszcze kobieta, ale to zabrzmiało już mniej stanowczo, jakby głos się jej załamywał. Odprowadziła dziewczynkę wzrokiem, a na jej ustach zagościł ślad uśmiechu.

Skoczył do telefonu, podniósł słuchawkę. Kobieta znów wróciła do formy.

– Stój! Daj mi trzy minuty! Potem zadzwonisz. Zgłosisz moją obecność. To będzie korzystne dla ciebie! Każde inne zachowanie może cię narazić na niebezpieczeństwo! – wystrzeliwała zdania

niczmy kule z karabinu. Na pewno była przygotowana.

– Łamiesz prawo! Jesteś...

– Zdrajcą. Teraz jestem zdrajcą, choć całe życie należałam do nobilów. Posłuchaj mnie! Jesteś w niebezpieczeństwie, znalazłeś się pomiędzy dwiema siłami, każda może cię zmiażdżyć.

– Jakimi siłami? – Stał ze słuchawką już przy uchu, nie mogąc się zdecydować, czy ją odłożyć, czy zadzwonić.

– Wszystko przeczytasz tutaj. – Spod płaszcza wyjęła grubą teczkę.

– Wszystko. Jak ocalić Pię i siebie. Jak pozostać przy życiu.

– Mojemu życiu nic nie grozi.

– Grozi. Jeśli zdecyduję się na ostateczną rozprawę ze stronnictwem, do którego należał mój zmarły mąż, to zabiorą małą. Nikt jej nie ochroni. A wtedy nie wiadomo, co zrobią z tobą. – Podała mu teczkę. – Tu jest wszystko opisane. Tu masz dokumenty i pieniądze potrzebne do ucieczki.

– Jakie dokumenty? Jakiej ucieczki? Ty stara wariatko! – Ręka ze słuchawką to podnosiła się, to opadała.

Spojrzała na niego ze spokojem.

– Tak. Zadzwoni. Zgłoś moją obecność teraz. Zanim przyjadą, przeczytaj pierwszą kartkę. To da ci lepsze rozeznanie. Schowaj teczkę, a potem wszystko przeczytaj, gdy już stąd odejdą. Małej możesz ufać. Nie piśnię słowem. Jest z honestiorów – powiedziała z wyraźną dumą.

– Muszę to zgłosić.

– Zgłoś, ale zaopiekuj się nią, proszę. Bądź dla niej dobry.

– Świat, w którym bycie dobrym się opłacało, już nie istnieje. Zapomniałaś o tym, stara kobieto?

– Tobie się opłaci.

– Muszę to zgłosić... Kiedy cię złapią, doniesiesz na mnie. Wyznasz wszystko. Powinnaś to wiedzieć.

– Nie doniosę. Przekonasz się. Nic ze mnie nie wydobędą. Dzwoni



już, zyskasz ich zaufanie, zostawią ją u ciebie. Opiekuj się nią! Ucieknij. Dzwon! – wydała ostatnie polecenie, po czym wyszła z domu Vittoria i spokojnym krokiem ruszyła wzdłuż ulicy.

Drżącą dłonią zaczął wystukiwać numer z wizytówki, dłuższą chwilę wsłuchiwał się w sygnał połączenia. W końcu ktoś po drugiej stronie odebrał.

– Tu Vittorio Bernardin, dzwonię, bo...

Zza okna dobiegł go szum silnika pędzącego samochodu. Potem drugiego. Pisk ostrego hamowania. Snopy świateł. Potem głosy – męskie krzyki i kobieca odpowiedź. Potem strzały. I cisza.

– Co się stało? – Głos w słuchawce być może należał do Chińczyka z samochodu. A być może do zupełnie kogoś innego. – Co się stało?

– Chciałem zgłosić... – Spróbował sobie przypomnieć słowa Chińczyka, po czym spokojnie powiedział do słuchawki: – Coś... coś dziwnego.

– Będziemy za kwadrans. Z dzieckiem wszystko w porządku?

– Tak. Czekam – odpowiedział. Odłożył słuchawkę i trzęsącymi się dłońmi otworzył teczkę.

Na wierzchu leżała kartka, na której grubym czerwonym mazakiem napisano: PRZECZYTAJ, ZANIM PRZYJADĄ. Całą zajmował gęsto zapisany tekst. Litery były kształtne i równe, wykaligrafowane przez kogoś, kto latami ćwiczył shūfǎ. Napisano go ręcznie, bo każdy plik stworzony na komputerze mógł zostać przeczytany przez służby. Pod kartką znajdowała się zaklejona gruba szara koperta, wypchana papierami. Usiadł na podłodze, by utrudnić jakiegokolwiek podglądanie przez okno, i przeczytał:

*Masz kilka minut na podjęcie decyzji. Wiem, że nie jest łatwa. Masz dwie opcje. Opcja 1: możesz powiedzieć im wszystko i oddać teczkę. Opcja 2: możesz schować teczkę i powiedzieć jedynie, że przyszłam, bo chciałam zobaczyć Pię. W obu wypadkach będziesz zagrożony. W pierwszym za*

*kontakt z przestępcą. W drugim za ukrywanie prawdy.*

*To ja przyniosłam ci to zagrożenie. Gdybym się z tobą nie spotkała, miałbyś szansę przetrwania. Przyszłam więc do ciebie, by cię narazić. Jesteś zagrożony. Musisz to zrozumieć – nawet jeśli postąpisz jak uczciwy obywatel, i tak będziesz podejrzany. Zrozum to!*

*Jeśli oddasz im teczkę, zapewne zabiorą Pię, a ciebie na jakiś czas pozostawią w spokoju. Ale prędzej czy później przyjdą po ciebie. Przeczuwasz to, prawda?*

*Jeśli zachowasz teczkę, zyskasz szansę. Szansę na ucieczkę i przetrwanie. Wszystko przygotowałam. Trasę, dokumenty, przepustki, pieniądze. Jestem mądra i miałam możliwości. Sama bym nie uciekła, jestem pod ciągłą obserwacją. Już dotarcie do ciebie nie było łatwe.*

*Chcę, żebyś ocalił Pię. Ocal Pię! Wiem, że uda ci się to tylko wtedy, jeśli ocalisz siebie.*

*Dlatego NIE oddawaj im teczek. Ukryj ją.*

*Zanim podejmą dalsze akcje, minie kilka dni. Będziesz miał 3–4 dni na przygotowanie.*

*Jeśli wybierzesz opcję 1 – na pewno cię skrzywdzą. Wybierz opcję 2. Zaopiekuj się Pią. Ucieknijcie.*

*W tezcze znajdziesz dokładny opis i więcej informacji. Teraz musisz podjąć decyzję. Już do ciebie jadą!*

Nie było żadnych skreśleń, kobieta zapewne najpierw precyzyjnie ułożyła tekst, a potem dopiero przepisała go na czysto.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dwie, może trzy minuty.

Podniósł się, ale pozostał lekko pochylony, końcami palców trzymał teczkę za róg tak, by znajdowała się jak najbliżej ziemi.

Przeszedł do łazienki, przy okazji sprawdzając, czy mała na pewno nie wyszła ze swojego pokoju. Otworzył kosz z brudami i wcisnął dokumenty na sam spód. Zamarł, wciąż przygięty, z rękami zanurzonymi w skarpetach i gaciach. Wyciągnął teczkę i wsadził ją

do pralki, po czym zasypał wszystkimi brudami, wypełniając niemal cały bęben. Oceniał, że wygląda to wiarygodnie.

Bał się. Ale bał się i wcześniej. Dygotał na samą myśl o spotkaniu z Chińczykiem.

To dobrze, powinienem się bać – racjonalnie ocenił swoje emocje. Gdyby się nie zdenerwował, to dopiero byłoby dziwne.

Spuścił wodę w toalecie, umył ręce i wyszedł do salonu. Kiedy wstawiał czajnik na herbatę, pod jego dom zajechał granatowy maserati.

## 12.

To znowu nie było długie spotkanie.

– To nie moja wina. Jestem lojalnym obywatelem. Sama do mnie przyszła. A ja natychmiast zadzwoniłem.

– Tak, zadzwoniłeś do nas, to dobrze. Ale czy naprawdę nie czujesz się ani trochę winny, obywatelu?

– Winny czego, panie?

– Rozmowy z nią.

– Ale przecież to nie moja wina, sama przyszła.

– Rozmawiałeś z przestępcą, więc wiesz, że można robić przestępstwa. Praworządny obywatel nie powinien w ogóle rozważać takiej możliwości.

– Nie rozważam, panie. Przecież to nie moja wina!

– Chcesz powiedzieć, że się myślę, obywatelu?

– Nie, panie!

– Czyli jednak przyznajesz się?

– Ale...

– Ciekawe, dlaczego się nie bała?

– Wydaje mi się, że się bała.

– Współczujesz jej, obywatelu?

- Nie, panie, po prostu stwierdzam, że się bała.
- Z tego wynika, że uważnie się jej przyjrzałeś.
- Rozmawiałem z nią. Nie wiedziałem, czego chce ode mnie.

Musiałem ją obserwować.

- To czego chciała?
- Zobaczyć Pię.
- Co ci powiedziała, obywatelu?
- Że ją zaborą... to znaczy zabierzecie...
- Zabierzecie?
- Państwo ją zabierze, zabierze i sprawiedliwie osądzi.
- Tak powiedziała: państwo ją zabierze i sprawiedliwie osądzi?
- Nie, oczywiście, użyła...
- To czemu kłamiesz?

– Nie kłamię. Po prostu... cytuję. Powiedziała: wiem, że przyjdą po mnie i zaborą. Chcę ostatni raz zobaczyć wnuczkę. Tak powiedziała.

– Rozmawiasz z przestępcami, obywatelu, rozważasz ich uczucia, używasz ich plugawego języka. To niedobrze.

- Ale, panie...
- Widziałeś jej broń?
- Nie.
- To niedobrze, obywatelu.

I to był koniec rozmowy tamtej nocy. Nie wezwano go na przesłuchanie na policję. Może nikt tam nie wiedział, że kobieta go odwiedziła? Może Chińczyk blokował tę sprawę dostatecznie wysoko? Czy i komu mogło to zaszkodzić?

### 13.

Powoli wdrapał się po schodach. Miał nadzieję, że Pia już usnęła. Niestety, leżała na wznak na łóżku, nieprzebrana, nie zdjawszy

nawet butów. Wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi oczami i mruczała pod nosem jakąś piosenkę, której nie potrafił zidentyfikować.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Babcia już pojechała? – odpowiedziała pytaniem.

– Tak. Chyba nieprędko znowu cię odwiedzi. Cieszysz się, że ją widziałas?

– Cieszę. To moja babcia.

– Kazala ci się mnie słuchać, pamiętasz?

– Tak. – Podniosła się, podparła na łokciach, spojrzała na Vittoria badawczo. – Chyba cię polubiła.

– Chyba tak – odpowiedział niepewnie.

– To i ja cię może kiedyś polubię.

Zaśmiał się, sam nie za bardzo rozumiejąc dlaczego.

– To dobrze. To teraz ściągnij buty i idź spać.

– Dobrze. – Usiadła na brzegu łóżka, zaczęła powoli rozwiązywać sznurówki. Nie szło jej, aż wysunęła język z wysiłku.

– Tylko jeszcze umyj ręce.

– Dobrze. – Zerwała się na nogi.

– Jak już zdejmiesz buty – doprecyzował.

– Dobrze.

Mijając go w drodze do łazienki, zatrzymała się na chwilę i podniosła wzrok na Vittoria. W jej oczach zabłyśły ogniki sprytu.

– Widzisz, jak ciebie słucham?

Kiedy już się upewnił, że zasnęła, sam zszedł do łazienki. Zamknął drzwi na zasuwkę, puścił gorącą wodę do wanny, dolał płynu do kąpieli.

Dopiero gdy pomieszczenie mocno zaparowało, wygrzebał teczkę z pralki. Usiadł na podłodze, zaczął przeglądać papiery. Po chwili zrobiło mu się gorąco – i od wrzątku lejącego się z kranu, i od tego, co przeczytał. Zrzucił dres i tiszert, zostając w samych majtkach.

Zwinięte spodnie podłożył sobie pod tyłek, bo terakota była twarda.

W teczce znajdowały się dwa paszporty – dla niego i Pii, z ich zdjęciami, ale ze sfalszowanymi danymi. A więc zrobiono je, kiedy już opiekował się dziewczynką, wiedząc, że trafiła pod jego opiekę. Paszporty pozwalały na wyjazd z Prowincji i zapewniały względne bezpieczeństwo w tych regionach dżihadu, które miały jako tako ustabilizowaną formę rządów i utrzymywały nieformalne stosunki z Chinami. Choć oficjalnym celem wszystkich wyznawców Proroka w dawnej Europie było podbicie także chińskich protektoratów, atomówki skutecznie powstrzymały te sułtanaty, które spróbowaly zrealizować to przesłanie.

W teczce znajdowała się też precyzyjna trasa podróży – przez północne Włochy, południowymi zboczami Alp, przez dawną Austrię i Czechy. Dalej wzdłuż Odry, tam gdzie funkcjonowały jeszcze resztki państwa polskiego, luźna unia kilku miast, położonych na tyle blisko radioaktywnej pustyni, w jaką Ruscy zamienili większość kraju, że nawet dżihadyści niechętnie się tu zapuszczali. Ziemia barbarzyńców, mutantów, nędzarzy. Jednak i tam organizator ucieczki Pii miał jakieś kontakty. Na kolejnych kartkach tym samym pięknym pismem podano nazwy miejsc, imiona ludzi i hasła, często także rezerwowe, gdyby pierwszy kontakt nie zadziałał. Listę lokalnych przewodników, gospodarzy mogących zapewnić gościnę i władców, którzy mieli wobec organizatora ucieczki jakieś zobowiązania. Opisane były też precyzyjnie miejsca skrytek, gdzie – jak zapewniała instrukcja – zgromadzono bardzo cenne i przydatne w podróży przedmioty – takie, których Vittorio nie zdołałby wywieźć z Prowincji. Broń palna, leki, lokalne pieniądze, skondensowana żywność. Miały służyć samym uciekinierom, ale stanowić też walutę do płacenia za usługi tubylców.

Celem podróży była Dania, tworząca wraz z regionem Bremy i

Hamburga oraz kawałkami Szwecji i Norwegii ostatni niezależny od Chińczyków i wolny od dżihadu kraj na kontynencie. Kraj ludny, bo zasilony uciekinierami z Niemiec i Polski, wspierany przez resztki brytyjskiej floty, z dostępem do ropy z Morza Północnego, wciąż opierający się inwazji. Oczyszczony z muzułmanów w wielkiej rzezi z roku trzydziestego czwartego, rządzony przez militarystów z Neue Waffen, stanowił ostatni bastion dawnej Europy. Mur Jorgensena odcinał od kontynentu półwysep duński na wysokości Kilonii. Brema, Hamburg i Lubeka stały się miastami-twierdzami, a za ich linią biały człowiek mógł się już czuć w miarę bezpieczny.

Pierwszym przystankiem podróży zaś miał być Graz, miasto wprawdzie ogarnięte przez dżihad, ale dzięki dużej odległości od Pierwszego Kalifatu wciąż jeszcze dostępne dla niewiernych. Tędy biegiły drogi handlowe z Moskwy, omijające atomowe rumowisko wschodniej Europy, tędy przechodziła też linia kolejowa do Chin. Graz stał się wielkim ośrodkiem handlowym, a w takich miejscach ludzie się gubią i odnajdują. Kursowały do niego regularne pociągi z Prowincji Weneckiej.

Tak, plan był świetnie przygotowany. To mogło się udać. Tylko czemu sami twórcy z niego nie skorzystali?

Tej nocy Vittorio otrzymał jednak wszystkie odpowiedzi.

Czytał dalej.

Starsza kobieta nazywała się Emanuela di Fortini i była żoną Franka Fortiniego. Vittorio kojarzył to honestiorskie nazwisko. Brat Franka należał do największych latyfundystów Prowincji, jego pracownicy i niewolnicy uprawiali winorośl i produkowali najlepsze wina północnych Włoch, eksportowane do samych Chin. Frank, nim zmarł kilka lat temu, był członkiem senatu, kolaboranckiego organu zarządzającego prowincją w imieniu Chińczyków. Córka Franka i Emanueli, Claudia, wyszła za mąż za Gregora McIntre'a, syna konsula Stanów Zjednoczonych we Włoszech. Zgodnie z prawem

musiał on zrzec się swego amerykańskiego obywatelstwa, a kiedy jego ojciec wracał do kraju, został w Prowincji z żoną i właśnie narodzoną córką. Dwa lata później zaczęły się nieszczęścia. Claudia zmarła, a rodzina di Fortini wplątała się w jakieś rozgrywki polityczne, których dokumentacja szczegółowo nie objaśniała. Raczej tonęli, niż pięli się ku szczytom władzy – to również zostało omówione ledwie w kilku słowach. Zapewne przygotowano plan ratunkowy, zakładający ucieczkę z Prowincji, wykorzystując przy tym kontakty budowane w latach prosperity. Niestety, cztery miesiące temu Emanuela została aresztowana i zatrzymana w areszcie domowym. Jej zięcia, wszystkich domowników i wielu przyjaciół zesłano do obozów pracy. Na razie ich losy się ważyły. Wszak stronnictwa Prowincji, podpięte pod różnych dygnitarzy Ludowego Cesarstwa, wciąż zmagają się w niewidzialnych zapasach siły, przekupstwa i prestiżu. Na dodatek Gregor był jednak synem ambasadora USA, kraju wprawdzie słabnącego, ale wciąż jeszcze grającego w światowego pokera. Nie można było jego samego i jego córki ot tak, po prostu zabić. To znaczy – można było, oczywiście, dla władzy żaden problem, ale to się nie opłacało. Emanuela, mając nadzieję na wydostanie zięcia z laogai, uruchomiła dawne kontakty swojego męża i szykowała ucieczkę. Ale tydzień temu otrzymała wiadomość, że Gregor zmarł. Na serce. Nieformalnie dowiedziała się, że został ciężko pobity przez strażników, a osłabiony pracą i niedożywieniem organizm nie wytrzymał. Śmierć Gregora wprowadziła kolejne zamieszanie wśród skonfliktowanych frakcji. Emanuela nie miała wiele czasu, musiała improwizować. To jej wpływy zdecydowały, że Pia trafiła do Werony, blisko granicy. Vittorio nie był w stanie wywnioskować z listu, czy miała też jakiś wpływ na to, że wybrano właśnie jego, a jeśli tak – to dlaczego. Może uznała, że jest młody i sprawny fizycznie, mówi w kilku językach, a z racji swoich obowiązków trochę zna świat poza Prowincją? A może o



wyborze decydował już tylko brak czasu i przypadek?

Dość, że udało jej się zdobyć lewe papiery dla Vittoria i zastąpiła nimi dokumenty przygotowane wcześniej dla Gregora. Musiała mylić tropy i działać szybko, w każdej chwili sama mogła zostać zesłana lub zlikwidowana. Ostatni akapit listu brzmiał:

*Zrobiłam wiele złych rzeczy, niektóre dlatego, że musiałam, inne, że chciałam. Wielu złych rzeczy także zaznałam. Jedynym dobrem, na jakie trafiłam w życiu, była miłość do córki, a potem do wnuczki. Moja córka nie żyje, tak jak mój mąż i zięć. Nie pomogę im. Ale mogę uratować wnuczkę. Proszę cię, zrób to. Dla mnie i dla niej, ale przede wszystkim – dla siebie. Jesteś pionkiem w potężnej grze. Jeśli nie uciekniesz – zginiesz.*

#### 14.

Rano wstał jak gdyby nigdy nic. Przy śniadaniu w ogóle nie rozmawiał z Pią o wydarzeniach minionej nocy. Mała nawet słowem nie wspomniała o babci, co wcale go nie zdziwiło. Wychowywała się w rodzinie, w której przestrzegano dyscypliny i umiano milczeć. Jeśli ktoś z takiej rodziny zniknął, wtedy od razu zabierano się do porządków. Ze ścian zdejmowano ramki z jego zdjęciami i dyplomami, jego fotki i dokumenty w komputerach zgrywano i zabezpieczano w specjalnych folderach, by przekazać władzom. Przystawano opowiadać o nim anegdoty, a na rodzinnych spotkaniach nigdy nie wspomniano dzieciństwa.

Zdarzało się jeszcze, że ktoś z rodziny, jakiś rozumny, odpowiedzialny człowiek, a przede wszystkim dobry obywatel, dochodził do wniosku – sam albo wysłuchawszy kilku udzielonych szeptem porad – że samo zniknięcie jednego przedstawiciela rodu nie wystarczy. Że to tylko pierwszy sygnał i należy go właściwie zinterpretować. Wchodził wtedy do wanny, napuszczał wrzątku i

otwierał sobie żyły.

Chińczycy doceniali ten sposób załatwienia sprawy, był tak bardzo rzymski. Pozwalali reszcie familii przetrwać.

Oczywiście, o ile nie uznawali, że ów człowiek po prostu chciał im uciec, nie udzieliwszy wcześniej odpowiedzi na wszystkie nurtujące pytania. Wtedy to nie było dobre dla rodziny.

Pia umiała więc milczeć w sprawach zasadniczych, choć w innych, mniej poważnych, była wyjątkowo rozmowna. Prosiła o dokładkę płatków śniadaniowych, zapowiedziała, że ma trudną klasówkę i poinformowała Vittoria, że chętnie pójdzie do kina na nowy film animowany o pandach.

Jakby ktoś – po nocnym spotkaniu z babcią – uruchomił w niej program „życie jest OK”.

Vittorio uznał zaś, że jedynym sposobem, w jaki może uchronić się przed podejrzeniami ze strony ewentualnych tajniaków, jest skrupulatne i dokładne realizowanie swojego najbardziej typowego planu dnia. I że nie będzie źle, jeśli od czasu do czasu się zamyśli. Kto by się nie zamyślił po czymś takim, co mu się przydarzyło wczoraj?

Odprowadził więc Pię do szkoły, a w drodze na przystanek zatrzymał się przy kiosku i kupił nowego Dylana Doga, którego do połowy udało mu się przeczytać w autobusie. Czarno-biała kreska komiksu, nieco mangowa w stylu, bardzo mu odpowiadała. Historia też była niczego sobie: Dylan Dog pomagał policjantom w polowaniu na mutantów, którzy przedostali się do Prowincji jako angielscy kupcy, a tak naprawdę chcieli wywieźć do Londynu posąg rzymskiej wilczycy. Młody Dylan Dog, noszący przydomek „detektyw promienny”, był synem postaci ze starych, klasycznych komiksów firmy Bonelli. Mieszkał w Padwie i nie znosił Anglików, którzy wedle wydarzeń z tomu wydanego jakieś trzydzieści lat temu zabili jego ojca, chcąc ukryć fakt, że to właśnie oni i Amerykanie

zatruwają świat miazmatami mroku i hodują wszystkie atakujące ludzi potwory.

Kiedy Vittorio przyjechał do pracy, zaparzył kawę, okrutnie pożartował z Agnese, przejrzał pocztę, poprosił sekretariat o aktualną listę czynnych gladiatorów i zabrał się do pracy.

Przetłumaczył nowe rozporządzenia porządkowe Areny na niemiecki i angielski, potem sprawdził raporty o zniszczeniu sprzętu w czasie ostatnich przedstawień. Wreszcie, jak niemal codziennie w ciągu ostatnich tygodni, otworzył tabelę z listą płac najdroższych gwiazdorów i kosztami organizacyjnymi przedstawień i zaczął bawić się formułami Excela, po raz kolejny próbując przelać z pustego w próżne albo na odwrót.

Nawet autentycznie zdołał się wściec na tych pieprzonych gladiatorów i na ich większe od bicepsów ego.

W końcu jednak znalazł rozwiązanie. Pieniądze na podwyżki zostaną opłacone z oszczędności na statystach. Kiedy Vittorio zadzwonił do komisarza Bieretty z departamentu śledczego, ten był już poinformowany o sprawie i zgodził się na spotkanie. Najwyraźniej sam Gambino nie próżnował i też uruchomił swoje kontakty.

Dobrze.

Na lunch zjadł spaghetti z małżami, wypił lampkę taniego białego wina. Picie alkoholu w godzinach pracy nie było dobrze widziane, ale jeden kieliszek do obiadu tolerowano, o ile nie odbywały się jakieś kontrole czy inspekcje. Jadł w samotności, jak zwykle, doczytując komiks. Kelnerka w trattorii była nowa, niezbyt ładna, ale młoda, mówiła po włosku z dziwnym akcentem. Dopiero po jakimś czasie doszedł do wniosku, że może pochodzić z Grecji, choć miała blond włosy i jasną skórę. Poflirtował z nią dla zasady, ale nie była chętna. Reagowała jedynie sztucznym zawodowym uśmiechem.

Po południu zaliczył zebranie, siedzieli na nim całym działem

ponad trzy godziny, omawiając nową strategię relokacji zasobów magazynowych, czyli mówiąc ludzkim językiem, czy bardziej opłaca się produkować stroje i gadzety dla każdego cyrku w Prowincji, czy jednak taniej będzie trzymać to wszystko w magazynach werońskiej Areny i wysyłać na konkretne przedstawienia.

Dwaj faceci z działu produkcji przedstawili kalkulacje, Franco z logistyki – tego Vittorio nawet lubił, bo parę razy pił z nim po nocy w barach z tanimi dziewczynami importowanymi z francuskiego dżihadu – omówił trasówki kurierów i tak to się miało niemal do siedemnastej. Na koniec jeszcze szef wygłosił krótki komunikat o pracach społecznych w każdą ostatnią sobotę miesiąca, w sumie nie najgorsza wiadomość, bo spodziewali się zajętych dwóch weekendów miesięcznie.

Ani w trakcie spotkania, ani po nim Gambino nie zadawał żadnych pytań i nie komentował wczorajszych wydarzeń w domu Vittoria, nie przyglądał mu się z jakąś szczególną uwagą, a nawet specjalnie się na nim nie wyżywał. Może nic nie wiedział, a może tylko udawał, że nie ma o niczym pojęcia. Już po osiemnastej, czyli po oficjalnym końcu pracy, Vittorio jak zwykle musiał napisać dzienny raport. Co się wydarzyło, co kto mówił na zebraniach, co on, Vittorio, osobiście robił. Wysłał relację – zgodnie z procedurą – i do swojego szefa, i do komórki kontrolnej urzędu.

To był zwykły, przeciętny dzień.

Wracał do domu dziwnie uspokojony. Jak człowiek, któremu spada wysoka gorączka, czujący osłabienie, ale jednocześnie ulgę. Tak i Vittorio szedł ulicami Werony w otępiającym błogostanie. Odebrał Pię ze świetlicy, wrócili do domu, nawet o czymś porozmawiali, sama zaproponowała, że zrobi mu herbatę.

Sprawdził, że nikt nie szperał w pralce pod jego nieobecność, dorzucił tam jeszcze brudy z mijającego dnia, wziął ciepłą kąpiel i położył się do łóżka. Włączył telewizor, obejrzał wiadomości, potem

przerzucił się na jakiś film, chyba gdzieś w połowie fabuły, bo akcja była dla niego zupełnie niezrozumiała. Pogapił się kwadrans, ale w końcu całodniowy stres i zwykła senność wygrały. Zgasił telewizor, wyłączył lampkę, poprawił poduszkę i owinał się prześcieradłem. Zza półotwartego okna nie dobiegało zbyt wiele dźwięków – czasem szum silnika przejeżdżającego samochodu albo stukanie damskich obcasów. Zasypiał.

Jeśli jego życie ma wyglądać tak jak dzisiejszy dzień, to OK, da radę. Czemu nie?

Obudził się w środku nocy, spocony, z tętnem walącym pod czaszką i sphywającym po kręgosłupie do każdego fragmentu ciała.

Ty idioto! Czy słyszałeś o kimś, komu darowano? Komu wybaczone? Kto przetrwał? Musisz uciekać do Danii! Inaczej znikniesz!

## 15.

Następnego dnia poszedł do pracy z precyzyjnie przygotowanym planem działań. Musiał wszystko rozegrać perfekcyjnie.

Najdłużej zajęły mu rozważania dotyczące czasu.

Pociąg do Grazu jechał około dziesięciu godzin, z dodatkowymi kontrolami na granicach mogło to zająć nawet szesnaście. Vittorio potrzebował więc minimum doby, by dojechać do celu i posługując się instrukcjami od Emanuela, ukryć się przed działającymi tam agentami gonganbu. Każdy kolejny dzień, ba, każda godzina opóźniająca początek pościgu znacząco zwiększała szanse na sukces. Dwie doby dawały niemal pełne bezpieczeństwo.

Od rana symulował więc intensywną pracę. Wysłał kilka maili z dyspozycjami i pytaniami dotyczącymi najbliższej animacji na Arenie. Poprosił Agnese o najnowsze oferty, jakie przysyłali łowcy statystów operujący poza Prowincją. Zadzwoił do Bieretty i głośno

– tak, by współpracownicy z pokoju doskonale to usłyszeli – przez kwadrans klarował mu konieczność zwiększenia, jak to się mówiło w ich branżowym języku, „zatowarowania”. Nawet wyprosił krótką wizytę u Gambina, na której podziękował za pomoc i zasygnalizował, że będzie miał teraz więcej pracy poza biurem.

Gdyby któregoś ranka nie zjawił się w biurze, nie zwrócono by na to uwagi przez kilka godzin, może nawet cały dzień. Ale równie dobrze kilka minut po dziewiątej Gambino kazałby ściągnąć podwładnego w związku z jakąś – jego zdaniem – niecierpiącą zwłoki sprawą. Vittorio miał nadzieję, że teraz, po kilku dobrze odegranych scenkach, zyska cały dzień, a może nawet i jeszcze drugi, nim ktoś zorientuje się, że jego nieobecność w biurze nie wynika z wykonywanych na mieście obowiązków.

Z pracy wyszedł punktualnie, by zauważono go na recepcji i zwrócono uwagę na wypełnioną po brzegi teczkę z dokumentami, którą zabiera do domu.

– Dużo roboty? – spytała Agnese. – Przepracowujesz się.

– Nie wyrabiam się, a muszę to skończyć. Tym bardziej że jutro będę miał mało czasu. Trzymaj się.

– A może byś dziś... – zawiesiła głos w sposób, który miał być chyba kuszący, ale brzmiał jedynie żałośnie.

– Nie dam rady, skarbie. – Mrugnął do niej, podniósł rękę z torbą z symulowanym wysiłkiem na twarzy, jakby dźwigał tony, a nie jedynie kilogramy papieru. – Muszę to wszystko przerobić. Ale w przyszłym tygodniu...

– Daj znać, pracusiu. – Znów się zaśmiała, lecz Vittorio już wyszedł.

Począł, aż Pia skończy zajęcia polityczno-wychowawcze w świetlicy, i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, wrócili do domu.

Dziewczynka stanowiła problem nie mniejszy niż nieobecność w pracy.

Jeśli jutro odprowadzi ją do szkoły i nie odbierze wieczorem, zaczną go szukać. Więc dziewczynka musi zostać w domu. Jak najdłużej i bez kontaktu ze światem.

Przecież nie zamierzał jej nigdzie zabierać.

## 16.

Wydawało mu się, że zaplanował wszystko całkiem rozsądnie. Bał się, że nie zdoła zasnąć ze zdenerwowania, ale nawet udało mu się przekimać kilka godzin.

Budzik zadzwonił o czwartej.

Vittorio chwilę leżał w bezruchu, rozważając wszystko, co będzie musiał zrobić tego poranka, i ostatecznie upewniając samego siebie co do słuszności podjętych decyzji.

Nie miał wyjścia.

Wypił kubek mocnej kawy, potem wziął szybki, zimny prysznic, ostatecznie odganiając senność. Założył wygodny strój, w jakim zwykle jeździł na mniej zobowiązujące delegacje: lnianą koszulę, dżinsy, zamszowe buty. Lekką marynarkę na razie rozwiesił na oparciu stojącego w kuchni krzesła.

Z szafy pod schodami wyciągnął małą walizeczkę, którą wypełnił kilkoma parami majtek i skarpetek, koszulą na zmianę, zwijanym płaszczem przeciwdeszczowym, kosmetykami. Miał być przecież biznesmenem w podróży. Poza tym ciuchy mogły się przydać – diabli wiedzą, kiedy będzie w stanie kupić nowe ubrania.

Z pudełka po butach upchanego na dzień tej samej szafy wygrzebał plik liruanów, ze skrytki w ścianie wyjął dwa złote pierścionki i świetny szwajcarski zegarek, jeszcze sprzed dżihadu. Na rękę założył dość drogiego paneraia, czasomierz, którego używał tylko przy szczególnych okazjach. Nie chciał mieć przy sobie zbyt dużo wartościowych przedmiotów, które mogłyby się wydać podejrzane,

z drugiej strony potrzebował waluty i towarów wymiennych, na wypadek gdyby nie udało się dotrzeć do skrytek opisanych w instrukcji. Dorzucił jeszcze do walizki cztery paczki papierosów, apteczkę z plastrami i lekami przeciwbólowymi od Recordati – pożądane fanty poza granicami cywilizowanego świata. Po chwili zastanowienia dołożył jeszcze wielofunkcyjny scyzoryk i ledową latarkę.

Teraz dopiero spod stosu brudów wyciągnął wszystkie dokumenty, które otrzymał od Emanuela, i zapakował je do teczki z papierami z biura. Jeśli ktoś zechce go przeszukać, to oczywiście znajdzie dowody zdrady, ale zawsze to jakoś chroniło przed przypadkowym rozpoznaniem.

Jako dość często podróżujący urzędnik trzymał swój paszport w domu, a nie w ratuszu. Postanowił go zostawić, a zabrać tylko fałszywy. W pociągach często zdarzały się losowe kontrole, posiadanie dwóch dowodów tożsamości automatycznie czyniło z niego przestępcę.

Tak, chyba przemyślał wszystko.

Jeśli zostanie zatrzymany (bo i tak go śledzą), informacje od starej kobiety okażą się błędne albo dokumenty źle podrobione – trudno, już się nie wywinie. Ale postanowił do minimum ograniczyć prawdopodobieństwo wpadki.

Pierwszy pociąg do Grazu odchodził wprawdzie już za półtorej godziny, ale Vittorio uznał, że nie chce się poruszać po niemal pustym mieście. Wyjdzie z domu tak, jakby normalnie jechał do pracy, wtedy złapie kurs o ósmej.

Teraz musiał zająć się Pią.

Sprawdził, czy na pewno mała jeszcze śpi, po czym podszedł do telefonu. Wykręcił numer szkoły. Było wcześnie, ale miał nadzieję, że sekretariat już pracuje. I że sekretarka nie jest zajęta telefonicznym flirtowaniem z jakimś cymbałem. Przerywany sygnał



odliczał kolejne sekundy, w końcu jednak w słuchawce rozległ się chrapliwy głos:

– Piąta szkoła podstawowa, słucham?

– Dzień dobry, mówi Vittorio Bernardin, opiekun Pii z klasy pierwszej.

– Dzień dobry, o co chodzi?

– Chciałbym zgłosić, że Pia źle się czuje. Nic poważnego, ale lekarz zalecił na razie trzy dni pobytu w domu.

– Rozumiem, potrzebujemy stosownego dokumentu.

– Czy Pia może go dostarczyć, kiedy wróci do szkoły? Przepraszam, że pytam, ale nie mam doświadczenia... – zawiesił głos, mając nadzieję, że jego bezradność opiekuna samotnie wychowującego dziecko zrobi na sekretarce wrażenie.

– Zgodnie z przepisami musimy go mieć do jutra.

Osiągnął raczej umiarkowany sukces.

– Rozumiem, jasne. Dowiozę, ale raczej jutro, bo dziś mam młyn w pracy, rozumie pani...

– W porządku. Przekażę informację wychowawcy.

– Dziękuję i do widzenia.

– Do widzenia.

Szczęknęła słuchawka.

Nie poszło źle. Zyskał czas do jutra, do późnego popołudnia. A może – jeśli szkoła nie zareaguje od razu – jeszcze nieco więcej.

– Ale ja nie jestem chora! – Pia stała u szczytu schodów, ledwo rozbudzona, w piżamie, z rozczochranymi włosami. Pod pachą trzymała pluszową małą, którą kupił jej kilka dni temu. Zeszła parę stopni, obrzuciła wzrokiem stojącą w przedpokoju walizkę, zatrzymała się.

– Wyjeżdżasz gdzieś?

Patrzył na nią chwilę, zaciskając dłonie.

Dziewczynka parowała snem, w jej głosie nie było podejrzliwości,

raczej smutek, bezradnie przestępowała na bosych stopach.

Zrobił krok w jej stronę.

Spojrzała mu prosto w oczy, zagryzła wargi.

Powoli wstępował na kolejne stopnie.

Nie miał wyjścia. Jeśli w domu są podsłuchy, nie mogli rozmawiać tutaj.

– Idź do toalety! – Gwałtownie chwycił dziewczynkę za rękę, szarpnął, dłonią zakrył jej usta i pociągnął za sobą. Nim zdążyła zaprotestować, już byli w łazience.

– Cicho bądź! – szepnął. – Podsłuchują nas. Rozumiesz, córko Gregora i Claudii, wnuczko Franka i Emanuela?

Po chwili kiwnęła głową. Pochodziła z honestiorów, pomimo swych ośmiu lat rozumiała, jak działa system.

– Nie będziesz krzyczeć?

– Nie – wyszeptała mu w dłoń.

– Posłuchaj, jedziemy do twojej babci.

– Do babci? – Niemal się roześmiała.

– Tak, pojedziemy razem do babci. Ale oni... oni nie mogą o tym wiedzieć. A ja muszę najpierw kupić nam bilety. Sam, bez ciebie, rozumiesz? Będziesz wypełniać polecenia? Nie pojedziemy do babci, jeśli nie będziesz posłuszna.

– Będę.

– Teraz wrócisz do pokoju. Zabierzesz z kuchni płatki, mleko i butelkę wody. Musisz poczekać na mnie w swoim pokoju, rozumiesz? Nie możesz z niego wychodzić. Nie będzie mnie cały dzień.

– Cały dzień?

– Tak, nie możesz wychodzić do jutra rana.

– A jak mi się zachce...

– Weźmiemy miskę. Będziesz do niej sikać, rozumiesz? Nie możesz wychodzić z pokoju! Kiwnij głową!

– Tak.

– Wróć po ciebie i razem pojedziemy do babci.

– Kiedy?

– Jutro.

– A teraz zrób siusiu. Ja ci zaniosę jedzenie i picie do pokoju.

Zostawił małą w łazience, sam chwilę pomyszkował w kuchni. Potem razem poszli na górę. Zrzucił na biurko wszystkie wiktuały, dołożył nawet tabliczkę czekolady i paczkę starych wafli.

Siedziała na łóżku, patrząc na niego uważnie.

W końcu przyklęknął i objął dziewczynkę ramionami.

Wzdrygnęła się najpierw, ale po chwili poczuł, jak jej drobne ciało wiotczeje, chude ramiona oplatają jego szyję, a chłodny policzek przyciska się do twarzy.

– Boję się, Vittorio – szepnęła.

– Nie masz czego. Będzie dobrze – odszepnął. – Zamknę twój pokój na klucz, jasne?

– Tak.

– Wróć po ciebie.

Kiedy wychodził, wciąż siedziała na łóżku. Uśmiechnęła się do niego, podniosła ramię i kilkakrotnie zgięła dłoń.

Posłał jej całusa i zamknął drzwi, zostawiając od zewnątrz klucz w zamku.

Zszedł do holu i przeciął drut telefonu. Starannie zamknął i zasłonił wszystkie okna. Założył marynarkę, podniósł ciężką walizkę. W ostatniej chwili przed wyjściem zgarnął jeszcze z kuchennej szuflady zapalniczkę i paczkę zapalek.

Ogarnął spojrzeniem pograżone w półmroku mieszkanie. Wyszedł na dwór.

Przywitał go chłód poranka. Wciągnął powietrze mocnym haustem.

Powoli przekręcał klucze w każdym zamku. Do oporu, dzięki

czemu drzwi nie dało się otworzyć od wewnątrz. Ruszył do nieco odleglejszego przystanku, by nie przechodzić koło domu Stefana.

Dziewczynka będzie milczeć, w pracy i w szkole wszystko doskonale udało się zorganizować. Tak, dostał dwa dni na ucieczkę i to musi wystarczyć. Wystarczy na pewno.

## 17.

Na stację dotarł bez przeszkód.

W związku ze swoimi podróżami służbowymi bywał tu często, jak na przeciętnego mieszkańca Werony. Czuł się więc pewnie i nie zwracał uwagi na uzbrojonych, chodzących parami *carabinieri*. Nie groziło mu też, że z ciekawości zagapi się na egzotycznego turystę, oficjalną delegację czy krążące przed dworcem prostytutki.

Emanuela wybrała go właśnie dlatego, że miał większą szansę na spokojny wyjazd z miasta niż wielu nawet wyżej postawionych ludzi.

Stanął w kolejce do kasy, wybierając przejście, w którym paszporty sprawdzał starszy mężczyzna, a nie młoda, jasnowłosa dziewczyna. Kobiety są dokładniejsze. Podając dokumenty, mruknął „dzień dobry”, odstawił walizkę i spokojnie czekał na koniec kontroli. Musiał wierzyć, że podróbka jest doskonała.

Strażnik machnął ręką, kierując go dalej. Kolejka przesuwiała się w miarę szybko. Wszystko było pod kontrolą.

Przez chwilę przyglądał się wielkiemu banerowi reklamującemu smażone lody, jak mówił plakat: „prawdziwą słodycz z Chin wymyśloną we Włoszech”. Miał wrażenie, że ostatnio propaganda coraz częściej podkreśla fakty łączące przeszłość Państwa Środka i Włoch. Pozwolono nawet na ustawienie kilku posągów Marco Polo i Matteo Ricciego. Cóż, o wszystkim i tak zadecyduje układ sił i decyzje zapadające w odległym Pekinie. Jego to już nie będzie

dotyczyć. Już nie.

A jednak poczuł, że się poci.

Nagle przypomniała mu się mała, skupiona twarzyczka, ciepły oddech na szyi, dziecięce palce powoli zginające się w powściągliwym geście pożegnania.

Będzie tam czekać. Dzień na pewno, a na ile zdążył poznać Pię – dwa, a może nawet trzy. Potem przyjdą po nią. Wywalą drzwi zewnętrzne, włamią się do pokoju.

Może będzie wtedy spała.

Jedzenia i picia jej nie zabraknie, zadbał o to.

A jeśli jakoś przegapią jego nieobecność i zjawią się w domu za cztery, pięć dni? Idealnie dla jego ucieczki, ale czy Pii wystarczy zapasów na tak długo? Co tam, najwyżej w końcu zejdzie do kuchni i wyjmie jedzenie z lodówki.

Potem zaś... Potem... To oczywiste, nie mógł mieć wątpliwości. Po spotkaniu z babką, po jego ucieczce, po jej gotowości do pozostania w domu na rozkaz Vittoria, a wbrew regułom szkolnego życia – po tym całym ciągu dowodów nielojalności, których była świadkiem i w których sama uczestniczyła, Pię może czekać zesłanie do dziecięcego *laogai*. Praca przez czternaście godzin na dobę, zakończona codziennymi szkoleniami politycznymi. Obóz pracy i wychowania. W najlepszym przypadku.

– Pana kolej – zwrócił uwagę stojący za nim starszy mężczyzna, ubrany w strój eleganckiego domokrażcy, takiego, który sprzedaje roboty kuchenne i drogie odkurzacze, a nie środki czystości czy używane meble.

– Ach tak, przepraszam. – Pochylił się do okienka. – Poproszę bilet do Grazu. Na ósmą siedem.

– W pociągu będzie pan podlegał kontroli celnej i granicznej – poinstruowała go kasjerka.

– Oczywiście.

– Która klasa?

– Druga, tak, druga... – zawahał się. A potem nagle dodał: – I ulgowy bilet obok. Dla córki.

Złapał taksówkę pod dworcem, w kwadrans dotarł do domu, kazał kierowcy czekać, nawet walizkę zostawił w bagażniku. Drżącymi rękoma otwierał zamki, które nie tak dawno pieczołowicie zamykał.

Wbiegł na górę, mówił do niej szeptem, ale jakby krzyczał.

Ubrała się i spakowała w kilka minut. Ale to nie wystarczyło.

Kiedy Vittorio i Pia stanęli u szczytu schodów, na dole już na nich czekali.

Elegancko ubrany Chińczyk, za nim wesoło szczerzący zęby kierowca w ciemnych okularach i z pistoletem w dłoni, dwóch bezpieczniaków w jednakowych niebieskich marynarkach. Zza ich pleców wychylał się Stefano, a w jego oczach była tylko pogarda dla zdrajcy. Stefano donosił dla pieniędzy, ale i dlatego, że to lubił.

Chińczyk uśmiechnął się i nawet lekko pochylił głowę, w szyderczym geście udającym szacunek.

– Liczyłem, że właśnie to zrobisz. Dlatego pozwoliłem tej białej suce do ciebie dotrzeć. Teraz mogę zrobić porządki.

## 18.

Tłum był jak zawsze. Jak dwa tysiące lat wcześniej, gdy na arenie Werony umierali Trakowie i Germanie, niewypłacalni dłużnicy i chrześcijanie. Jak wczoraj, gdy zarżnięto tu popromiennych barbarzyńców złowionych na terenach dawnych Węgier, kilku dżihadystów, którzy zbyt blisko zbliżyli się do granicy Prowincji, a także grupę więźniów z padwańskiego *laogai*, którzy nie mieli już sił pracować i którzy własną śmiercią mieli dostarczyć swym panom ostatniej korzyści. I aresztantów z komendy miejskiej rozładowanej przez komisarza Bierettę, zgodnie z prośbą przedstawioną przez

departament turystyki ratusza.

Dziś trzydzieści tysięcy turystów i miejscowych notabli miało zobaczyć kolejną animację.

Imponujące, barwne, wspaniałe widowisko. I tańsze – pomimo znaczących podwyżek dla najlepszych gladiatorów. Vittorio dobrze to wszystko policzył i zaplanował. Mniej zawodowych aktorów, za to więcej statystów.

Oto Juliusz Cezar wkracza do Galii.

Już wyjechał na rydwanie zaprzężonym w cztery czarne konie, powożonym przez potężnego Murzyna, już wyprężył się przed publicznością, a słońce rozpałało blaski na jego srebrnej, lecz bogato inkrustowanej złotem zbroi. Wyszarpnął z pochwy gladius, wzniósł ostrze ku niebu, a tłum zawył.

Rydwan był nieprawdziwy, aktor mało przypominał Cezara, a drony latające po Arenie, by rejestrować przebieg bitwy na potrzeby późniejszych telewizyjnych retransmisji, nadawały temu wszystkiemu surrealistyczny wygląd.

Ale teatr był pełen, wielu widzów ubrało się w togi, kupione w którymś z kramów z pamiątkami lub pożyczone w hotelu na jeden wieczór. Małe, drobne Chinki częściej stały, niż siedziały, żeby lepiej widzieć. Piszczwały jak fanki na koncercie.

Widziały swoich idoli. Za plecami niby-Cezara podniosła się żelazna krata i na arenę wysypaną białym piaskiem z Apulii wybiegło kilkunastu gladiatorów.

Trakowie z zakrzywionymi nożami i małymi owalnymi tarczami, ciężkozbrojni Galowie w okrągłych hełmach i z nagimi torsami. Był też *laquearius* ze swoim sznurem i sieciarz uzbrojony w trójząb. A przewodził im potężny, niemal nagi Dimachaerus zwany Okiem, z dwoma długimi sztyletami w dłoniach, przepaską przecinającą twarz i osłaniającą pusty oczodół.

Naprzeciwko uzbrojonych po zęby gladiatorów stało może

trzydzieści osób, różnej płci i wieku, przebranych w futra, ściskających włócznie i miecze w niepewnych dłoniach. Kilkoro próbowało przybrać groźne pozy, nawet coś pokrzykiwali, ale większość tłoczyła się w gromadzie, bezgranicznie przerażona.

Gladiatorzy wyrzną ich dla rozgrzewki, zanim zacznie się główny punkt programu – walki między nimi samymi. Na przystawkę. Każdemu z trzydziestu tysięcy widzów, którzy zapłacili za bilety po niemal pięćset liruanów, należała się solidna porcja emocji.

Zagrały trąby, niby-Cezar przemówił po łacinie do przyklejonego do policzka mikrofonu, jego słowa uderzyły w uszy ludzi, odbiły się od kamiennych siedzisk, wzmocniły w głośnikach.

Gladiatorzy odpowiedzieli:

– *Ave Caesar, morituri te salutant!*

Tłum znów zawył, a wielu widzów odniosło wrażenie, że uczestniczy w pradawnym misterium, ponadczasowym i wiecznym, choć użycie tych słów zarejestrował jedynie Swetoniusz i nikt więcej z rzymskich pisarzy.

Gladiatorzy ruszyli, wrzeszcząc, tocząc ślinę, a pot i oliwa błyszcząły na ich rozgrzanych mięśniach.

Statyści bezskutecznie próbowali uciekać, walczyć lub prosić łaski.

Vittorio zobaczył, jak Dimachaerus zwany Okiem wbił sztylet w gardło młodej dziewczyny, a chwilę później rozplątał brzuch próbującemu stawiać opór staremu więźniowi, chudemu jak ogryziona kość. Głośnymi rozkazami odpędził swych towarzyszy od piszczącej i błagającej o litość Irene, a potem złamał jej kark jednym szarpnięciem mocnych dłoni.

Wreszcie Dimachaerus dostrzegł Vittoria i uśmiechnął się.

Czarna opaska zasłaniała niemal połowę twarzy gladiatora. Krew na skórze odbijała barwę zachodzącego słońca. Sztylety w dłoniach znieruchomiały niczym żądła.

Telewizyjny dron opadł niżej, by dobrze sfilmować tę scenę.



Dimachaerus skoczył.

Vittorio tylko mocniej przytulił dygoczącą Pię i zasłonił dłonią oczy dziewczynki. Nie chciał, by musiała na to patrzeć.

Nad Weroną zapadał zmierzch.

## OSTATNI DZIEŃ SŁUŻBY

### Krzysztof Abramowski



Rozgrzane do czerwoności szyny uginały się pod ciężarem ich wózka, gdy pędzili podziemną kolejką raz w dół, raz w górę, zmierzając ku powierzchni.

Szeregowy Tymoszewski musiał uważać na głowę. Wystające ze skalnych nawisów stalaktyty już nie raz poszarpały mu mundur, piekielne draństwa potrafiły zedrzyć nawet epolety, jeśli się nie uważało. A kapitan Kozłowski nie znosił, gdy żołnierz stawiał się na akcję w niechlujnym rynsztunku.

– Co tym razem? – krzyknął Tymoszewski do sierżanta Szymona, który prowadził pojazd. Huk mknącego przez podziemia wózka zagłuszał chyba każde słowo.

– Coś się dzieje na Sądowej!

– Na Sądowej? Przecież tam jest siedziba...

– No właśnie! Jakieś podpalenie czy coś w tym rodzaju. Szef na miejscu. Podobno się wściekł.

– Cholera.

Wszyscy wiedzieli, co oznacza wściekły Kozłowski. Oby zdążyli dotrzeć na miejsce, zanim sprawa wymknie się spod kontroli i ktoś padnie trupem. Albo otworzą się cholerne bramy piekielne, a Kozłowski postanowi wyprowadzić orszak biesów na ulice.

– Składamy mu życzenia? Dajemy prezent? – odezwał się nagle Szymon.

– Nic nie przyniosłem!

– No to może inaczej. Po wszystkim wypijemy wódkę. Spoko?

– Taak. Jeśli pan kapitan zechce się z nami napić.

Jak Tymoszewski mógł zapomnieć o podarunku dla pana kapitana? To ostatni dzień służby Kozłowskiego! Później szef przechodzi na emeryturę... Nie wyobrażał go sobie w kapciach i z kubkiem gorącej herbaty, rozpartego przed telewizorem, raczej młóćącego swoich przeciwników naznaczoną runami szablą, popijającego wódkę jednym haustem z istic ułańską fantazją. Wzbudzającego trwogę i podziw jednocześnie.

Dziwne to wszystko, pomyślał Tymoszewski, patrząc na przesuwające się w dole skalne formacje. Wcześniej Kozłowski ani myślał odchodzić, ale po kilkuset latach wiernej służby chyba mu się przestawiło w łepetynie. Na koniec będzie chciał odstawić coś niesamowitego, coś, przez co wszyscy będą go pamiętali – jak z tym arachnoidem, który wylazł z próżni w środku miasta i trzeba było po nim sprzątać. Tymoszewski aż się wzdrygnął na myśl o włochatych odnóżach bestii z innego wymiaru. Próżnia, w odróżnieniu od głębin, była siedliskiem chaotycznych dziwactw, w większości niezbadanych i tylko czekających, aż w ludzkim świecie zrobi się choćby mała ryska, szczelinka, którą poszerzą i prześlizgną się przez nią. Głębiny zaś to miejsce upalne i ciasne, dostępne tylko dla biesów. Czasem bardzo urokliwe. A czasem przekłete.

Nasączone siarką powietrze uderzało w ich twarze, gdy wznosili się coraz wyżej i wyżej. Gdy zobaczyli pierwsze przebliski dziennego światła, dokładnie sprawdzili swoje wyposażenie. Blask zielonkawego ognia, bijącego spod kół, oświetlał ich eleganckie mundury, pasy z kaburami modyfikowanych glocków. Łowieckie noże, zatknięte w bezpiecznych miejscach tak, aby można je było wyszarpnąć jednym ruchem, również były w gotowości.

Wózek zwalniał.

– Oho... – mruknął Szymon. – Rzucajmy uroki. Zaraz wychodzimy.  
– Tak jest.

Nałożyli na siebie najprostsze zakłęcia ochronne. Tak, żeby cywile nie mogli zobaczyć wzbudzających podejrzenia mundurów. Według przepisu na czar zamiast wojskowego uniformu śmiertelnicy widzieli zwykle koszule w kratę, dżinsowe spodnie i okulary przeciwsłoneczne. Ot, turyści na wczasach przechadzają się po Lublinie.

Ciemności podziemi nagle rozmyły się i wózek stanął. Dotarli na miejsce.

U góry mieli właz kanalizacyjny, z którego sączyło się dziwnie złowrogie dzienne światło.

– Idziemy – zdecydował Szymon, wdrapując się po drabince na powierzchnię.

Tymoszewski wziął głęboki oddech i ruszył za nim.

• • •

Wkrótce otoczył ich warkot silników – trafili na godziny szczytu. Ludzie tłoczyli się na wąskich chodnikach, próbując przejść na drugą stronę Lipowej albo skręcić w Krakowskie Przedmieście, osobówki trąbiły, poganiając się wzajemnie na światłach, hałas gorszy niż w piekle, szczególnie że na Sądowej faktycznie coś się działo. Policyjne furgonetki zablokowały przejście, zewsząd zjeżdżały się wozy strażackie.

Sierzant i szeregowy zerknęli na siebie z niepokojem.

Siedziba lubelskiego piekła płonęła: gęsty czarny dym spowił ulicę, postpeerelowski czteropiętrowiec jęczał, gdy odpadały z niego kolejne fragmenty płonącego dachu, sypały się płyty tynku, płomienie lizały okna i trawiły drewniane elementy. Mimo że strażacy wciąż wysypywali się z wozów, błyskawicznie dopadli hydrantów, podłączyli węże i właśnie oblewali budynek wartkim

strumieniem, trudno im było ogarnąć rozprzestrzeniający się pożar, gdyż od Alei Raclawickich wiał mocny wiatr. Dwóch mężczyzn podeszło spokojnie do policyjnych barier, ale nie zobaczywszy nigdzie Kozłowskiego, domyślili się, że czeka na nich gdzieś z drugiej strony. Nie mylili się.

Kapitan stał z założonymi rękami przy kontenerach na śmieci. Wyprostował się, widząc swoich żołnierzy. Jego mundur prezentował się nieskazitelnie. Czarne oficerki błyszcząły, odbijając blask migoczącego ognia. Przystrzyżone ciemne włosy, wydatna szczęka, spojrzenie smagające niewidzialnym biczem. Regulaminowo zasalutowali starszemu stopniem.

– Spocznij – mruknął Kozłowski i przywitał się z żołnierzami po cywilnemu, uściskiem dłoni. – Tragedia. Koszmar!

– Co tu się stało, panie kapitanie?

– To ja się pytam! – syknął Kozłowski, aż obaj, Tymoszewski i Szymon, napięli się jak struna. – Nie ma mnie chwilę w mieście i co widzę? Funkcjonariusze, którzy mieli pilnować posterunku, szlajają się po otchłani! Mogliście wystawić jakiegoś ogara na zwiad. Mało macie demonów chętnych do pomocy? Nie przestrzegacie przepisów, nie wykonaliście rozkazu, psiakrew! Zostawiliście placówkę pustą!

– Za przeproszeniem, panie kapitanie... – wtrącił nieśmiało Szymon. – Przecież mieliśmy na straży szeregowych Adamczyka, Rutkowskiego i Franka. Powinni sobie dać radę z jakimś tam podpaleniem. Gdzie oni są?

– Zaraz wam pokażę, gdzie oni są. Powinienem was pod sąd oddać, tfu!

Kozłowski wkroczył do płonącego budynku. Tej części służby nie zdążyły zabezpieczyć. Klatka schodowa jeszcze jako tako się trzymała, lecz kiedy weszli na pierwsze piętro, buchnęło czarnym dymem, który śmiertelnikowi natychmiast zatkałby płuca. Jeszcze

kilka minut i wszystko się rozleci. Kapitan minął główny korytarz, buciorem odsunął fragment drewnianej szafy tarasującej przejście i stanowczym gestem zaprosił swoich podwładnych do mniejszego pomieszczenia. Niedyś było tu biuro.

Bies minął stojący przy osmolonym oknie fotel. Na podłodze, prócz tłącej się tkaniny, znajdował się szarawy pył rozmazany jakby celowo po wykładzinie.

– Tyle zostało z Adamczyka.

– Kurwa mać – skomentował Tymoszewski.

Następnie Kozłowski kazał im zobaczyć, co znajduje się w rogu. Resztki Rutkowskiego ktoś roztarł na całej szerokości północnej ściany. Podobnie sytuacja przedstawiała się z Frankiem, tym biednym Frankiem, którego pył zauważyli rozsiany na sąsiednim stoliku, na donicy oraz stanowisku komputerowym. Przyglądając się temu dłużej, można było uznać, że w pomieszczeniu miała miejsce poważna awantura.

– Wróć za kilka tygodni – mruknął Kozłowski, wskazując kupkę demonicznego prochu. – Ale na ten moment jesteście pozbawieni wojskowych. I siedziby, cholera jasna.

– Znamy sprawcę?

– Po to was wezwałem, panowie, żeby się zorientować. Rozpoczynamy śledztwo, a wy mi w nim pomożecie.

– Zajebię skur... – zdenerwował się Szymon, przypadając do resztek po Franku. Wziął proch w dłoń i dmuchnął, a tysiące skrawków złowrogiej materii wzbiło się w powietrze. – Tego nie mógł zrobić żaden śmiertelnik, panie kapitanie. Zwykły ogień się nie ima tych ścian. Nałożyliśmy uroki. Prawda, Tymoszewski?

Szeregowy energicznie przytaknął. Wołał się nie wtrącać, kiedy rozmawiają starsi stopniem.

– Wy, sierżancie, zbadacie strażaków i zobaczycie, czy może czegoś nie widzieli – odezwał się Kozłowski.

– Czego szukamy?

– Wszystkiego, cholera jasna! Ruch w oknach, gdy przyjechali na miejsce zdarzenia. Coś w płomieniach. Może ktoś tu był, łąził, dobijając naszych, i się ulotnił, kiedy zobaczył przyjeżdżające służby. Wykonać!

– Tak jest!

– A wy, szeregowy Tymoszewski, będziecie mi asystować. Proszę za mną.

Kozłowski przeszedł do pokoju, gdzie płomienie zdawały się trawić każdy centymetr kwadratowy ścian i podłogi. Poczerniałe meble już się rozpadały, na szczęście żaden ogień nie mógł sparzyć istoty z głębin. Ale straty, okropne straty... Opasłe teczki na dokumenty nadawały się już wyłącznie do użyźniania gleby. A było w nich tyle informacji, myślał kapitan, mając ochotę kogoś rąbnąć z ogarniającej wściekłości. Nazwiska agentów. Spis płac. Lista placówek angelusów, tych przeklętych połyskujących światłem istot, a także ich przydupasów zwanych „krzewicielami”, czyli naznaczonych Bożą Łaską śmiertelników. Wszystko to trafił szlag. Niepotrzebnie spisywali na ludzkim papierze, zamiast schować gdzieś w otchłani, w bezpiecznym sejfie.

– Ostatni dzień służby... – westchnął Kozłowski i przykucnął obok płonącej szafki. – Tymoszewski.

– Tak jest!

– Wyrysujesz ochronny pentagram na podłodze. Tutaj masz kredę, jest obłożona runami, wytrzyma temperaturę. Zaczynaj.

Gdy Tymoszewski wziął się do roboty, Kozłowski zbadał pomieszczenie za pomocą swoich zmysłów. Wyczuwał ślady czyjejś obecności. Energia miała obcą, gryzącą aurę, ale nie potrafił jej odczytać ani otwierającym urokiem, ani szkiełkiem w oku, które służyło mu za radar. Próbując odgadnąć przyczynę zapłonu, dotknął półek, stolika, podłogi, wszystkiego, co wciąż jeszcze się tliło.

Cząsteczki obcej siły w żadnym miejscu nie były mocniejsze lub słabsze, unosiły się w pomieszczeniu raczej regularnie.

– Gotowe, panie kapitanie – zameldował Tymoszewski, stając przed wyrysowanym pentagramem.

Szkic był duży, wystarczy.

– Dobra robota. A teraz proszę zabezpieczyć korytarz, aby nikt mi nie przeszkadzał. Rytuał chwilę potrwa.

Kozłowski wypowiedział słowa uroku i się zaczęło.

Oczy zajaśniały mu jak dwie pochodnie, ręce zdrząły, krąg rozświetlił się purpurą, która w tych płomieniach wyglądała zjawiskowo. W miejscu symbolu otworzyła się mała szczelina, w której natychmiast pojawiła się pomarszczona dłoń. Ostre jak syczoryki paznokcie wczepiły się w podłogę i próbowały podciągnąć. Zaraz pojawiła się cała ręka, ramię, wychynęła brzydka głowa niby-nietoperza. Chowaniec pisnął i zatrzepotał małymi, postrzępionymi skrzydłami.

– Szukaj – rozkazał mu Kozłowski, wskazując płomień.

Stwór z głębin wiedział, co kapitan ma na myśli. Zmarszczył spleśzczone nozdrza, wyszczerzył drobne kły, zrobił jeden niepewny krok, gramoląc się z otwartej szczeliny, potem drugi, w końcu wyszedł cały i rozpoczął poszukiwania. Krążył chwilę po pokoju, popiskując i sycząc, w końcu zatrzymał się. Zrobił to tak nagle, że Kozłowski uniósł brwi.

– Co takiego?

Chowaniec sapnął, pisnął i wyszedł z pokoju na korytarz. Kozłowski za nim. Istota z głębin coś wywęszyła, zatrzepotała skrzydłami w geście triumfu. W tle strzelił ogień z rozpadających się w korytarzu drzwi.

– Co masz?

Kapitan dotknął miejsca, w którym chowaniec zaczepił swoje pazury.



– To jest zimne jak lód – zdziwił się Kozłowski. – Jakiś prąd, lekki powiew idący tędy, przy samej ziemi. Prąd energii... Ki diabeł?

– Ciągnie się w stronę zachodniego skrzydła – zauważył Tymoszewski. – Tam nie było ani straży pożarnej, ani nas.

– Prawda. Dzwon po sierżanta! Sprawdzimy to razem.

Gdy szeregowy wklepywał numer do Szymona, Kozłowski utkwił wzrok w radującym się z czegoś chowańcu. Stworek podskakiwał, trzepotał skrzydełkami i zacierał małe dłonie, jakby właśnie dokopał się do skrzyni ze skarbem. Pewnie bawiło go, że wszystko wokół płonie i umiera, lubił chaos, zniszczenie, a także podniecał się na samą myśl, że wkrótce może dojść do większej awantury.

W istocie Kozłowski miał nadzieję, że dorwą odpowiedzialnego za to wszystko sukinsyna. Wyjął z pochwy szablę.

Zakrzywione ostrze zalsniło obietnicą krwi.

•••

Korytarzem trudno się szło, pożar wciąż nie dogasał, a Kozłowski coraz bardziej dostrzegał w tym zasługę kogoś z góry. Przejście wiodło tylko przez budynek – nie mogli wybrać drogi ulicą, bo wszystko zostało zablokowane przez służby. Za oknem strażacy nawoływali się wzajemnie, wzywali posiłki, próbując zapanować nad płomieniami przenoszącymi się na sąsiednie budynki, nie dało się w takich warunkach pracować. A biesy lubiły załatwiać interesy po cichu.

Sierżant Szymon dogonił ich, gdy byli w połowie drogi do zachodniego skrzydła.

– Panie kapitanie – wydyszał, kiedy już zrównał się z szybko maszerującym dowódcą – dowiedziałem się czegoś ciekawego.

– Meldujcie.

– Jeden ze strażaków po przyjeździe na miejsce widział ruch na drugim piętrze, w oknie po zachodniej stronie. Wszedłem w jego

pamięć i dokładnie sprawdziłem. Cień, taki obły kształt, mignęło tylko za szybą i zaraz znikło. Człowiek się przestraszył, uznając, że to zwidy lub coś w tym rodzaju. Ale ja cofnąłem obraz kilkukrotnie. To nie były żadne majaki, tylko ktoś tam po prostu siedział, gdy już się paliło.

– A więc żaden śmiertelnik – skomentował Kozłowski.

– Przy jednej furgonetce natknąłem się na coś jeszcze – dodał sierżant.

– Słucham.

– Na chodniku po przeciwnej stronie ulicy, tam, gdzie zbierali się gapie, stał dziwaczny człowiek. Różnił się od wszystkich tym, że nie wykazywał ani grama emocji. Jakby zupełnie po nim spływało, że właśnie płonie fragment centrum!

Kozłowski zwolnił kroku, podążający za nim chowaniec wpadł na jego oficerski but.

– I co z tego? – zapytał, ale bez przekonania.

– Postanowiłem zareagować i przeskanowałem dokładnie delikwenta. Wie pan kapitan, wślizgnąłem się do jego duszy jak sam szatan między nogi anielicy...

– Do rzeczy! I co tam zobaczyłeś?

– No właśnie, panie kapitanie... nic. Tabula rasa, bym powiedział. – Szymon rozłożył ręce. – Ani jednego zapisu, żadnych wspomnień, mózg wyprany i otępiały. Co on tam robił, wśród cywilów, obok miejsca zdarzenia? A twarz jakby znajoma... tylko nie mogłem rozpoznać.

– O szlag... – zdziwił się Kozłowski. – Ale chyba nie puściłeś go wolno?

– A co miałem zrobić? Spieszyłem się, żeby złożyć kapitanowi meldunek.

Kozłowski jęknął.

Na szczęście zbliżali się do zachodniego skrzydła, więc sierżant

uniknął reprimendy. Kozłowski gestem rozkazał Tymoszewskiemu i Szymonowi się przygotować. Odbezpieczyli broń, podeszli bliżej ściany, aby stworzyć sobie minimalną osłonę w razie czego. Kozłowski chwycił mocniej szablę, po cichu nakładając na nią kolejne runy. Przekroczyli szeroki portal z secesyjnymi ozdobami, pozostałość po poprzednim właścicielu, księciu Czartoryskim. Dowódca znał rozkład budynku na pamięć: po lewej były łazienki, po prawej rozległa jadalnia wraz z kuchnią, teraz wszystko zmasakrowane, zwęglone i śmierdzące wszechobecnym dymem.

Kozłowski miał nadzieję, że złapią winnego. I się nie mylił.

Przy stole jadalnym gościła się niezwykła postać. Zajadająca coś ze spalonej misy, humanoidalna, ubrana w ludzkie ciuchy, w przetartych spodniach i czarnym kapturze zarzuconym na głowę. Na nadgarstku miała bransoletę z błyszczących w ogniu paciorków, na szyi szkarłatny krzyż. Postać podniosła się, widząc przybyłych, wyraźnie się zawahała, chyba oczekując tylko jednego biesa zamiast aż trzech, ugięła kolana jakby do skoku.

Kozłowski nie zadawał pytań. Nie wiedział, z czym ma do czynienia, ale jeśli to coś ma duszę, przesłuchają wariata, gdy będzie po wszystkim. Wydał komendę głośnym warknięciem:

– Bij zabij!

Ogień ogarniający meble, podłogę i ściany nagle zgasł jak płomyk na knocie świeczki. Siła uderzenia zachwiała samym Kozłowskim, ale utrzymał się na nogach – nie było to trudniejsze niż jazda na rozpędzonym wierzchowcu. W odpowiedzi machnął dłonią na odlew, posyłając w stronę przeciwnika wiązkę kinetycznej energii jak smagnięcie biczem, trzasnęło zupełnie podobnie. Szeregowy i sierżant zaczęli strzelać, kule wbiły się w ścianę tuż za czarnym przybyszem znikąd.

Szeregowy padł na ziemię. Unieruchomiony, nie mógł nawet sięgnąć po wysłużonego glocka, zawył, schwycony niewidzialną siłą,

niby szczypcami o potężnym ścisku. Runiczne pociski też trafił szlag. Kozłowski osłonił się ramieniem, chciał uskoczyć, ale następny cios wyprowadzony przez czarnego dziwołaga był zbyt szybki. Szlag, co to ma być? Chowaniec pisnął, odepchnięty i rzucony na ścianę, aż plasnęło. Tylko sierżant zdołał dosięgnąć napastnika, najpierw robiąc unik, a później doskakując do zakapturzonego i wsadzając mu ostrze prosto w gardło. Ten się zachwiał, ale wcale nie stracił impetu. Ta bestia – bo nie człowiek – Boża bestia zakwicziała jak ranione zwierzę, uderzyła Szymona, aż odleciał na drugi koniec sali, eksplodowała wiązka złocistego światła, które parzyło i zdierało skórę.

Kozłowski schował się za kolumną podtrzymującą strop jadalni. Złapał się za oparzone ramię, ryknął w wybuchu nagłego gniewu i zawezwał wszystkie swe siły otchłani, aż ziemia zadygotała, po czym doskoczył do czarnej postaci, która wydawała się zaskoczona. Przygwoździł kapturnika do ściany, a światło przygasło, marne jak płomień bez dostępu tlenu, przeciwnik zacharczał zdumiony, dramatycznie próbując wydostać się z uchwytu. Ale Kozłowski nie miał zamiaru mu darować. Nie Adamczyka, Rutkowskiego i Franka... Przydusił gnidę, sięgnął po szablę, błysnęło, wyprowadził wściekle cięcie, czując, jak tkanka ciała ustępuje, z czymkolwiek miał do czynienia. Zrobiło się całkiem ciemno i jakby zimno, gdy odciął stworowi głowę, a tułów opadł bezwładnie na przypaloną kafelkową podłogę.

Żołnierze zbierali się powoli. Jeden obolały, drugi szukający po ciemku swojego zagubionego glocka. Kozłowski schował szablę do pochwy i szarpnął dłonią, a pomieszczenie pojaśniało szkarłatnym blaskiem.

– Krzewiciel – zawyrokował Kozłowski, obserwując, jak szeregowy i sierżant dochodzą do siebie.

– Wysłannik nieba?

– Gorzej. Nasz, który przeszedł na stronę skrzydlatych, posiadał ich moce i teraz chce nas wszystkich wyciąć. Widocznie dostał na nas zlecenie.

Kozłowski podszedł do okna, uspokoił dygotanie rąk, przeklinając, że to wszystko musi na niego spadać ostatniego dnia...

A potem spojrział na dół, na wciąż stojący na chodniku tłum gapiów.

– Ten gość z wypranym mózgiem – powiedział nagle. – Sierzancie, który to? Możecie wskazać?

Szymon wyjrzał za Kozłowskim na drugą stronę Sądowej. Patrzył przez chwilę, marszcząc brwi, obracając głowę w lewo i w prawo, ale w końcu mruknął:

– Chyba już sobie poszedł, bo nie widzę.

Dowódca wzdrygnął się jak rażony prądem.

– Wychodzimy. Gonimy sukinsyna.

– Co? Kogo? Tego niedojeba?

– Tabula rasa – szepnął Kozłowski. – On żyje! – Dopadł do trupa, wskazał głowę bez złotego krzyża i kaptura, dziwnie nijaką, jak u manekina. – Rozumiesz?! To była jego droga ucieczki! Wślizgnął się w tamto ciało i właśnie nam zwiewa!

• • •

Wypadli z budynku. Rozejrzeli się, szukając jakiegoś tropu, jednak wśród tłumu nie było bezimiennego. Ludzie natychmiast zaczęli krzyczeć. Po ulicy przetoczyła się fala zdumienia. Wskazywali ich palcami – patrzcie, ktoś przeżył! Ktoś wyszedł z tego cało! Zaraz zwrócili na siebie uwagę policji i straży pożarnej, już podchodzili do nich mundurowi, już zadawali pytania, chcieli podawać koce, karetka włączyła sygnał, próbując podjechać do cudem ocalałych, psiamać! Nie mieli czasu na bawienie się ze śmiertelnikami. Popęlnili błąd, tak wybiegając głównym wejściem, prosto z

plamieni, jakby ogień ich nie parzył, ale Kozłowski zaraz to naprawił – jeden urok wystarczył, aby gapie o wszystkim zapomnieli. Mieszkańcy znów wpatrywali się w dogasające płomienie budynku, strażacy polewali ściany wodą, ktoś próbował wejść do środka, policja spisywała świadków, a ekipę Kozłowskiego mijano bez słowa, jakby stanowili niewidzialną podporę dla sufitu na tanecznej imprezie.

– Było blisko – odetchnął sierżant Szymon. – Szefie, co robimy?

– Tutaj go nie ma. Szybki jest, ale my musimy być szybsi. Dajcie mi chwilę.

Kozłowski przymknął oczy, spróbował przeszukać większy teren, tak w promieniu pięciu kilometrów. Szukał śladów obecności bezimiennego, szukał pustki, chcąc schwycić ją po omacku swoimi myślami, ale poszukiwania spelzły na niczym. Trudno było przebić się przez gorączkowe emocje strażaków jeszcze przed chwilą walczących z ogniem, trąbiących w korkach kierowców, wściekłych spóźnionych pieszych, którzy nie mogli precyzyjnie się przez Sądową. Otworzył oczy, jeszcze bardziej zły niż przed chwilą. Udzielała mu się aura tego miejsca.

– Szukaj! – syknął do chowańca, który nastroszył piekielne uszy i zatrzepotał skrzydłami. – Możesz mi go lepiej opisać? – Kozłowski zwrócił się do sierżanta. – Tego „tabula rasa”?

Szymon chwilę się zastanowił.

– No... Na oko metr osiemdziesiąt, miał długie ręce. Ciemne krótkie włosy. Koszula w kratę, raczej z wyglądu niczym się nie wyróżniał. Może poza prawym uchem.

– Co niby miał w prawym uchu?

– Kolczyk. Pokażę panu kapitanowi.

Umysł Kozłowskiego wypełniły cudze wspomnienia. Widział nieznanego oczami sierżanta – mężczyzna był dokładnie taki, jak opisał go Szymon, kolczyk zaś okazał się wielkości paznokcia u

małego palca. Z czarnego, połyskującego metalu, trzeba się było przyjrzeć, aby dostrzec konkretny symbol. Dopiero po chwili Kozłowski zrozumiał, że to krzyżyk, maleńki i zniekształcony.

– Mam cię – szepnęła. – Szeregowy Tymoszewski, rozkazy.

– Tak jest. – Żołnierz wyprężył się.

– Sprawdzicie Ordo Fratrum Praedicatorum na Złotej dziewięć. Obok jest kościół. Zobaczycie, czy przypadkiem nie schował się tam podpalacz. Macie przetrząsnąć każdą nawę, jeśli będzie trzeba! Podobne krzyże widziałem na szyjach ojców zakonnych, więc może nasz krzewiciel jest dominikaninem na sterydach.

– Sprawdzę to – przytaknął Tymoszewski.

– Sierzancie, wam zlecam opiekę nad chowańcem. Jeśli tylko złapie jakiś ślad, a wierzę, że tak będzie, natychmiast mnie powiadomcie.

– Tak jest.

Kozłowski zapalił papierosa. Tytoniowy dym uniósł się w powietrze.

– Za ten wybryk będę ścigał sukinsyna do samej próżni – powiedział twardo. – Krzewiciele są bardzo mocni, więc miejcie się na baczności. W każdej chwili może wezwać chór cherubinów lub serafinów, chyba że mu odpowiednio szybko przeszkadzimy. Najlepiej będzie, gdy założycie mu znak unieruchomienia i poczekacie na posiłki. Jeśli zajdzie taka konieczność, wezwę z głębin porucznika Majewskiego i jego oddział, ale mam nadzieję, że zamkniemy sprawę we trójkę. Tymczasem życzę powodzenia. Odmaszerować.

Odmeldowali się i ruszyli do wykonania zadań.

Kapitan miał zgoła inny plan. Skoro nie można było schwytać krzewiciela tradycyjnymi metodami – był zbyt silny i jego aura zniekształcała wyniki skanowania Kozłowskiego – pragnął zasięgnąć opinii na temat samego kolczyka. Bardzo możliwe, że jeśli się dowie, dla kogo został wyprodukowany, to dojdzie po nitce do

kłębka... A że błyskotka została stworzona na specjalne potrzeby, Kozłowski miał podejrzenie graniczące z pewnością.

Pamiętał Alchemika, który niegdyś wytwarzał równie piękną biżuterię. Ależ to były arcydzieła! Rzemieślnik potrafił nałożyć piekielne znaki na drobny jak ziarnko piasku klejnot, z czarować najwykleszy metal. Zamykał zaklęcia w szkłe z łatwością, z jaką zatapiałby owada żywicą. Kozłowski sam kiedyś zgłosił się do niego po usługę. Pierścienie, które miał na palcach, najpierw obracał w dłoniach właśnie Alchemik. A zaklęcia, jakie na nie nałożył... Powiedzmy, że mocno się wymykały obostrzeniom piekła. Nic dziwnego, że na swoich usługach Alchemik zarabiał fortunę.

Tylko był pewien problem. Mężczyzna nie żył od ponad trzystu lat. Na szczęście Kozłowski znał pewne sposoby komunikacji ze śpiącymi duszami.

Godzinę później stanął na starym cmentarzu żydowskim. Grodzisko znajdowało się na wzgórzu, a groby, w większości pokryte mchem i chaszczami, należały głównie do siedemnastowiecznych mieszkańców miasta. Gdzieś wśród nich leżał Alchemik, spokojny, nadgryziony przez robale, ale na pewno skory do pomocy.

Kozłowski przechadzał się między macewami w poszukiwaniu właściwej tablicy. Czytał nazwiska nieboszczyków zapisane w jidysz, przed oczami migotały mu historie leżących tutaj Żydów – od pierwszej sekundy narodzin aż po ostatni oddech. Sprawdził pod jednym drzewem, później pod drugim, w końcu odszukał właściwą mogiłę. Alchemik nazywał się Nachman Efraim. Urodzony 2 lipca 1731, zmarł 15 listopada 1807. Kozłowski niewiele się pomylił w stuleciach. Jak na kogoś, kto miał stały kontakt ze wszelkim plugastwem tego świata, a także z aniołami nachodzącymi Alchemika regularnie po usługę wykonania złotej obręczy na nadgarstek... Śmiertelnik mógł od nich zyskać coś więcej niż



pieniądze.

– Szalom alejchem – mruknął Kozłowski.

Wbił wzrok w tablicę, ale początkowo odpowiedziała mu cisza. Położył więc dłoń na płycie, szepnął urok i na wszelki wypadek się odsunął. Nie było jednak żadnych rąk przebijających się przez ziemię, piorunów rozświetlających niebo ani kruków lądujących na drzewach. Usłyszał za to dojmujący szum. Dźwięk szurających zwłok, poruszającego się ciała metr pod ziemią. I stłumiony głos, który zacharczał z grobu:

– Alejchem szalom, Kozłowski.

– Szukam właściciela tego kolczyka. Może rozpoznajecie?

Przywołał obraz, który zesłał mu sierżant. Na jego podstawie stworzył replikę: mały, pozginany krzyżyk z ozdobnikami. Czarny jak śmierć. Położył go na płycie.

– Nie wiem... trudno powiedzieć... – zastanowił się Alchemik.

– Dobrze pomyślcie.

– Hmm... tak... może... – dukał nieboszczyk. Głos dobywający się spod ziemi nagle zadudnił. – Chyba pamiętam! Macie oryginał?

– Niestety.

– Gdybyście mieli, z pewnością byście poczuli. To jeden z dwóch kolczyków wykonanych na zamówienie hrabiego Moniuszki w tysiąc osiemset drugim roku. Miał być to prezent dla opata klasztoru ojców dominikanów. Stara rzecz... Zrobił je mój brat, Jeremiasz, gołym okiem widać to parszywe spawanie. Zawieszka również zrobiona dziwacznie...

– Prezent dla opata? – podchwycił Kozłowski. – Możecie coś więcej powiedzieć?

– To miała być potężna rzecz. – Rozległ się odgłos, jakby ktoś coś przesuwiał. – Jak tylko dostałem zlecenie od Moniuszki, nocą przyszedł do mnie anioł. Nie pamiętam, jak miał na imię, ale należał do chóru serafinów. Istota ze światła i złota, straszna i piękna

zarazem... Chciała, byśmy w kolczykach zamknęli Bożą Iskrę. Żeby opat dominikański nosił samo Słowo Boże! Odparłem, powołując się na Jahwe, że to niemożliwe... Ale on się upierał. Zleciłem więc zadanie bratu, prosząc, by zrobił, co w jego mocy... Serafin się wściekł, cisnął nasze arcydzieło w kąt, a trzeba powiedzieć, że byliśmy z niego bardzo dumni... W końcu jakoś się stało, że hrabia Moniuszko kolczyków nie dostał.

– Czyli opat też nie otrzymał prezentu! – zdenerwował się Kozłowski. – W takim razie gdzie wylądowały kolczyki?

– To było tak dawno... litości, panie Kozłowski... kolczyki gdzieś zaginęły. Mówiono, że sam serafin zabrał je, by obdarować nie duchownego, lecz zwykłego śmiertelnika, aby nie obrażać Bożego majestatu.

Kapitan wziął głęboki oddech. Powoli coś mu się przypominało.

– Co jeszcze mówiono? Kim był śmiertelnik?

– To plotki, panie, czemuście tacy uparci...?

– Mówcie, bo waszą duszę umieszczę tutaj, na ziemi, i nie będzie wam wesoło!

– Uhh... Podobno miał to być jakiś złotnik z Lublina. Czemu serafin upodobał sobie akurat jego, pojęcia nie mam, panie, ale powtarzam, to tylko plotki...

Kozłowski przelknął ślinę.

– Dziękuję, Nachmanie Efraim, odpoczywajcie w pokoju.

Szum natychmiast ustał i zamiast niego na cmentarzu powiał lekki wiatr wzbijający liście w górę. Wszystko by pasowało. Złotnik. Anioł. Krzewiciel – przekupiony wysłannik głębin, teraz pracujący dla niebios. Serafin dał mu jeden z kolczyków, obdarzając go nowymi siłami, i tak zdrajca wstąpił w szeregi skrzydlatych... Musiał pewnie dowieść swej wierności, a podpalenie i roztarcie w pył aż trzech biesów okazało się świetnym aktem oddania wobec nowego władcy. Kozłowski zacisnął pięści. Tego robaka trzeba rozgnieść! Znał

niegdyś złotnika, którego zwerbował dawno temu, w 1500 roku, na obrzeżach Lublina. Do tej pory wykazywał się krystalicznie czystym oddaniem Kozłowskiemu, jak i starszym stopniem biesom. Czy to możliwe, żeby...? Wreszcie kapitan sobie przypomniał. Ten złotnik nosił dokładnie taki sam kolczyk! To dlatego sierżantowi wydawało się, że jego twarz wygląda znajomo!

Upadły bies-złotnik nazywał się Igor Krajewski.

I w głębinach dumnie nosił stopień podporucznika.

•••

Nie musieli się spieszyć, bo Krajewski od ponad czterdziestu lat mieszkał w tym samym miejscu – na pograniczu Starego Gaju, w sporej chatce, robiąc za leśniczego tej części lasu. A że o tej porze autobusy jeździły, jak chciały, postanowili przejść się jak zwykli śmiertelnicy, oszczędzając tym samym energię na teleporty. Mogła się jeszcze przydać.

– Aż trudno uwierzyć, że to Igor – jęknął sierżant Szymon, gdy tylko się dowiedział, co odkrył Kozłowski. – Panie kapitanie, jest pan pewien?

– Przyjrzałem się karierze podporucznika i w ostatnich trzech miesiącach, od lipca do września, nie wykazywał żadnej aktywności – odparł twardo Kozłowski. – Przestał przyjmować rozkazy, składać meldunki i opuścił swój posterunek. Widocznie przyjął inną postać, ale zostawił kolczyk, dlatego na początku go nie rozpoznaliśmy. To wszystko składa się w logiczną całość. Dziwne, że nam umknęło... Przekażcie, komu trzeba – zrobił nieokreślony gest – mojemu następcy... żeby lepiej pilnował meldunków ode mnie.

Sierżant kiwnął głową, chociaż nie podobała mu się perspektywa, że dostanie nowego dowódcę.

– Służba z panem kapitanem to jak diament... – mruknął tylko.

– Proszę mi tu bez sentymentów – uciał Kozłowski. – I bez łaszenia

się do mnie, awansu i tak wam nie podpiszę.

– Ja nie dla awansu... Tak jest! – dodał Szymon, gdy napotkał ostre spojrzenie kapitana.

– Pan podporucznik Krajewski – podjął temat szeregowy Tymoszewski. – To nie ten sam, który uczestniczył z panem kapitanem w akcji „Wicher” w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym?

– Dobrze pamiętacie. Szybko awansował, tak jak i ja, w swoim czasie rozważałem go nawet jako porucznika. Chciałem donieść generałowi Uzniewcowowi z prośbą o awans, ale sprawa jakoś ucichła. I dobrze się stało, bo popełnilibyśmy katastrofalny błąd.

Maszerowali równym tempem. Wychodzili już na Czuby Południowe: wystarczyło zejść z głównych ulic i znaleźć się na osiedlu Widok, gdzie las podchodził niebezpiecznie pod bloki mieszkalne. Chata podporucznika Krajewskiego znajdowała się jakieś trzysta, czterysta metrów w głąb i nie było jej widać z przystanku autobusowego na pętli.

– Jak to jest, że ktoś taki jak pan podporucznik jest w stanie zdradzić swój kochany oddział? – westchnął sierżant, przerywając napiętą ciszę. – Panie kapitanie, jak?

Kozłowski zapaliłby papierosa, ale niedawno zużył ostatniego.

– Nie wiem – powiedział szczerze. – Domyślam się, że chodziło o pieniądze.

– Co mógł dostać od skrzydlatych, czego nie mógł dostać od nas?

– On zawsze był materialistą. W tym aspekcie najbardziej przypomina śmiertelników.

Wreszcie dotarli na miejsce. Drzewa Starego Gaju przyjemnie szumiały. Pojedynczy ludzie czekali nieopodal na autobus, ale dalej, gdzie ciągnął się już wąwóz i puszcza, nie było nikogo. Trzeba przyznać, że dotarcie tutaj zajęło im dużo czasu. Już zaczynało się ściemniać.

– Poświęć – polecił Kozłowski sierżantowi.

Weszli między drzewa, rozświetlając mrok kulami światła.

Chata Krajewskiego była duża, bydlak dorobił się na służbie. Z wystającym kominem, skąd dobywał się czarny obłoczek, z dwoma szerokimi oknami po frontowej stronie, brakowało jeszcze psa na uwięzi, chociaż Kozłowski miał wrażenie, że jakiś by się znalazł. Kapitan załomotał do drzwi. Pachniało wieczorną kawą i pieczoną dziczyzną.

– Krzyż... nad wejściem.

To nie wróżyło niczego dobrego.

Drzwi otworzyła ładna kobieta koło trzydziestki. Blond włosy do ramion, łabędzia szyja i para niebieskich oczu, sukienka w kwiaty. Kobieta?! Kozłowski nie krył równie wielkiego zdziwienia, co gospodyni, bo nie wyglądała na przypadkową dziewczynę, co to zgubiła się w łóżku podporucznika. To by jeszcze wybaczył, ale na jej palcu zauważył złotą obrączkę.

– Dobry wieczór, panowie. Jak mogę pomóc?

Kozłowski postanowił nie tłumaczyć się gospodyni, tylko wtargnął brutalnie do środka, odpychając ją i rozglądając się po pokoju.

– Ależ... jak pan może! Proszę natychmiast wyjść!

– Panienska lepiej siedzi cicho... nie panienska sprawa. – Tymoszewski popchnął kobietę na kanapę, a w jego oczach zapaliły się ogniki.

Na łóżku przy ścianie leżał nie kto inny jak podporucznik Igor Krajewski. Zniekształcony, przechodził właśnie transformację do pierwotnego stanu. Symbol anielski wytatuowany miał na gołym ramieniu, znak był zaczerwieniony, musiał pojawić się na skórze niedawno. Mężczyzna dyszał ciężko, był blady. Wcisnął się w kąt, widząc wściekłego kapitana Kozłowskiego i jego świtę. Na każdej ze ścian wisiał drewniany krzyż – tutaj biesy były słabsze niż na zewnątrz, ale nadal mogły rozerwać osłabionego transformacją

zdrajcę na strzępy.

– Krajewski... Co tu się dzieje?! – huknął kapitan.

Zanim podporucznik cokolwiek powiedział, z sąsiedniego pokoju dobiegł dźwięk, który całkowicie wytrącił Kozłowskiego z równowagi. Wszedł do pomieszczenia i zobaczył dziecięce łóżeczko, maskotki, misie, żyrafy i pozytywki. Małe różowe coś ssało smoczek, spojrzało i rozplakało się na widok kapitana.

Kozłowski wrócił do głównego pomieszczenia, wyjął pistolet, przystawił Krajewskiemu lufę do głowy.

– Panie kapitanie, ja wyrzucę ją z domu! – załkał krzewiciel, wskazując oszołomioną gospodynię. – Tylko nie strzelajcie!

Kobieta się rozplakała.

– Ja... pozbędę się tego dziecka – mówił dalej. – To nieporozumienie. Zawiodłem, wiem, opuściłem posterunek, ale nie róbcie, proszę...

Kozłowski bez wahania wystrzelił, a głowa Krajewskiego eksplodowała na drewnianą ścianę. Sierżant wraz z szeregowym najpierw wytarli krew, następnie ułożyli ciało biesa na łóżku, skonfiskowali odznaczenia, które miał w szufladzie, zabrali też służbowego glocka i runy ochronne. Kobieta wyła, krzyczała, prosiła o litość. Kapitan, owszem – usłuchał.

– Idziemy – powiedział szorstko, chowając pistolet do kabury.

Gdy szli z powrotem leśną ścieżką, jeszcze długo słyszeli kobiecy lament. Nikt się nie odzywał. Nikt nie komentował.

• • •

Generał Uznieców przybył z najczarniejszych głębin, aby mu pogratulować.

– Panie kapitanie, pan już dwieście lat temu powinien otrzymać awans generalski – mruknął rosty bies o potężnych ramionach i w pięknym mundurze z odznaczeniami. – Jak pan rozwalił w

pojedynkę cherubina. A tutaj? Tak spektakularna końcówka służby, wyłapanie krzewiciela i natychmiastowa egzekucja... no, no...

– Wie pan generał, że nie lubię papierkowej roboty, a wraz z awansem dochodzą nowe zobowiązania. – Kozłowski kiwnął uprzejmie głową, przyjmując gratulacje i uścisk dłoni wielkiej jak Behemot.

– Nie ma tego tak dużo, jak się wydaje. Może się pan zastanowi? Porozmawiam, z kim trzeba, ponoć sam Azazel usłyszał, co żeście nawyrabiali. On sam nienawidzi krzewicieli, uważając ich za najpodlejsze stworzenia. Skrzydlaci przynajmniej się nie kryją, a ci są jak robaki, które trzeba wytropić i odpowiednio potraktować. Co do awansu, to nie będzie problem, mówię poważnie. Chętnie podpiszę panu odpowiednie oświadczenia.

Kozłowskiego owionął przyjemny zapach siarki.

– Dziękuję, panie generale, ale nie trzeba – wyszczerzył się. – Chociaż... mógłbym mieć małą prośbę.

– Dla pana kapitana wszystko.

– Widzicie, wtargnęliśmy do domu tego krzewiciela, a potem w ferworze walki trochę nas poniosło...

– Nie ma problemu, zataimy w raporcie.

– Ja nie o tym. Chodzi mi o dzieciaka, niemowlę, które zostało w kołysce.

Generał Uzniecowa uniósł brwi.

– Aż się boję pytać, ale po co panu to niemowlę?

Kozłowski pomyślał o nieskazitelnie pięknych, błękitnych jak ocean oczach, delikatnej białej skórze, ufnym spojrzeniu, wyobraził sobie, ile można w tej duszy zapisać, ile idei wtłoczyć do krwi, jakie pragnienia wzbudzić...

– Pomyślałem – mruknął – że jak już odchodzę ze służby, możecie potrzebować kogoś tutaj, na dole.

– Kogóż moglibyśmy potrzebować?

– Diabłów wcielonych – roześmiał się Kozłowski. – A ja ich wszystkich wyszkolę. Tak mi dopomóż Bóg!



# KREW NA ŚNIEGU

## Krzysztof Haladyn



Nuklearnej zimy miało nie być. Na długo przed Ostatnią Wojną naukowcy prowadzili symulacje, pokazywali wykresy i udowadniali, że nawet użycie wielu bomb atomowych nie spowoduje wzniesienia w powietrze tak dużych ilości pyłów, by mogły zakryć Słońce i obniżyć temperaturę na Ziemi na wiele lat. Inni naukowcy z kolei twierdzili, że do Ostatniej Wojny w ogóle nie dojdzie. Ludzie byli cywilizowani, nauczeni wcześniejszymi doświadczeniami i po prostu zbyt mądrzy, aby przy okazji rozwiązywania konfliktów zupełnie zniszczyć własną planetę.

Śnieżny królik nie był mądry. Nie wiedział nic o naukowcach, symulacjach i Ostatniej Wojnie. Nie wiedział pewnie również, że za chwilę zginie. Kicał spokojnie pomiędzy zaspami w parku Południowym, szukając wystających spod śniegu badyli zdrewniałej trawy. Zbyt mała puszcza mózgowa nie pozwalała mu myśleć o niczym innym jak tylko o przetrwaniu. Mój mózg był znacznie większy od króliczego, ale i tak zaprzętały go głównie myśli dotyczące przeżycia...

Królik zniknął na chwilę za zaspą, aby zaraz pojawić się z drugiej strony. Zatrzymał się tyłem do mnie i stanął słupka. Wziąłem głęboki wdech, napinając jednocześnie łuk. Długouchy węszył i kręcił łebkiem na boki, wziąłem niewielką poprawkę na wiatr i

zwołniłem cięciwę. Ciche brzęknięcie i ułamek sekundy później w przesytych ostrym grotem mózgu królika zgasły wszystkie myśli. Podszedłem do zdobyczy i z cichym mlaśnięciem wyciągnąłem strzałę. Krótkim myśliwskim nożem wypatroszyłem futrzaka na miejscu, zostawiając wnętrzności w kałuży krwi na śniegu. Jedną śmierć i choć mały fragment tego pomalowanego martwą bielą krajobrazu zyskał trochę koloru. Mam nadzieję, że przed wieczorem zapach zwabi jakiegoś padlinożercę. Zaczekam tu na niego. Schowałem królika do plecaka i odszedłem, ostrożnie przestawiając rakiety śnieżne.

Zacząłem się kawałek dalej, koło prawie czterometrowego pomnika Chopina. Wyniszczony suchotami kompozytor patrzył na okryty białą szatą park, zupełnie obojętny na moją obecność. Leżąc na śniegu w białym kombinezonie, nie wyróżniałem się na jego tle. Czekałem około dwóch godzin, robiło się coraz ciemniej i zimniej. Stale ruszając palcami w rękawicach, starałem się utrzymać krążenie, żebym mógł szybko napiąć cięciwę. Zaczynałem już tracić nadzieję i myśleć o powrocie do domu, kiedy zobaczyłem skradającego się między drzewami szarego lisa. Ta odmiana pojawiła się krótko po nastaniu tej długiej zimy. Widać kreacjoniści jednak nie mieli racji. Nie ma już Boga, który mógłby tworzyć nowe rasy zwierząt. Bogowie splonęli w atomowym ogniu, złapali jakieś paskudztwo od broni biologicznej lub zwyczajnie zamarli w pierwszych, najtrudniejszych latach mrozów. Przetrwały gatunki, które potrafiły szybko dostosować się do nowych warunków. Roślinożercy, którzy umieli przeżyć, ogryzając pokryte śniegiem, ledwie wegetujące drzewa i zeskrobując nędzne porosty, oraz drapieżniki regularnie trzebiące ich populację. Kiedyś fantazjowałem, że może z północy, przez zamarznięty Bałtyk, przywędrują do nas renifery, ale nigdy żadnego nie spotkałem.

Lis wydawał się wiedzieć o bogach mniej więcej tyle, co królik o

naukowcach. Węsząc, zbliżał się do kupki wnętrzności, uważnie rozglądając się na boki. W szarzącym świetle zapadającego zmierzchu ledwie odcinał się na śniegu, ale śledziłem go uważnie. Czekałem, aż dojdzie do przynęty i zacznie jeść. Będzie wtedy najmniej czujny i nie powinien zauważyć, jak wstaję. Lis dotarł do leżących trzewi, powąchał i zaczął je łapczywie pożerać. Cicho podniosłem się na nogi, napiąłem łuk. Zwierzę stało bokiem do mnie, mierzyłem w okolice przedniej łopatki. Wypuściłem strzałę, ale poszła zbyt nisko, wbijając się w ziemię tuż przy pysku padlinożercy. Przerażony lis uciekł, wlokąc za sobą po śniegu trzymane w paszczy jelita królika. Klnąc pod nosem, podszedłem zabrać strzałę. Koniec polowania na dziś, królik i dwie wiewiórki będą musiały wystarczyć.

Wracałem w stronę domu, skracając drogę przez zamrażający staw. Jako dziecko często zimą przychodziłem tu na łyżwy, dziś przemierzałem taflę w raketach śnieżnych. Mimo trwających od wielu lat mrozów nikt już nie jeździł tu na łyżwach. Wyszedłem z parku Południowego, który dawno temu zacząłem uważać za swój teren łowiecki.

Postanowiłem wrócić okrężną drogą, przez osiedle domków jednorodzinnych. Często włamuję się do mijanych domów i mieszkań w poszukiwaniu wszystkiego, co może się przydać. Większość tych miejsc została już dawno splądrowana, ale niekiedy udaje mi się jeszcze znaleźć coś przydatnego. Ostatnio muszę jednak chodzić coraz dalej, w najbliższym sąsiedztwie już wszystko spenetrowałem.

Mój wybór padł na dużą poniemiecką willę, stojącą pomiędzy dwoma wypalonymi do fundamentów domami. Nie miałem pojęcia, jak w takim sąsiedztwie udało jej się uniknąć pożaru, może stara ceglana konstrukcja była bardziej odporna na ogień. Zachowując ciszę, obszedłem budynek dookoła. Żadnych śladów ludzi ani

niczego innego. Ogród z tyłu domu byłby pewnie zapuszczony, gdyby nie przykrywała go gruba warstwa białego puchu. Zardzewiała huštawka skrzypiała cicho, poruszana zimnym wiatrem. Wróciłem do frontowych drzwi, które okazały się otwarte. Zwykle to zły znak, dom pewnie został już dokładnie wyczyszczony. Powietrze w środku śmierdziało lekko starym kurzem, podłogę na parterze zalegały śmieci. Szczątki ubrań, kawałki porozbijanych mebli, puste opakowania po żywności. Górne piętro wyglądało równie nieciekawie, tam również nie znalazłem nic przydatnego. W kącie sypialni, przy resztkach bardzo starego ogniska leżały dwie skulone, zamrożone postacie, chyba matka z dzieckiem. Obciążone siną skórą czaszki, wyszczerzone zęby, dłonie zaciśnięte w pięści. Normalny widok w dzisiejszych czasach. Zmumifikowane zwłoki zostaną w domach aż do nadejścia wiosny, o ile kiedykolwiek nastąpi.

Postanowiłem przeszukać jeszcze piwnicę. Pod nogami chrupnęła mi warstewka lodu. Zapaliłem latarkę i z lekkim zaskoczeniem zauważyłem w niej wmarznęte owoce. Pewnie zawartość rozbitych słoików z domowymi kompotami, zrozumiałem. Niestety, owoce nie nadawały się już do jedzenia. Omiotłem światłem latarki całe pomieszczenie i podszedłem do przeciwległej ściany. Stała tu szafka, prawdopodobnie na przetwory, którą chciałem połamać i zabrać ze sobą drewno na ognisko. W dolnej części mebla zauważyłem niewielkie drzwiczki z zamkiem. Gdy wyważyłem je łomem, moim oczom ukazał się prawdziwy skarb. Cztery butelki, dwie wypełnione zamrożonym winem, jedna gęstawą whisky i jedna czystą wódką! Szczęśliwy jak prosię w deszcz (choć ani prosiąt, ani deszczu już dawno nie widziałem) spakowałem łupy do plecaka. Połamałem szafkę na kawałki, drewno związałem sznurkiem i zarzuciłem sobie na plecy.

Na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno, ale nie używałem

latarki. W świecie pokrytym śniegiem widoczność nawet w nocy nie jest najgorsza. Temperatura wyraźnie spadła, mój termometr wskazywał minus czternaście. Nocą ochłodzi się bardziej, do minus dwudziestu, ale tu i tak było nieźle w porównaniu z pierwszymi latami po Ostatniej Wojnie, kiedy temperatury dochodziły do minus czterdziestu, a słońca prawie nie było widać. Nawet śnieg padał wtedy czarny...

Zacząłem prosić, więc szybkim krokiem ruszyłem w stronę domu. Miałem do przejścia jeszcze około pięciuset metrów. Mieszkam w okolicy skrzyżowania Ślężnej z Weigla. Ze względu na bliskie sąsiedztwo Instytutu Immunologii oraz Szpitala Wojskowego (czy raczej tego, co z niego zostało) nie jest to może najbezpieczniejsza lokalizacja, ale z drugiej strony właściwie nie ma tu ludzi. Z resztą paskudztwa na razie jakoś dają sobie radę. Przed pokonaniem ostatniego odcinka zatrzymałem się na chwilę. Zawsze tutaj rozglądam się i sprawdzam, czy nikt i nic mnie nie obserwuje, nie chciałbym zdradzić, gdzie znajduje się kryjówka. Padający śnieg przykryje moje ślady, więc przynajmniej o ich zacieranie nie musiałem się dziś martwić. Pewny, że nikt mnie nie śledzi, kilka minut później szybkim krokiem podszedłem do ponemieckiego bloku. Odnalazłem w drzwiach bramy ruchomą deskę, przesunąłem ją i wkładając rękę przez powstałą dziurę, odblokowałem zasuwę od środka. Wszedłem do bramy i zamknąłem za sobą drzwi. Nareszcie w domu.

Nie zdążyłem nawet zdjąć kombinezonu, gdy na klatkę schodową z piwnicy wbiegła Julka. Jak zawsze pełna energii rzuciła mi się na szyję. Jej długie blond włosy wysypywały się spod cienkiej czapeczki.

– Wróciłeś, tatusiu! – krzyknęła z entuzjazmem. – Przyniosłeś mi coś?

– Królika i dwie wiewiórki. Mam za to wyjątkowy prezent dla twojej mamy – powiedziałem, widząc wychodzącą z piwnicy Kasię.

– Dobrze, że już jesteś – powiedziała moja żona i pocałowała mnie w policzek.

Kasia pomogła mi zdjąć kombinezon, wzięła drewno i zeszła na dół. Zabrałem plecak i trzymając Julkę za rękę, poszedłem za nią.

• • •

Mieszkamy we trójkę w piwnicy starego, trzypiętrowego bloku. Znam to miejsce od dziecka, mieszkałem kiedyś w tej samej bramie, na najwyższym piętrze, najpierw z rodzicami, później już z żoną i córką. Kiedy we Wrocławiu rozpętało się piekło, większość ludzi próbowała uciec z miasta. Drogi wylotowe do dziś pełne są przysypanych śniegiem wraków ich samochodów, tkwiących w gigantycznych korkach. Wiedziałem, że wyjazd z miasta w najgorszym momencie stanie się niemożliwy, więc zdecydowaliśmy się zejść do piwnicy i spróbować przeczekać. Czekamy tak do dziś, osiem lat i miliony istnień ludzkich później podziemie stało się naszym domem.

Wrocław nie został zamieniony w wypaloną atomowym ogniem pustynię. Poziom promieniowania jest tu niemal taki sam jak przed Ostatnią Wojną. Miasto oberwało za to wieloma innymi, często nieznanymi wcześniej rodzajami broni. Zsynchronizowane ataki biologiczne i chemiczne okazały się zabójczo skuteczne. Ponad dziewięćdziesiąt procent ludności miasta zginęło w ciągu dwóch tygodni od ataku. Wybuchaly pożary, na ulicach gniły ciała, a my czekaliśmy, właściwie nie wychodząc z zamkniętej od środka piwnicy. Później przyszła zima, która trwa do dziś. Trupy na ulicach zamarzły lub coś je pożarło, pożary zgasły, a miasto pograżyło się w ciszy. Od tego czasu spotkałem jedynie kilku ocalałych, starających się przetrwać za wszelką cenę. Nikt z nich nie był zainteresowany innymi ludźmi, chyba że dało się im coś ukraść lub zabrać siłą.

Niestety, okazało się, że głód, mróz i wrogo nastawieni mieszkańcy

to niejedyne problemy ocalałych. Pojawili się też Inni, zarażeni. Niedobitki ludzi, potwornie zmienionych prawdopodobnie przez genetycznie zmodyfikowane filowirusy. Dawniej świat bał się eboli, ale to nie przeszkodziło naukowcom majstrować przy jej genomie. Kombinacja wirusów i broni chemicznej zamieniła niektórych w dzikie, oszalałe z wściekłości stwory, rzucające się na wszystko, co żywe. Kilka lat mrozów co prawda mocno przetrzebiło ich populację, ale z drugiej strony pozostały najsilniejsze osobniki. Dziś, gdy sadza z atmosfery częściowo opadła, wychodzą głównie po zmroku, zupełnie jakby nie przepadały za światłem. Polują w stadach, najczęściej pożerając ofiary na miejscu. Kanibalizm też nie jest im obcy.

Do dziś nie potrafię jednoznacznie określić, kto zniszczył Wrocław i resztę kraju. Świat od dawna wydawał się znajdować w ciągłym napięciu, ale nikt poważnie nie wierzył w globalną wojnę. Wszystko zaszło tak nagle, że zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, wszyscy rzucili do walki najcięższą artylerię. Zupełnie jakby ludzkość kolektywnie podjęła decyzję o natychmiastowej eksterminacji własnego gatunku. Nie wiem, jak wyglądają sprawy w innych częściach świata, ale skoro nikt nie przyszedł nam z pomocą, podejrzewam, że nie lepiej. Zanim małe tranzystorowe radio w naszej piwnicy zamilkło na zawsze, według wszystkich doniesień świat stał w ogniu.

•••

Wodnista potrawka z królika i wiewiórek cicho bulgotała w kociołku nad ogniskiem płonącym na środku piwnicy. Obok ognia powoli rozmrażało się wino w butelce. Dym unosił się i ulatywał do mieszkania na parterze przez otwory, które dawno temu wybiłem w suficie. Dopiero później uchodził z budynku, rozproszony i niewidoczny dla nikogo. Nasze podziemie stopniowo z tymczasowej

kryjówki zamieniło się w prawdziwy dom. Przy ścianach rozłożone kołdry i koce, w kącie schludny magazynek z żywnością, w innym balia z wodą do mycia, wytopioną ze śniegu, i zapas drewna na opał. Dzięki determinacji i zaradności zdołaliśmy tu przetrwać, a chwilami nawet w miarę zwyczajnie żyć.

Julka bawiła się w teatrzyk swoimi lalkami, Kasia siedziała wtulona we mnie i zapatrzona w ogień. Czuję, jak w ciepłe naszego schronienia wraca mi krążenie, a chłód wreszcie opuszcza ciało.

– Jutro znów będziesz musiał polować? – bardziej stwierdziła, niż spytała moja żona.

– Muszę. Mięsa nie wystarczy na długo, puszek też niewiele już zostało. Może pójde trochę dalej, spróbuję nie tylko zapolować, ale też znaleźć coś przydatnego – powiedziałem, choć miałem świadomość, że tylko bardziej ją zaniepokoję.

– Nie lubię, kiedy wychodzisz. – Kasia mocniej wtuliła się we mnie, jakby chciała mnie zatrzymać.

– Nie martw się, wezmę karabin. – Miałem nadzieję, że to zabrzmi uspokajająco.

Pistolet i karabin zdobyłem krótko po zagładzie miasta. Zamierzałem wyprawić się na teren Szpitala Wojskowego, chcąc zdobyć zapas leków i środków opatrunkowych. Nie wiedziałem jeszcze, że do tego właśnie miejsca przywieziono część ludzi po atakach biologicznych. Większość z nich zmarła, ale reszta... Pierwszego spotkałem już w okolicach stróżówki przy bramie; broczący krwawą pianą z pyska człekokształtny stwór rzucił się na mnie. Miał na sobie zalany krwią mundur i na szczęście był sam. Zginął od ciosów mojego noża, a ja zabrałem mu wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość, w tym pistolet i karabin maszynowy. Nie używam ich do polowania, bo hałas mógłby ściągnąć na mnie kłopoty, poza tym nie mam zbyt wiele amunicji.

– Potrawka z królika à la koniec świata, podano do stołu –



powiedziała Kasia, nakładając jedzenie na talerze. – Otwórz wino, kochanie.

Jedliśmy powoli, wpatrując się w ogień i sącząc lekko skwaśniałe wino. Godzinę później Julka zasnęła, a mnie na krótką chwilę udało się nawet zapomnieć, że siedzimy w piwnicy, podczas gdy na zewnątrz pomału kona świat.

•••

– Kurwa, kurwa, kurwa... – mruknąłem do siebie kolejny raz, poprawiając opaskę uciskową związaną powyżej kolana.

Wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej. To miał być krótki wypad, co prawda trochę dalej niż zwykle, ale nieszczerólnie niebezpieczny. Sprawy zaczęły się pieprzyć jeszcze przed wyjściem z kryjówki, kiedy urwał mi się górny guzik w kombinezonie. Zastąpiłem go agrafką i przestałem o tym myśleć, ale teraz uważałem, że to był znak, by jednak zostać w domu. W tym momencie ta sama agrafka spinała brzegi brzydkiej, poszarpanej rany na mojej łydce, a ja, trzęsąc się z zimna i nerwów, gorączkowo zastanawiałem się, co robić dalej.

Sfora dopadła mnie w środku dnia, tuż za wiaduktem kolejowym na Krzyckiej. Nie mam pojęcia, co skłoniło te stwory do wyjścia z kryjówek przed zmrokiem ani skąd w ogóle się tam wzięły. Zamierzałem splądrować ruiny domu towarowego przy Wawrzyniaka, a później przejść się na szaber po osiedlu domków jednorodzinnych. Sklep okazał się wymieciony do czysta, udało mi się tylko zdobyć puszkę zamrożonej coca-coli, która utknęła we wnętrzościach automatu. Gdy wychodziłem głównym wejściem, z boku skoczył na mnie jeden z zarażonych i obalił na śnieg. Desperackim wysiłkiem udało mi się skopać go z siebie, ale z głośnym skowytym nadbiegli jego kumple. Gnali, podpierając się rękoma, bardziej jak małpy niż ludzie. Szybko oceniłem, że nie mam

szans powystrzelać ich wszystkich, więc nie sięgałem nawet po karabin. Uciekałem długo, kierując się w stronę bloków z wielkiej płyty na osiedlu Przyjaźni. Nie miałem szans na otwartym terenie, mogłem jedynie mieć nadzieję, że zgubię stwory we wnętrzu któregoś z budynków. Siedemset metrów biegiem, w kombinezonie i z plecakiem. Napędzany adrenaliną, poganiany wyciem, dopadłem do pierwszego bloku. Osiedle pamiętające czasy PRL składało się z budynków tworzących podkowy. Górne piętra były wypalone, ale pożary musiały zgasnąć samoistnie. Wbiegłem na trzecie lub czwarte piętro, gdzie przemieszczając się pomiędzy klatkami schodowymi, zdołałem zgubić pościg. Wyszedłem z bloku i skierowałem się do drugiego, największego w kompleksie, składającego się właściwie z dwóch połączonych ze sobą budynków. Tutaj postanowiłem się na chwilę zaszyć, uspokoić serce i oddech przed drogą powrotną. Niestety, gdy szukałem kryjówki, schody zarwały się pode mną i runąłem piętro w dół. Spadając, zahaczyłem nogą o poręcz, głęboko rozrywając mięsień łydki.

Siedziałem teraz w jakimś pustym mieszkaniu, starając się wszelkimi siłami zatamować krwotok. Opaska uciskowa trochę pomogła, ale wiedziałem, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Spiąłem brzegi rany agrafką i mocno zabandażowałem. Przymknąłem oczy, zastanawiając się, co robić dalej.

Obudził mnie skowyt. Sądząc po półmroku zalegającym w kątach opuszczonego mieszkania, musiałem zasnąć na ładnych parę godzin. Podeszedłem do okna i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz. Zapadał zmrok, a pomiędzy blokami włóczyły się grupki zarażonych stworów.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – Który to już raz dzisiaj?

Drogę do domu miałem właściwie odciętą. Nie odważę się wyjść po zmroku, nie kiedy tu grasują te człekokształtne bestie. Miałem nadzieję, że rano choć część z nich sobie pójdzie. Zachciało mi się

dalszych wypadów, świetnie, po prostu super.

Niewiele pamiętam z tej nocy. Zabarykadowałem się w mieszkaniu, zastawiając drzwi starą komodą. Kiedy ją przesuwalem, czułem, jak po nodze ściekają mi strużki świeżej krwi. Nie chciałem zdradzać swojej obecności, więc nie rozpalałem ognia. Skuliłem się w rogu pokoju, pod zdjęciem roześmianej pary na tle „marsjańskiego” schroniska na szczycie Śnieżki. Ciekawe, czy ono jeszcze stoi...? Trząsałem się z zimna i chyba dostałem gorączki. Zapadałem w nerwowy sen, co chwila budząc się ze wstrząsem.

Nad ranem nadal jeszcze żyłem. Noga pulsowała tęnym bólem, ale przynajmniej przestała krwawić, gorączka też chyba przechodziła. Wypiłem trochę wody z manierki schowanej pod kombinezonem i ostrożnie rozruszałem zastale mięśnie. Utykałem dość mocno, ale mogłem chodzić. Widok z okna był pocieszający, wszystko wskazywało na to, że zarażeni przenieśli się gdzie indziej.

Drogę do kryjówki pamiętam jak przez mgłę. Kuśtykałem przez zaśnieżony świat, kuląc się ze strachu na każdy głośniejszy dźwięk. W parku Południowym noga znów zaczęła krwawić. Chopin jak zwykle nie przejął się moją obecnością, za to we wnykach, które zastawiłem kilka dni temu, znalazłem zmrożone truchło królika. Plusem nuklearnej zimy jest to, że żarcie nie psuje się na powietrzu, tylko zamarza zaraz po śmierci. Kulejąc w stronę kryjówki, co kilka kroków zostawiałem za sobą niewielkie plamy krwi, kontrastujące z bielą śniegu. Świat rozmywał mi się przed oczami, głowa była podejrzenie lekka, jakbym zamiast mózgu miał watę.

– Jeszcze kilkaset metrów, już niedaleko... – Chyba mówiłem to na głos, ale nie jestem pewien.

Nie miałem sił zacierać za sobą śladów, obiecałem sobie, że zajmę się tym później. Odblokowanie drzwi do kryjówki okazało się zbyt trudne. Widziałem podwójnie, ręce nie chciały mnie słuchać. Oparłem się głową o bramę i zacząłem pukać.

•••

– Leż, nie próbuj wstawać. – Głos mojej żony dobiegał z oddali, choć jej twarz majaczyła mi tuż przed oczami. – Nic nie mów.

Nawet gdybym chciał wstać, to i tak nic by z tego nie wyszło, przygniatał mnie ogromny ciężar kołdry. Chyba znów zasnąłem lub straciłem przytomność.

Kilka godzin lub dni później odzyskałem świadomość. Julka spała przy mnie, Kasia mieszała coś w kociołku nad ogniskiem. Gdy zobaczyła, że nie śpię, podała mi wody. Piłem łapczywie, w sumie chyba ze trzy szklanki po kolei. Poczułem się dużo lepiej, a kiedy zjadłem trochę bulionu z królika, wiedziałem już, że z tego wyjdę.

Dochodziłem do siebie przez kilka dni. Leżałem, patrząc, jak dym ulatuje przez dziurę w suficie, i próbowałem nie myśleć, co stałoby się z moją rodziną, gdybym nie wrócił. Krzywo pozszywana przez żonę rana na nodze goiła się dobrze, szkoda tylko, że do dezynfekcji zużyliśmy prawie całą wódkę. Nie byłem jeszcze w stanie polować, więc nasze zapasy jedzenia kurczyły się w zastraszającym tempie. Odpoczynek dobrze mi zrobił. Tydzień później byłem gotowy do wyjścia dalej niż kilka metrów od kryjówki.

Pierwsze polowanie po przerwie okazało się wyjątkowo udane. Jeszcze na samym skraju parku Południowego wypatrzyłem sporą łanię. Cicho podkradłem się do niej i położyłem strzałę z łuku w szyję. Ponad pół dnia zajęło mi dowleczenie jej do kryjówki, ale zdobyliśmy zapas jedzenia na wiele dni. Podczas kolejnego wypadu znalazłem w starym bloku niemal nietknięte mieszkanie, a w nim trochę jedzenia w puszkach. Wszystko zdawało się być na dobrej drodze.

•••

Według naszego kalendarza był mniej więcej początek maja.

Mogliśmy mylić się o kilka dni, w pierwszych dniach zagłady ciężko było nie zgubić rachuby czasu, ale z drugiej strony nie było to aż tak ważne. Ważniejsze okazało się zwykłe przeziębienie, które złapała Kasia. Właściwie nie przechodziła go specjalnie ciężko, tydzień kataru i lekki kaszel. Mieliśmy trochę przeterminowanych leków na różne dolegliwości, ale nic specjalnie silnego, chyba że cytrynowa aspiryna dla dzieci się liczy. Moja żona to twarda dziewczyna, więc szybko doszła do siebie.

Kilka dni później zaczęła kaszleć Julka. Całe noce nie mogła spać, dostała wysokiej gorączki. Kasia próbowała ją leczyć domowymi metodami, ale ani one, ani cytrynowa aspiryna nie pomagały mojej córce. Dziecko gasło w oczach, trawione gorączką i wstrząsane gwałtownymi atakami kaszlu.

– Idę jutro do szpitala – powiedziałem, jakby nie było to nic wielkiego. – Znajdę jakieś silne leki, antybiotyki, coś na ten kaszel...

Kasia spojrzała na mnie załzawionymi oczami. Na kolanach trzymała Julkę, lekko ją kołysząc. Mała zasnęła na chwilę, opierając o ramię matki rozpalone czoło.

– Nie ma innego wyjścia? Może apteka... – spytała z nadzieją.

– Wiesz, że nie ma. Apteki w okolicy są splądrowane lub spalone, do centrum się nie dostanę. Zostaje tylko szpital.

Moja żona patrzyła na mnie w milczeniu. Ostatnio w ogóle coraz mniej mówiła, zresztą nie było już nic do powiedzenia. Nie pozwolę umrzeć mojemu dziecku. Uchroniłem rodzinę przed zagładą, dbałem o nie i zapewniałem byt. Nie zniszczy tego zwykłe przeziębienie. Zdobędę te leki, nawet gdybym najpierw musiał pozabijać wszystkich zarażonych w okolicy.

Kiedyś w pobliżu naszego mieszkania były dwa duże szpitale, Wojskowy i Uniwersytecki. W pierwszych dniach Ostatniej Wojny przywożono tu ofiary ataku na Wrocław. Oczywiście nikt jeszcze wtedy nie wiedział, jakie zagrożenie mogą stworzyć ocaleni z

ataków biologicznych i chemicznych. Mogę się jedynie domyślać, co było później, ponieważ wtedy siedzieliśmy już zamknięci w piwnicy. Szpital Wojskowy spłonął rok po Zagładzie, krótko po mojej przygodzie z zarażonym żołnierzem; Uniwersytecki opanowali zarazi. Leżący między klinikami park Skowroni i przylegające do niego ogródki działkowe zamieniły się w tereny łowieckie stad zainfekowanych.

Nie myślałem o nich jak o ludziach, moim zdaniem dawno przestali nimi być. Poruszali się, podpierając rękoma, atakowali wszystko, co się rusza, niekiedy również siebie nawzajem. Zwykle unikali światła dziennego, zwłaszcza ostatnio, gdy znów coraz mocniej widać było słońce.

Większość nocy spędziłem, sprawdzając i przygotowując sprzęt. Koniecznie musiałem się czymś zająć. Rozłożyłem i złożyłem karabin i pistolet, sprawdziłem liczbę nabojów. Wielkiej wojny z tym nie wygram, dwadzieścia jeden do karabinu, siedem w pistolecie. Kto wie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może w ogóle nie będę musiał ich używać. Kij od miotły, srebrna taśma i duży kuchenny nóż posłużyły do stworzenia improwizowanej włóczni. Inny nóż przypiąłem do paska, kolejny umocowałem na łydce. Nad ranem włożyłem kombinezon, plecak, maskę narciarską i stanąłem przy drzwiach.

– Uważaj na siebie. – Kasia przytuliła mnie mocno. – Wracaj szybko.

Kobiety i ich zaklęcia, pomyślałem, wychodząc. Coś, czego nie zmieniła nawet Ostatnia Wojna. Żona jak kiedyś żegna mnie zaklęciami, które mają zapewnić mi ochronę przed światem.

•••

Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tej ciszy, uderzającej mnie zawsze, gdy opuszczam schronienie. Wrocław nigdy nie był cichy,

duże miasto zawsze tętniło życiem. Dziś nie słyhać już niczego. Zepsute tramwaje rdzewieją pomału pod śniegiem, samochody są już tylko niewielkimi pagórkami przykrytymi białym puchem.

Najkrótsza droga do Szpitala Uniwersyteckiego zakładała podejście od zachodu, ale musiałbym przejść przez zgłiszcza kliniki wojskowej, obok Instytutu Immunologii, a później przez park Skowroni. Z oczywistych przyczyn ta trasa odpadała. Postanowiłem nadłożyć nieco drogi i podejść od strony południowej. Idąc przez podwórka za blokami, kierowałem się Ślężną na południe. Minąłem korty przy Pułtuskiej, na których nikt już od dawna nie grał w tenisa, i dotarłem do pętli tramwajowej.

Nie lubię tego miejsca. W czasach, gdy dokładnie przeczesałem okolice kryjówki w poszukiwaniu zapasów, odkryłem, że stojący na pętli tramwaj nie jest pusty. Oba wagony zasypanej śniegiem kolejki są pełne zamrożonych zwłok. Mumie siedzą na krzesłach lub stoją oparte o szyby. Nie mam pojęcia, skąd ci ludzie się tam wzięli. Myśleli, że ewakuują się tramwajem? Musieli umrzeć nagle i wszyscy jednocześnie, ale nie wiem, z jakiego powodu, i szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Czasem śni mi się, że tramwaj rusza i z upiornym dzwonieniem przemierza ulice wymarłego miasta...

Kawałek za pętlą biegnie nasyp kolejowy. Wdrapałem się na niego i ruszyłem wzdłuż torów na zachód. Słuchając skrzypienia śniegu pod nogami, przeszedłem niecałe siedemset metrów, zbliżając się do terenu bliższej lecznicy. Zlustrowałem przez lornetkę cały obszar Szpitala Wojskowego. Na lądowisku helikopterów znajdującym się najbliżej mnie rdzewiał w ciszy wrak medycznego śmigłowca przykryty białym puchem. Kiedyś można go było rozpoznać po kształcie, dziś był tylko białym pagórkiem ze sterczącymi na boki łopatami wirnika. Dokładnie przyjrzałem się głównemu gmachowi, który kiedyś składał się z kilku połączonych budynków, ale w zaśnieżonych, wypalonych zgłiszczach nie zauważyłem ruchu.

Próbowałem też ocenić, czy jest sens ryzykować przeszukanie ruin, ale już wstępne oględziny potwierdziły moje przypuszczenia. Nie znajdę tu tego, czego szukam. Muszę ruszać dalej, do Uniwersyteckiego.

Zawsze dziwiło mnie, że te dwa szpitale są położone tak blisko siebie, oddzielone zaledwie szerokim pasem ogródków działkowych. Stwierdziłem, że na torach jestem zbyt widoczny, więc zszedłem kilka metrów na południową stronę nasypu. Wchodziłem na niebezpieczny obszar – na północ rozciągały się tereny łowieckie zarażonych. Miałem co prawda nadzieję, że w dzień ich nie spotkam, ale blizna na nodze przypominała mi, że nie należy zbyt ufać tej matce głupich. Przeszedłem kolejne kilkaset metrów i ostrożnie wyjrzałem nad nasyp. Dotarłem na tyły Szpitala Uniwersyteckiego. Leżąc na brzuchu, długo obserwowałem okolicę przez szkła lornetki.

Największa wrocławska klinika wyglądała na opuszczoną, ale wiedziałem, że to mogą być jedynie pozory. Zarażeni zwykle unikają światła i wychodzą w nocy, musiałem więc założyć, że dni spędzają w budynkach. Obiekty były nienaruszone, na parkingach stały porzucone bezładnie samochody. Niedaleko wejścia na oddział ratunkowy zobaczyłem przewróconą na bok karetkę, niemal całkowicie przysypaną śniegiem. Dwadzieścia minut później byłem już gotowy do akcji. Przez ten czas nie dostrzegłem żadnego ruchu, udało mi się za to opracować plan działania. Zamierzałem zbliżyć się od tyłu do głównego gmachu i przedostać wzdłuż ścian do frontowego wejścia. Miałem nadzieję, że dzięki wewnętrznym oznaczeniom albo tablicy informacyjnej przy drzwiach szybko znajdę aptekę lub drogę na poszczególne oddziały.

Wyjąłem z plecaka maskę przeciwgazową, zdobytą dawno na tym samym żołnierzu, któremu zawdzięczałem swoją broń. Wkręciłem nowy filtr i naciągnąłem twardą gumę na twarz. Nie wiedziałem, w



jaki sposób roznosi się infekcja, która trawiła zarażonych, ale na ich terenie wolałem nie ryzykować bez potrzeby. Zszedłem z nasypu, pokonałem niewielki pas czegoś, co kiedyś było częścią miejskiej zieleni, i przelazłem przez płot. Skulony, cichym truchtem podbiegłem do najbliższego budynku. Przypadłem do ściany, nasłuchując, ale żaden dźwięk nie mącił ciszy zimowego krajobrazu. Przemykając od osłony do osłony, dotarłem do tylnej ściany największego gmachu. Wokół w śniegu widać było liczne ślady stóp, do jednego z tylnych wejść prowadziła bruzda, jakby coś tędy wleczono. Skręciłem za róg i podbiegłem w stronę frontu. Tutaj tropów było mniej, co uznałem za dobry znak.

Chwilę później wchodziłem już głównym wejściem z karabinem w rękach. Pod nogami cicho chrupało przysypane nawianym śniegiem szkło z rozbitych drzwi. Niedaleko wypatrzyłem komercyjną aptekę szpitalną, ale postanowiłem ją zignorować. Prawdopodobnie została splądrowana w pierwszych dniach Zagłady, poza tym chciałem znaleźć naprawdę silne leki, a nie kolejną cytrynową czy malinową aspirynę. Rzuciłem okiem na tablicę z rozkładem oddziałów. Z tablicy nie dowiedziałem się, niestety, gdzie znajdę główny skład leków szpitala, a nie bardzo mogłem sobie pozwolić na dokładne przeszukiwanie całego kompleksu. Zajęłoby to zbyt wiele czasu, a do tego na pewno natknąłbym się na zarażonych. Miałem nadzieję, że odpowiednie leki znajdę w dyżurkach pielęgniarek lub mniejszych magazynach na poszczególnych oddziałach.

Oddziały szpitalne znajdowały się w budynku B, połączonym z tym, do którego wszedłem. Niestety, oznaczało to, że będę musiał kierować się ku tyłowi kompleksu, dokładnie tam, gdzie widziałem ślady. Ruszyłem przed siebie przez opuszczony budynek, cały czas nasłuchując. Mój świszczący, zniekształcony przez maskę oddech wydawał mi się bardzo głośny. Minąłem zrujnowaną przez pierwszych grabieżców kwiaciarnię i gabinet stomatologiczny,

przeszedłem długim korytarzem i znalazłem się w gmachu mieszczącym większość oddziałów.

Niszczący budynek szpitala powoli poddawał się destrukcyjnemu działaniu mrozu. Pod wybitymi oknami zalegał nawiany śnieg, farba na ścianach łuszczyła się i odpadała całymi płatami. Podłogi zasłane jakimiś śmieciami i potłuczonym szkłem, walające się gdzieś tam szczątki mebli, wszechobecny półmrok i cisza. Zarażonych nie spotkałem, ale w głębi budynku ślady ich bytności były coraz wyraźniejsze. Odciski stóp w śniegu, krwawe plamy, ogryzione kości małych zwierząt; tak, zdecydowanie muszę zachowywać się jak najciszej.

Według tabliczek informacyjnych parter budynku B mieścił oddział urologiczny oraz chirurgii małoinwazyjnej. Dochodziłem do klatki schodowej, gdy zobaczyłem jednego z zarażonych. Stał przy schodach, bokiem do mnie, i lekko kiwał się na nogach. Wyglądał, jakby pilnował wejścia do piwnicy, ale to było chyba niemożliwe. Przecież te stwory nie myślą, więc raczej nie wystawiałyby wartowników. Wyjąłem nóż z pochwy przy pasie i cicho podkradłem się do niego. Dwa kroki od stwora pod nogami chrupnął mi kawałek szkła. Zarażony odwrócił się gwałtownie i był to ostatni ruch w jego życiu. Zanim zdążył zrobić coś więcej, skoczyłem na niego i dokonałem bardzo inwazyjnego zabiegu chirurgicznego na jego czaszce, penetrując ją ostrzem przez oczodół. Złapałem go, nim upadł, i delikatnie położyłem.

Serce waliło mi jak oszalałe, głęboko wdychałem aromaty starego filtra maski. Nasłuchiwałem, stojąc plecami do ściany, ale słyszałem tylko krew buzującą mi w żyłach.

Chwilę później, gdy upewniłem się, że hałas nie zwrócił niczyjej uwagi, ruszyłem dalej. Minąłem schody i wszedłem na oddział. Zajrzałem do jednej z sal pacjentów, ale szybko tego pożałowałem. W łózkach leżało coś, co mogło być jedynie obgryzionymi ludzkimi

zwłokami. Brązowe plamy krwi wokół, szczątki szpitalnych piżam i metaliczny zapach przenikający nawet przez filtr maski – pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia. Wiele już w życiu widziałem, ale i tak zrobiło mi się słabo. Odwróciłem się do wyjścia, ale musiałem zerwać maskę i wymiotować. Niewiele to pomogło, zapach uderzył mnie z większą siłą. Zataczając się lekko, wyszedłem z sali i opierając się o ścianę, ponownie założyłem p-gaza. Mogłem mieć tylko nadzieję, że ta chwila bez maski nie naraziła mnie na zarażenie. Z drugiej strony i tak miałem przecucie, że ta iluzja ochrony w rzeczywistości niewiele mi da. Chwiejnym krokiem ruszyłem dalej korytarzem. Nie zaglądałem już do sal pacjentów, szukałem tylko dyżurki pielęgniarek lub innego miejsca dającego cię szansy na znalezienie leków. Mniej więcej na środku holu znalazłem pokój oznaczony odpowiednią tabliczką. Staralem się nie patrzeć na kupki pokrytych zakrzepłą krwią kości, kiedyś będące zapewne personelem medycznym tej placówki. Metodycznie (choć jak najciszej) przetrząsając szuflady i szafki, znalazłem trochę pełnych fiolek i blistrów z tabletkami. Nie czytałem oznaczeń, nie sprawdzałem dat ważności, tylko wszystko jak leci pakowałem do plecaka. Miałem nadzieję, że później ja lub Kasia będziemy w stanie rozpoznać choć kilka nazw i znaleźć antybiotyki. Zgarnąłem jeszcze sterylne zapakowane strzykawki i igły z metalowej tacki koło biurka i wyszedłem z pokoju.

Nie wiedziałem, czy mam już leki, po które tu przyszedłem, poza tym stwierdziłem, że lepiej mieć więcej niż mniej. Postanowiłem zajrzeć jeszcze na jeden lub dwa oddziały i sprawdzić, co uda mi się tam znaleźć. Cicho cofałem się w stronę klatki schodowej, słuchając szumu powietrza przechodzącego przez filtr maski. Przy schodach stanąłem jak wryty. Ciało zarażonego, którego zabiłem, zniknęło! Z dziurą po nożu w czaszce raczej nie poszedł na spacer, poza tym wyraźnie widziałem ślad krwi na podłodze, prowadzący do piwnic.

Wszystko wskazywało na to, że wczołgał się tam lub raczej coś go wciągnęło. Podczas przeszukiwania oddziału nic nie słyszałem, ale gumowa maska częściowo tłumiała dźwięki z zewnątrz.

Nie chciałem ryzykować wchodzenia na górę nad prawdopodobnym siedliskiem stworów, które mogły chować się w piwnicy przed światłem dziennym. Ostrożnie wycofałem się, krzywiąc za każdym razem, gdy pod stopami zachrzącało mi szkło lub inne śmieci. Jeszcze raz przeszedłem przez oddział, miałem nadzieję, że na końcu znajdę drugą klatkę schodową. Nie pomyliłem się, a do tego nikt jej nie pilnował. Ruszyłem na górę. Po schodach w niszczących budynkach trzeba chodzić jak najbliżej ściany. Osłabiona konstrukcja może zawalić się pod ciężarem człowieka, ale przy murze jest zawsze najsilniejsza. Raz zapomniałem o tej zasadzie, blizna na nodze przypomina mi o tym do dzisiaj. Drzwi na pierwszym piętrze były zabarykadowane połamanymi krzesłami, szczątkami stołów i innych sprzętów. Tabliczka przy nich głosiła: „Oddział Chirurgii Naczyniowej, Ogólnej i Transplantacyjnej”. Napis nasmarowany obok jakąś burą mazią ostrzegał: „Nie otwierać!!!”. Rozebranie barykady zajęłoby dłuższą chwilę, a na dodatek na pewno narobiłbym przy tym hałasu. Dodatkowo dał mi do myślenia fakt, że drzwi zabarykadowano od zewnątrz, jakby ktoś chciał zamknąć kogoś (albo raczej coś) w środku.

Drugie piętro wyglądało zdecydowanie lepiej. Oddział intensywnej terapii musiał mieć zapasy leków, a droga do niego stała otworem. Gdy lekko pchnąłem drzwi, usłyszałem ciche szurnięcie, skrzypienie, a potem ciszę opuszczonego szpitala rozdarł głośny metaliczny łoskot. Podskoczyłem przerażony, słysząc echo niosące się po korytarzach. Zupełnie przypadkiem głośno i wyraźnie dałem znać o swojej obecności w tym przeklętym miejscu. Wyrwałem pistolet z kabury i stałem, nasłuchując. Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Uspokoilem się po dobrych kilku minutach. Najwyraźniej

znów okazało się, że mam znacznie więcej szczęścia niż rozumu. Schowałem broń, wkroczyłem na OIOM i od razu zobaczyłem, jak udało mi się narobić takiego hałasu. Przy drzwiach musiał stać wózek z instrumentami medycznymi, otwierając je, popchnąłem go na ścianę i przewróciłem.

Metodycznie przeszukiwałem oddział, pakując do plecaka wszystko, co wydawało mi się przydatne. Staralem się nie zwracać uwagi na zwłoki, ale widok ogryzionego szkieletu nadal podłączanego do niedziałającego respiratora jeszcze długo będzie mnie prześladował. W niedużym magazynie leków naprawdę się obłowilem. Plecak miałem już prawie pełen opakowań fiolek, strzykawek i tabletek. W pomieszczeniu, które kiedyś chyba było pokojem lekarzy, znalazłem encyklopedię leków. Nie zmieściła się już do plecaka, więc przytroczyłem ją sznurkiem. Przyda się, gdy w kryjówce będę sprawdzał, jakie właściwie środki przyniosłem.

Z dyżurki wyszedłem niemal wprost na zarażonego. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął, widać po swojej siedzibie umieli poruszać się bezszelestnie. Rzucił się na mnie, wydając z siebie coś pomiędzy krzykiem a skrzekiem. Powalił mnie na ziemię i próbował ugryźć, kłapiąc zębami tuż przy mojej twarzy. Wizjer maski pokrył się krwawą pianą kapiącą z jego ust. Udało mi się kopnąć go kolanem, raz, potem ponownie. Zrzuciłem go z siebie i poderwałem się na kolana, wyciągając nóż. Skoczył na mnie znowu, zasłoniłem się lewą ręką, a prawą kilkakrotnie wbiłem ostrze w jego tułów. Rozległo się ciche młaśnięcie i stwór opadł bezwładnie, przygniatając mnie do ziemi. Wyczołgałem się spod niego i stanąłem na drżących nogach. Wytarłem wizjer maski i rozejrzałem się dookoła. Od strony klatki schodowej usłyszałem ruch, jakby kilku kolejnych zarażonych włąziło na górę, nie bardzo się z tym kryjąc. Pewnie usłyszeli hałas, którego narobiłem, wchodząc na oddział, a potem jeszcze szarpiąc się z tym, który stygł właśnie pod moimi

nogami.

Zanurkowałem z powrotem do pokoju lekarzy i ukryłem się między szafą a drzwiami. Miałem stąd widok na fragment korytarza, a nie byłem widoczny z zewnątrz. Zdjąłem swoją improwizowaną włócznię z pleców i czekałem. Będę musiał przedrzeć się do najbliższej klatki schodowej, a potem na zewnątrz, inaczej osaczą mnie tutaj i zginę. Broni palnej nie chciałem na razie używać – to ściągnęłoby mi na kark wszystkich zarażonych w szpitalu, a z pewnością nie miałem aż tyle amunicji, żeby ich wytłuc. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi na oddział, i po chwili ich zobaczyłem. Dwa stwory, niezbyt przypominające ludzi. Szli co prawda na dwóch nogach, ale jakoś dziwnie pochyleni, z głowami wysuniętymi do przodu. Ich twarze pokrywały szpetne narośle, palce dłoni mieli zakończone pazurami. Resztki ubrań nieokreślonego koloru zwisały z nich w strzępach. Szli powoli, wężąc głośno i wydając dziwne pomruki i świsty. Kiedy doszli do zabitego pobratymca, zatrzymali się. Jednocześnie kucnęli przy nim i zaczęli go pożerać. Zrobiło mi się niedobrze, pomyślałem, że za chwilę udławię się w masce własnym pawiem. Ostatkiem siły woli powstrzymałem mdłości, przełknąłem gęstą, kwaśną ślinę i cicho wychyliłem się z kryjówki. Jeden z nich podniósł głowę, trzymając w paszczy kawał krwawego mięsa, i spojrzał wprost na mnie. Szybkim ruchem wbiłem mu ostrze włóczni w szyję. Stwór szarpnął się, wyrwijąc mi z dłoni drzewce. Sekundę później drugi skoczył w moją stronę, ale udało mi się uchylić. Kopnąłem go w zębra i rzuciłem się na niego z nożem. Był szybki, ale niewystarczająco. Zacząłem dźgać na oślep, trafiając stwora w tułów i głowę. Napędzany adrenaliną, raz po raz wznosiłem i opuszczałem ostrze, aż po chwili nie mogłem już unieść ręki. Ciężko dysząc, zwałem się na ziemię obok trupa. Chwilę później usłyszałem rumor dochodzący z klatki schodowej. Nadchodzili kolejni. Zerwałem się na nogi i

pobiegłem w głąb oddziału.

Stałem jak wryty, słysząc kanonadę z broni palnej, dochodzącą gdzieś z okolic szpitala. Krótkie serie z karabinów, wspomagane pojedynczymi wystrzałami pistoletów lub strzelb. Wpadłem do jakiejś sali i podbiegłem do okna. Wychodziło na parking przed głównym wejściem. Grupa około dziesięciu osób ostrzeliwała się zza wraków samochodów przed zarażonymi wylazącymi ze szpitala. Stos trupów przed wejściem rósł, śnieg pokrywał się krwią. Nie miałem czasu zastanawiać się, kim byli ci ludzie, ważne, że odwracali uwagę ode mnie. W naszym świecie każdy dba o siebie.

Drogę na parter miałem zablokowaną, pewnie było tam już pełno stworów biegnących w stronę strzelców. Gnałem przez oddział, szukając innego wyjścia, aż trafiłem na przeszklony łącznik, prowadzący do drugiego budynku. Zatrzymałem się w nim na chwilę, a w tym samym momencie strzały ucichły. Przez szybę zobaczyłem, że z głównych drzwi szpitala dosłownie wylała się fala stworów, zmiatając ludzi i przykrywając ich kłębowiskiem ciał. Zarażonych były setki! W życiu nie podejrzewałem, że może być ich aż tylu, nieszczęśnicy na parkingu też na pewno nie. Inaczej chybaby tu nie przyszli.

Nie miałem chwili do stracenia. W mniejszym budynku znalazłem okno wychodzące na niewielki daszek piętro niżej. Zeskoczyłem na niego, przebiegłem do krawędzi i spadłem na zaparkowaną pod nim karetkę. Sturlałem się z samochodu, pomiędzy budynkami zacząłem biec w kierunku tyłów szpitala. W biegu zdarłem maskę z twarzy. Mroźne powietrze raniło mi płuca, serce waliło jak oszalałe. Sprint w kombinezonie i z plecakiem nigdy nie był dyscypliną olimpijską i zaczynałem rozumieć dlaczego.

Zatrzymałem się dopiero za płotem szpitala, mniej więcej na rogu Spiskiej i Weigla. Nie byłem w stanie biec dalej, chociaż bardzo chciałem. Ukryłem się w zaśnieżonych zaroślach w parku

Skowronim i starałem się uspokoić oddech. Nasłuchiwałem odgłosów pogoni, ale w parku było zupełnie cicho. Miałem nadzieję, że stwory zajmą się ciałami ludzi i swoich poległych pobratymców na tyle długo, żeby nie podjąć mojego tropu. Nadchodził zmierzch i zaczął prószyć śnieg, niedługo ślady nie będą widoczne. Po chwili odpoczynku ruszyłem w dalszą drogę. Park między szpitalami nie był bezpiecznym miejscem, a do tego najkrótsza droga do domu prowadziła pomiędzy ruinami lecznicy wojskowej a Instytutem Immunologii. Nie chciałem tamtędy iść, musiałem nadłożyć kilka kilometrów.

•••

Przemykałem przez pusty park jak duch, kryjąc się między drzewami. Nienaturalna cisza działała mi na nerwy, biały puch tłumiał nawet odgłos moich kroków. W uszach słyszałem szum własnej krwi i bicie serca; wyczulone do granic możliwości zmysły co chwila podsuwały mi irracjonalną wizję zbliżającej się pogoni zarażonych. Lekki, chłodny wiatr poruszał gałęziami martwych drzew. Błyskawicznie odwróciłem się, słysząc gdzieś niedaleko ciche plaśnięcie, ale to tylko spadła na ziemię śnieżna czapa z jakiejś gałęzi.

W parku Skowronim nie musiałem obawiać się drapieżników czy mutantów. Hordy zdziczałych psów nie zapuszczały się tutaj, większość przedstawicieli nowej fauny również omijała ten obszar. W tej części Wrocławia zarażeni, szczególnie gatunek *Homo novus*, stali na szczycie łańcucha pokarmowego. Pytanie tylko, gdzie w takim razie należałoby zaklasyfikować mnie, żywą skamielinę przemykającą chyłkiem przez martwy, biały park.

Z chwilowej zadumy wyrwał mnie okrzyk przelatującego wysoko ponad drzewami pterona. Zadarłem głowę, pomiędzy bezlistnymi gałęziami ujrzałem szybujący skrzydlaty cień. Byłem bezpieczny, te



stwory polują na otwartej przestrzeni, najchętniej w pobliżu wysokich bloków. Wyewoluowały chyba z jakiegoś podmiejskiego gatunku drapieżnych ptaków, we Wrocławiu pojawiły się ładnych kilka lat po Zagładzie. Ten leciał w stronę osiedla Gaj. W poprzedniej epoce to miejsce znane było z wysokiego stężenia agresywnych blokerosów na metr kwadratowy, dziś było tam niebezpiecznie z zupełnie innych powodów. Straciłem z oczu sylwetkę pterona. Miałem nadzieję, że zainteresuje się jatką przy głównym wejściu do szpitala. Porwie lub zabije kilku zarażonych, może im uda się zabić jego; tak czy inaczej, wynik będzie dla mnie korzystny.

Ruszyłem dalej, klucząc od drzewa do drzewa. Zastanawiałem się, kim byli ludzie atakujący wejście do szpitala. Nieźle uzbrojeni, ale mimo to zupełnie nieprzygotowani do walki z przeważającymi siłami zmutowanych. Prawdę mówiąc, mnie również zaskoczyła liczba zarażonych kryjących się w podziemiach lecznicy. Wydawało mi się, że w pierwszych latach po zagładzie miasta ich liczebność wyraźnie spadała, gdyż wykańczały ich mrozy i drapieżniki. Zupełnie nie spodziewałem się, że taka masa tych stworów gnieździ się dość blisko naszej kryjówki. Jednocześnie zdałem sobie sprawę z kilku rzeczy. Po pierwsze, moja wyprawa po leki była znacznie bardziej niebezpieczna, niż mogło się z początku wydawać. Zrozumiałem także, że nie mogę wrócić prosto do domu. Jeśli zarażeni wyjdą w nocy i uda im się podjąć mój trop, będziemy zgubieni. Muszę przeczekać gdzieś do rana, upewnić się, że nie idą za mną. Uświadomiłem sobie również, że nasze schronienie nie jest tak bezpieczne, jak chciałbym wierzyć. Nie gdy tak duża horda zarażonych gnieździ się tak blisko. Aż dziwne, że dotychczas nas nie niepokoili, ich tropy znajdowałem jedynie w parku i w okolicach Instytutu Immunologii. Ślady, które widziałem wcześniej, nie wskazywały również na to, że zarażonych jest aż tylu. Zwykle po tropach oceniałem liczebność grup na kilka, w porywach do

kilkunastu osobników.

Pogrążony w niewesołych rozważaniach dotarłem do spalonego osiedla przy ulicy Wiktora Brossa. Pozostałości tego niegdyś pięknego i drogiego osiedla przy parku wyglądały dziś niepozornie. Gdzieniegdzie spod śniegu wystawały poczerńiałe fragmenty murów, niewielkie białe pagórki kryły wraki samochodów. Jeszcze zanim wyszedłem spomiędzy drzew, uważnie rozejrzałem się wokół. Nie dostrzegłem żadnego ruchu, więc szybko opuściłem park. Spalone osiedle nie zapewniało schronienia, przeciąłem je zdecydowanym krokiem i wyszedłem na ulicę Ślężną. Niegdyś ruchliwa arteria była dziś tylko kolejną wymarłą drogą. Przysypanych śniegiem aut stało tutaj więcej, zwłaszcza w kierunku wyjazdu z miasta. Tramwaj stojący na przystanku nieopodal był pusty, tylko w kabinie motorniczego szczyrzył zęby zamrożony trup. W tej okolicy sprawdziłem już prawie wszystko. Pierwsze lata po wojnie spędziłem, plądrując budynki w pobliżu kryjówki, zresztą z marnym skutkiem.

Przylgnąłem do ściany dawnej lecznicy dla zwierząt, i wtedy mnie olśniło. Nie sprawdziłem tego budynku, więc jest szansa, że nikt inny też tego nie zrobił! Przecież tutaj też mogą być leki, antybiotyki! Zanim wybrałem się do szpitala, należało spróbować szczęścia tutaj. Uznałem, że warto. Odnalazłem okno na tyłach budynku, ale okazało się zakratowane, podobnie zresztą jak dwa następne. Trudno, będzie trzeba głównym wejściem.

Wewnątrz lecznica wyglądała na dawno opuszczoną. Sklepek z karmą dla zwierząt był rozgrabiony, na podłodze wałały się rozdarte opakowania. Ktoś musiał być tutaj przede mną, co nie wróżyło zbyt dobrze. Przeszedłem wzdłuż korytarza, zaglądając do bocznych pomieszczeń. W jednym odkryłem zamrożone truchła w klatkach: nieduży pies i dwa rasowe koty. Szkliste oczy, pyski zastygłe w niemy grymasie agonii. Zwierzaki, o których ktoś zapomniał,

zostały tutaj na zawsze. Ruszyłem dalej, zajrzałem do gabinetu zabiegowego. Wyważyłem łomem drzwiczki ściennej szafki, w środku znalazłem ampułki z nieznanymi lekami. Zgarnąłem je wszystkie do prawie pełnego już plecaka i wyszedłem z budynku.

Dzień pomału zbliżał się ku końcowi. Przysłonięte burymi chmurami słońce wyraźnie przesunęło się na zachód, beznadziejnie próbując przebić się przez obłoki.

W pierwszym roku po wojnie Wrocław (i resztę świata pewnie też) spowijała niemal całkowita ciemność. Wzniesiony do atmosfery pył wojennych eksplozji przysłonił słońce, które wyglądało wówczas jak mała srebrna moneta na dnie wiadra z brudną wodą. Temperatura gwałtownie spadła i świat zaczął się zmieniać. Wtedy chyba, wraz z szybkim obumieraniem roślin, narodziły się nowe gatunki. Nie tylko Homo novus, ale także te wszystkie pterony, kodiaki, ślepe koty i inne. Natura szukała sposobu, żeby przetrwać, zaleczyć zadane przez człowieka rany. Szperała w bocznych, niekiedy zapomnianych uliczkach ewolucji, wydeptywała nowe ścieżki.

Kilka lat później pył zdawał się opadać, powoli robiło się coraz cieplej. Nadal żyliśmy w krainie wiecznej zimy, ale była to już w miarę znośna zima. Nie wiedziałem, czy ocieplenie się utrzyma ani co przyniesie; zapytać też nie było kogo. Mogliśmy tylko trwać, a już samo to wymagało sporo pracy.

Za często popadałem dziś w zadumę. Czas na myślenie może jeszcze nadejdzie, teraz trzeba było działać. Potrzebowałem schronienia, miejsca do przeczekań nocy. Jeśli zarażeni będą mnie szukać, to właśnie po zachodzie słońca. Mój wzrok padł na spory budynek Wrocławskiego Teatru Pantomimy, nieco odsunięty od ulicy i częściowo ukryty za poczerniałymi, martwymi drzewami. Wcześniej nie byłem w tym gmachu, uznałem, że nie znajdę tu nic ciekawego. Trochę bez sensu byłoby szukać jedzenia w dawnej świątyni sztuki. Teraz, gdy mój plecak i tak był pełny, postanowiłem

zanocować w teatrze. Uznałem, że w dużym, osłoniętym od drogi budynku będę miał większe szanse zgubić ewentualny pościg. Oprócz tego teatr był na tyle blisko schronienia, że będę mógł zjawić się tam rano, oszczędzając tym samym nerwów mojej żonie, i szybko dostarczyć leki córce.

Szybko przeciąłem Ślężną, starając się jednocześnie zacierać własne ślady. Śnieg prószył nieprzerwanie, więc pogoda działała na moją korzyść. Kryjąc się między otaczającymi budynek drzewami, dotarłem do głównych drzwi. Masywne wrota były zamknięte, mocowanie się z nimi za pomocą krótkiego łomu wydawało się skazane na porażkę. Obszedłem gmach wokół i znalazłem boczne wejście. Tutaj drzwi również były zamknięte, ale nie wyglądały aż tak solidnie. Podważyłem łodem jedno ze skrzydeł, zamrożony zamek puścił z suchym trzaskiem. W otaczającej mnie ciszy dźwięk zabrzmiał jak wystrzał, a moje serce gwałtownie przyspieszyło. Pchnąłem drzwi ramieniem, uchyliły się, z trudem pokonując opór zgęstniałego na mrozie smaru. Ukryłem się w mrocznym korytarzu i przyciągnąłem skrzydło do siebie. Uszkodzony łodem zamek wprawdzie nie działał, ale przynajmniej stworzyłem sobie iluzję bezpieczeństwa.

Rozejrzałem się uważnie, czekając, aż mój wzrok przyzwyczai się do panującego tu mroku. Zamknięte drzwi sugerowały, że nikt od dawna nie był w tym budynku. Możliwe, że stał pusty i nietknięty od czasu Zagłady. Wyjąłem z kieszeni napędzaną ręczną prądnicą latarkę, zakręciłem korbką. Śmieszne urządzenie, kupiłem je kiedyś na stacji benzynowej (czy może dostałem gratis), ot, taki plastikowy gadżet. Człowiek nigdy nie wie, co mu się może przydać. Korytarz zalało wątłe światło, wyłaniając kontury mebli. Kilka ławek, jakieś tabliczki na ścianach. Cienie wydłużyły się i zatańczyły, gdy omiatałem latarką przestrzeń wokół. W powietrzu unosił się zapach kurzu, zmieszany z wonią czegoś, czego nie potrafiłem rozpoznać.

Budynek wyglądał na opuszczony, ale na wszelki wypadek w wolną rękę chwyciłem nóż. Postanowiłem zacząć od znalezienia miejsca do spania.

Skierowałem się w stronę najbliższej klatki schodowej i zszedłem do piwnicy. W podziemiach zwykle jest cieplej, nie czuć też wiatru wpadającego przez rozbite okna. Jeśli do tego pomieszczenie jest odpowiednio duże i wentylowane, można w miarę bezpiecznie rozpalić ogień, bez obaw, że ktoś lub coś z zewnątrz dostrzeże jego blask.

Drzwi do piwnicy były zamknięte, ale za pomocą łomu szybko sobie z nimi poradziłem. Podziemie podzielono na dwa duże pomieszczenia, oba zawalone porzuconymi teatralnymi gratami. Jakieś plansze, elementy dekoracji, duże zamknięte skrzynie. Nigdy nie interesowałem się pantomimą, teraz tym bardziej nie zaczęę. Światło latarki ślizgało się po pomieszczeniu, gdy nagle kątem oka zobaczyłem stojącą nieopodal postać. Serce gwałtownie podskoczyło mi w piersi, instynktownie uniosłem nóż i oświetliłem miejsce, gdzie stała. Mimowolnie uśmiechnąłem się do siebie, widząc manekina ubranego w balową suknię. Ze strony tej damy nic mi chyba nie grozi. Dokładnie obszedłem obie części piwnicy, nie znajdując niczego niepokojącego. Odkryłem ślady bytności szczurów, co dodatkowo mnie uspokoiło. Jeśli są tu gryzonie, to na pewno nie ma ślepych kotów.

Oczyściłem kawałek podłogi w rogu pomieszczenia, przygotowałem miejsce na niewielkie ognisko. Połamałem jedną z drewnianych skrzyń na opał, z kawałków szmat będących kiedyś elementami scenografii zrobiłem prowizoryczne poślanie. Schowałem plecak, ale postanowiłem jeszcze nie rozpalać ognia. Chciałem rozejrzeć się po budynku. Skoro nikt go nie splądrował, może znajdę coś ciekawego? Warto też przy okazji wejść na dach i sprawdzić, czy zarażeni nie idą moim tropem.

Opuściłem piwnicę, kierując się na górne piętra. Stwierdziłem, że zacznę od wypadu na dach, a później, schodząc, będę przeszukiwał budynek. Dzięki temu od razu dowiem się, czy jestem tu w miarę bezpieczny. Szybko pokonałem pogrążone w półmroku dwa piętra i odnalazłem wyjście na dach. Wyłamałem niewielkie drzwiczki, uchyliłem je i wyjrzałem ostrożnie. Szarzejąca okolica była pogrążona w ciszy, nie dostrzegłem żadnego ruchu. Ostrożnie wychyliłem się bardziej, zlustrowałem niebo, ale tam również nie zauważyłem zagrożenia. Oczekałem jeszcze kilkadziesiąt uderzeń serca i wyszedłem na płaski dach. Położyłem się na brzuchu i podpełzłem do krawędzi. Z tej wysokości śnieg i drzewa parku Skowroniego tworzyły czarno-biały wzór. Przez kilka minut leżałem, wpatrując się w niego, lecz na szczęście nie zauważyłem śladów pogoni. Powoli zaczynałem wierzyć, że wyjdę cało z tej awantury. Przez głowę przeszła mi myśl, żeby jednak zaryzykować powrót do domu jeszcze dzisiaj. Szybciej mógłbym podać leki Julce, Kasia też na pewno się zamartwiała. W końcu to miał być jednodniowy wypad. Wahałem się chwilę, ale uznałem, że powrót teraz wiązałby się ze zbyt dużym ryzykiem. Zarazonych nie widziałem, ale blade słońce jeszcze nie zaszło. Jeśli wyruszą moim tropem pod osłoną nocy, lepiej nie prowadzić ich wprost do mojej rodziny. Niebezpieczeństwo pogoni było wprawdzie niewielkie, sądziłem, że strzelanina i jatka przy głównym wejściu skutecznie odciągnęły ich uwagę, niemniej jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże. Chyba że zginął w Ostatniej Wojnie.

Kolejny już raz od czasu Zagłady pomyślałem, jak wiele luksusów braliśmy kiedyś za coś oczywistego. Na przykład takie telefony komórkowe. Ile dałbym teraz, żeby móc zadzwonić i powiedzieć żonie: „Słuchaj, sprawy się przeciągnęły, ale jestem cały. Wróć rano, ucałuj ode mnie Julkę”. Zadowolilibym się nawet durnym eśemesem, chociaż kiedyś ich nie lubiłem.

Westchnąłem ciężko i poczołgałem się z powrotem do budynku. Pobieźnie przeszukałem górne piętro teatru. Salki wykładowe, pomieszczenia do prób, jakieś gabinety. W pokoju wyglądającym na garderobę znalazłem stylowy damski kapelusik z piórkiem, który zabrałem ze sobą. Kasi na pewno się spodoba. Rozejrzałem się nieco dokładniej, w jakimś kufrze odkryłem dwie śmieszne teatralne maski i trzy pacynki. Wziąłem je ze sobą z myślą o Julce, przyda jej się coś nowego do zabawy, kiedy już wyzdrowieje.

Pierwsze piętro teatru nie kryło niczego ciekawego, więc szybko zszedłem na parter. W pomieszczeniu wyglądającym jak połączenie kuchni z pokojem socjalnym odkryłem prawdziwy skarb. Pokryty szronem, nietknięty automat z przekąskami! Zamrożone batony, paczki ciastek, a nawet zupki instant. Wszystko na pewno przeterminowane, ale nie sądziłem, żeby dało się zatruć batonem, który kilka lat był zamrożony. To, co kiedyś nazwalibyśmy śmieciowym jedzeniem, dziś stanowiło wartościowy dodatek do diety. Zacząłem przeszukiwać szafki, tyle jedzenia nie zmieściłoby się do mojego wypchanego lekami plecaka. Trafiłem na dużą płócienną torbę i z miną zwycięzcy rozbiłem łomem przeszkloną ściankę automatu. Oszronione szkło z brzękiem posypało się na podłogę. Zawsze chciałem zrobić coś takiego. Beładnie pakowałem zdobycz do torby, zupełnie bez sensu spiesząc się, jakby ktoś miał mnie przyłapać na okradaniu automatu. Zabrałem jeszcze znaleziony w jednej z szafek niewielki garnek i ruszyłem w kierunku piwnicy. Zatrzymałem się przy tylnych drzwiach teatru i nabrałem do rondla trochę śniegu. Zadowolony z łupów, zszedłem do tymczasowej kryjówki.

W moim kącie rozpałiłem niewielkie ognisko, dym ulatywał w stronę klatki schodowej, więc zatrucie czadem raczej mi nie groziło. Otuliłem się szmatami, roztopiłem śnieg w rondlu i rozrzutnie rozpuściłem w nim zawartość dwóch torebek zupek

błyskawicznych. Dziś na kolację zurek z grzankami. Siorbiąc gorącą chemiczną zupkę, rozmyślałem o rodzinie. Kasia pewnie kładzie już Julkę spać, zamartwiając się o mnie. Na szczęście jedzenia im nie brakowało. Jutro zaraz po wschodzie słońca wyruszę do domu. Zamierzałem czuwać całą noc, ale zmęczenie i gorący posiłek zrobiły swoje. Zapatrzony w ognisko, zasnąłem na siedząco, słuchając cicho trzaskających płomieni.

•••

Poranek powitał mnie chłodem zastanych mięśni i bólem zgiętego przez całą noc kręgosłupa. Ognisko oczywiście już dawno zgasło, wystygły popiół nie dawał ciepła. Z trudem wstałem i zrzuciłem z siebie szmaty, którymi byłem owinięty. Zrobiło się jeszcze zimniej, szybko zacząłem się rozciągać, żeby przywrócić krążenie. Zamiast śniadania pochłonałem łączywie na wpół zamrożony baton, lekko chrzęścił w zębach, ale powinien dostarczyć wystarczająco dużo energii. Na wszelki wypadek dokładnie zdeptałem resztki ogniska, zebrałem swój dobytek i ponownie skierowałem się na dach. Rzut oka z wysokości upewnił mnie, że zarazeni nie podjęli nocy mojego tropu. Wokół panowała martwa cisza, którą uznałem za dobry znak.

Wyszedłem tylnymi drzwiami teatru i ruszyłem na południe, w stronę naszej kryjówki. Przemieszczałem się podwórkami domków jednorodzinnych przy tych wszystkich drzewnych ulicach. Jarzębinowa, Dębowa, Wiązowa, Cisowa – teraz już tylko nazwy wskazywały, co na nich kiedyś rośło. Dziś martwe drzewa, często z rozsadzonymi mrozem pniami, wszystkie wyglądały tak samo. Większość ze stojących tu willi splądrowałem już dawno temu. W kilku znalazłem zwłoki mieszkańców, w jednej na oszronionym sznurze zwisał z sufitowej belki zamarznęty trup samobójcy. Przywykłem do widoku śmierci, ale ciche skrzyknięcie tej liny do dziś czasem prześladowuje mnie w snach.



Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, na wrocławskich Krzykach większość domów stoi dziś pustych. Prawdopodobnie ich właściciele byli gdzie indziej, gdy zaczęła się Ostatnia Wojna, albo próbowali opuścić miasto w jej pierwszych godzinach lub dniach. Zwłoki niektórych leżą pewnie niedaleko, czekając głęboko pod śniegiem na nadejście wiosny. Nawet jeśli niektórym udało się wydostać z Wrocławia, nie sądzę, żeby gdzie indziej było cieplej. Bezpośrednio na Krzyki nie spadły żadne bomby, inne dzielnice miasta wyglądały znacznie gorzej. Tylko raz próbowałem przedostać się do Śródmieścia i obiecałem sobie, że więcej tego nie powtórzę.

Jakieś dwieście metrów od domu wyszedłem z podwórka na ulicę. W świeżo spadłym puchu zobaczyłem odciski stóp. Trzy osoby, w butach. Dwójka dorosłych i dziecko. Poszedłem kawałek ich śladem, trop prowadził w stronę kryjówek! Wyszarpnąłem pistolet z kabury i znów puściłem się biegiem. Zobaczyłem ich z daleka: dwie wyższe postaci, między nimi niższa. Zwolniłem nieco i zszedłem z widoku, na wypadek gdyby któremuś z nich nagle zachciało się odwrócić. Przemykałem ukradkiem od osłony do osłony, systematycznie zmniejszając dystans. Jeden z wyższych (sądząc po sposobie chodzenia, uznałem go za mężczyznę) niósł na plecach podłużny przedmiot. Początkowo sądziłem, że to karabin, lecz chwilę później przyjrzałem się dokładniej. Narty. Wśród tropów zacząłem dostrzegać drobne kropelki krwi. Wcześniej jej nie było, znaczy mieli rannego, któremu nie wytrzymał opatrunek.

Byli już niedaleko naszego lokum, choć ich tempo można było nazwać ślimaczym (oczywiście o ile jakiś ślimak przeżyłby na tym mrozie). Postanowiłem ich nie zaczepiać, rzecz jasna, jeśli spokojnie miną schronienie. Wyglądali, jakby próbowali uciec z miasta. Najmniejszy z wędrowców przewrócił się, padając twarzą w śnieg. Dwójka dorosłych zatrzymała się, ten, którego uważałem za kobietę, podniósł malca na nogi. Ruszyli dalej, ale zaraz potem dziecko znów

upadło. Nagle przestałem być taki pewny, czy dadzą radę choćby minąć nasz blok. Próbowali posuwać się naprzód, lecz parę minut później upadł mężczyzna. Kobieta próbowała pomóc mu wstać, dobiegł mnie cichy płacz dziecka, któremu zawtórowało głośniejsze łkanie. Miałem wrażenie, że szloch nie wyrażał cierpienia wywołanego zimnem czy obrażeniami, ale całkowitą beznadzieję i rezygnację.

Wychodząc z ukrycia, tłumaczyłem sobie, że przecież muszę coś z tym zrobić. Jeśli tu zostaną, ściągną zarazonych w pobliże mojej rodziny. Wmawiałem sobie, że widok tego dziecka na śniegu, leżącego mężczyzny i płaczącej kobiety nie robi na mnie wrażenia. Zbliżyłem się do nich z bronią w ręku.

– Nie podchodź! – Duży nóż w drobnej damskiej dłoni okrytej cienką rękawiczką wyglądał jakoś żałośnie. – Stój!

– Nie zrobię wam krzywdy – zapewniłem, patrząc w jej rozszerzone przerażeniem oczy. – Co się stało?

Wciąż w panice spoglądała na pistolet, jej wahanie było niemal bolesne. Leżała na śniegu ubrana w liche, połatane ciuchy, tuląc do siebie zawiniętego w za dużą kurtkę chłopczyka, a puch wokół jej nieprzytomnego partnera powoli nabierał szkarłatnej barwy. Szczerze wątpiłem, żeby w którymś z chudych plecaków miała coś, co mogłoby pomóc im w tej sytuacji.

– Tata jest ranny – powiedziało dziecko.

Kiedyś, gdy globalna zagłada stanowiła zaledwie literacką fikcję, przyjęło się uważać, że ludzie będą dzielić się na dwa rodzaje. Tych, którzy stanowią zagrożenie, oraz takich, którzy są ciężarem. Dziś już wiedziałem, że życie to nie książka, a oni po prostu tu umrą. Schowałem pistolet do kabury i wyciągnąłem rękę do leżącej.

– Chodźcie, mieszkam niedaleko.

# WYKŁĘCI

## Michał Gołkowski

1947



Ognia!

Pepesze zaterkotały, karabin maszynowy plunął ołowiem, wyrzygując przez gęstwinę zielonego lasu zabójczy rój pocisków, rwących i siekających wszystko na swojej drodze. Huknęły detonujące granaty, potem w ten morderczy chór wgrzył się znajomy suchy trzask niemieckich pistoletów maszynowych i pojedyncze wystrzały pistoletowe.

Major Tuchajew kliknął przyciskiem stopera, gdy ucichło i przebrzmiało echo ostatniego wystrzału. Trzy i pół minuty. Tyle zajęło im zlikwidowanie gniazda oporu leśnych bandytów.

– Ciała ułożyć w rzędzie, do rozpoznania. Towarzyszu, dawajcie tutaj z tym fotoaparatem! Potrzebne będą zdjęcia, dokumentacja. Żywo, do roboty!

Ludzie zakręcili się po placu boju, ściągając trupy za nogi na niewielką polankę.

Tuchajew przeszedł się po zakamuflowanym obozowisku, zajrzał do ziemianki. W powietrzu wciąż wisiał smród prochu i spalenizny, pachniało rozgrzanym ołowiem i... ludzkimi włosami.

Potrząsnął głową, sięgnął do kieszeni po tabakierę i zażył trochę zbawiennego czarnego proszku. Odkąd weszli do tamtego obozu na południu Polski, nie potrafił się pozbyć uporczywego zapachu z

nozdrzy. Wiedział, że to złudzenie; był tego pewien. A mimo to zawsze, wszędzie, nieustannie czuł swąd zwęglającego się ciała i palonych włosów.

– Towarzyszu majorze, popatrzcie tylko!

Przeszedł nad ciałem młodej dziewczyny, otaksował wzrokiem ponurego wąsacza z dziurą w głowie. Twarz wydała mu się znajoma, ale kiedy widziało się tak wielu martwych ludzi... Podszedł bliżej do tego, co pokazywał mu młody podporucznik.

Na szyi jednego z bandytów wisiał naszyjnik – dziwny, nietypowy naszyjnik. Tuchajew nachylił się bliżej, niepewny tego, co widzi. A potem gwałtownie odsunął, zatkał usta dłonią.

– Nieźle, co, towarzyszu majorze? – Podporucznik zdawał się nie być w najmniejszym stopniu wstrząśnięty. – Pokażna kolekcja. To muszą być ci, o których pisała nam lokalna milicja.

– Mój dobry Bo... – chciał powiedzieć major, ale zreflektował się, odchrząknął.

– Co najmniej trzydzieści sztuk, towarzyszu majorze. Wnosząc po rozmiarze, również dziecięce.

Tropili tę bandę od miesięcy. Szlak przejścia leśnych terrorystów znaczyły rzezie i okrucieństwa, spalone wsie i bestialsko pomordowani żołnierze... Nawet miejscowi powiadali, że to nie ludzie, ale upiory wychodzą nocami z lasu, żeby mścić się na żywych. Major nie wierzył w takie brednie. Przeżył cztery lata wojny ojczyźnianej, wiedział, co potrafi ona zrobić z ludźmi.

Wiedział, co zrobiła z nim.

– Zróbcie dokładne zdjęcia – polecił Tuchajew. – Ze zbliżeniami! I niech wam się nie wydaje, że...

Nagle urwał, patrząc na martwego bandytę. Nie na naszyjnik z odciętych uszu, ale na jego twarz. Twarz, którą widział już kiedyś, lata temu... Potrząsnął głową, jakby nie mogąc uwierzyć. Przykucnął nad ciałem, odgarnął z czoła trupa kosmyk włosów.

– Marfiejenko! – wydarł się. – Marfiejenko, do mnie!

Adiutant podbiegł, zarył obcasami w mech.

– Marfiejenko, popatrzcie na tego tam. – Tuchajew pokazał palcem.

– I powiedzcie, czy wam kogoś nie przypomina.

Adiutant wrzucił ramionami, pochylił się nad ciałem. Spojrzał pytająco na przełożonego.

– Towarzyszu majorze, ale to przecież...

Tuchajew jednak nie słuchał, bo podszedł do ponurego węża. Gdyby nie czapka, to... Próbując powstrzymać dreszcz, przeszedł wzdłuż rzędka trupów, zatrzymał się jeszcze nad jednym, potem przykucnął nad innym – z wyglądu wnosząc, potomkiem dalekiego Kaukazu. Tak, to te twarze!

Gestem przywołał do siebie adiutanta, pokazał. Ten rozłożył ręce, chciał coś powiedzieć, ale major pokazał mu: ciszej! Złapał go za ramię, pociągnął głębiej w las, klarując coś po drodze.

Żołnierze patrzyli na to, nie rozumiejąc. Czekali. Któryś wyciągnął i zapalił skręta z machorką, kilku przysiadło przy kociołku, pełnym wciąż gotującej się kaszy. Dwaj patrzyli z ukosa na stojącego w oddaleniu dowódcę, zerkając na pustą ziemiankę i leżące obok niej stygnące ciało młodej dziewczyny: zdążą czy nie...? W końcu jeden z nich machnął ręką, rzucił coś półgłosem, jego towarzysz zaśmiał się gardłowo. Kapral z ciekawością wyciągnął z pochwy martwego bandyty kozacką szaszkę, na próbę machnął w powietrzu, dotknął naostrzonej jak brzytwa klingi. Kilku szeregowców ukradkiem przetrząsało kieszenie i sakwy zabitych w poszukiwaniu kosztowności.

W końcu dowodzący chyba coś ustalili, bo Marfiejenko zasalutował i wrócił do czekających żołnierzy. Podszedł do kierującego akcją czekisty, wydał rozkazy. Major stał w oddaleniu, tyłem do nich. Wnosząc po krótkich ruchach prawej ręki, chyba pił wódkę z piersiówki, którą nosił w kieszeni płaszcza.

Podczas gdy żołnierze wrzucali ciała do ziemianki, zwalali dach i przysypywali ziemią, kilku wyznaczonych bojców ściągnęło cztery wskazane przez kapitana ciała na środek polany. Ułożyli je na podwyższeniu z bierwion, obłożyli świeżą, żywiczną sośniną. Spuścili z baków motocykli paliwo, dokładnie oblali stos i podpalili.

Wcześniej Marfiejenko wziął od jednego z nich siekierkę, uciosał cztery paliki i z kamienną twarzą wbił każdemu trupowi w serce.

Major nie powiedział adiutantowi wszystkiego, ale ten domyślił się reszty. Tuchajew patrzył teraz z oddali na wznoszący się ponad lasem słup sinoczarne dymu i poruszając bezgłośnie ustami, modlił się. Tak, jak uczyła go w młodości babka; dokładnie tymi słowami, za które ojciec lał go pasem do krwi. Modlił się, gdyż wiedział, że rozum nie potrafi wytłumaczyć obecności tych ludzi tutaj, w tym lesie, po tylu latach.

### ***Dzisiaj***

Wysoki, szczupły brunet z nienagannym rosyjskim akcentem pachniał ledwo wyczuwalną nutą cytrusowej werbeny. Poprosił zupełnie kurtuazyjnie, żeby towarzysz generał nie wstawał, położył na blacie stolika przed nim wizytówkę opatrzoną logo jednego z poczytnych moskiewskich tygodników. Tuchajew trzęsącą się ręką uniósł karteczkę bliżej do oczu, z trudem odcyfrował nazwisko.

– Więc to wy teraz piszecie historię – skwitował, patrząc na młodego pismaka.

– Dziękuję, że zgodziliście się mnie przyjąć, towarzyszu generale. To prawdziwy zaszczyt móc porozmawiać osobiście z tak zasłużoną dla naszej Ojczyzny osobistością.

Tuchajew skrzywił się w duchu na takie nadużycie nomenklatury. Gówniarz nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, więc ani obok „towarzyszy”, ani Ojczyzny – JEGO Ojczyzny – nawet wózkem

w dzieciństwie nie przejeżdżał. Na zewnątrz tylko się uśmiechnął.

– Polecili was ludzie, jak to mawiano w moich czasach, nieostatni. O czym to chcecie ze mną pomówić, młody człowieku?

Dziennikarz przesunął coś i chyba nacisnął na ekranie telefonu, o ile można było nacisnąć jednolitą czarną powierzchnię. Już nawet nie dyktafony, pomyślał sobie generał. Wszystko wokół się zmieniało, jego pokolenie też odchodziło nie to, że do lamusa, ale do ziemi. Ech...

– Interesuje mnie pańska działalność naukowa, towarzyszu generale. Wasze badania archiwalne w latach sześćdziesiątych były, jak to już wielokrotnie podkreślano, iście tytaniczną pracą. Wydaliście sześć tomów monografii...

– Siedem – poprawił Tuchajew odruchowo.

– Siedem, przepraszam. Oczywiście. Siedem tomów monografii, poświęconej wyłącznie historii stosunków polsko-rosyjskich.

Generał skrzywił się, tym razem nie skrywając tego.

– Radzieckich. Zmienili to, dranie, w tym nowym, rzekomo uzupełnionym wydaniu. Nie powinienem był zgadzać się, żeby redaktor... Ach, nieważne. Ale tak, młody człowieku, w ogólnym rysie ma pan rację.

– Odebraliście, towarzyszu generale, nagrodę Za Zasługi dla Nauki drugiego stopnia w sześćdziesiątym piątym, pierwszego w siedemdziesiątym drugim roku. Tytuł członka honorowego Akademii Nauk oraz doktorat otrzymaliście w siedemdziesiątym czwartym. I potem, proszę wybaczyć bezpośredniość, przepadacie.

– Jeszcze tu jestem. – Tuchajew uśmiechnął się, sięgając po ciasteczko ze srebrnej patery. Słodczye kiedyś go zabiją, wiedział to; ale lata na froncie przyzwyczyły go, żeby spoglądać śmierci prosto w twarz.

– Tak, ale... Pan generał przestał w ogóle udzielać się aktywnie w środowisku naukowym. To znaczy roczniki naukowe, artykuły,

wykłady, to wszystko nadal trwało, ale znikła wasza aktywność.

– Młody człowieku. Jeśli przychodzicie tutaj, aby wytykać weteranowi, że zrobił w swoim życiu za mało, to wybaczone, ale...

– Pańska namiętność zgasła – rzucił dziennikarz. – Cokolwiek popchnęło pana generała do zajęcia się nauką, równo w siedemdziesiątym czwartym roku straciło jakiegokolwiek znaczenie. Przez ostatnie cztery dekady pańska działalność wynika wyłącznie z inercji. Jest pan jednym z najlepszych ekspertów archiwistyki, jacy jeszcze stąpają po tej ziemi... Ale to tylko raz nabrany pęd. Niczym lodolamacz, wciąż przebijający lód swoją masą, ale idący już na wyłączonym silniku.

Tuchajew przez chwilę chciał wyprosić gówniarza za drzwi tu i teraz, ale w końcu zmienił zdanie. Prychnął tylko pogardliwie:

– „Lodolamacz”! Proszę nie wymawiać przy mnie nawet tego słowa... Ten oszust, zdrajca, samozwaniec Riezunow! Gdziekolwiek się obrócić, wszędzie widzę jego paszkwile.

– Ma pan generał na myśli Solżenicyna?

– Riezunowa! – parsknął Tuchajew. – Wiktora Bogdanowicza zresztą. Tak ma naprawdę na nazwisko, proszę o tym pamiętać. I nigdy, przenigdy nie był szpiegiem! Bezcelny łysy konus, chcący wybić się na cudzej sławie.

Młody człowiek najwyraźniej miał odmienne zdanie, ale też na tyle oleju w głowie, żeby się z nim nie obnosić. Tuchajew ze zdenerwowania zjadł jeszcze dwa ciasteczka, strzepnął okruszki z kolan i zapytał:

– Więc? O czym chcieliście ze mną mówić? Ale ostrzegam, młody człowieku, że jeśli jeszcze raz wymówicie wiadome nazwisko...

– Milczę jak grób.

– No! I tak ma być.

– Tak jest, towarzyszu generale!

Przez chwilę rzeczywiście milczał, potem zreflektował się, że



generał patrzy na niego wyczekująco znad oprawek grubych okularów.

– Ach tak. No więc, chciałem zapytać pana generała: co konkretnie popchnęło go do archiwistyki? A najważniejsze, co takiego wpłynęło na gwałtowny koniec tej burzliwej miłości?

Tuchajew, nieco udobruchany, pokręcił głową.

– Ech, młody człowieku. Każda miłość w życiu ma swój początek, przeważnie niespodziewany... I jeszcze mniej oczekiwany koniec. Wy żonaty?

Dziennikarz uniósł dłoń z wyraźnie odcisniętym śladem po obrączce.

– Już nie.

– Przyjmijcie wyrazy współczucia.

– Rozwiedziony.

– Zatem moje najszczerze gratulacje! Więc tym bardziej rozumiecie, że coś się w życiu zaczyna i coś się kończy. Podobnie ja nasyciłem się naukami archiwalnymi i zdecydowałem, że pora poświęcić się czemuś innemu...

Dziennikarz chwilę świdrował wzrokiem Tuchajewa, który, zadowolony z siebie, splótł palce na brzuchu i uśmiechał się dobrotliwie.

– Czemu konkretnie?

– Słucham? – zdziwił się generał.

– Czemu konkretnie się pan generał poświęcił?

– No cóż, były, pfff, różne... – Tuchajew zrobił ręką nieokreślony gest. – Zajęcia. Młodzi koledzy po fachu potrzebowali rad, rozumiecie? I potem, gdy upadł ZSRR, pojawiła się masa materiału do skatalogowania. Pełniłem funkcję doradcy przy trzech kolejnych prezydentach Federacji, a teraz...

– Nie robił pan nic – przerwał mu młody człowiek. – Dokładnie, konkretnie, absolutnie nic. Sprawdziłem pańską historię po

siedemdziesiątym czwartym roku. Wszystkie zajęcia, każda posada, wszelkie zadania, których się pan generał miał, zostały mu zaproponowane. Niektóre wręcz wciśnięte siłą. Od czterech dekad, pan generał wybaczy dosłowność, patrzy pan, jak świat przelatuje obok. Powtarzam zatem moje pytanie: w czym pańska miłość znalazła swoje spełnienie?

– Młody człowieku! Wasze pytania stają się znów impertynenckie, a ja nie pozwolę, aby w moim własnym mieszkaniu...

– Co takiego pan generał odkrył, czego szukał przez te lata?

Tuchajew poprawił się w fotelu, sięgnął i zapalił stojącą lampę. Zawsze czuł się lepiej, kiedy to jego rozmówca musiał patrzeć pod światło. Przeciwnik odkrył już karty, teraz on przeszedł do rozpoznania bojem.

– Skąd przypuszczenie, że czegoś szukałem?

– W czterdziestym ósmym zostaje pan generał przeniesiony do rezerwy. Jak wnoszę, na własną prośbę, bo awans dostaje dopiero dwa... trzy lata później. – Pismak zerknął do notesu. Przygotował się, swołocz. – Od czterdziestego czwartego do czterdziestego siódmego zajmował się pan generał tym, co nasi zachodni współbracia nazywają „utrwalaniem systemu”, czyli...

– Proszę nie pouczać mnie o terminach, które sam pomagałem ukuć.

– Tak, oczywiście. Wcześniej był pan członkiem specjalnej komórki NKWD, bezpośrednio uczestniczącej w tworzeniu struktur władzy podczas odsuwania linii frontu od granic ZSRR we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, działającej w rejonie Mińska białoruskiego aż do napaści faszystów w czerwcu czterdziestego pierwszego.

– Wiarołomnej napaści, młody człowieku.

Dziennikarz popatrzył na generała, zdziwiony, ale zapisał coś w swoim notesiku.

– Słowem, nie był pan generał nigdy typem uczonego. Prowadził pan czerwonoarmiejców do boju, tropił i likwidował reakcyjne bandy na zachodniej Białorusi i Ukrainie, walczył z ukrywającymi się w lasach terrorystami po wojnie. A potem nagle prowadzi pan ostatnią, wzorową akcję i wycofuje się ze służby czynnej. Co się stało?

Tuchajew nie mówił nic. W końcu westchnął ciężko i zapytał:

– Skąd o tym wiecie, młody człowieku? Nie będę zaprzeczał, ale to informacja nadal opatrzona glifem „tajne”.

– Jak pan generał sam raczył zauważyć, rekomendowali mnie nieostatni ludzie.

Starzec pokiwał głową.

– Zatem widzieliście zdjęcia. Czego jeszcze nie wiecie? Okrucieństwo wojny dało o sobie znać. Poczulem, że trzeba, jak to się u nas mawia, ZAWIĄZAĆ. Skończyć z tym.

– Pan generał wybaczy, ale teraz ja czuję się urażony. Niestety, ale nasza rozmowa kończy się tu i teraz. Do widzenia, panie generale.

Oślupiały Tuchajew patrzył, jak młody człowiek wyłącza nagrywanie w telefonie, zbiera ze stolika swoje zapiski i zaczyna pakować wszystko do skórzanej aktówki. Zamrugał, pomachał ręką.

– Ejże, młody człowieku! Nie chcecie dowiedzieć się, jak to było?

– Chciałem prawdy, panie generale, a nie gładkich kłamstw. Do widzenia.

Tuchajew odczekał, aż tamten ruszy i dojdzie do drzwi, po czym rzucił:

– Chodziło o twarze tamtych ludzi. Widziałem ich już wcześniej.

Dziennikarz stanął, obejrzał się. Czekał na coś więcej, rozważał, czy wyjść już, czy dać generałowi szansę... A Tuchajew wsparł czoło na palcach, przymknął oczy i wyrzucił z siebie przez ściśnięte gardło:

– Martwych.

– Panie generale, jestem redaktorem szanującego się tygodnika popularnonaukowego i kulturoznawczego. Jeśli usiłuje mi pan wmówić, że zajął się pan archiwistyką z powodu proroczego snu...

Tuchajew pokazał na krzesło.

– Siadajcie, młody człowieku.

– Myślę, że jednak podziękuję...

– No już, siadajcie. Siad! Ale to już!

Młody człowiek podskoczył, posłusznie wrócił na swoje miejsce i usiadł grzecznie, trzymając teczkę na kolanach. Tuchajew uśmiechnął się, unosząc do ust filiżankę: nie wyszedł jeszcze do końca z formy. Tak, z podobną inteligentką gówniarzerią trzeba krótko i treściwie.

– Widziałem już tych ludzi wcześniej – powtórzył generał. – Trzy lata wcześniej, precyzyjnie mówiąc. Wszyscy zginęli w powstaniu warszawskim.

– Pan generał raczy żartować?

– Nie. Mówię śmiertelnie, absolutnie poważnie. Każdy z nich zginął w czterdziestym czwartym roku na barykadach płonącej Warszawy.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, potem Tuchajew warknął, niezadowolony:

– Pomóżcie mi wstać. Podajcie rękę, chłopcze!

Opierając się na ramieniu dziennikarza, przeczłapał do sąsiedniego pokoju. Gdy weszli, tamten aż sapnął z wrażenia.

– Ależ to jest... – wydukał, rozglądając się.

– Archiwum.

Całą powierzchnię ścian, od samej góry aż do wysokości lamperii, pokrywały zdjęcia. Duże i małe, oprawione w ramki i wsadzone pomiędzy szklane tafle, czarno-białe, brązowe, w odcieniach sepii i nawet nieliczne kolorowe. Część musiała przejść ciężkie koleje losu, bo postrzępione rogi, przebarwienia, ślady spalenizny i wody

nieodmiennie znaczyły je bliznami. Inne natomiast wyglądały, jakby dopiero co wyszły z ciemni zakładu fotograficznego.

– Jesteście pierwszą osobą, jaka tu wchodzi od śmierci mojej żony – zastrzegł Tuchajew. – Więc proszę docenić i uszanować moje zaufanie, bo zastrzelę jak psa!

Dziennikarz niespokojnie zerknął w kierunku potężnego dębowego biurka, na którego blacie leżał pistolet. Kiwnął głową. Tuchajew poklepał go dobrodusznie po ramieniu.

– Żartuję. O, popatrzcie tu. I tu!

Dwa niczym niewyróżniające się z całej masy zdjęcia wisiały ot, tak sobie na ścianie. Ukryte w tłumie, schowane na widoku publicznym... Dziennikarz przyjrzał się jednemu z nich, sięgnął po lupę z półki. Potem przysunął się do drugiego, pochylił i długo wpatrywał w widoczne na nim twarze.

– To... oryginał?

– Oczywiście! – Tuchajew parsknął. – Młody człowieku, no doprawdy. Zdjęcie wykonane raptem godzinę przed szturmem Niemców na barykadę, klisze cudem ocalały. Proszę zwrócić uwagę na drugą twarz od lewej i stojącego w tyle mężczyznę. Ach, i na cień fotografa.

Dziennikarz długo wpatrywał się w zdjęcie, w końcu zaryzykował:

– To idiotyczne, ale on ma... ogon?

– Szabla! – Generał klepnął go w ramię. – Szabla, rozumiecie? A zachodziliśmy kilka tygodni w głowę, co to może być... Nietypowa, bo bez jelca.

– Słucham?

– Ech, wy młodzi... Bez tej, o, osłony. Mamy więc tego. – Pokazał palcem. – Tego... I fotografa.

– I pan generał sugeruje, że są podobni...?

Tuchajew ciężko opadł na fotel.

– Nie są podobni. Nie są nawet identyczni. To ci sami ludzie, młody

człowieku. Ci sami, których widzieliście w aktach. Przy okazji, ile fotografii wam udostępniono?

– Wszystkie...?

Generał pokazał ruchem ręki, żeby dziennikarz znów pomógł mu wstać. Podszedł do biurka, otworzył drzwiczki szafki. W środku był sejf, więc gość odwrócił się kulturalnie, a gospodarz szybkimi, pewnymi siebie ruchami przekręcił pokrętła, złapał za rączki, pociągnął... Cholera, znów nie to! Wyzerował mechanizm, wprowadził jeszcze raz. Diabelne, starcze, nieposłuszne palce. W końcu otworzył schowek, sięgnął i wyjął ze środka sfatygowane, pokryte poobijaną emalią pudełko po herbatnikach. Popukał palcem w pogieęte wieczko.

– To, młody człowieku, jest warte więcej niż całe archiwum Instytutu Naukowego. Kazałbym wam wstać, ale i tak stoicie... No cóż, musi wystarczyć.

Z niemalże nabożną czcią zdjął pokrywkę. W środku było kilka szarych, nieoznakowanych, lekko przybrudzonych kopert. Jedna z nich nosiła wyraźne ślady czegoś tłustego.

– Moja pierwsza żona, daj jej, Panie, Carstwo Niebieskie, robiła wyborną soliankę – mruknął Tuchajew. – Ale nigdy nie potrafiła zrozumieć, że mężczyzna musi mieć swoje „święte świątych”. Proszę, popatrzcie na to. I spróbujcie mi powiedzieć, że to nie ci sami ludzie.

Lewą ręką podał mu kopertę, prawą parę białych rękawiczek. Dziennikarz ostrożnie wyjął z brązowego papieru plik fotografii, rozłożył na stole... Wzdrygnął się: na jednej z nich dobrze widoczny był ułożony z ciał, płonący stos. Kolejne obrazowały leżące w rzędku dziewięć trupów, następnie zbliżenia twarzy, szczegóły ubrania. Odłożył na bok jedno, potem jeszcze drugie, trzecie. Tuchajew obserwował go uważnie, kiwając głową.

– Dokładnie tak. I jeszcze jedno, ciekaw jestem, czy... Tak, właśnie

to. Teraz to widzicie?

Chłopak ujął w rękę jedną z fotografii, podszedł znów do ściany. Dłuższą chwilę szukał właściwego zdjęcia w tłumie innych, w końcu schylił się, porównał. Odwrócił się, wyraźnie wstrząśnięty.

– To ten sam człowiek! Nawet ułożenie włosów...

– Tak. Zwróćcie uwagę, młody człowieku, co trzyma kapral Isajenka na fotografii oznaczonej na odwrocie numerem 6-V.

Dziennikarz podszedł do stolika, znalazł zdjęcie. Przyjrzał się zadowolonemu z siebie czerwoarmiście w czapce uszance.

– Szabla... – szepnął.

– Konkretnie: gruzińska szaszka, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa początek dziewiętnastego wieku. Może nawet wcześniejsza, zważywszy na... Nieważne, nie będę was zamęczał szczegółami. Dość, że jest to ta sama broń, która pojawia się też w pozostałych zbiorach, co wskazuje, że...

– Pozostałych?!

Tuchajew wypuścił powietrze nosem, wyraźnie rozbawiony.

– Tak. Usiądźcie, młody człowieku, a ja opowiem wam resztę tej historii... A może powinienem raczej powiedzieć: pokażę, jak daleko dotarłem w poszukiwaniach jej początku.

Wyjął z pudełka następną kopertę, nałożył drugą parę rękawiczek i zaczął po kolei układać zdjęcia na stole.

– To część materiałów z likwidacji getta warszawskiego, odzyskanych z archiwum Generalnej Guberni... Zwróćcie uwagę na człowieka leżącego o, tutaj, na trotuarze. Nie widać szczegółów, ale sam kształt nosa, widoczny łuk brwiowy i cienie oczodołowe sugerują, że może być to...

Zawiesił głos. Dziennikarz przesunął ręką nad blatem, wysunął jedną z fotografii z likwidacji obozu partyzantów.

– Dokładnie tak. Oczywiście to tylko domysły, ale zauważcie, młody człowieku, że tego osobnika... nazwałem go roboczo „Blondynem”,

na potrzeby identyfikacji... nie widać na żadnym innym zdjęciu z archiwum czwartego, poświęconego właśnie wydarzeniom warszawskim czterdziestego czwartego roku. Wniosek? Musiał zginąć, zanim wykonano pozostałe fotografie.

Młody człowiek przełknął ślinę, pokręcił głową.

– Ilu ich było, panie generale?

– Doliczyłem się czterech. – Tuchajew pokazał na kilka fotografii. – Blondyna już widzieliście, tutaj, w cieniu, to Gruzin. Lekko rozmazany jest Szlachcic, a ten tu to z kolei Kosynier...

Jego rozmówca nachylił się nad zdjęciem.

– Co on trzyma w ręku?

– Wygląda to na łopatę śmigła od zestrzelonego sztukasa. Ktoś nawet określił kiedyś konkretny model i numer boczny maszyny, ale w tej chwili nie pamiętam. – Generał machnął ręką. – Osadzona na trzonku od szpadla i zaostrzona. Prymitywna, ale potworna broń, zapewniam pana.

Dziennikarz patrzył na zaciętą wąsatą twarz, jak gdyby próbując wyczytać z niej coś więcej.

– Wygląda... Faktycznie, jak kosynier – zgodził się w końcu. – Proste rysy twarzy, ręce nawykłe raczej do pługa niż kierownicy. I to piórko na rogatywce.

– Brawa za spostrzegawczość. Kojarzycie go już z archiwum sześć?

– Mój dobry Boże...

Tuchajew pokiwał głową zupełnie poważnie.

– To samo powiedziałem wtedy: „mój dobry Boże”. Wierzycie czy to tylko z racji oficjalnego kodu kulturowego?

– Jestem prawosławny.

– Czyli kod kulturowy. A ja, rozumiecie, po tamtej akcji uwierzyłem. Zacząłem się modlić, chadzałem do cerkwi. Między innymi dlatego musiałem odejść ze służby, he, he...

Przez chwilę nie mówił nic, pozwalając, żeby do dziennikarza



dotarło znaczenie tego, co mu pokazywał. Potem jednak tamten uśmiechnął się nieufnie.

– Panie generale, ale to może być przecież tylko przypadek. Twarze ludzi bywają podobne.

– Owszem – przyznał ochoczo Tuchajew.

– Niech zgadnę: to pan nalegał na stworzenie programu skanowania biometrycznego w latach dziewięćdziesiątych? Tego, który teraz wyszukuje terrorystów wśród imigrantów z południa?

– Żebyście tylko wiedzieli, młody człowieku, od ilu lat nad tym pracowaliśmy. Pierwsze próby, jeszcze na prymitywnych maszynach, prowadziliśmy pod koniec lat siedemdziesiątych...

– Nie!

– Tak, tak. Potrafiły odróżnić koło od elipsy, i na tym się kończyło. Ale położyliśmy podwaliny pod całą gałąź telemetrii, powstał szereg komórek badawczych, wyszukujących naszych zaginionych więźniów na zdjęciach z Mandżurii... Ech, historia. O czym to my...?

– To mógł być przypadek – przypomniał generałowi dziennikarz. – Czyste podobieństwo, zbieg okoliczności. Skąd pewność, że to ci ludzie? Przecież jeśli widać, że część z nich zginęła, to nie mogli być potem żywi w czterdziestym siódmym. Tak wskazuje logika.

– Niech pan weźmie do ręki zdjęcie Kosyniera, o, to... I mocno trzyma się krzesła.

Tuchajew wytrząsał fotografie z kolejnej koperty, opatrzonej cyfrą 3. Podał gościowi stare zdjęcie, na którym grupa żołnierzy w mundurach dawnego kroju pozowała na tle zniszczonego bunkra, czy może jakiejś dziewiętnastowiecznej twierdzy.

– Nie... – sapnął młody człowiek, zbliżając twarz do papieru. – To przecież niemożliwe...

Tuchajew uśmiechnął się tryumfująco.

– A jednak prawdziwe. Zidentyfikowaliśmy ostrze trzymanej przez niego broni jako pruski bagnet saperski, tak zwany liściowy.

Trzonek to dyszel od dwukółki zaopatrzeniowej, czapka z kolei to zapewne przerobiona niemiecka feldmycka. Fotografia datowana na tysiąc dziewięćset siedemnasty rok, najpewniej czerwiec. Podać panu dokładną lokalizację? Ustaliłem to na podstawie map sztabowych.

– Ale... To przecież... To ten sam człowiek!

– Tak. Wiem, co sobie teraz myślicie! Niech zgadnę: to ten sam człowiek, tylko że młodszy. Walczył w jednej wojnie, a potem w drugiej. Nie zmienił się szczególnie, bo minęło raptem dwadzieścia kilka lat. Zgadza się? Więc jak, jak?! Jak wytłumaczycie to?

Rzucił na stół kolejne zdjęcie. Scena w okopie, głowy w pikielhaubach... I patrzący wprost na fotografa Blondyn. Te same zimne, przenikliwe oczy, lekko zawadiacki wąs. Nawet niesforny kosmyk włosów wymykający się spod hełmu.

Tuchajew upajał się chwilą, patrząc, jak dziennikarz przenosi wzrok z jednego zdjęcia na drugie, porównuje, zbliża i oddala. Gdy młody człowiek w końcu chciał coś powiedzieć, generał uniósł palec.

– A, a, a! To bynajmniej nie wszystko. Teraz wytłumaczcie mi to... I jeszcze to.

Kolejne dwa zdjęcia. Na jednym oficer kawalerii, lekko śniady, z przylizanymi do tyłu włosami i wąską szablą bez jelca. Na drugim: scena z rozstrzelania, skazaniec z zasłoniętymi oczami przywiązany do słupa, oficer dowodzący plutonem egzekucyjnym wznosi rękę, gotów wydać ostateczną komendę.

– To oczywistość. – Tuchajew od razu zabrał fotografię z kawalerzystą. – Ale tutaj... Zwróćcie uwagę: sygnet rodowy na rękę oficera. Porównajcie z materiałami z archiwum cztery.

Pismak ułożył dwa zdjęcia obok siebie, sięgnął po lupę. Przyjrzał się i jęknął:

– Ten sam...

– Ten sam. I przyznam wam się, młody człowieku, że reagowałem

podobnie jak wy. Wychowany w duchu marksistowskiego racjonalizmu, szukałem wyjaśnienia, logicznego wytłumaczenia. Bo nawet mając przed sobą oczywiste fakty, umysł człowieka potrafi ich nie dostrzegać i poszukiwać zaprzeczenia. Trudno jednak kłócić się z materiałami źródłowymi.

Sięgnął po kolejną kopertę, ale dziennikarz powstrzymał go gestem.

– Kim... czym oni są?

– Nie wiem – odpowiedział po prostu Tuchajew. – Upiorami wojny? Powróćcami zza grobu? A może manifestacją tej samej narodowyzwoleniczej walki, toczonej przez Polaków na przestrzeni dziejów? Nie wątpię, że gdzieś, kiedyś, ktoś znajdzie odpowiedź... Ale dla nas, w tym momencie, jest to zjawisko nadprzyrodzone. Proszę popatrzeć lepiej na to.

Malusieńkie zdjęcie było wsadzone pomiędzy dwa kawałki pancernego szkła, spiętego w rogach stalowymi kłamrami. Gdyby nie to, zapewne rozpadłoby się na kawałki pod najlżejszym dotykem... Generał podał dziennikarzowi serię komputerowych wydruków, powiększeń i odbitek interesujących go fragmentów. Czekał.

– To oni. – Młody człowiek popatrzył na niego po chwili. – Ci sami ludzie. Ale przecież ta fotografia... Musi mieć ze sto pięćdziesiąt lat!

Tuchajew skinął poważnie głową.

– Tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci rok. Dla Polaków data znamienna, to ichnie powstanie styczniowe. Dla reszty świata raczej otwarcie metra w Londynie, co pokazuje rozziw technologii i mentalności, w skrócie: zacofania cywilizacyjnego... Ale to nieważne, bo tutaj, tutaj mamy coś ponadczasowego. Cała grupa, wszyscy czterej, na jednym zdjęciu.

Dziennikarz wpatrywał się w poważne twarze, zagadkowe oczy, milczące, ściągnięte usta. Gruzin, Kosynier, Szlachcic i Blondyn. Ci

sami. Niezmienieni przez czas, identyczni. Tyle tylko, że...

– Zauważył pan to. – Generał wziął od niego fotografię, przyjrzał się stojącym w dumnych pozach mężczyznom. – Jedyne, co ich zdradza, to oczy. Im bardziej cofamy się w czasie, tym bardziej młodzieńcze, pełne życia i nadziei. Ludzkie, chciałoby się rzec. Potem coraz bardziej puste, wypalone. Jeśli spojrzy pan na fotografię z powstania warszawskiego, to zrozumie, o czym mówię.

Dziennikarz raz jeszcze sięgnął po zdjęcie, popatrzył na stojących przy barykadzie.

– Widzi pan ten karabin maszynowy, o tutaj? Przez niego zginął cały pluton powstańców, dwadzieścia sześć osób. Przyczyną były wsadzone w taśmę naboju wystrzelone łuski.

Młody człowiek nie zareagował, jak powinien, więc Tuchajew przewrócił oczami.

– Służyliście w wojsku? Nie? Hm, powinienem był się domyślić. Jeśli w taśmę pełną naboju wsadzić wystrzeloną łuskę, mechanizm odpalający klinuje się i zakleszcza. Broń staje się bezużyteczna, rozumiecie? Ci ludzie, ci Polacy zginęli, bo ktoś sabotował ich główny oręż.

– Chce pan generał powiedzieć, że...?

– Nie. Ale przytaczam pewne fakty niezaprzeczalne. To zdjęcie z czasów pierwszej wojny zostało zrobione w rejonie najbardziej zaciętych walk frontu wschodniego, w których uczestniczyła głównie ludność powołana z byłych ziem Polski, wcielonych w osiemnastym wieku do mocarstw sąsiednich. Wyrzynające się nawzajem w walce wręcz bataliony, złożone z ludzi, którzy niegdyś byli sąsiadami, mieszkali dosłownie przez miedzę.

Dziennikarz popatrzył raz jeszcze po zdjęciach, w jego oczach błysnęło coś na kształt zrozumienia.

– To zawsze walka przeciwko nam, prawda? Ale przecież Warszawa wyłamuje się z tego schematu.

Tuchajew skrzywił się niechętnie, ale potwierdził.

– Walka przeciwko carskiej Rosji, tak. Nieodmiennie w każdym powstaniu, każdej wojnie, każdym zrywie. I zawsze na pierwszej linii, zawsze jako straceńcy... Ciągający ze sobą innych na rzeź. Nie zapominajcie, że powstanie warszawskie nie wybuchło przypadkowo – Polacy nie chcieli, abyśmy to my wyzwolili Warszawę. Tak naprawdę nawet na konferencjach ich historycy częściej podnoszą argumenty o rzekomym braku pomocy ze strony Armii Czerwonej niż nieudolności i dezorganizacji samej walki czy występowaniu wobec przeważających sił nazistów. No cóż, mają prawo tak uważać.

– Dwa przypadki to za mało, aby wysnuwać tak daleko idące wnioski, panie generale. Pierwsza wojna światowa z założenia była czasem walk bratobójczych, również dla nas, podczas wojny domowej.

– Jesteście bystrzy, jak na swój wiek i swoje czasy.

– Więc co znalazł pan generał odnośnie do tego zdjęcia z... tego, z dziewiętnastego wieku?

Kilka odbitych na kserokopiarce dokumentów przewędrowało przez biurko.

– To zdjęcie wykonane na krótko przed szturmem naszych wojsk na jedną z redut powstańczych. Widzicie, o tu, na mapce? Znaczne siły Polaków zgrupowały się w widłach dwóch rzek, we wsi na wzgórzu. Doskonała pozycja obronna, prawda?

Dziennikarz przyjrzał się mapce, pokiwał głową niepewnie.

– Tak, ale... Przecież wojska carskie miały artylerię, prawda? Jeżeli powstańcy prowadzili walkę partyzancką, to próba obrony przeciwko regularnemu wojsku na pozycji bez możliwości odwrotu była...

Umilkł, wstrząśnięty.

– Samobójstwem – dokończył jego myśl Tuchajew. – Aktem

odwagi, jeśli tak to wolicie ująć. Podobnie jak powstanie czterdziestego czwartego roku, dokładnie jak walka przeciwko Armii Czerwonej. Ci ludzie, młody człowieku, doskonale wiedzieli, czym skończy się ich walka. I szli w bój pomimo tego – albo raczej właśnie dlatego.

– Co mogło nimi kierować?

Generał wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jeśli przyjmiemy, że niewiarygodne staje się możliwe, a oni naprawdę pojawiają się na każdej wojnie, za każdym razem, gdy leje się krew... Chęć zemsty? Umiłowanie rzezi? Jakaś chora filozofia? Jeśli coś widzę, gdy przyglądam się tym zdjęciom w porządku chronologicznym, to tylko patologię. Wypaczoną miłość, która z czasem zamienia się w autodestrukcyjną nienawiść.

– „Bije, więc kocha”? – parsknął dziennikarz.

– A jak inaczej ocenilibyście historię Polski przez ostatnie półtora wieku? To przecież kronika zbiorowego samobójstwa coraz to kolejnych pokoleń elit. Jedyni ludzie, jacy zdolni byli ten kraj podźwignąć, woleli zginąć bez sensu, niż żyć dla niego. Wie pan, jakie było hasło przewodnie dyktatora powstania styczniowego?

– ...?

– „Ja nie wiem, czy jest sens. Wiem tylko, że jest mus”.

– Pan generał raczej żartować...

– Nie ośmieliłbym się. Zresztą, jeśli mówimy o walkach bratobójczych, to proszę spojrzeć na to.

Tuchajew podał gościowi kserokopię odręcznie wykonanego szkicu postaci. Z rysunku spoglądał zawzięty młody mężczyzna z grzywą blond włosów, wyciągający przed siebie pistolet skałkowy.

– Blondyn. – Dziennikarz bez chwili wahania zidentyfikował postać. – Co to za ilustracja?

– To szkic odręczny jednego z zabójców polskiego generała Maurycego Haukego. Nawet nie wie pan, o czym będę mówić, więc

ujmę to pokrótce: w tysiąc osiemset trzydziestym roku w Polsce wybucha powstanie...

– Kolejne. Jak rozumiem, nieudane?

– Raz jeszcze brawa za przenikliwość. Ale nie przerywajcie mi, młody człowieku, bo to niegrzeczne. W wyniku spisku w szkole podchorążych dochodzi do buntu warszawskiego garnizonu, który za cel stawia sobie zamordowanie ówczesnego namiestnika cara, księcia Konstantego. Przy okazji dochodzi do rzezi polskich generałów... Tak, tak! Polacy mordują własną kadrę dowódczą. Jako jeden z pierwszych ginie Maurycy Hauke, weteran szeregu innych wojen i powstań, zresztą wielki patriota. Tam wisi litografia, proszę spojrzeć.

Ze ściany patrzył na nich mężczyzna o okrągłej, nalanej twarzy i byczym karku, z przylizanym loczkiem przyklejonym do czoła. Błękitna wstęga orderu, srebrne epolety...

– Niczym z „Anny Kareniny” – zauważył dziennikarz.

– Wbrew aparycji doskonały dowódca, zapewniam pana. Prześledziłem jego karierę szczegółowo i... Nieważne zresztą. Gdy wybucha powstanie, Hauke wraz z rodziną próbuje ewakuować się z miasta. Wsadza więc do powozu żonę oraz większą część tuzina swojego potomstwa... Tak, tak, młody człowieku! Jesteśmy w porównaniu z tamtymi ludźmi nieledwie cieniami męstwa, he, he. Wsadza więc rodzinę do powozu i jadąc obok konno, chce wyprowadzić z płonącej Warszawy.

– Jak daleko docierają?

– Niespełna milę. Natykają się na idącą ulicą grupę powstańców, którzy widząc Haukego, witają go okrzykiem: „Poprowadź nas, generale!”. Hauke był przeciwnikiem powstania, więc unosi się w strzemionach i zaczyna przemawiać do uzbrojonego tłumu, walcząc tak naprawdę nie tyle o swoje życie, ile o życie rodziny. Wersja oficjalna głosi, że w jego wypowiedzi pada słowo „głupota”, co tak

rozwściecza powstańców, że ściągają go z konia, zaczynają bić i kopać, a potem strzelają do niego dziewiętnaście razy. Dziewiętnaście razy! Z broni czarnoprochowej, wyobrażacie to sobie?

– Masakra... – Dziennikarz pokręcił głową, przypominając sobie kalibry ówczesnych pistoletów.

– I to wszystko na oczach rodziny. Ja dotarłem jednak w naszych archiwach do zeznań stangreta, niejakiego Wacława Ligawy, który nie stracił wtedy głowy, tylko zaciął konie, przebił się przez żądny krwi tłum i wywiózł rodzinę nieszczęsnego generała z miasta. To właśnie jego autorstwa szkic trzymacie w ręku... Tak, tak! Nasz Ligawa okazał się rysownikiem samoukiem, i to dość utalentowanym. O wiele gorzej radził sobie ze słowami, więc przesłuchujący go kilka tygodni później żandarm po prostu kazał mu narysować portrety zamachowców.

Generał urwał na chwilę, rozejrzał się za herbatą. Tak długi monolog zmęczył go nie na żarty, gardło powoli odmawiało posłuszeństwa, ale wreszcie, po tylu latach, mógł komuś to opowiedzieć! Młody człowiek poderwał się, pobiegł do salonu, gdzie został poczęstunek. Napełnił filiżankę, przyniósł i postawił usłużnie na biurku. Gospodarz upił tyk, spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję. Ze spisanych zeznań wyłania się jeszcze jedna ciekawostka. Otóż w trakcie swojej ostatniej, feralnej przemowy Hauke najwyraźniej rozpoznał kogoś w tłumie. Stangret twierdzi, że generał był doskonałym mówcą, a duża część późniejszych zamachowców musiała go znać i szanować, bo ponoć rugał ich jak krnąbrne dzieci – to dokładne słowa Wacława Ligawy. Jednak w pewnej chwili urwał, wychylił się z siodła i zwrócił do jednego z podchorążych osobiście, wyraźnie zdziwiony. Jeśli wierzyć zapisowi słów stangreta, to miał powiedzieć, cytując: „Nie możesz być tu i teraz, skoroś zginął”. A potem, zupełnie bez ostrzeżenia, pada



pierwszy strzał.

Spojrzeli obydwaj na rysunek Blondyna z pistoletem skalkowym.

– Dalej nie dotarłem. Natknąłem się na ten dokument w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. – Tuchajew odchylił się w fotelu, skrzywił, gdy plecy odezwały się bólem. – Po dwóch latach poszukiwań wiedziałem, że głębiej nie ma już nic.

– A kampanie generała Haukego? Jeśli rozpoznał jednego ze swoich podkomendnych, to...

Tuchajew uniósł dłoń, zaczął zaginać palce.

– Wojna z Rosją tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego. Powstanie kościuszkowskie. Legiony Polskie w Italii, tam bitwa pod Mantuą i niewola. Kampanie tysiąc osiemset dziewiątego i trzynastego roku... To były tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi! I tylko sporadyczne materiały wizualne, przecież o fotografii nikomu się wtedy nie śniło. Przeanalizowałem ogromną ilość malowideł i konterfektów, ale nie trafiłem na nic.

– Czyli tajemnica pozostanie nierozwiązana? Nigdy się nie dowiemy, skąd ci ludzie się wzięli?

Tuchajew rozłożył ręce pokryte starczymi plamami.

– Mogli nie wziąć się znikąd. Mogli istnieć od zawsze, dołączając do każdej kolejnej wojny i zawieruchy, a my, widząc tylko wycinek historii, wysnuwamy mylne wnioski. Archiwistyka, młody człowieku, nie jest nauką zamkniętą, skończoną. Daje nam tylko podgląd, a nie ogląd. Nie wszystko na tym świecie musi mieć swoją przyczynę, niektóre rzeczy po prostu są.

– Podobnie jak pana generała fascynacja archiwistyką?

– Młody człowieku, jeśli po tej opowieści nie jesteście przekonani, to...

Dziennikarz uśmiechnął się nieszczercze.

– Pan generał zbyt długo pracował dla NKWD, żeby wciąż odruchowo nie kłamać. Ale nadal nie odpowiedział pan na moje

pytanie.

– Słucham? Jak pan śmie...

Młody człowiek nachylił się w swoim krześle, spojrzął na generała tak, że Tuchajew aż się wzdrygnął. Było coś w tej twarzy, co wcześniej umknęło jego uwadze.

– Nie podał mi pan przyczyny, która popchnęła pana do zainteresowania się tą historią. Usłyszałem opowieść, owszem, pasjonującą – ale wyłącznie o tym, co pan generał znalazł w trakcie swoich poszukiwań. Co zawiera archiwum opatrzone numerem pięć?

Tuchajew westchnął ciężko. Kiwnął i sięgnął głębiej do sejfu, wyjął jeszcze jedną kopertę.

– Jesteście naprawdę zaskakująco inteligentnym młodym człowiekiem – przyznał. – Kilkadziesiąt lat temu sam rekomendowałbym zwerbowanie was do GRU... No, ale czasy się zmieniły. To, co wam powiem, zostaje wyłącznie w czterech ścianach tego pokoju. Rozumiemy się?

– Naturalnie, panie generale. I tak zapomniałem włączyć nagrywanie, więc... może pan spać spokojnie.

– Nie sypiam spokojnie od czterdziestego siódmego roku – warknął Tuchajew. – Boję się tłumów, bo w każdym z nich mogę zobaczyć twarz kogoś z tamtych... upiorów. Archiwum numer pięć, młody człowieku, to dokumentacja tego, co robiliśmy pod Mińskiem białoruskim w czterdziestym roku.

– Kuropaty – błysnął dziennikarz. Generał pokiwiał głową, patrząc mu prosto w oczy.

– Kuropaty. Kompleks działał od trzydziestego siódmego roku, my weszliśmy w to razem z polskimi jeńcami dopiero w listopadzie trzydziestego dziewiątego. Wszyscy zachłystują się Charkowem, Miednoje, Katyniem... A o naszych małych, prowincjonalnych Kuropatach się po prostu nie mówi. I dobrze, niech tak zostanie. Nie

ma się czym chwalić.

– Wykonywaliście tylko rozkazy – zauważył dziennikarz. Tuchajew chyba usłyszał w jego głosie nutkę ironii, ale twardo kiwnął głową.

– Tak.

– I to właśnie tam pan generał zobaczył ich po raz pierwszy? W transporcie jeńców?

– Nie do końca, młody człowieku. Oni nie byli zwykłymi jeńcami. Byli... byli naszymi informatorami. Nieoficjalnymi współpracownikami, rozumiecie? Nadzorowali baraki, donosili o przypadkach zbiorowego niezadowolenia w transportach. Uspokajali nastroje wywrotowe, gdy Polacy zaczynali szumieć.

– A w nagrodę zginęli jako ostatni?

Generał nie powiedział nic, tylko jego usta zacisnęły się w wąską, białą kreskę. Dziennikarz popatrzył raz jeszcze na zdjęcia, przysunął jedno do drugiego, porównał i zapytał:

– Nie rozumiem tylko, w jaki sposób zidentyfikował pan Szlachcica? Przecież ten sygnet jest tu ledwo widoczny, a na żadnym ze zdjęć z archiwum cztery go nie widać.

Tuchajew przekręcił blaszane pudełko, potrząsnął. Po blacie biurka potoczył się stary sygnet z wygrawerowanym herbem.

– Zabrałem mu go – przyznał się generał. – Ściągnąłem z ręki zabitego, jeszcze ciepłej, zanim przysypali go wapnem i ziemią. Wypłacali nam wtedy głodowy żołd, a to w końcu lite srebro. Ot, łupy wojenne... I dzięki temu wypatrzyłem potem na zdjęciu.

– Czyli na tym kończy się już ta historia, panie generale? Upiory powracające w trakcie wojen, w końcu wysłane na wieczny odpoczynek przez dzielnego enkawudzistę? To naprawdę piękne zwieńczenie tak chwalebного dzieła.

Generał podskoczył w fotelu, zamrugał. Te słowa! Te słowa, które słyszał już kiedyś! Ale to przecież... To nie mogło być prawdą!

Dziennikarz zdjął i schował do kieszeni okulary, zmierzwił do tej

pory przyлизane włosy. Przysunął się bliżej, żeby niedowidzący Tuchajew dokładnie przyjrzał się jego twarzy.

– Tak jak powiedzieliście, towarzyszu generale: ignorujemy fakty, mimo że potrafia patrzyć nam prosto w twarz.

Sięgnął i zgarnął z blatu sygnet, wsunął na palec serdeczny prawej ręki. Obrączka idealnie wypełniła odcisnięty ślad, jak gdyby była tam – od zawsze.

– To nie, nie, nie... To mistyfikacja, oszustwo, spisek! – zabełkotał Tuchajew, patrząc na siedzącego przed nim w fotelu Szlachcica. – To niemożliwe! Ja przecież...

Upiór kiwnął głową, wstał i przeszedł się wzdłuż zawieszonych zdjęciami ściany.

– Tak. I wy, towarzyszu Tuchajew, i wielu innych. Niezliczoną ilość razy, od chwili, gdy... Och, bo wy przecież w końcu nie wiecie, jak to się zaczęło, prawda? No cóż, trudno. Pozwólcie jednak, że pokażę wam, jak się nareszcie skończy.

Podszedł do generała z tyłu, złapał za fotel i obrócił gwałtownym ruchem w kierunku stojącego na szafce telewizora. Pstryknął przełącznikami na pilocie, a ekran zaszumiał i zamigotał, kiedy włączył się dekoder telewizji kablowej.

– Wszystkie te wojny, powstania, insurekcje... – mrucał pod nosem Szlachcic, przerzucając kanały. – Ponad dwa wieki! Dwieście lat, odkąd sprzymierzyliśmy się z tym francuskim antychrystem, żeby utopić Moskwę we krwi. Tak jakby jeden tyran mógł zastąpić innego, a podległość Bonapartemu miała być w czymś lepsza. Ciągłe w boju, nieustannie walczący i ginący o tę, która nas nie kocha. I wiecie, towarzyszu generale, do jakiego wniosku doszliśmy?

Wyskoczył przed Tuchajewa, złapał za podłokietniki palcami zagiętymi niczym szpony. Nachylił się nisko, jak drapieżny ptak nad ofiarą, syknął trzęsącemu się z przerażenia staruszkowi na ucho:

– Że jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy.

– Ale to... – wyjął generał, czując, jak słabnące serce zaczyna trzepotać się przeraźliwie w piersi. – Ci ludzie... Wasz własny naród! Na zgubę, na zatracenie, niczym owce na rzeź... Po co?

Szlachcic wyprostował się i odsunął, wskazał ekran telewizora. W rogu obrazu widać było znaczek jednej z państwowych telewizji Polski: właśnie zaczynała się konferencja prasowa, przed gmachem Ministerstwa Obrony zebrał się okazały tłum. Transparenty i biało-czerwone flagi, cywile i ustawione karnymi szeregami wojsko. Sądząc po liczbie mundurowych, zaraz miał przemawiać stojący już przy mównicy minister.

– Bo jeśli zginie Ona, to i nam w końcu pozwolą odejść.

Przejęty ponad miarę prowadzący wciąż jeszcze bełkotał po polsku, gdy do ministra podszedł od tyłu mężczyzna, położył na mównicy teczkę z tekstem przemówienia. Szepnął coś na ucho, a gdy minister kiwnął, popatrzył prosto w kamerę – prosto na Tuchajewa, którego serce właśnie stawało. Te oczy, ten niesforny lok blond włosów... Przebrany w garnitur Gruzin stał z resztą oficjeli na samym skraju ekranu. Gdy kamera oddaliła nieco widok, pokazał się też Kosynier, stojący z boku, w otoczeniu grupy ubranych na czarno, krzyczących coś motocyklistów.

Błysnęły flesze, a minister otworzył teczkę i zaczął czytać.

## **GŁĘBIA. CIAŁAK**

### **Marcin Podlewski**



Miała naprawdę to zostawić.

Nie posiadała zbyt wiele. Mieszkalnie planetarnego kibucu miały mniej więcej dziesięć na dziesięć metrów i były niczym innym jak sypialniami. Resztę spraw załatwiały dystrybutornie umiejscowione w głównej części KIBUC 4. Nawet ciśnieniowe łazienki były wspólne. Ale mieszkalnia była jej – jej własna, oznaczona sygnaturą „Luta Post”. I naszpikowana pieczołowicie zebrany sprzętem.

Monitor Państwa – obowiązkowy ekran w każdej mieszkalni kibucu – rok temu Luta przestawiła na dotykowe holo. Wszystko dzięki zdobytym na czarnym rynku koncentratorom emisyjnym. Ale był to dopiero początek. Zainstalowała filtry powietrza – niezwykle cenne na rolniczej Ashian – i podwyższyła ich funkcjonalność dzięki zwornikom, znalezionym cudem na złomowisku tuż obok portu planetarnego. Skonstruowała też niewielki termopiekarnik, a wyrzucony przez kogoś ekspres zreperowała, dodając mu przynajmniej dziesięć nowych funkcji.

I teraz miała to wszystko naprawdę zostawić.

– Pięknie – pochwalił ją stojący w progu brodaty mechanik pokładowy Mirm Zigris. – To genotransformer?

– Już nie – zaprzeczyła. – To w Państwie nielegalne.

– Wygląda jak klocek transkrypcyjny – zauważył przypominający

krasnoduda mechanik, podchodząc do niewielkiej, modyfikowanej komody, na której, nie licząc krzywej wieżyczki podzespołów, pysznił się czarny, najeżony portami dostępowymi sześcian. – Zakazany nie tylko w galaktycznym Obrębie Państwa, ale i w całym Zjednoczeniu.

– To tylko obudowa. – Dziewczyna kucnęła przy swoim najcenniejszym skarbie i dmuchnęła na niesforny, opadający jej na czoło kasztanowy lok. – Sprawdzona przez inkwizycję planetarną. Zrobiłam z tego... takie coś do lekkiego modyfikowania żarcia. O tu... – Nacisnęła jeden z przycisków i na oczach zaskoczonego Mirma wysunęła się niewielka płytką. – Tu kładziesz i potem...

– Nie wciskaj mi bzdur, moja droga – prychnął Zigrist. – Możesz takie głupoty opowiadać inkwizytorom, a nawet kapitanowi. Tu zrobiłaś obojęcie – wskazał grubym, nieco przybrudzonym palcem na doklejony do ścianki kabel – a tu masz rzeczywisty port. Modyfikowałaś tym leki biologiczne, co? Niezły interes, ale za takie numery mogłabyś polecieć na przyjemną więzienną planetkę Państwa.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– Masz, masz. I dlatego się nadajesz – zachichotał mechanik. – A wierz mi, już się podobnych kandydatów naoglądałem. Jeden chciał na ten przykład majstrować bomby fuzyjne... na pokładzie, wyobraź sobie, chciał kleić pracownię z jakimś wybuchowym szajsem, pościągany chyba od Stripsów! Dałem mu takiego kopa, że poleciał aż za Granicę Galaktyczną. Była też dziewczyna... choć nie tak ładna jak ty. Będę mechanikiem, powiada. Zobaczysz pan, jak się postaram, rzecze. Wpuściliśmy ją więc na skokowiec i po nocce w porcie wyczyściła nam rdzeń, skopiowała trzy czwarte oprogramowania i nakradła tyle sprzętu, że pogubiła co cenniejsze komponenty, uciekając przez służbę. Ech, te strumieniowe kontrakty...

– Ja nie... – Twarz Luty oblał rumieniec, ale Mirm nie zamierzał się z nią droczyć.

– Wiem, że ty nie – powiedział, z uznaniem rozglądając się po jej zagraconej mieszkalni. – A wiesz czemu?

– Nie... nie wiem.

– Bo masz świra – oznajmił z zadowoleniem krasnolud, podchodząc do ściany i pukając palcem w przerobiony odtwarzacz KenoZero, podłączony do odzyskiwarki odpadów. – Masz świra, jak my wszyscy.



„Smoczyca” była ciężkim skokowcem o niemal fregatowym tonażu i nieco nietypowej, niesymetrycznej budowie oplecionej przez cierniowe korony i złączki napędu głębinowego. Ale nie chodziło jedynie o konstrukcję. Zakupiona zapewne w Obrębie Ligi, drugiej z trzech sił Triumwiratu Zjednoczenia, była zielona – a raczej była zielona niegdyś – obecnie kolor wyblakł już mocno i zszarzał, nie licząc prześwitującej miejscami rdzy i srebra nanitowych spawań. Te kilka statków, które także stacjonowały w ashiańskim porcie – czy to zwykłych skoczków głębinowych, czy myśliwców lub też zwykłych skokowców – pyszniło się już dumną państwową czerwienią.

– Składak! – zdumiała się Luta, prowadzona przez Mirma w kierunku trapu. – Ale jaki duży! Pancierz z Ligi, ale dysze chyba z Federacji, co? I część napędu głębinowego pasującego do rdzenia Light Endless Might 23! Kto wam to tak poskładał? To się będzie trzymać?

– Będzie, będzie – zachichotał Zigrist. – Bystre oczko, co?

– Ja tylko...

– Dobrze, już dobrze. Włóż.



Skinęła głową, po raz ostatni zerkając na pola Ashian – drugiej planety układu Sobet leżącego na granicy gromady otwartej NGC 6749 w gwiazdozbiorze Orła, pomiędzy Dalekim Ramieniem Trzech Kiloparseków a Ramieniem Oriona. Spokojna, państwowa planetka, choć znajdowała się głęboko w Systemach Wewnętrznych, zawsze była traktowana po macoszemu – niczym wielka dystrybutornia kwaśnych owoców, mdłych warzyw i chudego bydła. Niebo było tu blade, roślinność szarawa, a okolica jednostajna i nudna. W zasadzie, poprawiła się w myślach Post, przede wszystkim nudna. Nie licząc przyportowych wysypisk i starych, pełnych mechanicznych śmieci grot zaadaptowanych przez pierwszych kolonistów tysiące lat temu – zapewne przed imperialnym terraformingiem.

– Hej, dziewczyno... Kapitan nie będzie czekał! Wskakuj, odlatujemy za kilka minut – ponaglił ją Mirm i Luta odwróciła wzrok, zostawiając za sobą Państwo, nieznanych rodziców z programu genorozrodowego, mieszkalnię, elektroniczne składaki i lęk. Lęk, który ku jej zdziwieniu nieco przygasł, gdy tylko przeszła przez służbę.

Czekali na nią, tak jak się spodziewała, w stazo-nawigacji, do której przeszła razem z Zigristem długim korytarzem dostępowym. Gdzieś tu miała być jej własna kajuta... ale na razie nie zaprzętała sobie tym głowy. Zgodnie z zaleceniem Mirma zrzuciła swe tobołki po drodze i stanęła przed nimi, nerwowo poprawiając świeżo nabyty kombinezon drugiego mechanika pełen szlufek, kabli i złączy. Niesforny lok opadł jej znowu na czoło: zdmuchnęła go szybko, prostując się odruchowo jak struna.

A więc to była załoga „Smoczycy”.

Poznała ich już wcześniej, wykopując dane z galaktycznego Strumienia. Ten gruby chłopak, siedzący przy konsoli nawigacyjnej i patrzący na nią taksującym wzrokiem, to Zed Dell, astrolokator.

Ładna i szczupła dziewczyna, która stała w niedbalej pozie tuż obok, to z pewnością jego siostra Tiffany – specjalistka od Serca, czyli centrum komputerowego statku. Ten, który najbardziej ją przerażał – ubrany w czarny sprzęgowy kombinezon zbrojeniowiec Carvac Holt nie był chyba obecny... a ta kobieta... piękna kobieta o przyciętych na pazia czarnych włosach była z pewnością Emmą Nemo – pierwszym pilotem i zastępcą kapitana. Kapitana, którego podobnie jak Holta, nigdzie nie było widać.

– To naprawdę specjalistka? – odezwała się z lekkim rozbawieniem Nemo. Głos miała przyjemny. – Jesteś pewny, że nie zabierasz jej na statek z innego powodu, Zigrist?

– Zabawne, że pytasz o to samo, o co spytałem, kiedy Myrton przyjmował ciebie na miejsce nieodżałowanego Eryka Mountain – odpowiedział z uśmiechem mechanik. – Tak pięknie kręciłaś wtedy swoją...

– Uważaj, Zig, bo trzepnę cię jednym z twoich kluczy.

– Tak, oczywiście. A gdzie nasz drogi kapitan?

– Jest z doktorem Harpago – poinformował chrapliwym głosem wchodzący właśnie do SN Carvac, patrząc na Lutę przez swoje nieodłączne czarne gogle. – Niewielka aktualizacja imprintu. Zaraz przyjdzie.

Post zmarszczyła lekko brwi. Imprint? O tej technologii słyszała coś w Strumieniu, ale wkładała to między bajki z czasów Wojny Maszynowej. Programowe, genowe oznaczenie statku? Próbuje ją nabrać? Chrząknęła.

– Mogę zaczekać – oznajmiła tak, że wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni. Widzicie? A jednak potrafię mówić, pomyślała z gorzką satysfakcją. Niespodzianka. – Chyba że potrzebujecie kogoś, kto zamiast pokręcić tyłkiem, dokręci kapitanowi imprintowy iniektor. Niekoniecznie w punkcie kręcenia.

Przez ułamek sekundy było cicho. Emma Nemo przestała się

ironicznie uśmiechać, Tiffany uśmiechnęła się znacznie szerzej, a Zed zamrugał. Potem, jako pierwszy, parsknął Carvac.

– Nada się – oznajmił.

– Mówiłem wam – uśmiechnął się kwaśno Zigrist. – A skoro już się napatrzyliście, to łaskawie wskażcie dziewczynie kajutę. Numer trzy?

– Trójka – przytaknęła pierwsza pilot, odchodząc od konsoli w stronę wciąż nieco spiętej Luty. – No dobrze – dodała. – Chodź, oprowadzę cię. Przygotuj płytkę personala, potwierdzimy kontrakt. Zed?

– Taaa? – wymamrotał chłopak, wciąż wpatrzony w Post.

– Nie pierdź w stołek, tylko ustawiaj dane astrolokacyjne. Chcę mieć całą ścieżkę. I nie tylko boje do skoków, ale i dziury głębinowe. Zasuway. Zaraz wracam – zakończyła, łapiąc dziewczynę za ramię i wyprowadzając ją ze stazo-nawigacji.

– Gdzie lecimy? – spytała niepewnie Luta, gdy skręciły w odnogę korytarza dostępowego. Pierwsza pilot wzruszyła ramionami.

– Myrton ma ładunek – powiedziała. – Stary... materiał z Jądra. Wart kupę jedów, o ile trafi w ręce odbiorcy. Lecimy z nim do Ramienia Perseusza. To nasz priorytet, ale nie wykluczam, że zgarniemy jeszcze to i owo po okolicznych układach. Ładownia jest niemal pusta.

– Ramię Perseusza? Taki kawał drogi?

– Niestety – przyznała Emma, naciskając niewielki genoczytnik przy drzwiach. – Tu się zarejestrujesz – wyjaśniła, gdy drzwi do kajuty numer trzy wsunęły się w ścianę z cichym szurnięciem. – Dłoń i specyfikacja. Możesz to zrobić od wewnątrz – doprecyzowała, podczas gdy Post z zaskoczeniem oglądała niewielką, ale niezwykle przyjazną kajutę z leżanką, łazienką ciśnieniową, ekspresem i holowgłębinem z dostępem do galaktycznej sieci: Strumienia. – Pokaż mi płytkę – poleciła Nemo i kiedy Luta wykonała polecenie,

potwierdziła jej kontrakt i zaokrętowanie prostym odciskiem palca.  
– Gotowe – mruknęła, oddając płytkę Post. – Rozgość się. Jak skończysz, wpadnij z powrotem do SN. Pewnie Myrton będzie chciał z tobą pogadać, ale tym się nie przejmuj. Pamiętaj, że podlegasz bezpośrednio Mirmowi. Co powie Zigrist, to teraz dla ciebie wyrocznia. Nie zwracaj więc nikomu głowy... to masz szansę, że nikt nie zawróci jej tobie, w porządku?

– W porządku. – Luta kiwnęła odruchowo głową.

Nemo uśmiechnęła się lekko.

– Będzie dobrze – powiedziała, odwracając się w stronę wyjścia. – Maszynownię z rdzeniem masz jak w każdym skokowcu, na pokładzie dolnym – rzuciła, wychodząc przez wciąż otwarte drzwi. – Witamy na „Smoczycy”.

– Dzięki – szepnęła Post, ale pierwsza pilot już jej nie usłyszała. Drzwi zasunęły się z cichym, pożegnalnym westchnieniem serwomechanizmów.



Myrton Grunwald był dokładnie taki, jak się spodziewała. Przystojny, o potarganych czarnych włosach, pozornie niechlujny. Niemal wieczny chłopiec... gdyby nie delikatne, skryte gdzieś przy uszach pasemka siwizny. O znudzonej, nieco wymiętolonej twarzy, jakie spotyka się czasem w starym barze na zapomnianej stacji orbitalnej.

Idący tuż za nim doktor Harpago Jones wyglądał jak jego zupełne przeciwieństwo i zarazem podstarzały cień. Chudy, w nienagannie wyprasowanym kombinezonie, o wciąż gęstych, siwych włosach przypominał ptaka szykującego się do ostatniego lotu. Wyglądali zatem oryginalnie, ale to, że są tu najważniejsi, stało się jasne na pierwszy rzut oka. Myrton był tu leniwą planetą, wokół której Jones

obracał się niczym dostojny, stary księżyc.

Nie byli Lutą specjalnie zainteresowani – w sumie tak, jak przewidziała Emma Nemo. Od Grunwalda Post usłyszała zaledwie kilka zdań. Specjalnie jej to nie zdziwiło: kapitan wyglądał na lekko podenerwowanego. Tuż po „prezentacji” zaczęli biegać gdzieś z Jonesem i Mirmem, sprawdzając ostatnie spawania i domontowane łącza, czuła się więc w obowiązku biegać razem z nimi. Interesowała ich świeżo „doklepana” maszynownia i, jak szybko się okazało, Luta nie była tu jedyną innowacją. „Smoczyca” może i nie bazowała na pradawnych artefaktach kseno, ale ktoś mocno tu zaszalał: powiedzieć o tym sporym przecież skokowcu, że jest „składakiem”, stanowiło spore niedopowiedzenie.

– Nie mam na to czasu – narzekał Myrton. Głos miał lekko chrapliwy i całkiem sympatyczny, jak uznała Post. – Miało działać już pod koniec zeszłego periodu...

– I będzie – zapewniał nieco rozbawiony Zigrist. – Teraz mam do pomocy dziewczynę – dodał, mrugając do nieco zestresowanej Luty. – „Smoczyca” będzie śmigać, jakby dopiero wyszła ze stoczni, prawda, Post?

– Jasne – przyznała odruchowo młoda mechanik, zastanawiając się w duchu, jak ma niby „śmigać” coś, co miejscami trzymało się tylko na sznurku i farbie.

– Jakoś w to wątpię – zauważył kąśliwie Harpago. Oj, nie ty jeden, dziadku, pomyślała Post. – Mam wrażenie, że to, co miało wyglądać lepiej, wygląda teraz gorzej.

– Nieważne, jak wygląda – zaperzył się nieco krasnolud. – Będzie trzymać się w kupie.

– Prowizorka zawsze trzyma najdłużej – rzucił złośliwie Jones, ale Zigrist nie dał się przegadać.

– To prawda. W końcu pan, doktorze, trzyma się całkiem nieźle – odpalił. – Dajcie zresztą spokój. Myślicie, że nie wiem, o co wam

chodzi? O „te sprawy” męczcie Carvaca. To on siedzi w zbrojeniówce.

– A energetyka? – rzucił niedbale Myrton, ale nawet Post wyczuła, że Mirm poruszył najważniejszy temat.

– Wszystko się dotłoczy. – Zigrist poklepał znacząco jedną z rur energetycznych rozprawdzających po statku moc z rdzenia. – Mamy takie nadwyżki, że będziemy musieli rozładowywać je na bieżąco. Będziemy mieli to wasze ukochane doładowanie zbrojeniówki i pól magnetycznych. Tylko łaskawie zejdźcie mi wreszcie ze łba. Czy Harpago nie narzekał ostatnio na halluksy? Najwyższy czas wymoczyć nogi, drogi doktorze Jones.

Grunwald zachichotał, Harpago spałował. Pięknie, pomyślała Luta. Docinki na każdym kroku, jak w młodzieżowym Bloku Edukacyjnym. Przytrupieszwały statek kosmiczny i nonstopowe przytyki wśród członków załogi. Ale wdepnęłam...

Ale w co naprawdę wdepnęła, dowiedziała się dopiero w trzecim tygodniu podróży.



W zasadzie wszystkimu była winna Tiffy Dell.

Szczupła i ładna Dell, o kręconych rudych włosach, zupełnie nie przypominała tradycyjnego wizerunku komputerowca. Była piegowata, rozchichotana i nie robiła tego, co zdaniem Post powinni robić wszyscy zaokrętowani komputerowcy – czyli nie siedziała bez przerwy w jajowatym Sercu, pilnując oprogramowania skokowca. Do tej wizji bardziej pasował jej tłustawy, jękający się na widok Luty brat, ale Zed był astrolokatorzem i jak to astrolokator, siedział przez większość czasu przy konsoli nawigacyjnej, analizując mapy z Kryształu Galaktycznego i pożerając chrupki.

A Tiffy? Zachowywała się, jakby ją ktoś nakręcił, i natychmiast

wpakowała się z butami w życie Post, ciągnąc ją niemal na siłę do mesy, nalewając wycyganioną skądś migdałową whisky i obdarzając Lutę prehistorycznym określeniem „psiapsioly”, znanym podobno jeszcze z Ery Ekspansji Galaktycznej.

– Nemo jest w porządku – przyznała po solidnym głębszym. – Ale wiadomo, pierwsza pilot i tak dalej. Bez kija nie podchodź.

– A Myrton...? – spytała niepewnie Post.

– A co? Wpadł ci w oko? Zapomnij – zachichotała Dell. – Cała załoga wie, że on i Emma czują do siebie miętę. I chyba przynajmniej raz wylądowali w kajucie kapitańskiej... wiesz, o co mi chodzi. – Tiffy ponownie upiła łyk. – Naprawdę interesujesz się... chłopami? – spytała nieco zawiedzionym tonem. – Ale fakt, kapitan może być dla ciebie apeczy... apetyczny. – Czknęła donośnie. – Plaga, chyba mnie wzięło... jak się Grunwald dowie...

– A co? Nie wolno sobie... wypić?

– Myrton nie przepada za alkoholem – przyznała niechętnie dziewczyna. – Tylko okazjonalnie strzeli sobie kie... kie... kielonka. Kiedysz... tfu! Kiedyś Carvac i Mirm zrobili bimbrownię przy stosie przyrzeniowym... takie były rurki, pierdziułki, próbówki, srubówki i takie tam... się wtedy wku... – Tiffy kaszlnęła, odstawiając kwadratową szklankę. – No właśnie. Ale co byś chciała? W końcu to kapitan.

– No tak – zgodziła się Luta, dmuchając na niesforny lok. Dell wyciągnęła rękę i, ku zaskoczeniu Post, poprawiła go dziwnie czułym, ciepłym gestem.

– Fajny – zauważyła, uśmiechając się do nieco speszzonej mechanik. – Jesteś bardzo ładna, wiesz?

– Ja...? – zmieszała się Luta. – To znaczy...

– Mówię serio – mruknęła Tiffy, patrząc przenikliwie na Post, by odwrócić wzrok dopiero po dłuższej chwili. – Hej! – rzuciła nagle i uśmiechnęła się szeroko. – A chciałabyś zobaczyć coś... równie

fajnego? He?

– Ale...

– No chodź! – zachęciła Dell i złapała oszołomioną Lutę za rękę, wyciągając ją z mesy.

Skokowiec spał. Znajdowali się w drodze do ostatniej boi lokacyjnej, lecąc na wysokich ośmiu dziesiątych c. Tuż po skoku z okolic boi mieli dostać się do gigantycznej dziury głębinowej o nazwie Trakt Sodo, którą mieli przedostać się w głąb odległego Ramienia Perseusza. Ale na razie, tuż po ustawieniu kursu na twardo i sprawdzeniu większości podzespołów, czekała ich monotonna, spokojna podróż – nie licząc rozładowywania zbitek energetycznych wykrytych przez wykastrowaną, bo ograniczoną intelektualnie w ramach paragrafów Ryzyka Maszynowego, Sztuczną Inteligencję statku. Okolica – choć z dala od Wypalenia – nasycona milionem gwiazd i mgławic częstych w Systemach Wewnętrznych, z czasem stała się jednostajna. W kosmosie trudno mówić o szybko zmieniających się widokach, jeśli lecisz z prędkością mniejszą niż prędkość światła. Ale dziewczyny to niewiele teraz interesowało.

Szły do ładowni, ulokowanej w podbrzuszu skokowca. Ładowni, która powinna być zamknięta. Ale – jak szybko się okazało – nie stanowiło to problemu dla Tiffy Dell.

– Mam kody – przyznała, oblizując wargi i przemykając palcami po panelu genocytownika. – Nie wszystkie, bo statek jest zimprintowany przez Myrtona, ale na takie pierdoły jak luk to i owszem. Słyszałaś o tym jego imprincie? Niezły numer, nie?

– Słuchaj – mechanik przełknęła ślinę – może nie powinniśmy...

– Oj tam, oj tam... – Dell wzruszyła ramionami. – Zresztą i tak już za późno.

Miała rację. Odrzwia otworzyły się nagle z sykiem wewnętrznych tłoków. Wionęło przenikliwym chłodem. Wewnątrz wypchanego



pakami magazynu z wolna zapalały się lampy. Post spróbowała ponownie zaprotestować, ale komputerowiec nie traciła czasu na gadanie. Znowu pociągnęła Lutę za rękę do środka. Znalazły się tuż za pakunkami jadalnych grzybów z Ashian i mięsokrzewów z odwiedzonego po drodze systemu Eclot.

– Tam – powiedziała Dell. – Widzisz?

– Co?

– Ciągniemy ją z jakiegoś totalnego zadupia w Ramieniu Oriona – wyjaśniła Tiffy. – Zadupia w Wewnętrznych, wyobrażasz sobie?

– Ale Orion to jeszcze nie Systemy Wewnętrzne... – zaprotestowała Luta, podczas gdy Dell kontynuowała swą wędrówkę ku jakiemuś nieoświetlonemu zakątkowi ładowni.

– W sumie tak – przyznała. – Ale to i tak z bliskiego sąsiedztwa pierwszego Wypalenia. Wiesz, kiedy Maszyny wypaliły Układ Słoneczny z tą całą bajkową Terrą czy czymś tam i potem prawie sto procent Galaktyki. O, tu! Widzisz? – Machnęła ręką na jakiś spory podłużny pocisk przypięty pasami do podłoża, pokryty warstewką szronu. – Nieźle, nie?

– To jakaś... bomba? – wymamrotała Post.

– Nie wygłupiaj się! – zachichotała Tiffy. – Bomba! Nie, popatrz... widzisz to coś jak panel dostępowy na wierzchu? I te zardzewiałe śruby?

– Wygląda jak pocisk...

– Słuchaj – powiedziała Dell, pociągając Lutę nieco bliżej. – Kilkanaście parseków od tego całego wypalonego Układu Słonecznego są wraki. Stare statki. Stare jak Wszechświat. Wraki okrętów bez napędu głębinowego, które wciąż gdzieś tam leżą, bo uszkodziło im astrolokację lub wysiadła im wysoka podświetlna. Lecą więc sobie przez wieczność. Trudno coś takiego znaleźć, bo leży poza szlakami ustalonymi przez Zjednoczenie czy choćby TransLinie i większość jest już capnięta przez Klan Naukowy. Ale

Myrton... znalazł jeden. A dokładnie: mapę z takim punktem.

– Żartujesz...?

– Nie. Wiesz, ile daliby za nią Stripsowie albo Klan Naukowy? Ale my tego nie sprzedaliśmy. Polecieliśmy tam... – Urwała na moment, nieświadomie puszczaając rękę Luty i podchodząc do zagadkowego ładunku. – Polecieliśmy i znaleźliśmy ten statek. Transportowiec z materiałem technicznym. Całość na resztkach atomu. Jedna wielka trumna na granicy wyłączenia. Pełen martwych komór. Ale nie wszystkie były kompletnie wyłączone.

– Chcesz powiedzieć, że to...

– Tak. – Dell pociągnęła zabawnie nosem. – To działająca komora kriogeniczna.

– Z człowiekiem?

– Aż tak dobrze to nie ma – zachichotała Tiffany. – Fajnie by było capnąć komórkę z jakimś totalnym praszczurem z Terry, Marsa czy innej bajkowej planetki, co nie? Ale mówiłam ci już: to był jakiś transport z technikaliaami. Leży tam więc genotyp. Ciałak znaczy. Wyklonowany, hodowany bioorganizm, pewnie do jakichś prac. – Młoda komputerowiec wzruszyła ramionami. – Niby nic takiego, bo można takie cuda znaleźć i dzisiaj w Systemach Wewnętrznych jako tanią alternatywę dla Maszyn. Ale ten jest stary. Wiesz, ile mogą być warte jego geny?

– Nie rozumiem...

– No wiesz... To genotyp, ale nie taki jak te Zjednoczenia, które przypominają karły czy zabawki. Pewnie wygląda jak człowiek. A tworząc go, zapewne korzystano z o niebo lepszych wzorów genetycznych niż obecne. Jest zatem zupełnie czysty, bez skaz genowych, bez mechanicznych wtrętów... zarobimy więc na nim kupę jednostek kredytowych! – Zachwycona swą przemową Dell podeszła i z satysfakcją klepnęła w komorę, która odpowiedziała jej głuchym stęknieniem. – A jest jeden konkretny odbiorca, który za

takiego ciała da nam tyle jedów, że przesiądziemy się na plagową fregatkę! – Dziewczyna zaśmiała się i oparła o pojemnik.

– Tiffany...

– No co? Niefajne?

– Może się o to nie opieraj – szepnęła Luta. – To się chyba ledwo trzyma na tych całych śrubach. I powłoka jest zupełnie skorodowana...

– Nie wygłupiaj się – zachnęła się lekceważąco Dell. – Po pierwsze to już sprzedane, więc zapieczętowane kontraktem. Nikt tego nie będzie otwierał! Po drugie, to plagiostwo jest solidniejsze niż ten cały skokowiec – stwierdziła, poklepując metalowy pancierz tuż przy panelu dostępowym komory. – Wiesz, jak wtedy budowano takie części?

– Ale...

– Daj spokój! Patrz, jak się trzyma! – przerwała jej Tiffany i grzmotnęła pięścią w komorę, tym razem naprawdę mocno. – Prędej ci serce pęknie! – dodała, nawiązując do jakiejś niemal zapomnianej erotycznej reklamy i z zadowoleniem poklepując ładunek.

Miała rację. Serce rzeczywiście nikomu nie pękło. Zamiast tego pękł panel, który zapiszczał smętnie i rozjaśnił się bladym, żółtawym światłem. Dell krzyknęła, odskakując do tyłu, a komora zaczęła się otwierać przy akompaniamencie przenikliwych syków i rżężeń.

No to sobie pomechanikowałam, pomyślała z rozpaczą Luta Post.



– Jest w AmbuMedzie – ogłosił doktor Harpago Jones pół godziny później. Pół godziny wypełnione krzykami, płaczem i karczemną awanturą, jakiej dawno nie widziano na „Smoczycy”. – System z

początku nie chciał go przyjąć, ale obszedłem zabezpieczenia. Bądź co bądź, nie ma personala – dodał, zerkając znacząco na Myrtona. – I tak: został wybudzony.

– A staza? – spytał kapitan.

– Dla genotypa? Nie zalecam – zaprzeczył Jones. – I nie po tak długiej hibernacji. Wszystko może w nim sięść, pomijając już fakt, że i tak z nim kiepsko. Przypominam, że skakaliśmy już z nim kilkanaście razy. Krio nie jest żadnym zabezpieczeniem przed Głębią. Ciałek zapewne ma już chorobę pogłębinową. To, że nie jest człowiekiem, tylko genotypem, niekoniecznie musiało go ochronić.

– W takim razie zamroźmy go ponownie i wsadźmy z powrotem do komory hibernacyjnej – zaproponował lodowatym tonem Carvac Holt. Grunwald zerknął przelotnie na ciemne, nic niewyrażające gogle zbrojeniowca, ale kapitana ubiegł Mirm Zigrist.

– Komora to już trup – oświadczył pierwszy mechanik „Smoczycy”. – I tak cudem jeszcze działała, kiedy ją wyciągnęliśmy. Nie ma więc szans, żeby wprowadzić ciałka z powrotem w krio. Można oczywiście zamrozić go w AmbuMedzie, ale równie dobrze można mu podać stazę. Na jedno wychodzi.

– W takim razie nie wyciągajcie go z AmbuMedu – zaproponował nieśmiało Zed Dell, obejmujący wciąż cicho pochlipującą siostrę, siedzącą w mesie tuż obok bladej jak sama śmierć Luty.

– Jak już mówiłem, został wybudzony – przypomniał Harpago. – Niemal automatycznie, po wyjściu z hibernacji. W AmbuMedzie mogę trzymać go jeszcze jakiś czas na środkach usypiających, ale stan zdrowotny określam jako słaby. Jego życie, o ile możemy tu mówić o życiu, wisi na włosku. Proponuję przerwać procedurę i wybudzić go do końca.

– I co mam z nim niby zrobić? – syknął Myrton. – Mam mu podać fluid i poczęstować drinkiem?

– Umawialiśmy się na martwe resztki biologiczne – zauważył

sucho Carvac. – Możemy więc postarać się, aby były martwe.

– Klient nie będzie zachwycony – wycedził zimno Grunwald.

Po tym krótkim, oczywistym stwierdzeniu zapadła cisza. Przerwał ją dopiero cichy brzęczyk interkomu i głos pierwszej pilot Emmy Nemo ze stazo-nawigacji.

– Nie wiem, co tam ustaliliście – usłyszeli – ale mam już boję lokacyjną. I chyba echo głębinowe, na razie dość rzadkie. Ktoś tu zamierza przylecieć.

– Pięknie – zauważył oschle Carvac Holt.

– Na razie wstrzymujemy skok – zdecydował Grunwald. – Zaczekamy. Doktorze? Wyciągamy z AmbuMedu naszego... gościa. Ulokujemy go w kajucie gościnnej. Carvac? Ty pójdiesz ze mną i doktorem. Weź ze sobą jakąś broń z zapasu w zbrojeniówce. Plaga wie, do czego zdolny jest chory na pogłębinówkę ciałak... Nemo?

– Tak, kapitanie?

– Obserwuj to echo. Chcę wiedzieć, kto się zbliża, i to szybko. Informuj, jeśli będziesz miała choćby prawdopodobny tonaż.

– Tak jest.

– Reszta niech wraca do swoich zajęć. – Myrton rozejrzał się po zebranych z wyraźnym niesmakiem. – Tiffany? Przestań ryczeć...! Zed, zajmij się nią. Pogadamy, jak się uspokoisz. A z tobą – wskazał na wciąż bladą Lutę – też jeszcze nie skończyłem. Obie z Dell narobiłyście mi kłopotu jak stąd do Błękitu.

Czas pokazał, że było to wyjątkowo trafne porównanie.



Ciałak wyglądał niemal zupełnie jak człowiek. Z wyjątkiem pozbawionych koloru, bladych oczu i szarawej skóry.

Chudy i blady, mniej więcej trzydziestoletni, o nieco ptasiej twarzy, długich czarnych włosach opadających na ramiona, okazałym nosie i

ładnie uformowanej brodzie, trząśł się lekko nakryty termokocem, skulony na leżance w kajucie gościnnej „Smoczyca”. Kajucie nieużywanej od tak dawna, że zmienionej w składowisko rupieci.

Na podłodze wały się trupy elektronicznych sprzętów, stare pisma holo i pogniecione podajniki żywieniowe, które niedbale zepchnięto gdzieś w kąt. Ze ściany straszyl niedziałający od dawna ekspres do kawy z opcją podania odżywczego fluidu zalecanego przez Zjednoczenie po wyjściu ze stazy. Holowgłębienie było wyłączone i zimne, i tylko ciśnieniówka natryskowa wyglądała na sprawną. „Smoczyca” nie cieszyła się renomą wygodnego statku transportowego. Inna rzecz, że ewentualny pasażer skokowca nie był zwykle zainteresowany wygodami, lecz tym, by zniknąć z radarów Kontroli Zjednoczenia.

Obecny w kajucie ciałak tym akurat martwić się nie musiał. Zjednoczenie i jego Kontrola nie miały o nim zielonego pojęcia. Był w końcu tylko towarem. Towarem, który w zasadzie miał być martwy.

– Stan jest raczej opłakany – zauważył doktor Harpago Jones. – W zasadzie potrzeba mu długotrwałej rehabilitacji.

– Szkoda jedów – stwierdził Carvac Holt. Ciemne gogle zbrojeniowca nie wyrażały ani grama współczucia. – I tak już po nim. Trzeba go wpiąć w stazę. Najwyżej zejdzie, ale ciało zostanie zachowane.

– Nie potrzebuję tu... kasacji – mruknął Myrton.

– On i tak jest martwy, kapitanie – powiedział Carvac. – Prawie sto procent pilotów z chorobą pogłębiniową ma epizody psychotyczne, zanim wysiądzie im mózg. A to nie jest nawet człowiek. Zapewne więc zejdzie szybciej...

– To ciałak. Może nie cierpieć na pogłębiniówkę.

– Chce pan ryzykować? Mieć na pokładzie ciałaka psychopatę?

Genotyp wzдрыgnął się, patrząc na Holta. Harpago chrząknął.

– Na waszym miejscu, panowie, uważałbym, co mówicie. Mówi się, że język Zjednoczenia oparty jest na odtworzonym terrańskim, a nie na języku Starego Imperium. Jeśli istotnie ciałak jest aż tak stary... to nie zalecam zbytnej szczerości w jego obecności.

– Ma nas niby rozumieć? – zdziwił się Grunwald. Podeszedł do ciałaka, który cofnął się odruchowo na leżance. – Bez przesady...

– Sami widzieliście, jak zareagował.

– Trzeba wpiąć go w stazę, tak czy owak – zdecydował Myrton, odsuwając się od genotypa. – Pytanie tylko, jaką powinien dostać dawkę...

– Wystarczy mikroskopijna ilość Białej Pleśni – zauważył Jones. – To genotyp, zapadnie w stazę po sekundzie.

– Świetnie. Zajmijcie się tym. Nasz kontrahent nie będzie zbyt długo czekał. Musimy skakać.

– A więc sprzeda go pan, kapitanie? – spytał Harpago.

Kapitan odwrócił się i spojrzał na doktora.

– A dlaczego nie?

– Wygląda jak człowiek – zauważył niechętnie Jones. – Widziałem genotypy Zjednoczenia. Ten jest inny. Może to zwykły klon? Jeśli Zjednoczenie się dowie, że handlujemy czymś, co potencjalnie podpada pod definicję człowieczeństwa...

– Nie przesadza pan, doktorze? – spytał Carvac Holt nieco zgryźliwie. Harpago wzruszył ramionami.

– Niekoniecznie – powiedział, drapiąc się po brodzie i podobnie jak Myrton, nachylając nad ciałakiem. – W końcu teraz rozpatrujemy człowieczeństwo nieco inaczej, niż patrzono na nie kiedyś, choćby z powodu Stripsów... i nie ukrywam, że kwestia owego rozpatrywania trochę mnie niepokoi. Może go jednak nie sprzedawać?

– A kto powiedział, że mamy jakieś inne wyjście? – uciął Grunwald.

– To nie jest człowiek – zaprzeczył twardo Carvac. – Widzieliście literę A, którą ma na czole?

– To jeszcze nie oznacza... – zaczął Jones, ale Myrton miał już dość dyskusji.

– Zostawmy na razie ten temat – rzucił. – Luta Post? – dodał nieco głośniejszym głosem, klepiąc we wszyty w kombinezon mikrofon kontaktowy. – Zapraszam do gościnnej! A wy, panowie – dodał, puszczając przycisk – wracajcie do swoich zajęć.

Nikt nic nie powiedział. Bądź co bądź, nie było już czego komentować.

Skulony ciałak zadrżał po raz kolejny.



Luta milczała. Nauczyła się już, że niekiedy warto trzymać gębę na kłódkę. Mówił Myrton, patrząc na nią jak na kłopotliwe łajno. Być może z większą niechęcią niż na ciałaka. Obawiała się tego.

Genotyp, jak zdążyła zauważyć na wstępie, odrzucił już termokoc, ale wciąż patrzył z widocznym niedowierzaniem na wszystko, co go otaczało. Kiedy ją zobaczył, uniósł się odrobinę, ale dość niezdarnie. Najwidoczniej wciąż był osłabiony.

– Tu masz twardą stazę, bez możliwości automatycznego wskrzeszenia. – Myrton wskazał na przyłączone obok leżanki pasy i iniektory Białej Pleśni. – Nasz gość jest pozbawiony portów personala, zatem musisz mu ją wprowadzić ręcznie. Użyj szydeł iniekcyjnych. System powinien ustalić dawkę awaryjną, kiedy nie wychwyci personalowego oprzyrządowania. Nieco to ryzykowne: można przez to wypaść ze stazy, nawet twardej.

– Ja...

– Jedyne plus jest taki, że genotyp zapadnie w stazę od razu, niemal po sekundzie. Doktor uważa, że w przypadku ciałaka Biała Pleśń zadziała błyskawicznie.

– Panie kapitanie...



– Zajmiesz się tym zatem. W ramach rehabilitacji.

– Nie wiem, czy...

– Będę stał tuż za drzwiami – powiedział Grunwald, nie przejmując się jej wystraszoną miną. – Ciało jest zbyt osłabione, by coś ci zrobić, ale wystarczy, że krzykniesz, a nie będzie już tak przyjemnie. Wytłumacz mu to. Podobno nas rozumie. To wszystko – rzucił, wychodząc za próg i sięgając do genocytownika. – Zrób to szybko.

– Panie kapitanie...

– Po prostu to załatw, Post – zakończył Myrton. Drzwi zasunęły się z cichym sykiem, a Luta poczuła, jak przez całe jej ciało przebiega dreszcz.

Została sama.

To powinna być Tiffany, przemknęło jej przez głowę. Dlaczego wybrał akurat mnie? Mówiłam jej przecież, żeby nie klepała tej przeklętej komory! A teraz stoję tu jak słup i patrzę na tego całego... ciała. I nie mam pojęcia, co mu powiedzieć. Ale przecież...

Do przeklętej Plagi! Mógłby się tak nie gapić... Wpatrzony we mnie... jakbym go miała ratować. Kompletnie bez sensu!

– Słuchaj – zaczęła niemal wbrew sobie, czując, jak jej głos robi się lekko zachrypnięty. Kaszlnęła nerwowo. – Słuchaj. Muszę podać ci stazę. Zaraz będziemy przechodzić przez Głębię. Już pewnie masz pogłębinówkę... to znaczy... nieważne. I tak muszę ci ją podać. Rozumiesz?

Pokręcił głową. No pięknie! Niemal się zachłysnęła. Naprawdę rozumie, co ona mówi? A może się jej zdawało?

– Staza – powtórzyła. – Te rurki, widzisz? – Wskazała na kable i iniektory. – Podam ci przez to Białą Pleśń. Będę musiała się tym w ciebie... wkuć. Ta Biała Pleśń... staza... to taka... substancja. O wiele mocniejsza niż krio. Jest po niej tak, jakbyś umarł. Dlatego kiedy się z tego wychodzi, to prawie jak powstanie z martwych. Zupełnie

jakbyś został wskrzeszony.

– Nheh – szepnął, ale całkiem wyraźnie. Jego głos pobrzmiwał dziwnym echem, zamrożoną przez wieki słabością. – Nheh...

– Nie masz wyjścia – powiedziała. – Widziałeś kapitana? Jeśli tego nie zrobię, podadzą ci stazę na siłę. Nie mówiąc o tym, że i mnie się oberwie.

– Juszsz mhok zapjhada... – Ciałak zakaszłał, ciężko i spazmatycznie. – Nihdzie droghi... – powiedział nieco wyraźniej. – Ghdzie...?

Zrozumieć go było łatwo i chyba to było najgorsze. Zupełnie jakby rozmawiała nie z jakimś genotypem sprzed wieków, ale z wieśniakiem z Księstw Granicznych posługującym się poszarpanym, na wpół bełkotliwym dialektem. Wzdrygnęła się na myśl o takim porównaniu.

To tylko ciałak, pomyślała. Z literą A na czole. Zapewne z chorobą pogłębinową. Zwykły ciałak. Tak jak mówił kapitan. Tak jak mówili wszyscy.

– Pytasz, gdzie jesteś? Jesteś na skokowcu – powiedziała powoli. – Typ ciężki. To jednostka transportowo-handlowa z napędem głębinowym umożliwiającym skok przez Głębię do piętnastu lat świetlnych. Rozumiesz, co mówię?

– Gh... ghębie?

– To metaprzeźren – wyjaśniła. – Nikt nie wie, czym naprawdę jest, ale można dzięki niej znacznie skrócić podróż w kosmosie. Niestety, trzeba przez nią przelatywać pod wpływem stazy. Jeśli przebędziesz ją świadomie, dostaniesz... – zawahała się. Czy mówić mu o tym, co zapewne ma? – Twoje ścieżki mózgowie zaczną się defragmentować albo fragmentować... dokładnie nie wiadomo. – Oblizła nerwowo wargi. – Po prostu oszalejesz i umrzesz! – wypaliła wreszcie. – Dlatego musisz dostać Białą Pleśń. Doktor Harpago mówi, że nie powinieneś... bo dopiero wyszedłeś z

głębokiego zamrożenia, ale... musimy zaraz skakać.

– Patsze w niebo... – Znowu zakaszła. – Ghwiasd szukham...

– Chodzi ci o lokację? – spytała. – Cóż... jesteś daleko od Terry. Bardzo daleko. W innym miejscu i czasie. W Wypalonej Galaktyce.

– Wypha...lonej?

– Nie jesteś już u siebie. – Skrzywiła się lekko. – Kiedy cię zrobiono... – urwała. – Kiedy cię wysłano – poprawiła – sporo się zmieniło. Nie ma już... jak to się nazywało? – Zamachała niezdarnie ręką, szukając właściwego słowa. – Kraina Mleczna? Galaktyka Mleka? Już jej nie ma. W trakcie ostatniej wojny Maszyny wypaliły prawie sto procent systemów... To była apokalipsa i teraz wszędzie jest żywe Wypalenie, które pożera z wolna to, co zostało. To było... – Znowu urwała, widząc, że genotyp patrzy na nią tępym, nierozumiejącym wzrokiem. – Nie wiem, po co ci to mówię! – zachnęła się. – To kompletnie bez sensu! I jak możesz mnie rozumieć? Jesteś tylko genotypem... przepraszam... – przerwała, widząc, jak ciałek blednie. – Przepra... O, do Plagi! Panie kapitanie! Panie kapitanie, on mi tu...

Drzwi wsunęły się w ścianę z cichym sykiem. Myrton Grunwald wszedł szybkim krokiem do środka, z niesmakiem patrząc na Lutę i nieprzytomnego ciała.

– ...zemdłał – dokończyła mechanik.

– Zauważyłem – burknął kapitan, uderzając dłonią we wszyty w kombinezon mikrofon. – Doktorze Harpago? Zapraszam do kajuty „gościa” – rozkazał, puszczając przycisk. – Post?

– Ta... tak?

– Wyjdz – mruknął Grunwald. – Na razie wystarczy.

Kiwnęła szybko głową.

– Ja nie... Ja naprawdę przepraszam – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie chciałam, żeby to się stało. Naprawdę.

– Słyszałem cię – odparł. – A teraz wyjdz.

– Przepraszam – powtórzyła, ulatniając się tak szybko, jakby potrafiła samodzielnie skoczyć przez Głębię.



Skoczyli niecałe pół godziny później, wprost do sektora dziury głębinowej Trakt Sodo. A gdy przybyli już na miejsce, okazało się, że nie są sami.

Wielka, opalizująca błękitem kula była niczym innym jak dziurą głębinową. Widoczne dookoła niej zachwianie przestrzeni trójwymiarowej sprawiało, że kontury kuli umykały, wpadając w cienie niemożliwych figur. Tu nie potrzeba było napędu głębinowego – wystarczyło wlecieć, by wydostać się w odległym Ramieniu Perseusza. Na tle olbrzymiej dziury byli niczym drobna kropka w towarzystwie innych kropek: niewielkiej kosmicznej flotki dowodzonej przez zielonkawą fregatę.

– Spodziewałem się „Karmazyna” Anny czy choćby „Pługowca” Trzęsawki. Ale to „Pensja” Delikatnego – poinformował dziwnie spokojny Carvac Holt ze zbrojeniówki. – Z jednej strony dobrze, że to nie Anna. Ma chyba najwyższy status u Paliatywy, więc wysłała ją do najważniejszych zleceń. Delikatny... cóż, to nieco mniejszy format. Z drugiej strony niekoniecznie musi być łatwo. Delikatny jest troszkę... nie zrównoważony.

– Jak oni wszyscy – mruknął siedzący w fotelu kapitańskim Myrton. – Dobrze. Zatem mamy fregatę. Coś jeszcze?

– Skan łapie ciężki, staroimperialny myśliwiec głębinowy – odpowiedziała suchym tonem Emma Nemo. – To „Poblask” Zony Si. Nie mam pojęcia, czemu trzyma z Delikatnym. Słyszałam, że za sobą nie przepadają.

– A to czemu?

– Si kolekcjonuje kochanków i dzięki temu umacnia swoją pozycję.

Delikatny nie był zainteresowany. Ma podobno... odmienne preferencje.

– Słyszałem o tej Si – zauważył Carvac ze zbrojeniówki. – Podobno spuściła kiedyś bombę wirusową na jakiś układ w Systemach Zewnętrznych. Trudno o bardziej zimną sukę.

– Pięknie – skwitował Myrton. Ale Holt jeszcze nie skończył.

– Bardziej niż ona martwią mnie te małe stateczki w tle – zauważył zbrojeniowiec. – Te wyglądające jak zmodyfikowane skoczki głębinowe na zimnej sygnaturze jonowej. Nemo, mogłabyś...?

– Przybliżam – odparła pierwsza pilot, powiększając nieco holo z poziomu konsoli nawigacyjnej tak, że wszyscy mogli zobaczyć dziwaczne jednostki, powykręcane w kształty przypominające wymyślne narzędzia tortur.

– Dam głowę, że to flagelanty – skwitował Carvac. – Cała przeklęta eskadra.

– Skruszeni... – skrzywił się Myrton. – Tylko tego brakowało.

– Co to takiego? – spytała niepewnie Tiffy Dell, która najwidoczniej nie wytrzymała napięcia i wyszła z Serca, by popatrzeć osobiście przez neoszybę SN.

– Flagelanty, czyli statki zakonu Contritutów zwanych też Skruszonymi – odpowiedziała sucho Nemo. – Zjednoczenie nigdy nie przyznało im statusu sekty, bo są na to zbyt rozproszeni i trudno o większych wariatów w Wypalonej Galaktyce.

– Wariatów?

– Rzekomo doprowadzili do celowego wyjałowienia własnej planety.

– Ten Delikatny... ta Zona Si... mówicie o piratach... – wyszeptała z niedowierzaniem Luta Post. Stojący obok młodej mechanik Mirm Zigrist chrząknął znacząco i pociągnął ją lekko za rękaw kombinezonu. – Robicie interesy z piratami? I z jakimiś... chorymi zakonami?

– Witamy w Wypalonej Galaktyce – rzucił kąśliwie Carvac Holt.

– Zabiorę ją stąd – zaferował się Mirm, zanim Luta ponownie otworzyła usta. – Mamy co nieco do podreperowania na pokładzie dolnym...

– To są... plagowi piraci!

– Wiem, wiem – zgodził się Zigrist. – Ale jak się nie ma, co się lubi...  
No chodź, kochanie. Mało ci było zdenerwowania kapitana?

Post nie odpowiedziała. Wyciągana ze stazo-nawigacji przez Mirma, zerknęła tylko na Tiffy Dell. Ruda, piegowata komputerowiec odwróciła wzrok, ale Luta była niemal pewna, że jej policzki zapłonęły na moment krwistą czerwień.

– Delikatny żąda kontaktu – zauważyła Nemo. – Szeroka wiązka.

– Nie zalecam szerokiej – wtrącił poblady, stojący z boku konsoli nawigacyjnej doktor Harpago Jones. – To powinna być prywatna rozmowa, kapitanie.

– Nie ma już na to czasu – stwierdził Myrton. – Emma?

– Tak jest – powiedziała Nemo i po chwili wszyscy usłyszeli dziwnie układny, przemiły głos, od którego momentalnie robiło się zimno. Post szarpnęła się, wrywając rękę z dłoni Zigrista, i stanęła tuż przed wyjściem z SN. Może Mirm nie miał ochoty, by pozostawała tu dłużej... ale chciała usłyszeć, w co się wpakowała. I to dokładnie.

– Kapitan Myrton Grunwald – doleciało z głośnika konsoli nawigacyjnej. – Pięęęęęknie. Czyż nie?

– Cała przyjemność po mojej stronie – mruknął Myrton.

– W żadnym wypadku – zaprzeczył natychmiast głos, wznosząc się i opadając na przemian. – Przyjemność będzie wyłącznie moja. Tak to bywa z pierwszymi razami. Prawiczka boli podobno najbardziej. Bo rozumiem, że dojdzie do rozdźwięczenia, i to dość bolesnego, biorąc pod uwagę pańską reputację.

– O czym on... – zaczęła Luta, ale przerwało jej syknięcie Mirma.

– Cicho bądź! – rozkazał ostrym szeptem stary mechanik. – To

szeroka wiązka. Ten mikrofon zbiera wszystko z pomieszczenia. Chcesz tu zostać i słuchać, to milcz!

– Cudownie – kontynuował kapitan fregaty „Pensja”. – A zatem: Myrton Grunwald. Czy mogę przejść na ty? To wręcz zaskakujące, jak mało można się o tobie dowiedzieć. Wysoko postawiona rodzina z Błękitu, planety-stolicy Zjednoczenia? Plaga, gdybym wiedział wcześniej, umyłbym kadłub.

– Istotnie, przydałoby się – rzucił niedbale Myrton, ale choć minę miał spokojną, w jego głosie słychać było napięcie.

– Ale wszystko zostało tak brzydko utajnione... – kontynuował niezrażony Delikatny. – Zapewne nie bez powodu. Czyżbym mylił się co do oczekiwanego rozdziewiczenia?

– Może.

– I jeszcze enigmatyczny! Cu-dow-nie! – wysylabizował ironicznie pirat, by dodać nagle chłodnym, bezosobowym tonem, kompletnie różnym od wcześniejszej wesołkowatości. – No ale dobrze. Jak towar?

– Na pokładzie – odparł szybko Grunwald. – I wolałbym, żeby na razie tam pozostał.

– Nie wiem, czy mogę się na to zgodzić. – Z głośnika doleciało teatralne westchnienie. – Paliatywa jest umiarkowanie, ale zainteresowany. Trudno dziś o czyste, historyczne zamienniki narządów, choćby i z genotypu, tym bardziej że mówimy o bardzo starej, a zatem czystej genostrukturze. A kiedy Paliatywa jest zainteresowany, to automatycznie zainteresowani jesteśmy my wszyscy. Co zatem powiecie na małą trapową doczepkę? Załatwimy to raz-dwa.

– Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami towar przekazujemy na Oku – powiedział Myrton. – Po zadokowaniu.

– Nie otrzymaliście jeszcze glejtu, by wylądować na stacji Paliatywy – zauważył zimno Delikatny. – Te twoje koneksje z Błękitem,

Grunwald, nie za dobrze brzmią. Oko przyjmuje tylko zaufanych ludzi. A ty, jak na razie, niczym się nie wykazałeś.

– Rozumiem, ale podobno pierwszy raz boli – zauważył Myrton. – Niech więc poboli nas wspólnie. Po tak zwanej sprawiedliwości.

Zapadła cisza, przerwana jedynie cichym sapnięciem Carvaca Holta. Ale zbrojeniowiec, tak jak i reszta załogi, nie pozwolił sobie na dodatkowy komentarz.

– Nikt nie mówił, że od razu będzie przyjemnie – skwitował wreszcie pirat. – Ale załatwimy to i tak po mojemu. Przyjmiesz Skruszonych. W ramach rękojmi i zapewnienia finalizacji kontraktu. A oni przyjrzą się towarowi.

– Nie ma mowy!

– Nie mówiłem, że masz jakieś wyjście. Przyjmiesz zatem Contritutow. I ciesz się, że to tylko zakon, a nie moi ludzie. Jeśli zaś będziesz wierzgał, skontaktuję się z Paliatywą przez Strumień. Obstawiam, że na siedemdziesiąt pięć procent postanowi ostrzelać tego twojego skokowego gruchota. To, co masz, nie jest aż tyle warte, by cię nie przysmażyć. Zrozumiałeś, co powiedziałem?

Grunwald nie odpowiedział.

– Pytałem, czy zrozumiałeś?

– Tak – odmruknął kapitan po chwili.

– No i świetnie. Wysyłam flagelanty – usłyszeli jeszcze, a potem połączenie zerwano.

– Nie będziemy ryzykować – odezwał się Grunwald. – Carvac, otwieraj zbrojeniówkę. Każdy ma zabrać ze składu choćby zwykły pistolet plazmowy.

– To może nie wystarczyć – zauważył Holt.

– Przekonamy się – odparł Myrton. – Sądzę...

Ale nikt nie dowiedział się nigdy, co sądził w tym momencie kapitan „Smoczycy”. Skokowiec rozbrzmiał znienacka sygnałem alarmowym. Ostre, piskliwe piknięcie przeleciało przez SN, by



zmienić się w miarowe, denerwujące pulsowanie. Wszyscy zauważalnie się wzdrygnęli, a Mirm Zigris zaklął szpetnie ku wyraźnemu zaskoczeniu Luty.

– Ciałak... – wymamrotał doktor Harpago Jones, a następnie odwrócił się na pięcie i niemal wybiegł ze stazo-nawigacji. I, jak było do przewidzenia, tuż za nim wybiegli niemal wszyscy.



Było wyjątkowo źle.

Ciałak spoczywał pod leżanką, odpięty od iniektorów i wskrzeszony z twardej stazy, co – na logikę – nie powinno mieć miejsca. Dygotał dość intensywnie, bełkotał.

– I sam ty biały jak chusta – wymamrotał zupełnie wyraźnie – zimny, jakie zimne dłonie!

– Co on wygaduje? – wyszeptała kompletnie zaskoczona Luta.

– Mogły sięść mu funkcje poznawcze – odpowiedział nachylający się nad genotypem doktor. – Zapewne z powodu Głębi. Powtarza jakieś stare, wdrukowane instrukcje i genetyczne mempleksy.

– Na ten upadek, na głos boleści – jęczał ciałak – skupia się ludzi gromada. Mówcie pacierze...

– Niech go pan wyłączy, doktorze – syknął Myrton.

– Nie mogę...

– Ufajcie memu oku i szkiefku... – powieki genotypa zaczęły trzepotać, odpływał – nic tu nie widzę dokoła...

– Wyłączcie go!

– Już... – wymamrotał Harpago, sięgając za kark genotypa. – Chwileczkę...

Ciałak jęknął. Post wzdrygnęła się zauważalnie i cofnęła, omal nie wpadając na wchodzącą właśnie do kajuty Tiffy. Jones cofnął rękę.

– Już – powtórzył wciąż lekko drżącym głosem. – AmbuMed

wskazywał wcześniej kark jako element kontaktowy. Najwidoczniej wystarczy mocniej klepnąć... Uspokoił się.

– Przekłęte wariactwo – syknął Grunwald. – W porządku, ludzie, koniec przedstawienia. Wracajcie na stanowiska. Nemo? – Nacisnął przycisk kontaktowy na kombinezonie. – Jak sytuacja?

– Doczepia się do nas jednostka Skruszonych. – Głos Emmy był dziwnie chłodny. – To ten... ciałak? Widziałam go przez kamerę...

– Tak, to ten. Nie wpuszczaj nikogo z flagelanta, dopóki nie będziemy przygotowani. Carvac? Wydawaj broń.

– Tak jest – doleciało z głośnika.

– Doktorze? Zajmij się... tym czymś – polecił Myrton, odwracając się i wychodząc z kajuty. – Mam już dość niespodzianek.

Ale prawdziwe niespodzianki miały dopiero się zacząć.



Tak jak się spodziewał, spotkał ją niemal od razu. Wyszła z SN i sam fakt, że porzuciła swoje stanowisko – i to w takim momencie – powinien go zdenerwować, ale nerwy do niczego by go nie doprowadziły. Widział to w jej czujnych, wpatrzonych w niego oczach.

Nie odezwała się. Uśmiechnął się nieznacznie, ale był to uśmiech zbłąkany, przykrywający niepewność. Kiedy odwróciła wzrok, odetchnął lekko, ale ulga trwała krótko. Zauważył, dokąd idzie.

Do jego kajuty.

Szybko wysforował się do przodu i klepnął w genoczytnik, otwierając przed nią drzwi. Weszła i zaczęła, aż i on wejdzie do środka. Dopiero wtedy odezwała się po raz pierwszy.

– Myrton – powiedziała tonem, który świetnie znał i za którym nie przepadał. Minął ją, idąc w stronę holostolu, machając lekko rękami, jakby odpędzał się od dokuczliwych much. Nie powiedziała nic

więcej, ale nie było to konieczne.

– I co mam niby zrobić? – powiedział. – Jak to sobie, do Plagi, wyobrażasz?

– Nie jesteś taki, Myrt.

– A jaki niby według ciebie jestem? Emma, to jest plagowy Paliatywa! Nie odmawia się Paliatywie! Ci, którzy odmówili, latają teraz po kosmosie w pieprzonych trumnach!

– Ten cały ciałak wygląda jak człowiek – powiedziała i było to dokładnie to, czego najbardziej się obawiał. – Może być jakimś prastarym klonem z blokadą tożsamości. Nie wygląda gorzej niż ktoś, kto przesadził z genotransformatorem. Chcesz się bawić w handlarza niewolników?

– A wiesz, jak wyglądają nasze konta kredytowe? – Grunwald skrzywił się, ale nie podniósł wzroku, nie poszukał jej oczu. Patrzył za nanitową neoszybę kajuty, w daleką, rozjarzoną mgławicę. – Otóż w ogóle nie wyglądają. Skokowiec się rozpada. Musiałem zatrudnić drugiego mechanika, bo Zigrist nie jest w stanie sam utrzymać wszystkiego w kupie. W ostatniej stoczni Zjednoczonych Fabryk Kosmicznych gość od przeglądów patrzył na mnie jak na samobójcę.

– To nie znaczy, że powinieneś handlować kimś, kto po lekkiej genotransformacji mógłby być człowiekiem.

– Obudź się, Nemo. – Odwrócił się, wreszcie patrząc jej prosto w oczy. Drgnęła – od czasu, kiedy zostali kochankami, nigdy, gdy byli sami, nie odezwał się do niej po specyfikacji. – To Wypalona Galaktyka, nie skupisko kolorowych gwiazdek. Zobacz, do czego doszliśmy uczciwym handlem. Kiedy ostatnio dostałaś plagową wypłatę? Powiem ci kiedy: prawie cztery miesiące temu!

– Ludzie to zrozumieją... To twoja załoga, Myrton.

– I zaraz tej załogi nie będzie. Jestem za nich odpowiedzialny – mruknął ni to do niej, ni to do siebie. – Jeśli więc nie załatwimy tego interesu... będzie po niej. I świetnie o tym wiesz.

– Załatw go, a zgodnij, po czym wtedy będzie – odpowiedziała, odwracając się w stronę wyjścia.

– Emma... – zaczął, ale automatyczne drzwi już się zasunęły. Pozostawało mu tylko zakląć.



– Luta...

Szept był słaby, na granicy słyszalności i Post zdecydowała, że nie będzie go słyszała. Patrzyła na niewielki pistolet wydany jej przez Carvaca, z zielonym znacznikiem pełnego naładowania. Nigdy nie miała w ręku broni, nie wspominając już o strzelaniu.

– Ja... chciałam cię przeprosić.

– Aha – odpowiedziała, nie patrząc na drepczącą nieopodal Tiffy. Zgodnie z poleceniami Myrtona miały udać się do korytarza dostępowego. Tuż przy śluzie miał stać sam Myrton z czymś na pociski fuzyjne. Zed Dell, Emma Nemo i Carvac Holt pozostali na swoich stanowiskach, podobnie jak czuwający przy ciałaku doktor Harpago. Ich jedyne realne wsparcie – mechanik Mirm Zigrist zajęły miejsce nieopodal Myrtona. Przytrzymał wiszący na pasach przymocowanych do kombinezonu ciężki paralizator, zapewne własnej produkcji. Brygada uderzeniowa jak się patrzy, pomyślała zgryźliwie Post. I akurat teraz tej... oszołomce zebrało się na przeprosiny.

– Wiem, że to przeze mnie. – Dell pociągnęła nosem z charakterystycznym piśnięciem i Luta uśmiechnęła się mimowolnie.

– Naprawdę nie chciałam. Wiem, że dostałaś opieprz, ale... uwierz mi, też mi się oberwie. I to bardzo.

– Nieważne – odpowiedziała wreszcie Post, zerkając kątem oka na lekko zaczerwienioną komputerowiec. – Następnym razem po prostu nie klep w komory hibernacyjne.

– Następnym razem klepnę... ale w swój łeb – zgodziła się Tiffy. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że...

Syknęło. Dell urwała, patrząc, jak zielona lampka pobliskiej słuzy mruka spazmatycznie i jak wielkie okrągłe wrota – pozornie stanowiące monolit – dzielą się na wzór płatków metalicznego kwiatu i chowają między warstwami pancerza. Stojący za Myrtonem Zigrist zaklął; paralizator zatrzeszczał cicho, wyzwalając kilka zbląkanych iskier.

Próg przestąpił Skruszony. A dokładniej: trzech. Najwyższy z nich, odziany w czarną opończę, trzymał na łańcuchu dwóch pozostałych, skulonych i poprzebijanych najrozmaitszymi drutami, iniektorami i szydłami szumiących cicho paralizatorów. Nie wiadomo było, czy trzymanie ich na łańcuchu stanowi formę kary, czy nagrody: fakt, że najwyższy traktuje ich jak zwierzęta, nie robił chyba na nich większego wrażenia.

– Bracia i siostry, witajcie w upadku – odezwał się wysoki. – Prowadźcie do towaru, a i wy zaznacie rozkoszy cierpienia.

– Niezbyt zachęcające – szepnęła Tiffy Dell. Wysoki jakby ją usłyszał, bo potrząsnął lekko łańcuchem, po którym przeleciały nagle iskry wyładowania. Jego towarzysze nawet nie jęknęli, drząc tylko i jeszcze bardziej przylegając do posadzki.

– Prosto – oznajmił Myrton, odwracając się od Skruszonych.

– Przekłete świry – stwierdził z niesmakiem Mirm Zigrist, unosząc paralizator. – Ruszcie się, drodzy goście – dodał głosem wibrującym od ironii. – Kapitan pragnie szybko załatwić prezentację.

– Upadek to cena oczekiwania – odparł wysoki, luzując nieco łańcuch. Ruszył za Grunwaldem. Jego podwładni podreptali na czworakach, stękając z cicha – najwyraźniej ruch sprawiał im więcej bólu niż napięty łańcuch.

Tak jak spodziewała się Luta, szli prosto w kierunku stazonawigacji. Główny korytarz dostępowy „Smoczycy”, rozwidlający się

na kilka mniejszych, zwyczajowo prowadził do umiejscowionej z przodu SN. Większość skokowców Zjednoczenia posiadała, bądź co bądź, prostą budowę modułową z podziałem na trzy pokłady: górny, środkowy i dolny, a „Smoczyca”, pomimo stosunkowo niesymetrycznej budowy, nie należała tu do wyjątków. Niemal fregatowy tonaż sprawiał wszakże, że musieli nieco przejść, by dotrzeć do celu. A sam spacer nie należał do najprzyjemniejszych. Wysoki Skruszony szedł powoli i nie chodziło jedynie o prowadzonych na łańcuchu członków zakonu. Najwidoczniej leniwe ciągnięcie obu Contritutów sprawiało mu przyjemność.

– Doktorze Harpago – rzucił Myrton do mikrofonu, gdy znaleźli się wreszcie w SN – czekamy.

– Zaraz będę – zabrzączało w odpowiedzi. Grunwald uśmiechnął się krzywo do Skruszonego, który najwyraźniej nie przejmując się opóźnieniem, wyciągnął niewielką kulkę holoemitera.

– Chcą bezpośredniego przekazu – poinformowała obecna w SN Emma Nemo. – Pozwolić?

– Zdejmij blokadę – zgodził się Myrton i pierwsza pilot przebiegła palcami po konsoli nawigacyjnej. Kulka zaszemrała i wypluła blade, zielonkawe holo zamaskowanego Delikatnego. Widać było tylko zarys sylwetki kapitana „Pensji”, ale jego głos brzmiał wyraźnie.

– Nareszcie razem – skwitował. – Ale zanim zaczniemy, obiecałem coś moim ulubionym... maskotkom. – Holo machnęło lekko ręką ku Skruszonym. – Możecie zaczynać.

Contritut kiwnął głową i stanął pośrodku SN. Siedzący obok Emmy astrolokator Zed Dell cofnął się odruchowo.

– Bracia i siostry! – zaczął Skruszony lekko ochryple. – Oto ciemność! Oto upadek. Oto cierpienie, będące ukojeniem duszy!

– O ja pier... – zaczęła cicho Tiffy, ale Contritut huknął donośniej, szarpiąc za trzeszczący elektrycznością łańcuch.

– Czemu Galaktykę dotknęło Wypalenie?! – wrzasnął

charakterystycznym tonem nawiedzonego kaznodziei. – Czyż u zarania dziejów nie istniało Imperium Galaktyczne? Czyż człowiek nie opanował wszystkich galaktycznych Ramion?! Czyż nie żyliśmy w zgodzie z niezliczonymi rasami kseno?!

– Powiedzmy – mruknął cicho Zigris.

– Nasza pycha została ukrócona! – huczał Skruszony. – Spadła na nas tajemnicza Plaga, ale i wtedy się nie opamiętaliśmy! Nastąpiła wojna z Obcymi, których wygnaliśmy poza Granicę Galaktyczną, ale i to nie przyniosło nam rozumu! Wreszcie zwróciły się przeciwko nam przeklęte Sztuczne Inteligencje, ale naszych grzechów nie stała nawet Wojna Maszynowa! I dlatego spotkała nas zasłużona kara! Wypalenie Galaktyki, rozerwanie materii i wymiarów! Przekleństwo, które pożera nasz świat, pozostawiając martwe planety, słońca i całe systemy! Żywe Wypalenie, które nieuchronnie prowadzi do zagłady! Pytam was zatem: jaka jest nasza odpowiedź?!

Nikt nie skomentował.

– To głębsze wejście w grzech! – wydarł się zakonnik. – Brak prawdziwego Zjednoczenia pomiędzy Państwem, Ligą i Federacją! Pycha Klanu Naukowego! Zatwierdzone sekty niemoralnych, ksenoformujących się Elohim, dążących do przemiany w Tych, Którzy Odeszli! Obłąkana sekta Stripsów, cyborgizujących się wbrew prawu Wypalanej Galaktyki! Przeklęta sekta Zbioru, dążącego do źle pojętej transgresji ludzkiego ducha! – Skruszony oplotł się nieco, ale nie stracił wigoru. – Nie tędy droga, bracia i siostry! Nie tędy droga! Odpowiedzią jest skrucha i cierpienie, odpowiedzią jest upadek! Przyjmijcie zatem upadek, póki nie jest za późno!

– To wszystko? – spytał po chwili ciszy Myrton, widząc kątem oka, że doktor wprowadza do SN nieco słaniającego się na nogach genotypa. – Bo w takim razie...

– Grzesznicy! – syknął wściekle Contritut. – Zatwardziali w swym

grzechu! Cóż uczynicie, gdy nadejdzie ciemność?! Spójrzcie na świat: na wypalone gwiazdy, tonące w zepsutej czerwieni! Na martwe, zimne księżycy! Na planety rozdarte przez Wypalenie, zagubione w zepsutym wymiarze! Na układy, które były niegdyś...

– Wystarczy – głos Delikatnego uciął dalsze wywody Skruszonego.

– Jeszcze nie skończyłem!

– Skończyłeś – oznajmiło holo. – Mówiłem, że macie swoją szansę na nawracanie, o ile wspieracie działania Paliatywy. Problem z wami polega wszakże na tym, że nie wiecie, kiedy przestać.

– O, znamy gorzką cenę głoszenia prawdy! – zaczął teatralnie Contritut. – Lecz droga do upadku wiedzie przez...

– Powiedziałem, żebyś się przymknął! – powiedział znacznie głośniejsz Delikatny. – Chyba że wolisz, bym pozwolił na przysmażenie twego świętobliwego dupska.

Skurzony zamknął usta. Coś go ostrzegło: może nagły lód w głosie pirata, a może równie zimny uśmiech mechanika Mirma Zigrista. Cofnął się nieco, napinając łańcuch. Jego podwładni zadrżeli, wyładowania przemknęły po bladych, wybiczowanych skórach.

– No dobrze – rzekł Delikatny. – Nie marnujmy już czasu. Kapitanie Grunwald? Proszę o prezentację towaru.



Stali pozornie bez ruchu, patrząc, jak doktor Harpago Jones popycha delikatnie genotyp, ustawiając go pośrodku SN. Ciałek trząsł się lekko, patrząc na nich wodnistymi, bladymi oczyma. Z tej perspektywy istotnie wyglądał jak człowiek: przerażony i drżący.

– Otworzyliście komorę? – zauważył Delikatny. – Zapieczętowaną kontraktem? Paliatywa nie będzie zadowolony... No ale to już wasze zmartwienie. Cóż to zatem takiego?

– Stary genotyp rozrywkowy – oznajmił sucho doktor. – Raczej nie



do prac fizycznych, choć nie wykluczam, że coś robił. Możliwe, że stanowi jakąś formę... trudno powiedzieć... magazynu danych?

– Coś jak komputer? – upewnił się pirat.

– Możliwe – przyznał Jones. – Ale im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nie rozumiem, po co go wzięto. Nawet w Erze Terrańskiej znano lepsze sposoby na magazynowanie danych. Może nie chodziło tu tylko o same dane, ale i o jakąś zachowaną albo odtworzoną informację genetyczną...

– Interesuje mnie tylko, czy jest sprawny fizycznie – zauważył Delikatny.

– Z pewnością wymaga rehabilitacji – przyznał Harpago. – Ale to normalne po tak długim okresie zamrożenia.

– Przeprowadzimy zatem test genotypowy ustalający czystość jego struktury – zdecydował pirat. – Na szybko.

– Iniektorem szydłowym? – skrzywił się doktor. – Nie potrzeba. On nie ma portów personala. Trzeba by było wprowadzić iniektor bezpośrednio w kręgosłup... a to wyjątkowo bolesny i ryzykowny proces.

– Ale nie ma nic pewniejszego, by oczyścić ducha – wtrącił się znienacka Skruszony. – Mogę zrobić to... osobiście.

– Powiedziałem – uparł się Jones – że nie jest to konieczne. Mogę zrobić już teraz krótką prezentację biologicznego systemu. To, wbrew pozorom, prosta aktywacja... AmbuMed ją wskazał.

– To nie wystarczy – zauważył Delikatny, ale Harpago podszedł już do genotypa i klepnął go w kark.

– Prezentacja! – powiedział donośnie, a ciałak wyprostował się nagle i odezwał jasnym, grzmiącym głosem:

*Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,  
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;  
Jednakże gdy cię długo nie oglądam*

*Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam  
I tęskniąc sobie zadaję pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie?*

*Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu  
W myśli twojego odnowić obrazu;  
Jednakże nieraz czuję mimo chęci,  
Że on jest zawsze blisko mej pamięci.  
I znowu sobie powtarzam pytanie:  
Czy to jest przyjaźń? Czy to jest kochanie?*

Genotyp urwał. Jego słowa przebrzmiewały lekkim echem po SN, by wreszcie zaniknąć w szumie elektronicznych systemów „Smoczycy”.

Pierwszy zaczął się śmiać Delikatny. Jako drugi zachichotał z cicha Contritut, choć jego śmiech przypominał raczej chorobliwy kaszel. Coś na kształt zapowiedzi uśmiechu przemknęło po twarzy Mirma, a Luta Post poczuła się nieswojo: groteskowość całej sytuacji sprawiła, że chciała się zaśmiać, ale śmiech zamarł jej na wargach.

– Wierszokleta! – parsknęło wreszcie pirackie holo. – Popatrz tylko, Myrton! Myślałeś, że sprzedajesz cenny skarb, a to jakiś... zasrany poeta!

– Paliatywę interesuje materiał... – zauważył zimno Grunwald. – Nie wiersze.

– I tu rzeczywiście się z tobą zgodzę – przyznał wciąż rozbawiony Delikatny. – No dobrze. Niech powie coś jeszcze.

– Nie sądzę, żeby...

– Plaga mnie obchodzi, co sądzisz. – Wcześniejsza wesołość w głosie pirata przygasła. – Doktorze Jones? Niech pan kontynuuje.

– Chwileczkę... – mruknął Harpago i ponownie wydał polecenie ciałakowi. Genotyp wyprostował się, patrząc gdzieś poza neoszybę i

widoczną za nią mgławicę, wydeklamował silnym głosem, od którego przeszły ich nagle ciarki:

*Precz z moich oczu!... postucham od razu,  
Precz z mego serca!... i serce postucha,  
Precz z mej pamięci!... nie, tego rozkazu  
Moja i twoja pamięć nie postucha!*

*Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka,  
Tym szerzej koło żalobne roztoczy,  
Tak moja postać, im dalej ucieka,  
Tym grubszym kirem twą pamięć pomroczy.*

*Na każdym miejscu i o każdej dobie,  
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,  
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,  
Bom wszędzie częśćkę mej duszy zostawił.*

Tym razem nikt się nie zaśmiał. Zdawało się, że słowa nadały ciałakowi coś więcej niż zwykłą materialność i że przez moment w „Smoczycy” przygasło światło. Coś jak głos zza grobu, ciężki i mocny niczym uderzenie żeliwnego dzwonu, przebiegł po korytarzach skokowca – niczym zapomniany szept, szum nagle ożywionej krwi. A potem wszystko zgasło.

– Sprawdźcie go – powiedział po dłuższej chwili Delikatny zmienionym głosem. – Załatwmy to szybko.

– Nie powiedziałem, że się na to zgadzam – zaprotestował Myrton.

– A ja nie mówiłem, że masz w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia – zauważył pirat. – Szybki test i będzie po wszystkim. Pokutniku? – Odwrócił się w kierunku Contrituta. – Zaczynaj. Nie mam całego periodu.

Skruszony kiwnął głową i puścił łańcuch. Wyjął schowane w opończy szydło iniekcyjne, połączone kablem z ukrytym gdzieś w ubiorze przenośnym zestawem znanego świetnie Lucie genotransformatora. Najwidoczniej fakt zakazania w Zjednoczeniu transkryptorów nie robił na sympatyzującym z piratami zakonie większego wrażenia.

– Myrton... – zaczęła Emma Nemo, ale zanim powiedziała coś jeszcze, Contritut pewnym, okrutnym ruchem wbił szydło w kręgosłup stojącego przed nimi ciałaka.

Genotyp krzyknął i osunął się na kolana.

– Nie... – wyszeptała Post. Ciałek wrzasnął. Zadygotał straszliwie, podczas gdy Skruszony docisnął go szydłem do podłogi.

– Trzy procent testu – oznajmił grobowym, ciężkim głosem. – Po dziesięciu powinno być z górki.

– Myrton... – powtórzyła słabo Nemo. Grunwald stał jednak nieruchomo, patrząc na wijącego się genotypa. Patrzył w oczy ciałaka, które, wcześniej blade i puste, nagle wypełniły się ogromem prawdziwego, bo niemal ludzkiego cierpienia.

– Sześć procent – poinformował z dziwną satysfakcją Skruszony. – Mamy tu ciekawe... wyniki. Interesujące.

Genotyp zawył. Jego ręce zatrzepotały na posadzce, a krzyk zmieszał się z cichym, rozpaczliwym piśnięciem Tiffany Dell.

– On tego nie wytrzyma – zauważył poblądły doktor. – Umrze.

– Można utrzymać martwe ciało w krio – zauważył spokojnie Delikatny. – Z początku i tak miał być martwy. Kontynuować.

Contritut docisnął mocniej. Genotyp zaczął rzezić, a z ust wypłynął mu zupełnie ludzki, czerwony strumyczek krwi.

– Przyjmij upadek – mruknął Skruszony. – Raduj się swym cierpieniem tak, jak i mnie ono raduje...

Torturowany ciałak zabulgotał. Krew z ust popłynęła silniejszym strumieniem. Luta, nie zdając sobie z tego sprawy, ruszyła przed

siebie, w stronę dręczonego genotypa. Po policzkach spływały jej łzy.

To, że stanęła, zawdzięczała wyłącznie głośnemu głosowi Myrtona Grunwalda.

– Wyjmij to – odezwał się kapitan „Smoczycy”.

– Hę?

– Powiedziałem, że masz to natychmiast wyjąć!

– Nie ma mowy – syknął Delikatny. – Odbiło ci, Grunwald? Kontynuować.

– Masz to natychmiast wyjąć, plagowy skurwysynu!

Contritut nie zareagował. Uniósł za to głowę i popatrzył na Myrtona. Na jego ustach wykwitł niespodziewany lekki uśmiech.

– A co niby możesz... – zaczął, ale nie dokończył. Zygzakowate promienie z paralizatora Mirma Zigrista pokryły nagle jego ciało, tak jak i przypiętych do łańcucha zakonników. Czerwone iskry, ustawione na maksimum, przypiekły skórę pokutników i liznęły samego ciałaka. Sparaliżowani Skruszeni padli na posadzkę.

– Grunwald! – wydarł się Delikatny. – Już po tobie, pieprzony...

Dodatkowy strzał Mirma trafił prosto w emiter holo. Obraz zniknął z trzaskiem.

– Przepraszam, kapitanie – odezwał się po chwili Zigrist, choć w jego głosie słychać było wyjątkowo mało pokory. – Palec mi się omsknął. I tak ze dwa razy.

– Nie masz za co przepraszać, Mirm – odparł Grunwald i dziwnym trafem to w jego głosie zabrzmiała nuta skruchy. – Chyba nam wszystkim nieco się omsknęło. Ale teraz wracamy do pionu.

Zapadła cisza, w której można było usłyszeć tylko szum mechanizmów skokowca. Przerwały ją dopiero szybkie kroki Luty Post i doktora Harpago. Mechanik podeszła do ciałaka i wyciągnęła iniekcyjne szydło genotransformatora.

– Żyje – oznajmił Jones po chwili napiętego oczekiwania.

– Ale my niekoniecznie – usłyszeli zdenerwowany głos Carvaca

Holta ze zbrojeniówki. – „Pensja”, „Poblask” i plagowe flagelanty ustawiają energetykę do ofensywy!

– Carvac, uzbrojenie! – rozkazał Myrton. – Pozostali na stanowiska! Doktorze?

– Tak?

– Niech pan poda stazę tym sparaliżowanym idiotom!

– Tak jest, kapitanie!

– Spadamy stąd – mruknął Grunwald, siadając za konsolą nawigacyjną skokowca. – I to w podskokach!

– Już! – powiedziała Emma Nemo, która przez chwilę patrzyła na Myrtona tak, jak nigdy nie pozwoliłaby sobie przy załodze. – W jednym plagowym podskoku!

Ale nie było to takie proste.



Wyglądało na to, że Luta Post swą pierwszą kosmiczną potyczkę przeżyje w maszynowni.

Dostrzegła jeszcze przez neoszybę, jak na tle wielkiej głębinowej dziury Traktu Sodo drobne kropki jednostek zaczynają lecieć ku „Smoczycy”. Fregata Delikatnego zasypywała ich żądaniami natychmiastowego wyłączenia pól magnetycznych i ciągu na szerokiej wiązce, ale pierwszy, słaby strzał z pobliskich flagelantów pozbawił ją wątpliwości co do pokojowego załatwienia sprawy.

– Tu – pokazał Lucie Mirm. – Energostaty. Zbitkami energetycznymi zajmę się ja. To na razie dla ciebie za trudne.

– Zbitki?

– W trakcie szybkich manewrów i ostrzału rdzeń pompuje nierównomiernie energię. Trzeba je rozładować, ale lepiej zrobić przekierowania.

– W porządku. – Kiwnęła głową, zdmuchując niesforny lok. – Co

teraz?

– Czekaj.

– Na co...?

– Plaga, Mirm! – z głośnika w maszynowni doleciał wyraźnie wkurzony głos Carvaca. – Działo plazmowe ma przeciek! Napraw to, ale już!

– Właśnie na to – zauważył z uśmiechem Zigrist. Ale Lucie kompletnie nie było do śmiechu.



Wiszący w kombinezonie sprzęgowym zbrojeniówki Carvac Holt dwoił się i troił, by trafić w choćby jednego, najbliższego flagelanta. Jednostki Skruszonych były jednak wyjątkowo małe, nie większe od skoczków głębinowych. Z początku strzelał w nie z działka turbinowego, ale nie miało to chyba większego sensu. Wątpił, by posiadały znaczące pola magnetyczne.

Najlepiej było je przysmażyć z plazmy, i to natychmiast.

– Tiffy, wzmocnienie celowania – rzucił przez mikrofon do komputerowego Serca.

– Nie ma sprawy – usłyszał mocno rozdygotany głos dziewczyny usiłującej trafić w klawisze komputera i zapanować nad dotykowym holo. – Już... daję...

– Weź się w garść – syknął. – Nie rób w kombinezon.

– Ja jeszcze nigdy... aż tak... dużo... dużo ich jest...

– Trzeba było nie klepać w pieprzoną komorę – rzucił i to chyba ją otrzeźwiło. Usłyszał, jak klekotanie w klawisze staje się o wiele bardziej miarowe. Zaraz jednak zmarkotniał.

– Zbliży się do nas „Poblask” – powiedziała. – Carvac, to Zona Si!

– Cicho bądź!



Wielka kula dziury głębinowej Traktu Sodo oświetlała przestrzeń błękitnym, pulsującym światłem podobnym do magicznej zorzy. Widoczna w oddali mgławica jarzyła się czerwienią i złotem. W tle, nie licząc czerni odległego Wypalenia, płonęły srebrne światła wciąż żywych gwiazd.

W zasadzie nie dostrzegali tego wcześniej. Ale teraz – czy to wskutek zagrożenia, czy to po słowach poety – coś się w nich zmieniło. Zauważyli piękno – i to dość wyraźnie. Nie chcieli go stracić.

Problem polegał na tym, że ich pragnienia kompletnie nie interesowały Zony Si.

Jej ciężki myśliwiec głębinowy wyposażony był w plazmę, laser górniczy, turbinówki i wyrzutnię zmodyfikowanych szperaczy. Zona korzystała z rakiet rzadko, ale cel wydał się jej wyjątkowo kuszący. Kuszący i prosty do zdjęcia. Przyśpieszyła zatem, decydując się na wyjątkowo bliski ostrzał. Zalokowała już „Smoczycę” w systemie celowniczym i nuciła teraz cicho. Nigdy nie mówiła przy robocie. Nucenie było o wiele bardziej odprężające.

Pierwszy szperacz odczepił się od „Poblasku” niemal delikatnie i szybko nabral rozpedu. Wyminął zabłąkanego flagelanta i resztki innego stateczka Skruszonych, który Holtowi udało się skasować, i pomknął w stronę „Smoczycy”, ostrzeliwanej przez turbinówki „Pensji” Delikatnego.

To, że Grunwald i jego załoga stracą życie, było w zasadzie więcej niż pewne.



– Szperacz – szepnęła Emma Nemo, szarpiąc za nawigacyjny uchwyt. „Smoczycza” skręciła ostro, z cichym jęczeniem antygravitonów.



- Podaj go Carvacowi – rozkazał Myrton.
- Spróbuję...
- Mam boję lokacyjną – poinformował zbiegającymi ze strachu wargami Zed Dell. – Kilka sekund świetlnych. Możemy zdążyć.
- Nie – zaprzeczył Grunwald. – Ustawiaj koordynaty, ale skaczemy tuż przy dziurze. Wymieszają się echa głębinowe. Nie znajdą nas.
- To prawie jak skok losowy! Zamienimy się w Widmo! Błąd lokacyjny...
- Tiffy, ustawiaj licznik – odezwał się Myrton, nie zwracając uwagi na bladego astrolokatora. – Trzy minuty do skoku.
- Panie kapitanie...?
- Ustawiaj licznik, powiedziałem. Już.
- Pole magnetyczne piętnaście procent – poinformowała Emma Nemo. – Nie mamy rady. Musimy skakać już teraz. Lećmy w dziurę...
- Nie. Znajdą nas wtedy. Skręcaj!  
Ale na zakręty było już za późno.
- Rakieta trafiła w dysze wylotowe i tylko to ich uratowało. Energia rdzenia, wypływana przez odrzutowe silniki, unicestwiła szperacz, zanim doleciał do kadłuba. Niestety, wybuch był na tyle mocny, by ich odrzucić. Ustawiony przez Tiffy licznik błysnął nagle kościaną białą cyfrą i przeskoczył o dziesięć cennych sekund.
- Emma, wchodzisz w stazę! – rozkazał martwym głosem Myrton.
- Carvac? Zostajesz ze mną do końca.
- Nie, Myrt... – zaprotestowała Nemo. – Nie wygłupiaj się...
- Przekaż mi pilotaż. To rozkaz!
- Mają nas – poinformował nagle Zed Dell. – Fregata blokuje nam dojazd do dziury. Można tylko się cofać!
- Zajmę się tym – syknął Grunwald. – Doktorze Harpago?!
- Tak? – doleciało z interkomu.
- Chcę naszego poetę! Ocuć go!
- Tak jest!

– Świetnie. A ty, Zed, w stazę! – Myrton nachylił się do konsoli i nacisnął przycisk interkomu. – Maszynownia? Serce? Tiffany?! Włączyć w stazę! – Puścił guzik. – Emma? Dlaczego nie jesteś jeszcze w stazie?! Jones?! Gdzie ten przekłęty genotyp?!

– Już jest, panie kapitanie!

– Dawaj go tu! I sam do stazy! Pośpieszcie się, ludzie, nie będę dwa razy powtarzał!

Przerażony Zed Dell, podobnie jak Emma Nemo, opadł na fotelu, który ustawił się w pozycji stazowej. Do portów dostępowych zagnieżdżonych w ich ciele personali – mechaniczno-komputerowych wtretów – wniknęły szydła i iniektory Białej Pleśni.

Licznik zadrżał i przeskoczył na półtorej minuty.



Delikatny i jego załoga szybko zrozumieli, że „Smoczyca” skazana jest na zagładę. To, czy należy ich unicestwić, pozostawało kwestią rozliczenia spodziewanych zysków i strat.

– Mają ustawiony licznik – poinformował Tiut, komputerowiec „Pensji”. – Ale system wychwytuje, że przynajmniej jeden członek załogi nie ma podanej Białej Pleśni.

– To Grunwald – stwierdził Delikatny z niekłamaną satysfakcją. – Świetnie. Niech sobie zatem lecą ku dziurze. Nie skoczą z przytomnym kapitanem. Wstrzymać ostrzał! I dajcie mnie na szeroką wiązkę. Posłuchamy, jak będzie jęczał.

– Tak jest.

– Doigrałeś się, Myrton – zauważył spokojnie pirat. Jego słowa załwały „Smoczyce” szeroką wiązką tak, że głos kapitana „Pensji” doleciał ze wszystkich aktywnych głośników skokowca. – Zaraz zmienię was w parę albo uszkodzę na tyle, że oddacie tego genotypa. Oddacie mi go na klęczkach.

– Są prawie w zasięgu skoku – zauważyła Calineczka, astrolokatorka. – Mają jakieś... dwadzieścia sekund.

– Dlatego pozwolę ci błagać – kontynuował niezrażony Delikatny. – I przeprosić. Byle nie za długo. Co zatem nam powiesz, Grunwald?

– Patrz, jak nad jej wody trupie wzbil się jakiś płaz w skorupie... – doleciało głosem przesiąkniętym tak mocną, że niemal bolesną ironią. – Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem... goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu, to się wzbija, to w głąb wali...

– To nie Myrton... – zauważył zaskoczony Tiut.

– Nie lgnie do niego fala, ani on do fali!

– Strzelać! – krzyknął Delikatny. – Natychmiast strzelać!

Ale na to było już za późno. W ciało genotypa wniknęła kropla Białej Pleśni i tuż po znacznie szybszym od ludzkiego zapadnięciu ciała w stazę „Smoczyca” mignęła i weszła w otwartą Głębię.

### ***Pół mikroperiodu później***

Miała naprawdę to zostawić.

Nie było tego zbyt wiele. Plus rzeczy po Contritutach, którym litościwie podano stazę twardą tuż przed ostatnim skokiem i których zostawiono – kompletnie gołych – na odległej stacji gdzieś w Systemach Zewnętrznych. Łańcuchy, opończe i szydła. Ale nie żałowała tych śmieci. Żałowała swojego ulubionego genotypa.

Ciałak wciąż rozglądał się niepewnie po Lietuwie. Planeta nie była zbyt duża, ale przyjemna. Rzekomo podobna do prehistorycznej Terry. I przede wszystkim – leżąca w Ramieniu Oriona. Grunwald, co zapowiedział już w trakcie ostatniej odprawy, zamierzał w miarę możliwości wystrzegać się Ramienia Perseusza.

– Podoba się? – spytała. Genotyp uśmiechnął się niepewnie, ale Luta odpowiedziała uśmiechem znacznie szerszym. – Fajnie, co?

Leśne pagórki. Zielone łąki, rzeka. Mnóstwo pól... dużo lasów. I łąk. I lasów. I jezior. I znowu lasów. I znowu jezior. Lubisz jeziora?

– Jeżeli nocną przybliżysz się doba... – ciałak chrząknął – i zwrócisz ku wodom lice... gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą, i dwa obaczysz księżycy...

– Lubisz – uznała Post. – A dwa księżycy nawet tu masz. Bez patrzenia do jeziora. Wystarczy, że zerkniesz do góry. Zaczekaj... – Sięgnęła po przygotowane zawiniątko i podała genotypowi niewielkie szydło z klockiem. – To moje – powiedziała. – Powinno pomóc. Ustawiłam transkryptor na przekształcenie genów... za jakiś czas zafałszuje obecną strukturę. Nakłuwaj się więc... oczywiście nie staniesz się może człowiekiem, ale... – Wzruszyła ramionami. – Tylko wybierz sobie jakąś specyfikację, żeby nie doczepiła się do ciebie Kontrola. Może od tej litery A. Adam czy coś. I nie daj się złapać, w porządku? To Wypalona Galaktyka – dodała, uśmiechając się lekko. – Przyda się nam tu nieco... poezji.

Kiwnął głową i chyba wtedy Post nie wytrzymała. Podskoczyła i pocałowała go w policzek, by zaraz odwrócić się i ruszyć szybkim krokiem w stronę zaparkowanej „Smoczycy”.

Tuż po wejściu na trap pomachała mu. Ciałak uniósł lekko dłoń. Luta dmuchnęła na niesforny lok i otarła oczy. Nacisnęła przycisk i trap powoli zaczął się wciągać.

– Będziesz ryczeć?

– Odczep się, Dell... – mruknęła Luta, donośnie pociągając nosem.  
– Fajny był.

– Wiem – odpowiedziała komputerowiec. Jej dłoń poszukała dłoni mechanika i już tam pozostała: miękka i ciepła. – Wracamy, co nie?

– Dobra. Puścisz moją rękę?

– Nie.

– A to dlaczego?

– Bo znowu sobie powtarzam pytanie... czy to jest przyjaźń, czy to

jest...

– Cicho bądź, Tiffy – wyszeptala Post. Ale byl to bardzo cichy szept i Dell nie mogla go uslyszec.

*październik–listopad 2016*

## PTASI SĄD

### Adrian Atamańczuk



Kacper przedzierał się przez krzaki, mamrocząc przekleństwa. Mróz ściał nocą ziemię, lecz nad ranem ustąpił, pozostawiając gdziegdzie wilgotne oparzeliska. Skórznie mlaskały po lepkiem poszyciu, ślizgały się na opadłych liściach. Prawy but puścił na szwie i lykał zachłannie paprochy. Onuca naturalnie przemokła. Nad lasem wisiało szare, brzemienne niebo. Na jego tle stada kruków rywalizowały ze sobą, wirując jak wielkie poszarpane płaszcze; to szczepiały się razem, to znów odskakiwały od siebie w bratobójczym tańcu. Inne ptaki obsiadły drzewa. Zewsząd dobiegało krakanie.

Odciski świńskich racic stawały się niewyraźne. Na szczęście, co pewien czas zwierzę usiłowało ryć w zmarzniętej ziemi, dzięki czemu Kacper wiedział, że znajduje się na właściwym szlaku. Oddałby śniadanie za wieść, kiedy świnia tędy przeszła. Czy uciekła, gdy tylko z Jętką udali się na spoczynek, czy dopiero nad ranem? Wprawny tropiciel potrafiłby to określić, ale smolarz nie miał takich zdolności, a wołał żadnych tropicieli nie spotykać. Zresztą musiał szukać maciory niezależnie od szans znalezienia jej całej.

Ooo, przysięgał sobie, baba na dupie nie usiądzie, jak mi kabana wilcy zmarnowali (w okolicy wilki trafiały się rzadko, ale jednak się trafiały), ooo, będzie rzemień w robocie musowo. Nauczy to babę

doglądać dobytku.

Roztarł po twarzy lepką pajęczynę, smarknął w palce i ruszył dalej. Przeszedł po kłodzie na drugą stronę szemrzącego strumienia. Długo szukał śladów. Krążąc coraz dalej i dalej, natrafił na tropy w górnym biegu potoku. Wiodły wprost z jego koryta... A zatem maciora wlażała do wody i szła nurtem strumienia, jakby była świadoma pogoni i pragnęła ją zgubić! Czego szukała w wodzie tak zimnej, że aż skrzącej u brzegów drobinkami lodu, Kacper za cholerę nie rozumiał, ale stracony czas tak go rozzłościł, że zakrztusił się i rozkaszał. Zatkaną usta dłonią. Czekając, aż atak minie, obiecywał Jętce dodatkową porcję razów.

Las się skończył, Kacper dotarł na skraj ugoru. Jego oczom ukazał się krajobraz jeszcze bardziej surowy. Nad polem dźwigały się kłęby mgły, zwiastując niepogodę. Rżysko pokrywał szron. Chłód wciskał się mężczyźnie za kołnierz kapoty, palce w dziurawym bucie dawno zmarzły na kość. Dwa dni temu spadły pierwsze płatki śniegu. Ani chybi idzie zima, pomyślał Kacper, pocierając zarost, idzie od gór. Paskudne ptaszyska rozdarły się złowróźnie.

Smolarz czujnie lustrował otoczenie. Po tych, co kaszleli w głos i łazili po polach jak po własnej izbie, dawno pozostały puste chałupy. Wojna przeciągnęła przez kraj jak olbrzymia kosa, wyludniając całe połacie Konkondarii. Na dukcie łatwiej było o zbója niż rycerza, a rycerz nierzadko okazywał się zbójem. Bór i bezludzie, hen, gdzie się obrócić. Gdzie pójść, jeno lasy i lasy. I ściana gór – wielki parawan końca świata. Tu, na zachodnich rubieżach w Trójkącie Barckim u stóp Mochabatu, ludność żyła w małych skupiskach, pozostawiona sama sobie. Kacper nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział pasowanego.

Za to właśnie zobaczył świnię! Wychynęła z mgły i zaczęła się tarzać. Pochrząkiwała przy tym wesoło, jakby jej kto w koryto jabłek nasypał. Głupie bydlę! To prawdziwy cud, że miała szynkę na

miejscu. Na widok zwierzęcia smolarz poczuł ogromną ulgę. Widmo zimowego głodu przyblakło. Kacper upewnił się ostatni raz, że nic mu nie zagraża, i wybiegł pomiędzy drzew. Udało mu się chwacko pochwycić maciorę za tylne nogi. Obalił świnie na bok i związał mocny postronek na jej szyi.

– Ty kabanie, ty szelmo zboląła, ty szynko zatracona, dostaniesz po golonkach, aż ci się chrząkania odechce – pomstował pod nosem. – W rondlu se pochchrąkasz, psiejuch... – Wstał szybko, odwrócił się i wpadł na koński łeb. Łeb zarżał.

Chłop cofnął się, zabelkotał, wypuścił sznur z garści, zanurkował w tył i... zamarł. Z mgły wynurzały się kolejne postacie. Otoczyły go milczącym kręgiem. Świnia, udowadniając, że jest nie w ciemną bita, z miejsca ruszyła cwałem i zniknęła we mgle. Jej kwik cichł, w miarę jak się oddalała, przypominając w końcu szyderczy śmiech. Kacper nie miał tyle szczęścia. Wodził dokoła spojrzeniem, trzęsąc się ze strachu. Z chrap koni buchały kłęby pary, a stroje jeźdźców lśniły od wilgoci. Jeźdźcy okazali się kobietami. Dopiero po chwili oszołomiony mózg smolarza to dostrzegł i natychmiast pożałował płynących z tego wniosków. Uparcie odrzucał głos świadomości, rozpaczliwie szukając dlań alternatywy. Ale konkluzja stawała się mocniejsza z każdym uderzeniem serca. Wojowniczkę nie chciały zniknąć, mimo że Kacper zawzięcie mrugał. Miłosierni bogowie... Wolałby maruderów, obcych grasantów, wszystko, byle nie ten oddział. Orla Turnia jest przecież tak daleko!

Okrąg rozstał się, w przepuście zamajaczyła ciemna sylwetka. Zbliżała się wolno – pac, pac, kopyto za kopytem. Na jej widok smolarz zawył ze zgrozą. Ostatnia bariera ułudy pękła z łoskotem.

Kobieta miała ciemne włosy, dłuższe z przodu, podgolone z tyłu głowy. Jej twarz przecinały grube smugi czarno-białego malowidła, tworząc obraz skrzydeł. Na szyi tkwiła nabijana guzami obroża, a w uszach duże srebrne koła z czarnymi piórkami. Na zgniłozielonej



bluzie nosiła kolczugę, przez plecy przerzuciła wilczą skórę o gęstym srebrnym włosiu. Nad prawym barkiem sterczał szpiczasty naramiennik, nad lewym wznosił się długi łuk i pęk strzał o ciemno wybarwionych lotkach. U boku wojowniczkę wisiła szabla z otwartym jelcem, z główką w kształcie ptasiego łba. Za pasem długi, cienki, paskudnie wygięty puginał. Wysokie buty z licznymi klamerkami i wiązaniem, obficie podbite żelazem, sięgały po kolana. Z prawej cholewki wystawała główka nadziei. Kobieta dosiadała klaczy jasnej maści. Na zadzie konia widniał czarny jak smoła rysunek: dwa ptaki nad dwoma górskimi szczytami.

Nie było mowy o pomyłce.

Kacper widział wyostrzonym przez strach wzrokiem każdy detal, aż po łuskowate kolce na trzymających uzdę rękawicach. Patrzył na diabła jak urzeczony.

– Znasz mnie?

Smolarz nie był w stanie wydobyć głosu. Po chwili zwiesił głowę i zaszczołał. To też była odpowiedź.

Każdy chłop, każda baba słyszeli opowieści o tej kobiecie i jej oddziale. Nie straszono nią dzieci tylko dlatego, że nie straszy się innych czymś, czego samemu się boi. Wołano ją Kanią, ale pogranicznicy nadali jej dużo własnych, wiele mówiących przydomków. Nazywali ją Diabłem, Sępem, Zarazą i Czarną Śmiercią. Wszem wobec znana była również jako Suka Szaffara, bo była właśnie jak wściekły pies i kiedy gdzieś miejscowe władze nie mogły uporać się z problemami, hetman spuszczał ją ze smyczy. Kacper nie mógł uwierzyć w fatum, które postawiło go na jej drodze. Zobaczył, jak z lasu wyjeżdżają kolejni jeźdźcy. Jedna z kobiet wiozła na łąku Jętkę, druga ich półtorarocznego synka, też Kacpra.

– Jurgen.

Każdemu innemu pytającemu o Jurgena każdy chłop odpowiedziałby to samo: że nic nie wie. Wykręcałby się sianem,

kłamał, przysięgał i nawet bity, broniłby tego stanowiska do kresu wytrzymałości. Rzecz jasna, nie z miłości do zbója, lecz ze strachu przed jego zemstą. To, że Jurgen roił o stworzeniu suwerennego królestwa pod własnymi rządami, ekscytowało nielicznych. Większość zdawała sobie sprawę, że ich życie nie polepszy się, nawet jeżeli uzurpator zrealizuje swoje plany. Chociaż wtedy przynajmniej nie musieliby łożyć jednocześnie na niego i króla. Podwójny podatek odbierał miejscowym ostatnie miedziaki. Oczywiście przepisy surowo zabraniały udzielania jakiegokolwiek wsparcia wyjętym spod prawa banitom, lecz jak zwykle pergamin swoje, a realia swoje. Kacper nie wyobrażał sobie człowieka odmawiającego noclegu czy spyży dobijającej się do drzwi hordzie, która tylko dlatego nie poderżnęła jeszcze gardła gospodarzowi, nie zgwałciła połowicy i nie spaliła sadyby, że jej herszt ubzdurał sobie, że walczy z królewską hegemonią z ramienia i potrzeby właśnie mieszkańców. Pomagali więc zbójom wszyscy i wszyscy w majestacie prawa byli jednak winni.

Każdemu innemu pytającemu o Jurgena smolarz odpowiedziałby, że nic nie wie.

– Dwa tygodnie nazad był w Bobrownikach!

– Kto mu o kupcach szeptą? Miarkuj jeno, że ja wiem kto, a jak się pokaże, że ty wiesz mniej niż ja, będzie źle.

– Bednarz!

– A sołtys co? Ślepy jak kret?

– A gdzież tam! Sołtys swoje bierze. Pomiłujcie! Ja...

– Stul pysk. – Pochyliła się w kulbace. – Gdzie Jurgen ma kryjówkę, gadaj!

– Aaaaż... Mnie skąd wiedzieć? Mateczko miłosierna! Ja ni brat, ni swat... Jurgena ledwiem na oczy widział...

Porwała go za kapotę.

– Czy ja ci przypominam twoją zafajdaną mateczkę?

Kacper wolał nie myśleć o tym, co ona mu przypomina, za to jego pęcherz przypominał o sobie i zalał mu spodnie.

– Gdzie on zimuje?

– W górach. Ale gdzie, ja nie wiem! Przysięgam, ja nie... Gdybym tak wiedział!

– Ale nie wiesz. To źle, bardzo źle. Nie pomagasz mi. Wiewióra, czemu on nie chce mi pomóc? Nie szanuje mnie?

– Wyraźnie się nie stara – zabrzmiał głos z boku. – Chyba nie traktuje nas poważnie.

– I wywiódł on brata swego na pustynię – odezwała się inna, o mysich włosach, szpiczastym nosie wiedźmy i wyblakłych, jakby niewidzących oczach – i napominał go, i po trzykroć zarzekał go, aby mu był powolny. Lecz gdy ten po trzykroć serca nie odmienił, wtedy łeb mu urznął i w kałdun nacharkał. I zakrzyknął: nie będzie mi skurwesztyn wstrętów czynił ni szacunku nie okazywał!

– Eee... ja... eee... ja... szanuję... napra... – Kacper nie mógł złapać powietrza. – Bodaj mnie i moją... – Oczy mu rozbłysły. – Jurgen dziewczkę ma! Słyszałem, że wszędy ją bierze...

– Jak jej? Mów, skurwesztynie, bo łeb urzně!

– Aaaa, nie wiem! Klnę się, że nie wiem!

– Nie wiesz. A może nie pamiętasz? – Kania jeszcze niżej pochyliła się w siodle. – Zimno dziś, co?

Niespodziewana zmiana tematu zupełnie zaskoczyła smolarza. Zbity z tropu zawahał się.

– Nie... tak – bąknął, w rzeczywistości zdążył zapomnieć o chłodzie. Przeciwnie, spociał się jak w ukropie. Kania patrzyła mu prosto w oczy, uśmiechnęła się upiornie; zęby też miała poczernione i w jej ustach ziała czarna dziura.

– Na chłód i pamięć nie masz nad ogień.

Kacper zawył, padł na kolana. Szlochał, przysięgał, kłął się i błagał. Skamlał aż do czasu, gdy pochwyciono go za ramię. Wrzasnął. To

była tylko Jętka. Smolarz rozejrzał się – po jeźdźcach nie zostało śladu. Spróbował wstać, ale upadł. Udało mu się dopiero po chwili podnieść na nogi. Jętka trzymała na ramieniu tulącego się do niej małego Kacpra.

– Pojechały – poinformowała piskliwym głosem.

Jakby sam nie wiedział. Mokry był jak mysz zamknięta w łaźni. Kapota przyłgnęła mu do pleców, a spod wełnianej czapy spływały strużki potu.

Za to w zmoczonych portkach miał bryłę lodu. Pochylił się i zwymiotował.

– Ale to ci powiem: źle, źeś o sołtysie gadał.

– A źeś ty głupia babo! – rozżłościł się smolarz, obcierając usta i ciesząc się w duchu, że ma na kogo nakrzyczeć. – Wieszli, kto to był, czyjże to komunik? To Suka Szaffara!

– Ta czarna?

– Juźci, że nie ta biała – zgrzytnął zębami. Rozprostował plecy i kilkakrotnie głośno wciągnął w płuca powietrze. Jak dobrze było oddychać. – Ona Sokolikowych wyłapała. A wieszli, jak ich oporządziła? Wszystkie wsie o tym gadały. Ludziska tam do boru nie chadzają, bo wciąż słyhać zawroźdzenie Sokolikowej kompanii. Pono i uroczyska upiorze powstały, że nijak tam po ćmie ani babie, ani chłopu wejść między drzewa. Pójdzie który, to jak kamień w wodę. Jeno ona tam może, bo ona ich królowa i upiory co do jednego jej słuchają. Uch.

– Skąd ona tutaj?

– A pytajże się jej sama! Stąd, stamtąd, z boru. Spada na człeka jak zaraza, ani się obejrzyysz. Gdzie hetman ją pośle, tam goni i biada temu, kogo zoczy... Jedno ci powiem: nie mamy już sołtysa, a i beczek nie będzie komu robić.

– Ale ty i o Jurgenie gadałeś. Z nim lepiej nie tańcować.

– Ooo, Jurgen chłop na schwał, a drużynę ma jak mało komes jaki. –

Na myśl o junaku Kacper odzyskał rezon i żywe kolory wróciły mu na twarz. – Niejeden za nim w lasy ganiał, a wiatr tylko albo guza znalazł. I pan komes z Borcu próbował, i łapacze byli, co to się na nich potem raki w Kaczycach Dołach namnożyły. Zna się Jurgen na robocie... Oj, zna, swojak... – Twarz smolarzowi się wydłużyła. – Ale ta baba... to śmierć. Jedno ci rzeknę, Jętka, czy ona Jurgena, czy Jurgen ją, dość będą mieli ze sobą roboty. O biednym Kacprze nikt nie pomni i wszystko będzie jak drzewiej.

Jętka przygryzała wargę. – Kacper?

– No?

– A jak one mnie wiozły, to się pytały, czy ty mnie aby nie bijasz.

– No i cóżeś im rzekła?

– Ano, że czasem mnie bijasz. Bo przecież bijasz!

– Ożeż ty! – Smolarz ruszył na żonę z uniesioną ręką, ale skonfundowany jej niezłomną postawą, zawahał się. Mały Kacper wytrzeszczył oczy i mocniej przywarł do matki. – Bijałem i będę bijał, takie męża prawo.

– A nie! – Tupnęła nóżką. – Powiedziały, że jak ty mnie jeszcze kiedy uderzysz albo dzieciucha, to one cię też ubiją. I na drzewie obwieszają! A na koniec jaja urzną, ot co!

Kacper z namysłem podrapał się w tyłek. Taka wizja mu się nie uśmiechała.

– A skąd niby będą wiedzieć? – mruknął i zamarł. Na drzewie siedziały kruki. Było ich tak wiele, że wiąz zmienił się w jedną czarną plamę, z której sterczały dzioby i spoglądały oczy. Ptaki milczały – jak przedtem się darły – i zdawały się pilnie przysłuchiwać. Może to one, może one, myślał gorączkowo smolarz, są tu i wszędzie, i tylko czekają, by na powrót zmienić się w jeźdźców.

– Stąd, stamtąd, z boru – odparła Jętka. – Spadną jak zaraza, ani się obejrzysz!

• • •

Dziewczyna sprawnie poderżnęła owcy gardło, zaczekała, aż ta przestanie wierzgać, i powiesiła u belki łbem do dołu, by posoka swobodnie spłynęła. Rozpruła zwierzęciu brzuch od mostka po krocze i wybrała nieczystości na ziemię. Będąc córką rzeźnika, przywykła od najmłodszych lat do krwi i flaków. Zwierzęta oprowiała sprawniej niż ktokolwiek w oddziale. Nie przeszkadzało jej sąsiedztwo trzech ludzkich ciał zwisających obok: rozebranego prawie do naga mężczyzny z poczerniałymi od ognia stopami, kilkunastoletniego wyrostka i korpulentnej kobiety, której twarz po uduszeniu przybrała paskudny grymas. Zwłoki kołysały się lekko w rytm skrzypienia liny. Do trupów dziewczyna także zdążyła przywyknąć. Zaczęła obdzierać zwierzę ze skóry.

Wioska przypominała zmokłą kurę. Budynki wyrastały wprost z błota. Krzyżujące się w centrum wsi drogi wyglądały jak łożyska wyschniętych rzek, tak wyzłobiły je przez lata kopyta pędzonych zwierząt i koła ciężkich wozów. Mokra glina na przemian zasysała obuwie lub okazywała się śliska jak lód. Ze strzech skapywała woda. Większość chałup była stara, omszała, lecz postawiono i kilka nowych, których sosnowe belki błyszcząły jeszcze jasnym drewnem i mrugały żywicznymi oczkami.

Taki był też dom sołtysa, jedyny w Bobrownikach piętrowy budynek, okazały jak szlachecki dworek. Osmalone płomieniem ściany odebrały mu wiele z uroku nowości. Ogień nie tylko przywracał pamięć i dawał ciepło, jak twierdziła Kania, lecz znakomicie poszerzał wyobraźnię, o czym świadczyły szeroko rozwarte drzwi do dworu. Dobiegały zza nich brzęki i łomoty przewracanych sprzętów.

Mieszkańców spędzono na pole. Baby lamentowały nieustannie, a Kania zmuszona była słuchać ich monotonnego zawodzenia.

Słuchała obojętnie. Nie do końca pojmowała jego przyczynę. Nikt nie nastawał na cnotę wieśniaczek, nie bił ich ani nie groził śmiercią. Ptaszki przeszukiwały budynki, ale nie interesowały się gospodarskimi sprzętami. Bezcennym kotłom i rondlom nic nie groziło. Może coś tam się stłukło w ferworze przeszukiwania, ale cóż... Nie ma dymu bez ognia (o czym wydatnie przypominały drzwi dworku). Dwie z płaczek miały niejaki powód do rozpacz, gdyż właśnie owdowiały. Ich mężowie dali dowody głupoty i agresywnego usposobienia, a jest to bardzo nieżyciowe połączenie. Kania oczekiwałaby raczej podziękowań za uwolnienie od podobnego towarzysza.

Zajazd przebiegł sprawnie. Mimo że dzień dobiegał południa, deszcz i pora roku zatrzymały ludzi w chałupach. Wioska została zaskoczona, a mieszkańcy unieszkodliwieni. Nikt nie wydostał się z Bobrowników, strat własnych nie było. Owszem, kilku miejscowych zarobiło parę guzów, jeden smarkacz chciał zostać bohaterem i miał szczęście, że był smarkaczem – wrócił do rodziców z odciskiem buta na tyłku. Zginęło tylko owych dwóch półgłówków. Najwyraźniej pleć oddziały Kani przesłoniła im trzeźwość osądu sytuacji. Zaatakowali wojowniczkę, myśląc pewnie, że na ich widok baby rozbiegną się z krzykiem. Pierwszy dostał strzałę w oko z tak bliska, że pocisk przeszedł na wylot; drugi próbował wbić widły w brzuch dosiadającej konia dziewczyny, ale sam oberwał od innej włócznią w udo. W tętnicę udową. To dało mu dość czasu na pożałowanie feralnej decyzji. A żałował bardzo. Skamlał i błagał, dopóki życie nie wyciekło z niego, barwiąc wokoło glinę. Nie rozumiał, że pewnych rzeczy nie sposób połączyć, a pewnych zawrócić. Tętnica jak cnota, zażartowała Wiewióra, się nie zrasta. Dowcipnego porównania nieszczęśnik nie docenił, a jęki niebawem ucichły.

Z widłami do gnoju, a nie do boju. Wtedy samemu nie kończy się na gnoju. Ot, mądrości ludowe, które lud winien pamiętać.

Był jeszcze bednarz oraz jego najbliżsi, ale to już ofiary sądu, nie wojny.

Należało dać odetchnąć koniom i ludziom, więc Kania zarządziła popas. Część dziewczyn przeszukiwała domy, część odpoczywała przy ogniskach rozmieszczonych pierścieniem, w którego centrum znajdowali się mieszkańcy Bobrowników, i warzyła strawę. Dalej na obrzeżach wioski tkwiły cztery dwuosobowe patrole, a jeszcze dalej w kniei, wedle trzech dróg prowadzących do wsi, zapadły oddziały liczące po dziesięć wojowniczek. Nikt nie mógł dowiedzieć się o wypadkach w Bobrownikach. Do czasu.

A niewiele brakowało, by stało się inaczej, z poddasza sołtysowego domostwa wyfrunęła bowiem para gołębi. Jeden dotarł nawet do krańca wioski. Chociaż wiele dziewczyn sięgnęło po łuki, Kania nie była specjalnie zdziwiona, gdy w przyniesionych ptakach dostrzegła strzały o błękitnych lotkach. Pokazała je znacząco Wiewiórze.

– Pani Lazurek – skrzywiła się ruda.

Błękitka była Akhurenką, dzikuską ze Stepów. Jedną z dziewczyn przybyłych do Konkondarii wraz z Abadachabriusem Niemym dla mordy i łupu. Akhurenki parały się wojaczką na równi ze swoimi mężczyznami. Po klęsce rozproszyły się w obcym kraju. Część zapadła w lasach i przystała do zbójceckich band. Większość skończyła źle. Kania z początku chętnie werbowała dzikuski, bo świetnie jeździły konno, znały się na tropieniu i życiu w głuszy, dobrze posługiwały łukiem oraz włócznią, lecz szybko przekonała się, że więcej z nimi kłopotu niż pożytku. Były nieokiełznane jak rysie – absolutnie nienawykłe do posłuchu. Ardena sama powiesiła kilka z nich za napady, których się dopuszczały, gdy tylko spuszczała je z oczu. W dodatku nie posiadały tego czegoś, co hetman nazwał „kręgosłupem moralnym”. Dla nich pojęcia dobra i zła zwyczajnie nie istniały. A co gorsza, także słowa „lojalność”, „wierność”, „honor” czy „zobowiązanie” nie



miały znaczenia; były puste jak oczy Akhurenonki zapytanej o wyrzuty sumienia. Niewiele pozostało wojowniczek ze Stepów w oddziale Kani. Te, które wciąż służyły, szły za nią, bo dawała im łup i krew, bo była avaarge – wodzem. Prym wśród nich wiodła właśnie Błękitka. Jasnowłosa dziewczyna o gładkiej buzi lalki i migdałowych oczach koloru nieba, z wytatuowaną na lewym ramieniu niebieską ważką, od której nadano jej przezwisko. Nie dało się nie zauważyć urody Akhurenonki. W Orlej Turni Błękitka łamała męskie serca na prawo i lewo, wcale o to nie zabiegając. Była zwodniczo słodka, jak trafnie określiła ją Wiewióra, nieco zazdrosna o powodzenie Akhurenonki i nadany jej przez rycerzy tytuł „Najpowabniejszej spośród Ptasek” (bo żadne wojny nie mogły zająć ich na tyle, by zaprzestali myśleć o wojowniczkach Kani). Ale zasadniczo Wiewióra miała rację. Błękitka zdawała się delikatna i skromna, słodka i niewinna, ale za tą fasadą kryła się Akhurenonka z krwi i kości – twarda, dzika, w potrzebie bezwzględna i bezlitosna. Tylko ten, kto nie zajrzał poza maskę, mógł roić o wybornym materiale na żonę. No i poza urodą Błękitka miała inną zaletę: rewelacyjnie strzelała z łuku.

Stała oto teraz na dachu sołtysowej chałupy ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i oparta plecami o komin, kręciła głową niczym sowa, w równych odstępach czasu, ogarniając rozstawione patrole.

– Znowu będzie zadzierać nosa, suka jedna – stwierdziła Wiewióra.

– Następnym razem sama traf, to nie będzie miała po temu okazji, a nie wal w dach stodoły – odparła Kania.

Dziewczyna prychnęła.

– Pilnowałam twojego tyłka, ty avaarge jedna, żeby ktoś nie walnął w niego, a nie patrzyłam na gołębnik. Dobrze, że w ogóle zdążyłam strzelić.

– Bardzo dobrze. Sukces. Nie wiem, jak to jest, że wy zawsze jakąś

wymówkę macie. Jak nie sparszywiała cięciwa, to strzała się obsunęła albo krzywa była, albo wiatr się zmienił, albo rękaw o kolczugę zaczepił. A jej jakoś nigdy nic nie przeszkadza. Co?

– Siodło. Jak zaczniesz się obłapiać z „panią idealną”, odejdę z woja.

– Cholerna plucha. – Kania spojrzała kwaśno w niebo, poprawiając wilczą skórę na plecach. – Znowu zaczyna siąpić. Grzybem niedługo porosnę.

Wyciągnęła obute nogi bliżej ognia i poruszyła węgle tkwiącym w płomieniach prętem z kuźni.

– Zagraj coś, byle z przytupem. Od tego biadolenia szlag mnie trafi!

Wiewióra wyciągnęła zza cholewy fujarkę i wydobyła z niej kilka próbnych tonów.

– Ale co? Tylko błagam, nie „Wereszczową kompaniję”.

– A czemu? Złe, bo z ikrą?

– Stare i nie nasze.

– I dobrze, że nie wasze. Od waszego kiszki w bebechach się przewracają. Jedna w drugą smętna. Nic, tylko na gałęzi się obwiesić. Aż dziw, że walicie innych po gębach, mając takie pieśni. Skarbnica, nie widzisz, że baran się przypala? Obróć cholerę. Z jednej strony węgiel, a z drugiej jeszcze posoka leci. Szlag by was trafił, ślepowrony parszywe.

Siwowłosa podniosła się chwiejnie i zaczęła majstrować przy zaimprovizowanym roźnie.

– Aleś ty dzisiaj zła – zauważyła Wiewióra.

– Czas marnujemy.

– Nie marnujemy. Konie muszą odpocząć, a dziewczyny szukają. I zajazd też się opłacił. A wracając do przerwanej rozmowy... Co to znaczy „wasze”? Teraz ty też jesteś nasza. A co do silberyjskich pieśni, to wszystkie są tak wypchane patosem jak dobry siennik słomą. Niedobrze się robi.

– Ja się przy silberyjskich nie upieram. Głupie są. Graj cokolwiek, byle skocznie. Choćby i „Wyrodną Córę”.

Wiewióra pisnęła.

– Zduśniałaś? W obecnej sytuacji to pewnie by i pod zdradę stanu mogło podpaść.

– A czemu nie? Powinno się grać „Córę” po miastach na okrągło, jako przestrogę dla jaśniepańskich rycerzyków. Wbić im do łbów kilka prawideł. Jedziesz na pustynię? Wodę zabierz. Chcesz zamki dobywać? Wyrzuchtuj taran. Jesteś kretynem? Zdaj się na mądrzejszych. A przynajmniej miej na szpicie dziarską chorągiewkę zagończyków, najlepiej z bab złożoną, bo baba pomyśli, a nie będzie walić zakutym łbem w dębowe wrota do upadłego, byleby nie przyznać się do porażki!

– Cicho! – syknęła Wiewióra, jednakże wyraźnie rozbawiona. – Zamknij się. Ale co racja, to racja.

Kowal doniósł naręczce bierwion i zwałił nieopodal ogniska. Był to potężny, brodaty chłop, lecz teraz krzątał się wokoło kobiet, starając jak najmniej rzucać w oczy, a zarazem jak najbardziej się przysłużyć. Rozsądne podejście, zważywszy na to, że jego sadyba sąsiadowała z chałupą bednarza.

– W wasze ręce, szlachetne panie dobrodziejki. Grzeczna gorzałeczka na pluchę poradzi – wymamrotał, wyciągając niezobowiązująco przed siebie skórzany bukłak tak, by każda mogła go przyjąć, i łypiąc z obawą na tę, którą zwano Czarną Śmiercią.

Wiewióra przezornie kazała najpierw mężczyźnie pociągnąć z manierki, a dopiero później sama przystawiła naczynie do karminowych ust.

– Mocna, śliwkowa. – Cmoknęła, podając Kani.

Ta pokręciła przecząco głową, więc bukłak trafił do siwowłosej. Skarbnica sobie nie żalowała.

– Oho, mamy gościa – zauważyła ruda.

Od strony pola, gdzie spędzono mieszkańców, zbliżał się energicznym krokiem niestary mężczyzna w czarnym wamsie. Fakt, że miał wams, a nie chłopską bluzę, wiele dlań musiał znaczyć, gdyż co kilka kroków energicznie obciążał go i wygładzał. Podrygiwał przy tym zupełnie jak kogucik szykujący się do zapiania. Wyglądało to nader komicznie, a stało się jeszcze zabawniejsze, gdy mężczyźnie rozjechały się nogi na śliskim podłożu i plasnął na ziemię. Wiewióra wybuchła śmiechem i nie była w tym odosobniona. Kogucik musiał wstać sam, bo eskortujące go kobiety nie kwapiły się złapać ubłoconych dłoni.

– Masz wieści o Jurgenie? – spytała Kania, gdy mężczyzna się zbliżył.

Od razu znać było, że nie ma, a w każdym razie nie przyszedł, by się tymi wieściami podzielić. Na jego szurze, pokrytej krostami twarzy wystąpiły czerwone placki gniewu. Wprawdzie na widok trupiego makijażu Kani zawahał się i zgubił koncept, lecz prędko odzyskał rezon. Strzepnął odzienie i wypiął chuderławą pierś. Nie zapał. Pomyśleć, że kowal nie nosił wamsu, a miał lepszy przegląd sytuacji.

– To jest konkondarska wieś! – wychrypiał, drżącą ręką wskazując domy. – To rozbój, napad, morderstwo...

– A kim ty w ogóle jesteś, powsinogo? – zapytała Wiewióra, przyglądając mu się z pewnym zainteresowaniem.

– Nazywam się Hindenbar i jestem samym EKONOMEM! A to, co się...

– Ekonom w Bobrownikach? Co ty tu liczysz? Kozie bobki?

– Mieszkam w Borcu. Przebywam tu w odwiedzinach, ty... – Pogroził Wiewiórze pięścią. Ta szczęśliwie dlań nie przyjęła wyzwania, bo zważywszy na rzucającą się w oczy dysproporcję pomiędzy cherławą postacią ekonomia a tężyzną dziewczyny, sprąbała go na kwaśne jabłko. – Jeżeli myślicie, że jaśnie pan

kasztelan...

– Słuchaj no, panie sam ekonomie. Jestem kapitan Ardena Bris zwana Kanią i dowodzę tym oddziałem. Z hetmańskiego rozkazu tropię zbója Jurgena. Gdzieś mam kasztelana z Borcu. Powinien, bałwan, sam swoje podwórko zamieść. Ale nie podolał. Zatem przysłano mnie, żebym na tym zadupiu porządek zrobiła. I go robię.

– To niesłychane... Kasztelan Plewa jest urzędowym panem tych ziem z nadania króla i wszelka działalność obcego oddziału musi być przedłożona jego kancelarii! A to? To jest zwykły rozbój! Rozkrada się miejscowy dobytek. Twój ludzie kradną po domach precjoza!

– Co kradną? Jakie znowu precle? – skrzywiła się Kania. – Panie Hindenbar, mówcież po ludzku. I ciszej, z łaski swojej, to może i mojej łaski doczekacie. Pada, cholera, i kolano mnie rwie.

– Precjoza. Znaczą się klejnoty – wyjaśniła ruda. – To takie skarby można znaleźć w chłopskich chatach?

– Mieszkańców wygnano w pole niczym bydło. Do tego wybiłyście rogaciznę i zeżarły!

– Niewielka to cena wesprzeć swym dobrem bliźniego – odezwała się siwowłosa – gdy ten w imię dobra przybywa. Cokolwiek bowiem dacie, po dwakroć wam będzie zwrócone. Lecz co zachowacie dla siebie w skąpstwie ułomnym waszym, w łajno się obróci i łajno tedy zreć będziecie – skończyła i odkroiła sobie solidny kawałek baraniny.

– Że jak? – zgrzytnął zębami Hindenbar.

– Że godzi się wesprzeć oddział wojskowy, który chce przecież uwolnić was od zbójów – tłumaczyła Wiewióra. – I każdy praworządny obywatel zobligowany jest do udzielenia w tej kwestii pomocy rzeczonemu oddziałowi. Także materialnej, panie Hindenbar, bo trudno wojować z pustym brzuchem. A kto wspiera Jurgena, ten ma brudne dłonie. Takimi dłońmi co do ust włożysz, musi być czuć łajnem. Ot i cały sens metafory Skarbnicy.

– Zabawne. – Ekonom przygryzł wargę. – Bardzo. Chciałbym zobaczyć, jak łapiecie Jurgena. Różni na niego polowali, ale nikomu nie przyszło do głowy szukać go po wiejskich domach.

– I nikt też go nie znalazł, prawda? – Wiewióra uśmiechnęła się rozbrajająco. – Poza tym to nieładnie nie życzyć sukcesu wojsku działającemu z rozkazu hetmana wielkiego. Rzekłabym, nie tylko nieładnie, ale i zastanawiająco.

– Wypraszam sobie insynuacje. Hetman nie wydał wam glejtu na rozboje i mordowanie mieszkańców! Powieszono bednarza i jego rodzinę, chłopak miał raptem dwanaście lat! Zadzgano jak zdziczałe psy dwóch powszechnie szanowanych mieszkańców Bobrowników. To jest gwałt niesłychany, nieporównywalny, bez precedensu! Jakby wieś napadli górale! Kobieto – wymierzył ubłocony paluch w Kanię – jesteś skończona. Nie wywiniesz się, przysięgam, żebym tak skonał!

– Nie przysięgaj i nie gardłuj, bo belka jest długa, a liny dla ciebie starczy. I kto wie, co nam opowiesz, gdy ogień liźnie ci kulasy.

– Mnie? Wiesz, kogo ja znam?

– Jeżeli Jurgena, tedy mów, a jak kogo innego, tom i nieciekawa – odparła lekko Kania.

– Twój przyjaciel bednarz – odezwała się ruda – przyznał się do udziału w napadach na kupców. Kupcy też mieli dzieci i żony. Cała ta śmierdząca dziura żyła ze zbójowania! Powinnyśmy spalić wiochę do gołej ziemi!

– Bzdury. Nic niewarte słowa człowieka przywiedzionego do zeznań mękami. Każdy sąd odrzuci tak zdobyte świadectwo.

– Tu ja jestem sędzią i katem – odparła Kania, patrząc mu prosto w oczy. – Módlcie się do bogów, by nie znalazły się dowody poświadczające te „bzdury”, bo jak się znajdują, pożałujecie każdego słowa, panie ekonom.

– Nie przestraszę się gróźb. Jestem urzędnikiem państwowym.

– A wiesz, kim ja jestem?

– Wiem. I wiem, co o tobie mówią. Nie myśl, że twoje barbarzyńskie metody nie odbiły się echem na królewskim dworze. A ja napiszę stosowny raport o zajściu w Bobrownikach.

– Sołtys tu idzie – poinformowała Wiewióra.

– Nie, ty mnie wcale nie znasz – stwierdziła z pewnym ubolewaniem Kania, nie dając po sobie poznać, że usłyszała słowa rudowłosej. Przeniosła spojrzenie z twarzy Hindenbara na Akhurenkę stojącą u jego boku. Mogła wybrać drugą z kobiet, ale Akhurenka to zawsze Akhurenka.

Wojownicza zbiła mężczyznę z nóg, tęgo uderzywszy włócznią pod kolano. Hindenbar krzyknął, padając na czworaki. W tym samym momencie dostał po raz drugi, drzewcem przez plecy. Mocno. Za mocno. Rozpłaszczył się na ziemi i przez chwilę zdawało się, że wyzionął ducha. Ale żył. Niezgrabnie skulił się, trzymając za kolano, wydając chlipiące dźwięki. Kania powstrzymała gestem wojowniczkę, która z okrutnym uśmiechem szykowała się do kolejnego ciosu. Tym razem mierząc w głowę. Akhurenka to zawsze Akhurenka.

– Ty suko! Złamałaś mi nogę!

– Wiewióra, jeśli on choćby jedno słowo więcej wypowie, urzniez mu jęzor i mi go przyniesiesz.

Hindenbar otworzył usta, ale na widok noża w dłoni rudej zawahał się. Dziewczyna pokręciła głową w geście niedwuznacznie odradzającym wznawianie dyskusji i przyłożyła palec do ust.

– Witam was, panie... No, jakże mu tam...? Zresztą wszystko jedno. Witam, sołtysie Bobrowników. Niespieszno wam do nas było – powiedziała Kania na widok zbliżającego się w asyście wojowniczek mężczyzny, a to, że jedna z nich niosła coś w rękach, sprawiło, że usta Ardeny rozciągnęły się w uśmiechu. Nie był to ładny uśmiech, za to efektowny.

– Musiałem patrzeć dobytku. Wszystko porzrucane. Omal mi

domu nie spaliłyście... Cóż to znaczy? Dlaczego mój krewniak leży na ziemi?

Kania machnęła ręką, że nieważne. Jedna z przybyłych wojowniczek podała jej trzymane zawiniątko. Ardena rozwinęła szmatkę i oczom zebranych ukazał się srebrny medalik w kształcie serca.

– Skąd to macie, jeśli łaska?

– Kupilem. A co, nie wolno?

Kania uśmiechała się, obracając drobiazg w dłoni i uważnie oglądając. Podsunęła go pod nos Wiewiórze.

– Lilia – powiedziała ruda.

– Lilia – zgodziła się Kania. – Było tego znacznie więcej. A puchary, patery, sztuce? Wszystko przetopiliście, sołtysie? Mądrze. Ale... – Podrzuciła drobiazg w dłoni.

– Nie wiem, o co chodzi. Wiem, że najechano konkondarską wieś konkondarskim wojskiem! To bandytyzm!

– O, i to jest właściwe słowo. Bandytyzm. Opowiemy wam historyjkę, sołtysie. Chcecie? Lubicie historyjki? Ta zajmująca będzie. Wiewióra.

Mężczyzna wpatrywał się w Kanię ponurym wzrokiem. Jego wielkie brzuszysko, wychodzące z poźółkłych kalessonów i spod pasującej do nich koszuli, poruszało się w rytm oddechu. Ekonom Hindenbar pojękiwał.

– W minionym roku doszło w Trójkacie do szeregu napadów – rozpoczęła kobieta. – Kupcy solni wracający po spieniężeniu towaru, kupcy korzenni, i to z obstawą, złotnik Alzof, rodzina kamieniarzy, trzy rodziny pragnące osiedlić się na południu, medyk podróżujący z małżonką i dwiema córkami. O tych ludziach wiemy. Wszyscy zniknęli, rozwiali się bez śladu.

– Co wy mi tu sugerujecie? Co to ja, o Jurgenie nie słyszałem? Nie wiem, że tu nocą na duktach po gardle można dostać? A co ja mam



na to poradzić? Chłopów z pól do pilnowania gościńca wygonić? A co oni na zbójów poradzą?

– Jurgen trupów nie zjada ani nie grzebie, a ciał tu nie ma, powtarzam. Oni nie jechali gościńcem. Ktoś poradził im, by unikali otwartego szlaku, wskazał inną drogę. A gościniec po pierwszych napadach patrolowały drużyny z Borcu, Preda, Małej Sionki. Na królewskim dukcie Jurgen ryzykował starcie z królewskimi. Nie, wy przyjezdnym doradzaliście inną drogę. Może dawaliście nawet przewodnika.

– Brednie. Gdzie dowody? – zaperzył się sołtys.

– Lilia – wtrąciła Kania.

– Kiedy okazało się, że obserwowanie traktu na niewiele się zdaje – podjęła Wiewióra – że wciąż znikają podróżni, postanowiono rozeznac się w sytuacji. Pewien człowiek podjął się wyniuchać, co w trawie piszczy. Poznaliście go, sołtysie. Miał na wozie ptaszarnię. Każdego dnia wysyłał ptaki z wiadomością. Jak myślicie, skąd nadleciał ostatni?

– Był tutaj. I co?

– Był szlachcicem. Pieczętował się lilią. To jego medalik.

– Na targu w Borcu kupiłem. Nie wiedziałem, że kradziony. Po macaniu miałem poznać?

– Zamordowaliście go. Może za wiele pytał? Może czymś się zdradził? Nie wiem, ale nie wyjechał z Bobrowników. Zakatrupiliście go tutaj. Wiedzieliście, co jest na rzeczy. Dlatego przetopiliście jego dobra. Z wyjątkiem medalika. Żonie się serduszko spodobało?

– Gównu wiecie – splunął sołtys. – Udowodnijcie mi to. Z chęcią stanę przed sądem.

– Stoicie – zauważyła Kania.

– A gołąbki? Same sobie na świstkach „pomocy” nabazgrały? – zdenerwowała się ruda.

– Kto pisał, ten pisał. A skąd mi było wiedzieć, co to za banda do

dworu się dobija? Ludzi morduje, chałupę podpala? Do kasztelana pisałem. A gołąb uczony nie wrona, swoją wartość ma. Za ptaszki też wam policzę.

– To gołębie do Borcu leciały?

– Pewnikiem, że nie do Aschenbaru.

– Ale Borc nie leży prosto jak w pysk strzelił na południe! Ptaszki po łuku latać lubiły? A może szukały ciepłych prądów?

– Może i szukały. Ich się pytajcie. Chciałbym zobaczyć sąd, co będzie wyrokować po locie ptaków – zaśmiał się.

– Widzicie – zauważyła Kania.

– Bednarz przyznał się do udziału w napadach, do prowadzenia karawan w pułapkę. I o was mówił. To też was bawi? – kontynuowała coraz groźniejszym tonem Wiewióra.

– Bednarz? Ja jemu ni brat, ni swat. Co mnie o trupie gadać? Nie wypytam go, boście obwiesiły chłopa. Nie żyje, to i dowód o rzyć rozbić. Ja tam nic nie wiem.

– Wiesz, co pomaga na pamięć? – spytała Kania, wyciągając z węgli pogrzebacz i przyglądając mu się z uwagą. Rozgrzany do białości pręt syczał w wilgotnym powietrzu.

– Takie sztuczki to nie ze mną. Ja jestem sołtysiem. Odpowiadam przed kasztelanem Plewą, a nie upośledzoną na umyśle zdzirą, do tego obcą. Nic ci do mnie.

– A ja ci mówię, sołtysie, że będziesz gadał. Że na każde pytanie odpowiesz, że się do takich rzeczy przyznasz, o jakich własnej babie byś nie powiedział.

Wojowniczkę pochwyciły sołtysa za ramiona, a stojąca za nim kobieta przystawiła mu do gardła nóż.

– Oszalałaś... We łbie ci się pomieszało! – zawołał sołtys, wytrzeszczając oczy na widok żelaza zbliżającego się do jego podbrzusza.

– Dziewka Jurgena. Jak ją wołają i gdzie ją znajdę?

– A, jak ona się zwie, to ja już wiem! – zawołała Wiewióra.

– Milcz. – W oczach Kani przeglądał się płomień. – Nie ciebie pytam.

– Nie ważysz się – wysapał sołtys.

Siwowłosa zwróciła oczy ku niebu.

– Pojmał on tedy wilczycę i w dom ją przywiódł. I układał ją batem i kijem, głodem i pragnieniem. A gdy siedmiokroć siódmy dzień się wypełnił, sprosił przyjaciół swoich i tak im rzekł: Patrzcie, oto wkładam dłoń między kraty, a bestia ni warknie, ni klów nie obnaży, ni przeciw mnie nic nie uczyni.

Cholernie się mylił.

• • •

Słomka okręcała się na pięcie, nucąc przy tym wesoło. Suknia wirowała, tańczyła, odsłaniając drobne bosc stopy i zgrabne nogi. Gdy dziewczyna zastygała w bezruchu, delikatny materiał opadał powoli ku klepisku chaty. Dziewczyna zaśmiała się, skoczyła wdzięcznie w poprzek izby. Mosiężne zwierciadło złowiło postać z szybującym trenem. Podbiegła do lustra. Spodobało jej się to, co w nim ujrzała. Wydeła usta w dumnym uśmiechu. Płając lekko, nieznacznie, w rytm tylko przez siebie słyszanej muzyki czarowała i dawała się czarować. Żar bijący od paleniska mieszał się z ciągnącym spode drzwi chłodem, wywołując na ciele rozkoszne dreszcze. Ulotny dotyk najprzedniejszego jedwabiu wzmagął poczucie nagości i uwydatniał kształty. Piersi sterczały wyzywająco, pośladki prężyły się, a skóra prześwitywała spod tkaniny, mieniając się złotem w blasku płomieni.

To nie len, nie wełna, nie capie futra; to tungrid, tkany pośród pustyń Pomgudu, barwiony na Siostrach purpurą, przetykany srebrem. Bajońsko drogi. Nierzeczywisty jak okruch gwiazdy. Na taki zbytek na zimnym pogórzcu nikt nie mógł sobie pozwolić. W

dotadku ten barwnik był ponoć najdroższy. Fandarsey farbiarze strzegli sekretu pozyskiwania purpury z morskich żyjątek. Strzegąc, nie przebierali w środkach.

Wyglądam jak księżniczka, pomyślała Słomka, i powinnam być księżniczką. Nie urodziłam się na chłopkę. Głupia chłopka nawet nie wie, co to tungrid.

Świadoma swojej atrakcyjności, świadoma jego spojrzeń, upięła długie jasne włosy, odsłaniając kark.

– Jesteś zadowolona, kochanie? Taką chciałaś?

– A ty jesteś zadowolony? – Błysnęła ząbkami do swojego odbicia.

– Słomka... Chodź tu.

Roześmiała się i odwróciła. Wsparta plecami o komodę, nie przestając się uśmiechać, wodziła dłońmi po swoim ciele. Jedwab pieścił opuszki jej palców, płomienie rzucały na ściany drżące refleksy. Rubinowe oczko pierścionka na serdecznym palcu mrugało krwawo.

Cudownie było być piękną, młodą, bogatą.

– Czego chcesz, Misiaczkę? Czego chce mój wielki zły niedźwiedź?

Zerwał się z posłania. Był bardzo zwinny, jak na człowieka tak znacznej postury. Pochwycił ją i podniósł pod powałę, wysoko, aż wsparła się kolanami o jego barki.

– Ciebie chcę, Słomka.

– Uważaj na suknię! – zastrzegła, gdy opadli na łóżko. – Nie... Bo podrzesz...

Wymsknęła mu się jak węgorz i uciekła na środek izby. Jurgen z pomrukiem opadł na siennik. Jego włochata pierś poruszała się w szybkim oddechu. Dziewczyna rozwiązywała kokardki. Wolno. Bardzo wolno. Wiedząc, jak go tym irytuje. Lubiła kazać na siebie czekać. Władza nad tym groźnym człowiekiem upajała jak wino. Słomka rządziła Jurgenem, rządziła więc jego drużyną, a zatem i całą okolicą. Kto tego nie rozumiał, szybko zostawał uświadomiony.

Dziewczyna nie zamierzała stracić swojej pozycji. Konkurentek po wsiach nie brakowało i jakaś ambitna młódka mogła wpaść Jurgenowi w oko. Spontaniczne przygody herszta nie interesowały Słomki – dopóty pozostawały przygodami, lecz dziewczyna wolała trzymać rękę na pulsie. Miała dalekosiężne plany. Król musiał w końcu uznać i uprawomocnić zwierzchność jej kochanka nad Trójkątem. A wtedy Słomka zamieszka wraz z oblubieńcem w Borcu, będąc urzędującą bala i przyjmującą petentów. Takie było jej przeznaczenie. W tym celu należało pilnować, by Jurgen przypadkiem się nią nie znudził. Podsycać jego zapał, wzbudzać niepewność, zmuszać do większych starań. Karmić i głodzić. Nie musiała w tym celu drażnić Jurgena, ale zwyczajnie lubiła to robić. Słysnęła z humorów i fanaberii, a to też przynosiło wymierne profity. Wszyscy zabiegali o dobry nastrój Słomki, bo kiedy odrzucała Jurgena, padały trupy. Bano się więc jej powszechnie i bito przed nią czołem niczym przed leśną boginką. Ona zaś obrażała się chętnie i z byle powodu, bo wtedy zewsząd płynęły wotywnie dary. Trzeba przyznać, że sam Jurgen też szybko dostrzegł związek pomiędzy prezentami a przychylnością kochanki. Dziewczyna zresztą nigdy zależności tej nie ukrywała.

– Słomka, do diabła!

Gdzieś całkiem blisko krzyknął przedwcześnie rozbudzony puszczyk i Bury zaczął ujadać. Zaraz zaskowyczał, uciszony buciorem któregoś z chłopaków z drużyny.

– Pasowałyby do niej kolczyki z perłami – zasugerowała, zsuwając z siebie suknię węzowym ruchem. Oczy Jurgena rozszerzyły się. – Takimi na złotym łańcuszku, by kołysały się, gdy poruszę głową.

– Dostaniesz te przeklęte kolczyki. Przecież wiesz.

Drzwi rozwarły się, z hukiem waląc o ścianę. Słomka wrzasnęła. Jurgen zwinął się jak łasica, sięgnął po spoczywający na zydłu sztylet. Strzała prasnęła w ścianę tuż przy jego głowie, odłupując

grube drzazgi. Jurgen trzymał dłoń na rękojeści noża – trzymał, ale go nie wydobył. Strzała drżała lekko. Zza błękitnych lotek mężczyzna widział jasnowłosą dziewczynę w przykleku, gotową do oddania kolejnego strzału. Po przeciwnej stronie wyłamanych drzwi czaiła się druga, ruda jak lis. Może zdołałby unieszkodliwić jedną z nich, ale nie obie.

Na zewnątrz wrzało. Ktoś rzeził i chrapał, ktoś wrzeszczał i wołał pomocy, dzwoniło żelazo, migaly postacie. Kolejne dwie wojowniczkę wpadły do izby. Jasnowłosa postąpiła krok w przód i przepuściła je za plecami, ani na moment nie tracąc z oczu celu. Jurgen się skrzywił. Nie popełniła błędu. Wolno cofnął dłoń i przewrócił się na wznak. Słomka chlipała na kolanach, zakrywając nagość. Wojowniczkę trzymały ją za barki.

– Juuurgen – przeciągnęła stojąca w drzwiach postać. – Znasz mnie?

Weszła. Czarnowłosa, wysoka, z umazaną upiornie twarzą. Słomka zachłysnęła się i zaczęła szamotać. Przyciśnięto ją do ziemi.

– Spokojnie – powiedział. – Ona tylko się boi. Nie zagraża wam.

– Pytałam, czy mnie znasz? – powtórzyła Kania.

– Wiem, kim jesteś – odparł, patrząc jej w oczy. – Gończa hetmana. Ulubiona suka na posyłki. Prosta i nieskomplikowana.

Ardena uśmiechnęła się. Nie był to uśmiech, jaki chciałoby się oglądać.

– Ty zaś, Jurgen, świnia jesteś. Odyńcem, który z upodobaniem chrząkał w swoim blocku, myśląc, że nikt go za uszy zeń nie wyciągnie. A dość było twoją lochę znaleźć, by za gardło cię chwycić. Teraz będziesz kwiczał. Proste i nieskomplikowane.

– Wypuść dziewczynę – powiedział.

Pokręciła głową.

– Ona nic nie zawiniła i do niczego nie jest ci potrzebna.

– Dziewka nie wiedziała, czym się parasz? Skąd płyną łakocie? Albo

masz mnie za głupią, albo sam żeś głupi, Jurgen.

– Wypuść ją. Dobrze na tym wyjdiesz. Wszystkie wyjdziecie.

– Nie trza się było z babą wszędzie obnosić. Obwozić jej po wsiach jak zbożne kukielki. Ludzie ją znają.

– Wyjawię, gdzie ukryłem łupy.

– Te, co to pod głazem leżą, że czterech chłopów trza, by go ruszyć? Po co ci taki wielki kamyrdol był, Jurgen? Kompleksy jakieś? Nie wiesz, że cztery gęby to o trzy za dużo?

– Jest i inna skrytka, a w niej rubiny. Dość kamyków, by wykupić wielu ludzi. By wielu ludziom zmienić życie.

– Płomień rozwiązuje język. Powiesz mi i bez targów, gdzie błyskotki schowałeś.

– Nie zrobisz tego.

– Nie? – Uniosła brwi.

– Nie. Bo brak ci czasu.

Zaśmiała się. Głośno. Chrapliwie.

– Punkt dla ciebie, Jurgen. Nie jesteś głupi. Sęk w tym – uważasz? – że mnie świecidelka nie zajmują. Dobre, by dziewce we łbie zawrócić, tak, ale nie mnie. Mnie starcza siodło pod głowę i derka do przykrycia, aby się wyspać. Ja – pochyliła się, a rysy jej się wyostrzyły – ja dziewczynę straciłam przez twojego kamrata na sośnie. Dobregoś drania na czujce zostawił, trza ci przyznać. Kupię jej życie błyskotkami?

– Nie, ale kupisz swoje, ty źmijo! Ty suko! – rozdarła się niespodziewanie Słomka, szamocąc w powstrzymujących ją rękach.

– Wiesz, ilu ludzi mamy?! Myślisz, że coś znaczy tych kilku sprzed chałupy? Niech mi tylko włos spadnie z głowy, zobaczysz! Au! Puśśście...

Kania uśmiechała się, nie przestając patrzeć na Jurgena.

– Włos? Jeden włos? Księżniczkę sobie wychowałeś, Jurgen. O fryzurę się boi.

– Nie strasz jej. Nie musisz – powtórzył. – Nie, Słomka. Ona już wie, gdzie obozują moi ludzie, i jest pewna, że ich ogarnie. Spieszy się, bo im dłużej zmitręży, tym większa szansa, że się spostrzegą i wyczują obławę. Może już wiedzą? Tak czy inaczej, nim słońce wzejdzie, przybędzie w lesie dołów, w których spoczną młode, pewne siebie dziewczęta. Ale nam nikt nie przybędzie z odsieczą.

– Rzeczywiście nie głupiś – powtórzyła Kania. – Szkoda, Jurgen. Ponoć w jeździe służyłeś? Niepotrzebnieś odchodził. Nie, ślicznotko, kamraci nie zjawią się ratować twoją wątpliwą cnotę. Wilki bez przewodnika to owce. Rozbiegną się w trosce o swoje runo, a ja zadbam o postrzyżyny.

– Służyłem w kawalerii – przyznał Jurgen, a oczy mu zabłyśły. – Pod Majerwihem, pułkownikiem z królewskiego nadania. Prawdziwy był z niego bohater. Łupił biednych i dawał bogatym. Przeto miał znacznie lepsze koneksje, niż gdyby czynił odwrotnie. Sobie też nie szczędził, więc stawał się z każdym rokiem potężniejszy. A jak ktoś nie miał na haracz, który pułkownik nazywał podatkiem, obwieszał go za ręce i rozpalał mu pod stopami ognisko. Nim się okazało, że człowiek żadnych oszczędności nie ukrywa, spalone miał kikuty na węgiel. Kiedy zaś Prokosz Starszy plądrował z góralami pogórze, Majerwih mu się wykupił i czmychnął z podkulonym ogonem. Zostawił mieszkańców na łasce dzikusów.

– Nieładnie – przyznała Kania, ziewając.

– A król Kaliort? Dobry Wielki Kaliort? Na grzbiecie gryfa wjechał na tron. Silberyjczyków ściągnął do ojczyzny i swoich mordował.

– I Majerwiha, zdaje się, powiesił.

– Bo pułkownik nie wyczuł w porę, skąd wieje wiatr, i wytrwał przy koronie. W przeciwnym razie pewnie dziś rządziłby z Borcu. Teraz król ściąga podatki, a bieda w Trójkacie, aż piszczy. Żadnej opieki prosty lud nie ma. Stary kasztelan Plewa słaby i niekompetentny, niezdolny zaprowadzić spokoju. Silna ręka uczyniłaby z tej krainy



raj płynący mlekiem i miodem.

– Taa, Jurgen, bieda tu i mizeria. – Kania pokiwała głową, rozglądając się znacząco po izbie. – A tyś dla tego wińska i miodku publicznego, w trosce o pokój i z żalu za porządkiem kupców na gościńcach mordował.

– Nie chodziło o zabijanie. Ale wojna zawsze pociąga ofiary. A koszt...

– Oj, daruj mi te rzewne gadki, bo mnie zara cholera weźmie albo się od nadmiaru wzruszeń porzygam. Sami patrioci, jak bogów kocham! Gdzie się nie udam, wszyscy ojczyznę miłują. Tylko krew z niej toczą, że grubi jak bąki. I płaczą, że ojczyzna słaba. Myślisz, żeś oryginał? Każdy zbój dobrze chciał, jak go na szafocie spytać. Albo mateczka chorowała, albo dzieciaki głodowały. Albo sąsiad despotą był. Albo gąsce nadobnej kuper trza było tungridami przykrywać, bo od wełny wysypki dostawała. Masz się za lepszego od Majerwiha, boś bogatych mordował? W bebechach się przewraca. Tfu! Niech cię, Jurgen. Będą diabli mieli z twojej pokrętnej filozofii uciechę. Może i jurystą w otchłani zostaniesz.

– Nawet nie próbujesz zrozumieć.

– Tyle to i prawda. Za to ty mnie pewnikiem zrozumiesz, boś gramotny, a ja prosto gadam. Słuchaj tedy. Nie wymigasz się świecidełkami ani ckliwymi bajędami. Nie kupisz życia swojej dziewczki, bo ja w niewinne rajfurki nie wierzę. Często gorsze są niż wy, zaślepiący, bo to dla nich grabicie, a im nigdy dość. – Pochyliła się. – Nie, Jurgen. Mnie waszych trupów potrzeba. Dla przykładu. Na postrach. By kraj przestał krwawić tak daleko, jak daleko wieść o waszym końcu poniesie. By wszyscy zobaczyli i powąchali, czym kończy się zbójowanie. A ludzie muszą mieć na co patrzeć, Jurgen, bo inaczej przykład na nic. Wykluję ci tedy oczy, oberzną uszy i wytrzebię, a potem w smole i piórach obtoczę, i takiego po wsiach będę pokazywać. Na koniec z tabliczką na rozstajach powieszę.

Jurgen zacisnął zęby. Milczał. Kania wyprostowała się.

– Czy zrobię to z żywym, czy martwym, to moja rzecz.

– Dziękuję – powiedział po chwili.

Ardena uważnie omiotła wzrokiem izbę. Dała znak i pozostałe opuściły pomieszczenie. Tylko siwowłosa zatrzymała się w progu i wyrecytowała:

– Głupio Kuźma czynił, nocą nie swawoląc, bo nad ranem już wisiał pod szarą topolą.

– Zamknij się, Skarbnica – mruknęła Kania. – Wróć o świtaniu – powiedziała, zerkając wymownie na spoczywający przy łóżku nóż. – Zostawię tu dość dziewczyn, Jurgen. Dość, wierzaj mi. Albo i nie. Twoja rzecz. Radzę jednak: nie marnuj nocy.

Tym razem nie trzeba było Słomki ponaglać. Przywarła do Jurgena, gdy tylko zamknęły się za Kanią drzwi.

– Nie płacz.

– Okropna kobieta! Podła!

Chlipała, on milczał.

– Co zrobimy, Jurgen? – spytała po chwili. – Jurgen? Och, nie dotykaj mnie! Zglupiałeś?! Jak możesz teraz o tym myśleć?

– Przynieś wina, Słomka. No idź. Proszę.

Niechętnie zastosowała się do jego prośby. Grzebiąc w dwudrzwiowej komodzie – pięknie zdobionym meblu z kasztanowego drewna – co rusz posyłała mu poirytowane, pełne oczekiwania wyjaśnień spojrzenie. Najwyraźniej spodziewała się niezwyklego rozwoju wydarzeń po znalezieniu butelki.

– Nie ten. – Pokręcił głową na widok dzbana. – Gąsior w kolorze jutrzienki z pieczęcią ptaka. Przywiozłem go po przesileniu.

– To ojciec wypił.

– Ametystowego Kruka? Ten stary kozioł, niegardzący najpodlejszym samogonem na tarninie, wyżłopał pomgudera za dukata? Zresztą nieważne. Wino to wino. A kiecka to kiecka – dodał

ciszej. – Daj więc tego, Słomka. Nalej do kubków, hojnie, po brzegi.

Nawet nie zauważyła, że przeszła po bezcennej sukni. Zapomniała też o swojej nagości. On nie zapomniał. Pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej. Była olśniewająca. Doskonała. Godna uwiecznienia przez mistrza rzeźbiarza. Nie potrzebowała drogich strojów ani ozdób. Szkoda, że tego nie rozumiała.

– Teraz będziesz pił? Teraz, kiedy grozi nam niebezpieczeństwo?

Zdarł pieczęć. Obserwował, jak pochyla się nad naczyniami, zgrabna i gibka. Posmakował wina.

– Niezłe. Ale przydałoby się mocniejsze. Przynieś księżycówkę. Doprawimy.

– Zgłupiałeś!

– Zaufaj mi, maleńka. Zresztą ty bardziej idziesz do głowy, dziewczyno. No, dopełnij. Sobie też. Pij, Słomka. Pij, mówię.

– Hy... Zaraza. Masz plan, Jurgen? Masz?

– Mam. Pij.

– Upijesz mnie... Tylko nie myśl, że mnie tu zostawisz! Słyszysz?!

– Nigdy cię nie zostawię, Słomka.

– No, żebyś pamiętał.

– Jesteś piękna, najdroższa.

– Wiem. No więc?

– To potem, potem.

– Och... – zamruczała, czując pocałunki na szyi. – Jurrrogen, no...  
Musimy właśnie teraz?

– Tak, Słomka. Właśnie teraz musimy.

...

Spoczywał na kocu, wsparty plecami o pochyloną jabłoń. Trawę gęsto bielili stokrotki. Bzyczały owady, ćwierkały ptaki w pobliskim zagajniku. Z niewidocznego obejścia, zza płotu i stodoły dobiegały głosy służby oraz miękki stukot kopyt układanego żrebaka. Droga

wracały z pola kobiety. Przystanąły wedle rozłożystej lipy, pod którą posilali się chłopci. Potoczyła się rozmowa, wybuchły śmiechy. Młode dziewczyny, panny na wydaniu, brały się pod boki, potrząsały główkami. Znać było, że śmiało odpowiadają na męskie zaczepki.

Barwne i piękne jak polne kwiaty. Nieodrodne córki krainy, wyrosłe na żyznych czarnoziemach, emanowały zdrowiem, tężyzną i pewnością siebie.

Szła ku niemu w błękitnej falbaniastej sukni. Złote włosy zaplotła w gruby warkocz zakończony dużą kokardą, głowę przyozdobiła wiankiem z różowej koniczyny. Za nią biegł mały chłopiec niewprawnym, pełnym entuzjazmu krokiem trzylatka. Serce hrabiego niemal przestało bić. Chciał wstać, ruszyć im naprzeciw, pochwycić w ramiona.

Nie mógł.

Coś upiornie wdzierało się do jego świadomości. Coś obcego, niepasującego do otoczenia. Dźwięk daleki, surowy, niepokojący.

Słońce przyblakło, ucichły ptaki. Zniknęli chłopci i dziewczęta. Krajobraz opustoszał, pokrył się cieniem. Daria i Tader stali się pośrodku pustki. Hrabia patrzył im w oczy, całym wysiłkiem koncentrując się na zatrzymaniu ich obrazu. Tader nie był już dzieckiem, stał się młodzieńcem – takim, jakim był, kiedy odszedł. Daria uśmiechała się smutno. Hrabia poruszył bezgłośnie ustami. Zrozumiała. A potem odeszli, wtopili się w mrok. On pozostał, sam pośrodku pustki. Pustki wypełnionej biciem dzwonów. Widigen budziło się na proces.

Jakże hrabia pragnął zignorować pobudkę. Zapomnieć o wszystkim, obrócić się na drugi bok i zasnąć. Wiedział, że tego nie zrobi.

Prawdę mówiąc, nie musiał wstawać tak wcześnie. Mógł wylegiwać się w łóżku choćby do południa, do czego gorąco namawiali go grododzierzca Balbus wespół ze swoim totumfackim, kapłanem

Idebaldem. Zbyt gorąco. Tak ochoczo odwoływali się do podeszłego wieku i kiepskiego zdrowia gościa, zalecali odpoczynek oraz niewyściubianie nosa z alkowy, że wbrew sobie przyrzekł uczestniczyć w procesie. Serdeczność gospodarzy natychmiast spęzła im z twarzy, niczym ciśnięty placek krowiego łąjna. Satysfakcja hrabiego również nie trwała długo. Człowiek o jego doświadczeniu powinien mieć dość rozsądku, by nie wtrącać się w cudze sprawy. Zwłaszcza nie znając graczy pociągających za sznurki. Całe miasteczko spowijały tak grube nici intrygi, że aż dziwnie brał na widok czystego nieba ponad dachami. Nici biegły daleko i wysoko – co do tego hrabia nie miał wątpliwości. Grodzierzca z kapłanem mieli dość inwencji własnej do zorganizowania co najwyżej postrzyżyn. To ktoś inny, znaczny i wpływowy, znalazł odpowiednie do swoich celów miasteczko (leżące na uboczu, lecz z właściwymi nadaniami prawnymi). Zadał sobie wiele trudu, przygotowując całe przedsięwzięcie, i zadbał o stawienie się samych zainteresowanych. Teraz z pewnością ucieszy się na widok wyłaniającej się pośrodku misternego planu pomarszczonej gęby hrabiego Tanenkorta, sędziego królewskiego w stanie spoczynku.

Drzwi skrzypnęły, bosa stopy zaklaskały po deskach podłogi, woda zaszemrała w cynowej misie. Potem grube okiennice stuknęły o ściany budynku. Do izby wdarło się przepełnione wilgocią powietrze. Całą noc lało. Gdyby deszcz przyszedł dzień wcześniej, może hrabia nie rozchorowałby się od tumanów pyłu, którymi w podróży wychłostał ich wiatr.

Dzwony zamilkły. Tanenkort szybko za nimi zatęsknił, gdyż pacholek nucił durną, pretensjonalną piosenkę o kocie i młynarzu. Co rusz powracający jak ból zęba refren był, chociaż trudno w to uwierzyć, jeszcze głupszy od reszty piosenki. Melodia należała do kręgu tych, które gdy raz wpadną w ucho, nie dadzą człowiekowi spokoju. Była jak wierzyciele.

Chłopak umilkł, gdy hrabia właśnie zdecydował się go upomnieć. Ktoś wspinał się ciężko po schodach. Wszedł do izby, zawadził bronią o krawędź łóżka.

– Panie? Już świta.

– Nie śpię, Gildornie – odrzekł hrabia, z trudem otwierając oczy. Jakbym odwałał wieka trumien, pomyślał.

Usiadł, wspomagając się ramieniem mężczyzny. Wziął z rąk służącego namoczony ręcznik i wtulił weń twarz.

– Rumianek nie pomógł? – zatroskał się rycerz.

– Nie ma naparu na starość, mój drogi.

Podróż dała się hrabiemu we znaki. Marne gospody i podłe drogi oraz to irytujące poczucie kręcenia się w kółko. Planowali dotrzeć do Starych Dębów w ciągu dwóch tygodni. Minęły dwa miesiące, a oni wciąż byli równie daleko jak na początku podróży. Tyle że zamiast siedzieć w stolicy, utknęli w Mazonii. Z transportu dorzeczem Inny nic nie wyszło. Owszem, konwoje wyruszały do Quvacu, ale czyniły to nieregularnie. Ostatni odpłynął tuż przed ich przybyciem. Nikt nie wiedział, kiedy wyruszy kolejny.

Wyrażenie opinii, że podróżowanie po Konkondarii jest niebezpieczne, byłoby takim samym niedopowiedzeniem jak stwierdzenie, że w Nelmudii trafiają się wilki.

Każdy, niemal każdy zdrowy i w sile wieku mężczyzna walczył na wschodzie. Nawet w dużych miastach stacjonowały symboliczne załogi, złożone z kalekich kombatantów i smarkatych gołowąsów. Nikt nie patrolował gościńców. Dezerterzy ze wszystkich armii, pomolzejfowe niedobitki i zwykli rabusie swobodnie grasowali po lasach, łupiąc i mordując podróżnych. Niektórzy przywódcy zbójceckich band stali na czele tak silnych liczebnie watah, że rządzili całymi połaciami kraju jak udzielni książe. Miejskie prezydya nie tylko nie były w stanie z nimi walczyć, ale jeszcze się im okupowały. W tej sytuacji nikt nie podróżował, jeżeli naprawdę nie musiał.

Nawet hrabia Tanenkort, mimo swojej pozycji i urodzenia, posiadał raptem dwuosobową eskortę: Hovortha, jednookiego weterana – który rzadko kiedy trzeźwiał – oraz Gildorna, wnuka siostry hrabiego, któremu to pokrewieństwu tenże zawdzięczał wymiganie się od przydziału na wschodzie. Poza nimi w skład orszaku wchodził jeszcze korpulentna służka i dziewięcioletnie pacholę. W takiej kompanii istniały nikłe szanse na dotarcie do Starych Dębów w jednym kawalku. Lecz hrabia nie młodniał, a tęsknota za rodzinnym domem zmusiła go w końcu do wyruszenia w drogę. Liczyli na dołączenie do większej grupy podróżnych. Przeliczyli się.

W Mazonii czas się dłużył. Duże miasto zapewniało wprawdzie godziwe kwatery, a sam hrabia miał tu znajomków, a nawet dalszych krewnych, jak to zwykle wśród znacznej szlachty, lecz ani o krok nie zbliżył się do celu wyprawy. Nie po to opuścił stolicę, by mieszkać kątem w Międzyrzeczu.

Kiedy już pogodził się z koniecznością czekania na następny konwój do Quvacu, przyszła niespodziewanie wieść o przybyciu do Widigen zbrojnego oddziału. Wyglądało to na zrządzenie niebios. Niezwłocznie więc wyruszyli.

Widigen dzieliło od Międzyrzecza tylko pół dnia drogi. Trakt biegł szerokimi groblami pomiędzy mokradłami Inny. Bezpieczny i często używany, stanowił jedyne połączenie lądowe Mazonii z resztą świata.

Widigen, zwane też Białopiórzem, przycupnęło w miejscu, gdzie trakt łączył się z gościńcem, i rozkwitło dzięki korzystnemu usytuowaniu. W okresie wylewów Inny droga łącząca oba miasta bywała nieprzejezdna dla kupieckich wozów, więc ci często woleli spieniężyć towary u pośredników w Widigen, niż kłopotać się dalszą przeprawą. Wioska rozrastała się, baraki ustąpiły miejsca solidnym składom i kupieckim kamienicom, osiedlili się rolnicy, drwale,

myśliwi i rybacy. Komeski kasztel, pierwotne Białopiórze, został zdetronizowany do roli wojskowej strażnicy i dworu sprawującego tu władzę magnata. Fort wznosił się na trawiastym wzgórzu, górując nad okolicą. Surowy i milczący, zdawał się spoglądać na miasto z wyrzutem.

W normalnych warunkach przejażdżka z Mazeronii do Widigen byłaby przyjemnością. O nienormalne warunki postarała się pogoda. Porywisty wiatr wychłostał ich niemiłosiernie, a całą podróż odbyli naturalnie na próżno.

Hrabia czekał, aż ubiorą go w urzędowy strój. Krągła kobieta, co rusz kichając, zbliżyła się z wielkim naręczem tkanin. Na żupan nałożono ciężki amarantowy kontusz, a złoty płaszcz spłynął z barków mężczyzny na wysłużoną podłogę. Tanenkort przyglądał się swojemu odbiciu w małym mosiężnym lustrze wiszącym krzywo na pordzewiałym gwoździu. Kiedy głośno posapująca z wysiłku kobieta owijała go w pasie szeroką szarfą, hrabia z trudem powstrzymywał się przed pokazaniem języka swojemu odbiciu.

Nie wiedział, czy bardziej chce mu się śmiać, czy płakać. Co widział w lustrze? W pożółkłym odbiciu dostrzegał jeszcze bardziej pożółkłego starca, o pomarszczonej twarzy i głowie okrągłej jak dynia. Wskakiwała z kołnierza nedorzecznie duża w stosunku do reszty ciała, jak u pacynki. Wspaniały strój zdawał się szydzić z mizerności tonącej w nim postaci. Miast zdobić, uwidaczniał braki.

Gdzie podziały się te wszystkie lata? – zapytywał się w duchu hrabia. Gdzie te przekłete lata, kiedy wyglądał w tych samych szatach dostojnie, kiedy podobał się kobietom? Życie to największe oszustwo, jakie zrobiono człowiekowi.

Gildorn westchnął. Nie, nie z żalu nad kondycją hrabiego ani pod wpływem filozoficznych rozważań. Wzdychał, bo był skacowany.

– Solidnie musieliście popić. – Hrabia pokiwał głową, a błazen w lustrze zrobił to samo. – Spałeś w ogóle?



– Bogowie nie dali.

– Bogowie. Ech, Gildorn. Taki młody, zdrowy chłopak. Zamiast odpocząć... – Machnął ręką.

– Wyśpię się po śmierci. A tam jest istny jarmark. Ognie się palą, tańce i śpiewy. Kto by spał? Całe miasto wyległo do ich obozu. Nie dziwota, bo towarzystwo takie, że aż oczy bołą. A i miejscowe baby ciągną do wojowniczek, ciekawe plotek i innego życia.

Tanenkort zdał sobie sprawę, że to, co czuje, jest w gruncie rzeczy zazdrością. Sam poszedłby pohulać z dziewczynami, wypić i potańczyć. Zamiast tego smarkał i kaszlał przez pół nocy.

– Hovorth zapewne nie będzie nam towarzyszył? – spytał, chociaż znał odpowiedź.

– Nawet nie wiem, czy wrócił – zasępił się Gildorn. – Ale nie ma obaw. Dziewczyny na pewno nie dały mu spać w rowie.

No tak, skoro ktoś czuwał, by kwiat rycerstwa osobistej obstawy sędziego królewskiego nie utopił się w rynsztoku, nie było problemu. Ech, brak słów.

– Ardenę Bris widziałeś? – Hrabia usiadł na zydlu. Służąca zajęła się czesaniem pozostałości jego bujnej niegdyś czupryny.

– Nie. Ona w ogóle nie wychodzi. Ponoć zła jak osa. Mówią, że żałuje stawienia się na wezwanie. Dziwne, że to zrobiła, nie? Nie opuszcza kwatery, jakby była w areszcie, ale pod kluczem nikt jej nie trzyma. Zresztą kto miałby to zrobić? Tutejsi łyczkowie? Ha, ha, ha, śmiechu warte!

A śmiać się nie było z czego. Istniały konkretne powody, dla których nie sądziło się oficerów stojących na czele oddziałów w małych miasteczkach. Ardena Bris miała pod sobą dwieście wojowniczek. Dwustu zbrojnych. Obecnie nawet Mazonia nie posiadała dostatecznie silnej załogi, aby zapanować nad taką siłą. Tylko Orla Turnia bądź stolica miały realne środki do urządzenia procesu i zmuszenia skazanego do respektowania wyroku. A

Widigen? Kpina. Miasto dysponowało siłami bardzo zbliżonymi do tych, jakimi rozporządzał hrabia – posiadało dwóch strażników. Kania mogłaby powywieszać wszystkich mieszczan i puścić cały gród z dymem, a w przypiływie fantazji najechać Międzyrzecze.

Na zewnątrz powitał ich chłód poranka oraz ciekawski kundel. Ściany domów lśniły po nocnej nawałnicy, lecz dzień zapowiadał się pogodny. Ruszyli. Pacholek od niechcenia niósł tren płaszcza. Dwa razy wydało się hrabiemu, że celowo ochlapał materiał błotem. Należało się gówniarzowi trzepnięcie w ucho.

Spomiędzy domów dostrzegli na wzgórzu opustoszały kasztel, siedzibę komesa Martiego Gilberta Trzeciego, obecnie zawiadującego jakimś zdobyczym zamkiem w Ranpantarze. Hrabia i Gildorn wymienili spojrzenia.

Kiedy poprzedniego dnia wraz z grodoziercą, kapłanem i jeszcze kilkoma szacownymi (warte podkreślenia słowo) obywatelami miasta udali się do kasztelu, aby powiadomić rezydującego tam klucznika o zaanektowaniu fortu na potrzeby procesu, spotkali się z niespodziewanym oporem. Nie tylko werbalnym. Siwowłosy starzec skłął całe dostojne zgromadzenie stojące podle bramy od owcojebców i kurwich synów, a następnie obrzucił ptasim łajnem, jasno tym samym ustosunkowując się do roszczeń i praw grodoziercy odnośnie do komeskiej siedziby. Krewki staruszek na tym nie poprzestał i nim jeszcze na dobre gnój przestał spadać interesantom na głowy, sięgnął po procę. Po tej manifestacji nikt nie zamierzał kontynuować dysputy i dostojnicy rozbiegli się z wrzaskiem. Dziadunio służył chyba za szczenięcych lat w pułku procarzy Widerbixa, bo strzelał wyśmienicie. Hrabia, mimo że pędził w dół z boczka jak młody buhaj, oberwał w ramię, a co rusz rozlegały się wokół krzyki innych poszkodowanych. U stóp wzgórza przewrócił się Balbus, fikając spektakularnego kozła, i resztę pochyłości pokonał, tocząc się jak beczka. Żaden z

szacownych mieszkańców nie był młody, lecz nie przestano uciekać, dopóki nie minięto rogatek miasta. Klucznik co prawda już nie mógł nikogo trafić, ale ze wzgórza dobiegało wściekle ujadanie komeskich brytanów i nikt nie wątpił, że starzec przymierzał się do broni dalekiego zasięgu.

Całe to zajście było żalosne i śmieszne. W całym swoim długim życiu hrabia Tanenkort nie doświadczył przegonienia go jak burej suki. Powinien odczuwać złość, ale tak naprawdę chciało mu się jedynie śmiać, a wesołość podsycalo jeszcze zażenowanie szacownych białopiórczan, zgnojonych na oczach przybyłego ze stolicy gościa. Ilekroć zaś hrabia przypomniatł sobie majdajace w powietrzu nogi Balbusa, z trudem zachowywał kamienne oblicze.

Włodarze Widigen pożegnali się, zgodnie nadrabiając minę. Na odchodnym uznano, że na proces lepiej nada się stara stodola. Hrabia nie mógł powstrzymać się przed bąknięciem: „niewątpliwie”. I na tym stanęło.

Miasto wydawało się opustoszałe. Szli, nikogo nie napotykać. Nagle zza rogu wyszła wysoka, jasnowłosa dziewczyna. Gildorn aż się potknął z wrażenia, zawołał, zamachał, wyszczerzył jak uczeniak. Wojowniczką w szafirowej kamizelce z futrzanym srebrnym kołnierzem i w czarnych spodniach, u których wisiał kord, uniosła krótko dłoń w powitalnym geście. Była boleśnie urodziwa, chociaż pełna jakiegoś niedostępnego chłodu. A może to właśnie przydawało jej urody? Minęła ich szybkim krokiem, rzucając hrabiemu krótkie, taksujące spojrzenie. Musiała wiedzieć, kim jest, słyszeć o przybyciu sędziego. Zresztą dzielni wojowie hrabiego chlali z wojowniczkami przez całą noc. Pewnie wiedziały o Tanenkorcie więcej niż jego bliscy.

Hrabia zawsze uważał za nader wyświechtane komplementowanie oczu kobiety, ale teraz gotów był układać sonety o oczach niebieskich i chłodnych jak górskie jeziora. Jeziora podkreślały

szerokie łuki czarnej barwiczki. Cudownie współgrało to z jasną cerą i złotymi włosami boginki.

Cisza uzmysłowiła hrabiemu, że stoją w bezruchu, śledząc chód dziewczyny. Zniknęła za węglem. Pacholek miał zastygłą minę idioty.

Nie to, co ja, pomyślał hrabia z cierpkim rozbawieniem i pchnął Gildorna lekko w ramię.

– Wie... Widzieliście ją? Widzieliście?

– Jestem stary, a nie ślepy – odparł hrabia.

– Uwierzycie, że to dzikuska? Nie kłamie, jak bogów Kocham! Wołają ją Błękitka. Ponoć zawołana łuczniczka. Dacie wiarę? Takie słodziuchne rączunie do łuku?

– Patrz pod nogi – upomniał Tanenkort, nim Gildorn wdepnął w kałużę rozmiaru stawu i trudnej do oszacowania głębokości.

Błękitka. Ta dziewczyna również figurowała pośrednio w akcie oskarżenia. Razem ze swoimi słodziuchnymi rączuniami.

Stodoła wznosiła się za miastem. Duży budynek. Wokoło niego zebrało się z półtorej setki wojowniczek, w pełnym rynsztunku, jakby w gotowości do natychmiastowego wyjazdu. A może po prostu... w gotowości. Panowała złowróźbna cisza. Brakło rozmów, żartów. Kobiety powoli ustępowały im z drogi, z rozmysłem, czyniąc akurat tyle miejsca, ile potrzebowali na przejście. Gildorn zagadywał do znajomych, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie oszczędne skinienia. Wreszcie oklapł. Poczul to, co hrabia czuł od początku, idąc pod naporem kamiennych spojrzeń: wiszącą w powietrzu groźbę. Niekoniecznie na pokaz.

Wchodząc do zaimprovizowanej sali sądowej, Tanenkort zastanawiał się, jak dalece wojowniczeki oddane są Ardenie. Czy na tyle, by wypowiedzieć królewską służbę? Po tej manifestacji odżyły jego najgorsze obawy.

Małomiasteczkowe społeczności z upodobaniem małpują wzorce

podpatrzone u możnych sąsiadów. Często efekty tegoż małpowania okazują się śmiesznymi karykaturami. Nie innymi ludźmi okazali się mieszkańcy Widigen. Stodoła musiała stać się sądem z prawdziwego zdarzenia. Nie mogło zabraknąć wyrychtowanych naprędce niskich drzwiczek na zawiasach, oddzielających przestrzeń gapiów od oskarżonego i trybunału. Nie mogło zabraknąć zielonego sukna na sędziowskim stole ani popiersia króla stojącego obok (nie dość, że partacko wykonanego, to jeszcze przedstawiającego poprzedniego władcę), sami sędziowie zaś mieli na głowach peruki, pamiętające chyba czasy założenia królestwa. Zapach siana i bydła był najmiłszą wonią z bogatego bukietu wypełniającego pomieszczenie. Panował tłok. Na pewno przyszli wszyscy mieszkańcy miasta. Wystarczyło podeprzeć drzwi i podłożyć pod ściany ogień, by wszyscy się tu upiekli.

Hrabia zasiadł na przygotowanym dla siebie miejscu: po lewicy prowadzącego rozprawę Balbusa. Wymienił z nim i spoczywającym dalej kapłanem coś, co można określić jako „skąpe uprzejmości”. Nader skąpe.

– No, skoro już pan jest, to możemy zaczynać – rzekł tonem wymówki grododzierzca, po czym machnął wielkopańsko ręką, dając komuś znak.

– Tak, skoro już jestem, to możemy zaczynać – zgodził się uprzejmie hrabia. – Zechcą mi panowie coś wyjaśnić?

Balbus nie zareagował, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. Kapłan Idebald niechętnie wychylił się nad stołem. Miał brzydki krwiał na lewym policzku. Nie powinien był wczoraj oglądać się przez ramię.

– Jakimi środkami dysponuje miasto, aby wyegzekwować wykonanie ewentualnego wyroku? – zapytał Tanenkort.

– Jakimi niby ma dysponować? – Grododzierzca spojrział ze zdziwieniem na hrabiego. Najwyraźniej nie tego pytania oczekiwał. A powinien. – Może jesteśmy tylko niewielkim miastem, lecz kiedy

zasiadamy tu – z dumą rozejrzał się po stodole – skupiamy w sobie majestat króla i w jego imieniu czynimy sprawiedliwość. To najlepsza dyspensja.

Hrabia powstrzymał się od uwagi, że król z pewnością byłby zachwycony, to słysząc i tu zasiadając. Odpuścił też sobie wyjaśnienie terminu dyspensy.

– Tak, to zrozumiałe – odparł. – Jednak istotna różnica pomiędzy majestatem króla a majestatem królewskim, który my tu – zatoczył ręką wokół – reprezentujemy, zasadza się na tym, że król ma za sobą zbrojnych, my zaś zmurszałe deski.

Balbus zacisnął zęby. Idebald gapił się tępo, nie rozumiejąc.

– Jedyne oddział zbrojny w promieniu wielu mil to oddział oskarżonej – wyjaśnił Tanenkort. – Obyśmy nie doświadczyli jego sprawności. Wyobraźmy sobie, że panna Bris, czująca się z jakiegoś powodu oszukana, zaszczuta i wciągnięta w pułapkę, postanawia nie zastosować się do orzeczonego wyroku. Gorzej, oświadcza, że ma w głębokim poważaniu ten sąd i majestat, i to pomimo zielonego sukna oraz dwuskrzydłych drzwiczek. W chwili napadu godnej ubolewania wściekłości rozkazuje zaś wyróżnić tu zgromadzonych i puścić tę szopę z dymem. Jakimi środkami dysponuje miasto, by do tego nie dopuścić? – powtórzył.

Zapadła cisza. Grododzierzka oblizwał nerwowo usta. Chyba nawet do niego zaczęło coś docierać.

– O, do tego nie dojdzie – zapewnił kapłan. – Oficer nawykły jest do posłuchu.

– Tak? – Hrabia nie krył zdziwienia. – Myślałem, że Ardenie Bris zarzuca się właśnie samowolę i bestialstwo? Czyli w przypadku udowodnienia oskarżonej niesubordynacji odwołamy się do jej karności i poczucia obowiązku? Na tej samej zasadzie można żądać lojalności od zdrajcy.

– Do czego to wszystko zmierza? Co to za pytania? – zdenerwował

się Balbus.

– Zastanawiam się tylko.

– To niech pan przestanie się zastanawiać.

– Igracze z ogniem. Od tej budy może zająć się pół kraju.

– Z niczym nie igramy. – Balbus odzyskał rezon. – Wykonujemy swoje obowiązki. To wszystko. Nie musieliście tu przychodzić. Nie powinniście byli tu przychodzić. Wasz czas minął, hrabio Tanenkort, sędzio królewski w stanie spoczynku. Nie wychylajcie się, dobrze wam radzę.

Ty kupo łajna, pomyślał hrabia, patrząc tamtemu w oczy, ty miernoto, ty szaraku zafajdany, ty patentowany ośle. Dowiem się, kto sypie złoto do twojej kieski. Dowiem się, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Poruszę niebo i ziemię tą resztką sił, jaka mi jeszcze została. Ale najpierw nie pozwolę wam rozkrwawić kraju do reszty.

Drzwi stodoły były solidne, wysokie, dwuskrzydłe, pomimo tego rozwarły się energicznie. W ostrym blasku słońca pojawiła się ona. Hrabia natychmiast rozpoznał Kanię, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkali. Weszła w pełnym rynsztunku, w wysokich butach, dzwoniąc żelazem, błyszcząc kolczugą, wyprostowana, czarnowłosa, wściekła. Tuż za nią człapał wyrostek, czyli bardziej sprawna połowa miejscowego regimentu. Minę miał nietęgą. Trzy wojowniczkę zamknęły drzwi. Dwie przysiadły na ławie pod ścianą. W jasnowłosej hrabia rozpoznał Błękitkę o słodziutkich rączuniach, rudej nie znał. Trzecia, siwa, stanęła po przeciwnej stronie przejścia, trzymając chorągiew. Wsparła zdecydowanie drzewce o klepisko.

Dwa ptaki nad dwiema górskimi iglicami.

Orły nad turniami.

Hrabia wątpił, czy ktokolwiek z zebranych, a może nawet i z oddziału Kani, zdawał sobie sprawę z subtelnego żartu heraldyka, który stworzył symbol chorągwi. Ptaszki dla ptaszków z Orlej Turni.

Kryło się w tym coś więcej.

W dawnych czasach, zanim miasta rozrosły się, a magnaci wystawiali poczty z własnymi znakami, wszyscy mieszkańcy walczyli pod jednym godłem – herbem zamieszkiwanego miasta. Stare Dęby pod chorągwią z liśćmi dębu i bluszczu, Konkoria ze szmaragdowym rombem na zielonym polu, Mazeronia z widłami rzek, Zębaty Róg z trębaczem, Traketonnia ze splecionymi wężami... A Orla Turnia z dwoma orłami nad dwiema górskimi iglicami. Pod tym znakiem skupiała się elita konkondarskiego rycerstwa. Duma rozpierała noszących na tarczach i zbrojach znak grodu na wysokiej skale. Dzisiaj w Orlej Turni służyło wiele chorągwi, a godło twierdzy trzepotało jedynie na zamkowych wieżach. Dając oddziałowi Kani podobny herb, odwołano się przypadkiem do sławnego z bitności i hardości rycerstwa. Tanenkort nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w tym znaku tkwi moc, jakaś niezwykła aura, która odciska się na służących pod nim wojownikach. Czy wojowniczkach. Jakby orzeł znów rozpostarł skrzydła nad swoimi dziećmi. Hrabia nie potrafił uciec od licznych skojarzeń, refleksji i analogii, nie zawsze wesołych. Nie sposób było patrzeć na ów znak bez mieszaniny sympatii i obawy.

Ardena minęła rzędy ław szybkim krokiem. Z biodra potraktowała niskie drzwiczki na zawiasach, ciężko klapnęła na przygotowane jej miejsce. Przez chwilę wydawało się, że położy nogi na przeżartym przez korniki blacie.

– Dla... – zająknął się Balbus – dlaczego nie odebrano oskarżonej miecza?

– Odmówiła – bąknął chłopak.

– Nic to! – zawołał grododzierżca. – Należało odebrać!

– Ojej – westchnął kapłan głosem dziewicy, której jednorożec zbyt frywolnie wcisnął się w podolek.

– Moja SZABLA – zagrzmiała Kania – zapewnia wam



bezpieczeństwo. Moją szablę miałam u boku w obecności króla i trzech hetmanów. Żaden jej złożenia nie żądał. Moja szabla dla chwały królestwa krwią sphywała. To dzięki niej, łyczkowie, spokojnie pod pierzyną chrapiecie.

– Wiemy, co potrafi twoja szabla, Ardeno Bris – pokiwał głową Balbus.

– Kapitanie Ardeno Bris! Kontenta jestem wielce!

– Co to się porobiło, kobieta oficerem... – jęczał kapłan. – Co za zachowanie...

– Może rozpoczniemy? – zaproponował hrabia Tanenkort. – Przedstawimy trybunał, odczytamy oskarżenie. Tak to zwykle wygląda.

Woźny kiepsko radził sobie z czytaniem. Z mówieniem też nie szło mu najlepiej. Memłął każde słowo trzy razy, zanim je wykrztusił. Jakoś przebrnął przez zwyczajową formułkę: dnia tego i tego, sąd w takim a takim gronie... Ale poddał się ostatecznie przy imieniu Błękitki.

– Pfaństwo wybacom, slachetni, ale teko się ni da pzeczytać. Nu jenzyk kolkem staje.

– To go se wygarbuj! – prychnęła Kania. – Ha, ha, Błękitka, słyszałaś? Kołkiem mu staje! Jak zwykle przez ciebie!

– Dzikuski, degeneratki, obraza ludzka i boska – mruzczał Idebald, podziwiając pajęczyny u powały.

– Dość! – uciął Balbus. – Szkoda czasu na dalsze czytanie. Wiemy, kto i o co jest oskarżony. Jesteś sądzona za rozboje, kobieto...

– Kapitanie kobieto! – wtrąciła Kania.

– ...winna bestialskich mordów, grabieży, profanacji...

– Chwileczkę, jak dotąd nie jest winna, a jedynie oskarżona – sprostował hrabia Tanenkort. – Winę wszak trzeba udowodnić.

– O, jest dość dowodów. – Kapłan zamachał rękami, po czym rozpoczął perorę o tym, co słyszał, co mu się wydaje i co każdy wie.

Hrabia nie słuchał. Patrzył na roślą postać szlachcica, który właśnie wślizgnął się do środka. Ta jasna strzecha włosów i pucołowata twarz wydały mu się znajome. Mężczyzna dostrzegł siedzące pod ścianą wojowniczkę, skinął głową, a ruda błysnęła w odpowiedzi ząbkami. Tanenkort usiłował sobie przypomnieć, gdzie widział tego człowieka, kiedy ten odwrócił się i w wąskiej smudze słonecznego blasku, sączącego się pomiędzy deskami, zajaśniał herbowy grawerunek na napierśniku: byczy łeb z kółkiem w nozdrzach. Borth! A ściślej mówiąc, najmłodszy z trzech braci Borthów, zwany Turem. Trochę swawolnik i hulaka, ale jednak pan na Mazonii, Borth z Borthów, krew znaczna i potężna. Musiał dopiero wrócić ze wschodu, kiedy bowiem Tanenkort bawił w Międzyrzeczu, nie było w mieście żadnego z braci.

– Milcz! – ryczał tymczasem Balbus, wałąc pięścią w blat stołu. – To niesłychane!

– Sam milcz! – odwrzaskiwała Kania, bijąc dłońmi we własny blat. – Degradacja?! Rozpuszczenie oddziału?! Po moim trupie!

– Sąd wydaje wyrok – nadał się grodzodzierzca. – Jednogłośnie...

– Nie jednogłośnie – zaoponował Tanenkort. – Żądam zaprotokołowania mojego sprzeciwu ze względu na uchybienia proceduralne żądam wznowienia przewodu sądowego w innym miejscu przed innym trybunałem. Nie powołano świadków, nie przedstawiono...

– Nie mieszajcie się, jak bogów kocham!

– Chwileczkę. – Hrabia Borth wystąpił naprzód.

Teraz dopiero spostrzegli go miejscowi. Rozległy się zdumione szepty i szybko narosły jak morska fala docierająca do brzegu. Ludzie otoczyli hrabiego. Jakaś niewiasta zaszlochała. O ile Tanenkort mógł stwierdzić, radość z pojawienia się magnata była szczerą i niewymuszona. Obraz wcale nie częsty i dobrze świadczący o opiece Borthów nad Białopiórzem.

– Pa... pa... pa... panicz – wykrztusił Balbus. – O niebiososa... Co za niespodzianka. Co za radość dla naszych oczu!

– Z serca wam dziękuję, grododzierzco – odparł przybyły, ściskając liczne prawice. – I ja się cieszę, że zdążyłem.

– Tuuuur! – Kania wstała. – Niech skonam. Co ty tu robisz, sukinsynu?

Ucichło.

– A co to się stało, żeś w pielesze przybył? – kontynuowała niczym niespeszona. – Wojenka obrzydła? Zdrowo wyglądasz. No chyba żeś w amorach męskość postradał. Bo to, uważasz, całe królestwo śmieje się z waszych konkurów do Wyrodnej Córy. Pono jej kiecka okazała się za twarda dla waszych kopii i wstyd jeno pozostał.

– Nie kłap dziobem o rzeczach, których nie rozumiesz – zdenerwował się Borth. – A rozumieć nie możesz, bo i skąd? Pogonisz jakąś miejscową hałastrę i myślisz zaraz, że byłaś w bitwie. Gończa od zaginionych pludrów.

– Co? Że jak?! Od czego gończa?! – Zjeżyła się jak brytan. Niespodziewanie wybuchła śmiechem, aż zatrzęsł się dach stodoły. – Tur, bydlaku! Ciesz się, że cię lubię, bo jak nic tak byś w pysk dostał, że byś się kopytami nakrył!

Mieszkańcy Widigen zaszemrali. Hrabia Borth, jaśnie oświecony protektor Białopiórza, zwany sukinsynem i bydlakiem, co ma pysk i kopyta, wbrew powszechnemu zgorszeniu oraz niedowierzaniu wymienił uścisk z Kanią.

– Braci w Brug aby nie straciłeś? – spytała.

– Nie. Średniego ominęła kampania, bo nie ominęła go cegła, którą ktoś spuścił mu na łeb pod pewnym zameczkiem, a starszy doradza Guergenowi w Alam-Tal-Tahab. Nie wiem, co doradza, ale wynika z tego niewiele. Razem przesuwają figurki po mapie, winszując sobie pomysłu. Widziałem tę mapę i ma się nijak do rzeczywistości.

– Dobrze, że cali, chociaż starszy to kretyn.

– Nie zaprzeczę przez grzeczność.

Balbus chrząknął.

– Wybaczcie, mości panie hrabio. Wybaczcie. Radzi wam jesteśmy niezmiernie, jako słońcu na niebie, ale właśnie wydawaliśmy wyrok.

Uznano...

– Wstrzymajcie się, drogi grodzierzco, z uznawaniem – przerwał kategorycznie Borth. – Proces musi zostać odroczoney.

– Ależ... Nie...

– Hetman wielki Szaffar przysłał wezwanie dla kapitan Ardeny Bris. Ma niezwłocznie poprowadzić chorągiew na północ. Sprawa najwyższej wagi państwowej. Szczęściem list zastał mnie w domu. Akurat wszedłem, gdy nadleciał gołąb. Nawet nie zdążyłem usiąść po podróży. Ale nic to, grunt, że zdążyłem, zanim doszło do nieporozumienia.

– Niepo...

– Ewentualne uznanie winną oskarżonej stałoby w jawnej sprzeczności z wezwaniem jej przez przełożonego. Doszłoby do komplikacji jurystycznych, których szczęśliwie, powtarzam, udało nam się uniknąć. Dzięki temu oficer Ardena Bris nie stanie przed dylematem, czy usłuchać wezwania zwierzchnika, czy zastosować się do orzeczenia sądu.

– W rzyci mam ten sąd – stwierdziła z rozbijającą szczerością Kania. Balbus poczerwieniał.

– Nie wiem, doprawdy nie wiem, czy można tu mówić o jakimś dylemacie. Logiczne się wydaje...

Tanenkort splótł dłonie.

– Prawo, mości grodzierzco, nie opiera się na tym, co się komu wydaje, tylko na szeregu przepisów i ustaw – wyjaśnił spokojnie. – A prawo w tej kwestii wypowiada się logicznie oraz jasno: w przypadku zaistnienia nadzwyczajnych okoliczności należy wstrzymać przewód sądowy do czasu, gdy proces będzie mógł być

wznowiony. Jak mi nie mam, zaszły takie właśnie okoliczności?

– Istotnie – przytaknął Borth, spoglądając z uwagą na Tanenkorta.

– Okoliczności są nadzwyczajne.

– Ten list. Proszę przedłożyć go trybunałowi – zażądał piskliwie Balbus. – Panie hrabio – zreflektował się.

Borth uniósł brwi.

– Nie mam przy sobie listu. Poza tym są to sprawy wojskowe, poufne. Chyba moje słowo jest dostateczną rękojmią?

Balbus nie przytaknął. Hrabia Tanenkort po raz kolejny zastanowił się, czyja ręka karmi starszego nad miastem i czy w cukierkach nie ma aby szaleju. Ostatecznie Balbus nie zarzucił kłamstwa Borthowi w twarz, uderzył w inny ton.

– List mógł zostać podrobiony. Trybunał nie jest w stanie stwierdzić jego autentyczności, nie widząc pieczęci ani pisma.

– W tej kwestii trybunał zawierzy mojej ocenie – uciął Borth. – Znam dobrze pieczęć Szaffara i jego sposób wyrażania się. Wątpię, by mógł pan powiedzieć to samo, Balbus.

Grododzierzca zerknął na kapłana, ale Idebald zapadł się w krzesło i udawał, że drzemie. Miał łądak szansę wykręcić się sianem, bo rola nieświadomego idioty świetnie doń pasowała. Chociaż głupiec, przez zbawienne dlań tchórzostwo wcześniej od grododzierzcy pojął, że sprawa ich przerosła. Może istotnie był tylko bezmyślnym pomagierem Balbusa? A może to, co mógł zyskać, było niczym w porównaniu z tym, co mógł stracić? W każdym razie wycofał się na tyle wcześnie, by mieć niejaki widoki na zachowanie piastowanego stanowiska. Tajemniczy ktoś pociągający za sznurki może grał na tyle wysoko, by zasiąść do partii z hetmanem wielkim, ale nie Balbus ani Idebald. Sam Borth był na tyle wielką rybą, że mógł połknąć dziesiątki takich płotek jednym zamaszystym podpisem.

Niespodziewanie odezwała się siwowłosa spod sztandaru:

– Kośćmi rzucał biegle, lecz się raz pomylił. Wszystko, co

zgromadził, stracił w jednej chwili. Nie chciał uznać przecie, że go los naznaczył. Nie uwierzył dotąd, aż topór zobaczył!

Utrafiła w sedno. Balbus też to pojął. W zapadłej ciszy, w utkwionych weń spojrzaniach, w spotniałej twarzy bladego Idebalda, z oblicza magnata Mazonii wyczytał swoją przyszłość. Był skończony. Hrabia Tanenkort przyglądał się, jak świadomość tego stanu rzeczy zatacza coraz szersze kręgi w umyśle grododzierzcy; jak wysysa mu siły, wyciska powietrze z płuc, ujmuje wzrostu i postawy; i dumiał nad tym, jak też plotą się ludzkie losy.

Kania wdała się z Borthem w dyskusję, ludzie opuszczali zajmowane miejsca, wychodzili. Koniec. Słowo o szerokiej gamie smaków.

– Jeszcze jedno... Mościa panno... Kapitan Bris!

Wszystkie oczy zwróciły się na grododzierzcę. Żył nabrzmiały mu na szyi, oczy wyszły na wierzch, twarz poczerwieniała. Zaciskał pięści, aż pobielały mu knykcie. Ten człowiek się zdecydował. Nie miał już nic do stracenia. Ponownie ucichło. Kania zawahała się. Wreszcie podeszła.

– Kiedyś... kiedyś wojna się skończy. – Balbus mówił z trudem. – Ardeno Bris zwana Kanią. Skończy się.

Opadła dłońmi na stół, tak gwałtownie, że trzy głowy sędziów cofnęły się energicznie. Tanenkort poczuł bolesne ukłucie w karku. To nie ptak, pomyślał trochę nie na miejscu, nie ptak, raczej ryś albo wąż do niej pasuje.

– KIE-DY – wysylabizowała prosto w twarz Balbusa – kiedy wojna się skończy?

Powoli kąciki jej ust uniosły się. Oczy zapłonęły. Było w jej twarzy coś niewypowiedziane dzikiego, przerażającego, hipnotyzującego; był krzyk mordowanych ludzi, był płomień, było żelazo. I była obietnica. I drwina.

Roześmiała się potępieńczo, chrapliwie. Odeszła w blask słońca.

Śmiech dźwięczał im w uszach jeszcze chwilę po tym, gdy zniknęła.

Tak, pomyślał Tanenkort, czując, że znowu może oddychać. Tak, ma rację: wojny nigdy się nie kończą. A każda wojna potrzebuje demonów. Naszych demonów, by chroniły nas przed złem jeszcze większym. Kanie będą potrzebne, jak długo będzie istniał świat. Bo wojny nie można prowadzić w białych rękawiczkach. Bo ostatecznie zwycięża brutalność i bezwzględność, i to ona zapewnia nam... pokój.

– Jak to? Panie hrabio, odchodzicie? Już?

Balbus wyglądał tak żałośnie, że niemal należało mu współczuć.

– Proces skończony, grododzierzco. To koniec. Przecież wiecie – odparł. – Zdradzicie mi kto?

Starszy nad miastem – przynajmniej do jutra – przygryzł wargę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

– Jak chcecie. To w sumie bez znaczenia. Zresztą i tak się dowiem. Bądźcie zdrowi, grododzierzco. Zdrowie to skarb.

– Idźcie w cholerę.

Hrabia Tanenkort skinął kapłanowi, przywołał gestem Gildorna. Musieli się spieszyć, jeśli chcieli dołączyć do oddziału Kani.

# TAJEMNICA MIASTECZKA N.

Hubert Olkowski



Zbliżało się południe, ale październikowe słońce skryło się za ołowianymi chmurami. Przez przybrudzoną szybę wagonu oglądałem ziemię świeżo wydarte z rąk okupanta. Przedemną roztaczał się ponury krajobraz. Nędzne poletka, ruiny niegdyś okazałych domostw, rozpadające się opuszczone chaty. Wszystko, co widziałem, wprawiało człowieka w grobowy nastrój.

Szare mazurskie wsie wciąż szpeciły licznie rdzewiejące wraki, pozostałości po wojnie. Wypalone czołgi, rozszarpane eksplozjami działa pancerne czy zmiążdżone ciężarówki tuzinami zalegały pobocza dróg. Nieme świadectwo ciężkich walk, jakie przed kilkoma laty musiała stoczyć zwycięska Armia Czerwona, aby raz na zawsze pokonać nazistowską hydrę.

Rozparłem się wygodniej w pluszowym fotelu zdobyczej salonki. Po raz setny podczas tej podróży obciągnąłem świeżo wyprasowany mundur. Mundur oficera Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, z którego byłem niezmiernie dumny.

Przejrzałem się w oknie, poprawiając pas z nowiutką tetetką. Zza szyby patrzył na mnie barczysty blondyn w jasnoszarej kurtce i czapce z czterema złotymi gwiazdkami. Zdaniem kobiet, z którymi los skrzyżował moje drogi, należałem do przystojnych mężczyzn, cokolwiek to znaczyło.

Z braku lepszego tematu pogрузyłem się w rozmyślaniach nad



własną przeszłością. Jedyne doświadczenie bojowe, jakie posiadałem, wiązało się z niszczeniem niedobitków partyzanckich band w niedostępnych Bieszczadach. W przeciwieństwie do moich starszych towarzyszy nie wziąłem udziału w wielkiej wojnie. Dlatego teraz bardzo chciałem wykazać się umiejętnościami śledczymi w sprawie miasteczka N.

Szkołę oficerską KBW ukończyłem z wyróżnieniem w lipcu czterdziestego szóstego i od razu skierowano mnie do Dywizji Wojsk Wewnętrznych. Pierwszym zadaniem, jakie przede mną postawiono, była pacyfikacja resztek oddziałów UPA na wschodnim krańcu Polski.

Według przełożonych poszło mi to całkiem nieźle – w raportach opisywano mnie jako perspektywicznego oficera, charakteryzującego się ponadprzeciętną inteligencją i dobrym zmysłem taktycznym. Za udział w akcjach bojowych dostałem nawet medal.

W maju tego roku zostałem przeniesiony do specjalnie wydzielonego pionu śledczego, zajmującego się wyjątkowo skomplikowanymi zbrodniami. Po kraju wciąż grasowały bandy rządu londyńskiego, ale też pojedynczy sadyści, w których wojna wyzwoliła najdziksze instynkty.

Na przełomie lipca i sierpnia udało mi się rozwikłać właśnie taką sprawę w jednym z większych miast Wielkopolski. Unieszkodliwiłem groźną sektę przeprowadzającą wyjątkowo ohydne rytualne morderstwa. W śledztwo zamieszane były ważniejsze postacie życia publicznego, dlatego moja dyskrekcja została odpowiednio nagrodzona. Teraz skierowano mnie do miasteczka N., gdzie miałem wspomóc lokalną milicję w walce z wyjątkowo twardymi partyzantami.

Od końca wojny, czyli od przeszło pięciu lat banda żołnierzy z Armii Krajowej i innych ugrupowań nacjonalistycznych

terroryzowała okolicę N. Ginęli wójtowie, działacze partii, tajni informatorzy, milicjanci, a nawet towarzysze ze stacjonującego w okolicy garnizonu Armii Czerwonej.

W ostatnim półroczu terroryści zintensyfikowali swoje ataki, zabijając między innymi komendanta posterunku w N. Według raportu oficer zginął w leśnej zasadzce, późnym wieczorem. Jego zdezelowane auto znaleziono dopiero następnego dnia, spalone na leśnej polance.

Interesujący był sposób egzekucji – milicjant zginął od strzału w potylicę, ale jego kierowca miał rozszarpane gardło. Na czarno-białych zdjęciach rana wyglądała, jakby została zadana ostrym, choć krótkim narzędziem o nieregularnych krawędziach.

Westchnąłem cicho, poprawiając uwierającą czapkę. Zadanie na pierwszy rzut oka wydawało się karkołomne, jednak w razie sukcesu mogłem być pewien awansu. Przełożony jasno dał mi to do zrozumienia na ostatniej odprawie przed podróżą.

Szykuje się ciekawa gra, pomyślałem, unosząc nieco kąćki ust.

Tymczasem stara lokomotywa, świszcząc i skrzypiąc zużyтыми mechanizmami, zatrzymała się na peronie małego miasteczka. Nadszarpnięty zębem czasu parowóz pokrywała na całej długości rdza i zadrapania. Świeżą farbą odmalowano jedynie walczak i bufory.

Wysiadłem na niewielkiej stacyjce, otulony gęstymi kłębami pary. Pierwszym, co rzuciło się w oczy, był stary pruski dworzec noszący ślady zaciętych walk. Dwupiętrowy, otynkowany niegdyś na beżowo budynek pstrzyły zacieki brudu. Konstrukcję przeorały pociski działek i karabinów maszynowych tak, że na całej powierzchni ściany ziały głębokie wyrwy, niczym ślady po pazurach monstrualnych zwierząt.

Dworzec chylił się ku upadkowi, a sądząc po stanie jego konstrukcji, miało to nastąpić niedługo. Jako pozostałość po starych

gospodarzach tych ziem przeznaczono go chyba i tak do rozbiórki. Wybite okna i większe przestrzeliny założono dyktą oraz brezentem z darów UNRRA. Mniejsze dziury wypchano słomą. Na dachu jako prowizoryczne zabezpieczenie leżały brudnoniebieskie płyty plandek, byle jak przyłożone kamieniami.

Popołudniowe słońce nie dawało już w ogóle ciepła. Rozejrzałem się uważniej po zniszczonym peronie. Na ziemi widać było lśniąca kałuże, a chłodny wiatr nieprzyjemnie chłostał twarz i odkryte ręce. Sama platforma pełna była śmieci, starych gazet przesuwanych podmuchami powietrza.

Ciemnoczerwone poniemieckie cegły leżały poukładane w kilka stosów. Tu i ówdzie w betonowej nawierzchni ziały dziury przysypane ziemią i zwirem. Prowizoryczne ławki zbito z sosnowych desek. Słup jedynej latarni wyginał się w kubistyczny twór.

Poza mną jedyną osobą na peronie był młody, może osiemnastoletni chłopak w niebieskoszarym mundurze milicjanta, z przerzuconą przez ramię wypolerowaną pepeszą. Wysoki, muskularny, o szerokiej piersi, błękitnych, wesołych oczach i jasnych włosach, bacznie rozglądał się po opustoszałej stacji. Na mój widok podniósł dwa palce do daszka czapki i uśmiechnął się lekko.

– Zapraszam, towarzyszu kapitanie! – krzyknął w moją stronę, zagłuszany przez hulający wiatr. Sympatyczny chłopak, przebiegło mi przez głowę.

– Witam – odpowiedziałem, podchodząc do milicjanta. Oddałem mu swoją walizkę i ruszyliśmy w stronę zejścia z peronu – schodków niedbale ułożonych z pokruszonych cegieł.

Niedaleko stał zaparkowany zdezelowany gaz w barwach Milicji Obywatelskiej, zapewne mój transport. Kiedyś musiał być zielony, ale teraz pomalowano go na niebiesko-biało, z farbą odchodzącą płatami od karoserii. Na obudowie silnika ziały liczne przestrzeliny,

brezentową budę kabiny pstrzyły ciemne łaty. Dół gazika i potężne koła z oponami o terenowym bieżniku pochłapane były świeżym błotem.

Mój przewodnik wskazał mi fotel pasażera, usadowiłem się na niewygodnym siedzisku obciągniętym płótnem, czując, jak stelaż boleśnie wcina mi się w plecy. Stęknąłem cicho. W Warszawie służbowe auta były wygodniejsze – kolejne spostrzeżenie przeszło mi przez głowę. Tutaj, na bezdrożach, jednak lepiej się sprawdzały łaziki.

Zabębniłem palcami o przybrudzoną szybkę, ponagłając szeregowego. Widocznie onieśmiałem młodego, bo chwilę siłował się ze stacją, nie mogąc trafić w nią kluczykiem. Nie winiłem go za to, oficerowie kontrwywiadu wojskowego byli szkoleni do odnajdywania i tępienia wrogów władzy ludowej.

Czasem znajdowaliśmy ich we własnych szeregach. Czasami zdarzało się też, że w bezimiennych grobach kończyli niewinni ludzie, ale taka była nasza brutalna rzeczywistość. Trzeba było zrobić wszystko, aby faszystowskie i kapitalistyczne gnidy raz na zawsze zniknęły z tego świata.

Zapałem papierosa, wpatrzony w drżące dłonie chłopaka. Czyżby miał coś na sumieniu? Taka luźna myśl właśnie przemknęła mi przez głowę, ale zaraz ją zdusiłem. Po prostu bał się mojej formacji, a to rozumiałem.

– Najpierw, towarzyszu, chcę odwiedzić komendę milicji. Potem na kwaterę, potrzebuję się odświeżyć po podróży – zakomenderowałem, zaciągając się dymem. – Wy macie być moją eskortą? W takim razie nie denerwuj się tak, chłopcze. – Uśmiechnąłem się, choć szeregowy mógł być młodszy zaledwie o kilka lat.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie! – wyszczał służbiście, wpatrzony czujnie w drogę. Ruszył gwałtownie, a ja zacisnąłem

zęby, mocno trzymając się uchwytu na desce rozdzielczej terenówki. Auto trzęsło i podskakiwało na najmniejszej nawet nierówności, jakby zamiast resorów wstawiono żelazne sztaby.

Komenda Milicji Obywatelskiej w N. mieściła się w starej ponemieckiej kamienicy. Dwupiętrowy budynek stał przy dłuższym boku małego rynku. Na środku placu umieszczono w zamierchłych czasach studnię o bogato zdobionej cembrowinie, teraz przykrytą siatką zabezpieczającą.

Centrum miasteczka sprawiało raczej ponure wrażenie. Zbudowane z połamanych kamiennych płyt chodniki gęsto przysypane były butwiejącymi liśćmi. Brukowane uliczki nadal składały się w większości z głębokich dziur i lejów po bombach. Nieliczne rachityczne drzewka o poskręcanych pniach rosły wokół starej studni, poza nimi brakowało zieleni.

Kamienice stojące wzdłuż uliczek okalających rynek wyglądały podobnie, różniły je jedynie szyldy zawieszane nad wejściami. Wszystkie miały po dwa piętra i ściany z dziurami zalepionymi betonowymi plastrami. Niektóre okna, szczególnie te na poddaszach, zastawiono kartonowymi zaślepkami. Oprócz komendy mieścił się tu ratusz, tymczasowy Dom Partii, kiosk, rzeźnik, sklep rybny i parę innych, poczta, a nawet fryzjer. Zestaw standardowy.

W północnym rogu rynku stał trzypiętrowy hotel wybudowany jeszcze przed wojną. Obecnie poddawano go gruntownemu remontowi. Kawałki tynku skuwane z murów leżały płatami na resztkach trawy, przypominając łuszczącą się skórę.

Zatrzymaliśmy się pod szarą kamienicą mieszczącą komendę milicji. Na ulicy przed nią parkowały jeszcze dwa niebieskie gazy i jeden zdezelowany ciemnozielony zis przerobiony na więźniarkę. Ciężarówka miała na dachu kabiny zamontowane jarzmo ciężkiego karabinu maszynowego.

Na rynku przy studni, koło prowizorycznej wiaty przystanku PKS, stał jeszcze radziecki autobus pomalowany na zgniłożółto. Kręciło się przy nim kilkunastu ludzi okutanych w szare płaszcze, zapewne pasażerów. Linia musiała łączyć N. z leżącym kilkadziesiąt kilometrów dalej miastem wojewódzkim.

Przyjrzałem się uważniej frontonowi komendy. Odremontowano ją wyjątkowo niestarannie, byle jak wypełniając ubytki po ceglach betonem. Brązowe łaty resztek tynku przypominały mi plamy wątrobowe. Dolne okna okratowano, nad dębowymi drzwiami zawieszono wielki napis: „Komenda Milicji Obywatelskiej w N.”, wykaligrafowany odręcznie, ukośnymi literami.

Mój szofer pośpiesznie otworzył przede mną drzwi i zsalutował sprężysto, kiedy przechodziłem obok. Pomieszczenie, w którym się znalazłem, musiało być przed wojną oficynką dozorczy. Skinąłem kierowcy jedynie głową i zanurzyłem się w zadymionym wnętrzu. Od razu po wejściu uderzył mnie potworny smród – mieszanina tanich papierosów, przetrawionego alkoholu i niemytych ciał.

Naprzeciw drzwi stało stare biurko z kałamarzem, zavalone papierami. Za nim siedziała ubrana w nienagannie czysty strój sekretarki może dwudziestoletnia dziewczyna. Miła, przyjemna dla oka blondynka o krótko obciętych włosach i sporym biuście, teraz opiętym wykrochmaloną białą bluzką. Na mój widok uśmiechnęła się zalotnie, przekrzywiając głowę na bok. W lot zrozumiałem jej intencje.

Zapewne chciałyby się bliżej zaprzyjaźnić z młodym oficerem z Warszawy. Może nawet liczyła, że po skończeniu śledztwa zabiorę ją ze sobą do stolicy. Mógłbym to przecież zrobić, ale... przegoniłem takie myśli. Nie przywiązywałem się zbyt do dziewczyn, a w Warszawie zawsze kręciło się koło mnie kilka, więc miałem w czym wybierać.

Zresztą zabawa, choć kusząca, odciągałyby mnie tylko od zadania.

No i nie przyjechałem dla ślicznych blondyneczek, tylko by wywalczyć sobie awans.

– Dzień dobry, towarzyszu kapitanie. – Blondyneczka z kokieteryjnym uśmiechem skinęła mi swoją śliczną główką.

Przełknąłem ślinę, zanim odpowiedziałem.

– Dzień dobry. – Chwilę się zawahałem, niepewny, jak się do niej zwrócić. – Kapitan Olgierd Kownacki, KBW. Przyjechałem z Warszawy, przydzielono mnie tutaj w wiadomej komendantowi sprawie. Chciałbym się teraz z nim widzieć, powinien znaleźć czas.

– Schodami na górę, gabinet jest w pierwszym pokoju na prawo. Na imię mi Marta. – Zawiesiła na chwilę głos, puściła oczko. – Kawy, kapitanie? Mamy taką prawdziwą.

Podziękowałem skinieniem głowy i ruszyłem schodami na piętro. Ściany komendy kiedyś pobielono wapnem, teraz znaczyły je zacieki i w paru miejscach pleśń. Brud.

Poza uroczą Martą na parterze nie widziałem nikogo, choć zza zamkniętych drzwi dobiegały podniesione głosy. Najwidoczniej lokalni milicjanci nie mieli ochoty się ze mną zapoznawać. Trudno, ich sprawa.

Korytarz na pierwszym piętrze przypominał ten z parteru, tylko zamiast ciemnym kamieniem podłogę wyłożono porysowaną klepką. Palily się jedynie dwie słabe żarówki pod sufitem, z trudem oświetlając klaustrofobiczny hol. Istotnie, na najbliższych drzwiach wisiała na jednym gwoździu drewniana tabliczka: „Komendant Leon Borowski”.

Biuro pułkownika mieściło się w gabinecie byłego właściciela kamienicy, przynajmniej tak to wyglądało. Niemiec, uciekając przed frontem i Armią Czerwoną, zostawił cały swój dobytek. Pod oknem stało duże biurko z mahoniem, z blatem poznaczonym śladami po papierosach. Na nim znajdował się złożony globus, bogato zdobiony. Jak zauważyłem, przedstawiał świat jeszcze sprzed

czasów pierwszej wielkiej wojny. Pod jedną ze ścian umieszczono masywne dębowe szafy, przeszklone barwionymi szybami. Wystroju wnętrza dopełniały portrety Stalina, Lenina i Bieruta. Dokładnie w tej kolejności.

Na chwilę zatrzymałem wzrok na oknie. Za szybą rozpościerała się panorama miasteczka, ale moją uwagę przyciągnęła stojąca w oddali na wzgórzu stara, zrujnowana katedra.

Za biurkiem, na wygodnym skórzanym fotelu, siedział komendant w rozchełstanej koszuli. Jego niebieski niegdyś mundur teraz szpeciły plamy od smaru. Mężczyzna bowiem czyścił rozłożoną na części pepeszę. Nalana twarz czerwieniła się pewnie od alkoholu, na co wskazywała otwarta butelka wódki i na w pół opróżniona szklanka. Regulaminowa czapka leżała na stercie akt przy nodze biurka.

– Siadajcie, towarzyszu, napijcie się czegoś? – Gestem wskazał mi drewniane krzesło przed biurkiem. Nie czekając nawet na odpowiedź, z szuflady wyjął nową, niezbyt czystą szklankę i hojnie ją napełnił. Trąciliśmy się i zapiekło mnie solidnie w gardle, wódka musiała być bardzo mocna. Po zapachu dobywającym się z ust gospodarza wnioskowałem, że butelka na biurku nie jest pierwszą tego dnia.

– Kapitan Olgierd Kownacki, pion dochodzeniowy KBW. Jestem tutaj, bo skierowano mnie z... – zacząłem wyjaśnienia, ale pułkownik przerwał mi nieskładnym ruchem ręki.

– Wiem, po co tu jesteście, towarzyszu, prawda. I wiem, kim towarzysz jest, prawda. – Mlasnął ustami, odsłaniając niepełny garnitur żółtych zębów. Otarł twarz rękawem i kontynuował, lekko bełkocząc: – Chodzi o tych bydlaków, psia ich mać. Kazałem Marcie przygotować akta, jest tam wszystko, co o nich wiadomo, ale niezbyt tego dużo. – Podsunął mi stertę poplamionych papierów.

– Dziękuję, towarzyszu. – Przekartkowałem arkusze.



– Darujcie już tego towarzysza, prawda, kapitanie. Od tego boli mnie głowa. Wszystko, co musicie wiedzieć, jest na tych kartkach, ale teraz czas na pana pytania, bo zapewne myśleliście sporo o tej sprawie, prawda? – Popatrzył jakby czujniej. Małe oczka zalśniły chytrze. Czyżby miał nadzieję, że od razu znajdę sprawców?

– Tak, pułkowniku. – W ostatniej chwili powstrzymałem cisnącego mi się na usta towarzysza. – Może zacznę od chronologii. Po pierwsze, te ataki wydają się dziwnie rozłożone w czasie. Z raportów słanych do Warszawy wynikało, że bandyci czasem cichną, a potem atakują ze zdwojoną siłą. Przez ostatni rok napaści było jednak zdecydowanie więcej. Waszego poprzednika przecież zastrzelono całkiem niedawno, prawda? – Oparłem łokcie o blat. Twarz mojego rozmówcy spąsowiała. Oho, drażliwy temat.

– Niestety, macie rację. Ja w tym mieście jestem dopiero, prawda, od trzech miesięcy. Olgierdzie mój drogi, wcześniej byłem daleko na zachodzie, dawne dzieje. Co nieco już jednak wiem od tych milicjantów, którzy jeszcze tu zostali – wybełkotał. Domyślałem się, że pije tak dużo ze strachu i stresu. Tymczasem komendant mówił dalej, ale ledwo rozumiałem jego słowa. – Po wojnie tu działała bardzo liczna partyzantka. Nie tylko polscy faszyci od londyńczyków, ale też Werwolf, uzbrojone bandy polujące na złoto i łupy w ponemieckich dworach, szmalcownicy. Nic dziwnego, mój drogi Olgierdzie, lasy są tu gęste, do tego stare hitlerowskie bunkry, mnóstwo dobrych kryjówek, choć o większości już wiemy. Niecały rok zajęło wojsku rozprawienie się ze szwabskimi oddziałami i uzbrojonymi złodziejami. Dłużej trzymali się partyzanci z Armii Krajowej, ale im obiecano amnestię w czterdziestym siódmym i większość się wtedy ujawniła. Po drodze jeszcze była oblawa augustowska i sporo bandytów trafiło do ziemi w lasach. Niektórych ważniejszych odesłano do Warszawy, na Rakowiecką. Ale ataki i terror po złapaniu tych partyzantów wcale nie ustały.

Przesłuchiwano tych akowców, zanim trafili do piachu, żaden z nich niczego nie wiedział. A przecież jakby któryś z nich miał ważne informacje, śledczy z NKWD by je wyciągnęli. Ci bandyci są, prawda, cholernie skuteczni, drogi Olgierdzie. Zabijają tylko tych, którzy mają związek z władzą, i nigdy nie zostawiają świadków. – Skończył przemowę i potarł tłustą dłonią skroń. Niemal natychmiast dołał sobie hojnie wódki.

– Co wiadomo o nowych mieszkańcach tego miasteczka, przesiedleńcach? Może oni mają związek z tymi atakami? Jacyś byli żołnierze kampanii wrześniowej albo nawróceni partyzanci? – zapytałem, chcąc odrzucić jedną z teorii błakających się po mojej głowie. Wydawało mi się bardzo prawdopodobne, że ci leśni bandyci mają jakiś związek z miejscową ludnością. Z drugiej jednak strony niektóre oddziały partyzanckie operowały na zupełnie przypadkowych terenach, szczególnie w przypadku ziem „odzyskanych”.

Komendant przecząco pokręcił głową.

– Tutaj przerzucono w całości mieszkańców jakiegoś miasteczka i okolicznych wsi z dawnych terenów Litwy. To było odcięte od świata miejsce, położone w głębi puszczy, bez elektryczności, wody. Skansen, prawda. Ci ludzie są bardzo hermetyczni w swoim środowisku, nieufni wobec obcych. Wiesz, Olgierdzie, że cała tutejsza milicja, jak i władze miasta są napływowe? Przesiedleńców w ogóle nie interesuje nasza Polska Ludowa. Tyle dobrego, że na szczęście się nie buntują, ale też nie wykazują najmniejszej inicjatywy socjalistycznej. Choć tutaj mam mały sukces, wasz szofer i ochroniarz, Janek, jest właśnie miejscowy. Zgłosił się na ochotnika do służby dwa miesiące temu, ale to dobry i sumienny chłopak. Co do pomysłu z byłymi żołnierzami, paru ludzi służyło w armii sanacyjnej, mamy ich na oku, ale jak do tej pory obserwacja nie przyniosła żadnych efektów. Inna sprawa, że tak naprawdę nie

wiadomo, ile osób przed wojną żyło na tamtych terenach, nie zachowały się żadne spisy ludności ani księgi kościelne. Ci ludzie przyszedli z takiej głuszy do cywilizacji, powinni być wdzięczni, na kolanach nam dziękować. Ech, taka robota. – Machnął zrezygnowany ręką.

– Zatem nie macie, pułkowniku, żadnego tropu? – zapytałem przygnębiony, pochylając się nad biurkiem. Od komendanta zaleciało przetrawionym bimbrem.

– Nawet nie ma punktu zaczepienia, prawda, Olgierdzie, a uwierz mi, że szukałem dobrze, prawda. Ataki są przeprowadzane z chirurgiczną wręcz precyzją, jak powiedziałby lekarz, zawsze poza miastem. Partyzanci nie zostawiają żadnych śladów, nie wiadomo nawet, czym się przemieszczają, autem, konno czy piechotą. Są jak duchy. Tak naprawdę to wiadomo jedynie, że mają psa. Pewnie tresowanego.

– Psa? Jak to? Skąd takie podejrzenia? – zdziwiłem się. Tego w raportach nie znalazłem.

– Wiele na to wskazuje. Choćby te rany kierowcy, mówię o ostatnim ataku – uściślił. – Gardło zostało przegryzione, lekarz z komendy powiatowej stwierdził, że mogło to zrobić jedynie większe zwierzę drapieżne, najprawdopodobniej szkolony pies.

– W takim razie w raporcie nie zostało to zaznaczone. Sądziłem, że takie rany zadano mu sztyletem albo odłamkiem szkła, tulipanem z butelki... – Zmarszczyłem czoło, zaskoczony.

– To na pewno obrażenia od kłów. Na początku sądziliśmy, że powstały po śmierci. W okolicy grasuje wiele dzikich zwierząt: wilków, lisów. Rozplenily się podczas wojny i teraz powoli je wybijamy. Lekarz zaznaczył jednak, że to rozszarpanie gardła było bezpośrednią przyczyną zgonu. – Komendant westchnął. Odchylił głowę na oparcie fotela i chwilę patrzył w sufit.

– Dziękuję za rozmowę, pułkowniku. – Wstałem. Nie sądziłem,

żebym dowiedział się teraz czegokolwiek nowego od pijanego oficera. Musiałem za to przemyśleć parę spraw, samotnie. – Pójdę na kwaterę, przejrzę te akta na spokojnie.

– Nie zatrzymuję, jedynie życzę powodzenia. Masz, chłopcze, najlepszy pokój w hotelu, to ten budynek po drugiej stronie rynku. Jasek jest do twojej dyspozycji, jeśli chciałbyś gdzieś pojechać, zwracaj się do niego. Wydaje mi się, że chłopak jest całkiem bystry. Oczywiście jak na miejscowego. – Dopił resztę wódki już prosto z butelki i wrócił do polerowania pepeszy. Mimo wypitego alkoholu jego ruchy były pewne, jak na frontowca przystało.

Wyszedłem tą samą drogą, którą dostałem się do środka. Marta z wyraźnym zawodem przyjęła mój brak zainteresowania jej osobą. Wydawała się niepokieszona, gdy obcesowo odrzuciłem zaproszenie na herbatę.

W holu poza nią spotkałem jeszcze dwóch milicjantów, barczystych chłopów w średnim wieku. Obaj mieli przepecone mundury, do tego kopcili najtańsze papierosy, aż dym szczypał w oczy. Zarechotali rubasznie, słysząc moją odmowę. Wychodząc, słyszałem, jak żartują niewybrednie z dziewczyny.

Przed komendą stał oparty o bok gazika mój szofer. Wpatrywał się w niewidoczny punkt gdzieś na niebie, zupełnie nie zwracając uwagi na chłodny wiatr, nieprzyjemnie chłostający twarz. Również spojrzałem w górę, zapadła bowiem noc, ale sam niczego nie dostrzegłem poza srebrnym księżycem.

Chrząknąłem cicho. Janek od razu wyprostował się, obciążając mundur na masywnej klatce piersiowej. Z tylnego siedzenia gaza wyciągnął moją walizkę. Przerzucił przez ramię pistolet maszynowy i ruszyliśmy w stronę hotelu. Milczałem, niezbyt chętny do rozmowy.

Droga zajęła nam chwilę i już staliśmy przed ciemną bryłą budynku. Jedynie w paru oknach paliły się blade światła. Hotel,

przejęty po niemieckim właścicielu, musiał być dawniej naprawdę luksusowy. Resztki przemijającej świetności wciąż było widać we wnętrzu.

Wysoki hol, recepcja z mahoniową ladą, sfatygowane fotele pokryte brązową skórą i puste miejsca na ścianach, gdzie kiedyś prawdopodobnie wisały obrazy. Jedyne schody prowadziły na piętra, zapewne do pokoi gościnnych, a restauracja mieściła się w dużej sali naprzeciw drzwi wejściowych.

Znudzony portier w wymiętym garniturze pobieżnie przejrzał moje dokumenty. Recepcjonista miał siwe włosy, zapadniętą twarz i trzęsące się ręce. Mundur nie zrobił na nim większego wrażenia, może dlatego, że starzec, podobnie jak i pułkownik, śmierdział wódką. Zachrypniętym głosem poinformował mnie, o której podaje się śniadanie i obiad, i przestrzegł, żebym uważał z ciepłą wodą, bo szybko się kończy. Wzruszyłem ramionami, zabrałem klucz i udałem się do pokoju na drugim piętrze.

Przydzielone mi pomieszczenie sprawiało równie smętne wrażenie jak reszta hotelu. Wszędzie pełno było kurzu i gęstych pajęczyn. W łazience stała emaliowana żeliwna wanna pokryta dziwnym nalotem. Lustro wiszące nad porcelanową, obtłuczoną umywalką było popękane, kawałki tafli spadły na podłogę.

Nie byłem przywiązany do wygod, ale cenilem czystość. Pokój umeblowano szerokim małżeńskim łóżem z kolumienkami i żółtą zasłoną przepaloną papierosem. Materac cuchnął stęchlizną. W rogu, pomiędzy ścianą a oknem, stał chyboczący się stół z dwoma krzesłami, każde z innego kompletu.

Rzuciłem walizkę na podłogę, kopnięciem posyłając ją pod łóżko, i otrzepawszy kurz z siedzenia, rozłożyłem akta na biurku. Brakowało mi kawy, kuchnia już nie działała, dlatego musiałem się zadowolić karafką z niezbyt świeżą wodą.

Przed sobą miałem opisane wszystkie ataki z zeszłego roku.

Kilkanaście osobnych raportów, każdy oznaczony datą i nazwiskami ofiar. Część wzbogacono o paskudne fotografie trupów. Przejrzałem pobieżnie akta. Wyglądało na to, że alkoholizm pułkownika przynajmniej częściowo był uzasadniony. Partyzanci regularnie mordowali zarówno prominentów partyjnych, jak i milicjantów. Poprzedni komendant zginął trzy miesiące temu, a wcześniejszy jakieś pięć miesięcy przed nim. Ta posada wydawała się wyrokiem śmierci.

Sposób egzekucji w każdym z przypadków był podobny. Wyjątkowo brutalny, wręcz sadystyczny. Ofiary wieszano na cienkiej linie, a potem strzelano w brzuch, po czym nieszczęśnik wykrwawiał się przez kolejną godzinę. Kilku denatów miało ścięte głowy – siekierą albo szablą, jak wynikało z opisu w dokumentacji. Przelknąłem ślinę. Jednemu z oficerów ucięto język i wylupiono oczy.

Ofiary bandytów nie zostały, bynajmniej, losowo wybrane. Z trudem musiałem przyznać, że w paru przypadkach tak naprawdę oddali przysługę społeczeństwu. Zlikwidowali między innymi burmistrza, który, jak się okazało, w czasie wojny kolaborował z nazistami. Powiesili też oficera Armii Czerwonej, sadystę odpowiedzialnego za masowe gwałty podczas wyzwania północnej Litwy. Akurat ta historia odbiła się szerokim echem w Warszawie, jednak nikt nie mógł przecież na własną rękę wymierzać chorej wersji sprawiedliwości, nawet takim kanaliom.

Uderzyła mnie zastanawiająca regularność tych napaści. Bandyci atakowali co trzy, cztery tygodnie, w seriach po dwie, czasem trzy zasadzki. Potem znikali, zupełnie jakby zapadali się pod ziemię. Wynikało z tego, że musieli mieć w lesie jakąś stałą kryjówkę.

Zanotowałem w pamięci to spostrzeżenie.

Przypomniałem sobie, że tresowane psy do walk mieli podczas ostatniej wojny Amerykanie, jak również Brytyjczycy. Rozmawiałem

na ten temat z jednym ze starszych oficerów, moim mentorem podczas szkolenia w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Według jego opowiadań takie psy potrafiły przegryzać tętnice. Były bardzo szybkie i całkowicie posłuszne treserowi. Uczono je odróżniać wrogów od własnych żołnierzy. Wyglądem nie różniły się od normalnych dużych psów – wilczurów czy większych mieszańców.

Zmęczony, potarłem skronie, mając nadzieję, że ten trop do czegoś mnie doprowadzi. Skoro używali ich Brytyjczycy, może w oddziale jest cichociemny? Mógł posiadać właśnie takie zwierzę z Anglii albo wytresował od szczeniaka na miejscu. Z drugiej strony ta banda nie mogła być liczna, a jej sposób działania wskazywał na doskonałą znajomość terenu. Poruszali się jak zjawy, zupełnie jakby spędzili w okolicznych lasach całe życie.

Napiłem się wody z niezbyt czystej szklanki. Coś jeszcze nie dawało mi spokoju, tak jakby czegoś było brak w leżących przede mną aktach. Czułem, że ucieka mi mały element, klucz do całej układanki, bez którego jest ona tylko zbiorem przypadkowych incydentów. Przetarłem zmęczone oczy, zgasilem światło i ruszyłem do łóżka. Czas był spać.

Następnego dnia zszedłem na śniadanie punktualnie o siódmej. Budziłem się sam, bez pomocy budzika. Lata spędzone w koszarach i surowa wojskowa dyscyplina skutecznie mnie zaprawiły.

W jadalni hotelowej przetrwało kilka stolików na krzyż, pośrodku obszernej, przeszklonej sali. Zaspana kelnerka podała mi coś, co w smaku przypominało rozmiękle trociny, i kanapki z mdłą szynką. Zmusiłem się do konsumpcji, popijając wszystko lurowatą kawą zbożową. Prawdziwa skończyła się wraz z amerykańskimi darami.

Po posiłku zabrałem z pokoju płaszcz i udałem się do portiera. Starszy mężczyzna chyba nie ruszył się od wieczora ze swojego miejsca, nadal miał na sobie poplamiony garnitur, tylko teraz woniał

jeszcze silniej gorzelnią. Z krótkiej rozmowy wywnioskowałem, że jest kimś w rodzaju kierownika tego miejsca. Nie był tutejszy, przyjechał rok temu z okolic Krakowa, bo zawsze chciał mieszkać na północy. Przeniesienie do N. traktował jako swoisty awans. Recepcjonista był przy tym odludkiem, nie przyjaźnił się z nikim ani nie miał żadnych specjalnych zainteresowań. Cały wolny czas poświęcał hotelowi i butelce. Wyglądało na to, że każdy tutaj pije.

Poza kierownikiem do załogi należeli pokojówka, kelnerka i kucharka oraz stróż nocny, pełniący też obowiązki dozorca. Wywodzili się z miasteczka, ale ze starszym mężczyzną utrzymywali relacje jedynie służbowe, więc nic o nich nie wiedział.

Gości było tutaj niewielu. Ot, inżynier z kombinatu z miasta powiatowego, zajmujący się nadzorem nad świeżo zaczętych budowlami, i przedstawiciel centralnych władz partii z rudowością sekretarką. Ci ostatni mieli wspólny pokój, z którego rzadko wychodzili, chyba że po alkohole i zakąski.

Nie byłem zbyt zdziwiony, zdarzało się bowiem, że żonaci mężczyźni na wysokich stanowiskach organizowali sobie od czasu do czasu takie wycieczki. Z drugiej strony prominentny działacz partii mógł być łakomym kąskiem dla bandytów z lasu. Warto na niego zwrócić uwagę.

Nie dowiedziałem się niczego ciekawego, wyszedłem na poranny spacer, aby przemyśleć jeszcze raz wszystko, co miałem w głowie. Jak wczoraj, ciemne chmury zasnuwały słońce, wiatr hulał liśćmi po pustym o tej porze rynku. Zanosilo się na deszcz, może nawet na burzę.

Przed hotelem, w szoferce zaparkowanej terenówki czekał na mnie znajomy już blondyn. Pepeszę położył na kolanach i bębnił palcami po kierownicy. Zdziwiłem się, gdyż nie sądziłem, że wstanie tak wcześnie, ale przywitałem go machnięciem dłoni.

Wyjaśniłem Jankowi, że mam zamiar przejść się nad jezioro i



chwilowo nie potrzebuję jego towarzystwa. Poleciałem mu tylko, żeby po południu czekał pod komendą, bo będę chciał zbadać miejsce ostatniego ataku. Młodzian energicznie zasalutował i zatrzasnął ubłocone drzwiczki. Zostawiłem go i ruszyłem w dal.

Jezioro znajdowało się po przeciwnej stronie N. niż stacja kolejowa. Długa rynna akwenu przylegała brzegiem do wschodniego krańca miasteczka. Jak się zorientowałem, kiedyś okoliczni mieszkańcy, jeszcze za czasów pruskich junkrów, utrzymywali się głównie z rybołówstwa.

Szedłem wolnym krokiem, stawiając opór silnemu wiatrowi. Rozglądałem się po okolicy. W oddali rysował się jeden z dwóch kościołów miasteczka – położona na małym wzgórzu zniszczona katedra.

Wysoka, szeroka w podstawie wieża, poszatkowana pociskami, dni świetności miała za sobą. Reszta murów budowli ziała wyrwami, popękane witraże straciły większość kolorowych szybek. Całość wyglądała jak powalony potwór, śmiertelnie ranny, choć wciąż groźny. Nie byłem wierzący, ale zrobiło mi się dziwnie zimno, gdy przechodziłem koło murów świątyni.

Zastanawiała mnie jedna rzecz: mianowicie gdzie podzieli się mieszkańcy miasta? Brakowało mi normalnego dla Warszawy, Łodzi czy Poznania gwaru. Czuję się nieswojo, przemykając pustymi ulicami, na których z rzadka widziałem pojedyncze sylwetki przygarbionych, szarych ludzi. Szczury. Ogarnął mnie niewytłumaczalny strach. Na dodatek moja układanka myśli, zamiast się powoli klarować, wydawała się coraz bardziej zagmatwana.

Dotarłem na brzeg ołowianoszarego jeziora. Kształtem przypominało wąski prostokąt, wciśnięty między gęste lasy. Bagniste z tej strony dojście do wody porastała wysoka trzcina, o tej porze roku już gnijąca. Poza przystanią w N. była jeszcze jedna

stanica, daleko na północy, w jednej z okolicznych wiosek.

Kawałek brzegu od strony miasteczka wybetonowano, tworząc tu mały port rybacki z drewnianym pomostem. Przycumowane doń łódki smętnie kołysały się na wodzie, pełne brudnego szlamu na dnie. Dalej z szarej tafli wystawały butwiejące maszty zatopionych żaglówek. Za parę lat, gdy sytuacja się unormuje, miasto oczyści dno i N. stanie się popularną miejscowością wakacyjną – przynajmniej słyszałem o takich planach.

Usiadłem na jedynej ławce na nabrzeżu i zapaliłem papierosa. Po drugiej stronie jeziora, otoczone gęstym lasem, stały ruiny pałacu grafa, dawnego właściciela okolicy. Dwukondygnacyjny budynek otynkowany niegdyś na szaro chylił się ku ostatecznemu upadkowi. Puste okna przypominały oczodoły czaszki, wnęki pełne były gnijących desek. Wzdrygnąłem się, okolica zaczynała mnie przerażać. Zagłębiłem się w rozważania na temat kruchości ludzkiego życia.

Myślałem o partyzantach, żołnierzach przegranej już przecież sprawy. Nie mieli realnych szans na zwycięstwo ani odmianę układu sił, a jednak walczyli i zabijali, siejąc terror w tej dziwnej okolicy. Jaki mógł być cel ich zmagañ? Po prostu godna śmierć, czy może rzeczywiście wierzyli w to, że trzecia wojna rozpocznie się wkrótce? Na te pytania nie mogłem, niestety, znaleźć odpowiedzi.

Zaciągając się głęboko wonnym dymem, uświadomiłem sobie, co wczoraj nie pasowało mi w raportach z ataków bandy. Kiedy badałem podobne sprawy w archiwum na Rakowieckiej, zawsze były informacje o rabunkach na okolicznej ludności, prawdziwe bądź fałszywe. Oddział taki jak ten potrzebował zapasów i musiał je pozyskiwać od okolicznych mieszkańców. Cywile zobowiązani byli o takich atakach donosić. Często robili to ze strachu przed milicją, podczas gdy sami po cichu wspomagali bandytów. Nawet takie zeznania pomagały ustalić przybliżoną wielkość oddziału czy lokację

bazy wypadowej. Tutaj jednak brak było jakichkolwiek doniesień o wymuszeniach czy kradzieżach.

Owszem, okoliczni mieszkańcy zgłaszali normalne straty – zwykle znikały kury, czasem krowę rozszarpały im wilki, ale na takich terenach zdarzało się to dość często. W końcu lasy były pełne drapieżników niebojących się już ludzi, wojna stępiła ich odwieczny strach. Natomiast brakowało właśnie rabunków czy kradzieży. Miejsce wydawało się zbyt... zbyt spokojne?

Zaczęło się, pierwsze krople zimnego deszczu uderzyły o ołowianą taflę wody. Postawiłem kołnierz i szybkim krokiem ruszyłem na komendę. Mogłem mieć trop, a należało się śpieszyć, od ostatniego ataku mijały właśnie trzy tygodnie.

Znalazłem się z powrotem w biurze komendanta. Pułkownik sprawiał wrażenie, jakby nie ruszył się z miejsca od czasu naszego ostatniego spotkania nawet o centymetr. Siedział w swoim wygodnym fotelu, popijając znów z kieliszka przejrzystą ciecz. Nie dziwiłem się mu specjalnie, wiedziałem, jak kończyli jego poprzednicy. Tutaj miał większe szanse przeżycia niż w terenie.

Ostrożnie zająłem miejsce na chwiejnym krześle i pokrótce zreferowałem mu swoje przemyślenia. Ciężko westchnął, rozlewając mechanicznym ruchem wódkę do dwóch szklanek, i zaczął swą opowieść.

– Wpadłeś dokładnie na ten sam trop, co i niegdyś ja, Olgierdzie. Zacząłem właśnie od przesłuchania mieszkańców pobliskich wsi. Nic to nie dało, żaden z nich nie przyznał się do pomagania bandytom. Zostawiłem więc tam zwiadowców, mieli przyglądać się uważnie okolicy. Niczego nie zauważyli. Ci ludzie są czyści, nie pomagają partyzantom. Co więcej, mimo dokładnego przeczesywania lasów nie udało nam się odnaleźć żadnej kryjówki faszystów. Do teraz nie wiemy nawet, ile osób liczy ten oddział. – Zamilkł na moment, popijając łączywie ze szklanki. – Mam sprawę.

Dziś przyjeżdża do N. generał Suworow. Jego macierzysta jednostka w przyszłości ma stacjonować w okolicy i chce osobiście wybrać miejsce pod budowę bazy. Zatrzyma się oczywiście w waszym hotelu, więc chciałbym, żebyś miał na niego czujne oko, Olgierdzie. – Westchnął. I zaraz przypomniał sobie o kolejnym problemie. – Wszyscy milicjanci mają broń automatyczną, prawda, jednak nie dostaniemy żadnego wsparcia z komendy wojewódzkiej, nawet w razie nagłej konieczności. Podobno im też brakuje ludzi. Jesteśmy skazani na siebie. – Smętnie pokręcił głową, po czym podsunął mi leżącą na stole pepeszę. – Może chcesz ją pożyczyć? Zawsze to lepsze niż pistolet, prawda.

Odmówiłem. Miałem swoją broń, nową tetetkę, i nie uśmiechało mi się nosić tego żelastwa. Wolałem polegać na swoim intelekcie niż na brutalnej sile ognia. Zresztą z tego, co pamiętałem, żaden gnat zbytnio nie pomógł w starciu z partyzantami. Pożegnałem się z pułkownikiem i w naprawdę podłym nastroju wyszedłem na rynek, odprowadzany powłóczytym spojrzeniem Marty. Nieodwzajemnionym, oczywiście.

Deszcz wciąż mżył. Małe, ostre kropelki wpadały za kołnierz, nieprzyjemnie ziębiąc kark. Zastanawiała mnie jeszcze jedna rzecz, ale nie chciało mi się wracać do dusznego wnętrza kamienicy. Moje myśli zaprzętał kolejny problem.

Nie odnaleziono żadnych ciał akowców ani postrzelonych, a przecież ofiary bandytów musiały się bronić. Zatem zapewne w oddziale w lesie są ranni, a więc gdzieś tam wśród drzew musi być punkt medyczny, bo raczej nie dobijaliby własnych ludzi.

Od czasów obławy augustowskiej nie było tak ciekawej sprawy, westchnąłem.

Wolno ruszyłem wzdłuż kamienic ustawionych rzędem przy rynku, patrząc po szyldach. Szukałem sklepu mięsnego, jeszcze jedna rzecz bowiem nie dawała mi spokoju.

Pchnąłem odrapane drzwi i wszedłem do środka. Wnętrze oświetlała przydymiona żarówka zwisająca na kablu z sufitu. Haki były puste. Jedyna osoba w sklepie, sprzedawca, grubawy mężczyzna w poplamionym fartuchu, siedział na krześle w rogu pomieszczenia. Na mój widok wstał, odkładając na bok gazetę, wytarł nerwowym gestem ręce o koszulę. Już z daleka wyglądał na przestraszonego.

– Dzień dobry, obywatelu majorze – powitał mnie ze śpiewnym, kresowym akcentem. Zawyżył moją szarżę specjalnie, widziałem to po jego oczach. – Czym mogę służyć? Mięso się skończyło. – Rozłożył bezradnie dłonie.

– Dzień dobry. – Uśmiechnąłem się, wkładając czapkę pod pachę. – Mam do was, obywatelu, pytanie. Zapewne lepiej orientujecie się w okolicy niż ja, prawda?

– Raczej. To oczywiste. – Skinął głową.

– Doskonale się składa. Dziś w nocy obudziło mnie szczekanie, ujadł jakiś wielki pies. Nie wiecie, kto z mieszkańców ma takie zwierzę? To musiała być potężna bestia – zblefowałem.

– To niemożliwe. Musiało się coś obywatelowi majorowi przyśnić. Tu nikt nie ma psa. – Jego twarz przybrała kredowy odcień, nerwowo miętosił róg fartucha. – Ani w mieście, ani w okolicznych wsiach. Nigdy nie było takich zwierząt u nas. Nigdy.

– Nie? A komu oddajecie resztki z tuszy? Kości? – Powiodłem wzrokiem po pustych półkach.

– Takie czasy, że ludzie wszystko zjedzą, ciężko tu jest – odparł i nagle dodał ostrzej: – Nawet kości się na zupę wygotuje, wszystko się przyda. A psów nie ma u nas... I nigdy nie było. Mówię, musiało się majorowi przyśnić.

Przerwałem tę bezcelową rozmowę. Sprzedawca wyraźnie coś ukrywał, a ja nie mogłem dojść, co takiego. W jednym miał rację, blefowałem z psem w nocy. Gdy się lepiej zastanowiłem, w całym miasteczku ani razu nie słyszałem szczekania czy jazgotu kundli. Ta

cisza była dziwna. Niestety, nie mogłem zaciągnąć rzeźnika na komendę i siłą wymusić prawdy. Na razie nie miałem żadnych mocnych przesłanek, ale rzeźnik wyraźnie unikał rozmowy.

Niebawem znalazłem się w swoim pokoju hotelowym. Było w nim dość chłodno i choć zdecydowanie cieplej niż na dworze, to jednak grzejnik był zimny jak grobowiec. Podenerwowany usiadłem za biurkiem, ze złością miętosząc w dłoni pióro. Wyciągnąłem z kieszeni paczkę papierosów.

Starłem się uspokoić gonitwę myśli pod czaszką. Po pierwsze, człowiek w sklepie mięsny na pewno kłamał. Brak psów w mieście i okolicy wciąż wydawał mi się podejrzany. Z tego, co pamiętałem z innych śledztw, takim miejscom jak N. powinien towarzyszyć warkot i jazgot kundli. Ludzie zawsze dbali o swój dobytek, a hałaśliwe zwierzęta domowe wydatnie w tym pomagały. Tu, w miasteczku, jednak towarzyszyła mi cisza.

Nie miałem żadnego nowego pomysłu, więc sięgnąłem do torby po szmatkę i smar do czyszczenia broni. Rozebrałem na części tetetkę i dokładnie oliwiłem każdą część. Zajęcie rąk mechaniczną pracą pomagało mi w myśleniu.

Załóżmy na moment, że ci partyzanci nie są tutaj na stałe zaczepieni, bo przecież komendant twierdził, że jego ludzie nie byli w stanie znaleźć jakiegokolwiek śladu kryjówki. Przebiegło mi przez głowę, że skoro bandyci pokazują się jedynie raz na kilka tygodni w N., to mogą przy okazji pojawiać się w innych miejscach. Powiedzmy, kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów stąd. Teraz pozostało tylko sprawdzić moją hipotezę u pułkownika.

Za oknem od dawna panowały już ciemności, kiedy skończyłem po raz wtóry składać pistolet. Z trzaskiem załadowałem magazynek. Westchnąłem ciężko i ruszyłem w stronę drzwi, po drodze zgarniając z wieszaka czapkę.

Pogoda nie rozpieszczała, było zimno, wręcz mroźno, kiedy

otulony ciepłym płaszczem wędrowałem na komendę. Już z daleka dało się zauważyć gorączkową krzątanicę przed budynkiem milicji. Postacie w żołnierskich zielonych płaszczach i niebieskich czapkach kręciły się wokół odpalonych maszyn. Jeden z milicjantów przykręcał właśnie śrubami karabin maszynowy do obrotowej podstawy na ciężarówce. Od razu też rzuciła mi się w oczy krępa sylwetka pułkownika, który zarządzał całą operacją.

– O, jesteś już, Olgierdzie, prawda. To nawet dobrze się składa – ucieszył się na mój widok. Tłuste palce zaciskał na kolbie wypolerowanej pepeszy. – Właśnie miałem kogoś po was posłać.

– Co się takiego stało, że chcecie mnie widzieć? – zdziwiłem się szczerze. – Przyszedłem do was w pewnej sprawie. Ja...

Milicjant tylko machnął ręką.

– Generał Suworow miał przyjechać dwie godziny temu do N. – warknął, a jego nalana twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Ale go nie ma. – Kiwnąłem ze zrozumieniem głową. Wszystko jasne... Zaraz też zafrasowałem się, bo coś przyszło mi do głowy. – Chyba, pułkowniku, nie sądzicie, że... – Przelknąłem ślinę. W mej głowie pojawiło się paskudne podejrzenie.

– To akurat się okaże, bo teraz będziemy go szukać. Wsiądziecie ze mną – dodał lekko bełkotliwie i pokazał na przykrytą brezentową plandeką pakę gaza. – Zapraszam do środka, nie mamy czasu.

Janek, siedzący za kierownicą zdezelowanej terenówki, ruszył ze zgrzytem piłowanego silnika. Biegi nie były zsynchronizowane, więc każdy wchodził ciężko, skrzypiąc i trzeszcząc. Cielsko pułkownika wciskało mnie w nitowaną karoserię, bo tylna kanapa łazika nie oferowała zbyt dużo miejsca. Czułem smród przepoconego ubrania i przetrawionego alkoholu.

Auta uformowały niewielki konwój. Pierwszy jechał łazik bez plandeki, ale za to z dodatkową parą reflektorów na metalowej ramie. Czwórka milicjantów dzierżyła radzieckie automaty. Zaraz

za nimi znalazł się nasz gaz, dalej ciężarówka ze szperaczem i ciężkim karabinem maszynowym na obrotnicy. Kolumnę zamykała trzecia terenówka.

Wzdrygnąłem się. Auto jechało dość szybko i przez liczne szpary w brezencie wpadał wiatr. Nagrzewnica nie działała poprawnie, więc dłonie kostniały mi z zimna. Pocierałem je i chuchałem, ale niewiele to pomagało.

– Komendancie, wydaje mi się, że... – zacząłem, odchrząkując w pięść. – Mam kolejny trop. Potrzebowałbym tylko dostępu do pewnych informacji.

– Kolejny genialny ślad, co? – wysyczał, ale skinął od razu głową. Machnął dłonią, jakby opędzał się od muchy. – Mów w takim razie dalej, chłopcze. Co takiego wymyśliłeś?

– Przyszło mi do głowy, że skoro ci bandyci pojawiają się rzadko w tych okolicach – wypuściłem ze świstem powietrze – to jest wielce prawdopodobne, że operują też w innych miejscach. Działając z doskoku, mogą mieć więcej swobody niż uwiązany do miejsca oddział.

– Przez chwilę łudziłem się, że trafiłeś na coś naprawdę ciekawego, Olgierdzie, a to znowu ślepy zaułek. – Zmarszczył brwi. – Wydaje mi się, że już wspominałem wcześniej, to jest ostatnia banda na terenie naszego województwa. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów, poza tym nieszczęsnym miasteczkiem, nie było żadnych ataków od ponad roku. Z Werwolfem uporano się w kilka miesięcy po wojnie, AK zlikwidowano podczas obławy augustowskiej. Tylko nasi terroryści się trzymają.

– A modus operandi? Nigdzie nie wypłynęła ich broń? Napady, wymuszenia, cokolwiek? – nie dawałem za wygraną, ale komendant westchnął ciężko.

– Charakterystyczne są tylko te morderstwa tutaj, w N. Co do śladów, tropów, po uzbrojeniu partyzantów – rozłożył bezradnie



ręce – na nic szczególnego nie trafiłem, a prawda, wierz mi, sprawdzałem nawet morderstwa w mieście wojewódzkim. Łuski, które znajdowaliśmy, są od zwykłej broni, jakiej pełno w okolicy. Niemieckie i nasze pistolety maszynowe czy ta ichnia broń z amerykańskich i brytyjskich zrzutów. Nic niezwykłego. Zresztą tych łusek też tak znowu dużo nie ma, oszczędni są bardzo.

Pokręciłem głową. Łazik zatrzymał się gwałtownie, a ja usłyszałem głośnie przekleństwo siedzącego z przodu milicjanta. Stanęliśmy na środku drogi, obsadzonej wysokimi drzewami.

Nie powiem, że nie miałem złych przeczuć, ale i tak to, na co trafiliśmy, zaskoczyło mnie kompletnie. Wciągnąłem ze świstem zimne powietrze, przypatrując się milczącej scenie. Mimo wszystko nie sądziłem, że leśni ludzie mogą być aż tak... skuteczni.

Konwój, którym podróżował przedstawiciel Armii Czerwonej, wpadł bowiem w pułapkę. Generał nie jechał sam, ale w dość dobrze zorganizowanej kolumnie pojazdów. Ponieważ nasi obywatele, a szczególnie przesiedleńcy z Kresów, wciąż jeszcze niezbyt chętnie zgadzali się na obecność przyjaciół ze Związku Radzieckiego, miał silną eskortę.

Dlatego najpierw natknęliśmy się na potrzaskany wrak amerykańskiego willysa. Łazik musiał wjechać na minę, jego szczątki zalegały na całej szerokości drogi. Za kierownicą wciąż siedział spalony szkielet szofera. Kilka ciał w zielonych uniformach leżało rozrzuconych po drodze, wszystkie miały przegryzione gardła. Gęste plamy krwi szpeciły żwir.

Ciemnoszara limuzyna Forda, ekskluzywny, lekko opancerzony samochód dostarczony w ramach pomocy przez Amerykańców, została poszarpana pociskami. Długą maskę znaczyły szerokie przestrzeleny. Partyzanci musieli mieć rusznicę przeciwpancerną albo ciężki karabin maszynowy, bo tak właśnie wyglądały dziury po kulach. W środku auta brakowało kierowcy, jak i pasażerów.

Znaleźliśmy ich później.

Ostatnim pojazdem konwoju był ciężki amerykański transporter półgąsienicowy, uzbrojony w kulomiot Maxima. Na osmalonych burtach widniały starannie wymalowane czerwone gwiazdy. Maszyna została spalona, najpewniej niemieckim panzerfaustem, bo na boku widniała olbrzymia dziura wlotowa. W nosie kręciło od smrodu pieczonego ludzkiego mięsa.

Nie to jednak było najgorsze w całej tej scenie. W mocnym świetle szperacza ciężarówki widać było ułożone w rowie korpusy. Siwowłosego generała, jego adiutanta i szofera zostali brutalnie wyciągnięci z limuzyny. Głowy zostały odcięte i teraz nabite na gałęzie sterczały z ziemi, patrząc szklistymi oczami na pobojozisko.

Rozejrzałem się. Przykucnąłem przy trupach obsady jeepa. Nigdzie nie widziałem łusek. Pepesza pierwszego z brzegu żołnierza miała pełen magazynek. Oni się nawet nie bronili – uświadomiłem to sobie ze strachem. Dlaczego?

Jeden łazik i ciężarówka zostały na miejscu, a ja wsiałem z Jankiem do niewygodnego gaza. Chłopak wyglądał na przejętego, nie dziwiłem mu się, sam przecież byłem równie przerażony, a dużo w życiu widziałem. Za to na twarzy pułkownika odmalowała się czysta rezygnacja.

Jeśli nawet nie dopadną go partyzanci, jego dni i tak są policzone, pomyślałem. Miałem pewność, że jego zwierzchnicy nie darują mu dopuszczenia do morderstwa radzieckiego generała.

Droga powrotna do miasteczka zajęła nam nieco ponad kwadrans. Reflektory łazika wyciągały z ciemności zarastające pobocza bezlistne krzaki. Samochód skrzypiał na każdym zakręcie, podskakując na nierównościach. Może mi się wydawało, ale miałem wrażenie, że z ciemności patrzą na mnie oczy. Każde drzewo wydawało się postacią partyzanta. Zadrzałem.

Długo nie mogłem zasnąć. Leżąc pod cienką kołdrą, wciąż

widziałem ostatnie ofiary. Rozmyślałem nad tym, kim mogą być ci bandyci. Dlaczego wciąż nie mogą pogodzić się z nową władzą? Brakowało mi jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

Następnego dnia wstałem wcześniej. Głowa bolała po prawie nieprzespanej nocy, ale miałem kilka rzeczy do zrobienia. Umówiłem się wczoraj na dziewiątą z moim szoferem. Chciałem udać się na miejsca poprzednich zasadzek, zobaczyć, czy tam czegoś nie przeoczono.

Wszystkie wyglądały podobnie. Partyzanci wybierali odosobnione leśne polany, gdzie można było dotrzeć wąskimi leśnymi ścieżkami, w większości teraz przykrytymi opadłymi liśćmi. Nie znalazłem już żadnych łusek ani śladów, dlatego zniechęcony kazałem zawieźć się z powrotem do hotelu.

Do późnego wieczora siedziałem w swoim pokoju. Na pustej kartce rysowałem machinalnie wzorki i szlaczki, próbując zająć czymś ręce. W końcu wyszedłem zapalić, z nadzieją, że zimne powietrze i dym papierosowy pomogą mi uspokoić myśli. Zamyślony, wolno spacerowałem wzdłuż opustoszałego ryneczku. Wciąż widziałem, równie wyraźnie jak wczoraj, głowy zatknięte na palikach.

Pogrążony w niewesołych rozważaniach, wpadłem na Janka. Szedł niepewnym krokiem w moją stronę, wyglądał na zdenerwowanego. W drżących dłoniach miętosił swoją niebieską czapkę.

– Obywatelu kapitanie... Wydaje mi się, że musi p-pan coś zobaczyć – zaczął, jękając się i zacinając z podekscytowania. – To nie w miasteczku, ale...

– Co się stało? Coś odkryłeś, chłopcze? Może pojedziemy tam jutro?  
– Nie uśmiechała mi się wycieczka, szczególnie że było już ciemno. Nie jadłem nic od śniadania, a cały dzień spędzony na wyczerpujących poszukiwaniach dał mi się we znaki.

– Nie, kapitanie. To całkiem blisko, w lesie za miastem. Wydaje mi się, że to jakiś ślad po tych partyzantach, obozowisko. Woląłem

najpierw was powiadomić, a nie komendę – wydyszał jednym tchem, zaciskając dłonie. – Chyba trzeba się śpieszyć. Trafiłem na to całkiem przypadkiem, przed momentem.

Zastanowiłem się. Może Janek rzeczywiście odkrył coś istotnego? Wtedy musiałbym sam sprawdzić to znalezisko, przed powiadomieniem pułkownika. Chłopak na pewno dobrze znał okoliczne dróżki, co tłumaczyłoby błoto na jego terenówce.

Z drugiej jednak strony przełom w śledztwie w takiej chwili? Graniczyłoby to z cudem. Na pewno nie mogłem odciągnąć nikogo z komendy, miasteczko i tak było praktycznie bezbronne, a wczorajszy atak...

Podjąłem więc decyzję i błyskawicznie wskoczyłem na siedzenie gaza. Poklepałem wypchaną kaburę. Znajomy ciężar wcale nie działał uspokajająco, po wczorajszej nocy niczego nie mogłem być pewny. W końcu tamci bestialsko zamordowani żołnierze też mieli broń. I na wiele im się nie zdała.

Janek ruszył gwałtownie, pepeszę trzymał swoim zwyczajem na kolanach. Latarnie uliczne wciąż się nie paliły, i tylko światła terenówki wydobywały z ciemności brudne miasto. Zaciskałem zęby, trzymając się fotela, kiedy mój szofer wjechał w wąską żwirową drogę prowadzącą w las. Wczoraj jechaliśmy chyba w drugą stronę, przemknęło mi przez głowę.

Po paru minutach skręciliśmy w przesiekę, dwie koleiny pomiędzy drzewami. Chłopak prowadził skupiony. W końcu zatrzymał się przy rozłożystym świerku. Gestem pokazał mi, bym milczał.

Wysiadłem prosto w chłodne objęcia nocy. Pierwszy raz w życiu poczułem się naprawdę nieswojo, wręcz obco i nienaturalnie, nie na miejscu. Dookoła panowała grobowa cisza, tylko wiatr ruszał delikatnie gałązkami drzew. Nie mogłem nawet zapalić papierosa, ogień zapalniczki mógłby mnie zdradzić.

Po ciemku ruszyłem za moim przewodnikiem. Ten z suchym

trzaskiem odbezpieczył automat i gestem wskazał ledwo widoczny szlak prowadzący dalej w las. Szedł szybko, lewą dłonią rozcierając krzaki. W mdłym świetle pełnego księżyca ledwo widziałem jego plecy. Ma cholernie dobrą kondycję, pomyślałem, z trudem nadążając.

W końcu dotarliśmy do celu. Na małą polanę, z grubsza dziesięć metrów na dwadzieścia, otoczoną wysokimi, bezlistnymi drzewami. Pośrodku na uschłej trawie leżały ułożone w kupkę kamienie, tworząc prowizoryczne palenisko. Na przeciwległym krańcu polany, skąpane w słabym świetle księżyca, stały dwa małe szałasowe zrobione z gałęzi i brezentowych pałatek. Na jednym z drzew wisały jakieś tobołki, może rzeczy osobiste partyzantów. Zaczęło mżyć, z każdą chwilą coraz mocniej padało.

Nic dziwnego, że nie można było znaleźć akowców, skoro tak dobrze się maskowali. Byłem pełen podziwu dla mojego przewodnika, to miejsce nie było łatwe do wytropienia. Odwróciłem się do chłopaka i zakomenderowałem:

– Jedź do miasta, po komendanta. Natychmiast. Przywieź go tutaj, niech weźmie, kogo mu się uda dostać, i tyle ciężkiej broni, ile jest w magazynie. Dopilnuję, żebyś za to dostał medal. – Mrugnąłem. Chłopak zasalutował i zniknął w gęstwinie.

Wyjąłem z kabury tetetkę. Zimny pistolet przyjemnie zaciążył mi w dłoni, choć w części uspokajając nerwy. Szybkimi krokami, chłostany deszczem, przekroczyłem polankę i schowałem się pod jednym z drzew. Bezlistne gałęzie nie dawały żadnej ochrony, stałem tam oblewany strugami lodowatej wody. Dłonie zaczęły mi kostnieć.

Rozejrzałem się po obozowisku, wypatrując jakichkolwiek szczegółów mogących zdradzić liczebność partyzantów. Nie dostrzegłem żadnych płaszczy – wyglądało na to, że oddział jest na akcji. Przykucnąłem przy jednym z szałasów. Wydawał się dziwnie

mały, jakby zrobiony dla dzieci, a nie dla dorosłych mężczyzn. Faktycznie musieli mieć psa, bo przed schronieniem leżała obgryziona z mięsa kość, równo przecięta w pół. Wyraźnie rysowały się na niej ślady zębów. Zastanawiałem się, czy bandyci kłusują, a jeśli tak, to czemu oddają najlepsze kawałki mięsa swojemu zwierzakowi, gdy usłyszałem głuchy, gardłowy warkot.

Odwróciłem się i przypadłem natychmiast plecami do drzewa, czując, jak zimny pot spływa mi po czole. Widać nie tylko mnie skusiły resztki po akowcach, na polanę weszły bowiem wilki, największe, jakie w życiu widziałem. Cała wataha. Lśniące w świetle księżycy czarno-szare futra posklejane były od deszczu. Nie bały się mnie, okrążyły półkolem, wpatrując się przenikliwie czerwonymi ślepiami. Ze strachu nie mogłem policzyć dokładnie, ale było ich przynajmniej tuzin. Na przedzie kroczył ponury basior, przywódca watahy, z wylupionym okiem i grubą szramą z boku pyska. Za nim stał jeszcze większy, przeraźliwie chudy wilk, w jego lewej łapie zamiast dwóch pazurów ziała wyrwa.

Drżącą dłonią strzeliłem ostrzegawczo w powietrze, ale nic to nie dało. Warkot nasilił się, z pysków ciekła gęsta ślina. Dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Wilki wyglądały strasznie, niektórym brakowało uszu, pazurów, w wielu miejscach sierść była poprzepalana, długie szramy i niezagojone rany krwawiły przy każdym ruchu.

Przelknąłem ślinę, paraliżował mnie strach. Drżąc, celowałem w pysk basiora, gdy zobaczyłem kolejny niewyraźny kształt na końcu polany. Z ciemności wyszedł Janek, trzymając gotową do strzału pepeszę.

– Zastrzel je, już! Nie ma czasu! – krzyknąłem, ale chłopak tylko uśmiechnął się drwiąco. Zabezpieczył automat, oparł o nogę i zapalił papierosa, zasłaniając go dłonią od deszczu. Zmroziło mnie. Więc on był w zмовie z bandytami... Teraz zaczynało to nabierać sensu,

był ich wtyką na komendzie. A ja sam pozwoliłem zaciągnąć się na własną egzekucję.

Zamrugalem, przekonany, że mam omamy. W miejscu, gdzie przed momentem stały wilki, teraz widziałem w niewyraźnym świetle księżyca żołnierzy w mundurach sanacyjnej piechoty. Na przedzie, tam gdzie wcześniej stał jednooki basior, teraz znalazł się oficer z naszywkami majora. Pod rogatywką z orzełkiem w koronie, w miejscu, gdzie basior miał wylupione oko, twarz przepasywał kiedyś biały, teraz brudny od krwi i ropy bandaż. Za nimi stali inni żołnierze, trzymający w dłoniach niemieckie, amerykańskie i radzieckie automaty. Za ich pasami tkwiły granaty trzonkowe i parabelki. Większość miała kawaleryjskie szable. Olbrzymi sierżant z ciężkim karabinem maszynowym, stojący za dowódcą, uśmiechnął się paskudnie, celując w mój brzuch. Jego kurtka nie miała jednego rękawa, w miejscu dwóch palców lewej dłoni ziała krwista dziura. Poczulem, jak się moczę, ciepła strużka spłynęła po moim udzie. Wypuściłem z dłoni pistolet, drżąc niczym osika.

Major wyjął z kabury błyszczącego visa i z trzaskiem go zarepetował. Nie śpiesząc się, szedł w moją stronę, recytując gardłowym, przypominającym skowyt, jakby dawno nieużywanym głosem:

– W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, za współpracę z okupantem i zdradę, mocą mi nadaną skazuję cię na karę śmierci.

A potem był huk...

## NOC NA DUŻEJ ZIEMI

### Bartek Biedrzycki



No, dziękuję ci, Michaile Markowiczu. – Wyciągam rękę i ściskam prawicę mojego towarzysza. – Dobrej Zony tobie – mówię na pożegnanie.

Oddaje uścisk – mocno, po męsku. Uśmiecha się nieznacznie.

– A i tobie nie chorować – mówi i odwraca się do mnie plecami. Ukośne promienie popołudniowego słońca przebijające się przez listowie rzucają plamy blasku i cienia na oddalającą się sylwetkę stalkera, sprawiając, że wygląda bardziej jak zjawą niż jak prawdziwy człowiek. Chwilę patrzę ja za nim, aż znika mi z oczu w pobliskim zagajniku. Wciągam głęboko w płuca powietrze i zwracam się na południe. Czuję zapach błota i wodnej roślinności, lekki opar podnosi się wolno z podmokłego terenu na skraju linii drzew. Pogranicze. Tu już czuję wyraźnie zew Dużej Ziemi, oddech świata poza Zoną; niemal namacalnie wyczuwam zmianę, granicę między tym obcym człowiekowi miejscem a resztą planety. Oczyma wyobraźni widzę ja pełny bar, zastawione szkłem półki, ludzi siedzących przy kontuarze. Domy, ulice, samochody. Kobiety i dzieci. Dzień jest ciepły, letni, pełen złotego słońca. Wyobrażam sobie, jak siedzą na gankach przed domami, jak maluchy, krzycząc, bujają się na huśtawkach i zjeżdżają po zjeżdżalni. Potrząsam głową, aby odegnąć te wizje.

Dopiero rano, ale słońce już przygrzewa mocno. Poprawiam



plecak i ruszam przed siebie, wyciągając nogi, skrajem spękanej asfaltówki biegnącej przez las. Niby nie ma daleko do granicy, ale przed wieczorem chcę być na miejscu i załapać się na zmianę obsady na posterunkach. Wtedy najłatwiej się zawsze prześlizgnąć – schodząca warta ma już wszystko w dupie i chce tylko wrócić do koszar, a wchodząca jeszcze desperacko broni się przed przyjęciem do wiadomości, że czeka ich kolejna nieciekawa wachta na perymetrze przeklętej ziemi. A ja wtedy sobie jak na aerobiku, udając gąsienicę, spokojnie przepelzam na Dużą Ziemię. A tam już niedaleko i cywilizacja, i te bary, i te baby, i handlarz znajomy.

Oj, handlarz się przyda. Obłowił się ja tym razem, artefaktów cały plecak ze sobą mam najróżniejszych. Nałaził ja się po Zonie, naryzykował, karku ponadstawiał, ale coś mi się zdaje, że warto było. Ładny grosz mam nadzieję przytulić za zawartość tych dwóch pojemników, co mnie, cholery jedne, potwornie w plecy teraz gniołają. Sięgam do kieszeni pełnej żwiru i rzucam przed siebie kamyk, bo coś mi tam się błyszczy z boku, między drzewami. Kamyk leci, spada, turla się po asfalcie – więc raczej nic. Rzucam tak żwirem, bo tego zawsze jest trochę pod ręką. Co poniektórzy to nakrętkami rzucają od śrub. Skąd oni to cholerstwo biorą, tego ja nie wiem. Obrobił chyba jeden z drugim jakiś warsztat ślusarski, bo pełne kieszenie zawsze tego żelastwa mają. Idzie ci taki przez Zonę, dzwoni jak żigolak drobnymi i ciska tym żelastwem gdzie popadnie. No naprawdę, co za porządki. To ja już wolę tak bliżej natury i kamykiem sobie pyknę. A jak nie dajcie Gospodarze coś odbije, karuzela jaka czy co insze, to i lepiej w ryj gruzem dostać jak taką stalową śrubą. Oczy i zęby jakoś mi się bezpieczniejsze wydają...

Sięgam po drugi kamyczek i znów rzucam, bo niby czysto, a tak pod światło coś mi się to słabo widzi. Ot, tak to jest, jak się z rana na wschód lezie, że w pysk świeci. A wali po oczach mocniej niż niebo przy emisji. Rzucam ja, kamyk leci, pyk na asfalt, pyk, pyk,

podskakuje, turlu-turlu... Czyściutko. Kamyczek turlu, a tu nagle jak nie pizgnie w górę kolumna ognia, jak nie trzepnie mnie gorąc prosto w pysk, tylko słyszę skwierczenie asfaltu i czuję zapach duszący smoły, co się z kruszywa wytapia. Cofam się o krok i niebacznie stawiam zdeptany ciężki bucior na krawędzi drogi. I zanim się ja zdążę zorientować, co się dzieje, to już leżę w przydrożnym rowie z gębą w błocie. Chabar mnie w plecy uwiera jak diabli, portki całe przemokły, rękawy też. Nożeż do wafla. Gramolę się na czworakach z powrotem na pobocze, błotem pluję, z gęby sobie szlam obcieram połą bluzy. To mi się dzień ładnie zaczął, nie ma co. Pogroziła Matuszka Zona palcem na syna wyrodnego, co z domu biżuterię obcym na handel wynosi. Oj, nie podoba jej się to, nie podoba. Ale chociaż łagodna była. Spluwam na asfalt, bo żarnik znów wybucha słupem gorąca, kiedy jakaś przypadkowa gałązka zerwana wiatrem ląduje centralnie na anomalii.

Suka jedna, anomalia, nie było jej tu, jak ja poprzednio na Dużą Ziemię szedł, a i jak ja wracał, to nie było żarnika piekielnego. No ale była emisja potem, to może się i skądś przesunął, pieron. Chociaż niby daleko od Sarkofagu i tu już anomalii jakby mniej. Ale tylko jakby. To ciągle jest Pogranicze – niby już nie Zona, ale z nią jak z kobietą – nigdy nie utrafisz. Zawoła cię Duża Ziemia, zagapisz się i zginiesz. Nic gorszego nie ma dla stalkera niż przedwczesne odprężenie. Poczujesz się swobodniej, zagapisz i bach, zostaje przemiłona sterta łąchów albo spłaszczona plama... A w sumie do posterunków to jeszcze dobre kilometrów parę. Sięgam ręką w kieszeń, żwiru nabieram i pac, pac, jeden za drugim kamyczki rzucam. Co podejdę, jak czysta droga, to podnoszę. Ot, taki odruch – wszystko oszczędzać, na darmo nie rzucać. Ani żarcia nie zmarnować, ani amunicji tym bardziej, bo zagapisz się, to ci, bracie, Zona przypomni tak, że oj, do końca życia popamiętasz. A to może czasem być bardzo szybko.

Pyk, pyk, kamyki się turlają po asfalcie, a ja sobie kombinuję, skąd oni te nakrętki biorą w takich ilościach? Obrobił jeden z drugim jakiś zakład w głębi Zony? Park, kurde, maszynowy w Agropromie wyczyścili czy co? A jeszcze jeden z drugim nie powie normalnie, że nakrętka, tylko niby mutra.

No psiamać jego, co to mutra jest, do cholery? Mutra to jest po czesku matka. Wiem, bo czeski znam. Skąd znam? A kogo to obchodzi teraz. Nikt tu nie pyta o nic, bo i o co spytasz jednego z drugim? Co ich zagnało pod CzAES? Diabeł ich sam zagnał, mnie też. Nic zresztą nikomu do tego, skąd ja czeski znam i skąd mnie zagnało. Matuszka Zona nie rozróżnia, dzieci swoje kocha wszystkie tak samo, i te dobre, i te złe, i te głupie. I jak się zezłości, to tak samo każdemu na wyzymaczce flaki wypruje albo łeb upali żarnikiem. A jak będzie chciała się powyżłosiwić, to delikwenta wepchnie w wiedźmi kisiel. I albo wtedy, bratku, zdechniesz, albo się ulituje towarzysz i cię na plecach wyniesie. Były takie przypadki. Ale więcej było, że szedł stalker i nie wracał. Nigdy już. Tu Zona jest.

Dreptam tak tą drogą, chabar coraz cięższy i jedno pudło mnie w nerkę gniecie, a boli mnie tam akurat, bom się ja zwałił ostatnio z dachu, jak przed snorkiem spierdziałem w jednym siole. Idę sobie spokojnie przez wieś, domki jak malowane, ładniutkie takie, pognite nawet mało, jakoś też nie pozarastane za bardzo – jakby człek spojrział, toby pomyślał, że na majówkę pojechali wszyscy, na łąki gdzieś na Prypeć wyskoczyli. Taką powieść ja czytał kiedyś – pojechał facet po części do kombinatu, zajeżdża, a tu miasto całe puste, nikogo nie ma... Idę więc ja, sielsko tak, aż mi się przypomniało o młodych latach. Wlazłem sobie na dach silosa, co go tam mieli, żeby się po okolicy rozejrzeć, a tu jak mi ten ryj gumowy nie wyskoczy! Prosto do oczu, swołocz jedna! Ostrzelałem mutasa jak się patrzy, aż mu ta trąba od słonika w drebieźgi poszła i cała morda plugawa, alem się na koniec poślizgnął i jak nie rąbnę z

dachu...! Szczęściem niewysoko było, ale tak mnie do dzisiaj plecy rwą, a będzie z trzeci tydzień. A sińca to takiego miałem, że jak mnie jeden z chłopaków na obozie zobaczył pod prysznicem, to myślał, że zarazę jaką przywlokłem.

No i teraz mnie ta nerka boli, bo chabar uwiera. Słodki to ciężar, oj, napiję się ja piwa dobrego dzisiaj, nie skisłego i nie radioaktywnego żadnego, tylko pysznego, zimnego takiego, z pianką, co w nos strzela. I papierosa zapalę dobrego jakiegoś wreszcie, a nie te machorkowe potworki bielomorki, co mi ostatnie sztuki już zostały. Kartonowe dziwadła, można by tym mutasy dźgać na śmierć, a dym to i samą Śmierć by pogonił do Sarkofagu. A potem się ja wódki dobrej jakiejś napiję, z butelki z nalepką i w ładnym kieliszku ze szkła, a nie ten spiryt ohydny i te samogony. No ale to nocką dopiero, za Kordonem, na Dużej Ziemi, a tymczasem leżę tym poboczem, żwirek rzucam, czasem na bok zejść, bo się anomalia trafi jakaś; a słońeczko przygrzewa, duszno nawet trochę – toż południe już minęło właśnie. Dobrze, że bez maski tu można, tło zupełnie nie oddaje, idę jak panisko prawie – po równym, po prostym, w lesie ładnym. Ptaki już nawet tu, na Pograniczu, sobie ćwierkają. I tylko z nieba gorąc się leje. Ot, taka dola stalkerska...

Przed sobą widzę, że wyżymaczka się rozsiadła w rowie. Ot, anomalia jedna, psia jej mać. Nic nie poradzę, muszę na środek drogi zleźć. Oj, nie lubię ja tego. Z pobocza to zawsze czmychnąć łatwiej, no ale co zrobię ja, rzucam kamyki, pyk, pyk, i maszeruję na środek. Nawet linia wymalowana jakoś się tu ostała od tego zero szóstego, trochę tylko deszczem wysmagana i piaskiem nieco zawiana. Wędruję po niej, a tu nagle jak mi zza pleców nie ryknie. Od razu słyszę, że łopot wirnika. No tych mi teraz cholera nagła nadała. Obracam się i za plecy zerkam, a tam mi debil krokodylem zapieprza centralnie nad drogą, już z daleka go widzę. Nie ma co czekać, aż mi z kaema który pociągnie w te nerki bolące, garść żwiru

ciskam, a zanim spadnie, to sam szczupakiem ląduję w rowie, prosto w to przyschnięte błoto i na dodatek pyskiem w pokrzywy centralnie. No co za cholerny pech dzisiaj jakiś! Wpełzam w to zielsko dziadowskie, pod krzak jakiś – jałowiec akurat, nożeż do czarnobyłca jednego z drugim! – i czekam, aż przeleci. Tylko ten hurgot cholerny coraz głośniejszy, a tu nagle jak nie pieprznie seria skubany po asfalcie, w poprzek rowu, a potem między drzewa!

Zasraniec.

Słyszę tylko, jak wizgają kule ledwo z metr za stopami moimi, tam skąd ledwo ja do rowu się rzucił. Musiał mnie widzieć, żołdat cholerny, i ręka go zaswędziała. Co za zwyczaje barbarzyńskie, tak to ja nawet z mutasami nie miał w głębokiej Zonie, żeby tak bez niczego stalkera spokojnego napadali! Oj, nie lubię ja, kiedy kto strzela do mnie. Jakby nie to, że ten kaemista nerwową taką ma rękę i że tu mnie prawie, prawie trafił, toby się ja odwinął i parę serii z 74 w ten ich wirnik posłał. Widział ja raz gieroja, co krokodyła zdjął. Trafił tak jakoś fartownie, skubaniec jeden, niech mu Zona lekką będzie, że gada strącił. No, po prawdzie, to niezbyt fartownie, bo akurat krokodyl na niego wziął i zleciał. A dalej to nie wiem, co tam się działo, bom ja spieprzał stamtąd jak tuszkan przed snorkiem. I nie oglądałem się przez ramię, bo pod nogi patrzeć musiałem. Szczęściem ten powarkotał, powarkotał, w końcu się żołdatom chyba znudziło, bo tylko słyszę ryk przepustnicy i odlatuje zaraz, gad jeden, do granicy, na wschód. Tam gdzie i ja... No nie mam ja dzisiaj łatwego życia, no nie mam. Ale nic to. Tam za Kordonem piwo zimne czeka, wódka w czystym kieliszku, baby może nawet jakie. Oj, długo ja w Zonie siedział, z pół roku ja na Dużą Ziemię nie chodził...

Wyczołguję się z tych pokrzyw paskudnych, siadam na skraju rowu i centralnie przed sobą wyzymaczkę widzę. No tak, że jakbym rękę wyciągnął, tobym sięgnął. I by mi urwało. Albo całego wciągnęło i

tyle by było stalkera, chabaru, piwka i wszystkiego. Obracam się ja dookoła, popatruję. Garść żwiru z kieszeni wyciągam, rzucam tam i sam, potem powolutku przesuwam się na siedzeniu po skraju rowu, aż już bezpiecznie jest. Siadam sobie pod krzakiem – na oko leszczyna, ale nie zwykła taka orzechowa, tylko hej, ozdobna, liście soczyście takie bordowe, purpurowe aż prawie, ząbkowane. Skąd takie cudo tutaj się wzięło, to ja nawet zgadywać nie próbuję. Plecak pod krzak odstawiam, z manierki trochę spirytu pociągam, bo nerwy jeszcze lekko telepią po tym, jak mi z krokodyla puścił serię, dziad jeden. Szczęście ja miał, że to dzień, bo po nocy toby mnie w termowizji znalazł i ubił jak mutasa. Paskudny spiryt, gębę pali, ale nic lepszego nie mam, to i wybrzydzać nie będę. Chabar jak zhandluję, to wtedy sobie będę mógł paniczyczkować. A tu jeszcze do granicy kawalek drogi ładny. Ale się powinienem w sam raz wyrobić przed wieczorem, jak zmiana będzie wchodzić. No chyba żeby co innego jeszcze mi się miało przytrafić. Tfu, nie, może Gospodarze na dzisiaj odpuszczają, bo tych przygód już mi wystarczy. W parę godzin więcej ja miał sensacji jak za cały ostatni tydzień chodki wokół obozowiska.

Wzdycham ciężko, plecak jeszcze cięższy na ramiona zarzucam i w drogę ruszam, poboczem asfaltówki. Samo się do Dużej Ziemi nie doniesie, co stalker zrobisz? Nic nie zrobisz.

Ładne popołudnie już jest, jak do granicy dochodzę. Instaluję się w starej stróżówce – czy czort wie, co to tam było, ot, stoi przy drodze pośród lasu takie coś, jakby budka dróżnika, tyle że ani torów, ani szlabanów, ani nic, samojedno stoi sobie – i od razu hyc na dach, i lornetuję ja cały perymetr. Sotdatów nie widać, siedzą po posterunkach pewno, odprawa zaraz, a potem zmiana wchodzi, to akurat natenczas zdążę się do granicy przemknąć. Już, już mam skakać z dachu, a tu nagle spoglądam w smugę cienia – bo teraz, dla odmiany, słońko nisko za plecami, to cienie długaśne przede mną

się kładą, jak w teatrze niemal – i zamieram. I jakby mi to kto opowiadał, toby nie uwierzył ja, ale tam najprawdziwszy prypec-kaban stoi. I bydlę się do plecaka mojego z chabarem przymierza. Mnie jeszcze nie zauważył na szczęście, ale jak mi towar zniszczy, to cała wyprawa na nic! Sięgam po swojego 74 i łapię się na tym, że jak tu strzelać zacznę, to w parę minut krokodyle mnie, kabana i tę stróżówkę kaemami zaorają do gołej ziemi... Stoję bezradnie, bo co, żwirem rzucę w kabana?! I takiego wścieku dostaję nagłego, że łapię kawał cegły, co tam z obmurowania dachu się wykruszył, i rzucam świniakowi prosto w baniak. Na dachu mnie mutas nie dostanie, to chwytam, co mi podejdzie, głównie ceglówki, i naparzam w cholernego zwierzaka ile wlezie, wałąc w łeb raz po raz.

– Paszoł won, świniaku przebrzydły ty prypecki!! – drę ryja do kabana, co łeb zadziera i próbuje zobaczyć, skąd mu nagle cegły na kark się wałą. – Won od chabaru, zarazo radioaktywna! Swojego se nazbieraj, bandosie od siedmiu boleści ty! – I z całej siły ciskam wieprzkowi cegłą między oczy. Prypec-kaban odskakuje i szturmuje ścianę, aż się tynk sypie i drzenie przechodzi cały mizerny budyneczek, ale widać dość ma już cegieł na bańkę, bo jak odbija się od ściany, to potrząsa łbem, a potem podaje tyły i pokwikując, znika w lesie. Nie no, co tu się wyrabia? Siadam ja na krawędzi dachu i zapalam sobie bielomora, żeby nerwy skolatane uspokoić. Tego to ja nie widział jeszcze, żeby mutas na Pograniczu, ba! pod samą granicę żeby tak przylazł? Niesłychane. Oj, czuję ja, że mnie Zona coś wypuścić nie chce. Ścieżek nie poplątała niby, ale kłody pod nogi rzuca.

Dopalam machorkowego potworka, zlążę z dachu, rozglądając się, czy coś znów dziwnego z lasu na mnie nagle nie wylezie, plecak na plecy zarzucam i dalej się krzakami przedzierać na wschód. Im bliżej granicy, tym bardziej te biedne plecy zginam, aż się w końcu czołgać muszę przez poszycie, a plecak targam za sobą. Oj, nie lubię

ja tego, oj, nienawidzę. Błocko cuchnące, trawa ostra, komarzyska tną. Tak, zapomina człowiek czasem, że na Dużej Ziemi ma natura swoje obyczaje, a one człowiekowi wcale w smak być nie muszą...

Oj, zapomniał ja, jak to jest się czołgać na tamtą stronę. A tu i tak przecież miejsce spokojne, bezpieczne prawie że! Ale zanim znajdę się po drugiej stronie granicy, to już wszystkiego dość mam i obiecuję sobie, że takich nerwów i takiego czołgania to sobie już nie zafunduję nigdy. O, przenigdy! Aż się w końcu z krzaków wyczołguję na gruntówkę. Siadam, spluwam za siebie, dźwigam się z ziemi, otrzepuję łachy z piachu i błota, i włączę w las po drugiej stronie drogi. Tu już kulkę od wojenstalkera zarobić nie tak łatwo, ale nie ma co licha kusić. Słońce zachodzi prawie, las jakby we krwi skąpany, ale wiem, że za kilometr wioska jest moja wyczekana, osada spora całkiem, a na Dużej Ziemi chodzi się inaczej zupełnie, więc wyciągam ostro nogi. Byle teraz donieść wszystko, zrzucić na zapleczu U Pietrowa i szybko sprawy załatwić. Na przełaj idę przez las, aż docieram do przecinki, stamtąd za chwilę wychodzę na zwykłą asfaltową drogę, a tam już pierwsze zabudowania. Mijam hotel pracowniczy, wchodzę między domy. W ciemno walę od razu do baru, po drodze pozdrawiam skinieniem ręki kilku znajomych. Nie witam się jakoś wylewniej, czasu ja nie mam teraz, a zresztą wszyscy oni i tak kończą zawsze U Pietrowa. To taka duża wieś jest, instytutu oddział, hotelik, trochę chałup, jeden bar, a po garażach i szopach warsztaty i magazyny artefaktów porobione.

Zachodzę do baru od frontu, lampa nad wejściem ledwo mruga, bo Pietrow, stary kutwa, żałuje kasy na nową żarówkę. Ale to i tak bez znaczenia, bo z okien na parterze, otwartych na przestrzał, leje się blask, bucha papierosowy dym, spirytusowy chuch i wylewa się gwar wielu głosów. Wchodzę w otwarte na oścież drzwi i wita mnie jeszcze gorszy harmider i zaduch. Stoliki już pełne wszystkie, a to przecież ledwo słońce zaszło. Idę ja przez salę, głową kiwam komu



trzeba – wszyscy tu oni niby pracują na stałe w tej wsi, co to trzy ulice ma na krzyż – ten w zaopatrzeniu, tamten w intendenturze, baby widzę z poczty – ze sześć ich tam niby robi, a przecież na poczcie jedno główniane okienko i automat telefoniczny, co nie działa od dziewięćdziesiątego siódmego. O, a tu znajome gęby stalkerskie z Zony – niby że drwale. Co tam jeszcze? Konsultanci pobliskiego instytutu do spraw promieniowania, tak? Kiwam ja im ręką, napijemy się dzisiaj jeszcze, oj, napijemy. Chociaż niektórych widział ja nie dalej jak parę tygodni temu. Dobijam wreszcie do kontuaru, siadam na ostatni wolny stółek (lekkro rozchybotany, ale nic to, pókim trzeźwy, to dam radę) i uroczyście kiwam głową Pietrowowi.

Iwan Iwanowicz nawet nie zaszczyci spojrzeniem. Zajęty on jest, sobaka jedna, gośćmi. Leje wódkę w rżnięte kieliszki jakimś wypłoszonym idiotom w garniturach. Skąd przywiało takich, ech? A skąd mnie wiedzieć. Różni tu bywają. Wiocha taka, że nie uświadczysz jej nawet w nawigacji samochodowej, a tu tymczasem ruch jak na placu Czerwonym na paradę z okazji Dnia Zwycięstwa. A to nawet nie weekend, tylko czwartek chyba. Nie wiem sam, bo po co mi wiedzieć niby? W Zonie dni tygodnia znaczenia nie mają. Siedzę ja na tym stolku, bielomora wyciągam, zapalać już mam, jak podchodzi Iwan Iwanowicz Pietrow. Pan na włościach, dobry wujaszek na ten sektor, co to ze wszystkimi układy ma, każdego zna, wszystko załatwi. No i monopol na chabar też ma, więc trzeba z nim handlować. Albo chodzić za Kordon gdzie indziej. Nie Kocham ja cen Pietrowa, ale trudno się mówić.

Podchodzi do mnie teraz, łaskawca – koszula wykrochmalona, że wygląda, jakby leszcza sobie na klatę przypiął, taka sztywna i stercząca. Śmieją się po cichu z fircyka bracia stalkerzy, ale w twarz mu nie powiesz, bo się elegancik odwinie w pysk jeszcze i co? Patrzy na mnie z dezaprobatą, wyciąga mi z ręki bielomora i z

obrzydzeniem, jakby czarnobylca patroszył, do kubła ciska. Potem podaje mi ze szklanej, lśniącej półki nowiutką paczkę niebieskich lucky strike'ów. Co by nie mówić, zna się gospodarz na robocie, z ludźmi się koleguje, każdego pamięta. Patrzy na mnie, a ja głową kiwam – to na trzy palce w szklankę leje. Żadne tam rżnięte kieliszki, nie dla dziada prosto z Zony takie zbytki, leje w zwykłą musztardową po czekoladowym kremie, ale nie oszukuje, nie żałuje wody.

– Pierwszy na koszt firmy, a – zagaja do mnie. – Jak tam u was, Bożokorow, a? Artefaktów naniósł?

– Naniósł ja cały wór, jak Dziadek Mróz normalnie – mówię i zaciągam się papierosem głęboko. Ciągnę tak, że się gwóźdź aż robi, ale płuca niezwyčajne od tygodni do normalnych fajek, to i przeciągam. – Chabar prima sort.

– Znam ja ten twój prima sort, a, Bożokorow. Coś naniósł, krewkamienia tonę czy co lepszego tym razem, a? – krzywi się Pietrow i odsuwa nieco. No co poradzę ja, że śmierdzą? Poczółgałby się wykrochmalony elegancik kilka kilometrów w lesie, toby sam nie pachniał jak paryska perfumeria. Wybrzydza dziad na stalkerów, ale jakby nie nasza brać, toby tu nie miał baru i interesu, a dalej pustą stodołę i rozwalający się traktor. Mówią niektórzy, że i Pietrow do Zony dawniej chodził, ale czy to prawda, to nie mnie wiedzieć. Może i prawda. Wypalam szybko lucky strike'a, wlewam w siebie wódki – na Gospodarzy! ależ pyszna ona, zmrożona, że prawie jak oliwa, a w smaku doskonała – i dźwigam się ze stołka. Pietrow się obraca do dziewczyny jakiejś, co obok niego stoi za barem. Niczego sobie nawet, tylko gówniara. Pewnie siostrzenica jakaś na wakacje przyjechała – albo jego, albo czyjaś insza, bo czy ma Pietrow rodzinę jakąś, to nie wie nikt. Oczka szare, włosy długie, cycek jak się patrzy, lekko kipi z dekoltu, gapią się chłopaki w nią jak w obrazek.

– Interesu pilnuj, a, Wala? Zaraz wracam, załatwić sprawy muszę!

– rzuca Pietrow i otwiera mi unoszony fragment blatu. Przechodzimy razem przez zaslonę z drewnianych paciorków, zwisającą z boku, za regałem z wódkami. Drewniane, ładne, nie żaden tam plastik tandetny, ma gospodarz gust, jak na takiego troglodytę prymitywnego. Za rzędami lodówek do kantorka idziemy, tam Pietrow butelkę wódki wyciąga i jak basza się rozsiada za biurkiem. Ładne ono, z litego drewna. Musi gdzieś wyszabrował albo wyhandlował sobie. Zrzucam plecak i nie bawię się w żadne wstępy, zaczynam towar wyciągać z pojemników. Najpierw drobnica: purchle, mamine korale, kilka owaków, słoik gliny gazowanej. Pietrow patrzy na to jakby znudzony, ma tego na pewno na kopy. Ale bierze, słowa nie powie, turyści i głupcy z całego świata ściągają po ten badziew drobny setkami, a jak się ma tak, jak nasz gospodarz obrotny, przebicie o pięćset albo i o tysiąc procent, to się i na detalu tłucze majątek. Inaczej się zresztą nie da, Kordon opłacić, papiery wszystkim tym szemranym serwisantom, zaopatrzeniowcom i rezydentom pozałatwiać, a jeszcze basen ostatnio budować zaczął. No, ma smykałkę Iwan Iwanowicz, wie, jak się na naszej robocie ustawić.

Zaczynam wyciągać cięższy kaliber z drugiego pojemnika. Widzę, jak się niespokojnie kręci, ale i też głupio mu otwarcie pokazać, że się podniecił, kiedy zobaczył, co ja za cudeńka mam. W końcu kiwa z aprobatą głową, myśli niby – a tak naprawdę chce mnie wnerwić i na zmęczenie wziąć, bo wie dobrze, że ja od rana na nogach i że się w pokrzywach czolgałem. W końcu rzuca kwotę, a ja bez słowa zaczynam do pojemników z powrotem swoje artefakty pakować.

– No co ty, durak, a?! – woła Pietrow i się zrywa zza biurka. Oj, znam ja ten teatrzyk, teraz będzie biadolił i krzyczał, jaka to krzywda jego spotyka, jakie on to koszta ma tutaj, a darmożjady, gęby do wykarmienia, wojenstalkerzy naloty krokodylem jemu robią, major z Kordonu straszny; a ja kiwam głową i pakuję fanty

dalej, znam ja cię, gadzie jeden Pietrowie, pijawo obmierzła, ty juhociągu, na stalkerskich plecach imperium pobudował, a?

Wreszcie opuszcza ręce i się zamyka.

– No, Bożokorow, niech będzie moja krzywda. Madonna patrzy i Gospodin Bog na ciebie patrzy, i Zony Gospodarze, a widzą krzywdę moją... Ale tyle lat ja cię znam, tyś pazerny i chciwy, ale człek poczciwy, a? – I rzuca mi kwotę już teraz dwa razy taką. No, niech mu będzie, chociaż jakbym ja na północ dalej poszedł, tobym jeszcze raz tyle dostał. Ale niech moja strata i moja krzywda, dobrze mówi, że wymienieni wszyscy patrzą. Pietrow wie i do Zony nie chodzi, bo jakby poszedł, toby go zaraz Matuszka Zona sprawiedliwie pokarała, a jak nie ona, toby któryś z chłopaków pewnie go ustrzelił. Ale mam tu ja jeden interes jeszcze, co leży na dnie plecaka pod szmatami i zapasową p-gazką, w pojemniczku sobie porcelanowym leży i nikt nic nie wie o nim. To kiwam głową.

– A dorzuć coś jeszcze – mówię. – Tak po starej znajomości, niech mam ja co z życia.

Przerywa na chwilę liczenie banknotów, co je z sejfiku pod biurkiem wyciągnął, i patrzy na mnie złym okiem.

– Butelek wódki ci dam dwadzieścia, a? – zagaduje Pietrow. Skaranie boskie z tym dziadem, wódki butelek dwadzieścia. I ja co, na taczkach w Zonę to powiozę? Wózek mi pożyczysz kanciarz jeden, to zaciągnę do obozowiska?

– Ja u ciebie już mam pięćdziesiąt za ostatni raz, coś waluty nie miał, Iwan Iwanowicz – odzywam się kwaśno do niego.

– A właśnie, zapomniał ja, a – zagaduje dziad i mi potrąca od razu z wypłaty, część banknotów wrzucając z powrotem do sejfiku – za przechowanie ja ci odliczę, tej wódki w magazynie dla ciebie trzymanie, a. Co ty myślisz, a, że ja tu mam skrytki bagażowe jak na Dworcu Leningradzkim, a?

Wzruszam już ramionami tylko. Jechał Pietrowa pseudopies w

zad. Nie dojdiesz z takim do ładu, kanciarz i złodziej. Ale co ja zrobię. Kiwam głową, gotówkę inkasuję i plecak zamykam, bo mi już gad jeden zerkać chce, czy czego nie przychowałem ja przed nim. Wara ci, Iwanie Iwanowiczu, nie dla ciebie te frykasy. Ty płotka jesteś, a do mnie dzisiaj goście z wielkiego świata będą pukać. Ale najpierw ja sam muszę się do porządku doprowadzić, co by wyglądać jak z Dużej Ziemi. Sięgam Pietrowowi nad ramieniem i klucz biorę od pokoju i od sanitariatów. Ten się krzywi tylko i na cennik na ścianie pokazuje – ładny, kolorowo drukowany, psiamac, i w plastikowej koszulce pinezkami czerwonymi do boazerii przybity.

– W barze się policzymy – mówię tylko i wychodzę przez zaplecze na tyły, gdzie za bogatym barem, co to kiedyś był wiejską oborą, domki stoją fińskie, maciupkie takie, piękne. Skąd je Pietrow ukradł, to nie wiem, ale pewnie radziecki jakiś ośrodek ograbił, bo u nas to takich ładnych nie robią. Wchodzę do tego, co go zawsze zajmuję, plecak zrzucam, żaluzji pogiętych nie odsłaniam, tylko na klucz szybko zamykam i odsuwam łóżko. W rogu mam ja skrytkę, co o niej gospodarz nie wie – deskę w podłodze luźną. Odchylam ją teraz i w szmaty zawinięty pojemnik, mocno drutem jeszcze ściśnięty, kładę. Niech leży. Kontrahenci będą, to się wyjmie. Sam tymczasem łachy zrzucam i pod prysznic idę. Woda zimna jak jasna cholera, jakbyś normalnie w przerębel skoczył, to już i na obozowisku potrafili my lepsze mieć warunki, jak słońce przyświeciło i w baniaku wodę przygrzało. Ale nic to, z lubością stoję na kafelkach nowiutkich – musiał Iwan Iwanowicz położyć przez te pół roku, co mnie nie było – i patrzę, jak błoto całe ze mnie spływa. Brudna struga ciągnie prosto w otwarty kanał – nikt się tu nie bawił w hydraulikę, zapchałaby się od tych stalkerskich pryszniców, leci brud zaraz w rów za obejściem, a stamtąd czort wie gdzie. Nieźle pewnie musi tło oddawać ten kanał, jak my tu tak z Zony prosto. Wzdycham wreszcie ciężko, spod prysznicza wychodzę, wycieram się dokładnie, ręcznikiem w pasie

owijam i wychodzę przed sanitariat. Staję sobie pod księżycem, w niebo zerkam i ni z tego, ni z owego z nagła w pysk dostaję.

Lecę ja na ziemię, gwiazdy tylko widzę, te na niebie i te przed oczami, zaraz blisko, ale zna się gad na robocie, bo poprawia od razu, i to po swojsku, dechą przez plecy, sztachetę chyba z płotu wyrwał, swołocz! O tyle dobrze, że na płask wali, nie kantem, a i lepiej jeszcze, że po żebrach, a nie w nerki moje biedne, ale boli jak sama jasna cholera, aż mi dech zapiera i ciemno przed oczami. I walę się tak prosto na matkę ziemię, a tu mi ktoś z buta jeszcze poprawia, że aż mdłości mnie nagle chwytają i cała cudna wódka zimna, dobra, na trzy palce, na ziemi też łąduje.

– Czekaj ty! – słyszę ja nad głową. – Kurwa, to nie ten!

No teraz się zorientowali? To gnoje jedne, trachał ich czarnobylec!

– Co mnie bijesz, suka? – jęcę, na ziemi leżąc, zimno mi, językiem czuję, że mi się zęby ruszają od tego strzału w pysk prosto, i gęba też puchnie fachowo. Podpieram się ja na rękach, a tu mnie pod pachy łapie ktoś, do góry unosi.

– Na słodkiego Jezusa rany, Bożokorow! – krzyczy do mnie ktoś, ale nie rozpoznaję twarzy ani głosu, bo przed oczami mroczki ciągle mam, a i w uszach szumi też jeszcze od ciosu.

Charczę, kaszlę, krwią spluwam, palucha do gęby pakuję i zęby sprawdzam – no, tyle dobrze, że żadnego mi swołocz nie wybiła.

– Bożokorow, ja cię przepraszam! – A, już poznaję ciebie, gnojku jeden. Wyżeł, tak? Skąd cię tu przygnało, jak wy obóz macie hen, aż za Dziciatkami?

– Ciebie co napadło, żeby porządnego stalkera bić po nocy? – pytam kwaśno.

Stoją we dwóch, gówniarzeria cholerna, z nogi na nogę drepcą jak uczniaki przed dyrektorem szkoły, głowy pospuszczali, mamrocze jeden przez drugiego przeprosiny jakies. W dupę se wsadź te przeprosimy, jak mi prawie żebra połamaliście.

– Za co ty mi tak przywalił, co, suka? – pytam ja Wyżła. Tego drugiego to z gęby znam skądeś, chyba ja go u nich widział na obozowisku. Szczawiki toto, w Zonie siedzą ledwo parę miesięcy, widzieliśmy się na chodce, bo ja wiem, z kwartał będzie?

– Bożokorow, jak mi Bóg miły i Matka Przenajświętsza, to pomyłka była – tłumaczy się dzieciak, widzę, że oczy ma aż szkliste i najchętniej toby się zerwał, uciekł, ale głupio mu tak zrejterować. – Myśmy cię pomylili z Chudym, wy obaj jak Rumcajisy jakieś zarośnięci!

– A weź ty, idź mi stąd, bo jak wezmę tę sztachetę, jak jebnę... – Unoszę pięść w górę, żeby pogrozić szczeniakom. Nie ma co, ładnie mi się nocka zaczyna, miała rację Matuszka Zona, że mnie puścić na Dużą Ziemię nie chciała. Same przykrości, a ledwo co ja zaczął.

– Pomiluj, dobry człowieku, toż my bracia stalkerzy jak i ty! – Tamten już mi prawie łka i klękać chce, o wybaczenie prosić. Ech, wzdycham ja ciężko i krwią pluję mu pod nogi.

– Poszli precz, suki, pókim dobry! – krzyczę na nich, a ci bez słowa uciekają w noc. Co im był Chudy zawinił, to ja nie wiem. Ale czemu to ja za niego ciągi zebrał? Co to za sprawiedliwość jakaś podła jest na tym świecie? Ręcznik podnoszę, z ziemi otrzepuję i pod prysznic wracam, wymyć się znów, bo mnie sponiewierały, gnojki jedne, ślepaki. Co za czasy, że dla starszego człowieka nie ma młodzieź żadnego szacunku już, tylko w pysk od razu, bez sprawdzenia, bez ostrzeżenia wali...

Prysznic drugi raz biorę, na kwaterkę wracam, ciuchy jako tako wyglądne z dna plecaka wyciągam i się przebieram. Antyradu sobie łykam, ostatnim energetykiem ocalałym popijam – w końcu noc się dopiero zaczyna – i do baru wracam. A U Pietrowa ruch już, ludzi naszło z całej wsi, z Zony ściągnęło kilku chłopaków, widzę nawet po cywilu jednego porucznika męczydupe, co tu na przeszeptugi przyłazi. Myśli sobie, James Bond jeden, że nikt nie wie, co on

mundurowy. Ot, łachudra taka. Miejsca nie ma przy barze, to się witam ze znajomymi przy stoliku i na ławie dosiadam. Na tę nową wołam, jak jej było, Wala? I jak przychodzi, to każę sobie od razu wódki przynieść kilka butelek z tego mojego zapasu, co się Iwan Iwanowicz zamiast gotówki rozliczył. Przynosi, a jakże, ale to już nie to cudeńko schłodzone, jak olej piękne, tylko zwykła woda pospolita, najtańsza. Wciąż jednak lepsza niż zonowe spiryty i samogony – zimna chociaż i ze szklanki pijemy. Opowiadają chłopaki, co tam u nich, gdzie który chodził, co robił, braci wspominamy chwilę, co tam któremu Zona niech lekką będzie.

Za plecami słyszę, że towarzystwo jakieś młode, zerkam – dziewczyny jak z obrazka, wyfiokowane, dekolciki takie, że buty przez nie widać, fryzurki zaczesane modnie, sukienki króciutkie, że by tego materiału nie starczyło nawet na obwiązanie ręki zranionej. A przy nich dwóch jakichś łebków w kamuflażach nowiutkich, jak ze sklepu prosto, tandetne podróbki turystyczne – w dół zerkam, buciki markowe, za kostkę, skórkowe, pięknie wypastowane. Ot, dzieciarnia-pozerka. I słyszę, jak jeden łaskom makaron na uszy nawija, jak to do Zony szedł przez Prypeć. Śmiechem parskam, ale po chwili butelkę wódki biorę, obracam się.

– Słyszę ja, że tu kolega stalker, co nie? – zagaduję łebka. Wzrok spłoszony, ale zaraz pierś przeży dumnie, na panienki z ukosa zerka i do mnie się szczyrzy.

– No nie inaczej, nie inaczej. – Łaskawie na dziada zarośniętego spoziera.

– To gratuluję ja. Dawno ty do Zony chodzisz? – pytam i polewam im wódki wszystkim łaskawie. A co mi tam, u Pietrowa w magazynie butelek mam stos, jeszcze muszę gospodarza opłacać za przechowanie, to nie żałuję.

– No, trzeci miesiąc – mamrocze niemrawo. – Drugi raz właśnie wróciłem.



– A, to ty weteran już prawie... – Uśmiecham się dobrotliwie. – Szlakiem przez Prypeć chodzisz, młody?

– Nooo, tak. – Głowę unosi, myśli, że na idiotę trafił. – Wiem, że to nie najłatwiejsza droga, ale jakoś radę dałem, ja i moje wierne magnum. – Tu się klepie gówniarz w okolicy jajec. „Moje wierne magnum”, no co za pokrak jeden, kabareciarz. Procę ci, gnojku, w kieszeni nosić. „Wierne magnum”, suko bura, pajacu ty drewniany.

– A, no to na zdrowie, brat stalker – mówię ja jemu. – A jak znów w Prypecu będziesz, to się może w Energetyku spotkamy, co?

– Ano może, czemu i nie – odpowiada, ale widzę, że coś niepewny, czy łacha z niego nie drę.

– Lubię ja tam zachodzić – ciągnę gadkę do gówniarza, bekę toczę, bo też kto zabroni. – Samica juchociąga tam obłaskawiona mieszka, noszą jej chłopaki żarcie, to się i zabawić można. Jak się do ciebie zabierze, to będziesz potem cały dzień prześcieradło z dupy wyciągał, stalker!

Laski piszcza, nie wiem sam, z uciechy czy z obrzydzenia, a ten jak nie fuknie, jak się nie zerwie zaraz; do mnie z łapami chce startować, ale rzuca okiem za mnie, a tam przy stoliku trzech starych wygów siedzi, gęby jak ze stalinowskiego gułagu, jeden bez oka, z przepaską tylko czarną, widać, że niejeden ogon do pasa sobie uwiązali. Widzi to i siada chłopaczyna.

– A to nie dla mnie takie wywczasy – mówi kwaśno, bo widzi już, że go ośmieszyłem przed panienkami. – Ja tam tradycjonalista jestem.

– No, tak, tak... – Klepię go ja po plecach. – Dobry stalker z ciebie będzie, dzieciaku. Tylko drogi w Zonie pilnuj.

– Mam nowiutkie PDA – odburkuje i wyciąga zaraz z kieszeni, żeby poszpanować. A, toto dziadostwo. Widział ja te ich komputerki, smartfoniki. Tfu, pseudopsu w dupę. Satelitarne namierzanie, ludzi ci pokazuje, a jak włączysz, to zaraz całe Pogranicze wie, że Bożokorow lezie. A jak w Zonę się zapuścisz, to i tak zaraz jak nie

satelitę stracisz, to ci się maszynka popsuje albo ślepa plama jakaś. Tyle warta co prypec-kabana kindybał. Ale laski, jak widzą, to piszczą znów, gną się – to korzystam ja, w dekolty chociaż zerkam, bo też i mają się czym pochwalić, tchu zaczerpnąć na tej Dużej Ziemi pełną piersią mogą.

– No, już, już, nie turbuj się. W Zonie się kiedyś zobaczymy, to też mi figla splatasz. – Zabieram butelkę i do stolika na powrót swojego siadam, resztę polewam. Szumi już wódka w głowie, przepalam ją lucky strikiem, drugim też zaraz, bo za mocno ciągle ciągnę i gwoździa robię. Uśmiechają się stalkery pod nosem, że mi się chce z gówniarza kpić jeszcze, przepijamy kolejkę za tych, co z Zony już nie wyjdą – bez toastu, bez stukania, tak, jak za zmarłych trzeba. Zerkam też ja na zegar nad barem, a zegar wystawny jest – przywiózł go Pietrow z centrum handlowego aż w Kijowie. Zegar piękny, masywny, niby na kutym z żelaza ramieniu, tarcza postarzana, udaje stacyjny zegar, jakie na kolei dawniej miewali. Z pompą taki, na dwie strony czas pokazuje, nie ma to tamto, musi U Pietrowa na bogato być. Wiem tylko ja, że w środku za tą tarczą na bogato to taki gówniany werk zwykły na jedną baterię paluszka, jak w byle chińskim budziku. Wiem, bo sam widziałem, jak Iwan Iwanowicz kiedyś te baterie w zegarze zmieniał. Werki są dwa – po jednym na każdą stronę, na każdą tarczę. To i baterijki dwie; taniutki takie wkładał, biało-zieloniutkie, z łapką, z dyskontu. Ot, taki to cały Iwan Iwanowicz, złoto kapie, ale jak paznokciem podrapiesz, to nie tombak nawet, a plastik się do ciebie szczyrzy.

Przepraszam ja teraz chłopaków, bo mnie się umówiona godzina spotkania zbliża. Do domku za stodołą idę, ze skrytki pojemnik wyciągam, w kieszeń chowam i przez wieś idę. Jest na drugim końcu oddział Instytutu Radiologicznego, a przy nim hotel pracowniczy. Tam też co lepsi goście kwatery sobie biorą. Wchodzę ja do tego hoteliku – w sumie internat to taki trochę, postawili go

jeszcze ludzie radzieccy w osiemdziesiątym szóstym. Z cieciem chwilę gawędzę, co tam siedzi, mecz ogląda – Dymano Kijów z Arsenalem Kijów grają. Zerkam chwilę, ale nie mam ja zdrowia do tej bieganiny. Bo też co to za sport jest, biegają, banda jedna, ba! Żeby to biegali chociaż, a to ledwo łążą – w Zonie by taki jeden z drugim kabana na otwartej przestrzeni trafił, toby dopiero pobiegli, atleci od siedmiu boleści – w krótkie porcięta toto poubierane i szmatę po łące ganiają. A idźcież wy w piździec z takim sportem! O gości swoich dopytuję, na pięterko wchodzę i do drzwi pukam.

Otwiera zaraz mi Terminator taki, w kłębie bydlę ma chyba z dwa metry, ramiona takież, że kwadratowy normalnie. No, nie poleciałyby taki w kosmos, nie wlaźłaby maszkarą do Sojuza nijak, chyba żeby go w ładowni wahadłowca powieźli. Ale nie, wahadłowce nie latają już. A, to nie czeka cię, bratku, kariera kosmonauty, oj nie. Zresztą tak na nich patrzę – bo obok drugi taki sam osobnik, mutanty normalnie, jak klony, to po mordach widzę, że sumaryczne ich IQ razem to może tak w okolicach czternastu oscyluje? W garniturki ubrani, ale na nich te garnitury to jak trykoty na cholernym Batmanie, takie opięte. Rąk nie opuszczają, a nie o to nawet chodzi, że pod pachami chyba mają uragany pochowane, ale też bicepsy takie, że ja w pasie tyle nie mam – nie poradzisz, ręki taki jeden z drugim luźno nie zwiesi. Ot, na co nam radioaktywne promieniowanie, na co nam emisje, jak tu ludzie sami z siebie mutasy robią odżywkami jakimiś? Oba te pokraki, rzecz jasna, jak z filmów zachodnich – noc jest, ale twardo okularki na pyskach przyciemniane, lustrzane, że własny ryj bym zarośnięty zobaczył, jakby tylko dał ja radę na tę wysokość podskoczyć przy takim. A do tego paradne słuchaweczki jeszcze, kabelki białe z uszu wystają, za kołnierz gdzieś pochowane. No kabaret kolejny, lepsza beka tutaj toczona, jak ten co do Zony przez Prypec polazł, trzymajcie mnie, bo zaraz się zerznę w pory. Uśmiecham się ja do siebie i głos słyszę gdzieś zza tych golemów

tępych, totemów neolitycznych.

– Zapraszam pana, panie Bożokorow. – Wstaje od stolika maciupkiego goguś, garniturek na miarę, ale tu widać, że lepsza robota, więcej pewnie kosztował, niż ja dzisiaj za chabar od lichwiarza Pietrowa dostał. Okularki na nosie, ale ładne, zgrabne, szkła korekcyjne lekkie tylko. Na stoliczku laptop, nówka sztuka, mały, ale pancerny, poznaję, pokazywał mi kiedyś kolega prospekty, wojskowe toto, amerykańskie. Ponoć i sama Zona tego nie ruszy, ale nie wiem ja. Podchodzi do mnie i rękę wyciąga, to ściskam łapę. Lelawy trochę jest, ale nie wypada od gospodarza za dużo wymagać. Iwanczenko, powiedział poprzednio, że się nazywa. Jasne, a ja jestem Diatłow, Anatolij Stiepanowicz. Ale niech mu będzie.

Pokrak mi krzesło podstawia – aż pod wrażeniem jestem, że ta kukła z mięsa taka sprawna, bałem się, że jak w ten bochen, co u niego za dłoń robi, chwyci, to w drebiezgi połamie, ale nie, udatny nawet lokaj z pajaca. No to siadam.

– Cieszę się, że widzę pana w pełnym zdrowiu – mówi mi goguś. W pełnym zdrowiu, twoja mać, myślę ja. Nerka boli, żebra obite, a musiałby chyba mieć te okulary minus sto, żeby nie zobaczyć lima na całe oko i wargi spuchniętej, co mi Wyżeł pod sanitariatem zafundował za cudze grzechy. Ale nic to, kurtuazja jest, elegancja-Francja, dyskrecja-Grecja.

– A i panu nie chorować, Iwanczenko – grzecznie odpowiadam.

– Ma pan obiekt, jak rozumiem? – pyta mnie, a sam stuka coś na laptopie, myszką bezprzewodową klika, puka, zerka w ten ekran, jakby tam cuda jakieś miał, a pewnie dupy sobie ogląda albo jakieś porno z końmi insze jeszcze. Chociaż może i nie, tacy jak on to jedyny cycek w życiu widzą, jak matczyny w niemowlęctwie są.

Kiwam ja głową znowu, nie sięgam w kieszeń, nie śpieszę się. Bo i po co? To im zależy, nie mnie.

– Dobrze – mówi szefuńcio i okularki sobie na nosie poprawia.

Nie wiem, czy z głupoty, czy z szelmowskiej szydery, palcem-fakjitem je popycha. Drwi ze mnie i obraża czy za głupi inteligent, żeby pokapować? Co za ludzie, naprawdę, świat cholerny...

– Dobrze – powtarza, jakby nie wiem co chciał przez to powiedzieć. Gębę otwiera, żeby trzeci raz, ale zamyka w końcu i sięga pod stół, walizeczkę małą wyciąga, otwiera zamek szyfrowy, trzask, trzask, strzelają skobelki.

– Szyfr jest, panie Bożokorow, jeden-dziewięć-osiem-sześć – mówi z namaszczeniem. Patrzcie go, komediant cholerny, następny kabareciarz. Co ich dzisiaj tyle, żartownisiów zasranych? Gaz kto rozpylił rozweselający? Ja nic nie czuję, wódkę w żołądku jedynie. A i czuję ją, bom przecież na czczo, nic od rana w pysku nie miałem. No, trzeba będzie zaraz do baru wrócić, zamówić kotleta, bliny jakieś, może polskich pierogów by ja pojadł, dobrych takich, ze skwareczkami, ziemniaki z serem tu kucharz umie przyprawić na nadzienie, że prima sort.

Odwraca mi ten cały Iwanczenko walizkę, ja patrzę, a tam jakieś, kurwa, zabawkowe papiery.

– Co to jest, do chuja wafla? – pytam się ja jego, pokazując na te bazgroły. Co za szajs, dyplomy jakieś? Orzełek ruski dwugłowy, wszystko czerwoniutkie jak carskie ruble, druczkiem małym popisane po rusku, hologramy z pizdrykami się świecą pod lampą na suficie, a jeszcze jakieś metalowe ornamenty na tym.

– Co za gówno pan mi tu przyniosłeś, panie Iwanczenko czy jak się tam pan zowiesz?! – Wstaję ja z krzesła, a w pół drogi jakbym na betonowy filar trafił – to mnie pokrąka za ramię trzyma. Nie trzyma nawet, nie naciska, jeno łapę położył, a tam jakby mi kto kamieni worek na plecy zarzucił, od razu siadam na powrót, aż krzeselko trzeszczy niebezpiecznie.

– Panie Bożokorow. – Składa szefuńcio łapki w tę ich, jak jej tam, piramidę? W ten gest, co to politycy na debatach pokazują, że jacy to

oni kozacy są. – Panie Bożokorow, to jest pierwsza rata w obligacjach państwowych.

– No mać twoja, jechał cię czarnobylec jednego i drugiego. – Wstać chcę, ale mi na ramieniu jak tonę kamieni pokrak łapę trzyma zasrany. – Jakie znów obligacje? W dupę se pan wetknij te swoje obligacje, kurwa!

A potem dociera do mnie druga rzecz.

– Jaka rata, do cholery jasnej? Co ja jestem, wasza mać, sklep ze sprzętem AGD? W ratach mi będziecie płacili? – Poderwać się z krzesła już nawet nie próbuję, bo jak się szarpnę, to mi pokrak łeb niechcący z karku strąci, a ja mam przecież jeszcze żebra sztachetą cerowane.

– Panie Bożokorow, proszę się nie denerwować, to pierwsza z dziesięciu rat pańskiej należności – mówi tamten, patrzy na mnie spokojnym wzrokiem, swolocz jedna, a ja jakbym miał coś prócz wódki w żołądku, tobym chętnie na niego się zhaftował.

Jedna z dziesięciu! Zasrańce, żeby was pokarało, a żeby was tak emisja sięgnęła na otwartym polu, cholerni biznesmeni.

– Proszę się nie martwić – uśmiecha się dymaniec jeden i znów okularki fakjtem poprawia. – Może być pan pewien, że rozliczymy się z całej należności. Wypłacać panu raty będziemy miesięcznie. Musi pan nam wybaczyć, ale to suma pochodząca z różnych źródeł, a nasz instytut musi się, niestety, opowiadać przed różnymi ciałami kontrolnymi. Nie możemy sobie pozwolić, aby ktoś coś podejrzewał. Tymczasem wciągnęliśmy pana na listę płac i zapewniamy panu nietykalność, papiery naukowe i wszystko, co potrzebne, aby mógł pan swobodnie wrócić do Zony.

Miełą w ustach przekleństwo, ale nie mówię nic, bo i co mam niby powiedzieć? No co? Papiery naukowe. Na wała mi papiery, co ja, za Kordon przejść nie umiem? A w Zonie to co mi po ich papierach, chyba żeby dupę se wytrzeć, a to też ryzyko, czy farba jakaś nie

toksyczna aby. I jak sobie gnoje wymyśliły, w miesięcznych ratach, już widzisz jeden z drugim, jak ja tu będę łąził po raty co miesiąc, niedoczekanie. W Zonę pójdę, to znów pół roku mnie nie zobaczycie na Dużej Ziemi. A ten jakby w myślach czytał normalnie, bo gębę znów otwiera.

– Na wypadek gdyby nie był pan dyspozycyjny – mówi; „dyspozycyjny”, jak ci zaraz w pysk strzełę, swołocz ty – to my dla pana pieniądze przetrzymamy i odbierze pan zaległe raty hurtem.

Hurtem, suka ty jedna, hurtem. Nie wie tylko nikt, za ile to miesiący będzie i czy ja z chodki jeszcze w ogóle wrócę. Ale co zrobić. Brać mogę, co dają, albo wstać i wyjść. A i tak wiem dobrze, że mnie pokraki nie wypuszczą, będzie trzeba, to kark skręć i towar zabiorą. Wyciągam więc papierosa, zapalam, chociaż szefuńcio z dezaprobatą w oczkach patrzy – ale uśmiecha się ciągle, więc nic to. Macam ja te ich obligacje. Co ja z tym niby zrobię? Co on se myśli, że co, u Pietrowa za barem kantor wymiany walut się znajduje? Czy że ja na Wysypisku za naboje tymi ich dwugłowymi orzełkami zapłacę? Nie ma co, to mnie załatwili na cacy, zasańcy cholerni. Zachciało się duże interesy robić, to masz teraz, stalker. Psu w dupę to wszystko. A ten patrzy na mnie, gad, i czeka. No tak. Na towar. Sięgam ja w kieszeń i wyciągam w szmaty zawinięty pojemnik. Nie zdążę go nawet na stoliku położyć, a tu drugi pokrak mi go z ręki wyjmuje i pakuje w coś wielkości turystycznej lodówki. Zamyka pokrywą i podnosi, jakby było z kartonu, ale widzę przecież, że to jakieś ichnie dziadostwo, pewnie ołowiu i porcelany w tym ze sto kilo...

Trzaskam ja pokrywą od walizki, peta na podłogę rzucam i jak tylko czuję, że mnie człowiek-buldożer puścił, to wstaję, spod drzwi rzucam jeszcze im „do widzenia”, gadom cholernym, i wychodzę. Zanim trzasnę, słyszę jeszcze: „Do zobaczenia za miesiąc, panie Bożokorow”. Tak, już mnie widzisz, o, nawet dwa razy albo trzy za ten miesiąc mnie zobaczysz!

Schodzę na dół. Ciec dalej ogląda tych idiotów biegających za szmata. Mijam go zły i wychodzę na dziedziniec przed hotelikiem. Co za noc cholerna! Że mnie Pietrow oszwabi, to było pewne. Ale że ci mnie przewala, to się ja nie spodziewa, o nie. Cóż ty, głupi stalker się okazałeś, co poradzisz. Uczciwy chłop, do ludzi otwarty, to naiwniaka nabrali. Obligacje, faaaaak! Wściekły zapalam jeszcze jednego i idę przez wieś z powrotem do Pietrowa. Nie ma co, ładna noc. A, i jeszcze za nic po mordzie obskoczyłem. Po prostu wakacje jak marzenie, na co mi było z Zony wyłaźić, to ja nie wiem.

Otwieram domek u Iwana Iwanowicza, wrzucam walizkę pod łóżko, bez patrzenia nawet, i wracam do baru. Nie ma siły, trzeba to opić. Biorę od razu od Wali trzy flaszki, bo chłopaki widzę, że siedzą jeszcze, obiad zamawiam, porządny, taki jak chciałem, kotleta, pierogów furę, do tego ogórków cały słoik – niech ja coś chociaż użyję z tego, że mnie na Dużą Ziemię zaniósł. Chociaż tyle. Siadam ja przy stoliku, polewamy – chłopaki, widzę, o suchym pysku nie siedzieli, flaszki pod stołem dzwonią, opowieści jakby głośniejsze, barwniejsze, nieco bardziej też mętne. Nadrabiam dwie szklanki i na obiad czekam, a tu nagle rumor przy drzwiach. Zerkam, ale w sumie co mnie to obchodzi? A tu widzę, że się tłum rozstępuje i środkiem idzie komendant posterunku pobliskiego, gnida Pawłowycz. No tego tu tylko brakowało, tfu, od razu mi apetyt minął. Patrząc ja, a ten cholernik prosto jak po sznurku do naszego stolika wali. Staje, a za nim czterech. O, myślę sobie, ktoś tu ma przejebane, jak państwo wojsko po niego przyszli. I wtedy nagle załapuję, że to na mnie się komendant gapi.

– Bożokorow, chodź.

Nie no, trzymajcie mnie. Musiał mi Wyżeł tak przypieprzyć, że mam teraz zwidy jakieś. „Bożokorow, chodź”? Serio? Na serio? Do mnie się, komendancie, pofatygowałeś?

– Ruchy, ruchy, Bożokorow, ja nie mam całej nocy na was,



bandytów.

Dałbym ci ja bandytę, świnio spasiona, jakbyś tylko miał jajca sam na sam do mnie wyskoczyć. Ale nie, taki knur to bez eskorty nawet srać nie pójdzie, bo głupi nie jest. Wstaję więc ja, patrzę tęsknie do baru, bo coś czuję, że obiad mi przepada, i wychodzę za tymi zasrańcami na zewnątrz, w tę noc gwiaździstą, noc felerną, noc pechową na Dużej Ziemi. Wsadzają mnie żołdacy w honkera z emblematami UN i dalejże, jedziemy. Patrzę, a ten obok mnie już trzyma moją walizeczkę z obligacjami, no co za posrańce jedne, domek musieli przewiskać. Nim odjedziemy sprzed baru, jeszcze mi miga gęba znajoma, szczył jakiś. A, znam ja cię, bratku... To ten, co do Zony łąził przez Prypec. To już wiem, kto mnie podkablował. Czekać, gnoju, lepiej, żebyś ja ciebie tu nie zobaczył, jak wrócę. A na razie nie ma się co pieklić, nie pierwszy to raz, jak mnie wojsko zwija. Przynajmniej bić nie będą. Chyba.

Jedziemy asfaltem na północ, a telepie tym honkerem, jakbyśmy przecinką przez las jechali. Silnik wyje, bo go kapralina katuje tak, jakby chciał wziąć odwet za pomordowaną rodzinę. Co za ludzie normalnie, żadnego szacunku dla nikogo i niczego. Ale też i w ogóle co to za sprzęt, skąd oni to gówno wzięli, z kartonu z pomocą charytatywną? Za kwadrans dopiero jesteśmy na posterunku, wyprowadzają mnie w kajdankach – a jeszcze za mocno mi zapiął, kindybał jeden, cisną w nadgarstki boleśnie (a ja już obolały i tak jestem) – i na dołek. Nie ma, że pogadamy. Najpierw trza delikwenta zaksięgować. A nic to, że mnie tu znają już dobrze. Odczekać w kolejce trzeba, bo wojsko musi sprawiać wrażenie, że bardzo jest zajęte i ma dużo roboty. To i siedzę ja w tej celi, kafle na podłodze, ściany farbą olejną pomalowane, w rogu odłazi, to liczę warstwy – siedem – raz malowali, odkąd ostatnio tu kiblowałem. Powodzi się, na farbę olejną stać ich. Szczam do kibla w rogu. Zapaliłbym, ale zabrali mi wszystko na wejściu na dołek, nawet pasek i sznurówki.

Co im się wydaje, że ja się tu powieszę? W tej kpinie z celi półtora na półtora? Niedoczekanie wasze, że Bożokorowa który martwego zobaczy. Zona mnie zabierze i nikt mi nie będzie szczał na grób.

W końcu po prawie godzinie złazi po mnie kapral i idziemy do komendanta, na górę. Siedzi, knur jeden, za biurkiem, ale gdzie tam jego biurku do biurka Pietrowa?! Toż to jakiś grat jest, chyba po Sowietach w spadku jeszcze. Rozeschnięte boki z płyty październikowej, metalowe nogi odrapane, jak się komendant oprze cielskiem, to skrzypi niemożliwie.

– I coście znowu nawyprawiali, Bożokorow? – pyta mnie gnida. A co ja, wiem niby, za co mnie zgarnęli? – Co to jest za kontrabanda reakcyjna? – I pokazuje mi walizkę z, tfu, zasranymi obligacjami.

– To jest moja pensja, panie komendancie – mówię spokojnie.

– Za co ta pensja?! – krzyczy knur i jakby nie był taki spasiony, toby się zerwał z za biurka. Ale za ciężki jest, więc się tylko na łapach opiera.

Wzdycham z żalem. Patrzę na gnoja. Patrzę na kaprala, który niestrudzenie coś notuje, chociaż nikt nic nie mówi. Patrzę znów na komendanta. Papiery naukowe, myślę sobie. Tyle dobrego z tego wszystkiego. No i referuję knurowi, że instytut, że samodzielny konsultant, badacz, tak, ja, Bożokorow, ten sam, owszem, dzisiaj. Są w hotelu pracowniczym, pan dzwoni, komendancie (wale ty ofajdany – ale tego nie mówię na głos), tam nawet wizytówka jest w walizce, pan Iwanczenko poświadczy.

Sapie knur, prycha głośno, widać, że zły, bo mu się towar z rąk wymyka, ale nie odpuści. I dalej biednego stalkera na godzinę jeszcze do celi. Co będziemy mu żalowali. Wyga jest, na ziemi spał, może sobie i z głową przy sraczu pokimać. Na głodnego. Kazał mu kto mieć kartotekę?

Schodzi wreszcie po mnie kapral, celę odklucza, na bramkę zabiera, pasek oddaje, sznurówki oddaje, papierosy oddaje (połowy

brakuje, swolocze zasrane, złodzieje jedne), dokumenty i resztę. Zadzwonili. Iwanczenko chyba faktycznie lepszy kozak, bo normalnie by mnie na dołku dobę tak czy siak trzymali, a tu proszę, Bożokorow wraca na łono społeczeństwa.

– A walizka z obligacjami? – pytam się. Nie wiedzą. To nazad do komendanta leci któryś, wraca zaraz. No jest, ale zatrzymana do wyjaśnienia. I tak proszę, pierwsza rata poszła się jebać. Miałeś, chamię, złoty róg... Macham już na to wszystko ręką, dość mam tej nocy, żołądek mnie ssie, żebra bołą, nerka boli, ryło boli, spać się chce, wszyscy dzisiaj mnie napadają, okradają, biją, na czorta ja wylazł z Zony? Na co mnie to było? Zostałby ja na dachu stróżówki, z kabanem by my pogawędzili, pożartowali, rano by się każdy w swoją stronę udał i by my mieli z głowy. Ostrzegąła Zona, znaki dawała, zatrzymać Bożokorowa chciała, ale nie, uparł się stalker głupi, baby mu się zamarzyły, pierogi, wódka na trzy palce i piwo z pianką, papierosy dobre i gotówka za chabar. Idiota jesteś, Bożokorow, nie stalker, debil, matoł, kretyn jakich mało. Z gówniarza się śmiałeś, że przypał, a sam się podłożyłeś jak frajer... Ech. Ciągnę noga za nogą z posterunku – a przede mną ładne piętnaście kilometrów. Toż ja do rana tego nie zrobię.

No i nagle szczęścia łut – samochód podjeżdża, widzę dwie babki jakieś. Młode, roześmiane, pytają, czy podwieźć? Panienko droga, niech ci wynagrodzi Bozia czy kto tam chcesz. Toż mi życie ratujecie. Wsiadam i pędzimy. Dokumenty przekładam po kieszeniach, kasę chowam, bo tak głupio jakoś, co mi oddali w pliku, co trochę od Pietrowa lichwiarza z doli wziąłem, to w rękę ścisnąłem, jak szedłem. Uśmiecham się – babeczki fajne, mówią, że studentki, podrzucą mnie, gdzie chcę. Dalej jadą, jak mnie trzeba, któraś chłopaka ma na Kordonie, w kontyngencie. A ta druga, milutka taka, ząbki jak perełki do mnie szczerzy, miłe słowa mówi. Ja już ledwo żywy, wódka we łbie szumi, żołądek jak kamień –

przepadły moje pierogi, ale może jeszcze mi drugich nagotują na kuchni, mam nadzieję. Łeb mi się kiwa lekko, bo też noc paskudna. A ta się uśmiecha do mnie, spryčiuła mała, i bluzkę do góry nagle podciąga. Patrzą ja, ależ ona bimbały ma! No sami Gospodarze Zony by lepiej stalkera Bożokorowa nie ugościli ani prezentu lepszego nie dali. Okrągłe toto, jędrne, sterczą sutki jak się patrzy. Sięgam ręką, ale się śmieje tylko rusalka i odsuwa, a ja lecę w przód na pysk, bo gwałtownie zahamowaliśmy.

– Tutaj już? – pyta mnie ta druga, a ja widzę, że przed Iwana Iwanowicza przybytkiem jesteśmy. Ano, tutaj, z żalem myślę. Gramolę się z samochodu, na rusalkę zerkam, tamta oko zalotnie puszcza i odjeżdżają panny w siną dal, kurz tylko się po asfaltówce niesie. Ech, krótka taka podróż, ale przyjemna. W tamtą stronę to się kwadrans ciągnęliśmy, a teraz to zdało się, że ino mig. Do baru wchodzę, łapę w kieszeń kładę i już wszystko jasne. Głupi się na cycki zagapił, a szmal wyparował. Przetrząsam wszystkie, jakie mam, kieszenie, ale zwitek banknotów jedzie sobie już teraz z rusalkami gdzieś na południe, do chłopca w mundurze, pięknego jak malowanie, co Kordonu strzeże. Tak się dać obrabować, jak kretyń. Frajer jesteś, Bożokorow, frajer nie z tej ziemi...

Oj nie, myślę ja sobie, nie z Dużej ja Ziemi jestem. Do Zony mnie wracać. Woła już, słyszę jęk przeciągły w kościach. Nic tu po mnie. Wchodzę, na zegar zerkam – czas mam jeszcze, do świtu trochę zostało. Zjeść muszę, bo całą noc na wódce tylko. Kamraty przy stoliku, widzę, powykruszały się, jeden tylko siedzi, ten bez oka. Wąż na niego wołają. Taki film był kiedyś, o facecie bez oka, co miał ksywkę Wąż. Niezły kozak, a i ten imiennik jego też nie wymoczek. Siadam ja i Wałę wołam. Pierogów oczywiście dawno nie ma, wyzarli wszystko. W sumie to i kotleta nie ma. Kiełbasy mi może kucharz ugotować na ciepło i z chlebem. No, to królewska mnie uczta czeka, nie ma co. Po to ja się po krzakach czołgałem? Serio?

Przepijam do Węża, zapalam, za chwilę faktycznie kielbaskę dostaję – spora nawet, dobra, widać, że Iwan Iwanowicz wyszedł gdzieś, nie pilnuje interesu, jak kucharz takie porcje daje. Śmieję się ja do Wali, ale już na baby dzisiaj nie mam ochoty, a zresztą pewnie bym od gospodarza gazrurką po plecach zaliczył, jakbym spojrział chociaż. Pilnuje pies obejścia.

Dojadam kielbaskę, chleb wcinam i mi się przypomina nagle to piwo wymarzone, zimne, z pianką. Od tego miałem nockę zacząć, a przez te przeboje wszystkie całkiem zapomniałem. Ile ja już piwa nie pił? Będzie od poprzedniego wyjścia na Dużą Ziemię. Pół roku. No nie ma siły, nie odpuszczę, chociaż to jedno się dzisiaj udać musi, noc przekłeta, ale stalker się nie poddaje, stalker pola nie ustępuje. We łbie mi się już mąci od tego niewyspania i od tej wody. Dosiadam się do baru, stołek akurat wolny, piwo zamawiam. Świeży keg akurat Pietrow podpina, bo wrócił, za jakimiś sprawami na zapleczu siedział – pewno kolejnego stalkera okradał z doli za artefakty – i leje mi. Nijak to nie zimne, bo z magazynu przyniósł, nie z chłodni wcale. A piany za to na pół kufła, bo zgazowane jak jasna mać, pierwsza partia z beczki. Nie odpuszczę, na siłę wduszę, ale piwa ja się napić muszę. Odstawiam pusty kufel, odbija mi się.

– Płać – mówi mi Pietrow.

– Z wódki zapasów se potracę, lichwiarzu – rzucam mu i wstaję. Chwieję się lekko i odbija mi się przeciągle i tak potężnie, że się pół sali ogląda. Ożeż ty w mordę, ale zgazowane było. Nic to. Wytarabaniam się ja z baru, z domku zabieram rzeczy swoje, na zewnątrz już się ubieram, pod gwiazdzistym niebem, bo mi coś duszno i słabo we wnętrzu. Kasiorę po kieszeniach upycham. Zakupy robić chciałem, ale w dupie to już teraz mam. Domek zamykam, a klucz ciskam na słomiankę u tylnego wyjścia. Znajdzie, nie zgubi, jego podwórko za stodołą w końcu. Do skalniaka jeszcze podchodzę. Ma Iwan Iwanowicz ogródek skalny mały, sukulenty

sobie, suka jedna, hoduje na nim. Piękny jak z obrazka, psiamać. Schylam się ja i żwirku garść w kieszeń sypię. Na drogę do domu w sam raz. Jedni rzucają nakrętkami, a stalker Bożokorow rzuca żwirem. Taki mam ja styl. Schylam się drugi raz i w drugą kieszeń ładuję kulki marmurowe. Wysypał se, jebaniec nuworysz, całą jedną kwaterę na skalniaku kuleczkami marmurowymi. Z Ikei je kupił czy gdzie, pies to wie, grunt, że kuleczki śliczne, toczone, okrągłejsze niżli cycki tej złodziejki cholernej, co autostopowiczów obrabia. Garść biorę jedną i drugą, bo piękne są, białutkie jak mleko, a każda jedna toczka w toczkę taka sama. Do rzucania będą w sam raz.

Wychodzę na ulicę i jak nie walnę z nagła haft. Zgina mnie w pół, a odgłos taki, jakby juchociąg w wyżymaczkę wleciał. I już szlag trafił kolację, kielbaska z wody poszłaaaaa do rowu, psia jej mać. I piwo z pianką, bach, w trawę poleciało. I na szczęście całą wóde też ja wyrzygał, siek, siek, chlust, prosto na glebę poszła. Od razu mi się jakoś lżej zrobiło na żołądku i na duszy, lekko tak, że mógłby ja się nawet napić znowu. Ale nie. Zęby zaciskam i maszeruję ulicą, w las zaraz skręcam, przecinką idę twardo, szybko. Co krok, to szybciej nogami przebieram.

Daleko już nie mam, chwila jeszcze i zaraz granica, tutaj się już trzeba mieć na baczności. Schylam się i po krzakach leżę, łatwiej teraz niż ostatniego wieczora, bo plecak pusty. Miałem ja nakupować żarcia, fajek, wódki wziąć. Nic z tych planów nie wyszło. Nieważne to teraz, nieważne, byle spieprzać. Z dała od Dużej Ziemi, byle już do Zony wejść, tam normalnie jakoś, zwyczajnie. Złości nie ma, nienawiści nie ma. Mutasy swoje robią, od tego one są. Ja chodzę na chodkę sobie, sam sobie panem, od nikogo ja nie zależny. A tam, za plecami, między ludźmi – piekło jakieś. Normalnie jakbyś na emisję trafił, flaki się wywracają. Przedzieram się, za chwilę trzeba będzie paść w błoto i poczołgać się na tamtą stronę. Ale nic to, przed świtem jest, to taka godzina, że wszystko zamiera, czeka

tylko, przyroda i człowiek, żeby już słońce wyszło. Byle jakiś nadgorliwy snajper nie ustrzelił, a nawet jakby patrol, to co tam, zadzwoni się do Iwanczenki, wybronią. Papiery naukowe, psia ich mać. Mieli dać, ciekawe niby jak, do Zony mi gołębiem pocztowym poślą? Debile jedne...

– Stój, bo zastrzelę! – słyszę z boku. Udaje twardziela, ale aż piszczy od adrenaliny. Cholera nadała, nie mogę się uwolnić od tego świata przeklętego! Klnę pod nosem. Do domu mi się śpieszyło, a tu klops, na samej granicy złapali. No to będę ja dzwonił zaraz po szefuńcia i jego pokraków dwumetrowych. Obracam się i z ulgą oddycham. Nie żaden to żołdat, nie bandos nawet. To ten gnojek z baru, kumpel tego frajera, co go przed łaskami ośmieszyłem. Ścisza w garści coś, co pewnie jest pistoletem, ale ciemno jeszcze na przedświcie, słabo widzę, a chociaż wódy morze wyrzygałem, to jednak wzrok mętny.

– Artefakty dawaj, stalker, ty! – piszczy do mnie, gnojek jeden, i potrząsa pistolecikiem. Debil. No debil, normalnie, obrabiać chce stalkera wchodzącego do Zony. Ale cóż, głupich nie sieją.

– Nie mam ja. – Wzruszam ramionami. Co będę idiocie tłumaczył?

– Dawaj artefakty, suka, albo cię podziurawię! – Widzę, że się gówniarz aż trzęsie. Cholera wie, może być tak, że naładowane to coś ma i faktycznie, spanikuje i strzeli. Bo z gęby na mordercę nie wygląda. Na kretyna – a i owszem. Wzruszam ramionami. Skąd wezmę, jak nie mam? Cham się uprze i mu daj! Przeszuję z nogi na nogę i czuję, jak mi w kieszeni coś grzechocze. Uśmiecham się szeroko. Zadam ci ja bobu, palancie strugany. Będziesz miał, suka, swoje artefakty!

– Mam jeden – mówię ostrożnie – ale nie bierz mi go, dobry człowieku, bo to osobisty mój artefakt. Cudny bardzo i dla stalkera cenny!

– Dawaj, dziadu, nie piernicz! – Podryguje mu ręka z pistolecikiem, jakby konia walił. – Co tam masz, łachudro jedna?

– Mamine korale. – Mało się nie duszę ze śmiechu. – Potężny to artefakt, medyczny, rany uzdrawia. Chciał mi za niego Pietrow dwa kafle dać, ale nie oddałem za kasę, bo mi do ratowania życia w Zonie konieczny. – Aż sam się dziwię, że tak zgrabnie kłamię. Dziwniejsze jest tylko to, że gówniarz-idiota łyka ten kit jak młody pelikan ryby.

– Dawaj, dawaj, dziadu! Bez numerów tylko. – Wyciąga do mnie rękę chciwie, potrząsa nią nerwowo. Krzywię się, niby że mi się krzywda dzieje jakaś niemożliwa.

– Daruj, człowieku, ja w Zonie zginę bez maminych koralii! – Patrzę na niego jak spaniel.

– Chuj mnie to! – piszczy podniecony wyrostek. – Dawaj artefakta, dziadu, i spadaj do tej swojej Zony zasranej.

Ze zboląłą miną sięgam w kieszeń, wyliczam w palcach pięć pięknych marmurowych kulek z Pietrowowego skalniaka, waham się chwilę, wargę zagryzam jak panieneczka na pierwszej potańcówce, wreszcie dłoń z „maminymi koralami” wyciągam. Tamten chwyta je łapczywie w rękę, do oczu unosi.

– No! – śmieje się. – Nie będzie mi teraz Kogut zasraniec szpanował tym swoim magnum. Dupa on jest, nie stalker. Artefakty zdobyłem! U Pietrowa się obłowię! Kto jest stalker? Ja jestem stalker!

– Ja jestem Spartakus – rzucam z głupia frant. Jasna cholera, pijany ja jeszcze ciągle, i to naprawdę na serio.

– Co? – pyta młody głuptak, zaskoczony.

– Nie, nic. Nic.

– No to wypad z baru, dziadku, bo zaraz kulką poczęstuję – rzuca „stalker” i sam zaczyna biegiem spieprzać na wschód, mało nóg nie gubiąc. Wzruszam ja ramionami i przed siebie ruszam. W dupie już mam to wszystko, śmiać mi się tylko chce. Noc popaprana. Nie mam siły nawet się już zastanawiać, czołgać, leżę na azymut, prosto w kierunku Zony. Mijam granicę, wchodzę na łęg i czuję już – na swoim jestem. U Matuszki Zony, w domu. Dużo czasu nie mija, a



dochodzę do budki dróżnika, co nie przy torach stoi. Tam ja spotkał wczoraj prypec-kabana, chociaż to Pogranicze i nie chadzają. Na dach włączę, siadam. Paczkę zmiętą z kieszeni na piersi wyciągam. Ostatni się ostał lucky strike. A miałem sobie wagon kupić albo i dwa. Żeby sobie zapalił ja, jak już podjem konserwy z mielonką i chleba świeżego, nie z puszki. Wszystko szlag trafił, plany, pomysły, wszystko. Duża Ziemia ugościła stalkera najlepiej, jak umiała, oj, nie zapomnę ja tej nocy długo, nie zapomnę ja.

Hałas jakiś słyszę – jakby warkot, pochrząkiwanie jakieś czy coś. Patrę ja z dachu pod nogi, a tam prypec-kaban, suka jedna, pod budynkiem stoi. Gapię się ja na niego, a ten, no nie uwierzycie, łeb zadziera, gapi się na mnie. Jak zaraz przemówi do mnie, to ja nawet okiem nie mrugnę. Już teraz mnie nic nie zdziwi. Ale nie mówi nic kaban, tylko na dupsku szczeciniastym przysiada i na wschód patrzy. Patrę też i ja, na horyzont, bo już tam rozlewa się jasność.

Świt piękny jest w Zonie. Chwila taka, że się na sercu ciepło robi. Zamiera wszystko – stalkerzy, mutasy, bandosy. Każdy patrzy tylko na ten dzień, co się rodzi.

I siedzę tak ja na tym dachu, nogi dyndają. W żołądku lekko, na sercu lekko, w plecaku lekko i w kieszeni lekko. Kurzę ja ostatniego dobrego papierosa. A trzy metry pode mną prypec-kaban na szczeciniastym zadzie siedzi. I patrzymy tak oba, ja i kaban, na wschód słońca w Zonie.

Konstancin-Jeziorna, 22–23 maja 2014

# PRZEZ KRAJ LUDZI, ZWIERZĄT I BIESÓW

## Jacek Komuda

### 1.



Strzały spadły jak grad kamiennych okruchów. Ich świst usłyszał raczej zmysłami duszy niż uchem. Pierwsza przeleciała tuż nad głową, druga przebiła prawą połę czerwonawej pikowanej jaki; szczęśliwie nie ruszyła ciała, bo odrzucił materiał na bok, kiedy siadał na konarze, przy ogniu. Trzecia trafiła! Wbiła się w lewe ramię, znacznie powyżej łokcia. Bolesna jak pocałunek węża; wokół rany od razu zaczerwieniła się krew.

Podskoczył, chcąc wstać, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że to błąd – wystawiłby się prosto na strzał. Zatem przetoczył się półobrotem w tył, padł brzuchem w miękki śnieg, naruszył przy tym ranę, więc zawył, zaciskając zęby.

Strzały świstały dalej – jedna, druga – nad głową. Wyczekał chwilę, aż przestały lecieć, i na czworakach rzucił się do przodu. Pełzł szybko, miotał się w gęstym puchu jak oszalały zwierz – aby dotrzeć do jodły. Tam uwiązany był szpakowaty, posrebrzany siwizną koń, potrząsający suchym, szlachetnym łbem; zły i spłoszony – jemu także nie podobało się to wszystko.

W ostatniej chwili poderwał się i skoczył do wierzchowca. Chciał złapać strzemień... Nie dali mu tej szansy! Strzały – jedna ze świstem, druga z chichotem kościanego, dziurkowanego grota Hungurów,

wbiły się w pień drzewa. Kolejna przemknęła tuż nad łbem konia.

Wierzchowiec, choć bojowy, spłoszył się. W jednej chwili szarpnął łbem, prawie stanął dęba, aż pękł pleciony rzemień uwiązania. Uwolniony koń poszedł ścieżką między grubymi pniami drzew, jakby ścigając się ze strzałami.

– Pioruuuuun!

Ranny zobaczył tylko oddalający się zad przyjaciela, obsypał go mokry śnieg i grudy gliniastej ziemi spod kopyt. Chciał chwycić strzemień, ale palce minęły je o włos. Upadek, złagodzony miękkim puchem, znowu przeszywający ból w lewym ramieniu.

Poderwał się natychmiast, bo nie miał ani chwili. Nie pobiegł za koniem – na ścieżce, na odkrytej przestrzeni czekała go śmierć. Zgięty ku ziemi, skoczył w bok, między jodły i świerki, zapadł w górski, kamienisty bór okryty bielą wczesnojesiennego śniegu, spod którego sterczały gałęzie i głazy. Skakał po pochyłości, klucząc od drzewa do drzewa. Nie słyszał, nie widział strzał ani wysyłających je prześladowców, ale musieli podążać za nim. Ześlizgiwał się coraz niżej i niżej, w głąb jaru, do łożyska górskiego potoku. I nagle pośliznął się, zjechał na piętach, potem upadł i stoczył się, rycząc z bólu. Z każdym obrotem czuł okrutne uderzenia w lewym ramieniu, bo grot przesunął się w ranie, drąc skórę i mięśnie, wbijając się coraz głębiej.

Uderzenie czołem w kamień było jak kubeł zimnej wody po przypalaniu żelazem. Przez chwilę zbierał się, oszołomiony i drżący; czując w ustach krew, ziemię i śnieg. Musiał iść dalej, uchodzić, wyhodować sobie skrzydła, jeśli nie chciał tu zdechnąć, przyszpilony do drzewa albo ziemi strzałami. Znajdował się na samej krawędzi urwiska wyciętego w skałach przez strumień, przybierający każdej wiosny. Teraz potok jednak płynął jakieś dziesięć łokci poniżej – w rozpadlinie. Nie było zejścia – zostawał skok. Chyba że...

Umykał w bok, skulony; zobaczył pień jodły, wyschnięty, pełen

suchych gałęzi, zwalony nad potokiem jak kładka. Mógł przeleźć po nim, więc opadł na kolana i posuwał się do przodu, kalecząc ręce.

Ból w ramieniu był straszny – nie mógł wręcz wesprzeć się na lewej ręce. Zatrzymał się i chwycił za drzewce – chciał złamać je, żeby nie naruszało rany, kiedy zaczepiał nim o gałęzie...

Nie zdołał tego zrobić.

Kolejna strzała ugodziła go cicho, podstępnie. Tym razem w prawy bok, skośnie z tyłu. Krzyząc, stracił równowagę, klapnął na pień rozkraczonymi nogami, czując, jak jakiś sęk albo gałąź rozdziera mu kolano – jakby nie miał jeszcze dość bólu. Przechylał się w lewo – nadaremnie próbując złapać za gałęzie lewą, ranną ręką. Bez siły, bez szansy... Spadł!

Uderzenie w lód, zimny, twardy jak kamień. Jęcząc, pełznął przed siebie – pewnie dotarłby do skraju strumienia, może nawet resztkami sił wspiał się po kamieniach na wysoki brzeg. Ale lód był za cienki. Pękł z trzaskiem i nagle mężczyzna zanurzył się w ciemnej czeluści. Strumień był głęboki, wezbrał na dnie jaru, toczył się szybko pod lodem, zmroził, ale i dawał ulgę od bólu.

Wyciągnął ręce, rozczapierzył na przyprószonej śniegiem tafli, chciał się podciągnąć, lecz pękała z trzaskiem. Pogrzyżył się prawym ramieniem, krzyknął, drąc paznokciami białą, szklistą powłokę.

– Jessoooo!

Zniknął. Woda wciągnęła go pod lód, przepadł w postrzępionym przeręblu, który uczynił własnym ciałem.

Cisza. Okrutna górską cisza zapadającego zmroku. Ponurych, stromych szczytów, słońca ukrywającego się za szarą zasłoną chmur, zachodzącego gdzieś za błękitnymi wierchami.

Nagle sapanie, zdyszane głosy. Zakotłowało się na lewym brzegu strumienia. Zza kęp głogu i tarniny wyskoczyły skulone postacie w szpiczastych czapach. W pancerzach ze skrawków prażonych skór, wiązanych rzemieniami, w pikowanych kaftanach wypchanych

końskim włosiem. Szpiczaste futrzane czapy i skórzane hełmy pochyliły się nad rozpadliną. Czujne skośne oczy badały lód, zarośla, brzegi zamarznętego strumienia. Powyginane łuki były już w łubiach, toporne, krótkie szable chwiały się przy bokach. Hungurzy. Gorszi niż wilki w wymarłej okolicy.

Najstarszy – w skórzanym hełmie, z trzema opadającymi na policzki i kark klapami skóry – ostrożnie zsunął się na dół, postawił stopę w juchtowym bucie na lodzie, spróbował, czy nie załame się pod jego ciężarem. Pokręcił głową, spojrzął w górę.

– Bagadyr, bagadyr! On zginął! Oooo, słońce stepu, utopił się.

– Dalej, Slookarij! – zacharczał suchy, wysoki Hungur w bogatym pikowanym kaftanie i narzuconym na niego krótkim deelu z sobolowym kołnierzem. Jego lewy policzek przecinała okrutna blizna wyglądająca jak przedłużenie ust. – Ruszaj. Ten wojownik jest jak skała. Jak miecz. Szukajcie go!

Zakrztusił się, charczał i kasłał, przesłaniając usta dłonią.

– Bagadyr, gdzie?

– W dół, idźmy z biegiem wody.

Hungurzy skoczyli na brzeg strumienia. Dwóch przebiegło po powalonym drzewie jak młode żbiki. Ruszyli szybko, trzymając w gotowości łuki.

Rozpadlina opadała między dwiema wznoszącymi się stromo ścianami jodeł. Ledwie dało się przejść po śniegu i kamieniach. Najpierw było cicho, potem usłyszeli szum. Nasilał się.

Wreszcie dotarli do krańca jaru; rozpadlina urywała się jak odcięta nożem. Dalej była przepaść – na jej krawędzi strumień uwalniał się z lodowej czapy, spadał z szumem i hukiem wodospadu – dobre trzydzieści stóp w dół. Niżej zobaczyli błyszczące w półmroku jezioro pozbawione lodu, jedynie na brzegach szklące się przezroczytą taflą.

Bogaty Hungur splunął krwawą śliną w otchłań. Po jej drugiej

stronie, nad lasem, widzieli wznoszące się ostro granie Gromnika, największego masywu Koła Gór, które jak wielki mur otaczało od wschodu równiny i wyżyny Młodszej Lendii. Teraz, o zmierzchu – ciemnobłękitne na tle mroczniejącego nieba, znaczone szarymi plamami skał i białawymi płatami śniegu. Spuścili głowy – na dole nie widać było nic, tylko śnieg, woda, pobielone wierzchołki drzew, gęstwina młodych jodeł i tarniny na brzegach jeziora.

– Mówiłem, psy! – wycharczał przywódca. – Schodźcie w dół, szukać go! Do skutku!

Stary Slookarij padł przed nim na kolana, uderzył czołem, aż wybił dołek w śniegu.

– Bagadyr Bulcsu, nie każcie nam iść na śmierć.

– Skaczecie po skałach jak kozice.

– Tam jest źle. W nocy, teraz... Nie można tam chodzić.

– Dlaczego?

– Ja widziałem ślady. Złe. Jego i tak dopadną, jeśli przeżył. Zejdziemy rano, znajdziemy drogę. Poszukamy... resztek. O ile w ogóle będzie co szukać, bagadyr!

– Jeśli zginie, nie będzie próby... – odezwał się młody Hungur. Lico miał gładkie, wejrzenie skośne, ale zamglone, niepewne, wąsy jeszcze mu nie wyrosły.

Był znaczny – przy ponurych, okrytych futrami postaciach wyglądał jak księżę, w srebrzystej katandze obrębjonej purpurową taśmą, przepasany łuskowatym pasem, sajdakiem z błyszczącymi guzami, zbrojny w szablę zdobioną złotem.

– Nie ten, będzie inny – wycharczał Bulcsu. – Znajdzie się – choćby ten tam... Gleb. – Kiwnął głową w stronę, z której przyszli.

– Nie będziemy schodzić? – Młody zadrżał. – Powiedzcie, że nie. Błagam!

Bulcsu spojrział dokoła, popatrzył na las, skały i przepaść, skrzywił się, a blizna zmieniła jego twarz w oblicze szyderczego maskarona.

– Na dziś koniec. Zejdziemy jutro.

– O tak, bagadyr – potakiwał stary Slookarij. – Dobrze, kiedy ciało ma głowę, a szata kołnierz. Zejdziemy za dnia. Będzie... bezpieczniej.

Wracali po ciemku, potykając się i ślizgając na śniegu, zapierając, podając ręce, aby wciągnąć na górę chudego, dygoczącego i ponurego Bulcsu. Gdy wydostali się z jaru i ruszyli przez las, dostrzegli blask ogniska.

– Bagadyr, źle! – zajęczał Slookarij.

Na polanie, gdzie wcześniej przycupnął uciekinier, płonął ogień. Obok przywiązane do drzew stały bez ruchu nieduże, krępe, srokate konie hungurskie, obojętne na wszystko, co działo się dokoła. Przy ogniu krzątał się postawny mężczyzna o ponurym obliczu, z krótką brodą, szeroką i przystrzyżoną jak łopata. Był w ćwiekowanej przeszywanicy, z mieczem przy boku, w szpiczastym szyszaku. Kiedy chciał dołożyć do ognia ułamaną gałąź, Bulcsu wytrącił mu ją z ręki kopniakiem.

Zniewaga zaboląła. Odskoczył, złapał za miecz, ale Hungur tylko popatrzył na niego oczyma wąskimi niczym szparki. I położył dłoń na szerokim, segmentowym nahaju zatkniętym za pas.

– Nie będziesz palił ognia, Gleb!

– Czego chcesz?

– Słabym jesteś przewodnikiem, skoro nie wiesz, że tu, pod Gromnikiem, nie potrzeba światła.

– Te wasze... pogańskie przesady! I nie musisz od razu...!

– Mogę i chcę, Gleb. Kim ty jesteś? Mam ci powiedzieć?! Psem kniazia hospodara Dregowii, który sam jak sobaka bije czołem kaganowi. A wiesz ty, kto to jest pies psa? To... po waszemu kundel!

Mężczyzna zadygotał ze złości, sponiewierany, ale pokorny, bo sam jeden wobec ośmiu Hungurów, beznamiętnych jak kamienne posągi.

– Ogień przyciągnie je na górę – odezwał się Slookarij. – Bagadyr – dodał z wahaniem, jakby bojąc się, że urazi Bulcsu. Mężczyzna położył tarczę pod drzewem; nie miała żadnego klejnotu ani znaku, widać nie był pasowanym rycerzem albo po prostu nie pochodził z Lendii.

– Gdzie Jaksa?! Zabity?

– Żyje! – uciał Bulcsu. – Jutro zejdziemy po niego.

– Jeśli nie zamarzł.

– Przeżyje. Jest twardszy od ciebie, Gleb! Zgaście wreszcie ten ogień.

– Idzie mróz.

– Przesiedzimy pod koźmi. Borte! Gujuk! – Dowódca skinął na dwóch Hungurów. – Idźcie szukać jego rumaka.

– W las, bagadyr?

– Kawałek. Nie bójcie się.

Usiadł na stosie gałęzi, okrył się skórą. Zacharczał i splunął krwią. Młody Hungur przycupnął koło niego – na obitej złocistą blachą kulbace. Czekali.

## 2.

Lodowata woda, która wypłuła go trzydzieści stóp poniżej urwiska, skuwała ciało żelazną obręczą chłodu. Przez chwilę nie czuł szarpiącego bólu w ranach, kiedy nieporadnie, jak ślepiec wypętał z jeziora na śnieg, czołgał się, włókł aż do pierwszych drzew. Wstawał powoli, czepiając się każdego zagłębienia kory; ledwie się wyprostował, od razu wstrząsnął nim dreszcz. Był sam w środku górskiego lasu, zapadał zmierzch, od ośnieżonych górskich szczytów nadpełzało okrutne, dławiące siły i wolę zimno.

Dygotał i trzął się, a w nocy miało być jeszcze gorzej. Musiał rozpalić ogień. Za wszelką cenę. Sięgnął do pasa, do mocno



związanej sakiewki natłuszczonej bobrzym sadłem, w której przechowywał hubkę i krzesiwo. Aż jęknął, kiedy odezwała się rana w prawym boku.

Jesso! Jeszcze to. Musiał spróbować. Po kolei.

Ujął drzewce, a właściwie chciał ująć, gdyż zabolalo tak mocno, aż jęknął. Z oczu trysnęły mu łzy. Musiał wyjąć strzałę, coś zrobić. Szybciej!

Ból otrzeźwił go trochę. Rozejrzał się, zobaczył rozwidlony buk – pionową odnogę wystającą z gładkiego pnia na wysokości kolan. Jęcząc, podszedł bliżej, obrócił się tyłem, zerwał twardą gałązkę i zagryzł w zębach. Będzie bolało.

A potem powoli, cofając się, wprowadził sterczącą z boku strzałę w zagłębienie między pniami.

Chciał przygotować się do bólu, ale los uprzedził go. Przysiadając na nogach, stracił równowagę, z cierpienia, zimna, słabości. Po prostu zwałił się na ziemię, na brzuch.

Krzyknął, ale o dziwo, ból nie był tak straszny. Poczul szarpnięcie, jakby rozpalona kula przeleciała po żebrach; pozostało po niej tylko mocne klucie.

Pomacał bok, leżąc w śniegu – wyczul dziurę i krew. Strzała nie weszła głęboko – raczej przebiła skórę przy żebrach, wstrzymana przez płótno jaki. Jęcząc, przykładał tam śnieg, który mieszał się z krwią, i nagle poczul, że jest mu dziwnie słabo, jakby mniej zimno. Zamarzał. Oddech dobywał kłęby pary z jego ust, pewnie też kładł się szronem na zarośniętych policzkach.

Musiał rozpalić ogień! Tymczasem grot drugiej strzały wszedł głęboko. Jęcząc, chwycił prawą ręką długie drzewce, złamał jednym ruchem, tak, żeby został kawałek na dłoń od rany, ale by długi promień nie zaczepiał o gałęzie.

Podniósł się z trudem. Zimno, zimno, lód... Poczul, że jaka sztywnieje na mrozie. Najpierw ogień, zdjąć mokre łachy, ogrzać

się, wyciągnąć strzałę. Wysuszyć, ubrać się znowu. Trzęsącymi się rękoma sięgnął do sakiewki, rozluźnił mokry rzemień, pogrzebał w środku. Od razu wyczuł żelazny, zawinięty dwukrotnie kabłąk krzesiwa, ostre krawędzie krzemienia. Wyciągnął to wszystko...

Jęknął. Gruby płat hubki był mokry, rozpadał się w palcach jak zetlałe szmaty.

Skrzeszał ognia, ale iskry padały na mokrą rozpałkę. Zacisnął krzesiwo w dłoni i zrobił krok, szedł przez las, potykając się o korzenie, szukając czegoś, co mogłoby zastąpić hubkę. Nic. Wszędzie gładkie bukowe pnie, krzaki, pod drzewami gliniasta ziemia, mech, kamienie, ciągle ten śnieg, czasem sięgający wyżej kolan.

Zamarzał. Zęby szczękały mu z zimna, czuł dreszcze, szarpały go jak pazury bestii, kostniał, coraz trudniej było zginać pokrwawione nogi.

Nagle las skończył się – zobaczył polanę, a z boku wychylające się spod śniegu suche badyłe ostów zwieńczone bulwami z delikatną przędzą. Za dnia, w słońcu byłyby czerwonawe, teraz wyglądały na szare. Zerwał jedną, roztarł w dłoniach. Wiatr wysuszył je niczym lniane pakuły.

Nie wiedział, skąd znalazł siły, aby uchwycić pierwszą lodygę. Złapał i zaraz jęknął, bo była kolczasta, zacięła go w rękę ostrymi igłami bólu. Aż zapłakał, bo w jego ciele nie było już miejsca na nowe cierpienia. Krzycząc, potykając się, rwał osty, zwał na płaski kamień na środku polany. Jeszcze znalazł dość sił, aby przyciągnąć kilka wilgotnych gałęzi.

Ginę! Ginę! Ginę! – coś kołatało mu w mózgu.

Mról był straszny. Jaka trzeszczała przy każdym ruchu, pokryta lodem, ziębiła jak kamień zmaltretowane ciało. Wreszcie padł na kolana, zanurzył ręce w stosie lodyg, łapał bulwy, rozcierał delikatny puch, gromadził w jednym miejscu.

Gdy pierwszy raz skrzesał iskry, był prawie zamrożony. Krzesiwo wyleciało mu z rąk, wpadło w śnieg obok głazu. Padł na kolana, szukał go po ciemku. Nie ma! Nie ma! Jedyne Jesso! Już jest martwy.

Wreszcie cudem wyczuł obły kształt. Tulił go jak skarb. Skrzesał ognia dygocącymi rękoma. Nie ustawał. Raz za razem snop gasnących szybko iskier strzelał z krzemienia. I jeszcze raz! I jeszcze!

I wreszcie coś zatrzeszczało. W zwitkach ostowych głów podniósł się ogienek. Rozdmuchiwał go bladymi ustami, modlił się jak chłop do starych bogów.

Błysnął płomyk, przygasł, strzelił w górę, ogarnął łądygi, rozpadł się na mniejsze.

I nagle cały stos buchnął płomieniem – aż osmalił brwi uciekiniera, obsypał go popiołem. Gorąco uderzyło wielką falą. Chwilę napawał się ciepłem, przymknął oczy.

Nie było czasu.

Dorzucił do ognia gałęzie – najpierw mniejsze, potem większe. Wystawiał zgrabiałe dłonie. Na piersiach czuł żar, na plecach lód. Musiał zdjąć całe ubranie i wysuszyć. Jak najszybciej.

Powoli rozsypał rzemienie jaki, zsunął z prawego ramienia; z lewego nie mógł, materiał zaczepiał o strzałę. Sięgnął więc do pasa, zmacał nóż – lekko zakrzywiony, w kościanej oprawie wyobrażającej splecionych sześć pogańskich Wił. Wyciągnął go i naciął materiał, jęcząc. Ból odzywał się znowu, szarpał tak, że aż skowytanie wydobywało się z gardła mężczyzny.

Rozszerzył dziurę, ostrożnie przewłócił przez nią strzałę, nie uchroniło go to zresztą od kolejnej porcji cierpienia. Zrzucił na śnieg mokrą jakę, potem rozerwał rękaw koszuli, rozsypał troki, zdjął ją i zawiesił na gałęzi przy ogniu.

Zwalił się teraz na przesywanicę – półnagi, ale ogrzewany żarem. Obmacał ranę na ramieniu. Źle – była spuchnięta, a strzała weszła

głęboko w mięśnie, drzewce ledwie dawało się poruszyć, rwało bólem.

Wóz albo przewóz – jeśli grot był graniasty, da się ją jakoś wyciągnąć. Jeśli jednak był rozszerzony jak księżyc, musi dosłownie rozkroić sobie rękę. Będzie miał szczęście, jeśli w ogóle nie wykrwawi się na śmierć.

No, nie ma czasu. Jasny mór niech to weźmie!

Wziął nóż i włożył go w węgle. Dorzucił do ognia, żeby mieć widno.

Wyciągnął po chwili gorące żelazo, położył się obok ogniska, na mokrej jace. Zagryzł w zębach oczyszczony z kory kawał gałęzi. Urwał cały dół od koszuli, położył na śniegu.

Będzie boleć!

Jęcząc, choć jeszcze nic nie poczuł, tylko przygotowywał się na ból – naciał skórę koło strzały – wcisnął rozpalone ostrze głęboko.

I wtedy aż zaskowyczał. Zabolało, poszła krew.

Znów włożył nóż do ognia. Potem poluzował trochę strzałę, zacisnął rękę na drzewcu, zacisnął do bólu zęby na kawale drewna.

Musi to zrobić. Musi! Jesso, dodaj sił!

Pierwsze szarpnięcie. Skulił się, aż przekreślił na bok, strzała ani drgnęła.

Nie ma sił.

Drugie.

Trzecie.

Coraz mocniej! Mocnieeeeej! Trzymaj strzałę, szarp!

Murwo, ladacznico, diabelskim kusiem szturgana!

Za cooooo... Za co tak boli?!

Dygotał, gryzł kawałek drewna do krwi, ale wyciągnął.

Na razie kawałek. Troszeczkę. A trzeba jeszcze.

Zawył, zadygotał. Szarpnął, czując, jak bierze go skurcz. I nagle opór w ręku zelżał.

Opadł na plecy, dysząc ciężko, zrobiło mu się jakoś tak lekko i

sennie. Podniósł do oczu grot, obejrzał.

Zwykły, spłaszczony, graniasty.

Teraz... teraz trzeba mieć nadzieję, że nie był zatruty. Wylał krew o śnieg, wsadził go do ust, ssał, szukając smaku innego niż żelaza i krwi.

Nie znalazł... Chyba miał szczęście.

Krew leciała z rany, musiał się śpieszyć. Zaraz straci jej za dużo, osłabnie.

Popełzył po śniegu do ognia, złapał rogową rękojeść...

Zawył, przypalając ranę, wsadzając ostrze głęboko. Zasyczało – nóż wypadł mu z ręki w śnieg, mężczyzna zadygotał, przekręcił się na brzuch, osłaniając zdrową ręką zranione ramię, i jęczał, krzyczał, wył, aż osłabł.

Ognisko przygasło w ciemności, kiedy kończył bandażować ranę skrawkiem lnianej koszuli. Zaciśnął opatrunek mocno, aż do bólu, i jakoś poczuł się lepiej. Przyciągnął na polanę jeszcze parę grubych konarów. Mokre ułożył przy ogniu, aby wyschły, pozostałe wrzucił na węgle, dokładając parę garści ostów, aby podsycić płomienie. Potem obrócił koszulę, ułożył przy ogniu jakę, na kamieniu obok resztę mokrej hubki, by wyschła. Poczuł, że ogarnia go senność, ale odpędzał ją, zbywał, strzepywał z powiek, przykładając zimny śnieg do rozpalonego czoła.

Wszędzie mogli czaić się prześladowcy.

Oczyścił i schował nóż, włożył prawie suchą koszulę. Nogawice osuszyły się same, z kolei buty wciąż były mokre. Wciągnął wreszcie na wpół wilgotną jakę, rozkoszując się chwilą spokoju, kiedy zobaczył... światełka.

Były ich trzy; zbyt duże na świetliki. Jedno na górze, świecące jasno, dwa poniżej mniejsze, słabsze, jak przygasające bagienne ogniki albo węgle pozostałe w żarze. Niespodziewanie pojawiły się nad kępą ostów i równie nagle znikły. Już myślał, że mu się

przywidziało, kiedy zobaczył je znowu. Trzy. Tym razem za kupą głązów.

Zaniepokoił się, chwycił gałąź, połamał ją, dorzucał do ognia konary i karpy. Płomienie strzeliły wyżej, rozświetliły przestrzeń pomiędzy kolumnadami bukowych pni, posłały migotliwy blask aż do pierwszych drzew.

I wtedy uświadomił sobie, że zrobił źle. Blask ognia, zamiast odstraszać, przywabiał. Nagle zobaczył w ciemności, między iskrami i roztańczonym blaskiem ognia – więcej światełek, z których każde układało się we wzór – po trzy.

Wstrząsnął nim dreszcz. Zrozumiał, CO takiego podchodziło do ognia. Na razie – od strony wodospadu i jeziora.

A potem doszedł do niego głuchy łoskot, chrzęst, wreszcie pierwsze, ciche, rozedrgane wycie jak upiorny śmiech.

To nie były wilki. Opowiadano mu o tych stworach w wiosce po zachodniej stronie gór. Prawie ślepe, za dnia czaiły się w jaskiniach, a w nocy wychodziły na łów. Ogień rozjuszał je, wskazywał drogę do celu. Otaczały go kręgiem, ze wszystkich stron. A kiedy krąg się zamykał – rzucały na ofiarę.

Nie mógł dłużej tu zostać. Nie mógł czekać – oczekiwanie tylko przyspieszało śmierć. One nie bały się ognia. Światelka osaczały go już z trzech stron, wyginając się w półksiężyc, łuk, który rozciągał się, w miarę jak przybywało kształtów w gęstwinie bukowego lasu.

Dorzucił ostatnie gałęzie i osty. Stos zahuczał, płomienie wzniosły się wysoko. Miał nadzieję, że ściągną i odwrócą uwagę bestii.

Wyrwał nóż z pochwy; miecz wszak zostawił w obozowisku na górze. Odwrócił się i umknął w las. Tam, gdzie płynął strumień, gdzie jeszcze nie widział potwornych oczu bestii.

Wpadł w krzaki, osty boleśnie uderzyły go po rękach, szarpały za jakę. Uchodził chyłkiem, skulony, rad, że choć nogi miał zdrowe. Rana po strzale bolała, ale już nie tak strasznie, nie tak szarpiącym,

ostrym bólem. Mógł nawet zacisnąć dłoń na broni – ścięgna i kości były widać całe.

Uciekał ciężkim truchtem przez las. Aż strumień skręcił w bok, ku nowej przepaści. Nie poszedł za nim. Przemykając między drzewami, posuwał się tam, gdzie był równy teren, siodło między górami, zarośnięta lasem przełęcz. Na szczęście noc była mroźna, śnieg białął w mroku, ułatwiając wędrówkę. A kiedy zatrzymał się zdyszany i obejrzał, daleko za nim, od strony wodospadu, zabłyśły znówu trójokie światełka, ledwie widoczne w oddali.

Na łaskę Jessy! Nie były tak głupie jak wilki. Szły tropem, obiecywały sobie łatwy łup. A może wyczuwały na odległość świeżą krew?

Obrócił się i umknął. Niedaleko. Wypadł spomiędzy drzew na polanę, właściwie przesiekę. Zatrzymał się, bo głęboki śnieg wstrzymywał marsz. Nie było dalszej drogi. Przed sobą miał coś, co wziął zrazu za mur, ale to była ściana z kamiennych bloków poprzerastanych trawą i mchami. Ciągnęła się w poprzek zbocza, wysoka na dwóch dorosłych mężczyzn, nieprzenikniona, mocna, odgradzająca wyższą część Gromnika od bukowego lasu.

Odwrócił się, schwytny w pułapkę. Światełka nadciągały, pojawiały się między pniami, rozciągając w długą ławę. W półkole otaczające samotnego wędrowca. I nagle spomiędzy konarów i splecionych gąszczy wybuchło znów rozchichotane, jakby ludzkie wycie...

### 3.

– To jego rzeczy, poznaję – powiedział chrapliwym głosem Gleb. Uniósł w górę sercowatą tarczę, na której wiła się srebrna wstęga w krasnym polu, ledwie widoczna w ciemności. Obok leżał miecz owinięty pasem. – Jaksza z Drużyców, pasowany rycerz. Syn Miłosza.

Gdybyście strzelali celniej, już byśmy wracali do domu.

– Ty byś wracał, Dregowiczu. Żeby pochwalić się łatwym zwycięstwem przed twoim kniaziem. – Bulcsu stał przy koniu i rozwiązywał sakwy. – Musimy dostać go żywego. Rannego, złamanego, ale z bijącym sercem. Zapomniałeś?

– Zostawił miecz. Konia znajdziemy jutro. Jest bez szans.

– Borte, Gujuk! – Bulcsu wyciągnął kilka pasków suszonej baraniny. – Bijcie pokłony.

Obaj Hungurzy runęli na kolana w śnieg, uderzyli czołami. Tysięcznik podchodził do każdego z nich, wypychał im do ust skrawki mięsa.

– Jecie moją strawę! – mruczał. – Pijecie mój kumys. Stąpacie po mojej ziemi...

– Jesteśmy ci posłuszni, o wielki – wymamrotali, przeżuając, a prawdę mówiąc, niemal dławiąc się twardym mięsem.

– Slookarij, Kutułuk!

Wszystko powtórzyło się. Hungurzy, stary i młody, bili czołem Bulcsu. Za chwilę jedli z jego ręki. Ceremonia ominęła tylko młodego, bezwąsego Hungura w srebrzystej katandze, z szablą zdobioną złotem. Ponieważ staruch nie poświęcił mu uwagi, mogło to znaczyć, że był wyżej postawiony od tysięcznika.

– Palatyn Rusław bił nam czołem po Rabym Polu. Chodź i ty, Gleb. Będiesz jadł z mojej ręki.

– Nie będę – odrzekł rycerz. – Nie jestem poddanym waszego kagana.

– Wszyscy biliście nam czołem, kto tylko przeżył! – warknął Bulcsu.

– Książę Dregowii pierwszy, ledwie poczuł, że już nie ma króla. Na kolana, rabie, albo zrobię z tobą to samo, co czeka Jaksę!

Gleb skulił się, ale nie położył ręki na mieczu. Siedział na stercie gałęzi, skulony, okryty futrem, zły.

Ręka Bulcsu wystrzeliła do lewego boku – tam, gdzie za szerokim,



litym pasem nosił zwinięty skórzany nahaj. Długi, gruby prawie jak przegub ręki. Zwinięty jak żmija.

– Mam po ciebie pójsć?! Wszyscy Dregowicze to tchórze! Rusz się, psie.

– Bulcsu, uspokój się!

To był głos młodego, bogatego Hungura.

– Jesteśmy sami jak palec w górach, nie na stepie. Nie mamy innego przyjaciela prócz własnego cienia ani innego bata prócz końskiego ogona – powiedział Bulcsu takim głosem, jakby się uskarżał. – Żeby tu przetrwać, muszę być pewny wszystkich nas, jak tu jesteśmy.

– A może ty sam zjesz z mojej ręki?!

Bulcsu zacharczał, rozkasłał się, spluwał krwią.

– Nie dziś, Lel. Może jutro. Kiedy przejdiesz próbę. Kiedy będą cię zwać Lel Darkan, a nie Lel Adarkin... Lel Cudak! Gdy udowodnisz, że nie boisz się krwi i nie jesteś jak kobieta.

– Zapominasz, kim jestem, Bulcsu. Za-po-mi-nasz, że kiedyś zostanę bratem kagana wszystkich koreni i aułów. Będę na czele armii wyruszać w pochód na bogate jurty, przeciw wrogom, zdobywać kobiety piękne jak rosa o poranku. Wszyscy będą mi służyć. W czasie obławy na zwierzynę napędzą ją mnie. Dla mnie spędzą gęsto, noga przy nodze, brzuch przy brzuchu, zwierzynę stepową. A jeśli w dniu bitwy nie posłuchają moich rozkazów, pozbawię ich imienia i żon. A jeśli w dniu pokoju naruszą mir, pozbawię ich ludzi, żon i dzieci. Porzucę was w bezpańskiej ziemi. Wtedy, Bulcsu, będziesz jadł z mojej ręki, pił i zdychał na rozkaz! Więc dzisiaj zostaw Gleba!

– Tak będzie... kiedyś, bagadyr. Kiedyś będę żarł z twojej ręki wielbłądzie odchody, a kiedy zdechnę, spojrzę z dumą na ciebie z niebiańskich aułów, jak jesteś prawą ręką kagana. Ale nie dziś. Jeszcze nie tej nocy – wycharczał Bulcsu. – Dopiero jak skończysz

próbę.

– Bagadyr! Bagadyr! – jęknął Slookarij. – Tam, patrz! Ogień.

Obrócili się wszyscy. Daleko, na zboczu ledwie widocznej góry dostrzegli blask płomieni.

– Na Gromniku była kiedyś pogańska świątynia – odezwał się Gleb.

– Zarosła lasem, chaszczami i ostami. Kiedyś paliły się tam ogniska na cześć starych bogów.

– Wstaje Kniażyc – odezwał się Lel. – Ojczy i matko, błagajcie Ziemię i Niebo, żeby to nie był Hall. Nie w tym miejscu i nie o tej porze.

#### 4.

Blask, który oświetlił góry, był srebrzysty, nie czerwony. Nad poszarpanym wałem wschodniego Koła Gór wzeszedł Kniażyc, spokojny, srebrzysty patron podróżnych i wędrowców, a nie spragniony krwi Hall, którego czerwony blask budził ze snu strzygonie.

Kniażyc chłodził rozpalone dusze, zsyłał na ziemię spokój i plony. Ale i tak w jego blasku Jaksza ujrzał wszystkie otaczające go bestie.

Chodziły na czterech łapach, czasem jednak podrywały się niczym chłop, co spędziwszy całe życie pochylony nad radłem i motyką, na starość podobniejszy jest zwierzęciu. Pokryte ciemnym, nakrapianym futrem głowy miały podobne do ludzkich, z których jak na urągowisko wyrastały krótkie pyski zbrojne szablami kłami i – co było najgorsze – trójjokie. Śnieżne hieny, ślepe za dnia, w nocy podążające za każdym cieniem wśród drzew. Nawoływały się.

– Tam, tam... – zabrzmiało szczekotliwe łkanie.

– Sam, sam... – odpowiedziało echo w lesie.

Źle czuł się bez miecza, ale i tak niewiele by nim działał wobec hordy bestii. Musiał uciekać; zaraz, już!

Odwrócił się i wspiął na skalną, chropowatą ścianę. Od razu ześliznął się i spadł. Próbował podskoczyć – dosięgnąć krawędzi nad głową, chwycić ją pokrwawionymi dłońmi. Nie dał rady, brakowało mu tchu w piersi. Wspiął się, rzucił w górę, rozpaczliwie czepiając najmniejszych występów...

Spadł na kolana w śnieg, uderzenie o mokre głązy było jak otrzeźwienie.

Musiał uciekać. Zaraz go rozszarpia! Wiedział, jak to wygląda. Wyskoczy przewodnik, podbiegnie bliżej, ugryzie, żeby utoczyć krwi, i odskoczy, aby rozjuszyc pozostałe gorącą posoką ofiary. Wtedy zaatakują kolejne bestie – dwie, trzy, zaczną go szarpać i uciekną, aby się wykrwawił. A kiedy będzie słaby – całe stado ruszy, aby rozszarpać go na strzępy – na końcu odgryzą mu głowę, by gasnącymi oczyma spoglądała na agonię ciała...

Rzucal się na mur jak wściekły. I nagle wyczuł pod prawą ręką jakiś korzeń. Podciągnął się, wspiął, trąc o głązy nogami. Kątem oka zobaczył szary, nakrapiany kształt pędzący w jego stronę!

Podciągnął się wyżej, prawie do krawędzi!

I wtedy korzeń wysunął się ze szczeliny; mężczyzna zjechał w dół, na próżno czepiając się nierówności, zawisł w połowie ściany...

Kłapnięcie szczęk, poczuł ból w nodze do kompletu pozostałych boleści. Korzeń zatrzymał się, przez chwilę życie Jaksy wisiało na dwóch calach giętkiego drewna.

Jęcząc, podciągnął się, chwytając korzeń oburącz, szamotał się na ścianie, szukając punktu podparcia, prawie gryzł kamienie.

I wreszcie wyczuł pod lewą ręką obłą krawędź muru.

Podciągał się, krzycząc. Jego wrzask był głośniejszy niż nawoływanie hien. Wpełził na koronę muru, przewalił się na bok, leżał, dysząc ciężko.

Poniżej stado zawyło. Co większe, zwinniejsze sztuki skakały w górę, łapały gałęzie i pędy kłami. Daremnie. Zdobycz uciekła. Horda

zaczęła rozpraszać się, znikać w lesie; ale nie odeszła daleko. Hieny umiały czekać. Do świtu, do światła, do zabójczego dnia.

Jaksię otrzeźwił mróz. Próbował wstać, ale świeży ból rozdarł lewą nogę, niemal przewrócił go na śnieg. Jęcząc, wymacał dwie dziury w nogawicy, sączyła się z nich krew. Na szczęście nie ciurkiem; bestia ledwie go poczęła. Jak zwykle na początku.

Przykładał śnieg, aż krwawienie ustało. Potem wstał. Czuł zawroty głowy, musiał wesprzeć się o kolejny mur, zamykający drogę na szczyt góry – ten na szczęście był niższy. Rozglądał się dokoła, wspinał z trudem, aby stanąć przed trzecią barierą z głazów, usypanych, poukładanych szczelnie, zarośniętych mchem. Prawie nie do przebycia.

Zaczynał już się domyślać, gdzie był. Miejsce, chociaż porośnięte gęstwiną – teraz okrytą śniegiem, wyglądało jak twierdza, ale nią nie było. Ruszył wzdłuż muru, przez chaszcze, zapadając się w śniegu. Zziębnięty, dygocący, stanął przed szczeliną – kiedyś była brama, teraz porastały ją osty. Wszedł na górę i znalazł się na płaskowyżu wznoszącym się w stronę szczytu Gromnika. Ogromne, rozrastające się po kilka z jednego pnia buki strzelały w górę, rozsadzając korzeniami skały. Podchodząc do nich, dostrzegł dwie wyniosłe sylwety ledwie zaciosanych gigantów...

Zamarł, ale na szczęście nie poruszały się. To były kamienne idole, bałwany; zrozumiał, że znalazł pogańską świątynię, a raczej jej ruiny, gdzie jeszcze przed dobrym wiekiem paliły się ognie, w których składano ofiary starym bogom. Między ogromnymi słupami stała kiedyś kącina – dziś został po niej prostokąt kamieni, porośniętych burzanem i ostami, pokrytymi białym całunem śniegu.

Zatrzymał się przy posągach, pochylonych, jakby wiedzących już, że ich władza chyliła się ku upadkowi. Niewiele pozostało takich – ukrytych w gąszczach, gdzie ciągle wymykali się chłopci. Te największe zburzyli lędziczcy panowie, podbijając całą krainę na

zachód od gór. Wznosząc zbory Jessy na żgliskach i w świętych gajach, wycinając dziewiczą puszcę, zmieniając Winedów w chłopów, a guślarzy w poddanych. Stawiając grody i zamki tam, gdzie był kamień i żelazo. Jak opowiadano, posągi i idole rosły – żywione ofiarami i wiarą poddanych. Przemieniały się – kamienne wolniej, drewniane szybciej, przybierając ludzkie postaci. Czasem ponoć idol taki wyrastał i przybierał tak pełną postać, że odrywał się od reszty, zaczynał żyć, zmieniał się w biesa, w żywego boga pogan, stąpającego po ziemi. Wiele takich spalono, zmieniając dzikie puszcze Winedii w Lendię Starszą.

Jaksa zrozumiał, że kamienne mury były opoką, za którą ludzie chowali się w mrocznych czasach przed biesami i strzygoniami z boru. Gdzie palili święte ognie odstrasżające zło. Pierwszy z idoli, z rogiem w dłoni, wyglądał na Swantewita. Drugi poświęcony był Wołostowi – ponuremu, straszmemu, zgarbionemu jak dzik, który stanął na tylnych nogach. Stał z prawej, na wprost trzeciego – z mieczem – pewnie idola Piorona, zaprzysięgłego wroga Wołosta.

Było ich więcej, ale te starsze runęły, jak waliła się w proch dawna wiara. Pozostały po nich wzgórkki w śniegu i puste kamienne oczy patrzące w przestrzeń. Niezdarnie wyrzeźbione dłonie zaciskające się na rogach i głowicach mieczy.

Poniżej, jak to zwykle na idolach, były rezy, rysunki. Niezdarny krąg, na nim czworokątna świątynia, ogromny jelenź uderzający w nią rogami. Prymitywne sylwetki ludzi chroniących się w kącimie. I dziwny, bezgłowy olbrzym przy dwóch symbolach drzew, trzymający w ręku sylwetkę ludzika. Bóstwo starsze niż bory, lasy i góry.

Jaksa aż jęknął. Nagle uświadomił sobie, że wcale mu nie jest zimno. Książyc przyświecał z góry jasno, a to znaczyło jedno: brał mróz.

Zamarzał. Włosy, niegoloną od dawna brodę i wyrastające wasy

miał całe białe, kostniał, prawie nie mógł ruszać nogami. W ciele czuł omdlałość i senność.

– Jesso... Ogień!

Musiał go rozpałić. Zaraz, natychmiast. Jaka i koszula, choć już wyschły, nie były żadną ochroną przed potwornym górskim chłodem, od którego pękały drzewa, kruszyły się kawałki skał.

Ręka opadła do pasa, po sakiewkę z krzesiwem...

Wróciła pusta. Zostawił wszystko przy ogniu! No i... No i co?

Zagrzebie się w śniegu – zamarnie. Nazgarnia liści – nie starczy ich, by się w nie całkiem zakopać, zresztą gdzie szukać ich pod śniegiem! Gałęzie nie powstrzymają zimna. Więc...

– Pomóżcie mi teraz... – jęknął do starych bogów. – Dajcie znak. Macie szansę.

I wtedy ostatkiem sił coś spostrzegł. Dziupłę w pniu wielkiego buka. Niewielką, oświetloną Kniażycem.

Coś w niej bieląło. Skostniały, sztywny, podszedł bliżej, odgarnął śnieg.

Zobaczył kościane drzewce włócznie, starej, ale dobrze zachowanej. Na szczycie ciągle tkwił grot – tępy, żelazny. I jeszcze rzemień – solidny, umocowany do jej końca. W drzewie ukryta była broń. Toporki z kości, przerośnięte mchem kamienne noże.

Wyciągnął włócznię i przycisnął do ciała. Przymknął oczy. Na co te ostrza? Zamarzał w chłodnym świetle Kniażycy, które tylko na równinach Lendii wydawało się tak piękne! Koniec... Chyba że... Już nie miał sił.

## 5.

Następnego dnia, której drogi czy ścieżki by nie obrał, opuszczała się w dół, po opadających na wschód lesistych ramionach Gromnika. Śniegu było mniej, potoki uwolnione spod lodowej pokrywy

szumiały, nad linią postrzępionych, skalistych szczytów przemykały obłoki – górą białe, dołem sine, jak zapowiedź nadchodzącej śnieżycy.

Jaksa szedł z nożem za pasem, w rękę trzymał włócznię z kościanym drzewcem, zabraną z kąciny na szczycie. Jego ramiona okrywał śmierdzący krwią płaszcz ze skór śnieżnych hien. Rankiem, w świetle rodzącego się dnia nie mógł sobie przypomnieć, skąd wziął tyle siły, by w nocy pozabijać bestie włócznią Piorona, zwabiając je własną krwią pod mur, kłując, wciągając na górę, następnie oskórowując nożem, grzejąc się przy tym we krwi i ciepłych wnętrznościach. Na koniec zaś okrywając się skórami i ukrywając w dziupli przed mrozem.

Wąska, gliniasta, przebijająca spod śniegu dróżka schodziła w dół, ku mieszanemu jodłowo-świerkowemu lasowi pełnemu głązów, paproci i kolczastej tarniny. Z prawej miał przepaść – ramię góry opadało stromo do otchłani porośniętej na dole lasem, srebrzonym kilkoma nitkami górskich siklaw. Szedł wolno, czując, że rany nie bolą tak strasznie jak głód, szarpiący trzewia i żołądek, wywołujący zawrót głowy i zimno. Nagle zatrzymał się.

Ptaki! Zerwały się z drzew dokładnie po drugiej stronie rozpadliny. To był znak, że Hungurzy szli jego tropem jak gończe ogary. Był głupcem, jeśli myślał, że pozbędzie się ich po tym wszystkim...

Jedno było pewne – przy szerokich drewnianych hungurskich siodłach mieli sakwy pełne jedzenia. W tej chwili nie liczyło się nawet to, że były to wyschnięte, śmierdzące paski suszonego baraniego mięsa. I buklaki z kumysem.

Aby okrażyć przepaść, musieli jechać przynajmniej ćwierć dnia, zanim znaleźli się w lesie. Mógł uciekać albo... Nie zastanawiał się długo.

## 6.

Trop był aż zanadto wyraźny – w mokrym śniegu odbijały się podłużne ślady, czasem z boku pojawiały się wgłębienia, jakby idący podierał się czymś, a może przysiadł, podpierając się ręką w chwili niemocy.

– Kończy się – wycharczał Bulcsu rozparty na szerokim siodle srokatego hungurskiego konika o szerokim łbie i gęstej, przyciętej jak grzebień grzywie.

– Przed zmierzchem będzie nasz – mruknął Gleb.

– Więc nie chwał dnia! – mruknął Bulcsu.

Lel przygryzł wargę. Jechał bladej, zacięty – ale ręka trzymająca skórzane wodze drżała.

– Bagadyr! Bagadyr! Tam. – Gujuk pokazał nagle przed siebie. – Patrzcie!

– Sprawdź, na co czekasz?!

Hungur uderzył łydkami konia, który przeszedł w ciężki kłus. Widzieli to wszyscy – ścieżka wchodziła w las, między drzewa, gdzie było przewężenie pomiędzy głazami. Coś tam leżało – strzęp odzieży, jakaś szmata, jakby kawałek futra. Śnieg był zdeptany, może wcześniej toczyła się tam walka.

Jak było – Gujuk nie zdołał tego ustalić. Ledwie podjechał do łachmanów, usłyszeli chrzęst i trzask. Nagle hungurski koń podskoczył dziwnie, obrócił się w lewo, w tył i rzucił do ucieczki.

On zdążył, jeździec już nie! Z gęstwiny, pomiędzy trzech zrosniętych pni buków wystrzelił zgięty konar, zwieńczony białymi kolcami. Rozprostowując, wbił się w bok Gujuka – głęboko, okrutnie, wysadzając Hungura z siodła!

– Matkooooo! – darł się ranny. – Na niebo! Aaaaa!

Zawył jak wilk, charczał, leżąc na śniegu, dygotał z bólu nabity na kościane groty wetknięte w rozszczepiony, giętki konar, który



naciągnięty był między pniami. Starczyło zerwać linkę...

– Patrząc pod nogi. Jaksza gryzie nawet tuż przed śmiercią! Slookarij...

Stary Hungur zeskoczył z konia, ostrożnie podchodził do rannego, wijącego się Gujuka. Najpierw starannie obejrzał otoczenie – wzruszył śnieg, odgarnął liście. Potem podniósł zakrwawioną głowę rannego.

– Weeeeeście! – dyszał Hungur. – Zdeeeeeeeeeee...

Slookarij pokręcił głową. Bulcsu uśmiechnął się zimno.

– Nie będzie z niego nic. Oddajcie Matce Ziemi pocieszycielce.

Slookarij sięgnął po szablę, ale Bulcsu uderzył go nahajem w piersi.

– Lel, ty to zrób.

Ręce młodego Hungura zadygotały.

– Nie za wcześnie na próbę? To w końcu nasz.

Gujuk próbował podnieść się z ziemi, ale nie mógł, na jego wargach pojawiały się i pękały pęcherzyki krwi.

– Zdejmijcie go!

– Na nic. Tylko spowolni marsz. Widzisz, jak cierpi? Kończ.

– Ja... – Lel zsiadał powoli. – Dlaczego ja?

– Bo jesteś miękkki jak dobrze wyprawiona skóra. Bo poza polowaniem z sokołami i obławami na dzikiego zwierza nie masz żadnych myśli ani uzdolnień. Dlatego że zwą cię cudakiem, od twego usposobienia do obściskiwania mężów. Dlatego że twój ojciec kazał mi zrobić z ciebie Hungura. I ja, Bulcsu, będę go słuchał, dopóki wielki koń obraca nieboskłonem.

Lel jednym ruchem dobył szabli. Ale nie uderzył. Stał niezdecydowany. Oblicza Hungurów były nieprzeniknione jak bitewne maski pogan.

– Jego oddech to ból, każda chwila to katusza. – Bulcsu charknął i splunął krwią. – Dobry kagan musi wiedzieć, że nawet ból śmierci bywa łaską.

Gujuk konał i rzęził, miotał się nabity na kolce, rzygał krwią.

Lel podniósł broń, załśniła klinga.

Trzask i chrzęst!

Ostrze wbiło się w plecy leżącego i od karku poszło w stronę serca. Gujuk wyprężył się, zadygotał. Zamarł z otwartymi oczyma, patrząc na Lela.

Za nim stał Gleb. Wyszarpnął miecz, otarł o kaftan martwego.

– Pewny cios, a przecież w Lendii zwą cię Wścieklicą – wycharczał Bulcsu.

– Dla ciebie, Hungurze, jestem witeziem Glebem z Dregowiczów.

– Byłeś witeziem, sługą kniazia. Jeśli zechce wielki kagan i ja, który go tu przedstawiam, będziesz się czołgał jak rab!

– Długo coś gadasz, a czas ucieka.

– Na koń. Jedziemy w las, z dala od drogi, tam może być więcej takich paści. W ławę, moje dzieci.

– Jedź pierwszy. Ciekawe, kto będzie następny?

– Sądzisz pewnie, że sam wrócisz z głową?

– Nie jestem od sądenia. Ty jesteś wodzem, wielki Hungurze. Prowadź.

– W las!

## 7.

Jaksa skoczył z drzewa. Przez zasłonę z brązowych liści, prosto na kark i plecy Hungura. Koń – nieduży, krępy, włochaty – aż zakwicział, waląc się na bok pod ciężarem dwóch jeźdźców.

Przeciwnik stęknął, zaskoczony. W siodle wydawał się panem stepu, ale las był dla niego jak drewniana klatka pełna drzew, brązowych liści i gałęzi poskręcanych niczym żmije. Jaksa przyduślił go do ziemi, przeciągnął nożem po gardle – za płytko – Hungur zacharczał, krzyknął urywanie. Złapał Lędzica za szyję.

Źle zrobił, bo wróg wznosił rękę z nożem, uderzył w kłębowisku ciała, raz, drugi, trzeci. Kute i hartowane ostrze przeszło przez skórzane płytki lepiej niż miecz.

– Uuuuuuuuhhhhhh! – zaryczał umierający.

Jaksa zakrztusił się śliną, uścisk tamtego dławił mu dech i serce, wyciskał przez usta duszę z ciała. Słabł już, gdy ostrze nareszcie dosięgło serca Hungura.

Wstawał z zawrotami głowy, zdyszany, bez sił. Przeciwnik rzeźił i dygotał, nie chcąc za szybko odchodzić z tego świata. Jaksa otarł ostrze noża o własne futro z hien, wcisnął broń do pochwy. I zataczając się, ruszył do konia.

Hungurski wierzchowiec stał pod drzewem, spoglądając nieruchomym wzrokiem na człowieka. Mężczyzna chwycił rzemieńne wodze, chciał postawić obolałą, zakrwawioną stopę w strzemieniu, ale zwierzę cofnęło się i zaprychało.

– Spokój, spokój, małeńki... Nic się nie dzieje... Nic a nic! – mówił Jaksa gardłowym, monotonnym głosem. W końcu koń odpuścił, dał się poklepać po szyi. Łędzic podniósł nogę, postawił w strzemieniu, odbił się z trudem, raz, drugi, z trudem wciągnął na drewniane, twarde jak kamień siodło pokryte tylko surową skórą. Szukał prawego strzemienia jak ślepiec, ściągając wodze. I ledwie znalazł – ruszył od razu klusem, potem wyciągając w galop, bo nie było czasu!

Wyrwali z lasu na otwartą przestrzeń – zarośniętą łąkę wśród górskich zboczy, opadającą ku następnemu pasmu lasu. Jaksa wyczuł raczej, niż zobaczył, jak spoza drzew wypada kilka szarych i brązowych postaci, usłyszał krzyki, miękki łoskot kopyt na mokrej ziemi.

– Uk! – krzyczał wysoki, kościsty Hungur. – W konie!

Zjechał, prawie stoczył się w obłądnym pędzie do kolejnego bukowego lasu, przeleciał pagórek, wpadł na ledwie widoczną ścieżkę, przeskoczył nad zmurszałym pniem zagradzającym drogę.

Strzała świsnęła w gęszczu, posłana na chybił trafił. Pochylił się w twardym siodle, ostatkiem sił trzymając się końskiego grzbietu. Hungurzy gnali za nim, lekko, pięknie, jak przyrośnięci do krępych wierzchowców. Z łukami w rękach, jeden z ugurgą – drzewcem, na którym wisiała pętla sznura; ten był najszybszy i wysforował się do przodu jak szalony.

Przelecieli przez las, wypadli na kolejną łąkę, gdzie bieleły się resztki topniejącego śniegu. I wtedy tuż pod kopytami wystrzeliło coś szarego. Szczelina – wąska, błyszcząca we wnętrzu srebrną zawijką strumienia, obramowana kamieniami, połamana jak błyskawica na tle szarych chmur!

Jaksa krzyknął. Uderzył z całych sił konia łydkami. Nie przeskoczyłby przepaści, gdyby nie ślepy traf. Strzała świsnęła w powietrzu; tak jak chciał Bulcsu, wbiła się w rozłożysty zad hungurskiego konika, smagając lepiej niż najostrzejszy nahaj.

Koń, oszalały z bólu, skoczył do przodu, wyciągając nogi, wybił się z tylnych, z samej krawędzi rozpadliny...

Przez chwilę zdawało się, że nie da rady... Że polecą w sam środek wąwozu, na gnijące wśród kamieni pnie drzew straszące wyschniętymi, ostrymi złomkami konarów.

Wylądował na samym skraju, aż posypały się w dół drobne kamienie. I pognął dalej – prosto w lasy.

Konie Hungurów wyłamały na skraju obrywu. Zamarły na wyciągniętych przed siebie nogach, aż zaryły się w ziemi i śniegu. Zaczęły miotać się i tańczyć w miejscu smagane nahajami i przekleństwami jeźdźców.

Hungurski konik pod Jaksą gnał, pędził, potem tylko szedł. Coraz wolniej, w miarę jak doskwierała mu rana na zadzie, a żelazny grot strzały rozdzierał mięśnie. Kłusował, zwalniał, zdyszany; piana skapywała spod popręgu i skórzanych pasków uzdy.

Na polanie wśród wiekowych grabów i buków Jaksa zeskoczył.

Kręciło mu się w głowie z osłabienia; nie mógł utrzymać się na nogach, padł na kolana, wsparł się na rozstawionych rękach. Czekał, dysząc, jęcząc, aż przejdzie osłabienie, które wciskało go w dywan mokrych liści.

Przemógł się, nie wypuścił wodzy. Wspierał się na nich, wstając, idąc do konia. O dziwo, ten był bardzo niespokojny. Cofał się, kiwał głową, strzygł uszami, jakby nie podobało mu się otoczenie. Jaksza z trudem sięgnął do juków przewieszonych przez przedni łęk. Rozsznurował je dygocącymi dłońmi, w środku wyczuł paski suszonego mięsa. Po drugiej stronie wisiał bukłak z kobyliim mlekiem.

Wyciągnął pierwszy kawałek strawy, niósł go do ust, kiedy koń parsknął, stulił uszy, skoczył w tył, szarpiąc wodzami.

Włosy stanęły dęba na głowie uciekiniera. Usłyszał za sobą jakiś szelest; coś ciężkiego sunęło przez chaszczce, po liściach i wyschniętych trawach. Wypuszczając mięso, skoczył w lewo, chciał osłonić się koniem, ale ten wyrwał się, w jednej chwili obrócił na zadzie, gotów do ucieczki.

Nie zdążył! Z góry spadło na niego uderzenie pazurów, rozdarło grzbiet, złamało kręgosłup, przyduszając do ziemi, wałąc na prawy bok, rozpruwając trzewia...

Jaksza wrzasnął, kiedy zobaczył, CO rozprawiało się z wierzchowcem, CO wynurzyło się z leśnych gąszczy, choć równie dobrze mogło wyjść spod ziemi albo spaść z gałęzi!

Odwrócił się i uciekł. Po prostu i zwyczajnie; nie mógł zrobić niczego innego. Za sobą słyszał kwik dogorywającego konia, chrzęst rozdzieranej skóry. A potem skrzypienie i łoskot, kiedy to coś przerwało rozszarpywanie końskiego ścierwa i ruszyło za nim przez krzaki.

Biegł, biegł, biegł, utykając. Potknął się o korzeń i przewrócił. Sam nie wiedział, dokąd uchodzić – byle dalej od tego miejsca, byle w dół,

poza usiany skałami grzbiet góry, modląc się ostatkiem sił do Jessy, żeby wyprowadził go z tych przeklętych szczytów na pogórza, dalej na niziny, na step...

Jedyny usłuchał go. Nagle gąszcz lasu rozstał się, ziemia uciekła spod nóg. Pod sobą Jaksy zobaczył morze ostrych koron jodeł i świerków – szerokie, rozciągające się aż do łagodnych wzgórz i szerokich przestrzeni widnokręgu...

Spadł, wyjąc, poleciał po zboczu. Wolał to od śmierci na górze. Las wchłonął krzyk bólu i odgłos upadku.

## 8.

Konie nie chciały iść dalej, w głąb gęstwiny pełnej potężnych, rozgałęzionych nad ziemią grabów. Wyczuwały śmierć albo pułapkę, bo na środku pustej przestrzeni leżał martwy koń, z przytroczonym do grzbietu wysokim drewnianym siodłem.

– Nie ludzie – wyszeptał Gleb. – Rząd warty ze cztery grzywny. Wilki czy nowa pułapka?

– Ciiiiii! – Bulcsu położył palec na wargach. – Z koni! Otoczyć polanę! Borte, zostajesz!

Najmłodszy, gładki jak dziewczyna wojownik skulił się i chwycił wodze wierzchowców. Hungurzy sprawnie zeskakiwali na ziemię; niemal bezszelestnie przemykali po szarym dywanie wyschłych liści. Rozsypali się w ławę, znikając między drzewami – szarawe, ledwie widoczne postacie z łukami.

Bulcsu i Gleb wyjrzeni ostrożnie zza chropowatego pnia. Nigdzie nie było widać ciała Jaksy; na polanie leżał tylko koń – na boku, z poszarpanym brzuchem i prawie oderwanym łbem.

– Które zwierzę uczyni coś takiego? – wymruczał Gleb. – Nie rozpraszajmy się...

Bulcsu dał znak, jeden z Hungurów podbiegł skulony – jak szary

pies albo kundel – do końskiego ścierwa. Oglądał, wąchał, sprawdzał. Wreszcie pokazał trop – na południe, do drzew.

I wtedy rozległ się krzyk, najpierw stłumiony, krótki; powtórzył się, poniósł echem, zmienił w charczenie, zgasł w gęstwinie. Słyszeli tylko głuchy, powtarzający się stuk, pac, pac, bach, bach, jakby wielkie krople dżdżu albo kamienie padały na gliniastą ziemię.

Dżebe dał znać – wskazał w lewo, szablę miał już dobytą; Bulcsu zagarnął pozostałych szerokim ruchem ręki – ruszyli, przeskakując od drzewa do drzewa, jakby podchodzili zwierzynę. Gleb szedł za nimi, niezgrabny, ociężały w ćwiekowanym pancerzu, obciążony tarczą i mieczem.

Hungurzy stali u podnóża grabu, na ziemi zroszonej krwią. Leżał tu martwy, rozdarty prawie na strzępy Slookarij. Wytrzeszczone oczy były szkliste, jedna ręka spoczywała o dobre pięć kroków od ciała. Coś po prostu... rozerwało go na kawałki – jak pieczonego kapłona na uczcie...

– Wszyyyyyistkie nieba – wystękał Dżebe. – Mangus... Mangus to zrobił. Ooooo, bagadyr, po co kazałeś nam iść tropem Jaksy? Za co użyłeś nas jak drzewa na opał...?

– Powiedział chan – wycharczał Bulcsu, plując krwią, bo jego płuca były jak dwa dziurawe miechy – tym, którzy będą dokonywać gwałtów, utnijcie głowy. Którzy będą zbyt zarozumiali, rozetnijcie piersi. A tym, Dżebe, którzy gadają za głośno – wyrwijcie języki!

Wrzask – dokładnie za ich plecami. Krzyk, straszliwy głos rozpaczy.

– Bagadyyyyyyyr!

Chrzęst, trzask, aż wtulili głowy w ramiona.

Obrócili się błyskawicznie, ręce same napięły łuki, chwyciły obszyte skórą rękojeści szabel i tasaków.

Kolejny z Hungurów – ten, który został z tyłu – leżał na kobiercu złotych liści, wykrwawiał się z nienaturalnie wykręconą głową, jakby

chciał spojrzeć na własne plecy, połamany niczym kukła przez jakąś nieznaną siłę.

Nie było widać nic. Tylko ogromne, strzelające w niebo, rozwidlające się przy ziemi na wiele pni graby. Cichy, spokojny las pełen śmierci.

– Gdzie on jest?! – zakrzyknął rozpaczliwie Lel.

– Diw! Diw! – wołali pozostali Hungurzy. – O matko! Nie pokonać go bronią.

– Milczeć! – Bulcsu smagnął nahajem najbliższego wojownika po plecach. Nie miał sił, zamiast obalić go, zaledwie stuknął. – Rozglądać się... eeehhh... – zacharczał, zaczął krztusić się, kasłać, chrychać...

I nagle mocny, zdecydowany głos Gleba:

– Jest w grabach. Wchodzi na konary! Uważajcie!

Coś poruszyło się w rozgałęzionym na pięć pni drzewie. Jak z gniazda wynurzył się pokryty mchem kształt, niczym drewniany pniak, wyciągający rozczapierzone ręce konarów, bezgłowy, większy od dwóch ludzi, jakby niezdarnie ociosany toporem, mający tylko pozór ludzkiej sylwetki.

– Drzewienny bies! – ryknął Gleb. – W kupe, nie uciekać!

Szedł na nich, biegł już, kiedy świsnęły strzały. Lel chybił, ale dwa pierzaste drzewca wbiły się w korę, przebiły ciało stwora.

Zamiast pędzić na wprost, skoczył w bok, dopadł z impetem do kolejnego pnia grabu, wtopił się weń, znikł, jakby stał się częścią ogromnego drzewa!

– Wyjdzie z innego! – krzyczał Gleb. – Patrzcie dokoła!

I nagle zniknął – uciekał! Gnał do koni! Zostawił ich!

– Gleeeeeb! – wycharczał Bulcsu, wyglądający teraz jak żywy trup.  
– Zabijcie go! Już!

Sam złapał łuk, naciągnął. Posłał strzałę w gąszcz, między drzewa. Za późno – witeż znikł między pniami.



A spoza omszałego pnia drzewa po lewej stronie cicho wynurzył się szeroki, gruby bies. Wyszedł z innego pnia! Z innego rozgałęzienia grabu, dokładnie jak przepowiedział uciekający Gleb.

Hungurzy rozpierzchli się z wrzaskiem; zdołali tylko postać dwie strzały do celu. Ugluk runął na biesa z szablą w ręku. Krzyczał i wył zawołanie, jakby szarżował na koniu w stepie. Zahaczył krzywą szablą gruby, okrągły korpus, z równie dobrym skutkiem, jakby próbował ciąć drzewo – na korze odznaczył się długi, wąski ślad. Bezgłowy olbrzym sieknął go w bok drewnianymi szponami, odrzucił krzyczącego i krwawiącego i ruszył prosto na oniemiałego Lela. Temu łuk wypadł z drżących rąk, oczy zrobiły się wielkie jak księżyce. Leśny bies szedł; okropny, ożywiony pniak, postać z przedświtu ludzi, sprzed pogańskich czasów, kiedy przerażeni, włochaci ludzie w skórach zostawiali mu ofiary przywiązane do drzew.

Bulcsu posłał strzałę prosto w górną część pnia, w zgrubienie, z którego wyrastały dwa ramiona mocarne jak konary dębu. Lel wrzasnął, odwrócił się, potknął i padł, osłaniając głowę dłońmi.

I wtedy świsnęła strzała. Raz! Wbiła się w plecy drzewiennego potwora. Inna niż wcześniejsze – bo płonąca.

Znowu świst i trafienie. Płomienie wybuchły z tyłu bestii.

Trzecia strzała! Czwarta! Ogień objął górną część biesa, płomyki rozprzestrzeniały się mocniej.

– Nie dostaniesz go! – zawył Bulcsu.

I skoczył z szablą, stając na drodze stwora.

Nie musiał. Nagle bies jak wysuszony pień drzewa zajął się ogniem, strzelił iskrami, dymem, żarem.

Zaryczał, skoczył, poleciał między drzewa.

Za nim stał Gleb z łukiem zabitego wcześniej Slookarija. Mierzył ostatnią płonąca strzałą.

– Uciekajcie! – krzyczał. – On wróci! Ugasi ogień. Do koni!

Bies mknął z łoskotem w las, rozsypując iskry i węgle. Zapadł w drzewa, pozostawiając mdlący smród. W powietrzu drgał przeraźliwy jęk rannego Ugluka.

Nie wrócili po niego. Nie zatrzymywali się, dopóki nie dopadli przerażonych, szarpiących się na wodzach koni, przytrzymywanych z trudem przez pobladłego Bortego.

Nie obejrzeni się już. Zostało ich tylko pięciu z Glebem.

## 9.

Spadł na drzewo, obijając się o gałęzie, niewiele już widząc i słysząc. Raczej czuł, jak zapada się w dół, szorując pokrwawionymi rękoma po chropawej, mokrej korze. Jak uderza okrakiem w coś twardego, co miękko ugina się pod nim. Okrutny ból przeszył nogę, odebrał zmysły. Nie wiedział, ile siedział, właściwie kołysał się z obtartym czołem przyciśniętym do pnia, kilka stóp nad ziemią.

Znów lewa strona ciała; ta gorsza, na każdy wysiłek odpowiadająca gorącym bólem. Lewe udo było przebite kawałkiem gałęzi, wznoszącym się skośnie w górę, podeschniętym, starym. Nie na wylot, ale zadziór utkwiał głęboko. Czuł, jak z rany sączy się krew.

Nie oswobodzi się, zostanie tak, aż ogarnie go słabość, zostanie siedzący na gałęzi, z głową opartą o pień. Po latach ktoś znajdzie szkielet, wysuszone zwłoki, których oczodołami zajęły się ptaki...

Już nie miał sił. Nie mógł dosłownie nic zrobić. Nie miał chęci żyć, a co dopiero spróbować podźwignąć się, szarpnąć nogą, by wyciągnąć ogromną zadrę, uwolnić się. Przeżyć.

Zbierał siły jak ostatnie krople krwi – wszystko w lewą część ciała, w lewą rękę. Ujął konar, oparł się o niego, prawą szukał zaczepienia na pniu, potem próbował podeprzeć się z przodu.

Poruszył się i zawył z bólu. Nic z tego nie wyjdzie. Osłabiona lewa ręka, rozpalona i bolesna, w ogóle nie dała rady dźwignąć ciała.

Koniec, klęska.

A krew skapywała wolno, tap... tap... tap... odmierzając ostatnie chwile jego życia.

Sięgnął do pasa i wydobył nóż. Spróbuje inaczej. Wbije ostrze skośnie w pień, znajdzie podpórę, uwiesi się na nim na obu rękach...

Wyszarpnął ostrze, chwycił oburącz rozdygotanymi dłońmi. Dźgnął raz, drugi, trzeci, na oślep, wbijał pod korę, dopóki nie wyczuł oporu. Wtedy uwiesił się całym ciężarem na rogowej rękoności. I w desperacji szarpnął.

Zawył. Jak wilk. Potem tylko charczał, bo już nie miał sił.

Nic, przebita noga była jak w kleszczach. Nie mógł przekręcić jej w bok, bo to oznaczałoby ogromną męczarnię, a ostry zadziór zrobiłby mu miazgę z mięśni. Może tak. Może prawą ręką za rękoność noża, lewą odepchnąć się od gałęzi?

Poszło, nawet kosztem mniejszego bólu. Noga drgnęła, poleciała krew; szarpnął się jak ptak, szamotał.

Nagle stracił równowagę i zwałił się w bok! Poczul, że coś dosłownie rozdziera mu udo, i spadł, przekręcił się w locie, uderzył plecami w mech, szczęście z małej wysokości.

Dyszał.

Znów kłopot, klęska. Nóż został w drzewie, wysoko nad głową. Stracił ostatnią broń.

A kiedy spojrział w prawo, zobaczył ogromny biały łeb, poznaczony żółtawymi zaciekami. Szczękę pełną sterczących, czasami połamanych kłów, ogromną jak trzech ludzi, wyszczerzoną, zamarłą.

Cóż mógł zrobić? Po prostu położył się wygodnie i czekał.

– Chodź i weź mnie! – wycharczał. – Kończ szybko.

Ale stwór nic nie kończył, ani nawet nie zaczynał.

Po prostu trwał z wyszczerzoną paszczą, spokojnie, cicho, bo leżał tutaj od lat, od stuleci, od eonów.

Jaksa podniósł się wreszcie, ledwie żywy. Do starych ran doszła nowa. Przewiązał udo kawałkiem oddartym z koszuli, która skurczyła się już tak, że teraz ledwie zakrywała wychudły brzuch. Na wszystkie biesy, nie mógł iść. Znalazł rozwidloną gałąź, podparł się, pokuśtykał. Jakoś poszło. Raczej gorzej niż lepiej.

Potwór wciąż patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, ślepił dziurami w czaszce, zapadniętej w listowie, obrośniętej pnączami.

Szkielet był wielki, długi – dalej ciągnął się ogromny kręgosłup pełen wysklepionych żeber, krótkie, ledwie zarysowane łapy ginęły w ziemi.

Żmij. Pradawny władca ziemi, król przedświtu ludzi, czasów tak zamierzchłych, że niespisanych na pergaminowych zwojach i w kodeksach. Wieków mroku, kiedy podobne mu potwory rządziły ludźmi jak bogowie, dopóki nie zbuntował się przeciw nim Doman i wielcy bohaterowie, wybijając ich razem z pomiotem co do ostatniego. W oku potwora tkwił zadziór, kościana włócznia oplątana kolczastymi czernicami. Za ciężka dla Jaksy; broń pradawnego bohatera, za mocarna na zwykłego, słabego człowieka.

Kuśtykał dalej, uparcie, bez wytchnienia. Zbocza były coraz łagodniejsze. Opuszczał Koło Gór, opasujące od wschodu Lendię Młodszą, schodził na równiny, stopy ciągnące się hen, aż na wschód, skąd przed laty przyszedł hungurski zalew, przelał się przełęczami, niweczając wszelki opór na Rabym Polu, i skończył rzezią pod Bramami Montanii, zmieniając wolnych Lędziców w sługi i niewolników kagana. Dalej był bezkresny step. U podnóża Koła rozciągały się zaś ziemie Podgoricy – małego, wasalnego księstwa, którego gospodarowie całowali niegdyś pierścienie królów, składając hołd za hołdem, póki nie przyszła zagłada. To było małe, niebezpieczne, nikczemne państewko wygnańców i pastuchów.

Szedł ku równinom, wybierając ledwie widoczne ścieżki. Raz zatrzymał się, widząc w lesie dół pełen kości. Musieli pochować ich

dawno, ale nie wierzył, aby była to robota Żmija. Szczątki, zwłaszcza czaszki miały równe, gładkie nacięcia po mieczu albo tasaku. Nie było przy nich żadnej broni, strzępów odzienia, nawet koszul. Ograbieni do cna. A więc zabili ich ludzie.

Zszedł na łąkę pod lasem, samotny, wsparty na kijku jak ostatni idol pogan, kiedy zobaczył konia.

Po raz kolejny pomyślał, że to koniec, za chwilę z lasu wypadną Hungurzy na krępych, zwinnych konikach. Z pętlami na tyczkach odtańczą swój zwykły taniec wokół ofiary; potem rzucą się, aby go schwytać, i trzeba będzie im w tym przeszkodzić. Dać się zabić, żeby przed śmiercią dodatkowo nie cierpieć.

Ale koń był sam jeden. I znacznie większy niż Hungur. Kary, ale posrebrzany. Po prostu pał się w trawie, a kiedy Jaksza się zbliżył, poderwał łeb, spojrział na niego i cicho, delikatnie zarżał.

To była najlepsza muzyka, jaka mogła dobrać się z końskiego gardła na powitanie człowieka.

– Piorun – wyszeptał Jaksza. – Skąd ty tutaj?

Kulbaka ciągle była na grzbiecie. Wodze poszły w strzępy, ale nagłówek ciągle trzymał wędzidło w pysku. Uciekinier poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Koń wrócił... Przeszedł góry, wychudły, pokrwawiony, w błocie, z rzepami wplątany w ogon.

Był.

## 10.

Zjeżdżali z pogórzy wprost na step. Jechał, Piorun szedł rażno stępa na wodzach skręconych ze szmat, zwoził Jakse z pogórzy, przez wielkie wzgórza, rozciągające się od krańca do krańca widnokregu. Pokonywał skarpy, szedł dolinami potoków spływających z wału poszarpanych, zębatych górskich grani.

Na stepie pod Kołem Gór wciąż trwało lato – późne, gorące,

złotawo-brunatne, ze słońcem wypalającym trawę i porosty. Ciszę zakłócał tylko miarowy łoskot końskich kopyt.

Ból nie doskwierał Jaksie tak jak głód. Ten nawet już nie szarpał trzewi. Po prostu wywoływał mdłości, aż jeździec musiał przechylić się w kulbace i stękać, skulony, bo w jego żołądku była tylko woda i jedno wielkie nic. Czuł zimno, czasem wręcz dygotał, otulał się strzępami jaki, kulił w siodle, ale to nic nie pomagało. Gdyby miał przy sobie choć płaszcz ze śnieżnych hien...

Był wieczór, kiedy najpierw poczuł kwaśny śwąd dymu, potem zobaczył samotną sadybę. Ukrytą między dwoma ramionami góry porośniętymi bodiakami, czernicą, tarniną. Kamienista ścieżka prowadziła do obejścia; do chaty z okrągłych bierwion, o pokrytym trzcina dachu, spod którego sączył się dym. Obok zobaczył zagrodę, w niej kierdel owiec. I tylko ludzi nigdzie nie było.

Podjechał wolno, rozglądał się uważnie. Cisza. Z trudem zsunął się z konia i przywiązał go do żerdzi. Ręka odruchowo sięgnęła do lewego boku, ale uśmiechnął się niewesoło, bo nie miał miecza ani noża, cała broń, nawet tarcza przepadła. Pewnie wioził ją teraz jako trofeum jeden z prześladowców.

Bezbronny pokuśtykał do chałupy. Nikt go nie okrzyknął, drzwi były otwarte i podparte kołkiem. Szedł do nich, gdy nagle z dołu, z dziury pod podwaliną, wyskoczył szary kształt. Najpierw Jaksza myślał, że to wielki pies. Potem, już odskakując i zasłaniając się ramieniem, rozpoznał sylwetkę człowieka. Dużego, tak szpetnego, zarośniętego i brudnego, że ledwie przypominającego ludzką istotę.

Nieznamy nie dopadł uciekiniera. Szarpnął się, kiedy zatrzymał go w biegu konopny sznur uwiązany do żelaznej obręczy na szyi. Wyciągnął kostropate łapska w stronę twarzy nieznanego, szarpał się i zawył... bezradnie jak pies, któremu umknęła zdobycz.

Jak go opisać? Przygarbiony drażał o wielkich łapskach i ramionach, toporne rysy twarzy, grube jak pięści łuki brwiowe, uszy

nadmiernie rozrośnięte niczym skrzydła nietoperza; na samym wierzchołku głowy szczeciniasty kłęb czarnych włosów... Gdyby nie głos, można by go wziąć za strzygonia albo poroniony leśny płód Wołosta.

Jaksa za dużo widział wrogów, aby bać się szaleńca. Było mu wszystko jedno. Wszedł do domostwa, przestąpił bokiem wysoki próg, pochylając się, bo wejście było niskie. W środku powitał go odór kurnej chaty, smród skór i łajna. Stłoczone w kącie jagnięta beczały żałośnie. Na ławach leżały skóry, a w rogu... Tam było palenisko, ogień tłący się czerwonymi węglami w załomie wylepionych gliną ścian. Stał na nim okopcony gliniany garnek. W nim...

Padł na kolana i uchylił pokrywkę. W środku była gorąca polewka. Szukał łyżki, dostrzegł ją wreszcie na ławie – drewnianą, struganą topornie. Złapał, chwycił dygocącymi rękoma i wtedy...

Coś ostrego dotknęło jego karku.

– Obcy! Stój! Ani się rusz! – zawołał chropawy głos.

## II.

Dla Jaksy te wszystkie głosy dochodziły jak zza ściany. Liczyła się polewka z sera i łyżka w garści. Niósł już pierwszą jej porcję do ust, kiedy ktoś jednym mocnym ciosem wytrącił mu jedzenie, odpychając na bok. Garnek przewrócił się, zawartość chlusnęła na węgle. Zasyczało, w smrodzie chaty rozszedł się kwaśny śwąd, a uciekinier dojrzał kolejnych prześladowców.

Jeszcze dwa miesiące wcześniej nie dałby za nich nawet jednego oberżniętego skojca. Trójka, podobniejsza do wilków niż do ludzi. Skrzywiony, garbaty pokurcz z brodatą głową wciśniętą między ramiona. Potężny chłop, który dźgał go rohatyną, a Jaksa z niejakim zdumieniem dostrzegł w jego rysach ogromne podobieństwo do

bezrozumnego uwiązanego na sznurze. Prawie taka sama podłużna, toporna głowa, wielkie łuki brwiowe, olbrzymie uszy i czarna kępa włosów wieńcząca spłaszczony czerep. Fakt, że nie trzymano go na sznurze jak braciszka, nie oznaczał, że nie był niebezpieczny. Z tyłu ślepiła na obcego brzydka, brudna dziewczka w szarym giele. Przycupnęła na ławie, drżąc jak dzikuska z lasu na widok obcego.

– Jestem tylko podróżnym – wystękał Jaksza. Po tak długiej ucieczce przez dzicz nawet składanie słów przychodziło mu z trudem. – Nic wam nie zrobię. Dajcie zjeść. Zapłacę.

– Źle trafiłeś, obcy! Tam – brodaty skinął głową w kierunku drzwi – to twój koń?

Ostry koniec rohatyny ukłął uciekiniera w szyję. Toporna gęba przygłupa nie wyrażała absolutnie nic.

– Mój. Możecie wziąć kulbakę i sakwy...

– Ten koń jest zbyt piękny, żeby zostawić cię przy życiu.

– Moje życie oznacza dla was dodatkową nagrodę za strawę i odpoczynek.

– Srebro, nawet bite w Lendii, ma tu mniejsze znaczenie niżli koń, broń i jadło.

– Przecież chyba wyglądam jak szlachetnie urodzony, pasowany. Jestem wart więcej niż cała ta parszywa zagroda. Rozważ to, nieznajomy.

– Kłamiesz. Nie jesteś rycerzem. Zbieg i banita, pewnie jeszcze koniokrad? Największą wartość ma twoja głowa. Kiedy już zaniosę ją do naszego bana. Gdzie twój rycerski miecz, panie możny Lędzicu? Gdzie ostrogi?

– Dziewczyno, może ty przemów mu do rozsądku – rzekł Jaksza do dziewczki kulającej się na ławie. – Nie wiem, czy jest twoim ojcem, bratem, czy gachem, ale lepiej zrobicie, dając mi wolną rękę. Jeśli idzie za mną pogoń, to trafi tutaj, a wtedy zatańczysz na rozpalonych głowniach, dzierlatko.



– Oni nie słuchają obcych – wycharzał brodaty. – A ja nie boję się ani biesów, ani Lędziców, ani żadnej pogoni.

– Strach uszlachetnia człowieka.

Dziewka splunęła z pogardą, patrząc Jaksie w oczy. Uśmiechnęła się jak przygłupia. Dopiero teraz Jaksza zobaczył brzuch wypychający gieżło. Wolał nie myśleć, czy sprawcą był zarośnięty cap, czy jeden z dwóch śmierdzących przygłupów.

– Ban albo żupan powinien mieć szlachetną krew – wycharzał brodaty. – Upuścimy jej trochę, sprawdzimy. Soso! Bij! – ryknął do olbrzyma.

Szpetny jak czyrak chłop wziął zamach; pchnął rohatyną w pierś Jaksy.

Nie do końca... Nagle bowiem w uszy uderzyło wycie pozostawionego na sznurze przygłupa.

Świst strzały. Wbiła się w plecy Soso – pod lewą łopatką.

Olbrzym zaryczał, podskoczył.

Świst, świst! I jeszcze jeden.

Strzały uderzały jedna za drugą. W środek pleców, w bok!

Olbrzym zaryczał, zawył, wznosił rohatynę w górę.

Zaraz opuścił ją i padł. Na progu jak wilki zjawiały się postacie Hungurów. Wpadali do izby, już porzuciwszy łuki, z szablami, z nadziakami, tasakami. Dzicy, zdyszani, śniade gęby, natłuszczone wąsy, skośne oczy były zupełnie bez wyrazu, jak u zwierząt.

Kudłaty zatrząsł się. Widząc przewagę, padł na kolana. Po prostu uderzył czołem, wiedząc aż zanadto dobrze, że nowi władcy Lendii, Dregowii i Podgoricy mają uszy w nogach.

– Bagadyr! Bagadyr! – wystękał. – Mamy go, złapaliśmy, przytrzymaliśmy... Dla was.

Przez próg przestąpił wysoki, chudy, stary Hungur w pikowanym kaftanie i krótkim deelu z sobolowym kołnierzem. Z blizną wyglądającą jak przedłużenie ust. Wyrwał z za pasa ciężki, długi

nahaj.

– Wiernie będziemy służyć! – jęczał Podgórzec. – Zabity to nic... przyglądaj się i tak! Na nic mi, za miskę stawy trzymałem.

Świsnął okrutny segmentowy bat. Kudłaty zwałił się na klepisko, jakby trafił go piorun.

– Borte! Dżebe! – krzyknął Hungur. Bat wskazał leżącego.

Dwóch krępych wojowników przeskoczyło przez próg. Dopadli leżącego; bili czekanem i szablą. Kopali, tłukli wrzeszczącego, wyjącego zbója, chociaż chciał pełznąć do drzwi, czołgał się do progu. Kiedy już był blisko skórzanych butów Bulcsu, złapali go za nogi – odciągnęli na środek, pozostawiając świeży, czerwony ślad krwi.

– Dżiewkę... weźcie – charczał z bólem. – Wasza... Zostawcie...

– Dżebe! – upomniał Bulcsu Hungura. Rozumieli się bez słów. Wojownik ukląkł kudłatemu na plecach, szarpnął za czarne kudły, podrywając zakrwawiony łeb w górę.

– Lel! Dokończ go! W imię Matki Ziemi.

– Ja?! – wystękał pobladły młodzieniec. – Może pó...

Bulcsu jednym ruchem strzelił go w twarz twardą dłonią w zdobionej rękawicy ze źrebięcej skóry.

– Ty... Nie odrywaj własnego kołnierza. Dobij!

Pchnął młodego i zacharczał, plując krwią, prawie zgiął się wpół.

Lel stał, rozdygotany, drżący. Sięgał ręką do lewego boku, wyciągał szablę, wolno, powoli.

– Złoto maaaaam! – zaryczał Podgórzec. – U węgła chałupy zakopane. Weeeeźcie.

Rozdygotany, drżący Lel ciął go po szyi okrutnym żelazem! Nie zabił od razu – tylko pokrwawił. Dlatego z rozpaczą, dygoczącą dłonią poprawił jeszcze i jeszcze. Rozchlastał gardło, żyły, zalał czerwoną posoką klepisko i siebie.

A potem rzucił szablę, skoczył do kąta, wstrząsany torsjami. Wrócił

po chwili, ocierając usta rękawem katangi.

– Zro...biłem – wyjęczał. – Zrobiłem... Oooooo, ojcowie!

Borte i Dżebe skoczyli pod ścianę, gdzie przy palenisku siedział oparty o ścianę, brudny, obdarty i zakrwawiony Jaksa. Niezyczliwa gęba pokryta była czarnym zarostem. Podgolone na skroniach włosy już odrosły, prawie spadały na ramiona.

– Jaksa Družyc – wycharczał Bulcsu. – Tyle starania, tyle krwi i strat.

– Warto było? – uśmiechnął się zimno rycerz. – Nie smutno ci po kilku kompanach, Hungurze?

– Lel! Wkrótce zabijesz prawdziwego wroga. Wtedy zwać cię będą Darkan – wielmożny. Będziesz mężczyzną. Zakućcie go!

Bulcsu sam chwycił za łuk, naciągnął strzałę, mierząc w Jaksę. Borte wybiegł z izby, wrócił z drewnianymi dybami. Podchodził ostrożnie, ale rycerz przymknął oczy. Był słaby, wykrwawiony, ranny, na wpół żywy. Nie miał sił.

Wspólnie z Dżebem złapali go, zatrzasnęli ręce i głowę w drewnianej desce. I zostawili – opartego o ścianę i kamienne podwyższenie dla ognia. Był tak słaby, że tylko jęczał. Lel wsunął szablę do pochwy, wyprostował się.

– Dziwne zabijać człowieka za uczynki ojca.

– To nie człowiek, to Lędzic. Znaczy się pies. Podły, jeszcze nie dobity.

– Tylko hycel traktuje wszystkich jak psy, Hungurze – odezwał się Jaksa.

– Twój ojciec, Miłosz, zabił na Rabym Polu kagana Barach-Tura. Podstępem, nie w walce. I za to jego syn, a twój wuj, Lelu, nakazał, by wytrzebić cały ród Družyców. Wytępiłiśmy wszystkich, co przeszli wyżej osi wozu, aż rozwiali się popiołem, aż nie pozostało po nich nic, jeno wspomnienie, które wiatr stepowy rozproszy. Wybiliśmy kobiety i dzieci, a brzemiennym rozsiekaliśmy łona, aby

nie wydały już nigdy przeklętych płodów i zdrajców i nie zagrozili życiu kagana. I jego synom. I synom jego synów i wszystkim pobratymcom. Ten – wskazał nahajem rycerza – jest ostatni. Ukrywał się w wioskach, po lasach, ale doszliśmy go. Jutro, Lel, ogrzeje cię jego krew. Zabierzcie ścierwo. – Wskazał trupa kudłatego rabusia. – I tego też. – Pokazał na olbrzymia. – Zostaniemy tu na noc.

Borte i Dżebe chwycili kudłatego za ręce i powlekli do drzwi. I wtedy na ławie wszczął się ruch. Czarnowłosa, brudna dziewczka skoczyła z wyciem do ciała, zaczęła krzyczeć, drzeć się, okładać pięściami Hungurów wlokących trupa aż za próg. Kiedy chciała wyjść za nimi z chaty, ktoś zastawił jej drogę. Mocna dłoń w skórzanej rękawicy chwyciła ją za kudły, trzasnęła skronią i policzkiem o drewnianą ościeżnicę, a potem pchnęła – na ławę. Dziewka rąbnęła twarzą o kant, zwała się na klepisko, pozostawiając krwawy ślad na desce. Wpełzła pod ławę, jakby to było najbezpieczniejsze schronienie.

Ten, który ją uderzył, barczysty, brodaty mężczyzna, wszedł do izby, spojrzął na Jakcę, pokiwał głową i zwrócił się do tysięcznika:

– Wielmożny Lel zabije jutro Jakcę, ale głowa jest moja. Pamiętaj, Bulcsu, jaka była umowa. Życie dla kagana. Łeb dla kniazia Dregowii.

Jaksa splunął.

– Dwieście grzywien – wycharczał Bulcsu. – Wymieniasz swoją godność na złoto, Gleb.

– Naszą godność pogrzebaliście na Rabym Połu. Dawno już nas jej oduczyliście. Staliśmy się równie nikczemni, tylko was podziwiać.

Bulcsu zaśmiał się, siadł na ławie. Chwilę kaszłał. Wyglądał źle, jego oczy błyszcząły gorączką.

– Łeb Jaksy należy do Lela, Dregowiczu. Proś, bij czołem, może cię posłucha. Od jutra on będzie małym kaganem. Do niego kieruj prośby.

Gleb uśmiechnął się jakby do złej gry, cofnął do drzwi, wrócił, trzymając w ręku gliniany dzban, który postawił obok Bulcsu na ławie.

– Miód – powiedział. – Wielcy bagadyrowie, wypijmy za zwycięstwo. Te kozojebry zrabowały całą beczkę. Jest tego tak dużo, że starczy do rana. O, wielki bagadyrze Lel, będę pił wasze zdrowie. I wy spróbujcie!

Młody Hungur z zaciekawieniem przysiadł na ławie.

– Zawołajcie tamtych! Borte! Dżebe!

Na wezwanie przybiegł tylko Dżebe. Uśmiechnął się i oblizał wąskie, okrutne wargi. Zaczmokał. Bulcsu i Lel nie dali się długo prosić.

## 12.

Jaksa zasnął; skulił się i padł na polepę pod ścianą podgorickiej chaty. Myślał, że to śmierć, i zdziwił się, że nadchodzi tak lekko i tak wielki spokój ogarnia wreszcie zmaltretowane ciało. Mylił się, bo zbudził go blask ognia, gorąco buchające z boku; ktoś dorzucił drew do ognia i czerwona poświata rozświetliła wnętrze.

Hungurzy i Gleb pili; Lel i Dżebe chwiali się, hałasowali, przekrzykiwali się w gardłowej mowie stepu. Bulcsu siedział błądy i spluwał krwią na polepę; miód mu nie posłużył. Jaksa zaczynał już domyślać się, dlaczego Gleb dolewał im do drewnianych kubków, podlizywał się, podbechtywał. Kiedy złowił jego spojrzenie, tamten ledwie dostrzegalnie skinął mu głową. Taaaak. Biała gorączka. Wschodnia dzicz nie umiała pić. Starczyło parę kubków miodu albo wina, po których Łędzic albo Podgoricanin zaledwie chwiali się na nogach, Hungur zaś wpadał w szal. Biegał, krzyczał, zataczał się, czasem atakował, ale nie był mocnym przeciwnikiem. Zamiast uszlachetniać, likwory barci i winnic sprowadzały na niego

szaleństwo.

Dżebe wstał, złapał za szablę, potracił Bulcsu, który nie zareagował.

– Udziiiiin! Gdzie jest Uuuuudzin?! – zawył. – Ukryliście ją.

– Szukaj pod ławą, mój przyjacielu – zawołał Gleb. – Bierz ją, stepowy wilku... Pokaż tej suce, jak smakuje kuś wojownika najjaśniejszego kagana.

I Dżebe ruszył. Naprawdę. Rzucił się w kąt, gdzie pod ławą schowała się przyglupia dziewczka pobita przez Dregowicza. Padł na kolana, chciał ją wyciągnąć. Chyba go ugryzła, bo wrzasnął, podskoczył, wstał, zataczając się; chwycił róg ławy i odrzucił na bok, zabierając dziewczynie jedyną osłonę.

Chociaż wyła nieludzkim głosem, szarpała się, wywlókł ją na środek chaty, złapał za włosy i rąbnął pięścią raz, w szczękę, potem w lewy policzek, aż chrupnęły zęby. Popchnął na ścianę, obrócił, szarpiąc za włosy tak mocno, że wyrwał jej całą garść kłaków. Złapał za giezło, rozerwał od dołu, odsłaniając dygoczące, blade pośladki. Przycisnął i sapiąc, rozpiął segmentowy żelazny pas.

I wtedy Jaksą, leżący pod ścianą, podciął mu nogi – z całej siły! Hungur wrzasnął, zaplątał się w pas i bufiaste portki, zwałił na bok, wypuścił szablę, gramolił się, krzycząc, z przekrwionymi oczyma. Dziewka skoczyła do kąta, przebiegła obok paleniska, skryła się, naciągając na siebie skórę.

A wtedy nad Jaksą stanął Lel, rozkołysany, pijany, z gorączką w oczach. W ręku miał czekan.

– Co mam zrobić jutro, zrobię dzisiaj... Taaaak! Jesteś wielbłądzim nawozem, Lędzicu. Za...biję. A potem oodrabuję Bulcsu rękę... którą mnie karcił.

Zamachnął się czekanem, ale nie zdążył zadać ciosu. Coś spadło mu na kark, uczepiło się pleców. Kosmate, ciężkie, wielkie, ze szpiczastą głową ozdobioną kępą czarnych włosów.

Przyglup sprzed chałupy! Ktoś przeciął sznur, wpuścił go do środka! Na litość Jessy! Chyba Gleb!

Szaleniec zawarczał jak pies, czepiając się pleców Hungura. I niczym wściekły wilk ugryzł go w szyję – złapał złotymi, spiłowanymi zębami, wyszarpując kawał skóry i mięsa!

Posoka trysnęła jak z potoku, aż pod sufit.

– Ojczeeee! – zawył Lel. Chwycił się oburącz za ranę, gdzie z rozerwanej arterii buchała czerwona, spieniona krew. Zatoczył się, padł na kolana.

Bulcsu pchnął kindzalem w plecy szaleńca. Wbił do samego końca, przekręcił. I w tejże samej chwili odrzucony kostropatym ramieniem poleciał pod ścianę, uderzył plecami, aż kurz podniósł się z zalepionych gliną szczelin.

– Dżebe! – zawrzasał. – Bierz go!

Pijany, szalony Hungur ciął szablą, chlasnął po ramieniu zamienionego w zwierzę Podgórcza i... przygnieciony runął na klepisko, bo opętany zwałił się na niego, gryząc, wyjąc, bijąc pięściami, chwytając zakrzywionymi szponami palców za gardło.

Dżebe zacharczał, nogi w skórzanych, podbitych wołłokiem butach to kopały w polepę, to uspokajały się.

Wtedy spadł miecz. Prosto, szybko jak błyskawica. Przebił Podgórcza, przeszedł na wylot wijące się ciało, dosięgnął Hungura. Uspokoił jednego i drugiego.

Gleb aż przyklęknął. Stęknął, szarpiąc za rękonoż. Wyrwał długie, smukłe ostrze, splamione krwią. Odwrócił się. Stary Bulcsu szedł na niego.

– Tyyy! – wycharczał.

– A zdychaj! – wrzasnął Dregowicz.

Podniósł miecz, ale wtedy zaświszczał, strzelił bat. Gleb zawył, pleciana skóra nagle owinęła się wokół ostrza jak wąż. Szarpnięcie i już nie miał broni.

– Na kolana! – wycharczał Bulcsu.

Strzelił krótko, aż dziw, że potrafił użyć nahaja w ciasnocie chaty. Bat przeciął skórę na twarzy witezia, rzucił go na kolana jak uderzenie gromu.

– Zdychaj!

Hungur uniósł rękę, ale ciosu nie zadał. Znienacka Jaksu uderzył go łbem w bok i przepchnął aż pod ścianę.

A wtedy pokrwawiony Gleb poderwał się jak fryga, skoczył, dopadł starego hungurskiego diabła. Chwycił za gardło, zdusił, coraz mocniej i mocniej, bez litości. Bulcsu kopnął go w krocze. Ręka rycerza pochwyciła kindżał za pasem tysięcznika. Broń wzniosła się i uderzyła raz, drugi, trzeci... Gleb dziurawił pierś i ramiona starca prostymi, szybkimi zamachami...

Bulcsu padł. Chciał jeszcze pełznąć, ale zamarł, umierał we krwi, krztusząc się własną posoką. Zdyszany Gleb wolno podnosił miecz...

Podszedł do bladego, jęczącego Lela. Ciął raz, od lewej do prawej; po gardle, aż odpadły palce przytrzymujące ranę. Poprawił, chwycił miecz odwrotnie. I tak właśnie skończyła się boczna linia małego kagana Tooriła Bekiego... Szkoda, że nie widział tego żaden kronikarz.

Zakrwawiony Gleb spoglądał na Jaksę. Rycerz próbował wstać, szorował plecami po nierównych balach.

– Nie trudź się, przyjacielu – powiedział witeź, dysząc po śmiertelnym znoju. – Nie przyszedłem, niosąc pokój, ale miecz.

Jaksu zaśmiał się charkotliwym śmiechem.

– Łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż honorowego Dregowicza. Myślałem, że stoczymy ostatni bój jak... rycerze. Oddasz mi mój miecz? Jestem przecież ranny, ledwo żywy.

– Jesteś lepszy ode mnie, mój druhu. Pokonasz mnie i... gdzie tu sprawiedliwość?

– Naprawdę wy, Dregowicze, zostawiliście wszystkie zasady na



Rabym Polu.

– Nigdy nie wiedziałem, dlaczego Łędzice są tak głupi. Po co wam te całe honory, pasowania, ostrogi, klejnoty? Nic to, sprytniejszy zawsze zwycięży. Myślisz, że po co szedłem z tymi psami przez te piekielne góry? Żeby uścisnąć ci dłoń? O mój łędzicki panie, składam hołd i ślubowanie. Już nigdy więcej nie splamię się krwią chłopów i dziewic, będę chronił słabszych i chodził do zboru, jak teraz do kabaku. Nie, Jaksza, przyszedłem po twoją głowę. Wartą wór złota.

– Wypiliście cały miód, więc jak dostarczysz ją do kniazia? Zaśmierdnę się po drodze.

– He, he, jakoś przeżyję. Myśląc o tych dwustu grzywnach, które czekają na dworze kniazia Dregowii. Te dzbany miodu, te półcie nad ogniem. Polewki i dziewczki.

– Książ Swarn, godny ciebie. Wbił nam kiedyś nóż w plecy. Starodawnym dregowickim obyczajem.

– No, mów, jak chcesz, Łędzicu. Mów, co chcesz, bo dłużej nie będę słuchał. Dobrej podróży... do Nawii, Jaksza.

– Stój!

Gleb po prostu zdębiał. Chociaż uniósł miecz, nie zadał ciosu; obracał się wolno, patrzył przez ramię tam, skąd ozwał się głos.

Na progu stał... Borte. Ostatni z Hungurów. Wysłany wcześniej do koni. W ręku miał łuk. Na cięciwę nałożył strzałę z haczykowatym zadziorem.

– Booorte? – zdumiał się Gleb. – Jesteś tak marnym psem, tak skundlonym i nikczemnym stworzeniem, że prawie o tobie zapomniałem, bo nadajesz się tylko do pilnowania waszych śmierdzących koni.

– Nie jestem kundlem, ale suką, Gleb. Złą, wściekłą suką. Nie poznałeś się, żałuj!

Nagle Borte odrzucił szpiczastą czapkę, przetarł umorusane lico. Zalśniły opadające w dół czarne warkocze na podgolonej z boków

głowie. Dumne spojrzenie, miodowe oczy.

Niewiasta.

Gleb patrzył i patrzył, jakby nie mógł uwierzyć.

– I co? Powiesz mi, że mogę odejść, wypuścisz zdrowo, ptaszyno?

– Masz mnie za głupią lędzicką krowę? Och tak, mdli mnie na widok krwi, a przecież zabijanie jest niecotliwe.

– Moglibyśmy... pogadać. Na spokojnie.

Jęk! Świst. Strzała pomknęła do celu, wbiła się w ćwiekowaną, błękitnąwą przeszywanicę Gleba. Witeż aż się zatrząsł, postąpił krok, drugi...

– Murwo nieczysta...! – ryknął. – Córko biesów, kusiem Wołosta poczęta!

Drugi świst. Strzała wbiła się w pierś, po prawej stronie.

Gleb jęczał, stękał, ale szedł. Unosił miecz...

Trzecia strzała, czwarta.

Naciągnęła cięciwę po raz piąty, zmrużyła oczy.

Wtedy zatrzymał się, zadygotał, zmagając się z cierpieniem, zagryzając do krwi wargi.

Jęk zwalnianej cięciwy. Strzeliła prawie z przyłożenia. Prosto w oko!

Padł. Chyba do końca nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Kiedy przechodziła obok, wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej w przelocie, przekonać się, że to naprawdę.

Bo szczerze mówiąc, w to wszystko nie wierzył już nawet Jaksa.

Rycerz wstał, opierając się plecami o ścianę. Patrzył wzrokiem pełnym cierpienia, ale i jakby rozweselonym.

– Tylu was wszystkich po moją biedną głowę? Co za dużo, to niezdrowo, znasz takie powiedzenie, niewiasto? Proszę, zrób to szybko.

– Twoja głowa potrzeba mi jest żywa.

Odłożyła łuk, sięgnęła do drewnianych dyb, wyrwała żelazną

zatyczkę, rozłożyła obie części, uwalniając ręce i głowę rycerza.

– Po co to robisz? Jestem przeklęty przez twój ród. Mój ojciec...

– Wytępiliśmy wszystkich, co przeszli wyżej osi wozu wytępiliśmy, aż rozwiali się popiołem na wietrze, aż nie pozostało po nich wspomnienie – powiedziała monotonnym głosem. – Ja przeszłam poniżej osi, Jakso z Drużyców. Kagan wytrzebił cały mój aul. Jesteśmy sobie bliscy. Nie wiesz, jak bardzo. Twój ojciec zabił Tuduna. Ty zaś...

– Ja nie zabiję dla ciebie nikogo.

– Przekonamy się. Chodź. To przeklęte miejsce, za dużo krwi.

– Będziesz musiała mnie nieść. W tych czasach po rzezi na Rabym Polu mężczyzna to skarb i wiele niewiast dałoby sobie obciąć warkocze, aby pielęgnować takiego rycerza...

– Jak dam ci kopa, to pofruniesz jak orzeł! Jesteś mężczyzną czy kapłanem?

– Jestem żywym trupem. Podaj mi choć rękę.

Podawała. Była silna i gibka. Wychodzili z chałupy wolno; Jaksa jęczał przy każdym ruchu, słał się.

– Nie wyj, słabeuszu! – Dała mu kuksańca w bok, aż zajęczał.

– Straciłem dużo krwi. Opatrunki...

– Później, idzie noc. Ruszaj się.

Podprowadziła mu konia, podała strzemię jak królowi. A kiedy siedział w kulbace na grzbiecie Pioruna, zapytał cicho:

– Jak cię wołają?

– Selene.

– Mamy dużo do powiedzenia... sobie.

– I jeszcze więcej czasu. W podróży przez kraj ludzi, zwierząt i biesów. Dalej!



**Marcin Podlewski**

**Głębia. Skokowiec**

**Głębia. Powrót**

**Głębia. Napór**

**Witaj w nowym wymiarze Space Opery**

Oto Wypalona Galaktyka - Droga Mleczna, która tysiące lat temu została spustoszona przez serię potwornych wojen. Oto kosmos, w którym ludzie zamieszkują resztkę ocalałych z pożogi układów -gdzie nieliczne, inteligentne Maszyny budzą trwogę, a wygnani poza Granicę Galaktyczną Obcy znani są już tylko z legend. Oto wszechświat Głębi - zagadkowej, wpędzającej w szaleństwo niby przestrzeni. Oto Świat Myrtona Grunwalda, który stracił swój statek i załogę, i który zrobi wszystko, by znowu pożeg.owaf ku gwiazdom. A nie będzie to łatwe.

Napęd głębinowy już drży. Dotknij nawigacyjnej konsoli. Złap za uchwyt sterowniczy i uwierz.

**Bo ten skokowiec jest twój. Zawsze był.**



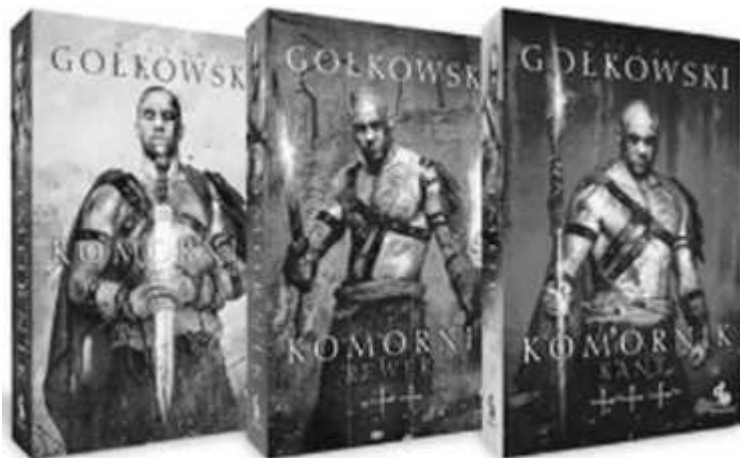
## **Adam Przechrzta**

### **Adept Namiestnik**

**Warszawa, początek dwudziestego wieku.**

W środku miasta pojawia się enklawa, jej rozrost może powstrzymać jedynie mur nabity srebrnymi prętami. Nikt nie wie, skąd się wzięta, dlaczego zmienia się tam układ ulic i wygląd kamienie. Identyczne strefy znajdują się w Moskwie i Petersburgu. Pozornie normalne życie tuż obok emanacji wynaturzonego Świata, pełnego stworzeń rodem z mrocznych legend. Do strefy zapuszczają się jedynie carskie patrole i alchemicy w poszukiwaniu składników do swoich eksperymentalnych leków.

**Pojedynki, zakazane eksperymenty i narastające wrzenie w mieście...**



**Michał Gołkowski**

**Komornik**

**Komornik. Rewers**

**Komornik. Kant**

**Ziemia zatrzymuje się, woda zamienia się w krew. Umarli wstają z grobów. Tylko że coś w systemie nie zaskoczyło...**

Ludzi jest więcej, niż gdy święty Jan spisywał ostatnie wersy swego dzieła. Technologia poszła na przód i przed rydwanem jeźdźca Apokalipsy można uciec rowerem. O dziwo, nikt nie chce umierać, nawet jeśli ulotki reklamowe prezentują Życie 'Wieczne w jaskrawych barwach pasteli.

Ktoś na Górze decyduje, że trzeba ten burdel ogarnąć. Powołani zostają do życia Aniołowie Apokryficzni z prostym zadaniem: jak najszybciej i najskuteczniej rozporządzić masą upadłościową, w którą zamieniła się Ziemia. Co robią Apokryficzni? Zwalają czarną robotę na ludzi. Na ziemię zstępują Komornicy.



**Aneta Jadowska**

**Szamański blues**

**Szamańskie tango**

### **Thorn Universe Nadchodzi era Witkaca**

Kryzys zaliczony przed czterdziestką miał się objawiać idiotycznie szybkimi samochodami i nieprzyzwoicie ślicznymi kobietami. Zamiast tego w życiu Witkaca rozplenili się magia i upiory, a przeszłość nieoczekiwanie powróciła. Cała w czerwieni, z bagażem kłopotów i tajemnic.

Noworodki umierają, duchy panoszą się bardziej niż zwykle i zło czai się na Witkaca w ciemności. Gdyby chociaż w zaświatach czekało coś miłszego niż rozwścieczeni i agresywni Przedwieczni...

**Ale nie czas na spacer w deszczu aleją gorzkich wspomnień. Los rzuca nowe wyzwania.**